

Joy Fielding

Brakujący element

Pragnę podziękować władzom i funkcjonariuszom dwóch instytucji penitencjarnych: Zakładu Karno-Poprawczego Union oraz Stanowego Więzienia Florydy, za udzielenie mi wielu niezmiernie potrzebnych informacji. Szczególne podziękowania składam personelowi biura koronera w Palm Beach, gdzie nie szczędzono mi czasu i bardzo specjalistycznej wiedzy. Gorące „dziękuję” mówię Lawrence'owi L. Lewisowi, ochotniczo zatrudnionemu w Sądzie Okręgowym w Palm Beach, który udzielał mi licznych wskazówek, dostarczał broszur, a pod koniec długiego dnia pracy krzepił upragnionym kubkiem kawy.

Serdeczne wyrazy wdzięczności składam Larry'emu Merkinowi i Beverley Slopen za lekturę wcześniejszych wersji manuskryptu, za ich nieocenione rady i za to, że ustawicznie zachęcali mnie do dalszej pracy.

Dziękuję Janet Tanzer i Sally Muir, najwspanialszym na świecie terapeutkom rodzinnym, których wiedza i mądrość tak bardzo odmieniły moje życie. I swoim córkom, Shannon i Annie — bez których nie powstałaby ta książka.

Na koniec dziękuję ci, Warren, mój mężu — za wszystko.

ROZDZIAŁ I

Znów zaginęła kobieta.

Nazywa się Millie Potton i po raz ostatni widziano ją dwa dni temu. Jak podaje dzisiejsza gazeta, Millie jest wysoka, chuda i lekko utyka. Wiek: pięćdziesiąt cztery lata... Zgadza się. Imiona w rodzaju „Millie” noszą już tylko kobiety po pięćdziesiątce.

Z krótkiego artykułiku na trzeciej stronie „Palm Beach Post” (rubryka lokalna) wynika, że gdy widziano ją ostatnio, wędrowała ulicą w szlafroku, ale sąsiadka, która przekazała ową informację, nie dostrzegła w tym nic szczególnego. Millie Potton ma za sobą długi rejestr zaburzeń psychicznych, kontynuuje autor artykułu, sugerując, iż to one właśnie są powodem jej zaginięcia, ergo, nie ma się czym przejmować.

W ciągu ostatniego pięciolecia na obszarze Palm Beach zniknęło bez śladu ponad dwadzieścia kobiet. Wiem o tym, ponieważ systematycznie śledzę takie doniesienia... Z początku robiłam to chyba bezwiednie, jednakże po pewnym czasie wszystkie te przypadki zaczęły mi się sumować, aż wreszcie ogólna ich liczba utrwaliła mi się w świadomości. Rozpiętość wieku zaginionych: od szesnastu do sześćdziesięciu lat. W niektórych spośród tych spraw policja nie podjęła dochodzenia, uznając je za ucieczki, zwłaszcza w przypadkach młodych dziewczyn, takich jak siedemnastoletnia Amy Lokash, która pewnego wieczoru około godziny dziesiątej wyszła z domu swojej przyjaciółki i wszelki śluch o niej zaginął. Co do pozostałych, wśród których niewątpliwie znajdzie się i Millie Potton, policja zaniechała śledztwa z innych logicznie uzasadnionych przyczyn. Wypada tu wszakże powiedzieć, że w sprawie Amy Lokash popełniono ewidentny błąd.

Cóż, póki nie znajdą się zwłoki, wciśnięte do pojemnika na śmieci na tyłach Burger Kinga, jak to było w przypadku Marilyn Greenwood, lat dwadzieścia cztery, czy wyłowione z błota w Port Everglades (Christine McDermott, lat trzydzieści trzy), policja faktycznie nie może nic zrobić, przynajmniej oni tak twierdzą. Kobiety, jak się zdaje, wciąż giną bez wieści.

Jest ranek, w moim domu panuje cisza — wszyscy już wyszli. Mam mnóstwo czasu na spisanie tego sprawozdania, jak z braku lepszych określić nazywam swoje zapiski. W rzeczywistości będą to raczej wspomnienia, luźne reminiscencje. Na prośbę policji staram się jednak robić to w miarę konkretnie i we właściwym porządku chronologicznym, niczego nie opuszczając, nawet spraw pozornie błażych czy najbardziej osobistych. Oni zadecydują, co jest ważne.

Nie bardzo rozumiem, po co to wszystko. Co się stało, to się nie odstanie. Przeszłości nie da się zmienić, choćbym nie wiem jak tego chciała, tak samo jak żadnym sposobem nie potrafiłam zapobiec tamtym wypadkom... Wszelkie moje próby przypominały walenie głową w mur... Już wtedy wiedziałam zresztą, że taki będzie rezultat. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu, klasyczny przykład to ludzkie działania. Bez względu na to, jak tragiczne w skutkach może nam się wydawać czyjeś postępowanie, nie możemy zrobić nic innego, jak tylko pozwolić ludziom iść własną drogą. Nie sposób odwieść człowieka od popełniania błędów. Czyż nie to właśnie powtarzam wciąż swoim pacjentom?

Łatwiej oczywiście udzielać porad, niż się do nich stosować. Może właśnie dlatego zostałam terapeutką, choć w podaniu o przyjęcie do college'u tej przyczyny nie wyszczególniłam. Jeśli mnie pamięć nie myli — a zawodzi mnie ona tak często, że to wręcz zatrważające — powołałam się na swoje gorące pragnienie niesienia pomocy ludziom, na opinie przyjaciół, iż jestem osobą, do której w razie kłopotów zawsze mogą się zwrócić, wreszcie na dobrą znajomość problemów rodziny dysfunkcyjnej. Wychowałam się w takiej rodzinie, aczkolwiek sam ów termin „rodzina dysfunkcyjna” ukuty został dopiero później, w czasie gdy rozpoczynałam studia — w roku 1966. Dziś jest to termin tak powszechny, tak mocno

zakorzeniony w potocznym słownictwie, że wprost trudno pojąć, jak sobie radzono, gdy jeszcze nie istniał, pomijając fakt, iż w gruncie rzeczy nic on właściwie nie znaczy. Źle funkcjonująca rodzina! Co składa się na to pojęcie? Czy ktoś widział rodzinę, która nie ma problemów? Nie wątpię, iż moje córki miałyby na ten temat wiele do powiedzenia.

Od czego tu zacząć? Właśnie o to zawsze pytają mnie nowi pacjenci. Każdy, kto po raz pierwszy zjawia się w moim gabinecie (druga kondygnacja różowego czteropiętrowego budynku przy Royal Palm Way, własność Pepto-Bismol), od progu obrzuca mnie czujnym spojrzeniem, bezwiednie pocierając ślubną obrączkę, a potem przycupnięty na brzeжку czarnoszarego fotela, z wargami rozchylonymi w niecierpliwym oczekiwaniu, by co prędzej dać upust wściekłości, lękom czy niezadowoleniu, wyrzuca z siebie zawsze to samo pytanie: Od czego mam zacząć?

Zwykle proszę ich wtedy, by mi opisali zdarzenie, które stało się powodem tej wizyty, przysłowiową kroplą, co przelała czarę. Po kilku sekundach pacjent z wolna zaczyna mówić, budując swą opowieść od fundamentów, tak jak buduje się dom. Kolejne szczegóły są jak cegły w murze układane jedna na drugiej — zniewaga po zniewadze, żale, utajone groźby... Słowa padają tak gęsto i jest ich tyle, że zaledwie wystarcza godziny, by z tych cegieł wznieść całą budowlę.

No proszę, jakiej to użyłam metafory — Larry byłby tym ubawiony. Larry to mój mąż, już od dwudziestu czterech lat, z zawodu budowniczy. Znaczna część tych nowych, rzucających się w oczy domów usytuowanych wzdłuż pól golfowych w całym Palm Beach County jest dziełem mojego męża. To, że siedem lat temu przenieśliśmy się z Pittsburgha na Florydę, oficjalnie podyktowane zostało względami zawodowymi, chociaż ja nadal podejrzewam, że jedną z przyczyn, jeśli nie jedyną, dla których Larry tak się palił do tej przeprowadzki, była chęć ucieczki od mojej matki i siostry. On temu przeczy, lecz jak mam w to wierzyć, skoro i ja sama głównie z tego powodu tak ochoczo wyraziłam zgodę na opuszczenie Pittsburgha. Dziś to już zresztą kwestia akademicka, jako że moja matka ściągnęła tu w niespełna rok później, a siostra w kilka miesięcy po niej.

Moja siostra, Jo Lynn, to w rzeczywistości Joannę Linda, przywykła jednak używać zdrobnień, które wymyślił nasz ojciec, kiedy była jeszcze malutka. Chwyciły i tak już zostało. Trudno zresztą o lepsze, o coś pasującego do niej bardziej niż właśnie „Jo Lynn”. Wyobraźcie sobie wysoką blondynkę o wydatnym biuście, obdarzoną niezwykle zaraźliwym śmiechem, który rodzi się gdzieś w głębi krtani, by po chwili wypełnić otaczającą ją przestrzeń kaskadą srebrnych dzwoneczków. Po przyjeździe na Florydę Jo Lynn przyswoiła sobie gardłowy miódopłynny akcent Południa i o dziwo, od razu zaczął się on wydawać bardziej autentyczny niż płaska i chłodna wymowa Północy, którą posługiwała się przecież przez większą część swoich trzydziestu siedmiu lat.

Powiedziałam „nasz ojciec”, choć naprawdę był on tylko ojcem Jo Lynn. Mój umarł, kiedy miałam osiem lat. Matka opowiada, że podczas kolacji podniósł się od stołu po szklankę mleka, mimochodem napomykając, że chwyta go potworny ból głowy, i po minucie już nie żył. Tętniak, stwierdził lekarz. Matka w rok później znalazła sobie drugiego męża, a po upływie następnego roku przysłała na świat Jo Lynn — w parę zaledwie tygodni po moich dziesiątych urodzinach.

Mój ojczym, krętacz i kanalia, należał do tych, którym siła pięści zastępuje rozum, przyjmując, że w ogóle miał coś takiego pod czaszką. Jestem pewna, że to przez niego Jo Lynn uparcie wybierała sobie fatalnych partnerów życiowych, samych wulgarnych brutalni, mimo że ją akurat darzył niezwykłą czułością. Wyróżniał ją faworyzował. To matka nosiła na sobie ślady jego złych humorów. Co do mnie, to nie licząc kilku szturchańców plasowanych zawsze w tył głowy, przeważnie mnie ignorował. Matka opuściła go wreszcie, kiedy Jo ukończyła trzynaście lat; ja byłam już wtedy żoną Larry'ego. Ojczym w rok później zmarł na raka trzustki. Jedyną osobą, która go oplakiwała, była Jo Lynn.

A teraz ja płaczę z jej powodu, i nie po raz pierwszy. To nic, że to tylko przyrodnia siostra i że dziesięcioletnia różnica wieku w połączeniu z jej wariackim nieraz zachowaniem sprawiała, że nietatwo było nam się zbliżyć. Nigdy nie zapomnę owego poranka, kiedy matka przyniosła ją ze szpitala. Podeszła do mnie, piastując w ramionach mały złocisty tłumoczek i delikatnie włożyła mi go w ręce. Masz teraz żywą laleczkę, powiedziała, troszcz się o nią. Pamiętam, że godzinami wystawałam przy jej kołysce, patrząc, jak śpi, łowiąc okiem najdrobniejsze oznaki wzrostu, w miarę jak z niemowlęcia stawała się małym szkrabem. Była takim prześlicznym dzieckiem, takim pewnym siebie uparciuchem, przekonanym jak wielu niezależnych malców o własnej absolutnej racji w każdej dosłownie sprawie, że wprost niepodobna pogodzić tego wizerunku z jej późniejszym dorosłym wcieleniem. Stała się typową zagubioną duszą, z tych, co to idą przez życie bez celu, w złudnym przeświadczeniu, że sukces i szczęście kryją się tuż za rogiem. Tyle że przez wieczne roztargnienie raz po raz zdarzało jej się zapominać, dokąd właściwie idzie, no i skręcała w złą stronę, łądując następnie w ślepej uliczce — bez wyjścia. Widzę jej cechy w Sarze, mojej starszej córce. Ona też musi zawsze nabierać doświadczeń w najtrudniejszy możliwy sposób i... to mnie przeraża. Pewnie z tego powodu ciągle stoję jej za plecami, w każdym razie ona tak mówi. Nie, wróc, Sara nie mówi, ona wrzeszczy. Moja córka uważa, że zwyciężyć w dyskusji można tylko jedną metodą: powtarzając w kółko wciąż ten sam argument, tyle że coraz głośniej. I chyba ma rację, bo człowiek w końcu daje za wygraną albo wybiega z pokoju. I jedno, i drugie zdarza mi się częściej, niżbym chciała. Moi pacjenci byliby tym pewnie przerażeni.

Sara ma obecnie siedemnaście lat i 184 centymetry wzrostu. Podobnie jak Jo Lynn ma też ogromne zielone oczy i niezwykle obfite piersi. Nie wiem doprawdy, skąd się to wzięło. Szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewna, skąd wzięła się ona sama. Czasami gdy wygłasza którąś z tych swoich wrzaskliwych tyrad, patrzę na nią i myślę: Czyżby zamieniono cię w szpitalu? Czy jest rzeczą możliwą, aby to wysokie, wielkookie, piersiaste stworzenie, co wydziera się na-mnie ile sił w płucach, było rzeczywiście moją córką? Są dni, kiedy patrząc na nią, dochodzę do wniosku, że to najpiękniejsza istota pod słońcem, ale są i takie, kiedy bym przysięgła, że to istna Patricia Krenwinkel! Pamiętacie Patricię, jedną z członkiń gangu Mansona, nastoletnią morderczynię o długich brązowych włosach z niedbałym przedziałkiem w środku, szczupłej ponurej twarzy i czystych bezlitosnych oczach? Taki sam wyraz twarzy widzę często u Sary. A te jej stroje! Uwielbia rzeczy, których nie akceptowałam już ćwierć wieku temu: przezroczyste hinduskie kaftany, bezkształtne jak worek. Po prostu nie cierpię tych łańców. Michelle, moja młodsza córka, jest zupełnie inna niż Sara. Ma dopiero czternaście lat, ale wszystkie jej stroje pochodzą wyłącznie z klubu „Monaco” lub „The Gap”. Ta chuda, bystra osobka zawsze stoi z boku, mimo to uważnie śledzi każdą rodzinną kłótnię, by skomentować ją później w stosownej chwili całkiem jak jednoosobowy grecki chórek lub początkujący terapeuta.

Czy to dlatego mniej mam kłopotów z moim młodszym dzieckiem? Czy rzeczywiście, jak to ciągle zarzuca mi Sara, chcę, żeby wszyscy ulepiani byli na mój obraz i podobieństwo? „Ale ja nie jestem tobą!!” — wrzeszczy moja starsza córka. „Jestem sobą!” No cóż, tak właśnie ją wychowałam — żeby była sobą... Tylko czy to jej ego musi być aż tak nieprzyjemne? Czy i ja byłam tak buntownicza, ordynarna i wiecznie ponura? Pytam o to matkę, która uśmiecha się zagadkowo i zapewnia mnie solennie, że nic podobnego: byłam idealna. Jo Lynn to inna historia, dodaje ze znużeniem w głosie.

„Życzę ci takiej córki jak ty sama!”, słyszę jej gniewny okrzyk pod adresem mojej młodszej siostry. Ha, ileż to razy muszę gryźć się w język, żeby nie powiedzieć tego samego! Tylko że Jo Lynn w trakcie wszystkich swoich trzech małżeństw pozostała bezdzietna — z przekory czy może ze strachu? — podczas gdy mnie musiała przytrafić się córka podobna do swojej ciotki. Do licha, to niesprawiedliwe. To ja byłam tą, co uczciwie przestrzegała obowiązujących zasad. Jeżeli w ogóle zdarzało mi się buntować, mieściło się to zawsze w ramach wyznaczonych reguł.

Skończyłam szkołę, otrzymałam stopień naukowy, nie piłam, nie paliłam, nie ćpałam, poślubiłam jedynego mężczyznę, z którym uprawiałam seks. Jo Lynn przeciwnie. Kiedy tylko zdążyła zadomowić się w college'u, oczywiście zaraz go rzuciła. Działalność seksualną rozpoczęła wcześniej i była w tej sferze niezmiernie aktywna. Ja zostałam doradcą rodzinnym, ona — istnym koszmarem terapeutę, najgorszym, jaki w ogóle może mu się przyśnić.

Po co właściwie wdaję się w to wszystko? Czy tego rodzaju sprawy policja uzna za istotne? Nie wiem. Prawdę mówiąc, już chyba nic nie wiem. Mam wrażenie, że całe moje życie to jakaś gigantyczna układanka, z tych, nad którymi człowiek ślęczy w nieskończoność, a gdy wreszcie zbliża się do końca, gdy zaczyna już myśleć, że ją ułożył, spostrzega, że nic podobnego, że brak najważniejszych fragmentów.

Z wiekiem przychodzi mądrość, przypominają mi się słowa tak często słyszane w młodości... Wcale nie. Z wiekiem przychodzą zmarszczki — i to jest jedyna prawda. Do tego kłopoty z pęcherzem, artretyzm, uderzenia krwi, luki w pamięci. Dość kiepsko znoszę to wszystko, tak kiepsko, że aż mnie to dziwi, bo wyobrażałam sobie, że będę umiała starzeć się z wdziękiem. Ale jak tu zachować wdzięk, kiedy trzeba co chwila latać do łazienki, kiedy człowiek oblewa się potem, zaledwie ukończy makijaż?

Wszyscy dookoła są ode mnie młodszy: mój dentysta, moja lekarka, nauczyciele moich córek, rodzice ich przyjaciół, sąsiedzi, moi pacjenci, nawet ci policjanci prowadzący śledztwo. A mnie jak na ironię zawsze się zdaje, że jestem młodsza od wszystkich, i kiedy nagle wychodzi na jaw, że każdą z tych osób przewyższam wiekiem, co gorsza, o całe lata, czuję się tym strasznie zaskoczona. Dodam, że tylko ja, oni wcale.

Dość często przeżywam teraz zaskoczenia związane z własną osobą. Idę na przykład ulicą w miłym poczuciu, że wyglądam świetnie (fryzura, makijaż, ubranie) i nagle w jakimś oknie wystawowym dostrzegam swoje odbicie. A któż to taki?, myślę ze zdumieniem. Kim jest ta kobieta w średnim wieku? Niemożliwe, żebym to była ja! Ja nie mam takich worów pod oczami! To nie są moje nogi, a już na pewno nie mój tyłek! Jakież to przerażające, gdy nasze wyobrażenie o sobie przestaje korespondować z obrazem widzianym w lustrze. A co dopiero gdy uświadamiamy sobie, że otoczenie w ogóle nas nie dostrzega, bo kobieta w pewnym wieku staje się dla ludzi niewidzialna, a my właśnie przeszliśmy do tej kategorii. Może to jest powód całej historii z Robertem? Inne wyjaśnienia nie widzę.

Ach, znów to robię — wdaję się w dygresje swą słynną metodą nagłych przeskoków. Larry wciąż mi to wytyka. Tłumaczę mu, że to mój sposób dążenia do sedna rzeczy. Wcale nie, twierdzi, ty chcesz uciec od sedna x7.zc.7y. Chyba ma rację. Przynajmniej w tym wypadku.

Czuję, że zaraz się zacznie... uderzenie krwi... Rozpoznaję to świństwo po uczuciu koszmarnego niepokoju, które ogarnia mnie zawsze na chwilę przedtem; później pojawia się wrażenie, jakby ktoś wlewał mi do gardła szklanę lodowatej wody. Tak dokładnie wypełnia mi klatkę piersiową, że serce leży w niej jak w kałuży. A potem lód przechodzi w ogień. Sama już nie wiem, co gorsze.

Obserwując te stany lękowe, myślałam z początku, że mają one związek z narastającym wokół mnie chaosem.

Winiłam o to matkę, siostrę, Roberta, toczący się w sądzie proces, słowem wszystko, co możliwe. Dopiero po pewnym czasie skojarzyłam sobie, że bezpośrednim następstwem tego niezrozumiałego uczucia grozy są fale gorąca bijące mi do głowy z głębi jamy brzusznej, fale, po których zlewają mnie strumienie potu i zaczynam się dusić, jakby za chwilę miało rozerwać mi płuca. Zdumiewa mnie siła tych uderzeń i to, że w żaden sposób nie jestem ich w stanie powstrzymać. Uświadamiają mi one, jak znikomy mam wpływ na całą swoją egzystencję.

Moje ciało mnie zdradza, posłuszne obecnie sobie tylko znanemu rozkładowi jazdy. Noszę teraz okulary do czytania, moja skóra, tracąc elastyczność, marszczy się jak licha tkanina, na szyi pojawiły się cieniutkie linie

— słoje na przekroju sędziwego drzewa... W brzuchu coś rośnie. Jakież to nieapetyczne.

Byłam niedawno na badaniu kontrolnym. Doktor Wong, która wygląda jak osiemnastolatka, tak jest drobna i delikatna, stwierdziła, że w szyjce macicy mam parę małych polipów i że trzeba je będzie usunąć.

— Skąd się to wzięło, pani doktor? Wzruszyła ramionami:

— Z wiekiem to się zdarza.

Spytała mnie, co wolę: operację pod pełnym znieczuleniem w szpitalu za kilka tygodni czy natychmiastowy zabieg tu, w jej gabinecie, „na żywca”.

— A co pani zaleca?

— To 7.2.c.i.y od pani tolerancji na ból. Zdecydowałam się pozbyć polipów od razu. Jak się okazało, był to zabieg stosunkowo prosty — wszystkiego niespełna dziesięć minut, w czasie których doktor Wong tłumaczyła mi szczegółowo, może aż zanedo detalicznie, każdą swoją czynność.

— Teraz będzie tak, jakby miała pani dostać biegunki

— oświadczyła, ja zaś po sekundzie poczułam całą serię skurczów, jakby ktoś wiązał mi jelita w malutkie ciasne węzłki.

Ukończywszy zabieg, podsunęła mi przed oczy słóiczek z dwiema czerwonymi kulkami wielkości sporych żurawin.

— Proszę spojrzeć — rzuciła z odcieniem dumy — pani polipy.

Bliźniaki, pomyślałam, nadrabiając miną, a potem wybuchnęłam płaczem.

Kazała mi zadzwonić za dwa tygodnie i dowiedzieć się o wynik badań. Nie pamiętam, czy zadzwoniłam. Szaleństwo sięgnęło wtedy szczytu, więc niewykluczone, że zapomniałam.

Coś się dzieje po drugiej stronie ulicy, widzę to przez okno. Siedzę przy biurku w gabinecie, małym, wypełnionym książkami pokoju położonym od frontu, dość jednak daleko od głównego wejścia. Czy policji potrzebny będzie opis domu? Załączę go na wszelki wypadek, choć z pewnością dobrze znają rozkład. Byli tu tyle razy, mają fotografie... ale dla porządku niech będzie. Dom jest parterowy, lecz całkiem obszerny, z trzema sypialniami i tym gabinetem. Sypialnie dziewcząt znajdują się po prawej stronie zaraz za frontowymi drzwiami, sypialnia małżeńska po lewej na tyłach domu. Resztę wypełniają: salon, jadalnia, cztery łazienki oraz duża otwarta przestrzeń, gdzie mieści się kuchnia, kącik śniadaniowy i pokój rodzinny. Cała tylna ściana tej części, oddzielająca ją od podwórza, to szereg okien w drewnianych ramach i szklana tafla przesuwanych drzwi wychodzących na basen w kształcie wielkiej nerki. Po wysokich sufitach rozsiane są wentylatory — jeden z nich cicho obraca się nad moją głową. Na podłogach z płytek ceramicznych leżą tu i ówdzie pluszowe maty. Jedynie sypialnie i gabinet wyłożone są dywanami. Dominuje kolor beżowy z akcentami brązu, czerni i ciemnej szarości. Dom zbudował Larry, ja go urządziłam. Miał być naszym sanktuarium.

Chyba wiem, co dzieje się naprzeciwko. Już to przerabiałam. Kilku wyrostków próbuje sterroryzować dwóch młodszych chłopców; te łobuzy każą im zapukać do moich drzwi. Naśmiewają się z malców, że tchórzą, popychają kuksańcami w plecy. No idźże, fajtłapo! Zadzwon tylko i spytaj... Jakbym ich słyszała, choć w rzeczywistości złośliwy wybuch śmiechu kompletnie głuszy ich słowa. Naciśnij ten dzwonek, głupku, to ci damy spokój... Dwaj młodszy — jeden z nich to chyba sześciolatek Ian McMullen z willi przy końcu ulicy — prostują ramiona i okrągłymi oczyma wpatrują się w nasz bungalow. Jeszcze jeden szturchaniec i ruszają. Są już obaj na ścieżce przed drzwiami, obaj wyciągniętym palcem mierzą w stronę dzwonka. I nagle pierzchają na łeb na szyję, jakby ich kto gonił. Nie przed swymi dręczycielami, ci bowiem zdążyli już uciec w przeciwnym kierunku... Może spostrzegli, że ich widzę, może ich ktoś zawołał albo sami doszli do wniosku, że to, co robią, jest głupie. Kto wie? Cokolwiek to było, czuję ulgę i wdzięczność; już prawie podniosłam się z krzesła.

Pierwszy taki incydent zdarzył się zaraz na początku, gdy tylko sprawa trafiła do gazet. Znakomita większość ludzi zachowała się bardzo dyskretnie, ale zawsze znajdzie się paru takich, którym nie wystarczy to, co przeczytają. Chcą wiedzieć więcej i są święcie przekonani,

że mają do tego prawo. Policja na ogół skutecznie gasiła te ich zapędy, małym chłopcom jednak udawało się czasem przemknąć do drzwi. Pamiętam ten pierwszy raz.

— Czym wam mogę służyć?

— To było tutaj? — Nerwowy chichot.

— Co takiego?

— Pani wie. — Pauza, nerwowe spojrzenia, próby zapuszczenia żurawia za moje plecy. — Czy możemy zobaczyć krew?

W tym momencie trzasnęłam drzwiami, choć muszę wyznać, że odczułam zarazem perwersyjną pokusę, by zaprosić do środka tych ciekawskich malców, poprowadzić ich na tyły domu jak przewodnik wycieczkowiczów, po czym melodyjnym szeptem zakomunikować, że krew była tutaj, w rodzinnym pokoju. O proszę, na podłodze widać jeszcze różowawe plamy mimo usilnych prób ich usunięcia. Nawet fachowcy nie dali im rady. Cóż, będę chyba musiała wymienić część płytek. Kłopotliwa sprawa. Firma, z której pochodzą, zbankrutowała kilka lat temu.

Mój Boże, jakże to wszystko się stało? Kiedy to moje wygodne, tak rozsądnie ułożone życie zaczęło wymykać mi się spod kontroli, zupełnie jak samochód na górskiej szosie, w którym nagle puściły hamulce, i teraz już tylko szaleńczo nabiera rozpędu, aż do chwili gdy spadnie w przepaść i stanie w płomieniach? W którym to momencie Humpty-Dumpty urwał się ze ściany i roztrzaskał na tysiąc kawałków, tak że w żaden sposób nie da się ich skleić ni wymienić?

Wiem oczywiście, że to nie sprawa jednego momentu. Nie jest tak, że gdy jakaś część życia pęka w szwach, pozostałe cierpliwie czekają na swoją kolej. O nie, rozpada się wszystko naraz i człowiek nie ma czasu niczemu zaradzić ani nawet się zastanowić. Jedno pechowe wydarzenie goni drugie. Zły Jos ściga nas jak policjant, by zebrać swą porcję mandatów...

Dramatyzuję? Może, lecz czyż nie mam do tego prawa? Z nas dwóch to ja zawsze byłam tą solidną i trzeźwą, to mnie Bóg obdarzył większą dozą zdrowego rozsądku niż wyobraźni, jak stwierdziła kiedyś Jo Lynn. Więc i mnie wolno raz w życiu zafundować sobie melodramat.

Zacząć od samego początku? Przedstawić się w stylu wizytówki na klapie? Cześć, nazywam się Kate Sinclair? Powiedzieć, że przyszłam na świat czterdzieści siedem lat temu w Pittsburghu w wyjątkowo upalny kwietniowy dzień? Że mam 169 centymetrów wzrostu, ważę sześćdziesiąt kilogramów, jestem jasną szatynką o oczach trochę ciemniejszych od włosów, że nie odznaczam się imponującym biustem, ale mam niezłe nogi i nieco krzywy uśmiech? Że Larry czule nazywa mnie zabawną buzią, a Robert powiedział, że jestem piękna?

Znacznie łatwiej byłoby zacząć od końca; o tak, łatwiej byłoby zreferować ustalone fakty, nadać imiona zmarłym, raz na zawsze zetrzeć krew z podłogi, niż trudzić się poszukiwaniem motywów, wyjaśnień, odpowiedzi, których być może nigdy nie uda się znaleźć. Cóż, kiedy policja chce czego innego. Podstawowe fakty już znają, widzieli też finał. Chcą szczegółów, a ja obiecałam dostarczyć ich tyle,

ile w mojej mocy. Mogę zacząć od zaginięcia Amy Lokash albo od momentu, gdy po raz pierwszy zjawiała się u mnie jej matka. Za początek opowieści mogą też posłużyć obawy mojej matki, że ktoś ją śledzi, bądź telefon od wychowawczyni Sary, która w pewnej chwili uznała za stosowne przekazać mi swoje rosnące zaniepokojenie zachowaniem mojej starszej córki. Mogłabym opowiedzieć o pierwszym telefonie od Roberta czy nagłym wypadzie Larry'ego do Południowej Karoliny. Ale jeśli z tego wszystkiego mam wybrać jeden najważniejszy moment, powinien to być chyba ten sobotni ranek w październiku. Siedzimy obie z Jo Lynn w mojej kuchni, delektując się trzecią filiżanką kawy. Moja siostra odkłada poranną gazetę i najspokojniej w świecie oświadcza, że zamierza poślubić człowieka sądzonego w tym czasie za zabójstwo trzynastu kobiet. Tak, zacznę od tego.

ROZDZIAŁ 2

Pamiętam, że pogoda była idealna — dzień, jakich wiele na Florydzie, z niebem tak błękitnym, że wydaje się nieprawdziwe, temperaturą nie przekraczającą trzydziestu stopni i ledwie słyszalnym szmerkiem ciepłej bryzy. Przełknęłam resztkę kawy z upodobaniem palacza chłonnego dymek z ostatniego papierosa i zapatrzyłam się w okno, przez które widać było basen, a za nim wielką kokosową palmę sięgającą wygiętymi liśćmi terakotowego dachu domu. Był to widok jak z wakacyjnych pocztówek, brakowało tylko entuzjastycznego tekstu: „Bawimy się fenomenalnie, szkoda, że was tu nie ma!” Roziskrzone powietrze sprawiało, że niebo, trawa, a nawet kora na drzewach zdawały się drgać i wibrować drobinkami światła.

— Co za dzień — westchnęłam głośno.

— Uhm — mruknęła Jo Lynn spoza porannej gazety.

— Popatrz — nie ustępowałam, nie bardzo wiedząc, czego właściwie chcę: potwierdzenia czy nawiązania rozmowy. I po co? — Spójrz na to niebo, jakie błękitne.

Jo Lynn błysnęła okiem znad górnego rogu „Palm Beach Post”:

— Fajny byłby sweter w takim odcieniu, co? — rzuciła od niechcienia, leniwie przeciągając głoski.

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwałam, aczkolwiek bardzo typowa dla Jo Lynn. W naturze widziała wyłącznie jej walory dekoracyjne. Zamilkłam, deliberując w duchu, czy nalać sobie jeszcze jedną filiżankę? Nie. Trzy to za dużo, chociaż uwielbiam poranną kawę. Często powtarzam, że to mój jedyny prawdziwy nałóg.

Zaczęłam myśleć o Larrym. Wyszedł z domu przed ósmą na golfa z jakimiś ludźmi — chce z nimi ubić interes. Co się tyczy golfa, Larry jest właściwie jeszcze nowicjuszem. Wprawdzie grał trochę w college'u i podobno szło mu całkiem nieźle, jak twierdzi, ale potem musiał zrezygnować z braku pieniędzy i czasu. Teraz kiedy ma ich pod dostatkiem, a klienci i znajomi z branży raz po raz proponują mu partyjkę, od nowa chwycił za kije. Przy okazji przekonał się jednak, że ten golf to nie taki znów relaks, jak mu się kiedyś zdawało. Na przykład wczoraj wieczorem prawie przez godzinę ćwiczył zamach przed wielkim łożeniowym lustrem, próbując wykonać go z taką swobodą, jak to było dawnymi laty. „Już prawie, prawie”, odpowiadał na moje monity, że czekam na niego w łóżku. W końcu znudziło mi się to czekanie, pozwoliłam więc sobie zasnąć — w nastroju lekkiego zawodu wywołanego uczuciem niejasnych sensacji w dolnych partiach brzucha. Dziś, gdy się obudziłam, już go nie było. Narzuciłam na siebie krótki różowy bawełniany szlafrok i poszłam do kuchni. Tu zaparzyłam duży dzbanek kawy i zasiadłam przy stole z poranną gazetą. Larry przed wyjściem nie zapomniał przynieść jej z podwórza, dobre i to. Dziewczyny wciąż jeszcze spały. Michelle była wczoraj gdzieś z koleżankami i wróciła dobrze po północy. Kiedy wróciła Sara? Musiało być już tak późno, że nie usłyszałam.

Delektując się drugą filiżanką kawy, zabrałam się za lekturę recenzji ostatnich filmów, kiedy pojawiła się Jo Lynn. Zamiast powitania oświadczyła z miejsca, że jest w okropnym humorze; źle dzisiaj spała, ale to nie wszystko. Poprzedniego wieczoru facet, z którym umówiła się na randkę, były futbolista, a obecnie sprzedawca artykułów sportowych (powiedziała, że wygląda jak wypłowiały Brad Pitt), wystawił ją do wiatru, wymawiając się w ostatniej chwili bólem gardła, darciem w kościach i ogólnie złym samopoczuciem. Poszła więc sama do baru i kogóż tam zobaczyła, naturalnie zdrowego jak koń? Resztę możesz sobie dośpiewać, rzuciła pod moim adresem, nalewając sobie kawy.

Mimo nie przespanej nocy wyglądała wprost fantastycznie — jak zwykle zresztą — w krótkich białych szortach i malutkim topie z modną obrozą, który więcej odsłaniał, niż zakrywał. Sięgające ramion blond loki szesane miała na jedną stronę i było jej z tym kapitalnie. Uhm, wygląda jak świeżo bzyknięta, odparła na moją pochwalną uwagę. Choć niestety nikt jej nie przeleciał, dorzuciła cierpko. No to jest nas dwie, cisnęło mi się na usta, ale zmilczałam. Nigdy

jakoś nie mogłam się zdobyć na dyskusje o swoim życiu seksualnym, zwłaszcza z Jo Lynn. Raz dlatego, że nie wierzę w jej dyskrecję, a po wtóre, i to jest główny powód, o czym tu mówić? Od prawie ćwierć wieku żyję w związku monogamicznym, a dla mojej siostry monogamia to akurat tyle, co monotonia. Kiedyś próbowałam przekonywać ją, że nie ma racji, jednak od pewnego czasu dałam spokój. Odkąd moje słowa zaczęły brzmieć jakoś pusto — nawet dla mnie samej.

Jo Lynn dla odmiany zawsze była bardziej niż skłonna dzielić się ze mną sekretami swojej alkowy, ba, czyniła to nawet z dużym entuzjazmem. Szczegółowe relacje z coraz to nowych eskapad miłosnych płynęły jej wartkim potokiem, a uwagi, że życie seksualne jest sprawą bardzo intymną, którą każdy powinien zachować tylko dla siebie, najwyraźniej do niej nie trafiały. Próbowałam jej przypominać, że milczenie jest złotem, patrzyła wtedy na mnie, jakbym miała bzika, a gdy radziłam jej trochę przyhamować z seksem, bo złapie jakieś choróbko, naburmuszona odwracała oczy. Powiedziałam jej w końcu, żeby przestała paplać o tych sprawach, bo mnie one nie interesują. Parsknęła przeciągłym śmiechem: „Oczywiście, że cię interesują!”, oświadczyła kategorycznie, no i miała rację. „Przynajmniej nie mów o tym przy dziewczynach”. Akurat! Uwielbiała mieć audytorium, a wpływ, jaki wywierała na moje córki, sprawiał jej istną rozkosz. Obie ją wprost ubóstwiały, zwłaszcza Sara. Czasami jednolitym frontem wyśmiewały mój rzekomy konserwatyizm, grożąc, że pewnego dnia zaciągną mnie do udziału w jednym z tych kretyńskich talk-showów, które oglądały wspólnie w telewizji. „Dziewczyno, ty się musisz zmienić!”, wykrzykiwała Jo Lynn, parodiując przesadnie rozwlekły akcent Rolondy czy Ricki Lakę, podczas gdy Sara zginała się wpół ze śmiechu.

— Jest śliczny — mruknęła teraz Jo z twarzą tak głęboko skrytą za gazetą, że nie byłam pewna, czy dobrze słyszę.

— Mówiłaś coś?

— Jest naprawdę śliczny — powtórzyła tym razem wyraźniej. — Spójrz na jego twarz — mówiąc to rozpostarła gazetę na szklanym blacie okrągłego stołu. — Wyjdę za niego za męża.

Wlepiłam oczy w pierwszą stronę działu doniesień lokalnych, skąd w odpowiedzi spojrzęło na mnie trzech mężczyzn. Pierwszym był prezydent Stanów Zjednoczonych, obecny na Florydzie z okazji jakiejś konferencji z miejscową elitą polityczną, drugim katolicki duchowny, udzielający poparcia idei planowanego marszu o prawa gejów i lesbijek, trzecim niejaki Colin Friendly na sali sądowej w West Palm Beach, oskarżony — o ironio! mimo „przyjacielskiego” nazwiska — o zamordowanie trzynastu kobiet. Bałam się spytać Jo Lynn, którego z nich ma na myśli.

— Mówię serio — stuknęła długim pomarańczowym paznokciem w zdjęcie tego mordercy. — Tylko mu się przyjrzyj. Jest trochę podobny do Brada Pitta, nie uważasz?

— Raczej do Teda Bundy'ego — zakpiłam, choć naprawdę nie miałam pojęcia, jak wygląda ten jej wybranek. Bez okularów, które właśnie zdjęłam, wszystko w gazecie było dla mnie jedną rozmazaną plamą.

— Wkładaj okulary — zarządziła Jo Lynn, wciskając mi na nos oprawne w druty połówki. Czarno-białe rozproszone ziarna natychmiast wskoczyły na miejsce, tworząc spójną, wyrazistą całość. — No? Co teraz widzisz?

— Bezlitosnego mordercę. — Spróbowałam zdjąć okulary, lecz przytrzymała mi rękę.

— Gdzie jest powiedziane, że kogoś zabił?

— Jo Lynn, czytałaś tę gazetę, czy tylko oglądasz obrazki?

— Czytałam ten artykuł, ty mądralińska — warknęła i w jednej chwili stałyśmy się obie dziesięciolatkami.

— I nie ma tam ani słowa, że to morderca.

— Jo, ten człowiek zamordował co najmniej trzynaście kobiet.

— Postawiono mu taki zarzut, co wcale nie znaczy, że to zrobił. Od tego jest proces, żeby

dowieść winy. Popraw mnie, jeśli się mylę! — Otworzyłam usta w proteście, lecz po namyśle uznałam, że lepiej milczeć. — A co z zasadą „niewinny, póki wina nie zostanie udowodniona”? — Jo Lynn poszła za ciosem. Cóż, powinnam była przewidzieć, że tak będzie. Nie na nią takie metody jak dobrotliwe milczenie.

— Myślisz, że jest niewinny. — Zastosowałam teraz taktykę, której często używam wobec swych pacjentów. Zamiast się z nimi spierać, przekonywać, że nie mają racji, wysuwać mniej lub bardziej trafne argumenty, powtarzam po prostu ich słowa. Po co? Czasami taka powtórka pozwala zobaczyć te słowa jakby w lepszym świetle, kiedy indziej chcę pozostawić komuś czas do namysłu — może sam teraz dojdzie do innego wniosku? — lub wreszcie najzwyczajniej próbuję w ten sposób dać ludziom do zrozumienia, że słucham ich z wielką uwagą.

— Myślę, że to bardzo prawdopodobne — odparła Jo.

— Może być niewinny. Tylko popatrz na niego: jest piękny.

Niechętnie przyjrzałam się fotografii. Colin Friendly w otoczeniu swoich obrońców, dwóch mężczyzn bez twarzy konferujących o czymś za jego plecami, siedzi pochylony do przodu, wpatrując się pustym wzrokiem w nie zajęte miejsce dla świadków. Zobaczyłam człowieka trochę po trzydziestce o ciemnych włosach gładko szesanych z czoła i ładnie rzeźbionych rysach. W odmiennych okolicznościach mogłabym nawet uznać tę twarz za przystojną. Wiedziałam z innych jego fotografii, że ma ponad 180 centymetrów wzrostu i że jest szczupły, można powiedzieć, żylasty. O jego oczach pisano, że są niebieskie, określając je zawsze jako „przenikliwe” bądź „intensywnie” niebieskie, choć na dzisiejszym zdjęciu nic z tego nie było widać. Ale może trudno mi było ocenić go obiektywnie — już nawet wtedy.

— Nie sądzisz, że to fantastyczny facet? Pokręciłam głową.

— No wiesz, Kate! Wygląda przecież całkiem jak Brad Pitt, ma tylko ciemniejsze włosy i nos trochę dłuższy i cieńszy.

Jo Lynn, pomyślałam, ile ty masz lat? Skończone trzydzieści siedem i co? Przed chwilą paplałaś jak mała dziewczynka, a teraz zrobiła się z ciebie zadurzona nastolatka. Czy ty kiedy dorośniesz? Ja zresztą też. A może jesteśmy już na to za stare?

— No, może nie tak bardzo przypomina Brada Pitta

— zreflektowała się moja siostra — musisz jednak przyznać, że jest przystojny. I ma charyzmę. Tak, to jest właściwe słowo: charyzma. Przynajmniej tyle musisz mu przyznać!

— O kimś, kto torturował i uśmiercił trzysta kobiet, trudno mówić, że jest fantastyczny czy że ma charyzmę. Ja w każdym razie tego nie potrafię, bardzo mi przykro, Jo.

— Pomyślałam o swojej pacjentce, Donnie Lokash, której córka Amy zaginęła prawie rok temu. Biedna Amy może też być ofiarą tego potwora, choć jej ciała wciąż jeszcze nie odnaleziono.

— To są dwie różne rzeczy i powinnaś je umieć rozróżnić — pouczyła mnie Jo Lynn. Omal nie parsknęłam śmiechem, bo to ja zawsze jej to mówię. — Fakt, że jest przystojny, nie ma nic wspólnego z tym, czy zabił kogoś czy nie.

— Doprawdy?

— A tak. Te dwie sprawy nie mają żadnego związku. Wzruszyłam ramionami.

— Powiedz mi, co widzisz, gdy na niego patrzysz? — Naprawdę byłam ciekawa. — Poza tym że przypomina ci Brada Pitta.

— Małego skrzywdzonego chłopca — odparła uroczystym tonem. Zabrzmiało to całkiem szczerze.

— Małego skrzywdzonego chłopca — powtórzyłam jak echo. Przed oczami stanęła mi mała Jo Lynn kołysząca na swym gołym brzuszku zabłąkanego kociaka. Zaraziła się od niego liszajem. — Gdzie? Gdzie ty to widzisz?

Jaskrawopomarańczowy paznokciec powoli zakreślił kółeczko wokół ust mordercy.

— Ma smutny uśmiech.

Uważniej przyjrzałam się fotografii i z zaskoczeniem stwierdziłam, że to prawda.

— A to, że w takich okolicznościach potrafi się w ogóle uśmiechać, nie wydaje ci się dziwne?
— Chłopięca brawura — rzuciła z taką pewnością, jakby znała go całe życie. — Dla mnie to rozbrajające.

Począpałam do kontuaru nalać sobie kolejną filiżankę kawy. Naprawdę była mi potrzebna.

— Czy nie mogłybyśmy pomówić o czym innym?

Jo Lynn okręciła się na krześle, wyciągając ku mnie rękę z pustą filiżanką oraz swoje długie opalone nogi. Spomiędzy pasków jej białych sandałów błysnęły zadbane paznokcie w kolorze wściekłego oranżu.

— Chyba nie proponujesz mi tego serio!

— Jo Lynn, dajmy spokój...

— Co to znaczy „dajmy spokój”? Mamy nie mówić o tym, co jest dla mnie ważne?

Wlepiłam wzrok w filiżankę. Mój Boże, jak dobrze byłoby znaleźć się z powrotem w łóżku...

— Takie to dla ciebie ważne?

Usiadła prosto, chowając nogi pod krzesło. Nadaśana wydeła usta a la Brigitte Bardot, co wielu mężczyzn uważało za pociągające, podczas gdy na mnie działało jak płachta na byka.

— Owszem, bardzo ważne!

— No więc na jaki adres mam wysłać ci prezent ślubny? — spytałam, siląc się na lekki ton. Jo nawet się nie uśmiechnęła.

— Kpij sobie, pewnie! Dla ciebie jestem przecież jedną wielką kpiną!

Bardzo wolno pociągnęłam duży łyk kawy. Jedyne to, jak uznałam, nie groziło dalszymi przykrymi konsekwencjami.

— Daj spokój, Jo Lynn, co ci mam powiedzieć?

— Przestań robić te swoje cholerne uniki!

— Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że to robię.

— Na tym właśnie polega problem. Nigdy tego nie wiesz.

Nie miałam szczególnej ochoty wdawać się o tej porze w ocenę własnych niedostatków.

— Słuchaj, siostró, czy nie możemy uznać, że się nie zgadzamy, i na tym skończyć? Dzień jest taki piękny. Ja przynajmniej nie chcę go marnować na dyskusję o jakimś facecie, którego przecież nawet nie znasz.

— Właśnie zamierzam to zmienić.

— Co?

— Mam zamiar go poznać.

— Co takiego?

— Słyszałaś. Mam zamiar go poznać — powtórzyła krnąbrnie. — W przyszłym tygodniu wybieram się do sądu.

— Chcesz iść do sądu...

— Owszem, właśnie to powiedziałam. W poniedziałek.

— I co chcesz przez to uzyskać? — Zignorowałam odzywającymi się w głowie cichutki głos terapeutki: Milcz, niech sobie gada, aż się wygada, i zamiast zamknąć buzię, powiedziałam: — Nie pozwolę ci z nim rozmawiać.

— To się okaże.

— Nic z tego.

— No to usiądę w sali i będę na niego patrzeć. Będę tam dla niego.

— Będiesz tam dla niego — powtórzyłam tępo.

— W charakterze duchowego wsparcia. I przestań powtarzać każde moje słowo! To cholernie denerwujące.

Spróbowałam innego podejścia:

— Myślałam, że w poniedziałek idziesz szukać pracy.

— Tym zajmowałam się ostatnio całe dwa tygodnie. Zostawiłam podania we wszystkich możliwych miejscach.

— A czy zadzwoniłaś później chociaż w jedno miejsce? Przecież wiesz, trzeba o to zabiegać... okazać wytrwałość... — Dźwięk własnego głosu mierzył mnie całkiem tak samo jak moją siostrę, widziałam to po jej minie. — A potrafisz to robić, Bóg mi świadkiem...

— A może ja tego nie chcę? — odpaliła. — Może mam już dosyć tych ogłupiających posad za psie pieniądze u coraz to innego głupka? Może chcę uruchomić coś na własną rękę?

— Co konkretnie?

— Jeszcze się nie zdecydowałam. Może jakieś zajęcia gimnastyczne albo przechowalnię dla psów... Coś w tym rodzaju.

Przetrawiając tę enuncjację, z całych sił próbowałam zachować kamienny wyraz twarzy. Ona i gimnastyka! Jo Lynn, jak żyje, nie splamiła się uczestnictwem w żadnym z takich kursów. A przechowalnia? Mrzonki. Mieszka w bloku, gdzie nie wolno trzymać zwierząt.

— Ty oczywiście uważasz, że tego nie potrafię.

— Przeciwnie. Myślę, że potrafisz zrobić wszystko, cokolwiek sobie postanowisz — powiedziałam szczerze. W tej chwili to właśnie martwiło mnie najbardziej.

— Ale mój pomysł wydaje ci się głupi!

— Tego nie powiedziałam.

— Nie musiałaś. Masz to wypisane na twarzy. Odwróciłam się od niej i kątem oka uchwyciłam swoje

odbicie w ciemnym szkle piekarnika. Znów miała rację. Nawet w tej przydymionej tafli widać było, jak zbladłam, jak opadła mi szczęka. Okropność, jak ja wyglądałam, pomyślałam. No, prawda i to, że proste włosy zwisające mi do podbródka niczym żalosna garść wiotkich pakul urody mi nie dodają, a poranne wory pod oczami w ciągu dnia powinny skłęsnąć...

— Żeby otworzyć interes, musisz mieć pieniądze. — Po raz drugi zignorowałam ostrą interwencję profesjonalistki. Teraz już tłukła mnie pięścią w mózg.

— Pieniądze będę miała.

— Tak? A niby skąd i kiedy?

— Po śmierci mamy — oznajmiła Jo Lynn. Pomarańczowe usta wykrzywił jej taki sam smutny uśmiech jak u tego monstrum na zdjęciu.

Przez moment miałam uczucie, że serce przestaje mi bić. Co prędzej odstawiłam filiżankę, tak mocno drżała mi ręka. Przytrzymałam ją drugą.

— Jak ty możesz mówić coś takiego?

Znienacka wybuchnęła śmiechem. Zdawało mi się, że ten jej chichot zatacza nade mną ogromne koła niby gigantyczne lasso, które zaraz spadnie mi na szyję i bezlitośnie podciągnie pod sufit. Widziałam, jak tam wiszę półuduszona, rozpaczliwie wierzgając nogami.

— Wyluzuj się, kobieto. Nie znasz się na żartach?

— Taki podwójny żarcik, co? Żart do kwadratu — powiedziałam i zaraz ugryzłam się w język. Mawiała tak nasza matka.

— Nigdy nie rozumiałam, co to ma znaczyć — syknęła Jo z rozdrażnieniem.

— Drugie dno. Niby żartujesz, a w rzeczywistości mówisz serio.

— Wiem. Nie musisz mi aż tak tłumaczyć.

— A co do mamy — mówiłam dalej — to weź pod uwagę, że ma dopiero siedemdziesiąt pięć lat i jest w doskonałej formie. Na twoim miejscu nie liczyłabym tak bardzo na jej szybkie zejście.

— Nie liczyłam na nią nigdy i w niczym — warknęła.

— Skąd się to w tobie bierze?

Teraz z kolei ona wytrzeszczyła na mnie oczy — z jawnym niedowierzaniem.

— No tak, z tobą tak zawsze! Gdzieś ty była przez wszystkie te lata?

— Powiedz mi, Jo, jak długo jeszcze chcesz wywlekać te swoje żale? Jesteś już całkiem dorosła, nie uważasz? Do śmierci będziesz ją winić za coś, co zrobiła czy nie zrobiła przeszło dwadzieścia lat temu?

— A ty nie bagatelizuj tego, co zrobiła.

— Cóż ci takiego zrobiła? Może mi powiesz konkretnie! Potrząsnęła głową, odgarnęła z policzka kilka jasnych loków, na koniec szarpnęła za złote kółko zwisające jej z prawego ucha.

— Nic, zupełnie nic. Była idealną matką. Zapomnij o tym, co powiedziałam. — Po raz drugi potrząsnęła głową, przy czym loki opadły jej znów na policzek obłany nagle zdradzieckim rumieńcem. — Człowiek gada czasami, co mu ślina na język przyniesie. Jakiś diabeł w niego wstępuje czy co.

Tym mnie nie zwiódła.

— A tobie nigdy nie przyszło na myśl, że diablów nie ma?

W odpowiedzi wlepiła we mnie zwężone zielone oczy. Wargi miała tak zaciśnięte, jakby chciała się na mnie rzucić, zwalić z krzesła i przygwoździć do podłogi. Ale nie. Nieoczekiwanie twarz jej złagodniała i znów wybuchnęła śmiechem. Tym razem tak szczerym i serdecznym, że i ja mogłam się roześmiać.

— A wiesz, to było zabawne! — Nie rozumiałam, co ją tak śmieszy, wołałam jednak nie pytać. Przyjemniej było pławić się w ciepłej nagłej łaskawości.

Zadzwoił telefon: nasza matka, jak na zawołanie. Jakby знаła nasze najtajniejsze myśli.

— Powiedz jej, że właśnie o niej rozmawiamy — donośnie szepnęła Jo Lynn, wyraźnie licząc na to, że jej głos dotrze do uszu matki. Nie posłuchałam.

— Jak się masz, mamo? — Wyobraziłam ją sobie ze słuchawką w ręku. O tej porze jest już oczywiście starannie ubrana i uczesana, wokół wąskiej twarzy wiją się szpakowate, mocno skręcone loczki, brązowe oczy błyszczą oczekiwaniem tego, co przyniesie jej dzisiejszy dzień.

— Wspaniale, kochanie! — Jej wysoki głos zabrzmiał w całej kuchni. Jo Lynn bezgłośnie wymówiła wraz z nią to „wspaniale”. Matka zawsze tak odpowiada. — A ty, córeczko?

— Dobrze.

— A dziewczynki?

— Doskonale.

— Ja też! — zawołała Jo Lynn.

— O, Jo Lynn jest u ciebie?

— Uhm, wpadła na kawę.

— Uściskaj ją ode mnie.

— Nawzajem — rzuciła moja siostra bez krzty sentymentu.

— Dzwonię do ciebie, złotko — kontynuowała matka — bo nie mogę znaleźć tego doskonałego przepisu na kruchy placek botwinkowy, a coś mi się zdaje, że ci go dałam. Zanotowałaś go sobie, prawda?

— Placek botwinkowy? — powtórzyłam zdziwiona.

— Tak, nie pamiętasz? Upiekłam go dla was parę tygodni temu. Mówiłaś, że był przepyszny.

— Ach, placek brzoskwiniowy.

— No tak. A jak ja powiedziałam?

— Powiedziłaś... Mniejsza o to, nieważne. Poszukam i zadzwonię do ciebie później, dobrze?

— W słuchawce na moment zapadła cisza.

— Dobrze, tylko niech to nie trwa zbyt długo. — Czyżbym w głosie matki usłyszała nutę niepokoju? Znicierpliwienia?

— Mamo, czy coś się stało? — Na wszelki wypadek skrzyżowałam palce, co jak wiadomo, ma przeciwdziałać kłopotom. Proszę Cię, Boże, niech to nie będzie nic złego. Dzień i tak już zaczął tracić barwy, niebo robi się coraz bledsze... Błękit wycieka z niego jak

woda...

— Nie, nic — uspokoiła mnie spiesznie — tylko że pan Emerson, wiesz, ten mój sąsiad, pogniwał się na mnie i nie mam pojęcia o co. Od paru dni jest naprawdę strasznie

— Nieprzyjemny? To znaczy?... — Przywołałam przed oczy obraz jowialnego starszego pana. Trochę przygarbiony, lecz wciąż czarująco elegancki wobec kobiet. Na głowie biała, imponująco gęsta czupryna... Mieszka przez ścianę z moją matką już od dwóch lat, od czasu gdy została rezydentką Domu Pogodnej Jesieni w Palm Beach Lakes, ośrodka dla niezależnych seniorów, nie wymagających specjalnej opieki. Pan Emerson był jak dotąd wprost idealnym sąsiadem: życzliwym, uważającym, w pełni sprawnym fizycznie i umysłowo. Zbliża się jednak do dziewięćdziesiątki, a w tym wieku wszystko się może zdarzyć.

— Pomyślałam, że upiekę mu ten placek na znak pokoju — wyjaśniła matka — no i w żaden sposób nie mogę znaleźć przepisu.

— Poszukam go i zadzwonię, a na razie nie przejmuj się tym panem. Z czasem złość mu przejdzie.

— Oho, myślisz, że zostało mu aż tyle czasu? Parsknęłam śmiechem i właśnie miałam odłożyć słuchawkę, kiedy znów włączyła się Jo Lynn. Bardzo głośno.

— Powiedz matce, że wychodzę za męża!

— Co? Ona znowu wychodzi za męża?

— Będziesz go uwielbiać!

Co prędzej szepnęłam mamie, że to tylko żart.

Na twarzy Jo Lynn po raz drugi odmalowało się oburzenie: zacięła usta, oczy zwęziły jej się do rozmiarów szparek.

— Dlaczego to powiedziałaś? — zaatakowała mnie z furią. — Dlaczego ty zawsze starasz się ją chronić?

— A dlaczego ty zawsze starasz się ją zranić?

Przez chwilę długą jak wieczność patrzyłyśmy sobie w oczy, pozwalając pytaniom zawisnąć w powietrzu. Trwały tam niczym szare drobinki pyłu w jasnej smudze słońca. Miałam ochotę krzyknąć: Jo Lynn, u diabła, co ty wyprawiasz? Czyżbyś naprawdę mogła traktować serio ten makabryczny pomysł z Colinem Friendlym? Nie dość wycierpiałaś od brutali, od całej kolekcji egoistów, przegrańców, wulgarnych nieudaczników? Jeszcze cimało? Kogo ty próbujesz ukarać? Komu chcesz zrobić na złość?

— Co tu się dzieje? — dobiegł mnie czyjś senny głos. Do kuchni wtoczyła się Sara, boso, w granatowej jedwabnej tunice i boksyerskich szortach, ociążale kolebiąc rosnącym ciałem pięknej Amazonki. To moja tunika i szorty, uświadomiłam sobie nagle. Nic dziwnego, że ostatnio nie mogłam ich znaleźć. Moja latorośl z półprzymkniętymi oczami przesłoniętymi w dodatku masą długich skołtunionych włosów poruszała się całkiem jak ślepa, wycacując sobie drogę wyciągniętymi rękami. Bardzo kształtne ma te ramiona, pomyślałam mimo woli. Na oślep sięgnęła do lodówki, skąd wydobyła karton świeżo wyciśniętego soku z pomarańcz i łapczywie podniosła go do ust.

— Nie, Saro, bardzo cię proszę! — syknęłam ostrzegawczo, hamując się, żeby nie krzyknąć.

— Spoko — rzuciła we mnie jednym z tych ulubionych młodzieżowych powiedzonek. Tak ich nie znoszę, że najchętniej starłabym je doszczętnie z powierzchni ziemi. Drugie takie to „daj żyć”.

— W kredensie są szklanki.

Postawiła karton i ostentacyjnie szerokim gestem otworzyła kredens, upewniwszy się przedtem, że zauważyłam, z jakim lekceważeniem przewraca oczami.

— No więc co to za rejwach? Obudziły mnie wasze śmiechy.

Przez moment nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Śmiechy? Wydawało mi się, że od tej chwili upłynęły wieki.

— Twojej matce zdarzyło się powiedzieć coś zabawnego — oświadczyła Jo Lynn, redukując

mnie w mgnieniu oka do poziomu podstarzałego indywiduum bez krzty poczucia humoru. — Przepomnij mi, co to było.

— Nieważne — powiedziałam — a zresztą to nie był mój dowcip. Usłyszałam go w jakimś serialu.

— Ale co to za dowcip? — Sara napełniła sokiem wysoką szklankę, hałaśliwie wypła ją duszkiem, po czym karton i puste naczynie postawiła na kontuarze. Chrząknęłam znacząco:

— Do lodówki! A to — machnęłam ręką — do zmywarki.

Moja córka ospale trzasnęła dwiema parami drzwiczek, przy czym oczywiście nie omieszkała ponownie wznieść oczu w górę.

— Nie chcecie powiedzieć, to nie — mruknęła, przechodząc przez kuchnię. Po drodze wpadła jej w oko rozłożona na stole gazeta z prezydentem, duchownym i Colinem Friendlym.

— Śliczny — orzekła, kierując się z powrotem do swego pokoju.

— Zamierzam go poślubić! — krzyknęła za nią Jo

Lynn.

— Super — stwierdziła moja starsza córka.

ROZDZIAŁ 3

Nadszedł poniedziałek. Na wszystkie godziny od ósmej do szóstej z wyjątkiem czterdziestopięciominutowej przerwy na lunch miałam zapisanych pacjentów.

Mój gabinet, położony w samym centrum Palm Beach, zaledwie kilka przecznic od oceanu, składa się z dwóch małych pokoi i jeszcze mniejszej poczekalni. Ściany są blad różowe, poza tym dominuje szarość. W poczekalni po obu stronach dwóch wyściełanych ławek stoją duże wiklinowe kosze ze stosami świeżych tygodników. Zdecydowałam, że muszą być aktualne, odkąd zdarzył się pewien incydent. Oto do gabinetu weszła zalana łzami pacjentka i ściskając w rękę egzemplarz „Newsweeka”, zapytała urywanym głosem, czy wiem, że Steve McQueen na raka. Steve McQueen w tym momencie nie żył już od wielu lat.

Na ścianach poczekalni wisi dość eklektyczna kolekcja obrazków: czarno-biała fotka białej niedźwiedzicy z młodym w potężnych ramionach, stonowana akwarelka przedstawiająca kobietę, która czyta coś w cieniu wielkiego figowca, kolorowa reprodukcja słynnego plakatu Toulou-se-Lautreca: Jane Avril z nogą uniesioną w tańcu. Ni na chwilę nie milkną przyciszone dźwięki muzyki klasycznej, które jak mam nadzieję, tłumią jednak trochę podniesione głosy docierające tu nieraz zza zamkniętych drzwi gabinetu.

W gabinecie stoi niski prostokątny stolik, a przy nim trzy wyściełane krzesła obite tkaniną w szaro-białe wzory; krzesel w razie potrzeby można donieść więcej. Jest tu kilka roślin doniczkowych, które wyglądają jak żywe, ale to tylko złudzenie; zupełnie nie mam ręki do kwiatów i przykro mi było patrzeć, jak te prawdziwe schną i umierają. A poza tym, traktując rzecz symbolicznie, takie marniejące rośliny nie najlepiej świadczyły o moich umiejętnościach: ładna mi terapeutka.

Na stoliku mam zawsze małą puszkę drobnych ciasteczek, swój wielki notatnik i ogromne pudło papierowych chustek. W kącie pokoju zainstalowana jest kamera wideo: czasami rejestruję sesje, oczywiście za zgodą pacjentów. Na ścianie, tej za moją głową, wisi zegar oraz kilka reprodukcji wielkich impresjonistów: rozżarzone jak żagwie nenufary Moneta, spokojna wioska Pissarra, rumiano-lica dziewczyna na huśtawce Renoira.

W drugim pokoju na tyłach stoi moje biurko, telefon, kartoteki, mała lodówka, kilka składanych krzesel oraz mechaniczny deptak. Dla mnie to urządzenie jest najlepszym symbolem dzisiejszych zwariowanych czasów: ludzie pędzą co sił — donikąd! Mimo to z wyjątkowym samozaparciem aplikuję sobie tę zaiste piekielną pokutę, starając się, by trwała przynajmniej dwadzieścia minut dziennie. Podobno działa to relaksująco na umysł, wzmacniając zarazem mięśnie. Może. Mnie to wyłącznie irytuje. No ale ostatnio wszystko mnie irytuje. Winie o to swoje hormony, które jak czytam w babskich tygodnikach, znajdują się obecnie w stanie permanentnej turbulencji. Te artykuły też mnie irytują. Na towarzyszących im ilustracjach „kobiety w pewnym wieku”, jak mówią Francuzi, przedstawiane są z reguły jako nagie, uschnięte gałęzie ongiś pięknie kwitnącego drzewa. Śliczna metafora. I to ma poprawić mi nastrój?

W dodatku był poniedziałek i mnóstwo pacjentów, bez chwili przerwy. W trakcie ostatniej już sesji przed lunchem w żołądku burczało mi z głodu. Siedzące naprzeciw małżeństwo przyszło po poradę w sprawie syna, najtrudniejszego chyba i najbardziej ponurego czternastolatka, z jakim dotąd miałam do czynienia. Po dwóch sesjach odmówił dalszych wizyt, choć rodzice stawali na głowie, by nakłonić go do zmiany zdania; usilnie starali się przy tym wynegocjować kompromis możliwy do przyjęcia przez wszystkich zainteresowanych. Kompromis jednak możliwy jest tylko wtedy, gdy obie strony konfliktu skłonne są iść na ustępstwa, synalek tymczasem przejawiał jedynie skłonności czysto destrukcyjne.

— No i znowu wymknął się z domu, gdy oboje z mężem poszliśmy spać — jęknęła pani Mallory; jej małżonek sztywno siedział obok. — Gdyby nie to, że zbudziłam się w środku nocy, żeby pójść do łazienki, nawet byśmy nie wiedzieli, że go nie ma. No ale idę i widzę, że w

pokoju Jasona pali się światło. Wchodzę i oczom nie wierzę: pościel tak ułożona, jakby to on leżał w łóżku. Mówię pani, zupełnie jak w tych więziennych filmach... Wrócił dopiero koło trzeciej rano.

— Powiedział państwu, gdzie był?

— Nie.

— Jak państwo zareagowali?

— Próbowaliśmy mu uświadomić, jak bardzo byliśmy zaniepokojeni...

— Ona była — zwięźle sprostował mąż.

— A pan nie?

Jerry Mallory pokręcił łysiejącą głową. Był schludnym mężczyzną, wyraźnie dbałym o ubiór — granatowy garnitur, krawat w złote paski — w przeciwieństwie do swojej żony, która zawsze sprawiała wrażenie, jakby wrzuciła na siebie pierwszą dosłownie rzecz, jaka wypadła z suszarki.

— Martwię się tylko o jedno — oznajmił. — Że kiedyś otworzę drzwi i zobaczę w progu policjanta.

— Naprawdę już nie wiem, co począć. — Jill Mallory spojrzała na mnie, by następnie przenieść wzrok na męża, który twardo patrzył gdzieś w przestrzeń. — Zrobił się ze mnie istny kłębek nerwów. Nie sypiam, krzyczę na wszystkich. O, dzisiaj rano znów zbesztalam moją małą Jenny. Po chwili udało mi się zreflektować. Wytlumaczyłam córce, że wprawdzie ostatnio często na nią krzyczę, ale to nie znaczy, że jej nie kocham.

— Udzieliła sobie pani tym samym pozwolenia na dalsze ruganie małej — zwróciłam jej uwagę najłagodniej, jak mogłam.

Jill, Jerry, Jenny, Jason, wyrecytowałam w myślach imiona całej rodziny — wszystkie na literę „J”. Specjalnie? No i Jo, moja siostra, też na „J”. Złapałam się na tym, że błędzę przy niej myślami. Siedzi teraz pewnie w zatłoczonej sali sądowej... A może nie, może jakimś cudem zwyciężył w niej zdrowy rozsądek? Oby tak było.

— Czy nie można zmusić Jasona, żeby się poddał terapii? — spytała Jill Mallory. — Może by psychiatra...

Wyjaśniłam krótko, że nie jest to dobry pomysł. Nastolatki, generalnie biorąc, nie odnoszą większego pożytku z terapii. Po pierwsze, nie potrafią wejrzeć w siebie i powiedzieć, dlaczego robią to czy tamto, po drugie, odpowiedź na to pytanie kompletnie ich nie interesuje.

Godzina wreszcie minęła. Pożegnawszy Mallorych, przeszłam do drugiego pokoju, gdzie natychmiast porwałam kanapkę z tuńczykiem czekającą na mnie w lodówce i wzięłam się za przesłuchiwanie poczty głosowej z dzisiejszego przedpołudnia. Aparat zarejestrował dwukrotne odłożenie słuchawki oraz siedem połączeń. Dzwoniły trzy osoby w sprawie wizyt, dyrektor pedagogiczny szkoły, do której uczęszcza Sara, z prośbą o telefon w dogodnym dla mnie terminie, dwa razy moja matka — „oddzwoń jak najszybciej” — i raz Jo Lynn. Poinformowała mnie, że całe przedpołudnie spędziła w sądzie, że Colin Friendly jest jeszcze przystojniejszy niż na fotografii i że ona, Jo Lynn, wierzy w jego niewinność. Ja także powinnam się o tym przekonać, oświadczyła, dlatego w środę muszę z nią pójść do sądu. Środa to mój dzień wolny od przyjęć. Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam do matki. Zaniepokoił mnie ton jej głosu: wydawała się dziwnie rozgorączkowana. Nigdy dotąd tak nie było.

— Gdzie ty się podziewasz? Dzwonię całe rano i za każdym razem zgłasza się tylko ta głupia maszyna!

— Coś się stało, mamó? O co chodzi?

— O tego przekłętego Emersona!

— Co ci znowu zrobił?

— Wyobraź sobie, oskarżył mnie o próbę otrucia! Tym ciastem brzoskwińowym, które mu upiekłam. Twierdzi, że całą noc wymiotował. Boże, jaka jestem zdenerwowana! Wszystkim opowiada, że chciałam go otruć!

— Współczuję ci, mamó, och, to rzeczywiście przykre, tym bardziej że zadałaś sobie tyle trudu. — Wyobraziłam sobie, jak pochyłona nad kuchenną ladą układa na cieście równiutkie rządki drobno pokrojonych brzoskwiń. — Ale staraj się tym nie przejmować. Nikt przecież nie potraktuje serio tego rodzaju oskarżeń.

— A mogłabyś pogadać z panią Winchell? — Pani Winchell to kierowniczką ośrodka. — Ja nie mogę, jestem zbyt zdenerwowana, ale ty, gdybyś ty jej wytłumaczyła...

— Ależ mamó, myślę, że to całkiem niepotrzebne.

— Proszę cię, Kate! — W jej głosie znowu pojawiła się ta dziwna nuta nalegania.

— Dobrze, zadzwonię. Podaj mi jej numer.

— Jej numer?

— Nieważne, sama znajdę. — Pomyślałam, że matka nie ma teraz głowy do takich detali.

— Zadzwonisz zaraz?

— Jak tylko znajdę wolną chwilę.

— Dziękuję, kochanie, i przepraszam, że jestem ci takim ciężarem.

— Nie jesteś żadnym ciężarem. Zadzwonię do ciebie później, pa na razie! — Szybko przelknęłam kawałek kanapki i zaczęłam kartkować notes w poszukiwaniu numeru pani Winchell. Nie, postanowiłam, najpierw zadzwonię do szkoły.

Dyrektor pedagogiczny odezwał się akurat w chwili, gdy wielki kawałek tuńczyka przyłgnął mi do podniebienia.

— Sara systematycznie opuszcza lekcje — powiedział bez wstępu. — W ciągu ostatnich dwóch tygodni cztery godziny matematyki i dwie hiszpańskiego.

Boże, pomyślałam, i znów to samo. Czyż nie przerabialiśmy już tego w zeszłym roku?

— Porozmawiam z córką — wykrztusiłam z uczuciem totalnej klęski, choć przecież to nie ja zawiniłam, tylko Sara. Ten argument wcale nie rozwiął jednak mego poczucia winy. Ładny ze mnie doradca rodzinny, czyniłam sobie wyrzuty, przelkując resztę kanapki. Nawet to źle mi poszło — przepychała się do żołądka jak ciężki, niezdarny toból.

Zadzwoniłam do pani Winchell, w kilku słowach wyjaśniłam powód, dla którego ją niepokoję, po czym uprzejmie spytałam, czy nie zechciałaby pomówić z panem Emersonem. Być może, zauważyłam delikatnie, staruszek osiągnął tę fazę życiową, w której ludziom potrzebny jest ściślejszy nadzór. Może należałoby mu znaleźć inne miejsce? Po moich słowach w słuchawce zapadła cisza. Nie wiedzieć czemu, złapałam się na tym, że wstrzymuję oddech.

— To nie takie proste — zaczęła pani Winchell i urwała. Próbowałam wyobrazić ją sobie na drugim końcu przewodu, ale jakoś nie mogłam się skupić... przez to przydługie milczenie. Minęło kilka sekund, nim jej wizerunek nabrał kształtów. Gdy to się stało, zobaczyłam kobietę o dziesięć lat starszą ode mnie, o hebanowej skórze, czarnych krótkich włosach i ujmującym uśmiechu. W sumie ładną pomimo cofniętego dość mocno podbródka.

— Prawdę mówiąc, sama miałam zamiar do pani zadzwonić

— powiedziała wreszcie.

— Jakiś problem? — podjęłam bez entuzjazmu.

— Mieliśmy kilka skarg — oznajmiła z wolna — od naszych pensjonariuszy.

— Skarg? — powtórzyłam. — Na pana Emersona?

— Na pani matkę.

— Na moją matkę? — Nastąpiła długa pauza, po której padły powściągliwe słowa:

— W ostatnich paru miesiącach mamy z nią pewne kłopoty...

— Jakiego rodzaju?

Znów cisza. Pani Winchell najwidoczniej była osobą, która dopiero wtedy otwiera usta, gdy dokładnie wie, co powiedzieć. Podziwiam tę cechę u innych, bo to bardzo cenna umiejętność, sama jednak wciąż jeszcze nie zdołałam jej opanować w stopniu zadowalającym. Korzystając z przedłużającej się przerwy w rozmowie, zerknęłam na zegarek, a potem na rozkład dzisiejszych wizyt. Przy godzinie pierwszej figurowało nazwisko Donny Lokash.

— Wiadomo pani zapewne, że pani matka uwielbia wypiekać ciasta...

— Wiem, oczywiście. Robi to wspaniale. Pani Winchell zignorowała mój wręt.

— Ma też przemiły zwyczaj — mówiła dalej — obdarowywania nimi sąsiadów i innych swoich znajomych.

Do rzeczy, miałam ochotę krzyknąć. Nie zrobiłam tego oczywiście. Wypatrzyłam na biurku jakieś zabłąkane ciastko i wsadziłam je sobie do ust.

— Niestety, po paru ostatnich ciastach wszyscy obdarowani ciężko chorowali...

Ze zdumienia zrobiłam zeza — spojrzenia obojga oczu zbiegły mi się na czubku nosa. Na Boga, co ta kobieta usiłuje mi powiedzieć? Że moja matka rozmyślnie truje ludzi?

— Nie bardzo rozumiem, do czego pani zmierza — rzuciłam ostro.

Znów ta przedłużająca się cisza. Wprost widziałam, jak moja rozmówczyni rozgląda się po swoim biurze, poprawia czarne, mocno skręcone loczki, przeciąga ręką po nosie...

— Najprawdopodobniej rzecz w tym, iż żołądki wiekowych osób nie są już w stanie strawić takiej ilości tłuszczu i innych ciężkich ingrediencji — wysunęła uprzejmą sugestię. — Mimo to uważam, że powinna pani poprosić matkę, aby na razie zaprzestała wypieków dla naszych pensjonariuszy.

Mój Boże, jak ja jej to powiem? Wyobraziłam sobie twarz matki, kiedy jej przekażę owo polecenie, i od tego widoku zakłuło mnie w sercu.

— Dobrze, pomówię z matką.

— Jest coś jeszcze... — Wstrzymałam oddech. — Chodzi o skargi pani matki na jednego z członków naszego personelu.

— Przepraszam panią, nie rozumiem!

— Nic pani nie mówiła?

Pokręciłam głową i zaraz uświadomiłam sobie, że przecież tego nie widać.

— Nie, ani słowa.

— Myślę, że to sprawa zbyt skomplikowana, aby ją omawiać przez telefon. Najlepiej byłoby się spotkać, pani, pani matka i ja. Proponuję zrobić to szybko. Och, zdaje się, że pani ma siostrę?

W mózgu przewinęła mi się taśma z nagraniem głosem Jo Lynn: „Kate, musisz koniecznie zobaczyć tego człowieka. Jest jeszcze przystojniejszy niż na fotografii. Teraz już jego niewinność nie ulega dla mnie wątpliwości.”

— Owszem, mam siostrę.

— Moim zdaniem i ona powinna wziąć udział w naszym spotkaniu. Mam nadzieję, że wspólnie dojdziemy do sedna rzeczy...

Moja matka, Jo Lynn i ja... Jo Lynn siedzi teraz w sądzie w charakterze podpory duchowej... Pewnie zrezygnowała z lunchu, aby zająć sobie miejsce jak najbliżej oskarżonego na popołudniowe posiedzenie sądu... Ubrana jest jak zwykle na biało dla uwydatnienia swej pięknej karnacji w odcieniu złotego miodu. Króciutka spódniczka w całej okazałości ukazuje jej długie nogi. Nie wspominając o górze, najmniejszej spośród minimalnych. Nie sposób, żeby Colin Friendly mógł nie zauważyć kogoś takiego jak Jo Lynn Baker. Już ona się o to postara.

— Jedynym moim wolnym dniem w tygodniu jest środa — poinformowałam szefową ośrodka. Jak, u licha, mam namówić Jo, żeby tam ze mną poszła?

— Może więc w środę o drugiej? — skwapliwie zaproponowała pani Winchell.

— Doskonale.

— A zatem czekam na panie.

Moja rozmówczyni odłożyła słuchawkę, ja natomiast jeszcze przez długą chwilę trzymałam swoją przy uchu. Co tam się dzieje, na litość boską? Matka nie jest przecież osobą kłopotliwą... Nigdy się też nie skarżyła, nawet gdy miała ku temu powody. Latami bez słowa znosiła brutalność swojego męża, starając się to ukryć przede mną i Jo Lynn. Próbowwała nas chronić, mimo że obie od dawna znałyśmy już sytuację. Czy robi to i teraz? Nadal nas osłania?

Potrząsnęłam głową, mimo woli pozwalając Sarze skrytej dotąd gdzieś głęboko w odległych zakątkach umysłu wypłynąć teraz nagle na powierzchnię. Matka chyba do śmierci nie przestaje chronić swego dziecka.

Załatwiłam resztę telefonów, szybko zmieniłam niebieską suknię i płaskie czółenka na swój treningowy ubiór — szary dres i trampki — i karnie wkroczyłam na deptak. Stopniowo zwiększając szybkość urządzenia, dreptałam coraz raźniej, aż osiągnęłam prędkość siedmiu kilometrów na godzinę. Maszerowałam jak automat, kołysząc rękami w rytm kroków, z głową nareszcie wolną — co za ulga! — od wszelkich problemów i myśli. Nie trwało to jednak długo; już po chwili rodzina znalazła się przy mnie. Z nicości jęły nagle wyskakiwać obrazy mych bliskich, czepiać się mych nóg i ramion niby ciężkie metalowe odważniki... Hamowały mnie w marszu, bezlitośnie ciągnęły w dół...

Dajcie mi spokój, upomniałam natrętne zjawy, usiłując je z siebie strząsnąć. Nie teraz. To jest mój czas, tylko mój. Tych kilka chwil pozwala mi się wyprostować, nabrać sił, odprężyć. Waszymi problemami zajmę się później. Lecz zamiast zblednąć i zniknąć, twarze moich bliskich stawały się coraz wyrazistsze, a oni sami coraz śmielsi i bardziej nachalni. Jak duch z butelki tuż przed nosem zmaterializowała mi się matka, by natychmiast schwycić mnie w uścisk, od którego zaczęłam się dusić. Moja córka tymczasem jednym susem wskoczyła mi na plecy, oplatając nogami talię, a rękami szyję, jak wtedy gdy miała dwa latka. Wzięły mnie obie jak w kleszcze — prawie straciłam oddech. Dlaczego Sara wagaruje? Co dzieje się z matką? I dlaczego, do licha, mają to być moje problemy? Z jakiej to racji ja nagle staję się ich ośrodkiem?

Na moją pomoc nie licz, syknęła Jo Lynn, uczepiona oburącz mych kostek; doznałam wrażenia, że brodzę w głębokich zaspach. Dla mnie nigdy nie miałaś czasu, więc i ja nie będę ci pomagać.

Nieprawda, jestem przy tobie zawsze i wszędzie! Oburzona kopnęłam jej wizerunek, omal nie przewracając się o własne stopy. Kto stał przy tobie za czasów małżeństwa z Andrew, z Danielem, Peterem, za czasów wszystkich tych brutalnych osobników, którzy systematycznie łamali ci kości, pustoszyli twoją psychikę?

No owszem, ale ostatnio? Cóż takiego dla mnie zrobiłaś?, spytała ostro, jeszcze mocniej zaciskając uchwyt.

Nie zajmuj się nią, sarknęła moja córka.

Zajmiesz się nią później, matka.

Najpierw mną, Sara.

Nie, to mną wpierw się zajmij!

Ja jestem ważniejsza!

Ja, mną, mną, ja!

Zamknęłam oczy. Klatkę piersiową coraz silniej ścisnął mi niepokój. Tak pewnie czuje się człowiek ubrany w kaftan bezpieczeństwa. „To mój czas”, powiedziałam głośno. „Mówiłam już, że zajmę się wami później”. Niepokój nagle się rozwiął. Wzięłam głęboki oddech. No i widzisz, uśmiechnęłam się do siebie, czasami by odegnąć dokuczliwe myśli, wystarczy po prostu głośno je wypowiedzieć. Niestety, prawie natychmiast miejsce niepokoju zajęło gorąco, czy ściśle mówiąc, fala takiego żaru, jakby ktoś mi do mózgu przykładał pochodnię. Góra mego dresu zwilgotniała od potu, na czole osiadła mi rosa, mokre kosmyki włosów przylepiły się do policzków. „Wspaniale! Tylko tego mi brakowało!” — rzuciłam z furją. Przyhamowałam deptak — zbyt szybko! — i omal się nie przewróciłam.

Uchwyciwszy się ręką biurka, wyciągnęłam z lodówki puszkę jakiegoś napoju i przyłożyłam ją sobie do czoła. Stałam tak, dopóty pokój nie przestał wirować mi w oczach. Uczucie gorąca powoli słabło, aż znikło. Spojrzałam na zegarek: dochodziło piętnaście po pierwszej, a ja ciągle jeszcze byłam w dresie. Zerknęłam do poczekalni — pusto, Donna Lokash jeszcze nie przyszła. Byłam jej za to wdzięczna, lecz zarazem trochę niespokojna: Donna nie miała zwyczaju się

spóźniać.

Zdejmowałam właśnie bluzę od dresu, miałam ją gdzieś na uszach, kiedy zadzwonił telefon. Cisnęłam bluzę na podłogę i w samej tylko bieliźnie podniosłam słuchawkę.

— Kate, bardzo cię przepraszam — wyjąkała Donna głosem nabrzmiałym łzami. — Już wychodziłam z domu, kiedy... kiedy zadzwonili.

— Co się stało? Chodzi o Amy?... — Amy, córka Donny, zaginęła prawie przed rokiem. Sprawa ta interesowała mnie szczególnie, ponieważ Amy uczęszczała do tej samej szkoły co Sara, chodziły nawet razem na wykłady z niektórych przedmiotów. Donna Lokash po raz pierwszy zjawiała się u mnie w siedem miesięcy po zniknięciu córki. Trzymając się ręką futryny, szepnęła, że pamięta mnie z wywiadówki. Była strasznie szczupła, a oczy tak zapuchnięte miała od płaczu, że prawie nie było ich widać, przez co jej wąska wymizerowana twarz wydawała się jeszcze węższa. Powiedziała, że potrzebna jej pomoc. Sama nie daje rady.

— Dzwonili z policji. Znalezione ciało. To... to może być Amy.

— Mój Boże!

— Kazali mi przyjechać do biura koronera. Wysyłają po mnie samochód. Mam przywieźć kogoś z sobą, kogoś bliskiego. Nie wiem, co robić...

Wiedziałałam, że po zniknięciu Amy Donna odsunęła się od przyjaciół, a jej eksmałżonek mieszka w Nowym Jorku. Zjawił się wprawdzie w Palm Beach na wieść o tym, co stało się z córką, lecz po kilku tygodniach wyjechał. Cóż, założył nową rodzinę, o którą musi się troszczyć. Donna nie miała nikogo.

— Chcesz, żebym z tobą pojechała?

— Byłabyś tak dobra? — Jej wdzięczność była tak wielka, że zdawała się namacalna; mogłabym wziąć ją do ręki. — Ale wiesz, trzeba by jechać zaraz, to znaczy, musiałabyś odwołać wszystkie dzisiejsze wizyty. Ja... zapłaciłabym oczywiście za twój czas i fatywę. Bez tego nie ośmieliłabym się...

— Bardzo cię proszę, Donna, o to się nie martw. Mam dziś dzień raczej ulgowy — skłamałam, przekreślając niewidzialnym iksem wszystkie zobowiązania. — Powiedz mi, gdzie się spotkamy?

— W biurze koronera na Gun Club Road. To na zachód od kongresu. Naprzeciw więzienia.

— Już wychodzę. — Co prędzej zadzwoniłam do kilku pacjentów, by umówić się na inny termin. Tym, z którymi nie udało mi się nawiązać kontaktu, zostawiłam karteczkę z przeprosinami przypiętą do drzwi gabinetu. Co uczyniwszy, ruszyłam w stronę kostnicy.

ROZDZIAŁ 4

Po dwudziestu minutach dotarłam na miejsce. Okręgowy Zespół Karno-Kryminalny hrabstwa Palm Beach mógł imponować wielkością. Za obszernym podjazdem zobaczyłam szeregi budynków, wszystkie w kolorze piasku, mieszczących liczne instytucje wymiaru sprawiedliwości, takie jak biuro szeryfa, rozmaite służby administracyjne, wreszcie usytuowane na tyłach więzienie: wysoką, górującą nad całym kompleksem budowlę, popularnie zwaną „Hiltonem przy Gun Club”. Gdyby nie rzędy ponurych drutów kolczastych nad bramami owego Hiltona, całość z powodzeniem mogłaby uchodzić za siedzibę jakiegokolwiek „zwykłej” instytucji, jak choćby widoczny naprzeciwko Okręgowy Zarząd Gospodarki Wodnej obejmujący swoją działalnością dystrykt Florydy Południowej.

Biuro koronera, przysadzisty parterowy budynek, pierwszy od ulicy, sprawiało wrażenie czegoś niezbyt pasującego do reszty. Jak stara izba lekcyjna doczepiona do ultranowoczesnej szkoły, wprawdzie niezbędna, niekoniecznie jednak pożądana. Znalazłam miejsce do zaparkowania, wyłączyłam silnik i nie wysiadając z samochodu, zapatrzyłam się w tafłę pobliskiego stawu ciągnącego się wzdłuż pobocza. Myślami byłam już jednak gdzie indziej. Znajdowałam się w sterylnym pomieszczeniu przesiąkniętym lekką, niesprecyzowaną wonią jakichś chemikaliów. Stałam tam o krok za Donną, trzymając ją za ramiona, starannie uciekając wzrokiem przed tym, co miało nastąpić. Gdy koroner odsunął białe prześcieradło z wąskiej stalowej palety, odsłaniając pokrytą szarym nalotem twarz kilkunastoletniej dziewczyny, być może jej córki, usłyszałam krzyk Donny i mocniej uchwyciłam chwiejące się ciało... Poczulałam, że bezwładnie osuwa mi się w ramiona... Potworny ciężar jej bólu zdławił mnie jak poduszka przyciśnięta zniecka do twarzy. Powietrza! Straciłam oddech. Nie dam rady, nie mogę, pomyślałam.

Skoro Donna może, to ty także, ofuknęłam się w duchu. Wygramoliłam się z auta i szybko ruszyłam betonowym chodnikiem w stronę bocznego wejścia. Po drodze dopadła mnie kolejna, jeszcze straszniejsza wizja: spod prześcieradła wylania się martwe ciało mego własnego dziecka. „S ar a”, sapnęłam głośno, łapiąc powietrze jak ryba. Usłyszałam ostre kwaknięcie i koszmarny obraz rozprysnął się na kawałki jak szkło przeszyte pociskiem. Rzuciłam okiem w tę stronę, skąd dobiegł mnie dziwny dźwięk, i obok węgła budynku, prawie przy samych drzwiach, zobaczyłam dużą piźmową kaczkę z gromadką świeżo wyklutych piskląt. Zdumiona tym nieoczekiwanym zgoła widokiem — w takim miejscu! — nie śmiałam podejść zbyt blisko, żeby nie wystraszyć kacząt, no i nie narazić się ich matce. Przyglądałam im się przez chwilę, dumając nad cudem życia, jego kruchością i siłą przetrwania, po czym wzięłam głęboki oddech i nacisnęłam klamkę. Za tymi drzwiami leżała

kraina śmierci.

W niewielkiej białej poczekalni zobaczyłam Donnę Lokash siedzącą pod betonową ścianą na zimnym stalowym krześle z obiciem ze śliskiej skóry. Drugie zajmował jakiś policjant w cywilu. Donna wydała mi się jeszcze chudsza, niż gdy widziałam ją ostatnim razem, a cienie pod parą jej piwnych zamglonych oczu pogłębiły się mocno, tworząc wielkie ciemne półkole. Ciasny kucyk z brązowych, gładko zaczesanych włosów nie był u niej świadectwem ulegania nakazom mody; takie uczesanie wymagało po prostu minimum zachodu. Spojrzałam na jej palce: miejsca wokół paznokci były zaczerwienione i spuchnięte, a same paznokcie ogryzione do żywego ciała. Na mój widok zerwała się z krzesła i wybiegła mi na spotkanie.

— Widziałaś te kaczątka? — W jej pozornie trzpiotowatym głosie rozpoznałam nutę hysterii.

— Widziałam.

— To dobry znak, nie uważasz?

— Miejmy nadzieję. Jak się czujesz? Obrzuciwszy niepewnym spojrzeniem ściany, szepnęła:

— Trochę mnie mdli.

— Oddychaj głęboko. — Sama też bezzwłocznie zastosowałam się do własnej rady.

Podszedł do nas ten nie umundurowany funkcjonariusz. Był to rudawy blondyn średniego

wzrostu o baryłkowatej klatce piersiowej.

— Pani Sinclair — powiedział, wyciągając rękę — proszę pozwolić, że się przedstawię: inspektor Gatlin. Bardzo dziękuję za przybycie.

— Co teraz? — spytałam, skinąwszy głową.

— Zawiadomię, że panie już są.

— A potem? Mam zostać tutaj czy wejść tam — wskazałam gestem pokój od podwórza — razem z panią Lokash?

— Tam nie wpuszczamy nikogo — oświadczył inspektor Gatlin.

— Nie rozumiem...

— Widzi pani, to nie odbywa się tak jak w filmach — wyjaśnił łagodnie. — My nie pozwalamy nikomu z zewnątrz oglądać ofiar. Owszem, jest w kraju kilka nowoczesnych budynków wyposażonych w specjalne pomieszczenia, wie pani, ładnie urządzone pokoje, przyćmione światło, skąd można przez szybę zobaczyć ciało. Ale ten budynek jest stary i ciasny. Nie mamy tu ani miejsca, ani potrzebnych urządzeń.

— Więc jak?... — urwałam, przygryzając dolną wargę.

— Zaraz przyniosą nam zdjęcie.

— Zdjęcie?

— Nie pozwolą mi zobaczyć mego dziecka — jęknęła

Donna.

— Przecież jeszcze nie wiemy, czy to Amy.

— Nie pozwolą mi nawet spojrzeć na fotografię — mówiła dalej jak w transie, jakby wcale mnie nie słyszała. Zaciśnęła usta drżącą dłońią. Widziałam, że chce jej się krzyknąć.

— Jak to: nie pozwolą?

— Najbliższym członkom rodziny nie pokazujemy fotografii — rzeczowo oznajmił inspektor. — Taki widok wywołuje silny wstrząs. Dlatego zawsze prosimy o sprowadzenie kogoś, kto znał zmarłego... Księdza, przyjaciela domu...

— Ale ja nie znałam Amy! — Przeraziła mnie nagła świadomość, że to ja mam zidentyfikować ciało. — To znaczy... Widziałam ją zaledwie parę razy i nie wiem, nie jestem pewna, czy...

— Nie wiedziałam, że mi nie pozwolą... — załkała Donna, kołyszając się z palców na pięty jak mechaniczna lalka. — I co teraz? Mój Boże, nie mam pojęcia, co robić! Nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić... Och, Kate, wybaczone, proszę, że cię tu ściągnęłam. Tak strasznie mi przykro! Nie wiedziałam, naprawdę nie wiedziałam...

— Obejrzę to zdjęcie — co szybciej weszłam jej w słowo, przypominając sobie rodzinne albumy Donny, które przynosiła do gabinetu. Godzinami wspólnie oglądałyśmy fotografie. Była tam Amy jako mały jasnowłosy bobas, Amy jako tłuściutka dziewczuszka, Amy ze świadectwem pierwszej klasy, ubrana w luźną sukienkę, z długimi ciemno-blond lokami wokół uśmiechniętej buzi (miała w policzkach urocze dołeczki), Amy z oczami jak gwiazdki w siedemnastą rocznicę urodzin, zaledwie kilka tygodni przed zaginięciem... Chwycałam Donnę za rękę i mocno ją uściskałam. — Nie martw się, powinnam ją rozpoznać.

Gatlin skinął głową, po czym powędrował do okienka między poczekalnią a biurem recepcjonisty. Obok czarnego, imponująco wielkiego przycisku widniał malutki napis: „W razie potrzeby dzwonić”. Nacisnąwszy guzik, powiadomił recepcjonistę, że jestem gotowa. Można rozpocząć identyfikację.

— Usiądźmy — zaproponowałam Donnie, podsuwając jej jedno z czterech krzeseł otaczających okrągły laminowany stolik pośrodku pokoju. Opadła na nie bez słowa. Ja usiadłam obok i aby przezwyciężyć rosnącą panikę, zaczęłam z przesadną uwagą szczegółowo studiować otoczenie: dywanik koloru wina przy wejściu, pionowe żaluzje na oknie, fontannę z wodą pitną w rogu, dwa automaty — z napojami i słodyczami — jarzeniówki szumiące w sufitowych wnękach... W ich fluoryzującym świetle obejrzałam skromny, ręcznie malowany

pejzaż, odczytałam napis „Palenie wzbronione” w piętnastu różnych językach, na koniec zaś wiszącą poniżej sentencję: „Czasami mały kamyk wywołuje lawinę”.

Nigdy dotąd nie widziałam niczyich zwłok, nawet na fotografii, poza tymi, które zdarzyło mi się oglądać w wiadomościach telewizyjnych, dlatego nie miałam pojęcia, jak zareaguję na widok martwej dziewczyny, dziewczyny w tym samym wieku co moja starsza córka, jeśli nawet ta śmierć „przefiltrowana” przez obiektyw kamery nie będzie tak wstrząsająca jak to, co sobie wyobrażałam. A jeśli... przeszła mnie nagle inna okropna myśl...

— Czy... jej twarz... jest bardzo zmieniona? — rzuciłam zduszonym szeptem, starając się powstrzymać drżenie głosu.

— Gdyby tak było, nie pokazywalibyśmy pani fotografii.

— Jak umarła? — spytała Donna. Wpatrywała się w drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju, lecz było to spojrzenie ślepeca. Wątpię, by cokolwiek widziała.

— Na skutek licznych ran kłutych. — Gatlin zniżył głos, jakby próbował złagodzić efekt tej wypowiedzi.

— Mój Boże! — jęknęła Donna.

— Kiedy to się stało?

— Prawdopodobnie kilka dni temu — poinformował mnie tym samym tonem. — Zwłoki znalazła grupa dzieciaków. Dziś rano. W parku w Stuart.

— Ale Amy zaginęła prawie rok temu — zaprotestowałam. — Skąd myśl, że to ona?

— Ciało odpowiada opisowi zaginionej. W ogólnych zarysach.

— Co zrobicie, jeśli nie będę umiała powiedzieć z całą pewnością, czy to ona?

— Sprawdzimy karty dentystyczne, jeżeli takowe istnieją, możemy też poprosić panią Lokash o dostarczenie przedmiotów z odciskami palców jej córki, na przykład szczotki do włosów, i porównać je z odciskami zdjętymi ze zwłok.

Drzwi otworzyły się nagle i do poczekalni wszedł wysoki przystojny mężczyzna o szpakowatych, gładko uczesanych włosach. W rękę trzymał zdjęcie.

— Fred Sheridan, jeden z asystentów koronera — przedstawił go Gatlin. Wstałam. — Jest pani gotowa?

— Nie wiem — wyznałam szczerze.

— Pomału, proszę się nie spieszyć — powiedział nowo przybyły.

Podeszłam do niego kilkoma wolnymi krokami. Przełknęłam ślinę, zamknęłam oczy i cicho westchnęłam do Boga o pomoc. Pozwól ją rozpoznać albo daj mi pewność, że to nie ona. Koncentrując całą swoją pamięć, przywołałam przed oczy wizerunek Amy takiej, jaką widziałam ostatnio... Najpierw obejrzałam jej twarz w zbliżeniu, jak przy najeździe kamery, a potem zaczęłam rozbierać ją na fragmenty, studiując każdy z osobna: figlarne dołeczki po obu stronach pełnych ust, piegi na zadartym nosku, brązowe, lśniące wesołością, szeroko rozstawione oczy. Amy była ładną dziewczyną, średniego wzrostu i tuszy, więc z pewnością musiała się uważać za zbyt niską i grubą. Ach, te dziewczyny, westchnęłam, kręcąc głową i z wolna unosząc powieki. Gdy-byż one wiedziały, jakie są piękne! Spoglądając na fotografię w wyciągniętym ręku Sheridana, znów pomyślałam o Sarze.

— Amy miała taką czerwoną wsuwkę — powiedziała nagle Donna Lokash.

— Co? — Odwróciłam się ku niej, zanim jeszcze mój umysł zdążył rozpoznać i zarejestrować obraz.

— Mówię, że wychodząc z domu tamtego wieczoru, miała we włosach czerwoną wsuwkę. Takie plastikowe głupstwo: amerek przycupnięty na kupce serduszek. Rzecz bez wartości, ale ona strasznie ją lubiła. Był to prezent od dzieciaka, którego pilnowała czasem wieczorami. Wpadła w istną rozpacz, kiedy pewnego razu spinka gdzieś się zapodziała... A jaka to była radość, kiedy sprzątając pokój odnalazłam ją za komodą! Tamtego wieczoru, wychodząc z domu, miała ją we włosach nad prawym uchem. Powiedziała, że ten drobiazg przynosi jej szczęście... — głos Donny nagle się załamał. Zamilkła ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

— Czy to Amy? — delikatnie przynaglił mnie Fred Sheridan. Jego słowa kazały mi po raz drugi spojrzeć na fotografię.

Twarz, którą zobaczyłam, była młoda, okrągła i zadziwiająco spokojna. I taka gładka. Na ustach ani w kącikach oczu nie widać było najdrobniejszej zmarszczki, z tych, które pozostawia śmiech bądź zmartwienie. Biała, nie zapisana karta. To dziecko nic jeszcze nie zdążyło przeżyć, nie dano mu szansy. Czując, że oczy wzbierają mi łzami, odwróciłam głowę.

— To nie ona — wyszeptałam. Donna wydała zduszony okrzyk.

Kiedy do niej podbiegłam, chwyciła mnie za rękę i łkając przycisnęła ją sobie do ust. Czułam mokre ciepło jej łez.

— Jest pani pewna? — dopytywał się Gatlin.

— Tak.

Dziewczyna na fotografii może i ogólnie pasowała do opisu Amy, ale nos miała orli, a nie zadarty, a jej dolna warga była węższa i mniej wydatna. Na szaropopielatej twarzy nie było ani śladu piegów, a we włosach czerwonej spinki.

— No i co teraz?

— Cóż, będziemy próbowali nadal ustalić tożsamość denatki — odrzekł Gatlin. Fred Sheridan już zniknął. — Będziemy też szukać Amy.

— Moja córka nie uciekła — stwierdziła kategorycznie Donna.

— Odwiozę panią do domu.

— Ja to zrobię — wtrąciłam szybko. Donna uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością.

— Tylko nie wiem, czy dam radę stanąć — wyszeptała.

— Nie spiesz się, pomalutku — powiedziałam tak samo, jak przed chwilą do mnie Sheridan.

— A ty? — zapytała, gdy pomogłam jej podnieść się z krzesła. — Jak ty się czujesz?

— O mnie się nie martw.

Gatlin otworzył przed nami drzwi i wyszliśmy z cienia na słońce. Znów w świecie żywych, pomyślałam.

— Och, popatrz, Kate! — wykrzyknęła Donna, wskazując miejsce, gdzie jeszcze pół godziny temu siedziała kaczka ze stadkiem swych świeżo wyklutych piskląt. Teraz leżały tam tylko porozrzucane skorupki. — Gdzie też podziały się te maleństwa?

— Matka zabrała je pewnie na staw — uśmiechnął się inspektor — ale lada chwila wykluje się drugie stadko tam, za budynkiem. Mogą to panie zobaczyć.

— Pójdziemy? — spojrzała na mnie błagalnie. Zupełnie jak małe dziecko.

— Skoro sobie życzysz...

Pożegnawszy inspektora, poszliśmy za budynek. W ocienionym kącie siedziała tam druga taka sama kaczka otoczona wianuszkiem jajek.

— Patrz! — entuzjazmowała się Donna. — To jedno już pęka. Zaraz wykluje się pisklą!

— Uhm, prawdziwa ciekawostka.

— Możemy chwilkę popatrzeć? A może nie chcesz?

— Ależ owszem. — Usiadłam w trawie, podwijając nogi pod swoją szeroką niebieską suknię. Siedziałyśmy tak kilka minut, nieruchome jak te leżące nieopodal jajka, każda zatopiona we własnych myślach. Ja rozmyślałam o swoich córkach — jak to dobrze, że są zdrowe i bezpieczne. Dziękowałam za to losowi. W owej chwili pragnęłam aż do bólu przytulić obie do siebie, powiedzieć, jak bardzo je kocham. Czy one o tym wiedzą? Czy mówię im o tym tak często, jak trzeba? — Jak się teraz czujesz? — zagadnęłam na koniec Donnę.

— Sama nie wiem. — Jej głos był tak samo pozbawiony życia jak ta biedaczka na zdjęciu. — Z jednej strony czuję ulgę, niewypowiedzianą ulgę, że to nie Amy, z drugiej...

— odetchnęła głęboko — gdyby to była ona... wiedziałabym przynajmniej, co się z nią stało i... I to też byłaby prawie ulga. Sprawa zakończona. — Głos jej nabrał barwy.

— Bo wiesz, najgorsze jest to czekanie — wyrzuciła z siebie impulsywnie. — Na telefon, na to, że Amy stanie w drzwiach, że policja wykryje jej mordercę... Nie wiem, jak długo to

jeszcze wytrzymam.

— Musi ci być strasznie ciężko — bąknęłam, żalując, że nie umiem powiedzieć nic więcej, nic, co by mogło jej ulżyć.

— Przez ten proces jest jeszcze gorzej. — Od razu wiedziałam, że mówi o Friendlym. — Kiedy czytam w gazetach, co ten potwór robił z kobietami, bez przerwy myślę, czy... czy w taki sam sposób pastwił się nad Amy, nad moją małą córeczką... I to jest najstraszniejsze... To już przekracza moje siły.

Otoczyłam ją ramionami i zaczęłam łagodnie kołysać.

— Czy ty wiesz, że on łamie im nosy? — wykrztusiła po chwili.

— Co?

— Łamie im nosy. To jego znak rozpoznawczy. Zabija różnie, ale nosy masakruje wszystkim swym ofiarom, czytałam o tym w gazecie.

Przypomniało mi się zdjęcie tej bestii w „Palm Beach Post” i moja rozmowa z Jo Lynn: „Co ty w nim widzisz?” „Małego skrzywdzonego chłopca.”

— Czasami — mówiła dalej Donna — chciałabym wtargnąć do sądu i krzyknąć w twarz temu monstrum: „Mów, czy ją zabiłeś! Muszę to wiedzieć, żeby jakoś żyć dalej!” Ale potem przychodzi refleksja: Nie. Bo gdyby się przyznał, gdybym miała pewność, że jej już nie ma, cóż by to było za życie?

Nic nie powiedziałam. Przez chwilę w milczeniu obserwowałyśmy kaczkę, która wstała, przeciągnęła dziobem po piórach, po czym znów usiadła, nieznacznie zmieniając pozycję.

— Wciąż stoi mi przed oczami ten wieczór, gdy Amy zniknęła. Nie daje mi to spokoju, bo wiesz, Kate, pokłóciłam się z nią, zanim wyszła. Mówiłam ci o tym?

— Nie, chyba nie.

— Też tak myślę. Nie mówiłam o tym nikomu, za bardzo się wstydzę.

— Czego?

— Bo to była taka idiotyczna sprzeczka. Padało. Kazałam jej wziąć parasolkę. Nie chciała, mówiła, że jej niepotrzebna. Ja wtedy krzyknęłam, że zachowuje się jak małe dziecko, a ona na to, żebym wreszcie przestała traktować ją jak smarkacza...

— Donna — przerwałam — daj spokój. Dlaczego tak siebie dręczysz?

— Bo to były ostatnie moje słowa do Amy — powiedziała z rozpaczą. — Dlaczego, dlaczego musiałam robić takie halo z powodu głupiej parasolki?

— Bo się o nią troszczyłaś, bo ją kochałaś. I ona o tym wiedziała.

— Czasami gdyśmy się kłóciły... Zawsze o same głupstwa, ale mnie, nie wiem czemu, każdy taki drobiazg wydawał się wtedy cholernie ważny... Może dlatego, że byłam samotną matką i wyobrażałam sobie, że ciężą na mnie podwójne obowiązki, że powinnam zastąpić Rogera... Nie wiem, naprawdę już nie wiem, co sobie wtedy myślałam, ale... Och, Kate, mam ci powiedzieć coś okropnego? Chcesz? Ja... Były takie chwile, kiedy przychodziło mi na myśl, że może Amy powinna mieszkać z Rogerem, że bez niej byłoby mi łatwiej... O Boże, Boże, jak ja mogłam tak myśleć?!

— Wszystkich rodziców nawiedzają czasem takie myśli — próbowałam uspokoić Donnę. Moja matka i Jo Lynn, ja sama i Sara... przemknęło mi raptem przez głowę. — Nie jesteś przez to ani złym człowiekiem, ani wyrodną matką.

W tym momencie pękło obserwowane przez nas jajo i spod skorupki wyłonił się szeroko otwarty dzióbek, szczelnie zamknięte oczka, wreszcie cała drżąca, oblepiona mokrymi piórkami główka na cieniutkiej szyjce. A potem to słabe chudziutkie pisklątko niecierpliwie strząsnęło ochronną skorupkę i wyczerpane tym wielkim wysiłkiem upadło jak martwe na trawę. Leżało na boku nieruchome, z wyciągniętymi łapkami.

— Nie żyje? — pisnęła Donna.

— Ależ nie. Jest jeszcze bardzo słabe, dlatego się nie porusza.

Donna w zadumie wpatrywała się w leżące pisklę.

— Muszę wiedzieć, co stało się z Amy — powiedziała tonem konkluzji.

Zostawiłam to bez odpowiedzi, myślałam o Sarze. Ach, te dzieci! Doprowadzają rodziców do szaleństwa, potrafią ich życie zamienić w prawdziwe piekło, ale od chwili gdy przyjdą na świat, od chwili gdy się je pokocha, nie ma już bez nich życia! Ta myśl bardziej niż wszystko inne kazała mi w końcu towarzyszyć Jo Lynn do sądu. W najbliższą środę.

ROZDZIAŁ 5

Przybyłam do sądu krótko po ósmej. Jego nowa siedziba z różowego marmuru, wzniesiona niedawno w samym centrum West Palm Beach, wyglądała doprawdy imponująco. Jo Lynn była już na miejscu; stała blisko czoła potężnej kolejki wijącej się przez całą długość korytarza. Mnie też kazała przyjechać co najmniej dwie godziny wcześniej, gdy jednak stanowczo odmówiłam — nie przed ósmą! — zgodziła się w drodze łaski zająć mi miejsce w kolejce. Wciskając się na miejsce tuż za jej plecami, zebrałam większą porcję nieprzyjemnych spojrzeń, aniżeli mi się należało. Za siebie i za nią.

— W przyszłym tygodniu masz przyjechać wcześniej — oświadczyła krótko. — Nie będę zajmować ci miejsca.

— No i bardzo dobrze — rzuciłam drwiąco. Uśmiechnęła się na to nonszalancko, leniwie niedbałym

ruchem podniosła ręce do włosów i zaczęła przeplatać swoje blond loki jaskrawą przepaską w kolorze fuksji. Na koniec umocowała ją spinką w kształcie figlarnej kokardki, którą pieczołowicie umieściła sobie nad uchem. Cały ten stroik pasował odcieniem zarówno do jej szminki, jak i pantofelków — wymyślnej konstrukcji z kilku krzyżujących się pasków na niebotycznych obcasach. Obszar między jednym a drugim spowity był białą dżersejową suknią przylegającą do ciała jak skóra, zaopatrzoną ponadto w kolosalny dekolt i równie odważne rozcięcie z boku, sięgające górnej części uda. W swoim beżowym kostiumie od Calvina Kleina, dość konserwatywnym, aczkolwiek modnym, poczułam się przy niej jak wyfiokowana stara panna, istna ciotka-przyzwoitka, co tylko zrzędzi i ma wszystkim za złe. Wszystkim, a głównie tym młodszym. Ludzie kręcący się po korytarzu z uśmiechem kłaniali się Jo Lynn, tak dokładnie ignorując zarazem moją skromną osobę, jakby mnie wcale nie było.

To samo działało się zawsze, kiedy szłam gdzieś z Sarą. Za nią panowie wyciągali szyje, ja co najwyżej zasłaniałam im widok. I po jakiego licha, pomyślałam smętnie, wyrzucam tyle pieniędzy na modne ciuchy od sławnego projektanta, skoro to, jak wyglądam, najwidoczniej nie ma znaczenia? Cokolwiek na siebie włożę, i tak mnie nikt nie dostrzega.

Sara... Wychodząc z domu, zerknęłam do jej pokoju. Rozciągnięta plackiem w poprzek łóżka, wciąż jeszcze spała jak zabita, czyli że znowu spóźni się do szkoły, podobnie jak wczoraj. Za to wczorajsze spóźnienie oczywiście winna byłam ja. Jej zdaniem. Bo to ja przecież rozpoczęłam kłótnię i to ja bez przerwy wtykam nos w jej sprawy. Niestety moje, powiedziałam dość spokojnie, jako że to do mnie dzwonią ze szkoły. „Daj ty mi żyć!”, wrzasnęła, no i lawina ruszyła. Ruszyła wbrew moim najlepszym intencjom, wbrew szlachetnym postanowieniom powziętym po wizycie w biurze koronera... Skończyło się wściekłym trzaśnięciem drzwiami i równie wściekłym okrzykiem, który zagrzmał jak wystrzał w ciszy spokojnej uliczki: „Przez ciebie spóźnię się do szkoły! Piękne dzięki, szanowna pani psycholog!”

Powróciłam do rzeczywistości, bo zbliżył się do nas jakiś człowiek średniego wzrostu, w poszarpanych dżinsach i dosyć lichym granatowym swetrze. Zakomunikował Jo Lynn, że wybiera się właśnie po kawę na drugą stronę ulicy, i spytał, czy jej coś przynieść?

— Kawę, Eryku, marzę o kawie. A co dla ciebie, Kate?

— Też kawę — posłałam nieznanomemu wdzięczny uśmiech. Nie zauważył.

— Z cukrem i ze śmietanką, tak? — zwrócił się do Jo Lynn.

— O, zapamiętałeś!

— Dla mnie czarna bez cukru — wtrąciłam, ale mężczyzna już odszedł. — Co to za Eryk? — zapytałam swoją młodszą siostrę.

— Jakiś facet — wzruszyła ramionami. — Poznałam go przedwczoraj w kolejce. Bywa tutaj codziennie od samego początku.

Proces trwał drugi tydzień. Zgodnie z przewidywaniami sprawozdawców sądowych miał zakończyć się przed Bożym Narodzeniem. Rozejrzałam się po korytarzu niby ot tak sobie,

naprawdę jednak chciałam przyjrzeć się ludziom stojącym za nami w kolejce. Zwyczajni, skonstatowałam. Gromada pospolitych gapiów korzystających z rzadkiej okazji, aby bodaj przelotnie zajrzeć w oczy diabłu. Zło fascynuje ludzi. Młodzi liczebnie przewyższali starszych, kobiety mężczyzn, a młode kobiety wszystkich pozostałych. Z równą siłą działały tu pewnie dwa przeciwstawne magnesy: pociąg i odraza. Ciekawe, jaki wpływ na te młode kobiety wywierają wizyty w sądzie? Czy czują się teraz bezpieczniejsze, bardziej pewne siebie? Czy przychodzą tu stawić czoło swoim lękom, pokonać własne demony, czy tak jak moja siostra pragną demona za męża?

Po raz pierwszy dopiero byłam w nowej siedzibie sądu, której budowę ukończono w maju 1995 roku. Obiegrałam wzrokiem foyer, próbując ocenić je tak, jak mógłby to zrobić Larry, brakowało mi jednak jego oka do szczegółów. Larry to fachowiec. Ja widziałam jedynie szkło i granit. Może też zdenerwowanie przeszkadzało mi widzieć więcej. Może już zaczynałam żałować, że tu przyszłam.

Tymczasem wrócił Eryk z kawą. Moja podobnie jak ta dla Jo Lynn miała w sobie tyle śmietanki i cukru, że mogłaby wywołać śpiączkę. Tak więc z dziękczynnym uśmiechem poprzestałam jedynie na obracaniu w rękach kubka, dopóki paskudna ciecz nie ostygła. Odniosłam tę przynajmniej korzyść, że Eryk mnie sobie chyba zapamiętał. Nic wielkiego, ale zawsze coś.

Mniej więcej po godzinie stania w szklanych drzwiach pojawił się ni stąd, ni zowąd cały regiment mężczyzn i kobiet, którzy spieszonym krokiem przemknęli obok kolejki.

— Prasa — szepnęła Jo Lynn tonem wtajemniczonej. Odprowadziłam ich wzrokiem, koncentrując się

w szczególności na profilu jednego z mężczyzn, który wydał mi się jakby znajomy. Właściciel tego profilu, szczupły osobnik koło pięćdziesiątki, liczył sobie na oko jakieś sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, miał jesienne brązowe włosy i garnitur w tej samej tonacji, bardzo kosztowny, szyty na zamówienie u pierwszorzędnego niewątpliwie krawca. Patrzyłam, jak mija stanowisko detektorów, jak idzie dalej, aby wreszcie zniknąć za zakrętem.

— Wielka szkoda, że sędzia nie wpuszcza na salę kamer telewizyjnych — zauważyła Jo Lynn. Wydawała się dogłębnie zorientowana we wszystkich poczynaniach sądu. — Co prawda gdyby tam były, musiałabym sobie sprawić zupełnie inną garderobę. Biel źle wypada w telewizji, wiedziałaś o tym? Jest niefotogeniczna.

— Niefotogeniczna — poprawiłam ją machinalnie, myśląc o czym innym: czy to możliwe, że mówi serio?

— Guwernantka! — syknęła urażona. — Może pošlesz mnie na ośłą ławkę? Po kim ty to masz? — Przystałyśmy odzywać się do siebie aż do chwili, gdy po przejściu przez detektory znalazłyśmy się wreszcie w zatłoczonej windzie. Proces toczył się w sali na najwyższym piętrze.

Nie byłam przygotowana na zapierający dech w piersiach widok, który powitał nas po wyjściu z windy. Przez oszkloną ścianę korytarza zobaczyłam wspaniałą panoramę miasta, przybrzeżny tor wodny, a dalej ocean rozpościerający się aż po horyzont. Pamiętam swój podziw i to, co sobie myślałam: krajobraz jak z bajki, niestety, za chwilę zacznie się koszmar.

Ciąg dalszy tej spektakularnej panoramy można było oglądać już z sali, gdyż cała jej wschodnia ściana wykonana została ze szkła. Proces odbywał się w sali 11A, zwanej ceremonialną, największej w całym budynku. Nigdy w życiu nie byłam na żadnej rozprawie, a jednak wszystko tutaj wydawało mi się dziwnie znajome. Przyczyniły się do tego długie lata oglądania fikcyjnych procesów w kinie i telewizji plus stosunkowo świeża praktyka transmitowania prawdziwych posiedzeń sądu. Dzięki temu wszystkiemu to całkiem nowe dla mnie miejsce akcji odbierałam przynajmniej jako swojskie, jeśli nie wręcz przyjemne. Było tu podium sędziowskie z flagami po obu stronach, było miejsce dla świadka, ławy przysięgłych, galeria dla widzów na jakieś siedemdziesiąt pięć osób i wszystko wyglądało tak, jak tego oczekiwałam.

— Colin siedzi tam — oznajmiła Jo Lynn, wskazując trzy obite czarną skórą krzesła za długim dębowym stołem. — W środku. — Sama już przycupnęła na samym brzeżku swojego krzesła, maksymalnie wychylona ciałem do przodu, choć na razie nic się nie działo. Zajmowałyśmy miejsca w trzecim rzędzie środkowej sekcji widowni, za stołem prokuratora. Dwa dzielące nas od niego rzędy zarezerwowano dla rodzin ofiar. — Stąd najlepiej będziemy widziały Colina — wyjaśniła głośno moja siostra.

Do licha, zirytowałam się w duchu, wodząc wzrokiem po sali, mówi o tym mordercy jak o swoim bliskim przyjacielu!

— Poczekaj, aż zobaczysz, jaki on przystojny!

Spostrzegłam, że siedzącej przed nami kobiecie wyraźnie sztywnieją ramiona, a plecy wyginają się w łuk jak u kota. Zarumieniona ze wstydu odwróciłam głowę: prześliznąwszy się wzrokiem po tylnych rzędach publiczności, zaczęłam gapić się w niebo. Było nierzeczywiście błękitne, bez śladu chmurki.

Upłynęło dobrych kilka sekund, nim uprzytomniłam sobie, że ktoś na mnie patrzy. Był to ten sam mężczyzna, który wcześniej już zwrócił moją uwagę — jesienny pan w drogim garniturze. Z profilu wydał mi się tak szczupły, że aż kanciasty, spięty i nieprzystępny, teraz oglądany en face sprawiał znacznie lepsze wrażenie, kogoś bardziej miękkiego, mniej groźnego, po prostu sympatyczniejszego.

Na jego urodziwej twarzy znać było palące słońce Florydy, a i lata zostawiły na niej swój ślad w postaci ostrych linii skupionych wokół wydatnych ust i piwnych oczu. Piwnych? Skąd mogę wiedzieć, że ma piwne oczy? Spłoszona uciekłam wzrokiem, lecz natychmiast spojrzałam na niego znowu, tym razem już całkiem otwarcie. I oto zobaczyłam, jak z tej twarzy stopniowo opadają lata... Zniknął dorosły mężczyzna, a jego miejsce zajął osiemnastolatek w białym sportowym kostiumie z wielką czerwoną dwunastką. Widziałam, jak spływające z czoła krople potu rozpryskują mu się na policzkach, jak lądują w roześmianych ustach, słyszałam gratulacje składane zwycięzcy i gromkie okrzyki tłumu: „Dobra robota, Bobby! Hej, chłopie, ależ to był bieg!” „Robert?“, wyszeptalam. Jo Lynn akurat w tym momencie musiała szturchnąć mnie łokciem pod żebro:

— Patrz, prokurator, tam, w drzwiach. Nazywa się Eaves. Nienawidzę faceta. Dosłownie wyłazi ze skóry, tak chce wykończyć Colina.

Bardzo niechętnie oderwałam się od przeszłości. Przejściem po naszej lewej stronie zbliżały się trzy osoby: zastępca prokuratora okręgowego oraz para jego asystentów. Gdy dotarli do stołu, zaczęło się hałaśliwe zajmowanie miejsc, szcęk otwieranych, to znów zamykanych teczek, głośny szelest rozkładanych papierów. Dla trójki oskarżycieli publiczność jakby nie istniała. Prokurator Eaves był łysiejącym mężczyzną o surowej twarzy i okrągłym brzuszku. Siadając zmuszony był odpiąć górny guzik granatowej marynarki. Jego asystenci, mężczyzna i kobieta, tak młodzi, że mogliby być jego dziećmi, i tak do siebie podobni, że można by ich wziąć za rodzeństwo, prezentowali światu równie poważne miny. Ubrani byli bardzo dyskretnie, w sposób trudny do zapamiętania. Zupełnie jak ja, pomyślałam nagle i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Trzeba było chociaż wziąć jakiś szalik, żeby trochę ożywić ten kostium... Ledwo to pomyślałam, zrobiło mi się głupio: przecież to zwykła próżność... Po krótkiej chwili pozwoliłam sobie ponownie spojrzeć w stronę końca sali.

Chłopaka w białej koszulce i spodenkach już tam nie było. Jego miejsce zajął na powrót wytworny mężczyzna pochłonięty teraz żywą rozmową z sąsiadem. Czekałam, aż skończy i popatrzy w moim kierunku, niestety, minęło parę minut — i nic. Pewnie się pomyliłam, powiedziałam sobie, może to nie Robert. Robert Crowe był moją sympatią ze szkoły średniej. Straciłam go z oczu przed wielu laty, gdy jego rodzina wyjechała z Pittsburgha. Nie wiedziałam dokąd i nie chciałam wiedzieć. Pamiętam nawet, że ich wyjazd sprawił mi ulgę. Tak było lepiej... Trochę łatwiej było mi znieść świadomość, że Robert... zwyczajnie mnie rzucił. Robert... Cóż on by tu robił?

Potrząsnęłam głową — dość tego. Łapiąc się na tym, że bezwiednie stukam czubkiem buta o podłogę, wypuściłam z płuc nadmiar powietrza i gniewnie przycisnęłam ręką kolano. Serce waliło mi jak oszalałe. Do licha, minęło ponad trzydzieści lat, od chwili gdy ostatnio widziałam Roberta Crowe! Czyżby nadal robił na mnie takie wrażenie?

— Idzie! — szepnęła podniecona Jo Lynn, wiercąc się na krześle. Siedziała na skraju rzędu, tuż przy przejściu. Teraz co szybciej założyła nogę na nogę, by maksymalnie wyeksponować głębokie rozcięcie w swojej białej sukni.

Na widok oskarżonego w sali zaszumiało. Colin Friendly wszedł drzwiami od strony podium i powoli zmierzał na miejsce w asyście uzbrojonego policjanta. Obrońcy natychmiast poderwali się z krzeseł, żeby go powitać. Ich klient, ubrany w tradycyjny ciemnoniebieski garnitur, brzoskwiniową koszulę i wzorzysty krawat, z włosami zaczesanymi do tyłu, wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciu w sobotnim wydaniu gazety. Z całkowitą swobodą omiótł spojrzeniem publiczność. Jakby szukał nowej ofiary, skonstatowałam w duchu i nagle po grzbiecie przebiegły mi ciarki: oczy mordercy na moment spoczęły na mojej siostrze.

— O rany, widziałaś? — Jo Lynn z emocji wbiła mi w rękę paznokcie. — Spojrzał prosto na mnie!

Poczułam, że brak mi tchu. Jakby Colin Friendly samym tylko pojawieniem się w sali wyszał z niej całe powietrze.

— Widziałaś, widziałaś? — powtarzała Jo Lynn. — Colin mnie zauważył! Wie, że jestem tutaj dla niego!

Siedząca z przodu kobieta gwałtownie obróciła się w naszą stronę, po czym tak samo szybko pokazała nam

plecy.

— O co jej chodzi? — warknęła oburzona Jo.

— Na Boga, Jo Lynn — wykrztusiłam — posłuchaj sama siebie. Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz?

— A tobie o co znów chodzi?

W parę minut później wszedł sędzia. Wszyscy regulaminowo wstali, po czym znów usiedli. Sędzia Kellner był dostojnie siwy. Wyglądał w każdym calu tak, jak powinien wyglądać sędzia. Zaraz po nim pojawili się przysięgli: siedem kobiet i pięciu mężczyzn plus dodatkowe dwie kobiety przewidziane jako zmienniczki. Każdy z członków ławy nosił tabliczkę z nazwiskiem i zdjęciem. Cały czterna-stoosobowy zespół składał się z ośmiu białych, czwórki czarnych oraz dwójki o pośrednim kolorze skóry. Wszyscy ubrani byli bardzo schludnie, choć zadziwiająco nieformalnie. Mnie przynajmniej bardzo to zdziwiło, no ale poza podsądnym oraz prawnikami byłam w tej sali jedyną osobą w garniturze. Przepraszam, jedną z dwóch. Drugą był Robert Crowe. Znów poszukałam go wzrokiem. Tym razem on także patrzył prosto na mnie. Kiedy napotkał mój wzrok, uśmiechnął się i spytał samymi ustami: „Kate?”

Serce podeszło mi do gardła. Nagle ogarnął mnie strach. Wydawało mi się, że zamiast powietrza mam w płucach pełno gryzącego dymu. Spokojnie, powiedziałam sobie, nie ma się czego bać. Fakt, że siedzisz w pobliżu wielokrotnego mordercy i swojej dawnej sympatii, to jeszcze nie powód do takich emocji... W następnej sekundzie zaczęło mnie palić w środku, jakby ktoś wrzucił mi do brzucha płonąca zapalną. Wnętrza skręciły mi się z gorąca, na czoło i górną wargę wybiły kropelki potu.

Odciągnęłam od szyi kołnierzyk beżowej bluzki — nie pomogło. Może by zdjąć zakiet?

— Strasznie tu gorąco — szepnęłam Jo Lynn do ucha.

— Skądże, wcale nie jest gorąco.

Urządник sądowy nakazał ciszę. Zaraz potem sędzia Kellner polecił prokuratorowi wezwać pierwszego świadka oskarżenia. Temperatura na sali wróciła do normy. Zaprzysiężono świadka — młodą kobietę, An-gelę Riegert. Jo Lynn zaczęła nagle wiercić się jak na szpilkach.

— Spójrz na tę tłustą kluchę — mruknęła pod nosem. — Tylko marzy to to, żeby trafił jej się

taki mężczyzna jak Colin.

Friendly, zupełnie jakby słyszał te słowa, powoli odwrócił głowę i spojrzał w stronę mojej siostry. W kącikach ust zaigrał mu lekki uśmiezek. Jo Lynn w odpowiedzi błysnęła odsłoniętym udem.

— Jesteśmy z tobą, Colin — szepnęła. Uśmiechnął się jeszcze wyraźniej i teraz już skupił uwagę na świadku.

— Dam mu swój numer telefonu! — Jo Lynn grzebała już w białej słomkowej torebce w poszukiwaniu kawałka papieru.

— Zwariowałaś? — Miałam ochotę przyłożyć jej w kark, nabrałaby może trochę rozumu... Zupełnie jak drogi tatuś, zreflektowałam się zaraz z najwyższym niesmakiem. Nie miałam pojęcia, że stać mnie na coś takiego. Nigdy w życiu na nikogo nie podniosłam ręki, powiedziałam sobie, i nie podniosę, choćby nie wiem jak mnie korciło. To on, to Colin Friendly rozbudził we mnie najniższe instynkty. Zerknęłam na Jo Lynn. Bazgrała na skrawku papieru swoje imię, nazwisko i numer telefonu.

— Podam mu to w czasie przerwy.

— Jeżeli to zrobisz, wychodzę — zagroziłam. — Zobaczysz, wyjdę w tej samej sekundzie.

— A ja nie pojedę z tobą do mamy — brzmiała natychmiastowa riposta.

Niestety, miała mnie w ręku. Zgodziła się jechać na spotkanie z matką tylko pod jednym warunkiem: że ja pójdę z nią do sądu. Wymogła też zmianę godziny spotkania — z drugiej na czwartą — żeby, jak to ujęła, „nie opuszczać Colina” przed końcem rozprawy. Nie mogła wiedzieć, że sama już wcześniej podjęłam decyzję „na tak”... Ale nawet siedząc już w sali, nie byłam w stu procentach pewna, co ja właściwie robię w tym sądzie. Czy chcę dowiedzieć się czegoś, co by mogło pomóc Donnie Lokash, czy może pilnować Jo Lynn? Bronić jej przed tym monstrum, przed nią samą? Po dziś dzień tego nie wiem i nigdy się pewnie nie dowiem.

— Proszę podać nazwisko i adres — polecił urzędnik niskiej, trochę zbyt pulchnej dziewczynie siedzącej na miejscu dla świadka. Wyglądała na zdenerwowaną. Jej małe niespokojne oczy skrętnie unikały oskarżonego.

— Angela Riegert — szepnęła ledwo dosłyszalnie.

— Proszę mówić głośniej — łagodnie upomniał ją sędzia.

Angela Riegert odchrząknęła i odrobinę głośniej powtórzyła imię i nazwisko. Mieszka w Lake Worth, dodała, przy Olive Street 1212. Cała publiczność wyciągnęła szyje, aby lepiej słyszeć.

Prokurator był już na nogach; zapinał właśnie marynarkę — zupełnie jak w telewizji.

— Panno Riegert, ile pani ma lat?

— Dwadzieścia — odpowiedziała z takim wyrazem twarzy, jakby nie do końca była tego pewna.

— Jak długo znała pani Wendy Sabatello?

— Przyjaźniłyśmy się od podstawówki, od czwartej klasy.

— Kto to jest Wendy Sabatello? — zagadnęłam szeptem Jo Lynn.

— Jedna z ofiar — odparła kącikami ust. Utkwiłam oczy w kolanach; chyba nie miałam ochoty na

dalsze szczegóły.

— Czy może mi pani powiedzieć, co wydarzyło się wieczorem 17 marca 1995 roku?

— Poszliśmy na przyjęcie do jednej dziewczyny. Zanosilo się na huczną zabawę, bo rodzice tej dziewczyny wyjechali.

— O której przyszłyście na to przyjęcie?

— Koło dziewiątej.

— I zabawa była już w toku?

— Zaczynała się rozkręcać. Było mnóstwo ludzi, muzyka grała bardzo głośno.

— Czy znała tam pani kogoś?

— Nie. Był straszny tłum, ale chyba nikogo nie widziałam przedtem na oczy.

— Widziała pani oskarżonego?

Angela Riegert bojaźliwie zerknęła w stronę stołu obrony i natychmiast umknęła wzrokiem.

— Z początku nie — wyszeptła.

— Przepraszam, zechce pani powtórzyć?

— Zobaczyłam go dopiero później.

— Ale go pani widziała?

— Tak, był na podwórzu. Wyszliśmy na dwór zaczerpnąć trochę powietrza i wtedy go zobaczyłam.

— Rozmawiała z nim pani?

— On się do mnie odezwał.

— Chciałabyś! — zadrwiła Jo Lynn.

— I co powiedział?

— Nic takiego. „Niezły ubaw”, „fajny wieczór”, coś w tym rodzaju.

— Czy w tym momencie była z panią Wendy?

— Tak. Uważała, że oskarżony jest bardzo przystojny.

— Sprzeciw, wysoki sędzie! — zawołał jeden z obrońców, zrywając się z krzesła. — Czyżby świadek umiał czytać w myślach?

— Wendy mi to powiedziała — głośno i wyraźnie oświadczyła Angela Riegert.

— Sprzeciw — powtórzył adwokat — to są jedynie domysły.

— Sprzeciw odrzucony.

Z miny Angeli Riegert łatwo było wywnioskować, że nie bardzo rozumie, co z tego wynika. Nie ona jedna.

— Czy Wendy mówiła coś jeszcze o oskarżonym?

— Tak — Angela skinęła głową. — Że ma niesamowite oczy.

— A pani zdaniem?

— Też uważałam, że jest przystojny... Trochę starszy od chłopaków, co tam byli.

— Co wydarzyło się później?

Angela przełknęła ślinę i lekko przygryzła dolną wargę:

— Wróciłyśmy do pokoju.

— Czy później rozmawiała pani jeszcze z Colinem Friendlym?

— Ja nie, ale Wendy trochę później powiedziała, że idzie z nim porozmawiać.

— I co dalej?

— I wtedy widziałam ją po raz ostatni.

— Nie wróciła już do pokoju?

— Nie. Kiedy zaczęłam jej szukać, bo chciałam już jechać do domu, nigdzie jej nie było. Zniknęła.

— A oskarżony?

— Też zniknął.

— Dziękuję, panno Riegert — uśmiechnął się prokurator. — Świadek do dyspozycji obrony.

Obrońca stał już w pogotowiu — zapinając marynarkę. Był atletycznym blondynem o byczym karku. Pod szarym jedwabiem marynarki widać było potężne bicepsy.

— Panno Riegert — każdą sylabę wymawiał w taki sposób, jakby ją chciał ugryźć — proszę powiedzieć, czy na tym przyjęciu były jakieś trunki?

Angela Riegert skurczyła się na swoim krześle.

— Tak.

— A narkotyki?

— Narkotyki? — powtórzyła z wyraźnym zakłopotaniem.

— Marihuana? Kokaina?

— Nie widziałam, żeby ktoś zażywał kokainę.

— Czy pani piła? — zaatakował ją adwokat.

— Wypiłam parę piw.
— Była pani pijana?
— Nie.
— Palila pani marihuanę?
— Sprzeciw, wysoki sędzie! — zawołał prokurator.
— To nie jest proces panny Riegert.
— Chodzi o ustalenie, w jakim stanie był świadek — wyjaśnił adwokat. — Palenie marihuany mogło obniżyć zdolności percepcyjne panny Riegert, a tym samym jej zdolność do rozpoznania mojego klienta.
— Sprzeciw odrzucony. Proszę odpowiedzieć na pytanie.
Angela Riegert wahała się chwilę z oczyma pełnymi łez.
— No tak, zaciągnęłam się parę razy — wyznała.
— A więc zaciągnęła się pani parę razy papierosem z marihuaną i wypila parę piw — powtórzył obrońca — czy tak?
— Tak.
— Czy była pani odurzona?
— Nie.
— Ale wyszła pani na dwór zaczerpnąć powietrza.
— W środku było bardzo gorąco i straszny tłok.
— A jak było na zewnątrz?
— Lepiej.
— Czy było ciemno?
— No tak.
— A zatem — podsumował obrońca, obracając się twarzą do ławy przysięgłych — było ciemno, piła pani alkohol i paliła marihuanę — tu zawiesił głos — a mimo to twierdzi pani, że z całą pewnością rozpoznała mojego klienta.
Dziewczyna wyprostowała się nagle i odważnie spojrzała na oskarżonego:
— Tak — oświadczyła — to był on.
— Jeszcze jedno, panno Riegert — rzucił adwokat, jakby teraz dopiero coś sobie przypomniał:
— Czy nosi pani okulary?
— Czasami.
— A tamtego wieczoru?
— Nie miałam okularów.
— Dziękuję, nie mam więcej pytań. — Obrońca z pośpiechem wrócił na swoje miejsce.
— Dobra robota! — orzekła Jo Lynn. Niestety, musiałam się z nią zgodzić. Obrońca Friendly'ego w ciągu niecałej minuty potrafił zdyskredytować świadka, a przynajmniej podważyć jego wiarygodność.
— Świadek jest wolny — oznajmił sędzia. Angela Riegert odetchnęła głęboko i wstała. Jo Lynn odprowadziła ją wzrokiem aż do wyjścia.
— Przegrana idiotka — syknęła jadownicie. Powołano następnego świadka.
— Sąd wzywa Marcie Layton!
Spojrzałam w stronę drzwi w tym samym momencie co Colin Friendly i na ułamek sekundy zbiegły się nasze spojrzenia. Bezcelnie zrobił do mnie oko, po czym odwrócił głowę.

ROZDZIAŁ 6

Dochodziło już wpół do piątej, gdy dotarliśmy wreszcie na Palm Beach Lakes Boulevard, kilka mil na zachód od trasy I-95. Tutaj mieszkała nasza matka. Puściłam się kłusem przez parking w stronę stojącego nieopodal żółtego budynku. Mnie przypominał on zawsze wielki cytrynowy tort.

— I po co ten pośpiech? — narzekała Jo Lynn, chwiejnie balansując na swych groteskowych szpilkach. — Przecież matka nigdzie się nie wybiera.

— Chodzi o panią Winchell. Umówiliśmy się z nią na czwartą, pamiętasz? Już i to nie najbardziej jej odpowiadało, bo podobno musi stąd wyjść przed piątą, a teraz jeszcze spóźniamy się pół godziny.

— Tak? A czyja to wina?

No cóż, było faktem bezspornym, że przynajmniej w połowie moja. Moja i Roberta.

Po zakończeniu rozprawy czekał na mnie w holu.

— Bardzo mi przykro, że nie mogłem przybiec do ciebie podczas przerwy — usprawiedliwił się z miejsca, podczas gdy ja starałam się nie ulec urokowi jego piwnych oczu. Były tak młodzieńczo czyste... — Niestety, musiałem pędzić na lunch. Byłem z kimś umówiony.

— Jak się masz i co tutaj robisz? — Mój głos brzmiał o oktawę wyżej niż zwykle. Dobrze, że Jo Lynn nie widzi, jak z dorosłej osoby zmieniam się w podlotka, westchnęłam w duchu. Na szczęście tkwiła przy drzwiach sali rozpraw, czyhając na kogoś z prawników Friendly'ego. Przez większą część przerwy na lunch komponowała liścik do tego potwora, doszła bowiem do wniosku, że sam numer telefonu to za mało. Colin, oświadczyła, musi się dowiedzieć, dlaczego ona, Jo Lynn, wierzy w jego niewinność i na czym opiera swą wiarę. Poradziłam jej iść do lekarza. Z głową. „Kaź ją sobie zbadać”.

— Co robię w Palm Beach czy w sądzie? — uśmiechnął się Robert. Ten uśmiech, który otoczył mu kąciki oczu promykami uroczych zmarszczek, wyraźnie świadczył, że doskonale zdaje sobie sprawę z wrażenia, jakie nadal na mnie wywiera (zawsze to wiedział!), i że go to bawi, a może nawet i wzrusza. — Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

— Ja tutaj mieszkam, ściślej mówiąc, w Palm Beach Gardens. Sprowadziliśmy się na Florydę siedem lat temu.

— Czy nie za dużo tych informacji?, zreflektowałam się zaraz. Może moja osoba nie interesuje go aż tak bardzo.

— A ty?

— Cóż ja... Jak tylko ukończyłem szkołę średnią, moja rodzina przeniosła się do Tamy — powiedział całkiem swobodnie. — Zapisalem się do Yale, po dyplomie wróciłem na Florydę do moich starszyców, poznałem dziewczynę... Potem był ślub, przeprowadzka do Boca, rozwód, przeprowadzka do Delray, powtórne małżeństwo, no i przeprowadzka do Palm Beach. Tak to wygląda.

— A więc jesteś żonaty — wyrwało mi się i natychmiast zapragnęłam odgryźć sobie język.

— Uhm, i dzieciaty — odrzekł z uśmiechem. — Mam czwórkę, a ty?

— Dwie dziewczynki.

— I męża?

— Och tak, naturalnie. Nazywa się Larry Sinclair. Poznaliśmy się w college'u, nie znasz go — paplałam jak najęta, myśląc zarazem z wściekłością, że przydałby się teraz ktoś, kto by mnie zakneblował, skoro sama nie umiem zamilknąć. Zawsze pragnęłam być kobietą sfinksem, z tych, co to ciągle uśmiechają się tajemniczo i jedynie z rzadka rzucają jakieś słówko. Najprawdopodobniej dlatego, że nie mają nic do powiedzenia, ale co za różnica, skoro w oczach bliźnich uchodzą za uosobienie wyższych uczuć oraz intelektu. Niestety, tajemniczość nie jest moją najmocniejszą stroną. Matka ciągle powtarza, że każdą myśl można wyczytać mi z twarzy.

Robert z niedowierzaniem pokręcił głową. Zobaczyłam na jego skroniach srebrzyste nitki siwizny i oczywiście uznałam, że dodają mu one dystynkcji.

— Tylko jeden mąż? — zapytał przeciągle.

— Strasznie nudne, co?

— Przeciwnie, zadziwiające. Powiedz mi, Kate, co cię sprowadza do sądu?

Zerknęłam ukradkiem na swoją siostrę: nadal warowała przy drzwiach.

— Szczerze mówiąc, sama nie wiem. A ty co tu robisz? Jesteś reporterem?

— Nie, ale kimś blisko związanym z tą branżą. Jestem właścicielem stacji radiowej. WKEY.

— Och, no tak. — Miałam nadzieję, że mój głos nie zdradza wrażenia, jakie zrobiła na mnie ta informacja.

— Normalnie nie byłoby mnie tutaj, od tego mamy reporterów...

— Jasne — wtrąciłam.

— Ale że umówiony byłem na lunch tu w pobliżu, więc pomyślałem... — urwał nagle w połowie zdania. — Wiesz, Kate, jesteś bardzo piękna.

Roześmiałam się głośno. Pewnie żeby nie zemdleć z wrażenia.

— Z czego się śmiejesz? Nie wierzysz mi? Poczułam, że na policzki bije mi krwisty rumieniec i że robi mi się gorąco. W kolanach też czułam słabość. Psiakrew, pomyślałam, akurat teraz! Będzie zachwycony, kiedy zacznę ociekać potem i zamiast pięknej kobiety zobaczy przed sobą czerwone trzęsące się babsko.

— Dużo lat upłynęło od czasu, gdy mówiono mi takie rzeczy — zdziwiłam się, słysząc swój głos. Brzmiał prawie normalnie.

— Larry ci tego nie mówi? — zapytał z przekornym uśmiechem, a wymawiając imię mego męża, zabawnie zaokrąglił wargi. Bawi się ze mną, pomyślałam.

Przy drzwiach sali rozpraw nastąpiło tymczasem małe zamieszanie: prawnicy Friendly'ego wyszli na korytarz.

— Panie Archibald! — usłyszałam okrzyk Jo Lynn i zobaczyłam, jak moja siostra wsuwa swój elaborat do kieszeni szarej marynarki atletycznego obrońcy. — Panie mecenasie, czy może pan dopilnować, żeby Colin otrzymał ten list? To bardzo ważne.

— Ależ to żałosne — mruknął Robert.

— Co takiego?

— Te okropne, stuknięte kobiety. Pełno ich na każdym procesie. Im gorsza zbrodnia, tym bardziej kochają sprawcę. Człowiek patrzy na te głupie pindzie i zastanawia się...

— Nad czym?

— Co też dzieje się w głowach tych nieszczęsnych zbłąkanych duszyczek. Czym one żyją? Spójrz choćby na tę blondynkę. Jest niebrzydka, wydaje się, że bez trudu mogłaby znaleźć partnera, ale nie! Ona woli uganiać się za facetem, który daje sobie kopa mordując kobiety, bo tylko to go rajcuje. Kompletnie tego nie rozumiem, a ty?

Pokręciłam głową, choć uczciwie mówiąc, od chwili gdy Robert nazwał Jo „niebrzydka”, ciąg dalszy jego wypowiedzi przeleciał mi koło uszu. Ja jestem piękna, a Jo Lynn zaledwie niebrzydka... Dosłownie nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. W ciągu paru minut zmieniłam się w płochę, beznadziejnie głupie stworzenie.

— Powiedz mi zatem, co porabia małżonka pana Lar-ry'ego, kiedy nie uczestniczy w sensacyjnych procesach o morderstwo?

Dźwięk imienia mojego męża wyrwał mnie z tych rozmyślań, przywracając na chwilę ostatki zdrowego rozsądku.

— Jestem psychoterapeutką.

— No tak, to się zgadza. Pamiętam, że już w szkole interesowały cię te sprawy. — Zupełnie jakby wsłuchiwał się w każde słowo wypowiedziane przeze mnie ponad trzydzieści lat temu. Spryciarz. — A więc mała Kate Latimer wyrosła na taką kobietę, jaką zawsze pragnęła zostać.

Czyżby?, zastanowiłam się szybko. Więc dlaczego jestem tak naiwna?

— Wiesz, Kate Latimer, strasznie miło zobaczyć cię znowu po tylu latach — mówiąc to przybliżył twarz do mojej. Chce mnie pocałować? Mam mu na to pozwolić? Czyżbym była kompletną idiotką?

— Teraz już Kate Sinclair — przypomniałam sobie i jemu.

Nie odrywając ode mnie swoich piwnych oczu, lekko przechylił głowę, ujął moją rękę i powoli podniósł ją do ust. Nie podejmuję się opisać tego, co czułam, gdy wargi Roberta musnęły wierzch mojej dłoni. Zareagowałam na to całym ciałem, które i tak już ciężko musiało walczyć, aby trzymać się prosto i w jednym kawałku. Ale oto usłyszałam jego pełne niesmaku „uch” i nagle zrobiło mi się zimno.

— Co się stało?

— Idzie tu ta blond pindzia.

— No, załatwione, możemy ruszać — oznajmiła Jo Lynn, stając o krok przed nami. Oczy jej z ciekawością wędrowały ode mnie do Roberta i z powrotem.

— Jo Lynn — zwróciłam się do niej — pozwól sobie przedstawić pana Roberta Crowe. Robercie, to jest moja siostra, Jo Lynn Baker.

— Teraz mnie zastrzel — powiedział po prostu. Wybuchnęłam śmiechem. Dobrze było znowu poczuć się sobą.

— Czy coś mi umknęło? — spytała Jo Lynn. Powiedziane to zostało lekkim tonem, ale dostrzegłam w jej oczach dobrze znaną mieszaninę gniewu i urazy. Nie lubiła czuć się wyrzucona poza nawias, a jeszcze bardziej być obiektem czyichkolwiek żartów. Tego już wprost nie znosiła.

— Pani siostra i ja znamy się ze szkoły średniej — oznajmił Robert, jakby fakt ten tłumaczył wszystko. Jo jednak, o dziwo, wydawała się tym całkiem usatysfakcjonowana.

— Doprawdy? A więc winien mi pan jest wdzięczność za to wasze spotkanie po latach, bo to ja przywlokłam tu moją siostrę, a proszę mi wierzyć, nie było to łatwe

— zaszczebiotała, ściskając rękę Roberta. Pochyliła się przy tym do przodu, tak że wypięte piersi o mały włos nie wylały jej się z dekoltu.

— O tak, pamiętam, jak trudno było nakłonić Kate do czegokolwiek, na co nie miała ochoty — uśmiech Roberta stał się figlarnie dwuznaczny. Wiedziałam, o czym myśli. Przez pół roku próbował mnie uwieść, a kiedy doszedł do wniosku, że to przegrana sprawa, rzucił mnie jak przysłowiowy gorący kartofel.

— Powinniśmy już jechać — przypomniała Jo Lynn.

— Wie pan — konspiracyjnie uśmiechnęła się do Roberta, znów pochylając się naprzód — nasza mama terroryzuje całe towarzystwo w domu emerytów. Mamy w tej sprawie konferencję.

— Interesująca rodzinka — stwierdził Robert na pożegnanie.

— Przyznaj się, spałaś z nim? — zaatakowała mnie Jo, jak tylko wsiadłyśmy do samochodu.

— Ależ skąd!

— Ale miałaś na to ochotę!

— Miałam siedemnaście lat. Nie potrafię powiedzieć, czego wtedy chciałam.

— Chciałaś, chciałaś, ale była z ciebie taka przykładna panienska, że do niczego nie doszło i do dzisiaj tego żałujesz.

— Na litość boską, Jo Lynn, od lat o nim nie myślałam. Kiedy stało się jasne, że nie dam się wciągnąć w dalszą

dyskusję na ten temat, Jo Lynn rozpoczęła rekapitulację ostatnich wydarzeń w sądzie. Prokurator, stwierdziła, poniósł totalną klęskę, powołując na świadka Angelę Riegert; ta dziewczucha bardziej przysłużyła się obronie aniżeli oskarżycielom. Zeznanie, iż oskarżony był w pobliżu ofiary na krótko przed jej zniknięciem, zdaniem Jo nie miało większego znaczenia. Co zapamiętają przysięgli? Tylko to, że Angela Riegert złapała piwo i paliła marihuanę i że z niej mało wiarygodny półślepy przygłup. Marcia Layton została podsumowana w sposób analogiczny, podobnie kolejni świadkowie składający zeznania w sprawie śmierci innych

zamordowanych dziewczyn. Wszyscy oni zgodnie twierdzili, że w każdym przypadku Colin Friendly kręcił się koło ofiary, która zaraz potem znikła, lecz dla Jo i to także nie był żaden argument.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — twierdziła uparcie. — Naoczni świadkowie są z reguły niewiarygodni.

Spieranie się z nią na ten temat nie miało żadnego sensu. Wierzyła jedynie w to, w co sama chciała uwierzyć... Należała do takich, którzy zawsze dostrzegają wyłącznie te rzeczy, które pragną zobaczyć. Dla niej Colin Friendly był smutnym, samotnym chłopcem. Wierząc w niewinność tego mordercy, stała się jego ofiarą w tym samym stopniu co kobiety, które pozbawił życia, a może nawet i większym.

Tak samo było z Andrew, z Danielem, z Peterem. Andrew, którego poślubiła jako osiemnastoletnia zaledwie dziewczyna, najpierw złamał jej jedną rękę, potem drugą. W sześć lat później kolejny mąż, Daniel, ukradł jej pieniądze i połamał żebra. Peter, z którym wzięła ślub mając lat trzydzieści dwa, a rozwiodła się krótko przed trzydziestą trzecią rocznicą urodzin, od razu w noc poślubną zrzucił ją ze schodów. A jednak to nie ona kończyła te związki, tylko oni. Próbowалаm poddać ją terapii — nic z tego. „To wina mamy”, żartowała. „Żarcik do kwadratu”, powiedziała wtedy nasza matka, ale jej przygarbione plecy wymownie świadczyły o tym, iż bierze na siebie winę.

Byłyśmy już prawie u celu.

— Mogłabyś zwolnić? — sapnęła Jo Lynn.

— Musisz nosić takie obcasy? — spytałam cierpko, przelewając całą swą frustrację z jej osoby na jej pantofle.

— A co, nie podobają ci się moje pantofelki? Obszerny korytarz domu emerytów miał z pewnością

stwarzać nastrój optymizmu: białe ściany, dużo zielonych roślin, krzesła obite tkaniną w śmiałe kwiatowe wzory. Kilkunastu pensjonariuszy obojga płci siedziało w białych bujanych fotelach, gapiąc się w przestrzeń przez wielkie frontowe okno. Jak w kinie dla zmotoryzowanych. Ten widok niestety nie budził już optymizmu... Rzadkie włosy, plamy wątrobowe, zapadnięte twarze, przygarbione plecy... Stary mężczyzna niezdarnie gmerający przy rozporku, stara kobieta wkładająca do ust sztuczną szczękę... Patrzyłam na nich ze zgrozą: niedługo i mnie to czeka. Nasza matka siedziała przed biurkiem pani Winchell.

— Czemu tak późno? To do was całkiem niepodobne.

— Nie patrz tak na mnie. — Jo Lynn przybrała natychmiast postawę zaczepno-obronną.

— Pomyślałam sobie tylko, jak to miło widzieć cię, córeczko — odrzekła spokojnie matka.

Jo Lynn wydała z siebie coś pośredniego między zduszonym śmiechem a gniewnym parsknięciem, po czym ostentacyjnie odwróciła głowę.

— Bardzo przepraszam, mam, to moja wina — pospieszyłam wyjaśnić. — Przypadkiem spotkałam dawnego znajomego...

— Z którym strasznie chciała się przespać, ale jej nie wyszło — wtrąciła moja siostra.

— Co takiego? — zdziwiła się matka.

— Przestań, Jo Lynn...

— To prawda, możesz mi wierzyć — zapewniła z uśmiechem matkę. — A propos: czy Kate już ci mówiła, że wychodzę za mąż?

Pani Winchell, której pomidorowy kostium korzystnie podkreślał lśniąca czerń jej skóry, fatalnie kłóćąc się przy tym z kanarkowo żółtym wystrojem wnętrza, nawet nie starała się ukryć, jak mało ma czasu i co chwila zerkała na zegarek. Spóźniłyśmy się blisko czterdzieści minut, zauważyła na wstępie, ona zaś niestety umówiona jest dziś na kolację, i to aż w Boca.

Potem był ślub, przeprowadzka do Boca, rozwód, przeprowadzka do Delray, odezwało mi się echem w uszach.

— Może powie pani córkom o swoich pretensjach do pana Ormsby'ego — zagaiła rozmowę

kierowniczką.

Na twarzy matki odbiło się najpierw zdumienie, a potem zakłopotanie. Widać było, że nie ma pojęcia, o czym mówi administratorka.

— Czyż nie skarżyła się pani, że systematycznie panią nęka? Fred Ormsby to jeden z naszych portierów — wyjaśniła pani Winchell mnie i Jo Lynn.

— Uroczy człowiek — uzupełniła nasza matka.

— Więc nie nachodził pani o wszelkich możliwych porach dnia i nocy?

— Po cóż by miał to robić?

Teraz dla odmiany pani Winchell popadła w zakłopotanie.

— No właśnie, po co? I na pewno tego nie zrobił. Powtarzam jedynie pani własne słowa.

— Nie — oświadczyła stanowczo matka. — Fred Ormsby to uroczy człowiek. Musiała pani coś źle zrozumieć.

— No to nie ma sprawy, prawda? — podsumowała moja siostra, rażno zrywając się z krzesła.

— Najwyraźniej — uśmiechnęła się pani Winchell, z jawną ulgą przyjmując fakt, iż niemiłe spotkanie przybrało nagle tak pomyślny obrót. Jeśli miała coś jeszcze w zanadru, nie chciała się teraz w to wdawać.

— Rozumiesz coś z tego? — zagadnęłam Jo Lynn podczas jazdy na trzecie piętro. Wzruszyła ramionami:

— Starym ludziom nietrudno zrobić wodę z mózgu. Pani Winchell widać to umie.

— Nie ufam tej kobiecie — odezwała się nagle matka.

— Nie lubisz jej, bo jest czarna — zachichotała Jo Lynn.

— Jo Lynn, jak możesz... — z irytacji prawie mnie zatkało.

— Pani Winchell jest czarna? — zapytała matka ze szczerym zdziwieniem.

— Jak można tego nie zauważyć? — szepnęłam do Jo, wysiadając z windy. Ruszyliśmy długim różowym korytarzem w stronę mieszkania matki. — Może z jej wzrokiem coś jest nie w porządku, jak myślisz?

— Po prostu nie zwróciła uwagi...

— Ależ to niemożliwe! Nie wyobrażam sobie...

— Czy nikt was nie uczył, że to niegrzecznie szeptać komuś za plecami? — uszczypliwie spytała matka. Zatrzymała się przed drzwiami swojego mieszkania, lecz z jakiegoś powodu nie kwapiła się ich otworzyć.

— Na co czekamy? — upomniała ją Jo Lynn. — W środku nikogo nie ma.

Matka sięgnęła do kieszeni swetra po klucz. Ubrana była w elegancki komplet z miękkiej różowej dzianiny, ozdobiony pojedynczym sznureczkiem pereł.

— Po prostu się zamyśliłam.

— Nad czym, mamó?

— Co ja zrobiłam pani Winchell, że tak mnie nie lubi...

— Poznałam po głosie, że zbiera jej się na płacz.

— Nie lubi cię, bo jesteś Żydówką — oznajmiła Jo Lynn.

— Co ty mówisz? Ja jestem Żydówką?

— Ona żartuje, mamó — wtrąciłam z pośpiechem. Spiorunowałam wzrokiem Jo Lynn, czując się zupełnie jak Alicja na herbatce u Szalonego Kapelusznika.

— Ja też--żartowałam — z figlarnym uśmieszkiem powiedziała matka, wpuszczając nas do mieszkania.

— Gdzie twoje poczucie humoru, Kate?

Zostało w sędzie, pomyślałam, ogarniając jednym rzutem oka niemal całą powierzchnię mieszkania. Składało się ono z jednej sypialni, kuchenki i saloniku, w którym mieścił się ładny rozkładany fotel i krzesło z tym samym obiciem, pomiędzy nimi stolik, a w kącie stojąca lampa. Liczne fotografie — moje, Jo Lynn i moich córek — zajmowały wszystkie możliwe powierzchnie, łącznie z całym parapetem okna wychodzącego na parking.

— Gorąco tu jak w piecu! Czy to ogrzewanie musi aż tak szaleć? — sarknęła Jo Lynn, podchodząc do termometru. — No tak, trzydzieści stopni. Jak ty to wytrzymujesz?

— Starszym ludziom jest chłodniej niż młodym — wyjaśniła matka.

Zdjęłam żakiet i rzuciłam na oparcie krzesła, ale Jo natychmiast wcisnęła mi go z powrotem.

— Co robisz? Zaraz jedziemy.

— Możemy przecież zostać parę minut.

— Oczywiście, że zostanieie! — zawołała matka.

— Zjemy sobie po kawałku ciasta.

— Nie ma mowy. Chcesz nas otruć jak tego staruszka, pana Emersona?

Nasza matka, która już zdążyła otworzyć lodówkę w swej mikroskopijnej kuchence, wydobyła z niej teraz trochę koślawe „anielskie ciasto”, lekki biszkoptowy placek z samych białek, mąki i cukru.

— Och, Jo Lynn, ty znowu swoje. Znów te twoje kwadratowe żarty. — Poszłam za matką do kuchni.

— A to co? — Na najwyższej półce chłodziarki wypatrzyłam dużą butelkę płynu do zmywania naczyń. — Mamo, co ten detergent robi w lodówce?

Jo Lynn błyskawicznie znalazła się przy nas:

— Jezu Chryste! Ty tego dodajesz do ciasta?

— Oczywiście, że nie — obruszyła się matka, stawiając butelkę na zlewozmywaku. — Każdemu zdarza się pomylić. Tobie nie?

— Dzieje się coś bardzo niedobrego — powiedziałam w drodze do domu. — Matka zaczyna się gubić.

Jo Lynn zbyła to lekceważącym machnięciem ręki:

— Pomyliło jej się.

Zaprosiłam ją na kolację, ale odmówiła, za co w duchu byłam jej wdzięczna. Powinna jutro ładnie wyglądać, powiedziała tytułem usprawiedliwienia, musi więc dobrze się wyspać. Ważne, żeby Colin widział koło siebie jak najwięcej atrakcyjnych twarzy, to poprawi mu samopoczucie. Poza tym jego adwokaci zechcą może się z nią skontaktować, dlatego powinna być w domu.

— Jak sobie życzysz. — Wysadziłam ją w pobliżu niskiego szeregu bloków mieszkalnych przy Blue Heron Drive i nie ruszyłam z miejsca, dopóki nie dotarła bezpiecznie do wejścia. Mój Boże, cóż za sytuacja! Siostra ugania się za mordercą, a matka trzyma w lodówce płyn do zmywania naczyń. Robert ma rację, ciekawa rodzinka, dumałam smętnie, zawracając samochód w stronę trasy I-95.

Ale ja w niczym nie przypominam przecież swojej siostry. Jestem kobietą dojrzałą i zrównoważoną, nie ulegam dzikim fantazjom. Jeśli już można by mi coś zarzucić, to raczej zbytne trzymanie się ziemi. Znam swoje mocne i słabe strony; z fobiami i brakiem poczucia bezpieczeństwa dawno już udało mi się dojść do ładu. Nie jestem sentymentalna, a już na pewno nikt by mnie nie nazwał romantyczną. Dlaczego więc ni stąd, ni zowąd zaczynam mieć bzika na punkcie mężczyzny nie widzianego od trzydziestu lat? Mężczyzny, który na dodatek zachował się wtedy jak typowy podrywacz: kiedy nie chciałam mu ulec, rzucił mnie bez cienia skrępułów. Dlaczego wiedząc to wszystko, wciąż mam przed oczami jego twarz, jego swawolny uśmiezek? „Jesteś bardzo piękna”... Gładkie słówka, które nic nie kosztują, skonstatowałam trzeźwo, a jednak wciąż w kółko huczały mi w głowie, teraz w rytmie country. Rozpoznałam nosowy głos Dwighta Yoakama. Aha, radio WKEY. Kiedy, do licha, włączyłam tę stację?

Cóż, powiedziałam sobie, analiza mego stanu ducha jest bardzo łatwa. Starzeję się, niestety, moje współzycie z Lar-rym nabrało charakteru wygodnej rutyny... Coraz częściej nawiedza mnie świadomość własnej śmiertelności — wystarczy mi spojrzeć w twarz matki. Do tego jeszcze siostra, która swym postępowaniem doprowadza mnie do obłędu. Robert Crowe to

powrót do młodości, do tego, co minęło i za czym tęsknię: młodzięcej niewinności, poczucia, że mam przed sobą całe długie życie. Robert to symbol moich utraconych szans, wszystkiego, co upragnione a nieosiągalne.

O tak, Jo Lynn miała rację: jako siedemnastolatka rozpaczliwie chciałam się z nim przespać. Ileż to razy brała mnie ochota puścić z wiatrem całą swą rozagę razem z moralnością, jak również wszystkimi częściami garderoby. Nie wiem, co mnie powstrzymało. Chyba tylko pewność, że gdy mu ulegnę, przestanie się mną interesować i odejdzie. Ha, zrobił to i tak. A potem wyjechał, nie dając znaku życia.

Wszystko to wiem, a jednak jestem rozczarowana, a nawet zła, że nie działałam na mego męża jak dawniej. Kiedyś wystarczyła sama moja obecność w łóżku. Powody rozumiem, owszem. Jesteśmy z sobą od prawie dwudziestu pięciu lat, moje ciało nie jest już takie jak w dniu ślubu, w nasze pieczyoty wkradło się trochę rutyny... Stale to sobie powtarzam... Miłość wymaga wysiłku. Czyż nie wyznałam już wcześniej, że nie jestem osobą romantyczną?

Pod wpływem tych myśli odsunęłam na bok nieco urażoną miłość własną i zaczęłam pieścić mego męża: delikatnie masować jego męską część ciała, obracać ją w dłoni, ugniatać jak kawałek plasteliny. Przyszła mi nawet ochota mocno go poklepać, rozmyśliłam się jednak: nie, popsułoby nam to nastrój. Łagodnie wzięłam go do ust i z satysfakcją stwierdziłam, że szybko nabiera mocy. Usiadłam teraz na brzuchu Larry'ego i kiedy poczułam go w sobie, zaczęłam się z wolna poruszać. Po chwili moje tempo wzrosło, tak że pod koniec pędziłam już pełnym galopem, zupełnie jakby mnie ktoś ścigał. I chyba tak było. Kiedy Larry odpłynął w sen, z półmroku wyłonił się Robert. Siedział przy oknie na jednym z kremowych krzeseł i patrzył na mnie, uśmiechając się całkiem jak Kot z Cheshire. A potem jego obraz podpłynął bliżej i czule szepnął mi w ucho: „Słodkich snów, Kate”.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy teraz staram się zrozumieć rolę Sary w tym wszystkim, co się wydarzyło, wciąż zadaję sobie pytanie, czy w którymś momencie mogłam postąpić inaczej, zrobić coś takiego, co by zapobiegło późniejszej tragedii? Oznaki nadciągającego chaosu były przecież dobrze widoczne. Również elementy tej łamigłówki, jaką stanowi dla mnie moje starsze dziecko, leżały przede mną w komplecie, wystarczyło je tylko powkładać we właściwe miejsca. A może nie? Może jednak zawsze brakowało paru fragmentów? I czy gdybym je odnalazła, coś by to pomogło?

Kiedy tamtego wieczoru Sara wyszła z domu rzekomo na próbę szkolnego pokazu mody, nie miałam pojęcia, że kłamie. Nie, może jednak miałam. Po tym, co już z nią przeszłam, nauczyłam się każdą jej wypowiedź traktować bardzo sceptycznie, tyle że całkiem jak żona niewiernego męża świadomie postanowiłam dopóty przyjmować jej słowa za prawdę, dopóki nie zobaczę czarno na białym, że jest przeciwnie. W przypadku Sary nie trwało to zwykle zbyt długo.

Po raz pierwszy przyłapałam ją na jawnym kłamstwie, kiedy miała piętnaście lat. Byłyśmy w mieście na kolacji i po wyjściu z lokalu zaskoczył nas deszcz. Biegnąc do samochodu, Sara upuściła swą pękatą skórzaną torbę, z której ku memu zdumieniu i zgrozie wysypało się chyba z dziesięć pudełek po papierosach.

— To nie moje — oświadczyła, zgarniając je co prędzej z mokrego chodnika i na powrót wpychając do torby.

— Nie twoje — powtórzyłam.

— Moja koleżanka je zbiera.

Chyba każdy normalny człowiek uznałby to z miejsca za wierutne głupstwo, kiedy jednak tego rodzaju bzdurę serwuje nam nasze rodzone dziecko o, wtedy sprawa zaczyna wyglądać inaczej.

— Twoja koleżanka kolekcjonuje puste pudełka?

— Tak, a ponieważ matka zrobiłaby jej o to dziką awanturę, więc poprosiła mnie o przechowanie... — Z mokrymi pudełkami bezpiecznie utkanymi w torbie jednym susem stanęła na nogi i patrząc mi w oczy, powtórzyła z naciskiem: — Mówię ci, że to nie moje. Ja nie palę.

Robiłam, co mogłam, żeby jej uwierzyć. Próbowałam przekonać samą siebie, że przecież ludzie kolekcjonują nieraz znacznie dziwniejsze rzeczy niż pudełka po papierosach... A co ma robić dziewczyna, skoro boi się matki? Prosi przyjaciółkę o pomoc, logiczne. Zdrowy rozum nie dał się jednak zagłuszyć, no i w końcu jestem terapeutką.

— Mówisz, że nie palisz — zaczęłam. — Bardzo bym chciała ci wierzyć... Sama wiesz, czym grozi palenie. Ja, cóż, zdaję sobie sprawę, że nie mogę cię mieć na oku przez okrągłą dobę, jeśli więc zechcesz palić, to będziesz. Mam tylko nadzieję, że jeżeli już palisz, będziesz miała przynajmniej tyle oleju w głowie, żeby rzucić to świństwo, zanim wpadniesz w nałóg. — Na tym poprzestałam. A Sara oczywiście paliła i oczywiście nie była na tyle mądra, żeby się nie uzależnić. Mogę się tylko dziwić, dlaczego dokonawszy tego odkrycia, czułam się tak zaskoczona?

Po dziesięciu pustych pudełkach od papierosów było pięć pełnych butelek piwa znalezionych w szafie Sary podczas poszukiwania białej bluzki, którą chciałam wyprasować — na jej własną prośbę. Jak śmiałam grzebać w jej szafie? — rozdarła na mnie buzię. Jakbym miała święty obowiązek wiedzieć, że ta biała bluzka leży na podłodze w bezładnej stercie, gdzie poniewierała się zarówno większość jej ubrań, jak i pozostałych ruchomości. A piwo oczywiście należało do koleżanki. Potem były jednodniowe wagary, kiedy to wybrała się do Port Lauderdale na zakupy, następnie weekendowy wyskok do Miami; tym razem chodziło o Drogiego Nieboszczyka. Jestem pewna, że nie byłam podówczas jedyną matką, która nie opłakiwała zgonu Jerry'ego Garcii, jakkolwiek w młodości uwielbiałam wprost jego muzykę.

Z komody tajemniczo znikwały mi swetry, połowa naszych kart kredytowych po prostu wyparowywała. Sara systematycznie podkradła mi gotówkę, wyciągając ją z mojej torebki, a

przyciśnięta do muru wypierała się w żywe oczy: Nic podobnego, to nie ona! Kochające stworzenie, które kiedyś patrzyło na mnie z podziwem i wielkim respektem, zniknęło bez śladu; jego miejsce zajęła teraz jakaś obca istota pełna tak bezgranicznej pogardy, że od jej wzroku robiło mi się zimno. Tłumaczyłam sobie, że to faza przejściowa, że moje dziecko, jak wszystkie w tym wieku, nieświadomie przecina duchową pępowinę łączącą je z matką i że jest to normalny proces nabywania własnej tożsamości. Cóż, można znać uczone definicje, lecz ból serca nie staje się przez to mniejszy... Żaden podręcznik psychologii nie uczy nas, jak się go pozbyć. Najbardziej ze wszystkiego boli kłamstwo, niszczy ono bowiem zaufanie, a straszną jest rzeczą nie móc ufać osobom, które kochamy.

Zresztą i prawda nie zawsze przynosi ulgę. Ukończywszy szesnaście lat, Sara poinformowała mnie beztrąsko, że właśnie straciła dziewictwo. Wiedziałam, że nie ma stałego chłopaka, więc łagodnie mówiąc, osłupiałam. Mam nadzieję, wykrztusiłam po chwili, że było to dla niej przyjemne przeżycie, po czym natychmiast rozpoczęłam wykład na temat zagrożeń związanych z uprawianiem seksu, szczególnie w dzisiejszych czasach. Trajkotałam jak automat, najpewniej chyba ze strachu, że jeśli zamilknę, ona powie mi coś takiego, czego ja już zupełnie nie pragnę usłyszeć. Zapewniła mnie jednak solennie, że jest dobrze poinformowana o wszystkim, co dotyczy AIDS, o konieczności używania prezerwatyw i tak dalej. Naprawdę nie jest już dzieckiem! Bezpośrednio po tej deklaracji poprosiła mnie o podwiezienie do sklepu z płytami. Mniej więcej w tym samym czasie przyznała się także, iż ma za sobą pewne „eksperymenty” z narkotykami. Och, nic wielkiego, trochę trawki i LSD, rzuciła lekceważąco, nic takiego, czym by się warto przejmować. Przy okazji przypomniała swym nieznośnie staroświeckim rodzicom, że to przecież nasza generacja wynalazła halucynogeny. W odpowiedzi uznałam za stosowne przypomnieć i jej parę rzeczy: że środki te są wciąż nielegalne i że igra z ogniem. Na koniec zagroziłam, że jeśli znajdę coś takiego w domu, natychmiast każę jej się wynieść. „No i tyle mam za uczciwość” — burknęła z gniewem.

Potem rozpętała się afera telefoniczna; jacyś ludzie zaczęli wydzwaniać o wszelkich możliwych porach dnia

1 nocy. Cały dom stawał na nogi, jako że mamy tylko jedną linię. Oświadczyłam swojej starszej córce, że ma z tym natychmiast skończyć. Zarzuciła mi wtedy, że winie ją za coś, na co nie ma wpływu. Owszem, masz, powiedziałam. Twoim obowiązkiem jest poinformować swoich znajomych, że nie wolno im do nas dzwonić po 23.00. Kazała mi pilnować własnego nosa. Skończyło się na tym, że do pokoju wpadł Larry (mówię o jej sypialni) i dosłownie wyrwał ze ściany aparat, przewody i gniazdko. To dopiero załatwiło sprawę.

Skoro mowa o telefonie: tą drogą dowiedzieliśmy się z Larrym, że nie było żadnej próby pokazu mody. Około drugiej w nocy zadzwoniła jakaś przyjaciółka i bardziej niż lekko bełkotliwym głosem poinformowała nas, że Sara wyszła właśnie z przyjęcia bez torebki. Czy możemy jej powiedzieć, żeby się nie martwiła? Oczywiście. Uspokoimy ją z całą pewnością.

Sara połapała się jednak, że zostawiła torebkę, i wróciła po nią, a gdy dowiedziała się o telefonie, postanowiła wyprzedzić spodziewany atak z naszej strony. Wyobrażacie sobie, co się stało, zaczęła lamentować już w progu. Człowiek pędzi taki kawał drogi, a tu się okazuje, że próba odwołana! A to przecież tak ważna impreza! No więc

uczestnicy pokazu samorzutnie postanowili przeprowadzić tę próbę w domu jednej z dziewczyn. Przyjęcie? Nie było żadnego przyjęcia! Ludzie harowali jak dzicy do późnej nocy! Skończyli dopiero godzinę temu, kiedy wreszcie uznali, że wszystko gra, że pokaz będzie na medal! Jeśli jej nie wierzymy, zawołała, wywijając rękami, to trudno, ona może nam tylko współczuć. Ta długa perora tak utwierdziła ją w poczuciu własnej słuszności, że pod koniec w jej głosie brzmiało już doprawdy święte oburzenie. Jak śmiemy jej nie ufać? Czy my mamy pojęcie, jak strasznie żalosny przykład dajemy innym rodzicom i czegośmy narobili, rozmawiając z jej przyjaciółmi?

Założyliśmy jej szlaban na dwa tygodnie.

— A niech was diabli porwą! — wrzasnęła, wpadając jak bomba do swego pokoju.

— Uważaj, Sara — ostrzegłam ją dość spokojnie.

— To ty uważaj, pani terapeutko! — wrzasnęła o trzy tony głośniej i z całej siły trzasnęła drzwiami.

— Trzy tygodnie! — krzyknął za nią Larry. W odpowiedzi rozległ się huk. Drzwi, brutalnie potraktowane jej butem, zadygotały jak w febrze.

Po paru sekundach cichutko jak myszka w holu pojawiła się druga nasza córka. Powiodła po nas zatroskanym wzrokiem i powiedziała z wyrzutem:

— Przecież wiecie, jak skutkuje szlaban. Taka kara wywołuje co najwyżej złość. — Zabrzmiało to śmiertelnie serio, chociaż fakt, że słowa te wypowiedziało prawie jeszcze dziecko ubrane w nocną koszulkę z wielkim misiem Jogi, mógł budzić uśmiech. Ma rację, pomyślałam.

— Idź spać, Michelle.

Nie mówię, że Sara jest zawsze taka okropna. Obok złych moja córka ma też i lepsze cechy, na przykład ogromną wrażliwość i jakąś wrodzoną dobroć. Wiem, że pod tym wybujalym biustem bije serce dobrego dzieciaka. Bo Sara to wciąż jeszcze dziecko złapane w pułapkę dojrzałego ciała. I ciągle jeszcze nie jest gotowa z niej wyjść.

Pamiętam jej pierwszą miesiączkę. Stało się to dość późno, bo dopiero w wieku piętnastu lat, tak że już zdążyła zapomnieć, co jej kiedyś mówiłam o tych sprawach. W milczeniu wzięła podpaski i co prędzej umknęła z pokoju. Minę przy tym miała taką, jakby ta odrażająca rzecz spotkała ją wyłącznie na moje życzenie. Kiedy rano spytałam, czy dobrze spała, bo podpaska czasami przeszkadza, spojrzała na mnie ze zgrozą:

— Chcesz powiedzieć, że w nocy też trzeba je nosić? Do dziś chce mi się z tego śmiać. Tak samo bawi

mnie wspomnienie następnej scenki, chyba w cztery dni później.

— Jak długo to będzie trwało? — spytała z oburzeniem i tak bezgranicznym niesmakiem, że omal nie parsknęłam śmiechem. Nie miałam serca jej mówić, że jakieś trzydzieści pięć lat.

Pewnego wieczoru pomagała mi sprzątać po kolacji, choć jak zwykle bez entuzjazmu. Wkładając do zmywarki naczynia, wszystkie szklanki ustawiłam po prawej stronie komory z wyjątkiem jednej, dla której zabrakło już miejsca. Ta znalazła się po stronie lewej. Sara bez namysłu dokonała wyłomu w moim równiutkim rzędku, wyjmując z niego szklankę, którą postawiła przy tej pojedynczej.

— Samej byłoby jej przykro — wyjaśniła.

Żeby się nie rozplakać, chwyciłam w objęcia to moje nieznośne dziecko i mocno je przytuliłam.

— Kocham cię — powiedziałam.

Wytrzymała jakoś mój uścisk, niewyraźnie mruknęła, że też mnie kocha, i wyszła z kuchni. No i jak tu pogodzić te dwa tak różne wizerunki: z jednej strony słodkie, naiwne stworzenie dbałe o uczucia brudnych naczyń, z drugiej ordynarny piekielnik, który zdaje się nie rozumieć, że ludzie też mają uczucia.

„Niedaleko pada jabłko od jabłoni”, pocieszam swoich pacjentów — i siebie niewątpliwie również. Życie wróci w końcu do normy, nastolatki takie jak Sara staną się znowu ludźmi. Pod warunkiem że pożyją odpowiednio długo.

Czy prawdą jest, że każdy ma takie dzieci, jakie są mu najbardziej potrzebne? Ciekawe, co by na to powiedziała moja matka?

A co z odpowiedzią na pytanie, które zadałam na wstępie? Nie wiem, nadal nie wiem, czy postępując inaczej, miałam jakiegokolwiek szansę zapobiec temu, co się stało. Najczęściej myślę, że — jak to mówią — na dwoje babka wróżyła. Człowiek robi po prostu co może w miarę swoich sił i środków i czasami to wystarcza, a czasami nie.

Wbrew wszelkim prośbom Jo Lynn nie zgodziłam się iść z nią ponownie do sądu. Nie interesuje mnie ani Colin Friendly, ani jej zamiary związane z jego osobą, oświadczyłam

twardo. Nie do końca była to prawda, w rzeczywistości bowiem nader skrupulatnie śledziłam przebieg procesu w prasie i telewizji. W ciągu ostatniego tygodnia prokurator powołał kilkunastu świadków, których zeznania pozwoliły ustalić ten czy inny związek pomiędzy oskarżonym a przynajmniej ośmioma denatkami. Starszy mężczyzna na przykład widział jedną z ofiar udzielającą Friendly'emu jakichś wskazówek na ulicy; tego właśnie dnia zniknęła. Zapłakana kobieta przysięgła, że widziała go na ławce w parku, tam gdzie jej przyjaciółka regularnie wyprowadzała psa. Psa błąkającego się po ulicach w bezpośrednim sąsiedztwie parku znalazła grupa dzieciaków; zwróciły na niego uwagę, bo włókł za sobą smycz. Na jego właścicielkę czy raczej to, co z niej pozostało, w cztery miesiące później natknęli się jacyś wycieczkowicze obozujący w pobliżu jeziora Okeechobee. Oględziny zwłok wykazały, że została zgwałcona, pobita, jak również poraniona nożem aż w osiemdziesięciu sześciu miejscach.

Przez całe dwa dni, poniedziałek i wtorek, miejsce dla świadków zajmował koroner, który z metodyczną dokładnością referował wyniki swych badań, szczegółowo opisując wszystkie obrażenia kolejnych ofiar oraz sposób, w jaki powstały. Monotonny głos świadka pozbawiony był wszelkich emocji. Ofiara numer jeden, Marie Postelwaite, lat dwadzieścia pięć, pielęgniarka w szpitalu JKF Memoriał, została zgwałcona, pobita, poraniona ostrym narzędziem, a następnie uduszona przy użyciu jej własnych rajstop; pętlę zaciśnięto z taką siłą, że prawie odcięła głowę od tułowia. Nauczycielkę szkoły podstawowej, Christine McDermott, lat trzydzieści trzy, matkę dwojga dzieci, zgwałcono w dwojaki sposób, pobito, wielokrotnie poraniono oraz pokąsano. Ofierze numer trzy, Tammy Fisher, lat szesnaście, wzorowej uczennicy, zgwałconej, pobitej i pokłutej nożem, poderżnięto gardło od ucha do ucha... I tak dalej, i tak dalej aż do denatki numer trzynaste, dwudziestosiedmioletniej Maureen Elfer. Była ona świeżą mężatką, którą dwukrotnie zgwałcono, w tym raz analnie, okrutnie pobito, wielokrotnie pokłuto nożem i na koniec wypatroszono. Wszystkie te makabryczne opisy przypominały wariacje na ten sam temat.

Kiedy wieczorem we wtorek znów zadzwoniła Jo Lynn, oświadczyłam, że ostatnią rzeczą, na jaką bym miała ochotę, jest słuchanie o takich sprawach, i to w dodatku na sali, gdzie co chwila któryś z krewnych pęka i zaczyna szlochać.

— Ty naprawdę nie masz tego dosyć? Mnie wystarczy, że czytam o tym w gazetach.

— Żartujesz? To dopiero początek! — wykrzyknęła. Wszystkie przedstawione dowody medyczne uznała, jak to ona, za mocno wątpliwe, jeśli nie wręcz spreparowane. Wiadomo, jak niepewne i niedokładne są wyniki badań DNA, wywodziła tonem eksperta. A ten koroner siedzi w kieszeni u prokuratora. No, ale poczekajmy, aż obrońca weźmie go w obroty!

Po swojej wizycie w biurze koronera opisałam jej ten niski ponury budynek przy Gun Club Road, licząc, że może nią to wstrząśnie i nabierze choć trochę rozumu. Gdzie tam!

— Zobaczysz, Colin zostanie uniewinniony — upierała się przy swoim. Wiary tej nie podważyło nawet to, że Friendly nie odpowiedział na jej liścik. Dobrze, że choć jedno z nich przytomnie ocenia sytuację, pomyślałam z ulgą.

— Czyżby nie doręczyli mu mego listu? — zastanawiała się głośno, siedząc już w śróde na sali. Obróciłam się na swoim krześle, by ostrożnie zlustrować grupę przedstawicieli mediów.

Co ja tu właściwie robię, myślałam w popłochu, i to po tylu przysięgach! Czy to przez Roberta? Czy dla niego zgodziłam się w końcu spędzić w sądzie następną śróde? Na tę myśl aż się wzdrygnęłam: nie ma co, jestem taka sama jak Jo Lynn.

— Jak myślisz, mogli to zrobić?

— Co takiego?

— Czy mogli nie oddać mego listu Colinowi.

— Nie wiem — odparłam zgodnie z prawdą, jakkolwiek i z pewnym roztargnieniem. W tym momencie bardziej zajmowały mnie własne złudzenia.

— Taki postępek równałby się chyba złamaniu prawa — kontynuowała Jo. — No bo skoro

powierzam ci list, jesteś prawnie zobowiązana doręczyć go adresatowi, czyż nie?

— Nie mam pojęcia. — W swoim głosie usłyszałam niecierpliwość. Jo Lynn słyszała ją również.

— Co się z tobą dzieje? Rozczarowana, bo twój luby się nie pokazał?

Czerwona aż po czubki włosów, obróciłam się do niej jak dźgnięta szpilką:

— Śmieszne! Czy ty choć raz w życiu mogłabyś nie mówić głupstw?

— Trafiłam w czuły punkt, co?

Ktoś otworzył drzwi — te z przodu — i wprowadzono więźnia. Tak jak poprzednim razem błyskawicznie prześliznął się wzrokiem po sali. Jo Lynn najpierw zatrzepotała palcami na powitanie, a potem posłała mu pocałunek. Kąciki ust oskarżonego wygięły się w uśmiechu; wyciągnął rękę i pochwytiwszy niewidzialnego całusa, zacisnął na nim palce. Gest dusiciela, pomyślałam. Ubrany był w ten sam co poprzednio niebieski garnitur. Różnica polegała na tym, że nosił dziś białą koszulę i granatowy krawat. Codziennie dostaje świeże? Ciekawe, kto mu je dostarcza? Miałam ochotę zapytać o to Jo Lynn, ale się rozmyśliłam. Korzystając z tego pretekstu, zaczęłyby pewnie robić uwagi na temat mojego ubioru. To, że włożyłam dziś suknię w delikatny kwiatowy deseń, zarezerwowaną dotychczas na większe okazje, ani chybi uznałaby za dowód moich skrytych nadziei na ponowne spotkanie z Robertem.

Sama miała na sobie efektowny biały sweter i czarną skórzaną minispódniczkę. Świeżo umyte włosy spływały jej na ramiona kilkoma warstwami blond loków, ciężkich i lśniących jak brokat. Zauważyłam, że ściąga na siebie mnóstwo męskich spojrzeń. Udawała, że tego nie widzi, że całą uwagę poświęca oskarżonemu, ale za dobrze ją znałam! Już tylko po samym sposobie odrzucania włosów łatwo było rozpoznać, że te milczące hołdy sprawiają jej wielką satysfakcję.

Spostrzegłam też z pewnym zdziwieniem, że uchodzi w tej sali za nadzwyczaj prominentną osobistość. Zasięgano jej opinii na temat przebiegu poszczególnych rozpraw, pytano, czy Colin Friendly będzie zeznawał we własnej obronie i czy powinien to zrobić. Jednakowo zaskakujący był dla mnie zarówno autorytatywny ton jej wypowiedzi, jak i wielkie znaczenie nadawane im przez słuchaczy. Zawsze narzekała, że traktują ją nie dość poważnie... Czyżby miała rację?

Na miejscu dla świadków po raz trzeci zasiadł ko-roner. Był to drobny i niski mężczyzna (nie mógł mieć więcej niż sto sześćdziesiąt dwa, może trzy centymetry wzrostu) o ciemnych włosach i tak nienaturalnie pociągłej twarzy, jakby ją przycięły drzwi autobusu, przez co wszystkie rysy stłoczyły się w środku. Na czubku nosa sterczały mu okulary w okrągłych drucianych oprawkach. Dr Ronald Loring, bo tak się nazywał, wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Młodszy ode mnie, pomyślałam. Prokurator wstał z miejsca i podszedł do świadka.

— Mamy dziś do pana tylko kilka pytań — oznajmił, zapinając górny guzik brązowej prążkowanej marynarki. — Świadek w milczeniu skinął głową. — Stwierdził pan, że wszystkie ofiary zostały zgwałcone, przy czym niektóre w perwersyjny sposób, czy tak?

— Zgadza się.

— Czy w ciele którejs z ofiar znaleziono spermę?

— Tak, znaleźliśmy nasienie we wszystkich tych ciałach, w których tkanki nie uległy zupełnemu rozkładowi. Są to... — Koroner odczytał nazwiska.

— Czy próbka spermy pobrana od oskarżonego wykazuje te same cechy co nasienie znalezione w zwłokach?

— Istnieje między nimi znaczące podobieństwo. Zerknęłam na Jo Lynn, która odrzuciła włosy, udając,

że nie widzi mojego spojrzenia. Prokurator i doktor Loring wdali się teraz w przydługą dyskusję na temat metod stosowanych przy analizie oraz identyfikacji spermy. Nie pamiętam szczegółów, wiem tylko, że mowa była o gruczołach dokrewnych, sekrecjach, grupach krwi i innych czynnikach pozwalających określić tożsamość sprawcy, i że na tej podstawie wydano następujące orzeczenie: prawdopodobieństwo, że gwałcicielem wymienionych ofiar był Colin

Friendly, wynosi siedemdziesiąt procent.

— Siedemdziesiąt procent — prychnęła Jo Lynn, Porównanie śladów uzębienia widocznych na kilku

ciałach z odciskami zębów Friendly'ego przyniosło rezultat podobny: istniejąca między nimi zbieżność była bliska, choć nie całkowita. Znalezione w ranach śladowe resztki śliny wskazywały na oskarżonego, choć nie dowodziły jego sprawstwa w sposób definitywny. Mimo to zdaniem doktora Loringa było rzeczą nie budzącą wątpliwości, że ślady zębów na ciałach pozostawił właśnie Colin Friendly.

No a co ze zwłokami znalezionymi już w stanie tak daleko posuniętego rozkładu, że trudno je było rozpoznać? — brzmiało kolejne pytanie prokuratora. Praktycznie pozostały z nich jedynie kości, czy istnieje zatem możliwość ustalenia chociażby przyczyny śmierci, nie mówiąc już o sprawcy? Skąd wiadomo, że był nim Colin Friendly?

Koroner odpowiedział na to długim wywodem o najnowszych zdobyczach medycyny sądowej. Stosowane obecnie metody są tak wyspecjalizowane, stwierdził, że często pozwalają precyzyjnie ustalić już nie tylko dokładny czas zgonu, ale i jego przyczynę. Szczegółowo omówił zwłaszcza metody stosowane we własnej placówce. Podawał jednak te fakty tak monotonna i sucho, że sporą część

ławy przysięgłych zaczęła ogarniać senność. Widać to było po oczach. Jeden z sędziów wyraźnie już drzemał.

— Trele-morele — mruknęła Jo Lynn.

Ogólne ożywienie wzbudził dopiero ostatni fragment wywodu, w którym dr Loring zwrócił uwagę przysięgłych na uderzające podobieństwo okrutnych metod przemocy zastosowanych przez sprawcę wobec każdej z trzynastu ofiar. Wszystkie zostały ciężko pobite, wszystkie miały zgruchotane nosy. Wokół piersi zadano im mnóstwo ran kłutych tego samego kształtu — każda przypominała pionową ósemkę. Niektórym kobietom rozpruto brzuchy, by wielokrotnie wymierzyć im cios prosto w serce. Konkluzja koronera brzmiała: wszystkie trzynaście kobiet zamordował ten sam człowiek. Tym człowiekiem jest oskarżony.

— Stary ramol — syknęła Jo Lynn.

Tego już nie wytrzymałam. Złość gotowała się we mnie od dłuższej chwili, tak że teraz wystarczył mi byle pretekst.

— Jak możesz mówić takie rzeczy! — wyskoczyłam na nią. — Nie słyszałaś tego, co powiedział?

— Powiedział „siedemdziesiąt procent”, a nie „sto” — w mgnieniu oka odbiła piłeczkę — i że istnieje „bliska zbieżność”, a nie „całkowita”! Zobaczysz, jak Archibald się z nim rozprawi!

Na szczęście sędzia zarządził przerwę na lunch. Friend-ly wstał, powiedział coś swoim prawnikom, a wychodząc z sali uśmiechnął się do Jo Lynn.

— Trzymaj się, Colin! — zawołała moja siostra i dla podkreślenia swej głębokiej wiary w jego niewinność gorliwie pokiwała głową.

— Na dziś mam dosyć — oświadczyłam. — Może byśmy już poszły?

— No wiesz — rzuciła z oburzeniem — chcesz zbierać manatki i iść do domu, bo nie ma twojego kochasia?

— Nie bądź śmieszna!

— Mówisz mi to dzisiaj już drugi raz, ale to nie ja jestem śmieszna, tylko ty. To nie ja wdycham do faceta, co trzydzieści lat temu rzucił cię jak starą rękawiczkę.

Musiałam z całych sił wziąć się w garść, żeby na nią nie wrzasnąć. Na szczęście udało mi się. Po kilku głębokich oddechach bez słowa chwyciłam torebkę, sygnalizując tym Jo, że wychodzę. Wstała, żeby mnie przepuścić. Postawiłam właśnie nogę w przejściu między rzędami, gdy usłyszałam czyjś głos:

— Bardzo przepraszam, miss Baker... Zerknąwszy za siebie zobaczyłam, że zbliża się do niej ten jasnowłosy muskularny prawnik. Szepnął coś Jo do ucha i odszedł. W mgnieniu oka otoczył

nas tłum reporterów, rozległa się dzika kanonada fleszy. Pochyliłam głowę, twardo zmierzając do wyjścia. Jo Lynn ruszyła za mną, lecz bez nadmiernego pośpiechu. No oczywiście, kamery!

— Co Jake Archibald miał pani do powiedzenia?

— zawołał któryś z dziennikarzy.

— Przepraszam, ale to sprawa poufna — uśmiechnęła się rozbrajająco, skromnie spuszczać oczy i ściągając wargi jak pensjonarka. Cóż za nieznośna kokietka!

— Co panią łączy z Colinem Friendlym, kim pani jest?

— rozległy się głosy.

— Po prostu przyjaciółką, która wierzy w jego niewinność.

— Nawet w świetle dzisiejszych dowodów?

— Myślę, że w sprawie dowodów możliwe jest zawsze jakieś oszustwo, a badania laboratoryjne mogą być niewiarygodne. Tutejsze biuro koronera jest, co tu mówić, istną ruiną

— paplała Jo, wykorzystując w jakże nieuczciwy sposób zasłyszane ode mnie informacje. — A to ich wyposażenie nadawałoby się raczej do muzeum.

Dobrze mi tak, pomyślałam, jak można ufać Jo Lynn!

— Czy Colin Friendly to pani bliski przyjaciel?

— Och doprawdy, to już zbyt osobiste...

— Proszę nam zdradzić, co powiedział Jake Archibald? Jo Lynn przystanęła, uśmiechając się mile do każdego

z zebranych reporterów. Ach tak, nie zapomniała przy tym lekko zwilżyć warg — do zdjęć. Miała dziś szminkę w odcieniu ciemnej czerwieni.

— Słowo daję, chłopcy — zwróciła się do dziennikarzy jak do swoich najlepszych kumpli — powiedziałabym wam, gdybym mogła. Nie gniewajcie się na mnie. — Z tymi słowy chwyciła mnie za ramię i wypchnęła na korytarz.

— Na litość boską — mruknęłam półgłosem — co ty wyprawiasz?

— Po prostu staram się być grzeczna, jak nas uczyła mama — zachichotała. Pociągnęła mnie do kąta, gdzie spytała z przekornym uśmieszkiem: — Nie chcesz wiedzieć, co powiedział Jake Archibald?

— Nie chcę.

— Kłamczucha! No dalej, pytaj!

Próbowałam milczeć, cóż, kiedy rzeczywiście gryzła mnie ciekawość i Jo dobrze to wiedziała.

— No więc co powiedział?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha, a ja poczułam mróz w kościach.

— Bomba — powiedziała z triumfem. — Colin chce się ze mną widzieć!

ROZDZIAŁ 8

— Proszę powiedzieć, co państwa do mnie sprowadza.

Ciemnowłosa kobieta w średnim wieku nerwowo zerknęła na męża, który z najwyższą uwagą przyglądał się własnym stopom w eleganckich brązowych mokasynach.

— Nie bardzo wiem, od czego zacząć. — Pacjentka powtórnie obrzuciła męża niespokojnym spojrzeniem.

— Na mnie nie patrz — syknął nie podnosząc oczu. — To nie ja chciałem tu przychodzić.

— Pan nie chciał? — powtórzyłam pytająco.

— To był jej pomysł. — Mężczyzna wycelował kciuk w stronę żony.

Już siadając przede mną przy stoliku, Lois i Arthur McKayowie rozsunęli krzesła w taki sposób, że utworzyły one szeroko rozarty kąt. A tak efektowną stanowili parę. Wysocy, wypielęgowani, nieskazitelnie eleganccy, można by rzec, królewscy w postawie i ruchach. W młodości musieli ściągać na siebie wszystkie spojrzenia, bo i było na co patrzeć. On, pewnie najlepszy gracz w futbol, uwielbiane bożyszcze całego kampusu, i ona, dziewczyna jak z bajki, jego dama, jego piękna królowa... Teraz mieli za sobą trzydziestoletnie blisko pożycie małżeńskie i trójkę dorosłych dzieci. Była to ich pierwsza wizyta.

— Więc to żona postanowiła tu przyjść. Jak pan myśli, dlaczego?

— Musi pani ją o to spytać — wzruszył ramionami pacjent.

— Dobrze. — Skinęłam głową. — Lois, pytam panią. Zawahała się lekko, niepewnie rozejrzała dookoła, wreszcie wbiła oczy w podłogę.

— Mąż po prostu... kompletnie mnie nie dostrzega. Jestem tym zmęczona.

— Dlatego że parę razy w tygodniu pogram sobie w golfa czy w brydża?

— W golfa grasz codziennie, a w brydża trzy razy w tygodniu.

— Po to przenieśliśmy się na Florydę. Jestem na emeryturze!

— A ja myślałam, że po to, aby razem spędzać więcej czasu. — Lois McKay odetchnęła głęboko i sięgnęła po chusteczkę. — Nie chodzi tylko o brydża — powiedziała po krótkiej pauzie. — Ani nie o golfa.

— A o co? — zapytałam.

— Mniej więcej rok temu — zaczęła już bez wahania — poszłam na coroczną kontrolę do lekarza. Moja lekarka wykryła coś w prawej piersi i posłała mnie na mammo-grafię. Krótko mówiąc, okazało się, że mam raka. Musiałam poddać się mastektomii. Proszę spytać mego męża, co robił, kiedy ja leżałam na stole operacyjnym.

— To nie fair! — zaprotestował Arthur McKay. — Sama powiedziałaś, że nie jestem ci tam potrzebny, że w niczym nie mogę ci pomóc.

— Chciała pani, żeby mąż był w szpitalu podczas operacji?

Lois zamknęła oczy:

— Oczywiście, że chciałam.

— Przecież powiedziałaś, żebym szedł na golfa! Mówiłaś tak czy nie?

— Owszem, tak ci powiedziałam.

— Ale myślała pani co innego — wtrąciłam łagodnie.

— Tak.

— Lois, dlaczego ukrywałaś przed mężem, że chciałabyś go mieć przy sobie?

W odpowiedzi pokręciła głową. Kilka łez kapnęło jej na kolana, plamiąc jasnozieloną spódniczkę eleganckiego kostiumu.

— Takich rzeczy nie trzeba mówić. Sam powinien wiedzieć...

— Aha, powinienem był czytać w twoich myślach!

— Pragnęłam, żeby sam chciał być przy mnie — wyszeptęła Lois.

— I było ci przykro, gdy się tak nie stało. Skinęła głową.

— No tak, powinienem był wiedzieć, co ona myśli! — powtórzył jej mąż. — Ciekawe, jakim

cudem, psiakrew!

— Powinieneś być przy mnie. Powinieneś być troszczyć się o to, czy przeżyję... Mieć przynajmniej tyle zwyczajnej przyzwoitości, żeby mnie chociaż raz odwiedzić!

— Nie odwiedzał pan żony w szpitalu?

— Ona zna mój stosunek do szpitali, wie, że ich nienawidzę. Na sam widok szpitala cierpnie mi skóra!

— Proszę go spytać, kiedy po raz ostatni mnie dotknął. Ciekawe, czy pamięta, kiedy się ze mną kochał — mówiła dalej Lois. — Przed operacją! Od tego czasu w ogóle się do mnie nie zbliża!

— Och, na litość boską, przecież byłaś chora! Najpierw operacja, potem naświetlania. Byłaś skrajnie wyczerpana. Tylko mi nie mów, że myślałaś wtedy o seksie. Nonsens!

— Ale teraz już nie jestem chora, przynajmniej fizycznie. Mam tylko dosyć twojej obojętności. Jestem tym wykończona! — Lois zaczęła szlochać. — Zupełnie jakbym nie istniała. Jakbym gdzieś cała zniknęła razem z tą odciętą piersią!

Przez kilka sekund nikt z nas się nie poruszył, nie licząc lekkiego drżenia jej ramion. Arthur McKay siedział sztywno jak manekin; mięśnie twarzy miał tak napięte, że sprawiała wrażenie maski. Pośmiertnej.

— Do tego stopnia przeraziła pana wiadomość, że pańska żona ma raka? — zapytałam.

— Dlaczego miałbym być przerażony? — Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

— Bo rak to straszna choroba.

— Wiem o niej wszystko. Moja matka zmarła na raka, kiedy byłem dzieckiem.

— Bał się pan, że żona może umrzeć?

W oczach znów błysnął mu gniew, widziałam, jak zaciska pięści. Nie odpowiedział.

— Czy mówił pan żonie o tym, co pan czuje?

— Nie interesowały jej moje uczucia.

— Nieprawda! Wiele razy próbowałam z tobą porozmawiać.

— Dajmy temu spokój, Lois, teraz to i tak bez znaczenia. Było, minęło. Nie jesteśmy już w stanie nic tutaj zmienić.

— A co teraz?

— Nie rozumiem.

— Czy teraz też pan się boi? — Arthur McKay otworzył usta, lecz po sekundzie zamknął je bez słowa.

— Mastektomia — mówiłam dalej — to coś dużo bardziej skomplikowanego niż inne zabiegi. Utrata piersi pociąga wiele różnych konsekwencji dla obojga partnerów. Niech pan powie, co pan czuł w związku z operacją żony? Co czuje pan teraz? — poprawiłam się szybko.

— Nie wiem — odparł niecierpliwie.

— Ale ja wiem — powiedziała Lois, wycierając oczy świeżą chusteczką. — Przejmuje go to obrzydzeniem. Ja również.

Przez długą straszliwą sekundę w pokoju trwało milczenie.

— A niby co mam czuć?

— Może na przykład wdzięczność, że jednak żyję?

— ostro rzuciła Lois.

— Jestem wdzięczny, że żyjesz.

— Wdzięczny i pełen odrazy.

Znowu zapadła długa, niemiłosiernie długa cisza. Arthur wstał z krzesła i zaczął krążyć pod oknem jak uwięziony tygrys.

— No pięknie! Teraz dopiero wyszedłem na gnojka, gorszego niż przedtem! I kto by pomyślał? Wydawało się to już przecież całkiem niemożliwe, prawda? Bo czyż można być większym łajdakiem niż facet, który nie dość że gra sobie w golfa, kiedy jego żona leży na stole operacyjnym, to później nie kwapi się nawet odwiedzić chorej w szpitalu? No i proszę, okazuje

się, że to jeszcze nic! Bo teraz faceta mierzi operacja żony. Co gorsza, wie doskonale, że jego uczucia nie ulegną zmianie. Niestety, nic na to nie może poradzić. I nie wytrzymuje już tego cholernego poczucia winy. Ma go po dziurki w nosie!

— Przez to, że odjęto mi pierś, nie ubyłoby mi kobiecości

— powiedziała Lois McKay, pozwalając splotywać łzom po policzkach. — Czuję się nadal kobietą, ale ty... Co powiesz o swojej męskości? Jaki z ciebie mężczyzna?

Jej mąż na moment skamieniał, po czym wstał, kilkoma krokami znalazł się przy drzwiach i wyszedł. Zerwałam się z krzesła.

— Niech idzie — cicho odezwała się Lois, zwijając moką chusteczkę.

— Możemy przewyciężyć ten kryzys. On wróci.

— Wiedziałam, że wystarczy na to kilka słów.

— Nie trzeba — pokręciła głową. — Za późno. Ale dobrze, że to z siebie wyrzuciłam. Ulżyło mi. Naprawdę.

— On potwornie się boi, że cię może utracić. — Powiedziałam to ze świadomością, iż moje słowa mogą wydać się paradoksalne na tle tego, co mówił McKay.

— Tak, to interesujące spostrzeżenie. — Zaskoczyła mnie tą odpowiedzią. — Chyba masz rację, ale dla mnie to już sprawa bez znaczenia.

— Może po pewnym czasie...

— Nie mam aż tyle czasu — powiedziała po prostu.

— Poza tym on ma rację: tak to odczuwa i trudno. Nic na to nie może poradzić.

— A ty? Co teraz czujesz?

Odetchnęła głęboko i jak rozżalone dziecko zaczęła wyrzucać z siebie słowa. Wprost wydawało mi się, że widzę, jak siekają powietrze:

— Urazę. Gniew. Strach.

— Czego się boisz?

— Przyszłości. Jeśli w ogóle mam jakąś przyszłość.

— Masz ją na pewno.

— Pięćdziesięcioletnia kobieta bez jednej piersi? — Uśmiechnęła się do mnie, lecz był to uśmiech aż ciężki od smutku, jak chmura nabrzmiała deszczem. Przed wyjściem zarezerwowała sobie kilka wizyt. Tylko dla siebie, podkreśliła. Będzie przychodzić sama.

W parę chwil po jej wyjściu zamieniłam swój szary kostium na dres i uruchomiłam deptak. Maszerując jak zwykle z najwyższą determinacją, zaczęłam się zastanawiać, jak ja bym się czuła, gdyby mi groziła utrata piersi, i jak by zachował się Larry. Tak samo jak Arthur McKay? Nie, z góry wiedziałam, że nie. Dla mego męża nie miałyby znaczenia ani utrata piersi, ani nic innego. Mogłabym przytyć o dziesięć kilo czy wyłysieć, a jego stosunek do mnie nie uległby zmianie. Poznaliśmy się w college'u na randce w ciemno zorganizowanej przez jakichś znajomych. Zgodziłam się z dużą niechęcią, randkowanie nie było moją pasją. Mimo swych ponad dwudziestu lat wciąż jeszcze byłam dziewicą, choć w tym momencie już nie tyle z wyboru, ile z bardziej obiektywnych przyczyn. Od wieków z nikim się nie spotykałam. Dni upływały mi na wykładach, wieczory w bibliotece. Nie tylko z pracowitości, lecz również z tego powodu, że powrót do domu oznaczał dla mnie ostateczność. Zasnęłam przy wtórce chamskiego ryku ojczyzna, po którym nocą budziło mnie ciche, stłumione łkanie mojej matki. Myślę, że właśnie dlatego zgodziłam się spotkać z Larrym — wszystko było lepsze od siedzenia w domu.

Poszliśmy na kolację do włoskiej restauracyjki w pobliżu kampusu. Larry wyznał mi później, że zakochał się we mnie już podczas pierwszego spotkania. „Dlaczego?” Zadając to pytanie, spodziewałam się komplementów w rodzaju: „urzekły mnie twoje oczy” (albo usta czy też intelekt), a co usłyszałam? „Bo wymiotłaś swój talerz do czysta”. I jak tu go było nie kochać?

Nie było między nami żadnych gier, wykrętów, udawania. W oczach Larry'ego jak w lustrze odbijała się cała jego dusza — szczerą, hojną, wspaniałomyślną. Czułam się przy nim

bezpieczna. Wiedziałam, że będzie dla mnie dobry, że nigdy świadomie nie sprawi mi żadnej przykrości. Po tylu latach domowego piekła uważałam to za rzecz najważniejszą. Larry był skromny i prawy, miał wysokie poczucie moralne. Nikogo takiego dotąd nie spotkałam. Byłam pewna, że będzie mnie kochał do śmierci, cokolwiek by się z nami działo.

Wciąż jeszcze odbywałam swój marsz na deptaku, kiedy zadzwonił telefon. Zazwyczaj w takich przypadkach pozostawiam sprawę automatycznej sekretarce, tym razem jednak podbiegłam do aparatu. Sama nie wiem dlaczego. Pewnie myślałam, że to Jo Lynn, która uparcie zalewała mnie lawiną informacji z codziennych posiedzeń sądu. W ostatnim tygodniu prokurator zużył mnóstwo czasu i energii na przekonanie przysięgłych o wiarygodności badań DNA. W tym celu powoływał wciąż nowych ekspertów, którzy mieli wytłumaczyć ławie, na czym polegają te niezmiernie skomplikowane metody. Nie trzeba dodawać, że chwilami było to śmiertelnie nudne, zwłaszcza że i obrona uznała za stosowne poświęcić później tyle samo czasu na zdyskredytowanie opinii przedstawionych przez każdego z biegłych. Jo Lynn zrobiła się bardziej kąśliwa niż zwykle. Jej spotkanie z Colinem Friendlym nie doszło jeszcze do skutku, toteż z coraz większym przekonaniem rozprawiała o spisku, który powstał jakoby po to, by trzymać ją z dala od niego.

— Ośrodek Terapii Rodzinnej — powiedziałam, podnosząc słuchawkę.

— Czy mogę prosić Kate Sinclair?

— Przy aparacie.

— Kate, tu Robert Crowe. — Serce zaczęło mi bić jak szalone, zabrało mi nagle powietrza, zupełnie jak na deptaku. — Halo, Kate, jesteś tam?

— Jestem — powiedziałam szybko, zła na samą siebie. Wstyd mi było, że moje ciało reaguje jak automat na sam tylko dźwięk jego głosu. W dodatku dopiero przed chwilą śpiewałam hymny pochwalne na cześć zasad moralnych swojego męża... A gdzie są, psiakrew, moje zasady moralne? — Jak się masz, Robercie?

— Doskonale. Nie widziałem cię dzisiaj w sądzie.

— Byłeś na rozprawie?

— Uhm, ale ciebie nie było.

— Mogę chodzić tam tylko w środy.

— Będę to miał na uwadze. Widziałem twoją siostrę.

— Jej trudno nie zauważyć.

— W przedwczorajszej gazecie przeczytałem interesującą wzmiankę na jej temat: „Nowa przyjaciółka Przyjaznego”. Chwytny tytuł. Co to za historia? Coś naprawdę jest między nimi?

— Nic nie ma. — Czy dlatego właśnie zadzwonił? Polowanie na sensację?

— Wiesz, nic dziś nie straciłaś. Sędzia odroczył rozprawę do przyszłego tygodnia.

— Tak? A z jakiego powodu?

— Główny bohater ma podobno grypkę. Biedaczek kiepsko się czuje, no i jego prawnicy wniesli o odroczenie. Pewnie potrzebna im przerwa.

— Wszystkim nam się to przyda — powiedziałam, myśląc zarazem mściwie, jak by to było dobrze, gdyby tak Friendly dostał zapalenia płuc i umarł.

— Właśnie dlatego dzwonię — rzucił Robert. Dlatego? Czyżby coś mi umknęło z jego wypowiedzi? — Pomyślałem, że może wybrałabyś się ze mną na lunch?

— Na lunch?

— Powiedzmy, w przyszłą środę, oczywiście pod warunkiem że nie żal ci będzie opuścić rozprawy.

— Zapraszasz mnie na lunch? — powtórzyłam, gryząc się zaraz w język, by nie zrobić tego po raz trzeci.

— Mam dla ciebie interesującą propozycję.

— Jakiego rodzaju?

— Coś, co ci się spodoba.

— Powiesz mi, o co chodzi?

— Powiem w środę. No więc gdzie się spotkamy?

Ostatecznie umówiliśmy się w Charley's Club przy South Ocean Boulevard. Punkt dwunasta. Już gdy wieszałam słuchawkę, runęła na mnie cała lawina wątpliwości. Co ja, u diabła, wyprawiam? Powinnam natychmiast zadzwonić i pod byle pretekstem odwołać tę randkę. Ale to przecież nie randka, przywołałam się do porządku. Nie głupiej, Kate, to tylko lunch, interesująca propozycja. Ciekawe, o co też chodzi? „No, dowiem się w środę”, głośno oznajmiłam ścianom, odchodząc od telefonu. W tym momencie zadzwonił znowu.

— Nie możesz przyjść — rzuciłam w słuchawkę, pewna, że to Robert, który nagle przypomniał sobie o jakichś zobowiązaniach.

— Kto i dokąd? — spytał męski głos.

— Larry?

— To ty, Kate?

Roześmiałam się głośno z mieszaniną ulgi i poczucia winy.

— Jedna moja pacjentka. Wciąż nie może się zdecydować, czy przyjść, czy nie. Rozumiesz, jak to kobieta. — Wyraźnie podkreśliłam, że chodzi o kobietę.

— Przyjdzie! Któż by mógł ci się oprzeć! Chciałam się roześmiać, skończyło się na kaszlnięciu.

— Źle się czujesz? — zaniepokoił się Larry. — Czyżbyś się przeziębiła?

— Ach nie, wszystko w porządku. — Czułam się okropnie, jak patentowany kłamca. — Coś się stało? W czym mogę ci pomóc?

— Chcę tylko sprawdzić, czy jesteśmy wolni w ten piątek wieczorem.

— Chyba tak. Czemu pytasz?

— Mój zadowolony klient zaprasza nas na kolację.

— To miło z jego strony.

— Bardzo. Zadzwonię, że może na nas liczyć. Kocham cię, zabawna buzio — powiedział na do widzenia.

— Ja ciebie też.

„No a teraz — przykazałam sobie głośno — zadzwonisz do Roberta i odwołasz to wasze spotkanie. Dość tych głupot. Propozycję, jeśli naprawdę ją ma, może ci przedstawić przez telefon.” W tym momencie stuknęły drzwi do poczekalni. Sprawdziwszy godzinę, rzuciłam okiem na kalendarz przyjęć. No tak, Sally i Bili Petersonowie przyszli dziś trochę wcześniej, a ja ciągle jeszcze jestem w proszku, fatalnie. Zaczęłam z pośpiechem zdejmować bluzę od dressu, która jak na złość znów omotała mi głowę. „Dobrze ci tak, głupia”, mruknęłam pod nosem. Nadal nic nie widząc, usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi prowadzące do mojego sanktuarium, i gorączkowym ruchem zdarłam z siebie bluzę. Kto, na Boga, ma czelność wchodzić tu bez zaproszenia? Spojrzałam i ku jeszcze większemu zdumieniu zobaczyłam matkę. Stała dziwnie skulona pod ścianą z twarzą tak samo szarą jak jej rozczochrane włosy. W ciemnych, szeroko otwartych oczach widać było strach.

— Mamo! Skąd się tu wzięłaś? Co się stało?

— Ktoś mnie śledzi.

— Niemożliwe.

— Ktoś mnie śledzi — powtórzyła, rozglądając się ukradkiem po pokoju.

— Kto cię śledzi? Co ty opowiadasz?

— Jakiś mężczyzna. Skradał się za mną kawał drogi. Wszedł tutaj, do tego budynku.

Niewiele myśląc, wyskoczyłam na korytarz. Błyskawicznie rozejrzałam się na wszystkie strony — nikogo. W długim, wyściełanym czerwonym chodnikiem foyer panował zupełny spokój. Ostrożnie ruszyłam w drugi jego koniec, w stronę klatki schodowej, i minawszy po drodze windę, z rozmachem otworzyłam oszklone drzwi. Na schodach także nie było nikogo.

Wracalam już do siebie, kiedy z windy wysiadła jakaś mloda atrakcyjna kobieta, która obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem. Dopiero wtedy zauważyłam, że mam na sobie tylko spodnie od dresu i biustonosz. No pięknie. Mój Boże, i tak wygląda osoba, która innym prostuje ścieżki.

— Tam nie ma żadnego mężczyzny! — zawołałam, wracając do pokoju i co prędzej wciągając bluzę. Kiedy z niej wychyłam, mojej matki nie było. — Mamo?

— Zajrzałam do wąskiego przedpokoiku: ani śladu. Może jest w gabinecie? Wyobraziłam sobie, że pewnie stoi przy oknie, podziwiając rzędy wspaniałych palm przy Royal Palm Way; to od nich ulica wzięła swą nazwę. — Mamo, gdzie jesteś? — Zaczynałam już myśleć, że wcale jej tu nie było, że to moje nieczyste sumienie podsuwa mi przed oczy wizerunek matki, by przywrócić mi trochę rozsądku, kiedy skądś dobiegło mnie ciche kwilenie. Momentami milkło, jakby ktoś bardzo się starał, aby go nie usłyszano... Ten dźwięk, który mimo upływu lat pamiętam wciąż aż za dobrze, zmroził mnie do szpiku kości. — Mamo, mamusiu...

Znalazłam ją w końcu za drzwiami. Siedziała na podłodze tak skulona, że kolanami dotykała podbródka. Twarz miała mokrą od łez, zapuchnięte oczy, szeroko otwarte usta wyglądały jak wielka rana. Jednym skokiem znalazłam się przy niej. Kiedy ją objęłam, poczułam, że trzęsie się cała jak w febrze. Nie wiedziałam, co robić, jak ją uspokoić.

— Mamo — powtarzałam tylko — nie bój się, proszę. Nikogo nie ma ani tu, ani w korytarzu. Jesteś bezpieczna, naprawdę, nic ci nie grozi.

— On tam był. Szedł za mną.

— Ale kto? Wiesz, kto to był? Energicznie pokręciła głową.

— Któryś z twoich współlokatorów?

— Nie, to ktoś obcy. Nigdy przedtem go nie widziałam.

— Jesteś pewna, że cię śledził? Może po prostu szedł tylko w tę samą stronę?

— Nie — powiedziała stanowczo — szedł za mną. Za każdym razem gdy się odwracałam, zatrzymywał się i udawał, że ogląda wystawy, a kiedy przyspieszałam lub zwalniałam kroku, on robił to samo.

Zacząłam się zastanawiać, czyby nie zadzwonić na policję... Ale czy to możliwe, żeby ktoś naprawdę śledził moją matkę? W jakim celu? No, chyba że była dziś w banku. Starsza kobieta to łatwy cel dla rabusia. Tylko że bank mojej matki znajdował się blisko jej domu, czyli bardzo daleko od centrum. Gdyby chciała iść stamtąd pieszo, zajęłoby jej to chyba kilkanaście godzin.

— Jak się tu dostałaś? — zapytałam. Popatrzyła na mnie pustym wzrokiem. — Mamo — powtórzyłam z nagłym strachem, choć nie bardzo wiedziałam, czego właściwie się boję — powiedz mi, jak tu dotarłaś? — Oczy jej pociemniały i znów niespokojnie obiegiły pokój. — Nie pamiętasz?

— Oczywiście, że pamiętam — powiedziała nagle zupełnie spokojnym głosem. Wstała z podłogi i zaczęła wygładzać fałdy swojej kwiecistej spódnicy. — Wzięłam taksówkę. Wysiadłam na Worth Avenue pooglądać sobie wystawy, a potem postanowiłam przejść się do ciebie spacerkiem. Wtedy jakiś człowiek zaczął mnie śledzić. — Z westchnieniem przyglądała włosy. — Teraz myślę, że pewnie polował na moją torebkę. Głupio mi, że tak się wystraszyłam, ale cóż, jestem już stara, moje dziecko, musisz mi to wybaczyć.

Usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi do gabinetu, po czym je zaraz zamyka, więc czujnie zerknęłam w tę stronę.

— To pewnie twój następny pacjent — powiedziała uspokajająco matka, gładząc mnie po policzku. — Pójdę już, wracaj do pracy.

Przeprosiwszy na chwilę Petersonów, na wszelki wypadek zwiozłam ją na dół i wsadziłam do taksówki.

— Mamo — powiedziałam łagodnie, gotowa już zamknąć drzwiczki — może powinnaś pójść do lekarza?

— Nonsens, kochanie, czuft; się doskonale — odrzekła z uśmiechem — ale ty, złotko,

mizernie mi jakoś wyglądasz. Chyba za ciężko pracujesz. — Mówiąc to, ucałowała mnie w policzek. — Musimy o tym pogadać. Zadzwoń do ciebie, pa!

ROZDZIAŁ 9

— Proszę podać definicję socjopatii — polecił biegłemu prokurator.

Mężczyzna ubrany w granatowy garnitur, białą koszulę i krawat w czerwone paski, co nadawało mu wygląd równie dystyngowany jak patriotyczny, zastanowił się chwilę, choć jako ekspert powołany przez oskarżenie odpowiedź niewątpliwie musiał mieć gotową.

— Socjopata nazywamy jednostkę wrogą wobec społeczeństwa — rozpoczął swoją wypowiedź. — Osobnik tego typu prawie nie odczuwa normalnych ludzkich emocji z wyjątkiem gniewu i złości. Ów gniew w połączeniu z niemal absolutnym skupieniem na sobie i zupełnym brakiem współczucia dla innych pozwala mu popełniać najbardziej haniebne zbrodnie bez poczucia winy czy żalu.

— A sadyzm seksualny?

Znów ta krótka, dobrze przemyślana pauza.

— Tak nazywamy człowieka, który czerpie przyjemność seksualną wyłącznie lub przede wszystkim z zadawania bólu.

— Czy obie te dewiacje występują wspólnie? — Prokurator pogładził brązowy wzorzysty krawat i spojrzał w stronę przysięgłych.

Śledząc kierunek jego wzroku łatwo było zauważyć, jak ława natychmiast nastawia uszu. Wystarczyło słówko „seks”, uśmiechnęłam się w duchu, zerkając na swoją siostrę. Wystroiła się dzisiaj w białe obcisłe dzinsy i takąż koszulkę z różowym sercem pośrodku.

— Socjopata niekoniecznie musi być sadystą na tle seksualnym, ten natomiast jest niemal zawsze socjopata — oświadczył biegły.

— Doktorze Pinsent, czy pańskim zdaniem Colin Friendly jest sadystą seksualnym?

— Tak.

— Czy jest socjopata?

— Zdecydowanie tak.

Spojrzałam znów na Jo Lynn: twarz miała spokojną, a nawet pogodną. Do licha, czy ona w ogóle nie słucha? Czy nic z tego do niej nie dociera? Oskarżyciel tymczasem podszedł do stołu obrony, zatrzymał się przed podsądnym i zaczął mu się przyglądać, jakby widział go po raz pierwszy. Colin Friendly uśmiechnął się mile. Najwyraźniej wyzdrowiał już całkiem po ataku grypy. Oczy miał czyste, na twarzy kolory, wszystko wróciło do normy.

— Oskarżony jednak bynajmniej nie wygląda na dewianta — zauważył prokurator Eaves, jak gdyby czytał w mych myślach. — Przeciwnie, wydaje się łagodny i tak dobronudny, jak to sugeruje jego nazwisko, jest ponadto przystojny, uprzejmy i inteligentny.

— Socjopaci są często bardzo inteligentni — wyjaśnił biegły. — Nie jest też powiedziane, że ludzie jego pokroju nie mogą być przystojni. Co do uprzejmości, cóż, pan Friendly demonstruje nam po prostu takie zachowania, o których sądzi, że zadowolą one pana czy mnie.

Obrońca już zerwał się z krzesła:

— Sprzeciw, wysoki sędzie. Świadek nie może wiedzieć, co myśli mój klient.

— Sprzeciw podtrzymany.

— Mówiąc bardziej ogólnie, doktorze Pinsent — kontynuował nie zrażony tym prokurator — czy może pan szerzej rozwinąć tezę, iż socjopaci demonstrują takie zachowania, jakich życzy sobie otoczenie?

— Osobnicy ci nadzwyczaj zręcznie potrafią manipulować ludźmi. Jakkolwiek ich własne emocje są niesłychanie płytkie, oni sami zaś skoncentrowani wyłącznie na sobie, umieją jednak dobrze naśladować emocje zaobserwowane u innych i na tej podstawie stwarzać pozory właściwych reakcji uczuciowych. Właściwych, czyli takich, jakie w danych warunkach uważane będą za normalne. Przeciętny człowiek przyjmuje a priori, że każda istota ludzka wyposażona jest w pewne elementarne zasady przyzwoitości, dobrego wychowania i tak dalej, oni zaś bez skrupołów grają na tym przeświadczeniu. Ludzie, krótko mówiąc, przypisują im

własne uczucia, czyli coś, czego po prostu nie ma. — Biegły przerwał, by spojrzeć na oskarżonego. — Socjopaci są często bardzo elokwentni, nierzadko potrafią też być czarujący. Umieją pobudzić człowieka do śmiechu, a zaraz potem dźgnąć go nożem w serce.

— Czy można wierzyć w cokolwiek, co mówi taki osobnik?

— O tak, bywają prawdomówni. Można im wierzyć, pamiętając jednak, że zawsze jest to ich wersja prawdy i że służy ona ich celom.

— Proszę nam wyjaśnić, skąd biorą się socjopaci. Dr Walter Pinsent z uśmiechem potarł podbródek:

— Obawiam się, że odpowiedź na to pytanie przypominać będzie rozważania nad tym, co było pierwsze: jajko czy kura? Kwestia, czy rodzimy się mordercami, czy też dopiero warunki czynią z nas morderców, jest stara jak świat i wciąż tak samo daleka od rozstrzygnięcia jak kiedyś. Istnieją na ten temat liczne teorie, wszystkie one jednak mają tę właściwość, że nasz stosunek do nich często ulega zmianie zależnie od epoki bądź klimatu politycznego. Czasami skłonni jesteśmy większą uwagę przypisywać genom, kiedy indziej znów środowisku. I tak na przykład sporo mówi się dzisiaj o dodatkowym chromosomie Y i różnego rodzaju niedoborach chemicznych, lecz przecież u wielu ludzi stwierdzono takie niedobory, a jednak nie są oni mordercami. Również posiadacze dodatkowego chromosomu Y nie biegają z nożem po ulicach.

— Czy w organizmie oskarżonego wykryto jakikolwiek niedobór chemiczny bądź ten dodatkowy chromosom?

— Nie, nic takiego nie stwierdzono.

— Czy wobec tego ma tu zastosowanie teoria, która mówi, że o wszystkim decyduje środowisko?

Świadek odchrząknął, wyprostował ramiona, po czym poprawił krawat.

— Nie ulega wątpliwości, że w rozwoju każdej jednostki kluczową rolę odgrywa dzieciństwo. W tym okresie posiano w nas ziarna wszystkiego, czym jesteśmy jako dorośli. Jest też rzeczą stwierdzoną, że niemal każdy seryjny morderca ma za sobą wyjątkowo okropne dzieciństwo. Ludzie ci jako dzieci byli zaniedbywani, molestowani seksualnie, bici, terroryzowani, porzucani, słowem, doświadczyli wszystkiego, co najgorsze.

— Czy tak właśnie było z Colinem Friendlym?

— Tak.

Jo Lynn pochyliła się nad moim uchem:

— Biedactwo.

Na próżno usiłowałam odnaleźć w jej tonie jakąkolwiek domieszkę ironii — niestety, mówiła serio.

— Czy wszystkich socjopatów łączą może jakieś cechy wspólne? — spytał prokurator.

— Przeprowadzone badania pozwoliły ustalić zjawisko tak zwanej „morderczej triady”, czyli trzech identycznych zachowań w dzieciństwie wszystkich seryjnych morderców. Są to: okrucieństwo wobec małych zwierząt, moczenie nocne w wieku, gdy normalnie się to już nie zdarza, oraz piromania.

— Czy wspomniane zachowania stwierdzono u oskarżonego w okresie jego dzieciństwa?

— Owszem, stwierdzono.

— Czy po osobistych spotkaniach z oskarżonym, analizie jego dzieciństwa, jak również lekturze przedstawionych panu opinii biegłych psychiatrów ma pan jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że Colin Friendly jest sadystą seksualnym i socjopatą oraz że winien jest zbrodni zawartych w akcie oskarżenia?

— Nie, nie mam żadnych wątpliwości — głośno i wyraźnie odpowiedział ekspert.

— Dziękuję. Panie obrońco, świadek do pańskiej dyspozycji. — Prokurator usiadł, rozpinając marynarkę, Jake Archibald powstał, zapinając swoją.

— Panie doktorze — spytał — czy jest pan psychiatrą?

— Nie.

— Doktorem medycyny?

— Nie.

— Więc może doktorem psychologii?

— Też nie. Obroniłem doktorat z dziedziny pedagogiki.

— Rozumiem. — obrońca dobrze sfinował zdziwienie, jego mina mówiła wyraźnie: Nie pojmuję, co w takim razie robi pan tu jako biegły. Zagrywka ta, choć efektowna, była czystą sztuką dla sztuki. Przysięgli już wcześniej zostali poinformowani, że dr Walter Pinsent, agent specjalny Federalnego Biura Śledczego, jest wykładowcą Państwowej Akademii FBI w miejscowości Quantico w stanie Wirginia oraz członkiem specjalnego zespołu badawczego, którego głównym zadaniem są studia nad psychiką wielokrotnych morderców. — Ile razy spotkał się pan z oskarżonym?

— Widziałem się z nim dwukrotnie.

— Dwa razy... — Jake Archibald pokręcił głową w taki sposób, że znów udało mu się wyrazić tym pewne zdziwienie. Kolejna sprytna sztuczka. — Jak długo trwały te spotkania?

— Każde z nich kilka godzin.

— Kilka godzin — powtórzył obrońca, tym razem kiwając głową na znak ubolewania. — I wystarczyło to panu do wyciągnięcia wniosku, że Colin Friendly jest groźnym psychopata?

— Socjopata — poprawił go dr Pinsent.

Jake Archibald chrząknął ironicznie Jo Lynn zrobiła to samo.

— A zatem po czterech mniej więcej godzinach spędzonych z moim klientem sformułował pan opinię, iż jest on groźnym socjopata i sadystą na tle seksualnym?

— Istotnie.

— Proszę mi powiedzieć, czy pańskie konkluzje brzmiałyby tak samo, gdyby poznał pan oskarżonego na innym gruncie?

— Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem pytanie.

— Powiedzmy, że poznaje pan mego klienta na przyjęciu lub podczas wakacji i ucina z nim sobie kilkugodzinną pogawędkę. Czy w tych warunkach odniósłby pan wrażenie, iż ma do czynienia z groźnym socjopata i sadystą?

Po raz pierwszy od chwili zajęcia miejsca dla świadków biegłemu wyraźnie ubyło pewności siebie.

— Przypuszczam, że nie. Jak już powiedziałem, so-cjopaci potrafią być nieraz czarujący.

— Uważa pan, że można tak powiedzieć o Colinie Friendlym?

— Owszem, wydaje się bardzo sympatyczny.

— Czy to zbrodnia? Prokurator podniósł rękę:

— Sprzeciw.

— Podtrzymany.

— Czy jest rzeczą możliwą — nie ustępował obrońca — że na pański stosunek do mego klienta wpłynął fakt, iż poznał go pan w więzieniu?

— Wpłynęło na mnie to, co mi mówił.

— Rozumiem. Czy Colin Friendly powiedział panu, że jest winny?

— Nie.

— Czy jest prawdą, że wielokrotnie zapewniał pana o swej niewinności?

— Tak, ale to typowe dla tego rodzaju jednostek.

— Interesujące. A więc gdyby pan Friendly przyznał się do winy, oznaczałoby to, że jest winny, jeśli zaś utrzymuje, że żadnej zbrodni nie popełnił, pańskim zdaniem winien jest również. Zgrzeszyłeś czy nie, i tak pójdiesz do piekła. Wie pan, co mi to przypomina? Polowanie na czarownice.

Prokurator zerwał się z krzesła:

— Sprzeciw, sprzeciw, wysoki sędzie! Czy obrońca indaguje świadka, czy wygłasza

przemówienie?

— Sprzeciw podtrzymany.

— Sformułuję to inaczej — oznajmił Archibald tonem, w którym dawało się wyczuć, że zamierza wystrzelić z największego działa: — Czy pod każdym łóżkiem widzi pan seryjnego mordercę, doktorze Pinsent?

Prokurator Eaves ledwie zdążył usiąść, kiedy znowu musiał zgłosić sprzeciw.

— Wycofuję to pytanie — rzucił z pośpiechem obrońca. — Nie mam więcej pytań do świadka.

— Świadek jest wolny.

Sędzia ogłosił dziesięciminutową przerwę. Publiczność zaczęła wstawać, przeciągać się i spacerować.

— Chyba nie dałaś się na to nabrać? — spytałam Jo Lynn z nutą nadziei w głosie.

— Na co? — Patrząc w lusterko, zaczęła nakładać nową warstwę szminki na i tak już jaskraworóżowe wargi.

— Obrońca próbuje zamydlić sędziom oczy, odwrócić ich uwagę od dowodów.

— A niby dlaczego miałby to robić? — Podniosła wyżej lusterko i zabrała się do tuszowania rzęs.

— Dlatego że doktor Pinsent jest wybitnym ekspertem, którego nie można lekceważyć...

— Nie jest psychiatrą — natychmiast weszła mi w słowo. — Ani doktorem medycyny.

— Jest specjalistą, agentem FBI.

— Od kiedy to stałaś się taką wielbicielek FBI?

— Po prostu ci przypominam, że on wie, co mówi.

— To tylko jedna z wielu opinii.

— Opinia eksperta.

— Za bardzo wierzysz ekspertom. To, że ktoś ma stopień naukowy, wcale jeszcze nie znaczy, że musi być wszechwiedzący.

Uznałam to za przytyk pod swoim adresem. Jo Lynn nie od dziś miała zwyczaj podkreślać wyższość doświadczeń życiowych nad takim świstkiem papieru jak dyplom. Nie ma się co odgryzać, pomyślałam, postanawiając sobie, że spróbuję być dla niej miła. Trzeba znaleźć bezpieczniejszy temat.

— Pomówmy lepiej o czym innym. Co tam u ciebie nowego?

— Na przykład z czym?

— Czy ja wiem? Na przykład z pracą. Dostałaś jakieś odpowiedzi na swoje podania?

— Dobrze wiesz, że nie — zatrzasnęła puderniczkę. Spudłowałam. To ona strzeliła mi gola.

— Rozmawiałaś z matką?

— Po co? — Wrzuciła puderniczkę do torebki. Drugi punkt dla niej.

— Umówiłaś się z kimś na weekend? Z trzaskiem zamknęła torebkę.

— Owszem, mam w piątek randkę — rzuciła w moją stronę, wydymając wargi w ten dobrze mi znany, nieznośnie prowokacyjny sposób.

— Wspaniale. Ktoś nowy?

— Tak jakby.

— Ktoś, kogo znam?

— Raczej wydaje ci się, że go znasz.

— Co to znaczy?

— Myślisz, że go znasz, a wcale tak nie jest. Po prostu źle go oceniasz, czyli kompletnie go nie znasz. Znaczący to, krótko mówiąc, że całe rano patrzysz na jego profil.

To był strzał! Pociemniało mi od niego w oczach. Panujący w sali szmer ucichł, ustępując miejsca głośnemu szumowi w uszach. Osłabłam, zdawało mi się, że zemdleję. Rany boskie! Żeby nie upaść, chwyciłam się krzesła, z całych sił wbijając paznokcie w twarde drzewo.

— Powiedz mi, że to żarty — szepnęłam błagalnie. Zaczęła poprawiać koszulkę, starannie przesuując to

wielkie różowe serce na sam środek wydatnego biustu. — Miałabym żartować z tak ważnej sprawy? Z najwyższym wysiłkiem nakazałam sobie spokój.

— Kiedy się dowiedziałas?

— Wczoraj wieczorem zawiadomił mnie o tym Archibald. Chciałam nawet do ciebie zadzwonić, ale było dość późno, a przecież w tym waszym domu chodzi się spać z kurami.

— Nie wyobrażam sobie — z trudem wydobywałam z siebie głos — gdzie taka „randka” może się odbyć.

— Też jeszcze nie wiem. Pewno w jakimś wynajętym pomieszczeniu. Dadzą mi znać.

— Jo Lynn, błagam... — teraz już nie mogłam się pohamować. — Nie sądzisz, że cała ta sprawa zaszła za daleko? Błagam, odwołaj to spotkanie, jeszcze nie jest za późno. Naprawdę nie musisz brnąć w to aż do końca!

— O czym ty mówisz? — prychnęła z oburzeniem.

— O tym, że ten człowiek jest zabójcą, wyrafinowanym mordercą.

— Ja się z tym nie zgadzam.

— Wszystkie dowody świadczą przeciw niemu.

— Z tym też się nie zgadzam.

— Nie zgadzasz się... — bąknęłam w skrajnej rozpaczy.

— Nie, i przysięgli też się nie zgodzą. A w ogóle — pomachała któremuś z reporterów — nie chcę już o tym mówić. Dlaczego ty zawsze oblewasz mnie zimną wodą?

— Ależ nie, Jo, próbuję tylko w całym tym szaleństwie zachować szczyptę rozsądku.

— No tak — powiedziała drwiąco, odwracając się w stronę podium — wciąż tylko ten twój rozsądek. Zawsze brakowało ci wyobraźni.

Gdy o 12.20 dotarłam do Charley's Club, Robert był już na miejscu.

— Przepraszam za spóźnienie — bąknęłam, opadając na krzesło, które grzecznie przytrzymał mi usłużny kelner, i natychmiast z przesadnym zainteresowaniem zaczęłam lustrować wnętrze: długą amfiladę przyległych sal, oprawne w ramki fotografie rybnych trofeów łowieckich zajmujące całą jedną ścianę, wielkiego wypchanego marlina zdobiącego drugą, tłum mężczyzn przy barze, zaaferowanych kelnerów zręcznie manewrujących wśród łóż i stolików, napuszone blond włosy bogatych klientek o jednakowo sztucznych, przyklejonych do ust uśmiechach — a wszystko po to, byle tylko nie spojrzeć na swe vis-a-vis.

— Zważywszy, że rozprawa skończyła się pewnie o dwunastej, dotarłaś tu w doskonałym czasie — stwierdził mój gospodarz. Skinęłam na kelnera.

— Wysłałam wcześniej. — Omal nie powiedziałam, że o całe półtorej godziny. Zaraz po niemiłych rewelacjach Jo Lynn chyłkiem uciekłam z sądu, a potem jeździłam po mieście, bezskutecznie próbując zrozumieć, co chce udowodnić czy osiągnąć moja siostra swym szaleńczym czepianiem się mordercy, który według wszelkiego prawdopodobieństwa ma przed sobą jedynie fotel elektryczny. Jeśli chce w ten sposób wyprowadzić z równowagi matkę, to bez widocznego skutku: nasza matka tak konsekwentnie puszczała mimo uszu jej prowokacyjne odżywki, jakby w zachowaniu swojej młodszej córki nie widziała zupełnie nic nadzwyczajnego czy niestosownego. Jeśli jednak Jo Lynn mnie sobie obrała za cel, myślałam, to trzeba przyznać, że świetnie jej idzie.

Pojawił się kelner.

— Poproszę o szklaneczkę białego wina.

— Nie odpowiada pani wino już zamówione przez pana? — zapytał z lekkim zmieszaniem.

Zmuszona wreszcie spojrzeć na Roberta — uśmiechnięty, nienagannie wytworny, prezentował się wprost fantastycznie! — zobaczyłam, że wyjmuje z wiaderka flaszkę kalifornijskiego Chardonnay.

— Dziękuję, odpowiada mi w zupełności — odrzekłam. Ależ ze mnie skończona idiotka!

Robert pominął sprawę milczeniem; po prostu nalał mi wina, po czym wzniósł toast:

— Za przeszłość.

— Za przeszłość. — Toast wydawał się w miarę bezpieczny.

— I za przyszłość.

Wypiłam duszkiem pół szklanki.

— Ktoś tu jest bardzo spragniony albo strasznie spięty — zauważył Robert.

— Cóż, nie był to najmilszy ranek.

— Chcesz o tym powiedzieć?

— O wszystkim, byle nie o tym.

— Więc powiedz, dlaczego na mnie nie patrzysz? Wydałam z siebie ni to śmiech, ni to parsknięcie

— dźwięk z kategorii tych, które biorą się z zażenowania i które w zetknięciu z powietrzem natychmiast kończą swój żywot.

— Patrzę na ciebie.

— Na moje lewe ucho.

— Całkiem ładne ucho. — Roześmiałam się nieco sztucznie, spoglądając już prosto w jego piwne oczy. Boże, byle tylko nie mrugnąć, nie odwrócić głowy. Czułam się w tym momencie jak za swoich szczenięcych czasów. Do licha, czy to się nigdy nie skończy?

Nie powinnam tu była przychodzić, dumałam, starając się za wszelką cenę utrzymać kontakt wzrokowy z przedmiotem mych młodzieńczych westchnień. Trzeba było posłuchać tego, co podpowiadał mi instynkt, i po wyjściu z sądu od razu jechać do domu. Po co wałęsałam się bez celu aż pół godziny, po jakiego diabła skręciłam na trasę I-95, pozwalając tu sobie jechać pod pretekstem, że jadę od tak, przed siebie? Byłam już prawie w Pompano, gdy się zorientowałam, że właśnie minęła dwunasta. Zawróciłam wtedy samochód, cały czas mówiąc sobie, że wracam do domu, a przecież świetnie wiedziałam, że niesie mnie całkiem gdzie indziej: w stronę oceanu, do Charley's Club. Do Charley's Club i do niego — do Roberta. Musiałam uśmiechnąć się na to wspomnienie, bo powiedział:

— No, teraz lepiej. Masz przepiękny uśmiech.

— Jaki tam piękny! Krzywy.

— I to właśnie sprawia, że jest piękny.

Zamrugałam oczami i w końcu odwróciłam głowę.

Przyszedł kelner przyjąć zamówienie. Robert zadysponował sobie łososią z rusztu, ja — dobrze przypieczonego miecznika.

— I do tego gazpacho — uśmiechnęłam się do kelnera, dodając w myślach: z mnóstwem czosnku.

— No a teraz opowiedz mi o swojej pracy — poprosił Robert.

— O czym tu mówić? — wzruszyłam ramionami. — Mnóstwo ludzi i tyleż problemów.

— Jakie to problemy?

— Z rodzicami, z dziećmi, konflikty małżeńskie i poza-małżeńskie... — urwałam, by napić się wina.

— I wszystkie umiesz rozwiązać?

— Robię co mogę.

— Od jak dawna praktykujesz?

— Od ponad dwudziestu lat. — Na gruncie zawodowym od razu poczułam się pewniej. — Zaczęłam jako pracownik socjalny w Ministerstwie Oświaty w Pittsburgu, a po odejściu stamtąd otworzyłam wraz z paroma kobietami klinikę terapii rodzinnej. Potem przenieśliśmy się na Florydę i tu już otworzyłam własny gabinet.

— Nie możesz wytrzymać bez pracy, co?

Mimo woli pomyślałam o swojej siostrze, o tym, że przez całe życie ciągle zmienia pracę, przerzucając się zawsze ze złej na gorszą, z jednego beznadziejnego związku w drugi.

— Oho — mruknął Robert — widzę chmury na horyzoncie. Nad czym się tak zamysliłaś?

Nie chciałam mówić o Jo Lynn, i tak już zepsuła mi dzień.

— Nad tym, jak czas szybko leci — zełgałam; tak było łatwiej. — Pomówmy raczej o tobie, co? Jak ci się udało dorobić stacji radiowej?

— Wziąłem z nią ślub — odrzekł po prostu. Nie wiedząc, co na to powiedzieć, milczałam.

— Ojciec Brandi jest właścicielem wielu rozgłośni radiowych w całym kraju. — Po tych słowach uśmiechnął się figlarnie: — Jaki stąd morał? Strzeż się kobiet, których imiona kojarzą się z czymś do picia.

— Zapamiętam to sobie.

— Naprawdę ma na imię Brenda po Brendzie Mars-hall, hollywoodzkiej aktorce z lat czterdziestych. Mój teść najwidoczniej był jej wielbicielem.

— Poślubiła Williama Holdena — wtrąciłam. Spojrzał na mnie z żartobliwą admiracją:

— Skąd to wiesz?

— Przedziwna maszyneria ten nasz umysł, nie uważasz? Ledwie pamiętam swój numer telefonu, a wiem, że Brenda Marshall była żoną Williama Holdena.

— Interesująca z ciebie kobieta, Kate Latimer.

Już chciałam go poprawić, ale właściwie po co? Przecież wie, jak się nazywam, ja też.

— Powiedz, co robi twoja żona.

— Głównie zakupy. Chodzi też na aerobik, spotyka się ze znajomymi...

— I opiekuje się dziećmi. Mówiłeś chyba, że masz czwórkę.

— Tak, w wieku od dwunastu do dziewiętnastu lat. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

— No to twoja pani ma ręce pełne roboty.

— Najstarszy jest już poza domem, w college'u, pozostali cały dzień w szkole, a że zatrudniamy dwie gosposie, Brandi nie musi się przepracowywać, możesz mi wierzyć na słowo.

— Macie jakieś problemy? — spytałam mimo wszelkich wysiłków, aby tego nie robić.

— Chyba takie jak wszyscy.

— Czy dlatego zaprosiłeś mnie na lunch?

Z uśmiechem powiódł palcami po oprawce okularów:

— Gdybym chciał zasięgnąć porady, odwiedziłbym twój gabinet. Nie, w związku z tobą co innego przyszło mi do głowy.

— Interesujące.

— Miałem nadzieję, że tak powiesz.

Kelner przyniósł zamówione dania i powtórnie napełnił nam szklanki. Przez następnych kilka minut zajmowaliśmy się wyłącznie konsumpcją. Po drugiej szklaneczce wina poczułam się tak pewna siebie, że spytałam:

— No więc co to za pomysł?

— Twój własny program radiowy.

Upuściłam widelec. Spadł mi na kolana, skąd stoczył się na podłogę. Przechodzący właśnie obok kelner natychmiast podał mi czysty.

— Nie rozumiem...

— Nie do końca to jeszcze przemyślałem — kontynuował Robert. — Prawdę mówiąc, przyszło mi to do głowy dopiero w chwili, gdy zobaczyłem cię w sądzie i usłyszałem, czym się zajmujesz.

— Nadal nie wiem, o co ci chodzi.

— Chcę ci zaproponować jakąś formę terapii przez radio.

— Coś takiego jak „Frasier”? Program nocny oparty na telefonach?

— Jeszcze nie wiem. Jak już powiedziałem, nie zdążyłem się nad tym zastanowić. Z tego też powodu, choć nie tylko, namówiłem cię na to spotkanie. Chcę, żebyś to ty zgłosiła mi swoje pomysły.

— Ależ ja nie mam żadnych doświadczeń radiowych!

— Umiesz mówić. Potrafisz udzielać porad. Masz niezwykle radiofoniczny głos.

- To wymaga czasu, a ja mam przecież pracę, rodzinę...
- Program nie musiałby iść co noc. Mogłabyś go robić raz czy dwa razy w tygodniu. I wcale niekoniecznie nocą. W dzień ludzie też słuchają radia. Powiedzmy, że byłaby to środa, twój dzień wolny — zakończył z uśmiechem.
- A co miałabym robić?
- To, co robisz. Odpowiadać na pytania. Pomagać ludziom w kłopotach.
- Dlaczego akurat ja?
- A dlaczego nie? Jesteś inteligentna, piękna, mieszkasz tutaj, więc mam cię pod ręką. Kate, zdaję sobie sprawę, że w tej chwili musisz czuć się trochę zaskoczona. Pomyśl nad moją propozycją i zobacz, co z tego wyjdzie. Zastanów się, jaki rodzaj programu by cię interesował, w jakiej formie czułabyś się najswobodniej. Ja tymczasem podrzucę ten pomysł kilku swoim producentom, zobaczymy, co oni z tym zrobią. Więc jak: pomyślisz? To wszystko, o co cię proszę.
- Dobrze, pomyślę.
- Świetnie. — Mówiąc to, ujął szklankę i wznosił kolejny toast: — Za interesujące propozycje.

ROZDZIAŁ 10

Piątek rozpoczął się dosyć normalnie. Sara wciąż jeszcze spała, kiedy my, Larry, Michelle i ja, wychodziliśmy z domu. Dawno przestałam ją budzić; jej sprawa, czy zdąży na pierwszą lekcję. Spodziewałam się telefonu ze szkoły, że Sara znowu się spóźnia, toteż gdy w pięciominutowej przerwie między sesjami sprawdziłam pocztę głosową, nie byłam zaskoczona, słysząc, że dyrekcja prosi mnie o kontakt. Uznałam, że nie ma się co spieszyć — nie powiedzą mi przecież nic takiego, czego sama bym już nie wiedziała — zadzwoniłam natomiast do domu, a gdy nikt nie podniósł słuchawki, próbowałam przekonać samą siebie, że Sara pewnie siedzi już w klasie lub przynajmniej jest w drodze do szkoły. Albo nadal śpi jak zabita, podpowiedziała mi szeptem bardziej krytyczna część mego „ja”. Uciszyłam ją szybko, jak ucisza się niezdolne dziecko, a że akurat przyszli następni pacjenci, poprosiłam ich do gabinetu. Na zewnątrz byłam spokojna, ale w środku wszystko we mnie wrzało.

Nie tylko we mnie. Każdy, kogo dziś miałam w rozkładzie, był z jakiegoś powodu wściekły. Nikt nie mówił normalnym głosem, nikt nie starał się opanować. Wszyscy krzyczeli — jedno na drugie, jeśli była to para, na siebie, na mnie. Być może był to klasyczny przypadek przeniesienia uczuć, mojego nastroju na nich, choć bardziej możliwe, że zawinił tu upał, potworny, wilgotny upał, który jak gigantyczna brezentowa płachta zawisł w ciągu ostatniej doby nad całym obszarem Palm Beach, zagrażając śmiercią przez uduszenie każdemu, kto wytknął nos z domu. Albo może był to po prostu jakiś feralny dzień.

O szóstej wieczorem czułam się tak wykończona, że marzyłam już tylko o domu i łóżku, ale nawet to skromne marzenie nie mogło się dzisiaj ziścić: któryś z „zadowolonych klientów” Larry’ego zaprosił nas na przyjęcie. Ha, miło wiedzieć, że istnieje gdzieś chociaż jeden zadowolony człowiek, zawsze to jakaś pociecha.

Przed wyjściem z pracy ponownie sprawdziłam automat i ku swej niemiłej konsternacji dowiedziałam się, że jeszcze dwukrotnie dzwoniło do mnie ze szkoły. Za pierwszym razem, zaraz po lunchu, zostałam poinformowana, że Sary do tej pory nie ma, za drugim, już po zakończeniu lekcji, że za całodniowe wagary grozi jej zawieszenie. Za późno już było dzwonić do dyrektora, a poza tym cóż bym mu mogła powiedzieć? Kto wie, pomyślałam sobie w pierwszej chwili, czy Sarze nie przydałoby się zawieszenie? Niechby za swoje wybryki raz wreszcie poniosła jakieś poważniejsze konsekwencje... Ale czy to pomoże?, pojawiła się zaraz wątpliwość. Spłynie to po niej jak woda po gęsi — taka już jest. To ja poczuję się zawieszona.

Pchając się żmudnie na północ zatłoczoną trasą I-95 — teraz gdy amatorzy białego szaleństwa rozpoczęli swe doroczne peregrynacje, trasa ta w piątki stała się prawie nieprzejezdna — składałam sobie przysięgi, że w konfrontacji z Sarą będę trzymać nerwy na wodzy. Poinformuję ją po prostu, że szkoła zawiadomiła mnie o jej absencji i że nie oczekuję w tej sprawie żadnych wyjaśnień. W poniedziałek zajmą się tym władze szkolne, a do tego czasu ma zakaz wychodzenia z domu. Ha, zaczniesz oczywiście krzyczeć, przeklinać, trzaskać drzwiami, spróbuje swoim zwyczajem wciągnąć mnie w kłótnię, ale nic z tego! Cokolwiek zrobi, postanowiłam, zjeżdżając z trasy przy PGA Boulevard, by skierować się teraz na zachód, nie podniosę głosu nawet o pół tonu. Zimna krew i spokój.

— Co to znaczy, że jej nie ma? — huknęłam na Michelle nie później niż w dwie sekundy po wejściu do domu.

— Dlaczego na mnie krzyczysz? — spytała moja młodsza córka. Stała pośrodku salonu pomiędzy dużym szklanym stolikiem a dwiema przytłaczająco wielkimi sofami w kolorze piasku, popijając musujący wiśniowy napój o nazwie „Popsicle”, który barwił jej usta na krwistą czerwień.

Pomyślałam mimo woli, że wygląda prześlicznie: istna figurynka z saskiej porcelany, lecz jakby na przekór tym myślom rzuciłam sucho:

— Czy mogłabyś zejść z dywanu? Pokapiesz go tym paskudztwem.

Podreptała za mną do sypialni:

— Miałaś dziś ciężki dzień?

Uśmiechnęłam się w duchu: Sara by teraz na mnie wrzasnęła, a Michelle... Jak bardzo różnią się te moje córki.

— Och, wprost upiorny.— Otwierając drzwi do sypialni, usłyszałam, teraz dopiero, charakterystyczny szum wody: — Tatuś dawno wrócił?

— Przed chwilą. Tata doszedł do setki!

— Jakiej setki?

— W golfa. Zaliczył grę setką rzutów. To podobno dobry wynik — wyjaśniła rzeczowo Michelle. Zerknęła na jasny dywan, na rozkołysaną szklankę z popsicle'em i czym prędzej podniosła ją do ust. Cieniutka strużka czerwonej cieczy, która spłynęła jej przy tym na szyję, przypominała krwawy ślad po goleniu.

— To miło, że przynajmniej on miał dobry dzień.

— Tata mówił, że było okropnie gorąco, ale chyba właśnie ten upał jakoś pomógł mu się skoncentrować.

Rozpięłam białą bluzkę, jednym ruchem zrzuciłam pantofle i z westchnieniem wyciągnęłam się na wznak, uważając, by nie popsuć szyku mych wymusztrowanych poduszek.

— Mówił coś o Sarze?

— To znaczy o czym?

Miałam ochotę krzyknąć: Na przykład o tym, gdzie podziewa się cały dzień! Ale nie, obiecałam sobie przecież, że będę spokojna.

— Czy może dzwoniła? — zapytałam w miarę równym głosem.

— Sara, wciąż tylko Sara! — Michelle leciutko wyděła usta, przez co czerwona obwódka wokół jej warg stała się jeszcze wyraźniejsza. — Dlaczego ty zawsze pytasz o Sarę? A ja? A to, jak mnie minął dzień, zupełnie cię nie interesuje?

— Tobie?...

— Tak, mnie! Ja też jestem osobą jak Sara i też mam swoje dobre i złe dni. Jak wszyscy.

Nagła czujność kazała mi usiąść. Przygotowana byłam na scysję z Sarą, ale nie z Michelle.

— Jasne, kochanie.

— Mnie nikt nigdy nie pyta o to, co robiłam cały dzień, czy jestem zadowolona, czy mi przykro — mówiła dalej, jakby nie potrafiła przestać, jak taki mechaniczny bączek, co nagle zaczyna się obracać zupełnie niekontrolowanym ruchem, bo ktoś za mocno naciągnął sprężynę.

— Zapytałam tatusia, jak mu dziś poszło, zapytałam ciebie, czy bardzo ciężki miałaś dzień... Zawsze pytam wszystkich, a wy? Czy ktoś z was kiedy zapyta mnie o cokolwiek?

— Michelle...

— Nie, wy nie pytacie o nic. Kazałaś mi tylko zejść z dywanu.

— Kochanie...

— Czy kogokolwiek w tym domu obchodzi mój test z matematyki, to, że dostałam osiemdziesiąt pięć punktów? Że byłam najlepsza w klasie? Ależ skąd! Nikogo to nie obchodzi!

— krzyknęła, uciekając z pokoju. Błyskawicznie zeskoczyłam z łóżka.

— Michelle, zaczekaj! Mylisz się, kochanie! Naprawdę nas to obchodzi! — Potknąwszy się o własne buty, z których jeden fatalnie dźgnął mnie ostrym obcasem w wewnętrzną część prawej stopy, pokuśtykałam do jej pokoju. Drzwi były zamknięte. Zapukałam z początku lekko, a gdy odpowiedziała mi cisza, bardziej już natarczywie:

— Wpuść mnie, córeczko, proszę!

Drzwi uchyliły się powolutku. Michelle stała za progiem z buzią zalaną łzami. Tak strasznie pragnęłam pochwycić w ramiona to kruche, szczuplutkie ciało, że już wychyliłam się naprzód, gdy powstrzymała mnie jednym cichutkim słówkiem:

— Nie.

Stałam na palcach, więc na moment straciłam równowagę, ale jakoś udało mi się opaść z powrotem na pięty.

— Osiemdziesiąt pięć punktów z matematyki! — powiedziałam ze łzami w oczach. — To wspaniały wynik, dziecko.

Wycofała się do pokoju, gdzie ciężko klapnęła na swoje ogromne łóżko. Jej różowo-kremowa sypialnia w przeciwieństwie do pokoju Sary była schludna jak przysłowiowe pudełeczko. Na łóżku zasłanym pikowaną kapą w kwieciste biało-różowe wzory spoczywały takie same, równiutko ułożone poduszki, blat wiklinowej komody był pusty z wyjątkiem inkrustowanej masą perłową szkatułki w kształcie antycznego skarbcza, ubrania wisiały w szafie, a nie walały się po podłodze we wszystkich możliwych miejscach. Drgnęłam, łapiąc się nagle na tym, że nawet tutaj, w sanktuarium mojej młodszej córki, Sara potrafi odsunąć ją na bok. Ostrożnie zbliżyłam się do łóżka, nie śmiałam jednak usiąść, dopóki lekkim skinieniem głowy nie dano mi na to pozwolenia.

— Przepraszam, kochanie.

Mocniejszy ruch głową powiedział mi, że przeprosiny zostały przyjęte. Jedna trzęsąca się czerwona warga skryła się pod drugą. Michelle szybiutko odwróciła oczy.

— Ludzie dorośli są nieraz tak pochłonięci własnymi sprawami — zaczęłam — że zapominają o bożym świecie, a nawet o swych najbliższych. Zwłaszcza gdy ci najbliżsi są tacy zdolni i tak doskonale radzą sobie w życiu jak ty. — Delikatnie pogłaskałam sięgające ramion, mięciutkie brązowe włosy. Nie uciekła przed moim dotykiem, za co byłam jej wdzięczna. — Tak już jest, niestety, że najwięcej czasu i energii poświęcamy akurat tym, którzy najboleśniej dają nam się we znaki... Wiem, że to niesprawiedliwe, że ty, kochanie, zasługujesz na dużo więcej uwagi... Wiem i naprawdę strasznie mi przykro. Wybacz mi, złotko. Bardzo cię kocham, mój ty słodki aniołeczku — szepnęłam. — Pozwolisz się przytulić? Proszę!

Przywarła do mnie bez słowa; zanurzyłam twarz w jej miękkich falujących włosach, chłonąc ich śliczny zapach. Tak samo pachniały wtedy, gdy ledwie co przyszła na świat. Jej szczupłe, kruchutkie ciało było tak gorące, że aż parzyło mnie w zębra i w tym łączącym nas żarze topniało wszystko co złe.

— Kocham cię, skarbie — powtarzałam, pokrywając pocałunkami czubek jej głowy.

Straciła z twarzy kilka zbłąkanych łez:

— Ja też cię kocham.

Siedziałyśmy tak dłuższą chwilę, ciesząc się swoją bliskością, pragnąc, by trwała bez końca. Po raz pierwszy w tym dniu spłynął na mnie prawdziwy spokój. I ta kojąca cisza... Zmącił ją dopiero okrzyk mego męża:

— Kate? Gdzie jesteś, Kate?

— Już dobrze — szepnęła Michelle. Wsunęła się z moich ramion, zabierając wraz z sobą cały ten cudowny spokój. Natychmiast poczułam, że wraca mi złość. Dlaczego ten Larry tak wrzeszczy? Dlaczego musimy iść na przyjęcie, i to akurat dzisiaj, gdy nie chce mi się nawet ruszyć nogą? I gdzie, do diabła, podziewa się Sara? Co ona znów wymyśliła?

— O co chodzi? — spytałam dość szorstko, gdy w drzwiach stanął Larry. Wokół bioder owinięty miał beżowy ręcznik, drugim wycierał włosy.

— O nic. — Jego niski głos zdawał się wypełniać dzielącą nas przestrzeń, rozlewać po całym pokoju naszej córki. — Czy Michelle ci mówiła, że zrobiłem setkę?

— Mówiła.

— Nie masz pojęcia, co to był za upał, istne piekło! — kontynuował z entuzjazmem, deptając mi prawie po piętach w drodze do sypialni. Jak wielki, przerośnięty szczeniak. — Ale to chyba właśnie ta parówka tak dobrze na

mnie wpłynęła. Poprawiło mi to koncentrację, czy co, sam nie wiem... No i wyobraź sobie, że po dziewięćdziesiątym ósmym uderzeniu zostały mi już tylko dwa dołki. Gdybym ich nie przestrzelił, zszedłbym poniżej setki. Ale tak to jest w golfie — roześmiał się głośno. — Można

by go nazwać „grą zaprzepaszczonych możliwości”. No a tobie jak minął dzień?

— Okropnie. Czy naprawdę musimy iść na to przyjęcie?

— Obowiązkowo. — Spojrzył na swój mokry jeszcze zegarek. — I wiesz co? Powinniśmy wyjść z domu mniej więcej za dziesięć minut.

— Co? Dziesięć minut? Muszę przecież wziąć prysznic, zrobić Michelle kolację!

— Na prysznic nie ma już czasu, a Michelle może sobie zamówić pizzę.

— Bez prysznica nigdzie nie idę — oświadczyłam jak krnąbrne dziecko. — I do tego jeszcze Sara...

— Po powrocie do domu możesz pławić się w wannie, jak długo zechcesz, a Sara? Cóż takiego dzieje się z Sarą?

— Wiesz, gdzie ona jest?

— A powinienem?

— Ktoś powinien — rzuciłam cierpko, choć zdawałam sobie sprawę, że to przecież chwyt poniżej pasa. — Cały dzień nie pokazała się w szkole.

Podniecenie i duma zniknęły z twarzy Larry'ego, ich miejsce zajęła rezygnacja.

— Może dzwoniła? Sprawdziłaś sekretarkę? Natychmiast okrążyłam łóżko, aby podejść do białego

aparatu stojącego na długiej zaokrąglonej półce przy wezglowiu, i z nadzieją nacisnęłam cyfry uruchamiające automat. Niestety, była tylko jedna wiadomość — od Jo Lynn: „Zadzwoń”. O nie, rozmowa z Jo Lynn była teraz ostatnią rzeczą, na którą bym miała ochotę. Na dziś wyznaczono przecież spotkanie Pięknej i Bestii, musiałabym więc wysłuchać szczegółowej relacji z owego wielkiego wydarzenia, a zupełnie tego nie pragnęłam. Już i tak znałam więcej szczegółów, niż trzeba mi było do szczęścia. Czas spotkania

— zaraz po rozprawie, miejsce — Okręgowy Zakład Poprawczy przy Gun Club Road, warunki: Romeo i Julia, przedzieleni szklaną ścianką, mieli porozumiewać się z sobą za pośrednictwem dwóch specjalnie skonstruowanych telefonów. Zupełnie jak w kinie. Przymknęłam oczy, usilnie starając się pozbyć natrętnego obrazu swej siostry i tego mordercy, jak czule przyciskają ręce do szyby... I czy to nie istna kpina, żeby więzienie mieściło się przy ulicy, która nosi nazwę Klub Strzelecki.

— I co? — spytał Larry.

— Nic, żadnych wiadomości. — Wolałam nie mówić z nim o Jo Lynn.

— Zaczynj się lepiej ubierać. — Sam był już w spodenkach i czarnych podkolanówkach.

— Jak mogę wychodzić z domu, kiedy nie wiem, gdzie ona jest?

— Całkiem po prostu — powiedział spokojnie, wkładając ręce w rękawy wyjściowej koszuli w biało-niebieskie prążki. — Nie mam zamiaru uzależniać swoich planów ani życia od wyskoków bezczelnej smarkuli. Pogadamy sobie z nią po powrocie.

Miał rację, ale człowiek w takim nastroju jak ja nie myśli racjonalnie.

— Żebyśmy chociaż wiedzieli, gdzie jest — powtórzyłam uparcie.

— I co by ci z tego przyszło? I tak nie mamy teraz czasu. Do Jupitera wprawdzie niedaleko, ale wiesz, jaki będzie ruch.

— Powiedziałaś: „do Jupitera”?

— Tak, a co? Myślałaś, że każę ci jechać na Marsa?

— uśmiechnął się przekornie. — Nic się nie bój, dzisiejsza podróż potrwa tylko dwadzieścia minut.

— Wobec tego zdążę wziąć prysznic! — wykrzyknęłam już w biegu do łazienki, zrzucając po drodze ubranie i ciskając je gdzie popadnie. Zupełnie jak Sara, pomyślałam. Odkręciłam kurek z gorącą wodą i szybko wskoczyłam pod prysznic. Czując na głowie kropelki ciepłego deszczu kłujące jak drobne ziarenka gradu, mruknęłam do siebie pod nosem: „Przyjęcie może zaczekać”.

— Przepraszam, czy mogę skorzystać z telefonu?

— spytałam prawie zaraz po wejściu do lśniącej nowością posesji na osiedlu Windfall Village w dzielnicy Jupiter, zamieszkanym przez zwartą społeczność bogatych entuzjastów golfa, chronionych całym systemem zabezpieczeń w swoich ekskluzywnych rezydencjach.

— Oczywiście, proszę. — Wyraźnie zaskoczona pani domu, pulchna brunetka w spodniach toreadora, wskazała mi drogę do kuchni.

Starannie zignorowałam nieszczęśliwą minę Larry'ego, kiwnęłam głową kilku gościom skupionym przy ogromnym pudle fortepianu i ślizgając się na posadzce z marmurowych płytek, z pośpiechem opuściłam salon, wielki zaiste jak otchłań. Okrążywszy imponujące spiralne schody—drugie takie same wznosiły się w przeciwległym końcu holu

— szczęśliwie trafiłam do kuchni. Mieściła się na tyłach domu: same marmury i stal. Dwie umundurowane pokojówki zajęte przygotowywaniem kanapek zerknęły na mnie ze zdumieniem. Nie mniej zdumiona była Michelle, usłyszawszy mój głos w słuchawce.

— Nie, Sary nie ma — odrzekła trochę niecierpliwie, oderwałam ją bowiem od Bóg wie już której powtórki „Roseanne”. — Nie martw się, mam — dodała na zakończenie — Sarze nic nie będzie. Nie psuj sobie przez nią wieczoru.

Już jest zepsuty, omal nie wyznałam głośno, oddając słuchawkę jednej z pokojówek; stała obok z wyciągniętą ręką, jakby nie wierzyła, że potrafię ją sama odłożyć na widelki. Może i to prawda, pomyślałam smętnie, gdy w stalowej obudowie piekarnika, dwa razy większego niż zwykły, mignęło mi własne odbicie. Wyglądałam jak lekko stuknięta stara baba: twarz wykrzywiona grymasem, wilgotne włosy prosto spod prysznic. I to jestem ja? Nie do wiary. No ale nic dziwnego: Larry cały czas stał nade mną jak kat nad dobrą duszą. Ledwo zdążyłam zrobić jaki taki makijaż, ledwo uporałam się z zamkiem czarnej koktajlowej sukni, od razu postukał palcem w zegarek: „Idziemy”. „Włosy!” — zaprotestowałam, sięgając po suszarkę. „Wyschną w samochodzie” — zdecydowanym ruchem wyjął mi ją z ręki i schował do szuflady. Na nic zdały się moje krzyki. „Wyglądasz dobrze” — kilkakrotnie powtórzył już w drodze, obrzucając mnie szybkim spojrzeniem. „Dobrze!” Ładny mi komplement. Czy coś takiego może dodać ducha? Mnie nie.

Co innego, gdybym usłyszała: „jesteś piękna”... Robert... Jemu by nie przeszkadzało niewielkie spóźnienie na przyjęcie. On by mi pozwolił ubierać się tak długo, jak tylko bym chciała, może nawet wskoczyłby ze mną pod prysznic, powodując tym dalszą zwłokę... Kto wie, czy w ogóle wyszlibyśmy z domu. Niechętnie ruszyłam z kuchni do salonu, wciąż jeszcze snując te swoje fantazje. Larry dopiero teraz mógł przedstawić mnie towarzystwu przed obowiązkową wycieczką po domu. „Piękny”, powtarzałam co chwila, był wszak jego dziełem. „Naprawdę piękny”.

Jadąc na to przyjęcie, sprzeczałyśmy się bez przerwy; nie inaczej było i w drodze powrotnej.

— Trudno uwierzyć, że mogłaś być tak nietaktowna — oświadczył mój mąż, jadąc z nadmierną szybkością przez Donald Ross Road.

— Nie popełniłam żadnego nietaktu!

— Tak? A jak nazwiesz to łatanie do telefonu co dziesięć minut?

— Dzwoniłam tylko trzy razy.

— Cztery.

— Dobrze, niech ci będzie cztery. Oskarżony przyznaje się do winy. — Ledwo to powiedziałam, zaraz przyszedł mi na myśl Colin Friendly i oczywiście Jo Lynn. Michelle wspomniała, że był od niej drugi telefon. No cóż, rano będę musiała zadzwonić i chcąc nie chcąc wysłuchać szczegółowej relacji z tej więziennej randki.

— No i co ci to dało? — nie przestawał czepiać się Larry. — Sary jak nie było, tak nie ma, i wiesz, co ci powiem? To nawet dobrze, bo gdyby teraz pokazała mi się na oczy, chyba bym ją zabił!

— Nie rozumiem, jak możesz być tak obojętny! — Z całą świadomością udałam, że w ten właśnie — jakże fałszywy! — sposób tłumaczę sobie jego słowa. Pozwoliłam sobie na tę

podłostkę, bo trzęsa mną złość, a łatwiej było pokłócić się z Larrym, tu przynajmniej miałam jakąś szansę wygranej, niż czekać na konfrontację z Sarą, w której szansę zwycięstwa, jak przewidywałam, równały się dla mnie zeru.

Niestety, nie podjął wyzwania. Ogłuchł na wszystkie moje zaczepki, nawet tak niskie jak ta, że bardziej się troszczy o swoich klientów aniżeli o rodzoną córkę. Im bardziej rozpuszczałam język, tym bardziej zamykał się w sobie i tylko coraz mocniej ścisnął kierownicę. Zaczęłam w końcu krzyczeć i płakać — też nie pomogło. Czego tak naprawdę od niego chciałam? Żeby zatrzymał samochód, objął mnie i powiedział, że jestem wspaniałą matką, że w wychowaniu Sary nie popełniłam żadnych wielkich błędów, że wszystko będzie dobrze i że jestem piękna. Nie zrobił tego oczywiście, no bo jak? Mówić, że jest piękna kobiecie, która w tym momencie robi wszystko, by obrazić jego męskość, jego zawód, która dyskredytuje go jako ojca?

Po powrocie do domu od razu poszedł do sypialni, słówkiem nie wspominając o Sarze. Wiedział, że jej nie ma. Ja też to wiedziałam, ale jednak musiałam sprawdzić.

— Nie, nie dzwoniła — mruknęła Michelle sennie jak zaspane kocię. Dochodziła północ. Kiedy ucałowałam ją w czoło, odgarnąwszy niesforne pasemka włosów, z westchnieniem przewróciła się na drugi boczek.

— Śpij dobrze — szepnęłam, zamykając drzwi w przewidywaniu rychłej awantury. Niech tego lepiej nie słyszy.

Larry leżał w łóżku i udawał, że śpi. Złość już mi przeszła; w jej miejsce pojawiła się depresja.

— Przepraszam cię, bardzo mi przykro — szepnęłam ze skrucą. Wiedział, że mówię prawdę, tylko co to za pociecha? Cóż z tego, że nie myślimy o kimś tak źle, jak mu to mówimy w gniewie? Słowa pozostają, a często potrafią ranić bardziej niż kamienie. Odzywają się w pamięci nawet po wielu miesiącach, gdy po innych ranach dawno nie ma śladu.

Położyłam się na kołdrze jak stałam, w ubraniu, zdecydowana przynajmniej pod tym jednym względem zmierzyć się z Sarą jak równy z równym. Wystarczy już, że młodość stawia ją w lepszej pozycji; nie będę swoim dezabilem powiększać jeszcze jej przewag, myślałam.

Wydana przez nas „przepustka” pozwalała naszej starszej córce przebywać poza domem do godziny drugiej. Teraz gdy o tym myślę, sama się sobie dziwię: jak mogłam liczyć, że tamtej nocy Sara nie złamie domowego regulaminu? Bo czy ktoś, kto bez żadnych obaw funduje sobie wagary, miałby przejmować się taką błażostką? Czy zresztą Sara w ogóle brała pod uwagę jakiegokolwiek konsekwencje, które mogły jej grozić za taki czy inny wybryk?

Do drugiej nad ranem jeszcze tak naprawdę nie martwiłam się o nią. Owszem, byłam zła, przygnębiona, rozczarowana jej postępowaniem, ale wciąż jeszcze daleka od paniki. Nie pierwszy raz w końcu zdarzał jej się taki wyskok. Kiedy jednak minęła druga, nie wytrzymałam i poszłam do jej pokoju. „Gdzie jesteś?”, rzuciłam w ciemność, wpatrzona w niewyraźny kontur wiecznie rozgrzebanego łóżka. Teraz już rozpaczliwie starałam się nie myśleć o tym, co mogło ją spotkać... Że padła ofiarą pijanego kierowcy i leży złana krwią w jakimś rowie... albo w ciemnym zaułku pobita na śmierć przez szaleńca... zgwałcona przez jakiegoś sadystę... Próbowałam nie wyobrazić sobie, że słyszę jej krzyki, że widzę jej piękną twarz pokrytą szarym nalotem śmierci na zdjęciu w biurze koronera... Wszelkimi siłami chciałam odpędzić od siebie ten koszmar — i nie mogłam.

W końcu wyciągnęłam się w jej pościeli, nie bacząc na to, że cała nasiąkam zastarzałym odorem tytoniu. Na miłość boską, czy ta dziewczyna nie zdaje sobie sprawy, ilu zboczeńców i świrów czyha w tym mieście na takie ofiary jak ona — młode głupiutkie dzierlatki, którym zuchwalstwo młodości każe myśleć, że są niezniszczalne? Mało to takich typów jak Colin Friendly?, pomyślałam z drzeniem, wciskając głowę w poduszkę, by pozbyć się widoku jego twarzy, która nagle stanęła mi przed oczami.

O dziwo — zasnęłam. Przyśniła mi się pewna dziewczyna, koleżanka ze szkoły średniej, której nie widziałam całe lata, i oto nagle rok temu, w święta, spotkałam ją na deptaku w Palm Beach Gardens. Zdumiałam się, widząc, jak młodo wygląda i ile ma w sobie energii i entuzjazmu. Z

jaką dumą opowiadała mi o swej rodzinie! W sześć tygodni później dowiedziałam się, że nie żyje. Wkrótce po powrocie do Pittsburgha zginęła w wypadku samochodowym. Podobno wpadła w poślizg na oblodzonym skrawku autostrady i zniosło ją na barierę. Samochód przekoziółkował, a ona zginęła na miejscu. We śnie ujrzałam ją żywą — w supermarkecie, obok stoiska z mrożonkami. Pokiwała do mnie ręką, a ja poskarżyłam jej się, że posiałam gdzieś listę zakupów. Śmiała się z tego. Nie martw się, zaczęła mnie uspokajać, wszystko się dobrze skończy.

Kiedy się zbudziłam, siedział przy mnie Larry.

— Myślę — powiedział — że trzeba dzwonić na policję.

ROZDZIAŁ 11

Postanowiliśmy zacząć od przyjaciół Sary.

Okazało się to trudniejsze, niżby się mogło wydawać. Znajomi naszej córki wciąż się zmieniali, każdy rok przynosił nowy zestaw imion. Dawne twarze znikwały, pojawiały się inne. Żadna nie na długo.

Tak było od czasów przedszkola. Pamiętam rodzicielską herbatkę zapoznawczą, kiedy to wychowawczyni zwierzyła mi się dyskretnie, że nigdy jeszcze nie widziała dziecka, które by w taki sposób zdobywało sobie kolegów! Podobno każdego popołudnia Sara natychmiast po wygramoleniu się z żółtego mikrobusu miała zwyczaj ogłaszać wszem wobec: „Dzisiaj bawię się z tym i tym”. Codziennie dobierała sobie nowego towarzysza zabaw i zawsze z pełnym sukcesem, ale już następnego dnia porzucała go dla innego. Także i później z nikim nie nawiązała trwalszych więzi, choć muszę powiedzieć, że w te swoje przelotne przyjaźnie angażowała się szczerze i z całego serca. Tyle że zaraz potem ruszała na nowy podbój, nie patrząc na to, co było.

Nie zauważyłam, aby przeprowadzka z Pittsburgha do Palm Beach sprawiła jakąś przykreść mojej pierworodnej. Nie, ponieważ Sara w przeciwieństwie do Michelle nie pozostawiła w Pittsburghu prawdziwych przyjaciół. Kilka koleżanek napisało do niej, żadnej nie odpowiedziała. Kiedy tylko znalazła się na nowym gruncie, od razu z właściwym sobie żywiołowym zapamiętaniem rozpoczęła aktywne życie towarzyskie, błyskawicznie nawiązując kolejne przyjaźnie i równie szybko je kończąc. I tak mijał jej rok za rokiem — bez sentymentów, bez kłopotliwych zobowiązań, jakie często nakładają na nas głębokie i trwałe związki.

Z tych właśnie powodów kompletnie nie mieliśmy pojęcia, u kogo by można jej szukać.

— Jennifer — podsunęłam imię, które parę razy obilo mi się o uszy.

— Jennifer i co dalej? — spytał Larry. Słusznie. Jak, u licha, nazywa się ta dziewczyna? Niestety, nie miałam pojęcia. Tak samo było z innymi: z Carrie, z Brooke, z Mattem.

— Poczekaj, ta Carrie... Oj, przecież znam jej nazwisko! Zaraz je sobie przypomnę. — Właścicielkę imienia miałam przed oczami: blondynka, włosy do pasa, wydatne pośladki, opięte czarne dzinsy, ale nazwisko? — Była u nas jakieś dwa tygodnie temu, ty też ją musisz pamiętać! Carrie... Carrie... Rogers albo Rollings, w każdym razie coś na R. — Fakt, że nie znam nazwiska ani jednej z tak zwanych przyjaciółek Sary, wprowił mnie w skrajną frustrację. Jakbym słyszała, co powie policja: Ładna z pani matka! Nie wie pani nawet, w jakim towarzystwie obraca się córka!

Larry wpadł w końcu na pomysł, żeby przeszukać jej pokój: nawet ktoś taki jak Sara musi mieć przecież notatnik telefoniczny. Owszem, tylko jak go znaleźć? Nasze poszukiwania przypominały raczej grzebanie w ruinach zburzonego domu — jak po bombardowaniu! Wszystko leżało na podłodze: ubrania brudne i prosto z pralni, poplątane taśmy magnetofonowe, pootwierane książki. Znaleźliśmy mnóstwo ołówków, drobnych monet i skrawków papierów, żeby już nie wspomnieć o spleśniałym niedogryzku bulki. Leżał sobie pod łóżkiem w towarzystwie czterech pustych pudełek po papierosach.

— Popatrz — bąknęłam głupio, podnosząc je do góry — ona wciąż to zbiera...

— Jest. — Rozgarnąwszy stosik mniej lub bardziej zużytych tubek pudru w kremie, Larry znalazł wreszcie czarny skórzany notes w nader wymyślnym kształcie: wyglądał jak kurtka motocyklisty. Spomiędzy kartek sfrunęła na dywan cała chmura białej zasyпки dla dzieci. — Pod R nic nie ma — stwierdził Larry.

— Spróbuj pod C.

I rzeczywiście, koślawo nabazgrane ciemnozielonym tuszem widniało tam imię Carrie. Bez nazwiska. Może, pomyślałam, Sara też go nie zna?

Wróciliśmy do naszej sypialni i zaczęliśmy dzwonić. Najpierw pod numer Carrie. Po długim

oczekiwaniu jakiś głos, ochryply od snu i papierosów, wybełkotał coś jakby „halo”, choć na dobrą sprawę bardziej przypominało to ciężkie westchnienie.

— Carrie? — spytałam ostro, żałując, że nie mogę mocno nią potrząsnąć. — Carrie, tu matka Sary. Czy jest u ciebie Sara?

— Co? — padło po chwili ciszy.

— Czy jest u ciebie Sara?

— Kto?

— Sara Sinclair! — krzyknęłam, już widząc, że to strata czasu.

— Nie, Sary nie ma.

— A nie wiesz, gdzie może być?

— Która godzina?

— Ósma.

— Rano? Rzuciłam słuchawkę:

— Tam jej nie ma.

Po sześciu kolejnych próbach daliśmy za wygraną. Miałam właśnie dzwonić na policję, kiedy zabrzączał telefon.

— Sara? — krzyknęłam, chwytając słuchawkę.

— Jo Lynn.

Skurczyłam się w sobie: Nie, tylko nie to!

— Słuchaj, bardzo cię przepraszam, ale nie mam teraz czasu na rozmowy. Sara nie wróciła na noc do domu...

— Jasne, że nie. Jest u mnie.

— Co?!... Sara jest u Jo Lynn — rzuciłam w stronę Larry'ego, który słysząc to pokręcił głową i opadł na łóżko.

— Wiedziałaś o tym, gdyby ci się chciało odpowiedzieć na mój telefon.

— Co ty mówisz?

— To, że dzwoniłam wczoraj dwa razy. —: Słówkiem nie wspomniałaś o Sarze!

— Byłam pewna, że oddzwonisz.

Zdławiłam okrzyk protestu. Najważniejsze, że Sarze nic się nie stało. Zalała mnie taka ulga, że prawie już byłam skłonna zapomnieć o jej wagarach. Ale zaraz... Od kiedy właściwie Sara jest u Jo Lynn?

— Co ona u ciebie robi? — z trudem wydobyłam z siebie głos. Naszło mnie okropne podejrzenie.

— Powiem ci, jak obiecasz, że nie będziesz się na nią złościć. — Poczułam, że wszystkie mięśnie zwijają mi się w kłębek.

— Bardzo cię proszę, tylko mi nie mów, że spędziła z tobą cały dzień!

— Och tak, i to w bardzo pouczający sposób. Jeszcze nigdy nie była w sądzie. Prawdę mówiąc, to nawet wstyd. Dziewczyna w tym wieku! Niedługo skończy przecież osiemnaście lat!

O ile tego dożyje, chciałam krzyknąć. Ale nie, lepiej nie zapeszać. Jeśli miałam ochotę kogokolwiek uśmiercić, to swoją siostrę.

— Wzięłaś ją z sobą do sądu? — Larry na te słowa postawił oczy w ślup; widziałam, że jest wstrząśnięty.

— Skoro ty nie chciałaś iść ze mną...

No tak, więc to moja wina. Ach, ta Jo Lynn! Cokolwiek powiem, zawsze umie obrócić to przeciwko mnie.

— Na litość boską, chyba nie zabrałaś jej do więzienia?

— A co miałam zrobić? Zostawić ją samą na środku North Drive Highway? Jak wiesz, nie jest to zbyt miła okolica.

— Bój się Boga, Jo Lynn, zabrałaś Sarę na spotkanie z Colinem Friendlym?

— Oczywiście, że nie. Została w poczekalni. Ach, Kate, jak opowiem ci o tej wizycie!... To po prostu niesamowite!

— Moja córka z wizytą w więzieniu... — wymamrotałam drewnianym głosem.

— Nie masz pojęcia, co to za miejsce! Zdumiewające!

— paplała Jo Lynn, jakby nawet przez myśl jej nie przeszło, co teraz czuję... że w wyobraźni chwytam ją za gardło. Szkoda, że tylko w wyobraźni. — Cała byłam w nerwach

— trajkotała — ale Sara zachowała się wspaniale! Była moim pilotem, znalazła miejsce do parkowania i wciąż mnie uspokajała, mówiąc, jak pięknie wyglądam i tak dalej... No wiesz, to co przyjaciółka mówi przyjaciółce.

— Sara nie jest twoją przyjaciółką, tylko siostrzenicą, i to o połowę od ciebie młodszą!

— Wiek nie ma tu nic do rzeczy — rzuciła z rozdrażnieniem. — A skoro już o tym mowa... Wiesz, Kate, ty zupełnie nie ufasz własnej córce. Skarżyła mi się, że ją traktujesz jak dziecko.

— Bo zachowuje się jak dziecko.

— Jakbym słyszała naszą matkę!

— Ktoś tutaj musi być dorosły.

Puściła to mimo uszu; pilno jej było snuć dalej swoją opowieść.

— No więc było tak: Żeby się dostać do środka, musiałyśmy przejść przez mostek, bo jest tam coś jakby fosa, taka jak kiedyś dookoła zamku. Właściwie to całkiem ładny budynek — mówiła, jakby ją ktoś gonił. Jakby się bała, że gdy tylko zaczerpnie oddechu, natychmiast odłoży słuchawkę.

Chciałam to zrobić i trudno powiedzieć, co mnie powstrzymało. Wmawiałam sobie, że muszę porozmawiać z Sarą, a Jo Lynn nie odda jej przecież słuchawki, póki nie opowie wszystkiego do końca, ale... ale czy to prawda? Prawdą jest natomiast, że opowieści Jo Lynn zawsze działały na mnie jak wypadek uliczny na gapia: człowiek wzdraga się patrzeć na krew, a jednak w żaden sposób nie może odwrócić głowy.

— Wchodzisz za bramę, a tam tyle napisów, że nie wiesz, na który wpierw patrzeć. Na przykład: „Stop! Detektory metali! Zabrania się przenoszenia następujących przedmiotów” i wyliczają ci ich aż czternaście! Masz pojęcie? Czternaście przedmiotów! Niektóre takie, że mózg staje: telefony komórkowe, pieluchy w opakowaniach i zgadnij, co jeszcze? Kapelusze! Wyobrażasz sobie? Kapelusze! — pisnęła z krańcowym niedowierzaniem. — Trochę dalej siedzą strażnicy i tam znów pełno tych zakazów. Niektóre zwykłe, nie palić i tak dalej, ale z jednego to można pęknąć ze śmiechu: „Zabrania się wnoszenia broni palnej, amunicji, jak również wszelkiej innej broni”. Kto byłby na tyle głupi, żeby nosić broń do więzienia?

Na przykład osoba, która wlecze tam z sobą siedemnastoletnią siostrzenicę, odpowiedziałam jej w duchu.

— Jak podałam im swoje nazwisko i kogo przyszłam odwiedzić, to ci wszyscy strażnicy popatrzyli na mnie innym okiem, no, sama nie wiem, chyba jakby z większym szacunkiem... To z powodu Co lina, bo to nie jest zwyczajny opryszek, co obrobił jakiś sklepik... Kazali mi się wpisać do książki, no i weszłyśmy do poczekalni. Nic ciekawego. Ściany pomalowane na obrzydliwie szary kolor i trochę niewygodnych niebieskich krzesel. Dobrze chociaż, że były tam automaty, więc kupiłam nam coca-colę, ale zdążyłam wypić może ze dwa łyki, i zaraz mnie wywołali. Musiałam zostawić tę colę, bo do rozmównicy nie wolno nic wnosić: żywności, napojów, a nawet gumy do żucia! Możesz w to uwierzyć?

— Więc zostawiłaś Sarę samą w poczekalni.

— Nie samą! Było tam kilka osób. Nic jej się nie stało, dobrze się bawiła.

— Mogę z nią pomówić?

— Jeszcze śpi.

— Więc ją obudź i przywieź do domu. Natychmiast!

— Po co? Bo chcesz ją skrzyknąć? Nic złego nie zrobiła.

— Opuściła lekcje — przypomniałam swojej zwariowanej siostrze. — Nie wróciła na noc do

domu.

— Była u mnie, a ja próbowałam ci o tym powiedzieć. Kilka razy! I wiesz co? Wczoraj dowiedziała się więcej

0 świecie niż w szkole przez cały rok. Chce napisać wypracowanie o tym, co widziała. Dostanie za to szóstkę, zobaczysz.

— Nie miałaś prawa...

— Uspokój się, Kate! Już po wszystkim, a dzieciak miał świetną zabawę. Nie psuj jej tego.

— Obudź ją i przywieź do domu!

— Za jakiś czas — burknęła krnąbrnie.

— Nie za jakiś czas, tylko zaraz.

W odpowiedzi rzuciła słuchawkę. Spojrzałam na swego męża: potrząsnął tylko głową i wyszedł.

Dochodziła czwarta, gdy usłyszałam wreszcie samochód Jo Lynn. Larry już o drugiej wybrał się na przejażdżkę z obawy, że dalsze oczekiwanie doprowadzi go do eksplozji. Widząc, że grozi mu to lada chwila, sama zachęciłam go do wyjścia z domu. Mnie do tej pory najgorsza złość już minęła.

Snując się po pustym mieszkaniu — Michelle poszła gdzieś z przyjaciółkami — starałam się zrationalizować resztki swego gniewu metodą dzielenia go na części

1 upychania w osobnych przegródkach, tak jak chowa się zbędne drobiazgi, żeby nie leżały na widoku. Sara jest bezpieczna, mówiłam sobie, no i wiem, gdzie była. Nie stała jej się żadna krzywda. Jednodniowa absencja w szkole to jeszcze nie koniec świata, nadrobi to bez trudu. Spędziła zeszłą noc u swojej ciotki, która przecież dzwoniła dwukrotnie. Moja wina, że nie oddzwoniłam. Nie mogę gniewać się na Sarę tylko dlatego, że mojej siostrze brakuje rozsądku. A czy jest sens gniewać się na Jo Lynn? Czy kiedykolwiek coś mi z tego przyszło?

Przed czwartą opanował mnie przedziwny spokój, wszystko już sobie ułożyłam. Powitam je w drzwiach, podziękuję Jo Lynn za odwiezienie Sary i szybko się jej pozbędę, tak szybko i bezboleśnie, jak tylko się da, a potem poczekam na powrót Larry'ego. Ustaliliśmy już wcześniej, jak postąpić z Sarą: nie będzie awantury, czego ona pewnie się spodziewa albo nawet mocno na to liczy. Więc nie, nie damy jej żadnego powodu do wrzasków. Im mniej słów, tym lepiej. Nasza córka nie jest idiotką, wie, że źle postąpiła. Nie ominie jej za to kara; pozostaje nam już tylko zdecydować, jaka.

Zaledwie otworzyłam drzwi, Jo Lynn natychmiast wepchnęła się do środka.

— Gdzie Sara? — spytałam, spoglądając w stronę starej czerwonej toyoty; olej wyciekający z silnika paskudnie brudził nasz podjazd.

— W samochodzie.

Mimo usilnego wpatrywania się w przednią szybę, jak zwykle zakurzoną do ostateczności, jakoś nie mogłam jej dostrzec.

— Nikogo nie widzę.

— Bo się schowała.

— Śmieszne! Co ona sobie wyobraża? Że ją zastrzeli?

— Zrobiłam krok w stronę wyjścia.

— Lepiej nie wychodź — ostrzegła mnie Jo Lynn.

— Obiecałam Sarze, że najpierw z tobą pomówię.

— Nagadałyśmy się chyba już dosyć. — Mój spokój prysnął; nie wiadomo dlaczego zaczął ogarniać mnie lęk.

— Obiecałam — powtórzyła z naciskiem Jo Lynn.

— Chcesz zrobić ze mnie kłamczuchę?

Najchętniej stukłabym cię na kwaśne jabłko, pomyślałam, obrzucając niechętnym wzrokiem jej białą koszulę, króciutkie szorty i świeżo przycięte włosy. Jakoś jednak udało mi się opanować, zdobyłam się nawet na wymuszony uśmiech.

— Jesteś wściekła — stwierdziła Jo. Zawsze celowała w wygłaszaniu prawd oczywistych.

— Widzę, że skróciłaś włosy.

— Uhm, o kilka centymertów. Właśnie byłam u fryzjera. — Wsadziła palce w swoje blond pukle, by napszyć boki fryzury. — Podoba ci się?

— Owszem, bardzo ci ładnie.

— Słuchaj, Kate, wiem, że nie powinnam była brać ze sobą Sary, nie pytając cię o pozwolenie — oznajmiła nieoczekiwanie. Zastrzeliła mnie tym kompletnie. Jo Lynn bardzo rzadko zdobywała się na przeprosiny. — Ale zrozum, byłam tak zdenerwowana! Po prostu nie mogłam iść sama, a wiedziałam, że ty nie zechcesz.

— Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

— Ależ skąd! Nikt tu nie ponosi winy. Tutaj w ogóle nie ma żadnej winy. Mówię tylko, że gdybyś miała dla mnie troszkę więcej zrozumienia, odrobinę zwykłego współczucia...

— To pojechałabym z tobą, a ty byś nie musiała wlec ze sobą Sary — dokończyłam za nią, myśląc w dalszym ciągu, że to, co powiedziała, naprawdę znacznie wykracza poza tę formę przeprosin, do której nawykłam przez lata.

— No rzeczywiście — przyznała. — Byłaś mi bardzo potrzebna, ale cóż, widocznie nie miałaś ochoty mi pomóc.

Kiwnęłam głową i wzięłam głęboki oddech. Niepokój minął, zrobiło mi się gorąco. Czułam kropelki potu na czole i górnej wardze. Jo Lynn nie zwróciła na to uwagi.

— Ach, Kate, to spotkanie z Colinem w więzieniu było tak niesamowite! — wykrzyknęła. Już otworzyłam usta, aby jej powiedzieć, że mam tego serdecznie dosyć, jednak w porę się powstrzymałam: im dłużej będę się sprzeciwiać, tym dłużej to potrwa. Zrezygnowana otarłam więc pot znad wargi, postanawiając cierpliwie czekać, aż skończy.

— Miałam na sobie nową białą suknię, bardzo ładną. Kupiłam ją z myślą, że mu się spodoba, i rzeczywiście: był zachwycony! Wiesz, to bardzo stylowa suknia, nie za krótka, nie za długa... Wytworna.

W milczeniu kiwnęłam głową. Cóż miałam mówić, wiedząc, jak różne znaczenie ma dla nas obu słowo „wy-tworność”?

— Ach, ale w środku był ze mnie istny kłębek nerwów — kontynuowała Jo Lynn — chociaż Colin cały czas się starał dodać mi odwagi. Był doprawdy wspaniały. W sędzie wciąż na mnie patrzył z tym swoim lekkim uśmieszkiem, jakby chciał mi powiedzieć, że mam się nie martwić, że wszystko pójdzie doskonale. Ach, no i Sara była taka słodka! Robiła wszystko, żeby mi poprawić nastrój. Trzymała mnie za rękę, mówiła, że Colin jest taki przystojny i jakie to wszystko romantyczne! Że jesteśmy jak Robin Hood i lady Marian. A ja... ja co chwila musiałam jej powtarzać, żeby nie wierzyła we wszystkie te okropieństwa, w to, co gadają świadkowie...

— Poszłaś więc do więzienia — wtrąciłam, próbując przyspieszyć akcję.

— No tak. Już ci opowiadałam o mostku, o tych napisach...

— Tak, tak. Już mi opowiadałaś.

— Rozmównica jest na pierwszym piętrze, ale była to chyba najdłuższa droga w moim życiu! — zachichotała.

— Omal nie zjadły mnie nerwy! Ta rozmównica to taki długi pokój przedzielony szklaną ścianką: tu siedzisz ty, a tam więzień. Idiotyczne! Kazali nam już przecież wszystko zostawić, nawet pieluchy i kapelusze, więc po jakiego licha jeszcze ta przegroda? Nie można się nawet dotknąć. To już naprawdę nadprogramowa kara i niepotrzebnie okrutna, nie uważasz?

I taka ma być, odpowiedziałam jej w myślach.

— No więc siedzę za tym szkłem i czekam. Obok mnie siedzi kilka kobiet, które rozmawiają ze swymi mężami czy kim tam jeszcze, a tu strażnik wprowadza Colina i wiesz, co się dzieje? Wszyscy zaraz milkną i zaczynają się na nas gapić. O, bo Colin to jest ktoś! Wszyscy go tam podziwiają. Ma w sobie tę jakąś aurę. — Jo Lynn na moment zamilkła. Wiedząc, o co jej

chodzi, przybrałam odpowiedni wyraz twarzy: niech jej się zdaje, że robi to na mnie wrażenie.

— Strażnik — podjęła — prowadzi go do krzesła, a on nie odrywa ode mnie oczu i cały czas się uśmiecha. Ja na jego widok omal nie zmoczyłam majtek, a on nic, ani trochę się nie denerwuje, tylko bierze słuchawkę, ja biorę swoją, no i zaczynamy rozmawiać. Zupełnie jakbyśmy znali się całe życie... Wiesz, on się troszeczkę zacina, ale to strasznie miłe. Powiedział, że jest mi ogromnie wdzięczny za wsparcie, że wysoko sobie ceni moją wiarę w jego niewinność i że cieszy się idąc do sądu, bo wie, że mnie tam zobaczy. Och, Kate, on jest tak dobrze wychowany, prawdziwy dżentelmen! A jakie ma poczucie humoru! Na pewno byś go polubiła!

Odchrząknęłam, żeby nie wrzasnąć. Na wszelki wypadek opuściłam głowę i twardo wbiłam oczy w chodnik.

— Powiedział, że chciałby wiedzieć o mnie wszystko, jakie mam upodobania, co lubię robić... Och, pytał też

o ciebie.

— O mnie? — Szarpnęłam głową jak marionetka, którą nagle ktoś wprowadził w ruch.

— Pamięta cię z sądu. — Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie.

— I cóż mu powiedziałaś?

— Że jesteś moją siostrą i że zajmujesz się psychoterapią. Roześmiał się i powiedział, że musi się z tobą spotkać. Może już niedługo.

Zrobiło mi się zimno.

— Uważa, że Sara to skończona piękność.

— Dobry Boże!

— Powiedział, że...

— Nie interesuje mnie, co jeszcze mówiło to monstrum! — Z rozmachem otworzyłam drzwi i krzyknęłam w stronę samochodu: — Sara, chodź tu natychmiast!

— Tylko się nie wściekaj, jak zobaczysz... — zaczęła Jo

1 urwała. — Według mnie wygląda to doskonale.

— Co wygląda doskonale? O czym ty mówisz?

— Pamiętaj, że to nie mój pomysł.

Gdybym nie była pewna, że w toyocie siedzi moja córka, chyba bym jej nie poznała. Istota, którą zobaczyłam, przypominała Sarę jedynie wzrostem i rozmiarem biustu, reszta... reszta należała do kogoś innego. Długie brązowe włosy przycięte zostały do ramion i rozjaśnione na kolor popielato blond, zaś w miejsce niebieskich džinsów i kwiecistej hinduskiej lejby pojawiła się biała obcisła koszulka plus minispódniczka w biało-czerwonej kratę.

— Rzeczy są moje — wyjaśniła Jo Lynn. Jakbym sama tego nie wiedziała! — Te hippisowskie łachy nie pasowały do takich włosów.

Moja córka wygląda jak dziwka, zdołałam jedynie pomyśleć, bo odebrało mi mowę. Dopiero gdy mnie minęła, kierując się prosto do swego pokoju, dopiero wtedy mnie olśniło: przecież ona wygląda całkiem jak Jo Lynn!

ROZDZIAŁ 12

Nie chcieliśmy robić wielkiej sprawy z powodu blond włosów Sary, wychodząc z założenia, że każda uwaga krytyczna popchnie ją tylko do dalszych eksperymentów, każda pochwała natomiast zostanie źle odczytana. Ja pozwoliłam sobie zaledwie na skromny żarcik: „Jak to jest być blondynką?”, Larry mruknął coś o tym, że każdy od czasu do czasu potrzebuje odmiany. To Michelle — jak zwykle — przypadło w udziale dać wyraz naszym uczuciom. „Boże”, krzyknęła na widok swojej siostry, „coś ty zrobiła z włosami? Okropność!”

No, właściwie aż tak źle nie było, ostatecznie wszystko jest kwestią przyzwyczajania. Biorąc to pod uwagę, cała nasza trójka przez kilka następnych tygodni uczciwie starała się przywyknąć do nowego wizerunku Sary. Ona sama swoim zwyczajem nie ułatwiała nam sprawy. Jej postawy i reakcje zmieniały się z dnia na dzień, były jednak niezmiennie negatywne: od chłodnego dystansu poprzez pozycje zaczepno-obronne do grubiaństwa i jawnej wrogości. Wszystko prócz skruchy. Słówkiem nie wspomniała, że jej przykro. Nie raczyła nas przeprosić za tę noc rozpacz i strachu, nie przyrzekła, że nic podobnego już się nie powtórzy. Żeby nie zwariować, zaczęłam udawać sama przed sobą, że moja starsza córka to nie żywy człowiek, lecz postać ze sztuki na krótko rzucona w realną rzeczywistość, aby nam dostarczyć powodów do śmiechu. Trochę komedii w ponurym dramacie to rzecz niezmiernie pożądana. Niestety na dłuższy dystans trudno było uznać Sarę za zabawną. Interesujące, że faktycznie napisała esej z angielskiego na podstawie swej bytności w sądzie i zgodnie z przewidywaniami Jo Lynn rzeczywiście dostała szóstkę. To tyle co do konsekwencji.

Mniej więcej w tym samym czasie Larry zaczął powolutku odsuwać się od rodziny. Z początku unikał jedynie Sary, słusznie rozumując, że im mniej kontaktów, tym mniej powodów do konfliktu, a więc i szans na zawał. Stało się niemal regułą, że gdy ona była w domu, jego nie było. Coraz dłużej pracował, coraz częściej grał w golfa. W rezultacie, rzecz jasna, również Michelle i ja widywałyśmy go rzadziej, ponieważ jednak w tym czasie oznaki jego rejterady nie były jeszcze wyraźnie widoczne, nie zwróciłam na to uwagi. Byłam zresztą bardzo zajęta. Wbrew powszechnemu mniemaniu okres przedświąteczny — wszystko to działo się na kilka tygodni przed Dniem Dziękczynienia — nie jest porą wszechogarniającej radości i uciech ani nie wyzwala w ludziach najlepszych cech. Można powiedzieć, że jest wprost przeciwnie. Świadczył

o tym choćby mój kalendarz przyjęć, szczelnie wypełniony aż do końca roku z wyjątkiem króciutkiej przerwy na święta Bożego Narodzenia.

Na domiar złego miałam na głowie jeszcze Jo Lynn

i matkę. Obie, każda na swój sposób, zachowywały się ostatnio jak osoby kompletnie stuknięte, inaczej doprawdy trudno to określić. Moja siostra nadal odprawiała swoje „nabożeństwa” do mordercy zarówno publicznie, w sądzie, jak i prywatnie, w więzieniu. Matka powiększała z dnia na dzień litanię skarg i zażaleń. Jeśli nie śledzili jej jacyś podejrzani osobnicy, to nocami ktoś łomotał w drzwi lub składał obsceniczne propozycje przez telefon. Pewne kobiety, sąsiadki z piętra, knuły spisek, którego celem było wyeksmitowanie jej z ośrodka. Przy stole otrzymywała mniejsze porcje niż pozostali rezydenci. Zdaniem matki była to robota pani Winchell, która z niewiadomych przyczyn uparła się ją zagłodzić. Zaczęła do mnie wydzwaniać po piętnaście i więcej razy dziennie — do domu i do pracy. Rano dzwoniła jako pierwsza, wieczorem jako ostatnia. W jednej chwili szalała z gniewu, w następnej stawała się uosobieniem pogody i dobrego wychowania. Często płakała.

Nie mogłam winić Larry'ego, że w tej sytuacji nie zdradza ochoty na jakiegokolwiek kontakty z moją matką czy siostrą. To nie była jego rodzina. Jego najbliżsi krewni, spokojni i sympatyczni, nigdy nie sprawiali nam żadnych kłopotów. Matka, od dziesięciu lat wdowa, mieszkała w Karolinie Południowej; miała własny dom w odległości dwóch przecznic od domu starszego brata Larry'ego. Obok niej po sąsiedzku mieszkał pewien uroczy wdowiec, z którym

od pięciu lat łączyły ją stosunki bliższe od sąsiedzkich. Od czasu do czasu obie strony, to znaczy my i oni, dokonywały krótkich wypadów na zaprzyjaźnione terytoria — zawsze ku obopólnemu zadowoleniu. Tak, to wyłącznie moja rodzina stanowiła źródło wiecznych problemów. Najchętniej uciekłabym, gdzie pieprz rośnie, od matki i od Jo Lynn, gdyby moja ucieczka miała jakiegokolwiek szansę powodzenia. Niestety, nie miała żadnych. Raz już próbowałam i co?

Tak więc, jeśli mam być szczerą, a powinnam, to muszę wyznać, że w tym szczególnym okresie przed Dniem Dziękczynienia byłam nawet zadowolona, że Larry tak rzadko bywa w domu. No cóż, mniej osób, mniej zmartwień.

Samo Święto Dziękczynienia minęło wprost wyjątkowo spokojnie — przysłowiowa cisza przed burzą. Świętowaliśmy w domu i wszyscy — o dziwo! — starali się pokazać z jak najlepszej strony. Larry z powodzeniem grał rolę jowialnego gospodarza, po mistrzowsku krojąc indyka i wesoło gawędząc z moją matką, tak rozmowną i sympatyczną, jakby nigdy nie miała żadnych napadów paranoi. Jo Lynn, gustownie ubrana w białą bluzkę i eleganckie spodnie z czarnej krepy, ani razu nie wspomniała o Friendlym i jego procesie, w którym nastąpiła obecnie tygodniowa przerwa. Sara — tu wypada dodać, że w jej popielato blond grzywie widać już było ciemne odrosty — pomagała podawać do stołu i troskliwie usługiwała babci. „Kim jest to słodkie stworzenie?” — wyszeptała w pewnej chwili matka. Roześmiałam się głośno, myśląc, że żartuje, później dopiero zrozumiałam, że nie był to wcale żart. Michelle, która jak zwykle dokonała podsumowania, uznała ten wieczór za wielki sukces. „Było prawie jak w normalnej rodzinie” — stwierdziła, podsuwając mi policzek, kiedy przyszedłam jej powiedzieć „dobranoc”.

Co się tyczy moich kontaktów z Robertem, to przez parę tygodni porozumiewaliśmy się wyłącznie za pośrednictwem maszyn rejestrujących; ani razu jakoś nie doszło do rozmowy „na żywo”. Kiedy on dzwonił, ja miałam pacjentów, kiedy zgodnie z jego prośbą próbowałam się z nim połączyć, on był na spotkaniu albo podejmował jakichś ważnych gości. Ostatnia jego wiadomość brzmiała: „Myślę o tobie”. Moja: „Zastanawiam się nad twoją propozycją”.

Kiedy w poniedziałek po Dniu Dziękczynienia przyszedłam do pracy, czekała już na mnie kolejna wiadomość: „Dosyć tego zawracania głowy — oznajmił aparat głosem Roberta. — Spotykamy się w moim biurze w najbliższą środę o dwunastą. Oprowadzę cię po rozgłośni, zapoznam z ekipą, zobaczysz, jak to wszystko działa, a potem zabieram cię na lunch. Przygotuj swoją koncepcję”. Na zakończenie podał mi adres rozgłośni plus szczegółowe wskazówki, jak się tam dostać. Żadnej prośby o potwierdzenie. Wiedział, że w środy nie pracuję, założył więc z góry, że będę wolna. Tego, że na przykład mogę mieć inne plany, najwidoczniej nie brał pod uwagę. Tymczasem tak się złożyło, że obiecałam już matce wziąć ją na zakupy, a ściślej mówiąc, sama wystąpiłam z taką propozycją. Pod wpływem szalonej ulgi, jaka mnie ogarnęła po udanej świątecznej kolacji, niewiele myśląc, postanowiłam zrobić jej przyjemność, sobie zresztą również. Miałyśmy kupić gwiazdkowe prezenty, a potem zjeść razem lunch. I co teraz? Nie wypadało wszystkiego odwoływać, bo jak? Powiedzieć, że ktoś mi złożył lepszą propozycję? Niepoważne. Ale to przecież interes, a nie żaden kaprys, mówiłam sobie już z ręką na telefonie. Ostatecznie powiedziałam matce, w czym rzecz, dodając, że do południa możemy sobie jednak pochodzić po sklepach.

— Cóż za uroczy pomysł — odrzekła takim tonem, jakby usłyszała o tym po raz pierwszy.

Podjechałam po nią o dziesiątej rano. Stała już na dole w holu, tuż przy otwartych drzwiach wyjściowych, rzucając za siebie dziwnie płochliwe spojrzenia. I tak kurczowo ścisnęła torebkę. Kiedy pomachałam do niej ręką, drgnęła, jakby ją zdziwił mój widok, ale zaraz z pośpiechem wybiegła na zewnątrz.

— Wszystko w porządku, mam? — spytałam, pomagając jej się usadowić na przednim siedzeniu mojego białego lexusa. Zauważyłam, że jakoś tak nienaturalnie pochyła się w przód. Całkiem jakby chciała własnym ciałem osłonić tę swoją torebkę. — Mam — zagadnęłam ją

znowu, siadając za kierownicą — czy coś się stało? Dobrze się czujesz?

— Chcę ci coś pokazać — szepnęła tajemniczo. — Jedź!

Powoli i raczej niechętnie wyprowadziłam samochód na Palm Beach Lakes Boulevard.

— Co to takiego? Co mi chcesz pokazać?

— Nie teraz. Jak zajedziemy na miejsce. Dlaczego? Chciałam ją o to spytać, ale zrezygnowałam,

widząc, że nie ma zamiaru mnie słuchać; patrzyła prosto przed siebie, z wielkim skupieniem obserwując drogę. Zerknęłam na jej profil, ale nie, nie zauważyłam żadnych niepokojących oznak. Włosy miała świeżo umyte i starannie zaondulowane, a jej głęboko osadzone brązowe oczy patrzyły bardzo przytomnie; uśmiechała się lekko. Wyglądała całkiem normalnie, tylko ta jej pozycja wydawała się trochę dziwna... Co jest w tej torebce, że tak jej pilnuje? A potem spostrzegłam nagle jej paznokcie. Widniały na nich jakieś ciemnopurpurowe smugi.

— Cóż to się stało z twoimi paznokciami? — Matka zawsze bardzo o nie dbała.

Zerknęła na swe długie, lekko zartretyzowane palce; w pierwszej chwili wydawała się zdziwiona tym, co widzi, zaraz jednak dumnie wyciągnęła rękę w moją stronę.

— Podobają ci się? Ta sprzedawczyni u Saksa przysięgała, że ten odcień to teraz ostatni krzyk mody.

Delikatnie potarłam czubek jednego z jej wąskich paznokci; cały tak zwany lakier został mi na palcach.

— Mamo, to nie jest lakier. — Czyżby ekspedientka chciała ją naciągnąć? Ach nie, przecież to bez sensu.

— Nie lakier?

— To szminka. — Potarłam drugi palec. — Masz na paznokciach pomadkę do ust.

— Nic podobnego! — zaprzeczyła bardzo stanowczo. — Kompletnie się mylisz. No i patrz, co zrobiłaś! Jak to teraz wygląda? — zakończyła ze łzami w głosie.

— Ależ mamo... — zaczęłam mówić i umilkłam. Zapadła nieznośna cisza. Było jasne, że z matką dzieje się coś bardzo niedobrego, ale ja natychmiast zaczęłam przekonywać samą siebie, że nie, że przecież podczas weekendu była w doskonałej formie. Może ten weekend tak na nią wpłynął? Starsi ludzie źle znoszą jakiegokolwiek odstępstwa od codziennego trybu życia. Starsi ludzie... Czy siedemdziesiąt pięć lat to już taka głęboka starość? No tak, coś dzieje się z moją matką, ale niekoniecznie przecież musi to być coś groźnego.

Aż do placu Marszałków nie zamieniłyśmy z sobą ani słowa. Kiedy jednak wyłączyłam silnik, matka błyskawicznie obróciła się do mnie, podniecona do ostatnich granic: oczy jej błyszczały, trzepotała rękami jak dziecko.

— No, ciekawe, co powiesz, jak to zobaczysz! — Sięgnąwszy do torebki, wyjęła z niej coś, co skrzętnie ukryła w stulonej dłoni.

— Co to takiego? — Mimo woli zaczęłam się denerwować; słysząc to było w moim głosie.

Matka uśmiechnęła się dumnie, po czym z wolna otworzyła rękę. Na jej rozpostartej dłoni zobaczyłam... zwykłe małe jajko.

— Widziałaś kiedy coś takiego? — spytała z autentycznym zachwytem. Serce ścisnęło mi się w piersiach. — Dziś rano na stole w jadalni było kilka takich — oznajmiła konfidencjonalnie, rzucając dookoła nerwowe spojrzenia. Zupełnie jakby się bała, że ją ktoś podgląda. — Nie mogłam się powstrzymać i... i kiedy nikt nie patrzył, prędko złapałam jedno i schowałam do torebki. Dla ciebie. Żebyś też mogła zobaczyć. Popatrz, jaki to idealny kształt. Widziałaś kiedy coś tak cudownego?

— Mamo — powiedziałam łagodnie, wpatrując się z osłupieniem w to kuliste „cudo” — przecież to jajko. Naprawdę tego nie wiesz?

— Jajko?

— Codziennie zjadasz takie na śniadanie.

Patrzyła na mnie przez kilka nieskończenie długich sekund i wreszcie powiedziała, nie

zmieniając wyrazu twarzy:

— A tak, rzeczywiście. — Schowała jajko do torebki.

— Mamo — bąknęłam, nie mając pojęcia, co by tu powiedzieć. Rozpaczliwie szukałam czegokolwiek, byle tylko uniknąć tej straszliwej ciszy.

— Ślicznie wyglądasz! — wykrzyknęła matka, jakbyśmy dopiero teraz się spotkały. — To nowa suknia? Nie za elegancka jak na zakupy?

Machinalnie wygładziłam fałdy mojej efektownej, nowo nabytej kreacji w biało-czerwone kwiaty.

— Mam spotkać się z kimś na lunchu — przypomniałam matce. — W sprawie programu radiowego. Pamiętasz, mówiłam ci o tym.

— Oczywiście, że pamiętam. A ty pamiętałaś o świątecznej liście Michelle?

Chyba już w tym momencie powinnam była absolutnie uświadomić sobie, że z moją matką dzieje się coś okropnego. Dziś trudno mi wprost uwierzyć, że nie rozpoznałam tak oczywistych — klasycznych! — objawów choroby Alzheimera. Myślę, że gdyby chodziło o matkę któregoś z pacjentów, stwierdziłabym to już dawno lub przynajmniej wzięła pod uwagę tego rodzaju możliwość, ale to była moja matka, a taki fakt potrafi radykalnie zmienić optykę. Moja matka miała wszak zaledwie siedemdziesiąt pięć lat i przeważnie była normalna. Nie co dzień zdarzało jej się podkraść jajka ze wspólnego stołu czy malować paznokcie szminką. Nie zawsze oskarżała sąsiadów o prześladowania albo piekła ciasta z detergentem. Najczęściej była uroczą osobą, a że czasem zapominała o tym czy owym? Każdemu się to zdarza. W dodatku to zapominanie nie było znów takie groźne, pamięć na ogół jej dopisywała. Tak było przez cały ostatni weekend. No i czyż nie wspomniała właśnie

o słynnej gwiazdkowej liście Michelle?

— Tak, mam ją tutaj. — Sięgnęłam do czarnej skórzanej torebki.

— Zabawna dziewczuszka z tej Michelle — stwierdziła matka. Roześmiałam się głośno, choć właściwie nie było z czego.

W normalnych warunkach kupowanie świątecznych prezentów sprawiało mi zawsze ogromną przyjemność dzięki nader pomysłowej liście sporządzanej rokrocznie przez moją młodszą latorośl. Każdy wyszczególniony w tym spisie artykuł zaopatrzony był w rysunek, cenę i adres sklepu, w którym można go nabyć. Ha, podane były nawet dokładne wymiary każdego przedmiotu! Na osobnej kartce Michelle przedstawiała rozmaite warianty swoich propozycji, spośród których mogłyśmy dokonać wyboru. Rzeczy podkreślone kolorem żółtym były ładne, oznaczone gwiazdką — ładniejsze, strzałką — bardzo ładne, gwiazdką i strzałką — najładniejsze. Z Michelle człowiek zawsze wie, na czym stoi, myślałam z wdzięcznością, ściskając jej listę jak bezcenną linę ratunkową. Sara, ma się rozumieć, odmawiała bawienia się w „jakieś tam listy”.

Po incydencie z jajkiem wydawało się, że kryzys minął — matka pozornie wróciła do normy. Kupiliśmy już kilka prezentów, co dzięki wskazówkom Michelle poszło nam całkiem gładko. W przyptywie lepszego samopoczucia spokojniej myślałam teraz o swym spotkaniu z Robertem, zwłaszcza że miałam nawet kilka pomysłów na to, co w skrytości ducha zaczęłam nazywać już „swoją audycją”.

Dawało mi to poczucie, że dzisiejsze spotkanie ma charakter czysto profesjonalny. No i leży w moim interesie, mówiłam sobie, prowadząc matkę z parkingu do niewielkiego sklepu wyspecjalizowanego w sprzedaży sprzętu do golfa.

— Proszę mi pokazać najlepsze kije golfowe — poleciłam młodemu sprzedawcy, który zaoferował nam swoje usługi. Był wierną repliką Grega Normana. Idąc za nim w głąb sklepu, poczułam coś na kształt wyrzutów sumienia, więc oczywiście natychmiast zaczęłam się bronić: nie, to wcale nie z poczucia winy chcę kupić Larry'emu najlepsze kije, jakie można dziś znaleźć na rynku.

— Najlepsze... Cóż, wszystko zależy od wymagań indywidualnych, mogę jednak

powiedzieć, że ta oto nowa generacja kijów o nazwie „Tytan” jest wprost kapitalna — oświadczył sprzedawca. Kij, który mi zademonstrował, miał dużą drewnianą łopatkę. Usłyszałam całą litanie pochwał na temat jego wyjątkowych zalet, podczas której ręka młodego człowieka w taki sposób gładziła wypolerowane drzewo, jakby było to ciało ukochanej. — Tutaj zastosowano świetną mieszankę tytanu z grafitem — pokazał mi teraz kij metalowy, nie orientując się zgoła, że dla mnie to bez różnicy. — Jak na moją kieszeń jest to komplet zdecydowanie najlepszy — stwierdził na zakończenie.

— Ile kosztuje? — spytałam. Ostatecznie chodziło tu, przecież nie o jego, lecz o moją kieszeń. — Chwileczkę, niech pomyślę... — zełgał. Jakby nie znał wszystkich cen na pamięć! W udanej zadumie prześliznął się wzrokiem po sklepie... i nagle skamieniał. — O Chryste! — wrzasnął. — Proszę uważać!

Zanim cokolwiek zobaczyłam, usłyszałam świst i w twarz uderzyła mnie fala powietrza. W ułamek sekundy później rzucony z rozmachem kij przeleciał mi koło głowy w odległości piętnastu może centymetrów. Natychmiast jak spod ziemi wyskoczyło kilku młodych ludzi i wszyscy rzucili się na moją matkę, która wywijając następnym kijem, przymierzała się właśnie do drugiego rzutu. Powalili ją na podłogę, gdzie po krótkiej szarpaninie została obezwładniona. — Kate! — krzyknęła w skrajnej panice, bezskutecznie próbując się uwolnić. — Pomóż mi, Kate! Ratunku!

— Puśćcie ją, to moja matka! — zawołałam. — Wszystko w porządku. — Uczynili to dość niechętnie, nie ukrywając zdumienia. — W porządku — powtórzyłam, równie zakłopotana jak oni. — Mama nie chciała zrobić mi krzywdy.

— Krzywdy? — zakwiliła matka. Żal było na nią patrzeć. Głowa kiwała jej się dziwnie bezwolnym ruchem jak coś ledwo przyczepionego drutem do tułowia, zwisająca w żalonych fałdach skóra na jej chudej szyi przypominała za luźną skarpetkę... — Co ty mówisz, Kate? Ja bym cię miała skrzywdzić? Chciałam tylko wypróbować ten kij. Mówiłam ci, że w szkole grałam w baseball. Byłam świetną miotaczką, najlepszą w drużynie!

— Nic się nie stało, wszystko w porządku — zapewniłam po raz kolejny otaczający nas tłumek sprzedawców. — Mamie czasami... mieszają się różne rzeczy...

Co prędzej wyprowadziłam ją z tego sklepu.

— Przecież wiesz — powtórzyła błagalnie — że nigdy nie zrobiłabym ci krzywdy!

— Wiem. — Siadając za kierownicą, poczułam, że drżą mi kolana. Ruszyłam powoli, bo gniotło mnie w piersiach i z trudem łapałam powietrze. Przeszło mi to dopiero wtedy, gdy w końcu szczęśliwie dowiozłam matkę do domu.

— O, masz rumieńce — stwierdził Robert, dotykając mego policzka. — Czyżbyś chciała powiedzieć mi coś ciekawego?

Ach, ten jego dotyk!... Zamknęłam oczy i wyobraziłam nas sobie na białej, roziskrzonej słońcem plaży, daleko od wszystkich matek, córek, jak również mężów i żon. Oraz siostr! Z dużą niechęcią otwierając oczy, nakazałam sobie przyjąć do wiadomości, że to nie plaża, ale centrum Delray i że znajdujemy się w gabinecie właściciela rozgłośni WKEY, pana Roberta Crowe.

— Moja matka wyobraza sobie, że jest mistrzynią baseballa.

— A ja wyobrażam sobie, że za tym, co powiedziałaś, kryje się ciekawa historyjka. Jak myślisz, dlaczego?

— Dlatego że pracujesz w mediach — odparłam. — Każda rzecz to dla ciebie temat do audycji.

— Ach, ale nie zawsze interesujący. Więc dlaczego wszystko, co dotyczy ciebie, wydaje mi się takie ciekawe?

— Ponieważ nie widziałeś mnie trzydzieści lat — rzuciłam sucho. — No i zbyt dobrze mnie nie znasz.

— Bardzo bym chciał to zmienić.

Poczułam, już po raz drugi w tym dniu, że trudno mi głębiej odetchnąć, więc żeby to jakoś zwalczyć, zaczęłam swoim zwyczajem szczegółowo badać otoczenie: bła-doniebieskie ściany, srebrny puszysty dywan, czarny marmurowy blat biurka z królującym pośrodku wielkim ekranem komputera. Przed biurkiem stały dwa beczułkowate fotele obite supermodnym obecnie zamszem w pasującym do koloru ścian szaroniebieskim odcieniu. Kilka takich samych zgrupowano naprzeciw ogromnej kanapy po drugiej stronie pokoju. Gabinet Roberta miał kształt prostokąta i mieścił się na najwyższym piętrze wieżowca. Całą wschodnią ścianę wypełniały okna, takie od sufitu do podłogi, za którymi rozpościerał się ocean. Widok z wysokości dwunastego piętra był doprawdy piękny. Przez moment próbowałam nawet sobie wmawiać, że to właśnie ten widok zapiera mi dech, lecz była to oczywiście tak wierutna bzdura, że omal nie zaczęłam śmiać się sama z siebie.

Na niskim dębowym kredensie za biurkiem stał długi rząd fotografii. Gdy z udaną swobodą podeszłam bliżej, z gustownych srebrnych ramek uśmiechnęły się do mnie twarze żony i dzieci Roberta. Zobaczyłam drobną ciemnowłosą kobietę, raczej ładną niż piękną, o lekko zdziwionym wyrazie oczu, który równie dobrze mógł być skutkiem chwilowego zaskoczenia, jak i niedawnej operacji plastycznej. Czwórka dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, uchwycona została we wszystkich fazach dorastania: od dzieciństwa do wczesnej młodości.

— Masz uroczą żonę — uśmiechnęłam się do Roberta. Nie chciałam wdawać się w szczegóły, jako że bez okularów znaczna ich część mi umknęła.

— Dziękuję. No a ty nie pokażesz mi zdjęć swoich dziewczyn?

Zaczęłam grzebać w torebce, zadowolona, że na chwilę przynajmniej mam czym zająć ręce. Tylko że natychmiast skojarzyło mi się to z matką: takim samym ruchem sięgnęła po to swojej jajko. Zastygłam, bo przyszło mi na myśl, że może jej zachwyty był słuszny... W jajku rzeczywiście jest coś cudownego...

— O czym tak myślisz? — spytał Robert, przyglądając mi się uważnie. W kącikach oczu rysowały mu się urocze drobniutkie zmarszczki.

— O jajkach — odrzekłam zgodnie z prawdą, co szybciej podejmując znów poszukiwania.

— O jajkach? — pokręcił głową z komicznym powątpiewaniem. — Wiesz co, Kate Latimer? Zagadkowa z ciebie kobieta.

Ha! Czyż nie tego zawsze pragnęłam?

— Kate Sinclair — poprawiłam półgłosem. Chyba nawet nie chciałam, żeby to usłyszał. Znalazłam wreszcie czerwony skórzany albumik z fotografiami Michelle i Sary. — Proszę, ale to zdjęcia sprzed roku. Michelle co prawda specjalnie się nie zmieniła, jest tylko teraz jeszcze szczuplejsza.

— Śliczna.

Przyjrzałam się swemu młodszemu dziecku, jakbym je widziała po raz pierwszy, jak pewnie zrobił to on: twarz w kształcie serca, wielkie ciemnoniebieskie oczy, miękkie brązowe włosy. Wokół ust jakby przelotny cień smutku. Tak, Michelle jest śliczna, chociaż w sposób bardziej konwencjonalny niż Sara, której uroda bardziej rzuca się w oczy.

— A to?...

— To jest Sara. Ma teraz inne włosy. Krótsze i jaśniejsze. Ufarbowała je na blond.

— A tobie się to nie podoba, co?

— Podoba mi się, że podcięła włosy, kolor natomiast nie wprawia mnie w zachwyty.

— No a zdjęcia męża? — spytał z figlarnym uśmiechem.

Przesunęłam się w stronę okna, by spojrzeć na morze. Niepodobna było powiedzieć, gdzie kończy się niebo, a zaczyna ocean, ale co za różnica? I powietrze, i woda miały ten sam cudownie błękitny odcień.

— Nie mam — powiedziałam, czując, że ogarnia mnie lekkie poczucie winy i zarazem zdziwienie, co ja tu właściwie robię? — Tak się składa, że nie mam żadnych zdjęć Larry'ego.

W tym momencie zabrzączał interkom: sekretarka poinformowała Roberta, że ma ważny

telefon z Nowego o Jorku. Przeprosiliśmy się nawzajem: on podjął słuchawkę, ja wymknęłam się do toalety.

— I w co ty się pakujesz? — Zadałam to pytanie własnemu odbiciu w wielkim łazienkowym lustrze. Jeśli on nawet serio proponuje mi ten program, myślałam, nakładając na policzki szczyptę świeżego rózu, czy ja sama mam na to ochotę? Czy jest mi to w ogóle potrzebne? Chyba nie. W tej chwili pragnęłam tylko jednego: powrotu do jakiejś takiej normalności. Ta normalność oznaczała dla mnie córkę z ciemnymi włosami i przyzwoitą notą ze sprawowania, siostrę, która ma stałą pracę i żadnych afer miłosnych, wreszcie matkę, która nie przypomina przybysza z innej planety... Dobrze chociaż, że zdołałam ją namówić na wizytę u lekarza... Ach! Właśnie wyjęłam pomadkę do ust i znów przypominałam sobie te jej paznokcie... Z początku nie chciała słyszeć o lekarzu — nachodziła się do nich już dosyć — kiedy jednak udałam, że to ja powinnam zasięgnąć porady i potrzebuję jej wsparcia, chętnie zgodziła się mi towarzyszyć: „Oczywiście, kochanie!” Szkoda, że dopiero za dwa miesiące, ale wszystkie wcześniejsze terminy były już zajęte. A może to i dobrze, może wszystko do tego czasu rozwiąże się jakoś samo. Sarze odrosną włosy, Colin Friendly otrzyma wyrok śmierci, a matka stanie się znowu sobą?...

Skąd mogłam wiedzieć, że wszystkie te sprawy przybiorą fatalny obrót? Takich rzeczy się nie wie, lecz często się je przeczuwa. Podświadomie. I chyba takie przeczucie mówiło mi teraz, że powinnam odrzucić ofertę Roberta. Tak zrobię, postanowiłam. Powiem, że nie ma sensu przedstawiać mnie radiowym oficjelom, nie pójdę z nim na lunch, przestanę zawracać sobie głowę całą tą niedowarzoną propozycją. Gwiazda eteru! Mrzonki. Nie ma co o tym myśleć. Spryskałam twarz zimną wodą — w tym kontekście mogło to uchodzić za gest wręcz symboliczny — wrzuciłam kosmetyki do torebki i zbrojna w swe nowo powzięte postanowienia, pewnym krokiem wymaszerowałam z toalety.

Robert czekał na mnie przy windzie.

— Przepraszam cię za tę przerwę — powiedział ze skruchą, ujmując mnie pod łokieć i prowadząc do biura szefa rozgłośni. — Wprost nie mogę się już doczekać, żeby się tobą pochwalić.

No i co? Bez słowa sprzeciwu pozwoliłam mu się prowadzić przez skomplikowany labirynt gabinetów, redakcji i pomieszczeń technicznych, zajmujących całe to dwunaste piętro. Wymieniłam dziesiątki uścisków dłoni z kierownikami poszczególnych działów i ich personelem, zwiedziłam położone piętro niżej studio nagrań, poznałam nie pamiętam już ilu spikerów, producentów, gospodarzy programów, jak również mnóstwo ludzi pracujących poza anteną. No cóż, muszę wyznać, że bardzo mi się spodobała panująca tu atmosfera, ludzie, ich specyficzny żargon, gwar i krzątanina, nade wszystko jednak liczyła się bliskość Roberta... Wędrując z pokoju do pokoju, przechodząc z jednej nieznannej sytuacji w drugą, poznając nie kończący się korowód twarzy, czułam wciąż jego rękę na swoim łokciu i... wprawiało mnie to w euforię. Jego dotyk działał na mnie nie tyle fizycznie, ile tym, co oznaczał w innych kategoriach. Dawał mi poczucie, że ktoś łagodnie narzuca mi swe przewodnictwo, że nie muszę o niczym decydować, bo robi to za mnie ktoś inny... Opadło ze mnie całe brzemie odpowiedzialności — i była to wielka ulga.

, Tak oto dałam się uwieść własnym pragnieniom. Czyż zresztą nie na tym polega każde uwiedzenie? Mimo to nadal nie przestawałam sobie wmawiać, że zainteresowanie Roberta moją osobą ma charakter wyłącznie profesjonalny i że sama traktuję go analogicznie. Że chcę z jego pomocą spróbować czegoś nowego, mówiąc obrazowo, rozwinąć skrzydła do nowego lotu.

Wciąż jeszcze mogłam tak myśleć, bo szliśmy dopiero na lunch... Można się okłamywać, zasłaniać mnóstwem mniej lub bardziej racjonalnych argumentów, a nawet przeczyć oczywistym faktom, ale tylko do pewnej granicy — później już nie.

ROZDZIAŁ 13

— Powiedz mi, Kate, od czego zależy szczęście w małżeństwie? Zdradź mi ten sekret.

Spojrzałam na niego bacznie: kpi sobie ze mnie? Nie, w jego piwnych błyszczących oczach nie było śladu ironii. Spróbowałam się roześmiać — nic z tego. Patrzył na mnie w taki sposób, że śmiech zamarł mi w gardle. Zmieszana podniosłam rękę do twarzy, potem opuściłam ją na kolana i wreszcie, nie wiedząc, co dalej robić, sięgnęłam po bułeczkę — trzecią z kolei. Przychwycił moją rękę i nakrył ją swoją.

— Zdenerwowana? Bawi się moim kosztem?

— Naprawdę nie wiem, jak cię traktować — wyznałam otwarcie.

— I to cię denerwuje?

— Lubię wiedzieć, na czym stoję.

— Traktuj mnie bardzo poważnie — powiedział, cofając rękę.

Moje zakłopotanie wzrosło: od dawna nie bawiłam się w takie podchody. Całe dwadzieścia pięć lat! I nigdy nie byłam w tym dobra. W Larrym ujęła mnie przede wszystkim jego prostolinijność, to, że od początku naszej znajomości wiedziałam dokładnie, na co mogę liczyć. Nie było nie przespanych nocy, warowania przy telefonie, miotania się od czarnej rozpacz do uniesień. Żadnej huśtawki nastrojów. Wszystko było proste i jasne. Ale skoro tak, to dlaczego tu jestem? Dlaczego siedzę teraz w przytulnej restauracyjce gdzieś w Delray Beach, flirtując z innym mężczyzną?

— Sekret udanego związku... — powtórzyłam z wolna, starając się zarazem nie myśleć, jaki on przystojny, jak świetnie się prezentuje w tym ciemnozielonym garniturze. — Nie ma tu żadnych sekretów, wiesz o tym doskonale.

— Jak to nie? Wytrzymałaś w małżeństwie prawie dwadzieścia pięć lat!

— A ty ponad dwadzieścia — odbiłam piłeczkę.

— Kto powiedział, że jestem szczęśliwy?

Poczułam nagłą suchość w ustach. Bezradnie rozejrzałam się po miłej, nastrojowo oświetlonej sali, utrzymanej w tonacjach burgunda i różu: gdzie ten kelner? Dlaczego tak długo nie przynosi nam jedzenia? Siedzimy tu już przecież prawie pół godziny. Zdążyliśmy w tym czasie zadać sobie nawzajem kilka podstawowych pytań związanych z tak zwanym „moim” programem. Co lepsze: godzina dziennie czy dwie raz w tygodniu? Czy powinnam wszystko robić sama, czy raczej zapraszać ekspertów? A treść? Czy omawiać jeden wybrany temat, czy też uruchomić telefony i iść, jak to mówią radiowcy, „na żywioł”? Mam prowadzić prawdziwe sesje terapeutyczne? Czy to się uda? A może lepsze byłyby krótkie inscenizacje albo połączenie jednego z drugim — gdyby znaleźć na to* jakiś sposób... Nie doszliśmy do żadnych konstruktywnych wniosków. Wyglądało na to, że konieczne będą dalsze dyskusje. Widziałam już w perspektywie wiele takich spotkań jak dzisiejsze...

— Nie jesteś szczęśliwy? — wymknęło mi się. Że też zawsze muszę coś chlapnąć!

— Nie jestem nieszczęśliwy — uściślił Robert. — Moja żona to bardzo miła kobieta. Urodziła mi czwórkę pięknych dzieci, dzięki niej zrobiłem karierę... Zdaję sobie sprawę z tego, ile jej zawdzięczam...

— Kochasz ją? — Wiedziałam, że brzmi to banalnie, że nie powinnam zadawać tak naiwnych pytań, ale czyż nie jest to zawsze kwestia podstawowa w stosunkach między dwojgiem ludzi?

— Miłość?... Spróbuj ją zdefiniować.

— Nie — pokręciłam głową. — Miłość ma tyle różnych znaczeń, dla każdego inne. Nie mogę mówić za ciebie. W sądzie nazwano by to domniemaniem.

— Mów za mnie — poprosił z uśmiechem. — Pozwalam ci domniemywać.

Uśmiechnęłam się również, choć miałam sobie za złe, że tak łatwo pozwalałam mu się oczarować. Że tak strasznie jestem na to łaśa. Skończ z tym natychmiast, mówiłam sobie. Podnieś się z krzesła i powiedz, że nie jesteś głodna, że cała ta radiowa impreza to kiepski

pomysł. Powiedz mu, że nie wierzysz w to nagłe zainteresowanie twoimi walorami zawodowymi i że dziś tak samo nie pójdziesz z nim do łóżka jak trzydzieści lat temu. Dalej, wygarnij mu to wszystko! No i czy posłuchałam głosu rozsądku? Ależ skąd!

— Mogę najwyżej powiedzieć, co dla mnie znaczy słowo „miłość” — bąknęłam, wierząc się na krześle.

— Powiedz, bardzo proszę.

— Miłość — przełknęłam ślinę — to mieszanina kilku czynników, takich jak szacunek i tolerancja wobec partnera oraz gotowość do zaakceptowania tej osoby takiej, jaka ona jest, bez żadnych warunków wstępnych. No i naturalnie — tu musiałam spojrzeć mu prosto w oczy — takim czynnikiem jest również pociąg fizyczny.

— A jeśli istnieje szacunek, tolerancja i akceptacja, a pociąg fizyczny zniknął? Co wtedy?

— Trzeba zrobić wszystko, żeby wrócił — odrzekłam cokolwiek zbyt sztywno. Kelner przyniósł nam właśnie jedzenie, za co byłam mu niewypowiedzialnie wdzięczna.

— Potrawy są bardzo gorące — uprzejmie zwrócił nam uwagę.

Niepomna jego ostrzeżenia, tak żarłocznie rzuciłam się na swoją pastę z owocami morza, jakbym od tygodni nic nie jadła. Kłęby gorącego makaronu dotkliwie parzyły mnie w język, ale co tam! Łykałam je prawie bez gryzienia i pchałam do ust następne; póki mam pełną buzię, poty nie muszę mówić. Bałam się dalszej rozmowy z Robertem, sterował nią w taki sposób, że co chwila groziła pułapką. Język kompletnie mi zdrętwiał, pasta straciła smak, ale jadłam dalej. Robert nic nie mówił, tylko się uśmiechał. Moje zakłopotanie najwyraźniej bardzo go bawiło.

— Radzisz mi udawać namiętność? — zapytał po dłuższej pauzie.

— Czemu nie? Kobiety stale to robią.

— Mówisz to z własnego doświadczenia?

— Tego nie powiedziałam.

— Ale nie zaprzeczasz.

— Nic ci nie radzę udawać. — W jamie ustnej piekło mnie jak diabli.

— Chwała Bogu, bo to nie zawsze możliwe. Z czysto fizycznych powodów — dorzucił całkiem niepotrzebnie. Przez moment próbowałam wyobrazić go sobie nago.

— Ciało mężczyzny nie zawsze wychodzi naprzeciw najlepszym nawet intencjom.

— Uważam, że nie powinniśmy się w to wdawać

— weszłam mu w słowo. W żołądku też czułam pastę. Tkwiła tam jak rozżarzony węgiel.

— A w co się wdajemy? — zapytał przekornie.

— Tego właśnie nie wiem. — Odłożyłam widelec i spojrzałam mu prosto w oczy: — Po co mi to wszystko mówisz?

— Cóż, miałem nadzieję, że udzielisz mi odpowiedzi na moje pytania — roześmiał się trochę smutno — i że będzie to taka kuracja a la McDonald: szybka, bezbolesna i stuprocentowo skuteczna.

— Mc Terapia! A wiesz, że tak by można zatytułować program!

Zamilkliśmy oboje. Wchłonęłam resztę pasty; liznęła mi ogniem przelyk oraz inne organy wewnętrzne, nim wreszcie dotarła do jelit, gdzie zwinęła się w ciężkie, nieprzyjemne kulki.

— No więc jak ty to robisz? — zapytał znów Robert, bez pośpiechu sącząc swoje wino.

— Co? Nie wiem, o co ci chodzi.

— O twoje małżeństwo. Co robisz, że... jak by to powiedzieć?... że jest ono nadal żywotne?

Westchnęłam ciężiej, niż zamierzałam. Było dla mnie jasne, że zwrot, którego użył, to eufemizm. Chodzi mu

o seks.

— Kochasz swego męża? — naciskał mnie dalej.

— Tak — powiedziałam szybko.

— I uważasz, że istnieje między wami to wszystko, co trzeba, szacunek, akceptacja, tolerancja?

— Tak. — Na takie pytania najbezpieczniej było odpowiadać monosylabami.

— Nadal jesteście dla siebie atrakcyjni fizycznie?

— Mój mąż jest bardzo przystojnym mężczyzną.

— A moja żona bardzo ładną kobietą. Nie o to cię pytam.

— No więc tak. Mój mąż nadal pociąga mnie fizycznie.

— A ty jego?

Czy ja wiem? — pomyślałam.

— Mówi, że tak. — Czy naprawdę? Kiedy ostatnio Larry powiedział mi coś takiego?

— Wciąż uprawiacie seks?

W popłochu sięgnęłam po szklankę i omal nie za-krztusiłam się wodą. Szkoda, że nie, pomyślałam półserio, musieliby mnie stąd wynieść...

Z nadzieją rozejrzałam się po sali, może coś się stanie: kelner upuści tacę, jakaś para zacznie się kłócić, czyjaś matka rzuci nagle kijem...

— Nie sądzisz, że to już naprawdę nie twoja sprawa?

— wykrztusiłam.

— Z całą pewnością nie moja — powiedział spokojnie

— a jednak... podtrzymuję to pytanie.

Zachciało mi się śmiać, więc spróbowałam to ukryć. Nie za dobrze — drżały mi wargi.

— Owszem, nadal uprawiamy seks.

— Jak często?

— No wiesz!

— Słyszałaś moje pytanie?

— Słyszałam, ale nie mam zamiaru na nie odpowiadać.

— Założę się, że nie tak często jak kiedyś.

— Wielkie mi ryzyko taki zakład. Wiesz, ile lat jesteśmy z sobą.

— I co? Jesteś z tego zadowolona?

— Nie jestem niezadowolona. — Świadomie skopiowałam jego zwrot sprzed kilku minut. Tylko... czy to prawda?

Uśmiechnąłem się z satysfakcją. Psiakość, czy on musi być wciąż tak przystojny? Nie mógł to utyć albo wyłysieć? Ludzie tępieją z wiekiem, a on nic. Wciąż ma tę kocią grację, te nieprawdopodobnie smukłe biodra, tę klatkę piersiową atlety. Czy przy swoich pięćdziesięciu latach musi być taki piekielnie... żywotny?

— Ja i moja żona nie sypiamy z sobą od trzech lat — oświadczył bez ogródek.

— No wiesz!

— Słyszałaś, co powiedziałem?

— Słyszałam. — Do licha, to już przecież było. — I co z tego? Co ci mam powiedzieć?

— A co byś powiedziała, gdybym był twoim pacjentem?

— Oświadczyłeś mi kiedyś, że gdybyś sobie tego życzył, zamówiłbyś u mnie wizytę. — Tęsknie pomyślałam o swoim gabinecie: tam byłoby mi znacznie łatwiej prowadzić z nim tę rozmowę.

— Myślisz, że powinienem to zrobić?

— A uważasz, że jest ci to potrzebne? — odpowiedziałam mu pytaniem na pytanie.

— Ty jesteś terapeutką, ty mi powiedz.

— Powiem ci tylko tyle: skoro nie zadowala cię sytuacja, postaraj się ją zmienić.

— Właśnie próbuję — rzucił prowokacyjnie. Poruszyłam się niespokojnie, założyłam nogę na nogę, strzepnęłam coś ze spódnicy:

— Powinieneś porozmawiać o tym z żoną. Powiedz jej po prostu, co czujesz.

— Myślisz, że już tego nie robiłem?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Moja żona twierdzi, że te sprawy już jej nie interesują. Z nadwyżką wypełniła swoje obowiązki wobec potomności, rodząc aż czworo dzieci. Teraz zależy jej na partnerstwie i na tym, żeby się porządnie wyspać.

— Może to sprawa fizyczna. U niektórych kobiet w okresie menopauzy pociąg seksualny słabnie.

— U ciebie także?

— Nie mówimy o mnie.

— Ja wolę mówić o tobie.

— Próbowalesz być miły dla żony? Zapraszasz ją czasami na kolację? — uparcie brnęłam dalej. Albo na lunch, chciałam dodać, ale ugryzłam się w język. — Nieraz wystarczy parę miłych słówek. Spróbuj przynajmniej raz dziennie powiedzieć jej jakiś komplement. Zobaczysz, jak poskutkuje.

— Czy ty wiesz, Kate — powiedział takim tonem, jakby w ogóle nie słuchał tego, co mówię — że doprowadzałaś mnie do szaleństwa? Po każdej naszej randce leciałem prosto pod zimny prysznic.

— Raczej do Sandry Lyons. — Pamiętałam swój ból, kiedy jakaś usłużna koleżanka doniosła mi o jego zdradzie. Nawet jeszcze i teraz poczułam lekkie ukłucie zazdrości.

Wydawał się zaskoczony.

— Myślałeś, że nie wiedziałam o tym, co?

— O Sandrze wiedzieli wszyscy — odrzekł całkiem swobodnie. Szybko odzyskał kontenans.

— Sandra — pociągnął długi łyk wina — należała do tego gatunku dziewcząt, które znają absolutnie wszyscy.

— Zaraz po twoim wyjeździe popełniła samobójstwo.

— Co?! — Omal nie upuścił kieliszka.

Zaczęłam się śmiać; z początku był to lekki chichot, który przeszedł w głośnie parsknięcie.

— Przepraszam — wykrztusiłam, śmiejąc się coraz donośniej.

— Tak cię to bawi?! —

— Ja to wymyśliłam. Przepraszam, ale wiesz... Nie mogłam się powstrzymać.

— Co? Co wymyśliłaś?

— No... całą tę historyjkę o samobójstwie Sandry... — Bezskutecznie starałam się uspokoić.

— Naprawdę ma się bardzo dobrze, a przynajmniej tak było, kiedy ją ostatnio widziałam. Teraz... no nie wiem... do tego czasu mogła już umrzeć... — Mój śmiech zaczynał graniczyć z histerią.

— Dlaczego, na miłość boską, wymyśliłaś coś takiego?

— Sama nie wiem. — Nie była to cała prawda. Po prostu chciałam nim wstrząsnąć. Czy to sprawiedliwe, żebym tylko ja musiała się denerwować?

— Dziwna z ciebie kobieta, Kate Latimer — powiedział, kręcąc głową.

— Sinclair. — Śmiech zamarł mi nagle w gardle. No, teraz jesteśmy kwita, pomyślałam.

— Niech będzie Sinclair. Powiedz mi, czy twój mąż często ogląda cię od tej strony?

— Od której? Nie wiem, o co ci chodzi.

— O tę pokrętną część twojej natury, nie waham się nazwać jej sadystyczną, która jednak z jakichś perwersyjnych przyczyn mnie osobiście niezmiernie pociąga.

Teraz dla odmiany chciałam się roześmiać i nie mogłam.

— Obawiam się, że mój mąż ogląda ją częściej, niż miałby ochotę.

Robert opróżnił kieliszek, napełnił go powtórnie i przez chwilę przyglądał mi się spod oka:

— On jest twoim jedynym mężczyzną, prawda?

Poczułam się nagle tak, jakby rozpiął mi suknię i wystawił na widok publiczny wszystko, co intymne, to, czego nikt nie ma prawa oglądać ani dotykać. Może powinnam mu była dać w gębę, a już na pewno podnieść się i wyjść. W najlepszym razie trzeba mu było powiedzieć,

żeby zamknął się i szedł do diabła. A ja? Ja zapytałam tylko:

— Na jakiej podstawie tak sądzisz?

— Umiem czytać z twarzy. Zawsze byłem w tym dobry.

— Podobno mam twarz jak otwarta księga, tak przynajmniej twierdzi moja matka...

— Ma rację.

— ...ale gdzie jest napisane, że miałam tylko jednego kochanka?

— Tutaj. — Robert wyciągnął rękę i delikatnie obwiodł palcem kontur moich ust. Przebiegł mnie dreszcz jak przy porażeniu prądem. — Nie jesteś ciekawa — spytał miękko — jak by to było z kim innym?

O Boże, pomyślałam, jeszcze chwila i będę zgubiona. Jeżeli natychmiast nie wyjdę, nie wywinę się już z tego, nie ma mowy.

— Nie — skłamałam, odsuwając się z krzesłem poza zasięg jego ręki. Jakby zapomniał ją cofnąć... Jego palce z dziwnym roztargnieniem nadal gładziły powietrze, a ja... Ja nadal czułam na wargach jego dotyk. Pewnie tak właśnie czuje się amputowaną niedawno kończynę. — Wcale nie jestem ciekawa.

— Nigdy nie kusiło cię spróbować?

— Jestem mężatką.

— Cóż to ma za znaczenie?

— Dla mnie ma.

— A twój mąż... Czy cię zdradzał?

— Nie."

— Och, mówisz to z taką pewnością!

— Bo jestem tego pewna. — I tak było. Niewiele jest rzeczy na świecie, co do których mam jeszcze absolutną pewność, ale to, że Larry nigdy mnie nie zdradził, było poza wszelką dyskusją. W tej sprawie nie miałam cienia wątpliwości. Nigdy.

— Proponuję, żebyśmy dali temu spokój. To naprawdę bardzo niebezpieczne — powiedziałam pojednawczym tonem.

— Co jest niebezpieczne?

— To. To, co właśnie robimy.

— Przecież nic nie robimy.

— Owszem, tak.

— Mianowicie?

— Oczyszczamy grunt pod fundamenty — powiedziałam, myśląc o Larrym.

— Nic takiego nie widzę.

— Nie udawaj niewiniątka, dobrze wiesz, o co chodzi.

— Wyjaśnij mi to, bardzo proszę.

— Dobrze. Romanse mnie nie interesują — powiedziałam z wysiłkiem. Miałam nadzieję, że zabrzmiało to w miarę przekonująco, gdyż w głębi duszy nie byłam na sto procent pewna, że jest tak, jak mówię.

— Och, myślisz, że chodzi mi o romans?

— Jeżeli nie o romans, to o co? — Czyżbym się aż tak myliła?

— Prawda jest taka, Kate, że nigdy nie wyleczyłem się z ciebie. — Jego głos przywołał na myśl mięciutką pościel, w której tak rozkosznie jest znaleźć się razem. Brzmiało w nim wyraźne zaproszenie. — Patrzę teraz na ciebie i czuję to samo, co wtedy kiedy byłem pryszczatym nastolatkiem.

— W życiu nie miałaś pryszczki!

— Zbaczasz z tematu.

— Usiłuję.

— Pragnę cię, Kate — powiedział po prostu. — Zawsze cię pragnąłem. I myślę, że ty mnie również.

— Pragnę wielu rzeczy, co nie znaczy, że muszę je mieć. Nie wszystko, czego pragniemy, wyszłoby nam na dobre.

— Skąd możesz wiedzieć, jeśli nie spróbujesz?

— I jaki byłby finał takiej próby?

— Tego nie wiem. — Sięgnął po moją rękę, więc co prędzej położyłam obie na kolanach. — Wiem tylko, i to od dłuższego czasu, że czegoś mi brak, że moje życie nie jest pełne. Myślałam jednak, że już się z tym pogodziłem; powiedziałem sobie w pewnym momencie, że przecież moje życie nie jest złe, że mam wszystko, czego mi trzeba, bo romantyczne uniesienia zastrzeżone są dla nastolatków... Znasz zresztą te argumenty, jak każdy dorosły człowiek... I wiesz co? Wszystko to w jednej chwili uleciało z wiatrem. Kiedy? W chwili gdy ujrzałem cię w sądzie, tak piękną, jaką zapamiętałem cię z dawnych czasów. I żeby tylko piękną! Dowcipną, inteligentną i tak piekielnie seksowną! Miałem wrażenie, że wraca mi młodość, że wszystko zaczyna się od początku, tylko lepiej, ciekawiej, mądrzej. Patrząc na ciebie, czuję, że możliwe jest wszystko, a myślałam, że już nie pamiętam, jakie to uczucie. Cudowne! I nie chcę go znów utracić. Nie chcę utracić ciebie. Pragnę cię, Kate! Czy to aż tak straszny grzech?

— Mój Boże — mruknęłam, starając się nie zdradzić, jak mnie to cholernie wzięło — ale przemówienie!

— Każde słowo jest prawdą.

— A ja naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

— Nic teraz nie mów. Pomyśl o tym po prostu.

— Trudno byłoby nie myśleć.

Uśmiechnął się, spochmurniał, znowu uśmiechnął, wreszcie jakby z pewną rezygnacją opuścił ręce po bokach. W następnej chwili zerwał się z krzesła, rozpościerając ramiona w szerokim powitalnym geście:

— A co ty tu robisz? — spytał tonem miłego zaskoczenia. Podziwiałam łatwość, z jaką, mówiąc przenośnie, umiał zmienić bieg. Trzymając się tego porównania powiem, że ja sama miałam nadal włączoną jedynkę, a mój pojazd ześlizgiwał się z wolna po stromej górskiej szosie. — Jak mnie tu znalazłaś? — usłyszałam znów głos Roberta.

— Zadzwoiłam do biura. Twoja sekretarka przypuszczała, że jeszcze tu będziesz. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam państwu w ważnej konferencji?

Zanim jeszcze odwróciłam głowę, już wiedziałam, że to jego żona.

— Ach nie — zapewniłam ją jak najuprzejmiej — przyszła pani w samą porę. Właśnie skończyliśmy. — Czułam, że kręci mi się w głowie. W stanie lekkiego oszołomienia słuchałam, jak Robert dokonuje krótkiej prezentacji.

Brandi Crowe była atrakcyjną kobietą mniej więcej w moim wieku. Raczej niską — jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu — i ostro umalowaną. Podkreślone miała zwłaszcza oczy, dość małe, jasnoszare, o lekko zdziwionym spojrzeniu, które znałam już z fotografii. W okolicach oczu ani jednej zmarszczki. Złapałam się na tym, że mimo woli wypatruję śladów po plastyce, jednakże jej włosy, odrobinę zbyt czarne i ciut za długie, dobrze maskowały wszelkie ewentualne blizny. Miała na sobie chanelowski kostium w tym samym odcieniu różu co leżący na stole obrus.

— Przyszłaś akurat na deser — swobodnie zauważył Robert. Podsunął jej krzesło i gestem przywołał kelnera.

— Jeżeli pani pozwoli — uśmiechnęła się do mnie — to chętnie napiję się z wami kawy. Co do deserów... niestety, nie jadam ich od lat. A proszę popatrzeć na mego męża! Czy to sprawiedliwe, że on może się opychać czym tylko zechce, podczas gdy ja... Wystarczy, że spojrzę na ciastko z kremem... — smętnie zawiesiła głos. — Czy to nowy garnitur? — zagadnęła męża.

Przecząco pokręcił głową, lecz lekki rumieniec, jaki wykwit! mu na policzkach, powiedział mi co innego. Więc kupił nowy garnitur na to nasze spotkanie, myślałam, obracając w palcach

guziki swojej nowej sukni. Kelner już sprzątnął ze stołu i podsunął nam kartę deserów.

— Pracuje pani w rozgłośni? — zapytała mnie pani Crowe.

— Kate jest terapeutką — wyjaśnił Robert. — Usiłuję ją właśnie namówić na stałą współpracę. Mam pewien pomysł.

— Doprawdy? — jego żona uniosła brwi. — I co to będzie? — Wydawała się jakby nieco zbita z tropu.

Zamówiliśmy kawę i ciasto z limoną, po czym Robert wyłożył swojej żonie ogólną koncepcję programu.

— McTerapia — zażartował na koniec. Mimo woli też się uśmiechnęłam.

— Zapowiada się kapitalnie! — entuzjasmowała się Brandi. — We mnie z pewnością zyskacie stałą słuchaczkę.

— No, to dopiero początek pomysłu — oświadczył Robert.

— To w ogóle jeszcze nic pewnego — dodałam. Robert uśmiechnął się i spojrział w bok. Brandi leciutko chrząknęła; usta miała starannie obwiedzione konturówką, górną wargę bardzo wypukłą. Kolagen? I co właściwie znaczy to chrząknięcie?

— Gdy mój mąż coś sobie postanowi, to koniec, nie ma takiej siły, która by .go od tego odwiodła! — Znów odchrząknęła. Zaczynało mnie to denerwować. — Prawda, kochanie? — zapytała, klepiąc go po ręku.

Odczułam to w taki sposób, jakby mnie dała po łapie. Milczałam, wpatrzona w lniany różowy obrus. Dopiero aromat świeżo parzonej kawy kazał mi podnieść głowę. W tej samej chwili kelner podsunął mi ciasto, pięknie wyrośnięte, żółciutkie, udekorowane smakowitą warstwą puszystej bitej śmietany.

— Pani może sobie na to pozwolić — westchnęła Brandi — jest pani taka szczupła. Mnie natychmiast poszłoby to w biodra. Muszę harować jak galernik, inaczej od razu zaczynam tyć.

— Wygląda pani świetnie — powiedziała szczerze. Wbrew temu, co lansują media, wcale nie uważam, że trzeba mieć co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyć pięćdziesiąt kilo, żeby uchodzić za ładną. Natychmiast skojarzyło mi się to Sarą. Czy aby jest w szkole, a jeśli nie, to co robi? Na pewno nic gorszego niż jej matka, pomyślałam zaraz cierpko.

— Rozkosznie wygląda to ciasto — powiedziała Brandi, zerkając łakomym wzrokiem na talerzyk męża. — Pozwolisz ukraść sobie kawałeczek?

— No a twoja dieta?

— Masz rację — westchnęła. — Jutro bym sobie tego nie darowała. — Odsunęła się od stolika i z czymś na kształt lekkiego osłupienia zaczęła obserwować moje poczynania. Zaatakowałam ciasto z takim samym impetem jak przedtem pastę. Zniknęło w ciągu kilku sekund. — Proszę mi zdradzić, skąd wziął się pomysł programu? — rzuciła jakby od niechcienia, widziałam jednak po jej minie, że zaczyna chyba powątpiewać w to wszystko, co mówił o mnie Robert. On też musiał to wyczuć.

— Znamy się z Kate jeszcze ze szkoły średniej — odparł. Podziwiałam jego absolutny spokój. Ciasto też jadł jak normalny człowiek.

— Doprawdy? Jeszcze z Pittsburgha?

W trakcie relacji Roberta o naszym przypadkowym spotkaniu w sądzie bacznie obserwowałam reakcje jego żony, szukając ewentualnych oznak świadczących o tym, czy sypiają ze sobą, czy nie. Och, to bardzo subtelne oznaki — pewne spojrzenia, mimowolne dotknięcia — nie dostrzegłam jednak nic takiego z wyjątkiem tamtego jednego gestu, tego klepnięcia po ręku, które nadal czułam każdym nerwem. Nie doszłam do żadnej konkluzji: mogli sypiać ze sobą lub nie. A dla ciebie to żadna różnica!, powiedziała sobie ze złością. Dopiliśmy kawę i rażno zerwałam się z krzesła.

— Przepraszam, ale muszę uciekać. Umówiłam się z mężem — skłamałam, zerkając na zegarek w nadziei, że ów gest bardziej uprawdopodobni moje kłamstwo.

— Spotkajmy się na jakiejś kolacji we czwórkę — zaproponowała Brandi. — Co pani na to? Musiałam wymamrotać coś w rodzaju zgody, bo obiecała, że wkrótce zadzwoni celem omówienia szczegółów. Po wyjściu z restauracji kupiłam Larry'emu najdroższy komplet kijów golfowych, jaki tylko udało mi się znaleźć.

ROZDZIAŁ 14

W następnych paru tygodniach Colin Friendly zdominował media. Był w telewizji, na pierwszych stronach dzienników, na okładkach wszystkich pism ilustrowanych, lokalnych i ogólnokrajowych. Proces powoli zmierzał ku końcowi, zaczęły się więc spekulacje, czy podsądny będzie zeznawał we własnej obronie. Zdania jak zwykle były podzielone. Według „Fort Lauderdale Sun-Sentinel” zdecydowanie tak, według „Miami Herald” na pewno nie: nie zgodzą się na to jego obrońcy. Redakcja „Palm Beach Post” zajęła stanowisko pośrednie: Friendly wystąpi w charakterze świadka obrony — i zrobi to wbrew swym prawnikom. Wszyscy natomiast zgodni byli co do tego, że zapadnie wyrok skazujący. Jediną niewiadomą była kwestia, ile minut zajmie przysięgłym uzgodnienie werdyktu. Wyjątek w tym chórze stanowiła moja siostra, która nadal trwała w niezachwianej wierze, iż Colin Friendly zostanie uniewinniony, ponieważ żadnej zbrodni nie popełnił.

— Czytałaś dzisiejszy artykuł w „Post”? — Nawet przez telefon można było wyczuć, że Jo bliska jest płaczu. Przysięgli udali się na lunch, a mnie trafiła się właśnie mała przerwa między pacjentami, i tak mnie dopadła. — Ci dziennikarze — zaczęła lamentować — wypisują tak okropne bzdury! Przynajmniej połowa tych informacji jest błędna albo nieścista. A co już naprawdę doprowadza mnie do pasji, to ta ich bezczelność! Są tak cholernie pewni, że wszystko im ujdzie płazem! I rzeczywiście, bo co może zrobić Colin? Pozwać ich do sądu?

Było to pytanie retoryczne, więc mogłam milczeć.

— Piszą na przykład, że ma sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Od kiedy? Naprawdę ma niecałe sto osiemdziesiąt trzy. A waży podobno osiemdziesiąt dwa kilogramy. Może przed aresztowaniem! Stracił, lekko licząc, siedem kilo na tym podłym więziennym żarciu, ale ci pismacy chcą wmówić ludziom, że to groźny facet, istna góra mięsa, więc dodają tu kilka centymetrów, tam parę kilo, tak że tylko patrzeć, jak zrobią z niego King-konga! Widziałaś przecież Colina, wiesz, że wcale nie wygląda groźnie.

— Nie wydaje mi się, aby waga czy wzrost były tu tak istotne — ośmieliłam się wtrącić.

— Och, ważne jest to, że świadomie mącą ludziom w głowach. I jakie to fatalne, że i tu już wszyscy zaczynają uprawiać to wstrętne brukowe dziennikarstwo! Taka dzisiaj moda w tym kraju. Żadnej odpowiedzialności za słowo! Napisali, że matka Colina ma na imię Ruth. Nic podobnego, Ruta! Za pierwszym razem myślałam, że to błąd drukarski, ale nie, dalej tak piszą, więc jak to nazwać, jeśli nie zwykłym niechlujstwem? O Colinie mówi się w tym artykule, że pochodzi z nizin, z marginesu, a przecież jego pradziadkowie byli bardzo bogaci. Prawda, że w czasach Wielkiego Kryzysu stracili cały majątek, ale można było chociaż o tym wspomnieć. No powiedz sama: jeśli nie zgadzają się najprostsze fakty, to jak można wierzyć w cokolwiek?

— Wydawało mi się, że reporterzy jedzą ci z ręki...

— Och, daj spokój! Mówisz im jedno, a oni drukują całkiem co innego! A to cię źle zacytują, a to wyrwą zdanie z kontekstu, tak że sama siebie nie poznajesz! Pewnie! Mają w tym swój cel.

— Jakież oni mogą mieć cel?

— Posadzić Colina na krześle elektrycznym, ale tak się nie stanie, zobaczysz! Przysięgli go uniewinnią. Wyobrażam już sobie tę chwilę, kiedy wyjdzie na wolność. Będę na niego czekać...

— Muszę już kończyć, pacjenci — powiedziałam szybko, nie chcąc znów wysłuchiwać tych mrzonek. Zlekceważyła mnie tak absolutnie, jakbym w ogóle nic nie mówiła.

— Zgadza się tylko jedno: to, że Colin miał straszne dzieciństwo. Gdy się o tym czyta, łzy same płyną człowiekowi z oczu. No powiedz, nie chciało ci się płakać?

— Nie czytałam tego artykułu. — Było to kłamstwo i zarazem fatalny błąd, Jo Lynn bowiem niezwłocznie postanowiła zapoznać mnie z ważnymi jej zdaniem szczegółami.

— Wiesz, jego matka była nieźle stuknięta, mówię ci, prawdziwa świruska. Prysnęła z domu, gdy miała ledwo piętnaście lat, a w rok później już była w ciąży. Zanim urodził się Colin, chlęła i ćpała na potęgę. Szprycowała się potem na oczach dziecka i oczywiście sprowadzała do

domu facetów, żeby iść z nimi do łóżka. A Colin musiał na to patrzeć. Nie była nawet pewna, kto jest jego ojcem. Kiedy wychodziła z domu, zamykała go w szafie, wyobrażasz sobie? Takie małe dziecko! Czasami zniknęła na całe dni, a on siedział głodny w tej szafie, a jak chciało mu się do łazienki, to biedak musiał robić w majtki. Rozpacz bierze, gdy się o tym czyta! I jak tu się dziwić, że do jedenastego roku życia siusiał do łóżka? A matka jeszcze go za to karała, i to jak! Jak szczeniaka! Wcisnęła mu nos w te siuski, masz pojęcie? I wciąż się przeprowadzała z miejsca na miejsce, tak że Colin nigdy nie miał kolegów, nie mówiąc już o przyjaźniach. Był strasznie nieśmiały. Z tego wszystkiego zaczął się jękać, a ona albo go wyśmiewała, albo tłukła. Teraz widzisz, jaka to kobieta! Potwór.

— Nic dziwnego, że tak nienawidzi kobiet.

— Och, wcale nie! — wykrzyknęła Jo Lynn. — Najbardziej zdumiewające jest to, że on uwielbia kobiety.

— Uwielbia kobiety... — powtórzyłam matowym głosem, starając się ukryć, co o tym myślę.

— Miał taką jedną cudowną sąsiadkę, panią Ritę Ket-chum. Dzięki niej mógł się przekonać, że nie wszystkie kobiety są takie jak matka. Była jego prawdziwą przyjaciółką.

— Mówiłaś, że nie miał przyjaciół, bo wciąż się przeprowadzali.

— Ritę poznał później, jako nastolatek. Mieszkał wtedy w Brooksville, już sam.

— W artykule nie było o tym wzmianki.

— A mówiłaś, że go nie czytałaś!

— Przejrzałam... bardzo pobieżnie.

— Akurat! Przeczytałaś wszystko co do słowa, tylko nie chcesz się przyznać.

— Jak wytłumaczysz to, że torturował kocięta?

— Och, to nieprawda! Te kociaki torturowali inni chłopcy, a Colin nie mógł na to patrzeć, więc z litości skracał im męki.

— A to podpalanie?

— Szczeniackie wybryki. Nikt z tego powodu nie ucierpiał.

Na każde pytanie miała gotową odpowiedź. Z jakichś zgoła niepojętych przyczyn postanowiła wierzyć, że Colin Friendly to ni mniej, ni więcej, tylko sympatyczny młody człowiek, który padł ofiarą fatalnego nieporozumienia, i ani logika, ani żadne dowody nie były jej w stanie przekonać, że jest w błędzie.

— Czy będzie zeznawał? — spytałam, pragnąc zmienić temat.

— Chciałby, ale jego prawnicy są temu przeciwni. Nie chodzi o to, że uważają go za winnego

— dodała z pośpiechem — tylko nie chcą go narażać na stres, tym bardziej że Colin pod wpływem zdenerwowania zaczyna się jękać.

— Chyba mają rację.

— Och, ale to zacinięcie się jest takie miłe! Przysięgli przekonali się, jak bardzo wrażliwy jest Colin. Zobaczyliby w nim ludzką istotę, a nie krwawe monstrum, jak próbuje go przedstawić prokurator.

— Więc radzisz mu, żeby zeznawał?

— Poprę każdą jego decyzję, tak mu powiedziałam, ale myślę, że to bardzo ważne, żeby ludzie zrozumieli...

— Żeby co zrozumieli?

— Że on nie zabił tych kobiet! — rzuciła z irytacją. — Że absolutnie nie byłby w stanie popełnić tych okropnych czynów, o które się go oskarża!

— Ile jeszcze potrwa ten proces? Co mówi się w kuluarach? — Na samą myśl o tym, że przyszedłoby mi prowadzić więcej takich rozmów, zrobiło mi się niedobrze.

— Najwyżej dwa tygodnie. Oskarżyciele powinni skończyć do jutra i głos zabierze obrona. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to na Boże Narodzenie Colin będzie wolny.

— A jeżeli nie?

— Będzie!

— I co potem?
— Zaczniemy żyć wreszcie jak normalni ludzie.
— Bardzo bym tego chciała.
— Kate, pójdziesz ze mną w środę do sądu?
— O nie, nie ma mowy.
— Proszę cię, Kate! Bardzo mi na tym zależy.
— Dlaczego? Wiesz, że nie podzielam twego entuzjazmu dla tego człowieka.
— Chcę, żebyś sama usłyszała to, co powie Colin, jeżeli będzie zeznawał. Jestem przekonana, że gdy go posłuchasz, ale życzliwie, tak jak słuchasz swoich pacjentów, na pewno zmienisz o nim zdanie.
— Wątpię.
— Kate, to dla mnie szalenie ważne.
— Nie rozumiem, z jakiego powodu.
— Ponieważ — padło po sekundzie ciszy — ponieważ go kocham.
— Och, daj spokój...
— Tak, Kate, ja go naprawdę kocham.
— Na miłość boską, nawet go nie znasz!
— Nie masz racji. Już prawie dwa miesiące siedzę na tej sali. Wiem o nim wszystko.
— Nic nie wiesz!
— Co tydzień odwiedzam go w więzieniu, prowadzę z nim długie rozmowy...
— Przez szybę.
— I co z tego? Ważne, że się świetnie rozumiemy. Colin mówi, że znam go lepiej niż jakakolwiek kobieta.
— Bo wszystkie, które go znały, nie żyją, i to on je pomordował! — krzyknęłam w skrajnej frustracji. W słuchawce zapadła cisza.
— Nie spodziewałam się tego po tobie — powiedziała wreszcie Jo Lynn. — Wydawałoby się, że osobę z twoim przygotowaniem zawodowym będzie stać na trochę współczucia...
— Posłuchaj mnie, Jo — spróbowałam teraz innego podejścia — w całej tej sprawie liczysz się dla mnie tylko ty. Zrozum, nie chcę znów patrzeć, jak cierpisz.
— Tym razem nie będę — głos jej złagodniał. Widziałam wprost, jak z jej twarzy znika napięcie. — On mnie kocha, Kate. Mówi, że jestem najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła mu się w życiu.
— O, w to nie wątpię!
— Wiesz, co powiedział mi w piątek? W milczeniu pokręciłam głową.
— Że wyglądam tak słodko jak pierwsza wiosenna truskawka.
Uśmiechnęłam się mimo woli.
— Aha, uśmiechasz się, Kate, wiem, że się uśmiechasz! No i powiedz, czy nie jest to najmiłszy komplement, jaki można usłyszeć? I jaki romantyczny! Kiedy ostatnio Larry powiedział ci coś takiego?
Bardzo dawno, pomyślałam. Prawem skojarzenia przypomniał mi się Robert — i coś zakłuło mnie w sercu.
— Więc nie martw się o mnie — mówiła tymczasem Jo Lynn — bo nic mi nie grozi, wszystko będzie dobrze. Jeśli oboje z Co linem przeżyjemy ten proces, to później przetrwamy już wszystko. Bądź nam życzliwa, Kate! Proszę cię, chodź ze mną do sądu, jesteś mi tak potrzebna! Zrób to dla mnie ten ostatni raz. Zrewanżuję ci się. Jeśli chcesz, pojedę nawet z tobą do mamy w ten weekend. No to jak: umowa stoi?
Przyłożyłam rękę do czoła i zamknęłam oczy.
— Dobrze — powiedziałam cicho.
— Dziękuję ci, Kate, nie będziesz tego żałować.
— Do zobaczenia w środę. — Wiedziałam, że jest w błędzie, ale cóż miałam zrobić.

Jak już wspominałam, gmach Sądu Okręgowego w Palm Beach wygląda imponująco. Oto kilka interesujących danych. Łączna powierzchnia wynosi 65 000 metrów kwadratowych, jest to więc największa tego rodzaju budowla w całym stanie Floryda i jedna z największych w kraju. Autorami projektu architektonicznego były dwa zespoły: Michaela A. Shiffa oraz Hansena Linda Meyera, wykonawcą firma budowlana George'a Hymana. Wysunięty na zewnątrz portyk ma łuk sięgający szesnastu metrów, a filary wspierające kopułę od wewnątrz ponad dziewięć. Zwieńczenia dachu zaprojektowano w ten sposób, aby stanowiły odpowiednik dwóch wież pobliskiego hotelu Breakers Resort.

Czekając, aż wpuszczą nas w śróde do sali, zauważyłam wyłożoną w punkcie informacyjnym broszurę, z której zaczerpnęłam wszystkie wiadomości, te przytoczone powyżej i dalsze. Dowiedziałam się mianowicie, że w budynku mieszczą się czterdzieści cztery sale rozpraw i że ich liczba może wzrosnąć do sześćdziesięciu, z chwilą gdy oddane zostaną do użytku dwa nie wykończone dotąd piętra. Każda z użytkowanych obecnie sal posiada urządzenia do transmisji dźwięku, zaś świetnie wyposażone centralne studio nagrań w całości rejestruje przebieg wszystkich odbywających się w nich rozpraw. Sędziowie w razie potrzeby dzwonią po prostu do studia i proszą o odtworzenie takiego czy innego fragmentu zeznań. Pełna podziwu dla tych udogodnień, uśmiechnęłam się mile do siwowłosego dżentelmena w jasnoczerwonej kamizelce z napisem „Urzędnik sądowy. Ochotnik”, stojącego za biurkiem w punkcie informacyjnym. Kiedy w odpowiedzi puścił do mnie oko, poczułam się równie sędziwa jak on.

A oto inne ciekawe szczegóły. W okręgu Palm Beach praktykuje 3780 adwokatów. W ciągu minionego roku sąd rozpatrzył 311 072 sprawy, z czego jedna trzecia dotyczyła wypadków drogowych. Aby pomieścić archiwum sądowe w liczbie 3 600 000 teczek, trzeba było zainstalować prawie pięć kilometrów półek. Przez budynek przebiega ogromna pajęczyna kabli: ponad osiemdziesiąt osiem kilometrów kabli telefonicznych i prawie sześćdziesiąt pięć kilometrów przewodów komputerowych.

Więźniowie stający przed sądem przetrzymywani są w pięćdziesięciu sześciu tymczasowych celach. Zgodnie z tym, co wyczytałam w broszurze, wysiadają oni z więziennych karetek w specjalnym garażu; do sali rozpraw prowadzi się ich przez cały system korytarzy, cel, specjalnych wind i elektronicznie zamykanych drzwi. Eskortujący więźniów strażnicy wyposażeni są w specjalne czujniki, które w razie ataku na eskortę nadają odpowiedni impuls alarmowy powodujący automatyczne zamknięcie całego tego obszaru. System bezpieczeństwa i nadzoru ma do dyspozycji nowoczesne urządzenia techniczne w postaci 274 kamer wideo, 200 detektorów na podczerwień, 200 interkomów oraz ponad 300 zamków otwieranych wyłącznie za pomocą kart magnetycznych.

Punktualnie o godzinie ósmej wpuszczono nas do głównego korytarza. Po przejściu przez wielkie drzwi z grubego szkła minęliśmy stanowisko detektorów metali, po czym skręciliśmy w prawo, w stronę baterii wind. Choć tłum był dziś większy niż zwykle, rozpoznałam kilka znajomych twarzy. Eryk, jak dowiedziałam się od Jo Lynn, nadal przynosił jej kawę. Podobno nie opuścił ani dnia procesu. Było zresztą więcej takich osób: Jo Lynn po drodze pokazywała mi wszystkich, którzy wiernie stawiali się tu co rano. Nasuwało się pytanie, co z sobą poczną, kiedy proces dobiegnie końca. Zaczęłam się zastanawiać, czy ci ludzie pracują, czy mają jakichś bliskich, a jeśli tak, czy skłonni będą do nich wrócić? Może po prostu poszukają sobie innej sali, gdzie znów ich zafascynuje jakiś kolejny przestępca? To nałogowcy, myślałam, a ich narkotykiem są wizyty w sądzie. Mijaliśmy właśnie dużą salę po drugiej stronie korytarza, w której widać było sporo osób. Wyjaśniono mi, że są to kandydaci na przysięgłych oczekujący decyzji, czy przyjęto ich do składu ławy. Ciekawe, czy przysięgłym w procesie Friendly'ego nie zacznie czegoś brakować, gdy wszystko to już się skończy... A mnie?... Bo i mnie, uświadomiłam to sobie nagle, ten proces pochłonął kawałek życia. Tuż obok sali przysięgłych mieściła się bogata biblioteka prawnicza, naprzeciw zaś bar kawowy, czynny od ósmej do piątej, w którym stale pachniało środkiem dezynfekcyjnym. Po obu stronach korytarza biegły

ruchome schody. Przy wejściu od Quadrille Street znów zainstalowane były detektory i stali strażnicy. Sama nie mam pojęcia, kiedy zapamiętałam wszystkie te błahe szczegóły. Być może wniknęły we mnie przez osmozę w trakcie oczekiwania na windę. Lecz z takich właśnie niepotrzebnych faktów składała się obecnie prawie cała moja egzystencja i pewnie dlatego na trwałe zapadły mi w pamięć, tak jak kiedyś to, że Brenda Marshall była swego czasu żoną Williama Holdena.

— Czy ty martwisz się o głupstwa? — zagadnęła mnie nagle Jo Lynn. Wysiadłyśmy właśnie z windy. Teraz czekał nas długi marsz korytarzem, gdyż sala 11A mieściła się w drugim jego końcu.

— Powiedz dokładniej, o co ci chodzi.

— Och, no, o różne takie rzeczy, o które martwić się właściwie nie ma sensu.

— Na przykład?

— Nie wiem, czy warto mówić — powiedziała, patrząc nie na mnie, lecz gdzieś przez okno. Cały rząd tych ogromnych okien ciągnął się wzdłuż korytarza wyłożonego marmurową posadzką w szaro-czarną szachownicę. Odgłosy kroków Jo Lynn przypominały werble. Miała dziś na nogach brązowe sandaalki, a na sobie biały sweter i długą spódnicę z brązowego lnu nominalnie zapinaną z przodu na guziki, faktycznie zaś rozpiętą aż do uda. Jej nagie opalone nogi błyskały przy każdym kroku.

— Powiedz! — Byłam naprawdę ciekawa. Jo Lynn rzadko miewała chwile refleksji; nie leżało to w jej naturze.

— Jeszcze sobie pomyślisz, że mam źle pod sufitem.

— Już tak myślę, więc co za różnica?

Zrobiła kwaśną minę:

— Żarcik do kwadratu, co? — rzuciła głosem naszej matki.

— No powiedz mi, co cię martwi.

— Na przykład to. — Zatrzymała się nagle w niewielkim ciemnym pasażu prowadzącym do sali u A. — Patrz, jak tu ciemno. Czasami zaczynam myśleć, jak by to było, gdyby zawsze otaczały nas takie ciemności. Zamykam nieraz oczy i udaję, że jestem ślepa, pamiętasz, bawiłyśmy się tak w dzieciństwie... No więc stoję i myślę: a jak otworzę oczy i nic nie zobaczę? To byłoby straszne tak nic nie widzieć, nie uważasz? Być na zawsze więźniem ciemności...

— Tak, to byłoby straszne — przytaknęłam, zastanawiając się jednocześnie, skąd u niej te lęki? Zaraz potem weszłyśmy do sali, gdzie powitał nas istny ocean słońca, Jo Lynn jednak powędrowała prosto na swoje miejsce, nie poświęcając ani krzty uwagi tej jakże pięknej scenerii.

— Czego jeszcze się boisz? — spytałam, siadając obok niej.

— Że zachoruję na raka.

— To akurat jest całkiem normalne. Mnóstwo ludzi się tego boi.

— Na raka jajników, jak Gilda Radner.

— U kobiet z naszej rodziny nie było na szczęście przypadków raka.

— Ale to taka podstępna choroba, nie uważasz? Popatrz, jak to było z Gildą. Ona gwiazda telewizji, mąż gwiazdor filmowy, pieniądze, no wszystko, co tylko potrzebne do szczęścia. A potem któregoś dnia ból w krzyżu i okazuje się, że to rak. Zaatakowany jajnik. I po paru miesiącach koniec. Dziś żyjesz, a jutro po tobie. Jak ta twoja koleżanka z Pittsburgha, ta, co zginęła w wypadku. Ona też jechała sobie spokojnie, pewnie słuchając radia, może nawet podśpiewywała do wtóru i co? W następnej minucie już nie żyła. I to jest straszne. Tego nienawidzę. Naprawdę.

— No cóż, dla nas żyjących to memento mori.

— Co?

Zamiast jej to tłumaczyć, wolałam powiedzieć co innego:

— Każdego od czasu do czasu nachodzą takie myśli, każdy się czegoś boi.

— Ty nie — odrzekła stanowczo.

— Ależ oczywiście, że tak!

Przyjrzała mi się badawczo, czy przypadkiem sobie z niej nie kpię.

— Ty nigdy się o nic nie martwisz. Nigdy tego po tobie nie widać.

— Uwierz mi, Jo Lynn, że trapią mnie takie same zmartwienia i lęki jak wszystkich. Jestem przecież normalnym człowiekiem. Za kogo ty mnie uważasz?

Zaczęła niespokojnie kręcić się na krześle.

— To dlatego, że zawsze jesteś taka opanowana, zawsze wszystko wiesz.

— Nonsens, nic nie wiem.

— Właśnie że tak albo przynajmniej sprawiasz takie wrażenie. Kate Sinclair, kobieta, która wszystko ma, kobieta, która wszystko wie. — Mówiła to bez goryczy, po prostu tak myślała.

— Mylisz się, Jo Lynn.

— Nie, Kate, przyjrzyj się sobie. Jesteś tak niemiłosiernie poskładana, masz idealne życie: męża, który cię uwielbia, dwie wspaniałe córki, świetną karierę, stroje od najlepszych projektantów...

Z nagłym poczuciem winy zerknęłam na swój granatowy żakiet i spodnie od Donny Karan.

— Masz to wszystko — powtórzyła Jo Lynn. — Nic dziwnego, że Sarze jest tak ciężko.

— Sarze? O czym ty mówisz?

— O tym, Kate, że nie jest łatwo cię naśladować. Jeszcze trudniej niż być twoją siostrą.

Nie mogłam się w tym połapać. Jak to się stało, że nagle rozmawiamy o mnie i co tu ma do rzeczy Sara?

— Mówisz, że Sarze jest ciężko. Dlaczego? Co jest takie trudne?

— Być twoją córką, znać twoje oczekiwania i wiedzieć, że nigdy absolutnie się im nie sprostasz.

— Sara ci to mówiła?

— Nie tymi słowami, ale często o tobie rozmawiamy, więc wiem. Dobrze wiem, co ona musi znieść.

Poczułam lód w sercu, ogarnął mnie nagły niepokój.

— Czegóż ja oczekuję od Sary? Tylko tego, żeby chodziła do szkoły i żeby reszta rodziny mogła z nią jakoś wytrzymać.

— Nie, nie! Ty chcesz, żeby była taka jak ty.

— Nic podobnego.

— Ona tak myśli.

— Ale to nieprawda. Chcę tylko...

— Żeby była zadowolona, tak? — dokończyła Jo Lynn. Jej głos znów do złudzenia przypominał matkę. — Wcale nie. To ty chcesz być z niej zadowolona. Tak jak z Michelle. Bo ona jest dokładnie taka jak ty. Ma ten sam styl, te same upodobania, te same pragnienia. Sara jest inna, zrozum. Ona chce żyć po swojemu i musisz jej na to pozwolić.

— Dlaczego nagle mówimy o Sarze? — Byłam zirytowana i bynajmniej nie starałam się tego ukryć.

Jo Lynn wzruszyła ramionami i szybko uciekła wzrokiem.

Do sali napływało coraz więcej ludzi; zrobiło mi się nieznośnie gorąco. Rozpięłam żakiet, chwyciłam broszurę i zaczęłam wachlować nią twarz.

— No to powiedz, o co ty się martwisz — spytała po chwili Jo. Jakby pozwalała mi udowodnić, że także jestem człowiekiem,

— O dzieci, o naszą matkę...

— Wszystkich nas przeżyje! — rzuciła lekceważąco. — A zresztą to zbyt proste. Powiedz, czy boisz się czegoś takiego, co nie ma żadnego sensu. Chodzi mi o jakieś wariactwo.

— Boję się, że słowa utracą znaczenie. — Zdumiałam się, słysząc, że mówię to głośno. — Boję się, że któregoś dnia wezmę do ręki książkę czy gazetę i nic nie zrozumiem, jakby to był

obcy język, ale to słowa będą bez treści.

— Tak, to jest wariactwo — stwierdziła Jo Lynn. Wydawała się zadowolona.

— I boję się czegoś jeszcze — mówiłam dalej, choć widziałam, że przestaje ją to interesować.

— Że z dnia na dzień tracę część siebie. Boję się, że jeśli dalej będę rozdawać się po kawałeczku każdemu, kto tego zechce, to okaże się nagle, że dla siebie nie mam już nic i że ze mnie nic już nie zostało. Spojrzę wieczorem w lustro — zakończyłam szeptem — i zobaczę tam pustkę.

— Idzie! — Jo Lynn zerwała się z miejsca, gorliwie machając ręką.

Pozbawiona odbicia jak wampir... zdążyłam już tylko pomyśleć, gdy w drzwiach obok podium stanął Colin Friendly. Patrząc na niego, nie chciało się wierzyć, że ten przystojny mężczyzna w tradycyjnym niebieskim garniturze, niewiele różniącym się od mojego, to prawdziwy wampir, któremu największą przyjemność sprawia krew bezbronnych kobiet i dziewcząt. I ten mężczyzna, ten potwór uśmiechał się do mojej siostry!

Woźny kazał nam powstać — sąd idzie! Sędzia Kellner zajął swoje miejsce na podium i spojrzał w stronę obrońców:

— Czy obrona gotowa?

— Tak jest, wysoki sędzie. — Jake Archibald już stał, dopinając guzik brązowej marynarki.

— Proszę wezwać pierwszego świadka.

Z ław publiczności dało się słyszeć zbiorowe westchnienie — wszyscy wstrzymali oddech. Adwokat przez moment zwlekał, wreszcie on także głęboko zaczerpnął powietrza.

— Obrona — oznajmił — powołuje na świadka Colina Friendly'ego.

ROZDZIAŁ 15

— Proszę podać imię i nazwisko.

Oskarżony pochylił się lekko w stronę stojącego na pulpicie czarnego smukłego mikrofonu i prześliznąwszy się wzrokiem po sali, utkwił spojrzenie w przysięgłych.

— Colin Friendly — powiedział miękko.

— Stale zamieszkały przy ulicy Dziesiątej numer 1500 w miejscowości Lantana, stan Floryda, czy tak?

— Tak jest. Zanim mnie aresztowano, wynajmowałem tam mieszkanie. — Miał miły timbre głosu i akcent inteligenta. Mówił bardzo powoli, starannie artykułując każde słowo.

— Kim pan jest z zawodu, panie Friendly?

— Pracowałem w firmie wykonującej naprawy uszkodzonych instalacji wodnych.

— W jakim charakterze?

— Jako brygadzysta.

— Ile godzin dziennie?

— Tyle, ile było trzeba. Zwykle od ósmej rano do czwartej po południu, czasami dłużej.

— Pięć dni w tygodniu?

— Czasami siedem. Zależnie od liczby zleceń.

— Ile pan ma lat?

— Trzydzieści dwa.

— Pańskie wykształcenie?

— Dwa lata college'u.

— Która to uczelnia?

— Stanowy Uniwersytet Florydy.

— Czy jest pan lub był żonaty?

— Jeszcze nie. — Friendly podniósł głowę i uśmiechnął się do Jo Lynn, która w tym momencie ścisnęła mi rękę z emocji. Rany boskie! Poczułam, że żołądek staje mi dęba.

— Panie Friendly — podjął obrońca — czy jest pan w pełni świadomy stawianych panu zarzutów?

— Tak.

— Czy któryś z tych zarzutów odpowiada prawdzie?

— Nie, żaden.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Marie Postelwaite?

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Christine McDermott?

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Tammy Fisher?

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Janet McMillan?

— Nie.

Złapałam się na tym, że liczę nazwiska na palcach i że coraz bardziej drętwieją mi mięśnie w całym ciele.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Susan Arnold?

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Marilyn Greenwo-od?

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Marni Smith?

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Judy Renquist?

— Nie.

— Popatrz mu w oczy — szepnęła do mnie Jo Lynn.

— Widać, że mówi prawdę. Wystarczy na niego spojrzeć.

Spojrzałam i niestety, zobaczyłam w nim tylko zło.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Tracey Secord?

— kontynuował obrońca.

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Barbarę Weston?

— Nie.

Przyjrzałam się ławie przysięgłych. Dosłownie zawiśli wzrokiem na twarzy oskarżonego. Widać było, z jak wielkim napięciem słuchają upiornej litanii morderstw. Czy jednak, przemknęło mi raptem przez głowę, nie ma wśród nich kogoś, kto myśli tak samo jak moja siostra? Czy to możliwe? Czemu nie? Może takich być nawet więcej. O Chryste, czyżby Colin Friendly miał szansę wyjść z tej sali jako wolny człowiek?

— Czy zgwałcił pan i zamordował Wendy Sabatello? — Adwokat zmierzał już ku końcowi makabrycznej listy.

— Nie.

— Czy zgwałcił pan i zamordował Maureen Elfer? — padło nazwisko trzynastej ofiary. Ostatniej.

— Nie. — Znów ta sama automatyczna odpowiedź. Czy zgwałciłeś i zamordowałeś Amy Lokash?, dodałam bezgłośnie. Czy zmiażdżyłeś jej nos, zadałeś dziesiątki ran kłutych, a potem wrzuciłeś nieszczęsną w jakieś bagno, pozwalając jej tam wreszcie skonać? Czy kiedykolwiek poznamy prawdę o jej losie?

— Nie byłbym w stanie komukolwiek wyrządzić krzywdy — oświadczył Colin Friendly; miałam wrażenie, że zwraca się do mnie.

— Dziękuję, panie Friendly, nie mam więcej pytań.

— Jake Archibald dał znak prokuratorowi, że przekazuje mu świadka, sam zaś powrócił na swoje miejsce.

— Nie byłby pan w stanie nikogo skrzywdzić — powtórzył Howard Eaves, nim jeszcze podniósł się z krzesła.

— To prawda.

— Czyżby? A pańska matka?

— M-moja matka? — zająknął się Friendly.

— No i widzisz, co robi ten drań? — syknęła Jo Lynn.

— Specjalnie denerwuje Colina. Uspokój się, kotku, wszystko będzie dobrze!

— Tak — potwierdził prokurator. — Czy nie złamał jej pan nosa? Czy nie z tego powodu pańska matka znalazła się w szpitalu?

— Sprzeciw, wysoki sędzie — powiedział obrońca, niechętnie podnosząc się z miejsca. — Pytanie nie ma związku ze sprawą. Podyktowane jest wyłącznie wrogim nastawieniem do świadka.

Prokurator z uśmiechem przygładził przerzedzone włosy:

— Sam Colin Friendly dał asumpt do tego rodzaju pytań, oświadczając z własnej woli, że nigdy by nikogo nie skrzywdził. Prokuratura jednakże może udowodnić coś wręcz przeciwnego, a zatem, wysoki sędzie, zachodzi wątpliwość co do wiarygodności świadka.

— Dopuszczam pytanie — zadecydował sędzia.

— Przypominam, że brzmi ono następująco: Czy złamał pan nos swojej matce, wskutek czego zmuszona była poddać się leczeniu w szpitalu?

Colin Friendly opuścił głowę.

— T-to było tak dawno... Nie miałem zamiaru jej skrzywdzić.

— Czy mimo to nie pobił jej pan tak dotkliwie, że hospitalizowano ją potem prawie przez tydzień?

Jo Lynn zaczęła się wiercić jak na rozżarzonych węglach.

— Jędza! — rzuciła przez zęby. — Zasłużyła sobie na to. Biedny Colin!

„Biedny Colin” wydawał się zakłopotany, a nawet zawstydzony.

— Nie wiem — wybąkał — jak długo moja matka była w szpitalu. Po tym incydencie czułem się fatalnie... Tak okropnie, że wyjechałem z miasta.

— Gdzie obecnie przebywa pańska matka?

— Nie wiem.

— Czy prawdą jest, że zginęła jakieś sześć lat temu?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Aha, spytam więc inaczej. Kiedy po raz ostatni widział pan matkę?

Oskarżony potrząsnął głową.

— Dawno, wiele lat temu — powiedział bardzo powoli, jakby zastanawiał się nad każdym słowem.

— Sześć lat temu?

— Być może.

— Czy nie miał pan nic wspólnego z zaginięciem matki?

Jake Archibald ponownie zgłosił sprzeciw:

— Wysoki sądzie, nie mamy dowodów, że osobie, o której mowa, stało się coś złego, ponadto przedmiotem niniejszej rozprawy nie jest postępowanie świadka wobec matki.

— Sprzeciw podtrzymany.

— To było dobre — ucieszyła się Jo Lynn. Jake Archibald usiadł.

Prokurator, bynajmniej nie zbity z tropu tą drobną porażką, stanął teraz twarzą do przysięgłych.

— Proszę powiedzieć, czy znał pan którąś z denatek.

— Nie.

— I nigdy żadnej z nich pan nie spotkał? Nawet przypadkowo?

— O ile mi wiadomo, nie. Miałem b-bardzo absorbującą pracę — dodał tytułem wyjaśnienia, przetykając po tych słowach ślinę, jakby chciał przewyciężyć jąkanie — i było to dość szczególne zajęcie. Przy uszczelnianiu rur nie spotyka się zbyt wielu kobiet. — Wypowiadając to zdanie, błysnął swym wypróbowanym półuśmiechem w stronę ławy przysięgłych. Kilkoro jej członków odpowiedziało mu tym samym.

— Co pan powie o zeznaniach świadków, którzy utrzymują, że widzieli pana w pobliżu niektórych ofiar na krótko przed ich zaginięciem?

— Ż-że ci świadkowie się mylą.

— Więc nie uczestniczył pan w przyjęciu na Lakeview Drive numer 426 w Boynton Beach?

— Nie, nie uczestniczyłem.

— I nie rozmawiał pan nigdy z młodą osobą... panną Angelą Riegert?

— Nigdy.

— A jednak ona pana rozpoznała.

— M-musiła pomylić mnie z kim innym.

— I nie wyszedł pan z przyjęcia w towarzystwie Wendy Sabatello?

— Nie byłem na tym przyjęciu — oświadczył dobitnie Friendly. — Po cóż bym miał tam chodzić? Towarzystwo, jak słyszę, składało się wyłącznie z młodych ludzi, a ja nie jestem w wieku młodzieżowym.

— Marcia Layton zeznała pod przysięgą, że kilkakrotnie widziała pana w Parku Flaglera. Co pan na to?

— Że mogła mnie widzieć. Kiedy pracowałem gdzieś w pobliżu, miałem zwyczaj jadać lunch w tym parku.

— Czy napotkał pan tam Marni Smith?

— Nie.

— A Janet McMillan: nie pytał jej pan o drogę?

- Nie. Całe życie mieszkam na Florydzie i świetnie znam topografię.
- Utrzymuje pan zatem, że nie miał pan żadnych, przelotnych nawet kontaktów z którąkolwiek z zamordowanych?
- Tak jest.
- A wszyscy świadkowie, którzy twierdzą coś przeciwnego, są w błędzie — stwierdził raczej niż spytał prokurator Eaves.
- Istotnie.
- Nie wydaje się to panu dziwne, że tyle osób mogło się pomylić?
- W-wielu mężczyzn wygląda tak samo jak ja.
- Tak pan myśli?
- Nie odznaczam się niczym szczególnym.
- W tym niestety mogę tylko przyznać panu rację
- zauważył prokurator. Po natychmiastowym sprzeciwie Jake'a Archibalda wycofał tę uwagę.
- A jak pan wyjaśni fakt — podjął po chwili — że sperma znaleziona w ciałach ofiar wykazuje siedemdziesięcioprocentowe podobieństwo z pańską?
- Siedemdziesiąt procent o niczym nie świadczy
- sarknął pogardliwie Friendly. Jego twarz przybrała wyraz okrucieństwa.
- Kwestionuje pan wnioski eksperta?
- Skoro twierdzi, że to moja sperma, to się myli.
- A ślady ugryzień, które blisko przypominają odciski zdjęte z pańskich zębów?
- Mówić, że „blisko przypominają”, można co najwyżej o końskich podkowach — wypalił bez zająknięcia Friendly. Z uśmiechem satysfakcji mrugnął do mojej siostry, po czym rozparł się w krześle, jakby nagle poczuł się górą.
- Jak pan wytłumaczy rezultaty badania śliny?
- Nie mam obowiązku tego wyjaśniać, panie Eaves.
- Gdyby miał pan jednak wysunąć jakąś sugestię...
- Powiedziałbym, że najwidoczniej ktoś popełnił błąd.
- Według mnie tym kimś jest pan, panie Friendly.
- A ja stawiam na pana — padła błyskawiczna riposta. Przez salę przebiegł lekki szmerek.
- Sądzi pan — rzucił prokurator — że przewyższa mnie inteligencją, prawda, panie Friendly?
- Nie mogę powiedzieć, abym jakoś szczególnie zastanawiał się nad tym, panie Eaves.
- Ponieważ z góry pan zakłada, że inni są od pana głupszy, czy tak?
- Większość ludzi istotnie nie odznacza się nadmierną inteligencją — przyznał Friendly. Nietrudno było zauważyć, że docinanie prokuratorowi sprawia mu dużą uciechę.
- Więc łatwo nimi manipulować — podchwycił Eaves — a panu to sprawia przyjemność. Nie myślę się, prawda?
- To ja powinienem spytać o to pana, panie prokuratorze. Manipulowanie ludźmi to przecież pańska specjalność.
- A jakie to wspaniałe uczucie mieć władzę nad życiem i śmiercią, co, panie Friendly?
- To pan ma tu taką władzę, nie ja.
- Nie. Tę władzę mają tutaj sędziowie przysięgli.
- Mogę więc żywić jedynie nadzieję, że prawda interesuje ich bardziej niż pana.
- A jaka jest ta prawda?
- Że jestem niewinny.
- Zachowuje się bardzo kulturalnie, nie uważasz? — szepnęła do mnie Jo Lynn.
- Prokurator gwałtownym ruchem podsunął swemu przeciwnikowi duże kolorowe zdjęcie którejś z ofiar:
- Więc pan tego nie zrobił? Obrońca zerwał się z miejsca:
- Sprzeciw, wysoki sądzie! Świadek odpowiedział już na to pytanie.
- Odrzucam sprzeciw.

Na prośbę Jake'a Archibalda obrońca i prokurator podeszli do podium, by odbyć naradę z sędzią.

— Szlag by trafił tego Eavesa! — piekliła się szeptem Jo Lynn. — Nie cofnie się przed niczym, byle tylko uzyskać wyrok skazujący! — Ze zdenerwowania bez przerwy zmieniała pozycję: to zakładała nogę na nogę, to ją opuszczała, odsłaniając przy okazji seksowne fragmenty swoich nagich ud. — Mam jednak nadzieję, że przysięgli tego nie kupią — mruknęła. — Spójrz na tę kobietę w środku drugiego rzędu: myślę, że ona jest po naszej stronie.

Przyjrzałam się tej osobie. Młodsza od innych sędziów

— mogła mieć koło trzydziestki była bladą blondynką o tak nieokreślonych rysach, że nie sposób ich było zapamiętać. Źle ułożone włosy też nie poprawiały sytuacji. Należała do gatunku kobiet, których nikt nie dostrzega; sama zauważyłam ją dopiero teraz. Przykre. I trudno się z tym pogodzić, myślałam. Może się okazać nieodporną na urok takiego osobnika jak Colin Friendly. Ten proces w dodatku może być dla niej szansą przysłowiowych pięciu minut sławy, szansą wyjścia z cienia na światło. Wystarczy, że jako jedyna będzie głosować „niewinny”... Prasa, reflektory, wywiady, jakąż to wielką pokusą...

Przebiegł mnie dreszcz; do tej pory nie przyszło mi na myśl, że sędziowie mogą nie być jednomyślni. Dlaczego, u licha, te wyniki badań są tak niejednoznaczne? „Mówić, że blisko przypominają, można co najwyżej o końskich podkowach”, zabrzmiała mi w uszach szydercza uwaga Friendly'ego. Niech choć jeden sędzia zwątpi o jego winie... I co potem? Kolejny proces? Następne dwa miesiące udręki dla rodzin i przyjaciół ofiar? Znów wielkie nagłówki i ponure artykuły w prasie? A Jo Lynn będzie nadal wysiadywać w sądzie i co tydzień biegać do więzienia? Westchnęłam ciężko: nie, tego już naprawdę nie wytrzymam.

— Co ci jest? — spytała Jo Lynn, pozornie pochłonięta obserwowaniem sali.

— Gorąco.

— Wcale nie. Zrobiło ci się ciepło, bo jest tu ten ten twój wytęskniony.

— Kto? — Gwałtownie odwróciłam głowę, i rzeczywiście: z końca sali uśmiechał się do mnie Robert. Boże, pot zrosił mi czoło, kiedy on tu przyszedł?

— Uspokój się, Kate. Nikt nie ma zamiaru zdradzać twojej słodkiej tajemnicy.

— Nie mam żadnych tajemnic! — syknęłam przez zęby.

— Dobrze, dobrze! Powiedz to sędziemu, nie mnie.

— Odrzucam sprzeciw — po raz drugi oznajmił właśnie sędzia Kellner, odsyłając przeciwników na stanowiska. — Świadek może odpowiedzieć na pytanie.

— A więc nie jest to pańskie dzieło? — Howard Eaves natychmiast podjął akcję, wręczając podsądnemu fotografię.

— Nie.

— A to? — Prokurator wcisnął mu do ręki cały plik zdjęć. — To nie pan zostawił ślady zębów na poślaskach Christine McDermott? Nie pan poderżnął gardło nieletniej Tammy Fisher?

— Oczywiście, że nie. Ja tego nie zrobiłem.

— Widzę jednak, że wcale się pan nie wzdraga patrzeć na te zdjęcia?

— Sprzeciw! — zawołał Jake Archibald.

— Podtrzymany.

— N-nigdy bym nie mógł zrobić czegoś takiego. — Colin Friendly spojrzał prosto na moją siostrę. — Musisz mi wierzyć, Jo Lynn.

— Wierzę ci, Colin! — krzyknęła Jo, zrywając się z krzesła. Wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę.

— Proszę siadać, młoda damo! — zagrzmiął sędzia, bezskutecznie waląc młotkiem w podium. Szmer na sali stawał się coraz głośniejszy.

— Niech sobie wszyscy myślą, co chcą — kontynuował Friendly. — Nic mnie to nie obchodzi, dopóki ty we mnie wierzysz!

Teraz już cała publiczność stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć. Skulona ze wstydu, przestałam prawie oddychać. Boże, prosiłam bezgłośnie, niech to będzie tylko zły sen!

— Kocham cię, Jo Lynn! — wołał Friendly, przekrzykując rosnącą wrzawę. — Pragnę się z tobą ożenić!

— Przywołuję publiczność do porządku! — huknął sędzia.

— Ja też cię kocham! — histerycznie krzyknęła moja siostra. — I wiedz, że niczego bardziej nie pragnę, niż być twoją żoną!

Boże, jak opisać całe to pandemonium? Część widzów śmiała się do rozpuku, inni gwizdali i tupali ze zdumienia, reporterzy hurmem ruszyli do drzwi, roztrącając ludzi, bo w przejściach zrobiło się nagle tłoczno: wszyscy opuścili swoje miejsca.

— Proszę usiąść! — nakazał Jo Lynn sędzia Kellner. — W przeciwnym razie każę panią zatrzymać za obrazę sądu!

— Nie, błagam, nie! — wymamrotałam. Zrobiło mi się niedobrze. Na nic już nie zważając, przepchnęłam się obok Jo Lynn i popędziłam do wyjścia. Byłam w tym ciemnym przedsionku, gdy sędzia zarządził półgodzinną przerwę.

— Szybciej, Kate! Tutaj! — Czyjaś ręka pociągnęła mnie na korytarz, a potem do sali obok. Była pusta.

— Boże! — Rwał mi się oddech, nogi miałam ciężkie jak ołów. — Oglądałeś to widowisko?

— Tak — odrzekł Robert. — Byłem tam.

— Widziałeś, co oni zrobili? Co wygadywali? Objął mnie i przytulił.

— Kate, spróbuj się uspokoić.

— Powiedziała temu potworowi, że za niego wyjdzie! Przed wszystkimi! Przed sądem! Taki skandal! Moja siostra wstaje i ogłasza światu, że kocha szaleńca, że chce być jego żoną!

— Cicho, Kate, nie ma sensu tracić tyle nerwów.

— Powiedz, dlaczego ona to robi? Chce coś udowodnić? Chodzi jej o rozgłos? Chce zostać gwiazdą „Hard Copy”? Znaleźć się na pierwszej stronie „National Enquirer”? Co się z nią dzieje, na Boga?

Przygarnął mnie mocniej.

— Nie wiem, o co chodzi twojej siostrze, ale cokolwiek to jest, nie wolno ci się tak przejmować.

— Jak myślisz, czy ona naprawdę może poślubić to monstrum? To znaczy, czy istnieje jakaś szansa, że przysięgli go uniewinnią?

— Nie, do diabła, to wykluczone!

— Życzę mu śmierci! — krzyknęłam z płaczem. — Niech zdechnie i raz na zawsze wyniesie się z naszego życia!

— Sza — powiedział bardzo łagodnie. Sama nie wiedząc kiedy, przypadłam twarzą do jego piersi. — Nie martw się, kochanie — zaczął mnie pocieszać — niedługo będzie po wszystkim.

— Trzymał mnie w ciasnym uścisku, delikatnie gładząc po włosach, zupełnie jakbym była dzieckiem, które stłukło sobie kolano. Teraz już objęłam go sama. Przylgnęłam do niego jak tonący, jakby on, Robert, był moją jedyną deską ratunku. Czułam jego usta na mokrym policzku. Leciutkimi pocałunkami zbierał moje łzy, zapewniając bez słów, że wszystko będzie dobrze, że nigdy więcej nie stanie mi się nic złego.

W której chwili uświadomiłam sobie, że całuje mnie prosto w usta? Nie wiem. Wiem tylko, że oddawałam mu pocałunki, i to tak namiętnie, że samą mnie to zdumiało. Byłam znów uczennicą drugiej klasy szkoły średniej, a on moim starszym kolegą. Oboje byliśmy jeszcze tacy młodzi! Mieliśmy przed sobą całe długie życie, świat stał przed nami otworem i wydawał się taki piękny...

Szkoda, iż rzeczywistość tak daleko odbiegała od marzeń.. . Nasze życie minęło półmetek, a mój świat w szybkim tempie zaczynał walić się w gruzy.

— Och, to ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba! — jęknęłam, wrywając się z ramion Roberta.

Wciąż jeszcze oszołomiona, próbowałam zrozumieć, co się właściwie stało...
Cóż, opanowałam się w końcu i wyszłam. Na korytarzu zgraja rozgdakanych reporterów oblegała Jo Lynn, zacięcie rywalizując o jej względy. Zdołałam niepostrzeżenie przemknąć się do windy. Lecz chociaż wzięłam się w garść, wiedziałam, że jest już za późno, że moim światem zawładnął chaos i że pewnie już nigdy nie będzie w nim ładu ani sensu.

ROZDZIAŁ 16

Próbowałam zająć się pracą i nie myśleć o tym, co się stało, niestety nie było to łatwe. Gdziekolwiek spojrzalam, zewsząd atakowały mnie twarze Jo Lynn i jej „narzeczonego”, jak uznała za stosowne nazywać go w wywiadach prasowych i telewizyjnych. Rano byli na pierwszych stronach wszystkich gazet, po południu widziałam ich w skróconych wydaniach dzienników — pośród najważniejszych wiadomości dnia. Jo Lynn ponadto udzieliła wywiadu redakcji „Hard Copy”, pojawiła się też dwukrotnie w popularnym programie telewizyjnym „Inside Edition”. Na szczęście nigdzie jak dotąd nie wspomniała, że ma siostrę. Nosiłyśmy różne nazwiska, ona po drugim mężu, uważała bowiem, że „Baker” najlepiej współbrzmi z imionami „Jo Lynn”, na razie więc nikt nas nie łączył. Szczęśliwą okolicznością było również to, że każda z nas funkcjonowała w innym środowisku; dzięki temu wątpliwa popularność Jo wciąż jeszcze nie odbiła się na mojej pozycji zawodowej ani towarzyskiej. Mimo to czułam się zażenowana... Wolę myśleć, że bardziej ze względu na nią niż na siebie, choć prawdę mówiąc, nie jestem tego tak zupełnie pewna. Szczerze martwiłam się natomiast zarówno o stan umysłu mojej siostry, jak i o jej przyszłość.

Dla Sary cała sytuacja była oczywiście „super”, mój mąż jak zwykle miał wszystko w nosie, Michelle w delikatny sposób dała wyraz swej dezaprobacie, mówiąc, że z ciotką „dzieje się coś złego”. Co do matki... Mogę jedynie powiedzieć, że sprawiała wrażenie całkowicie nieświadomej niezwyklego szumu wokół Jo Lynn. Nie komentowała ani tego, co pisano w prasie, ani wystąpień Jo w telewizji. Kiedy raz spytałam, czy oglądała jej zdjęcie na pierwszej stronie „Palm Beach Post”, poprosiła tylko, żeby zachować dla niej ten egzemplarz, i nigdy więcej o tym nie wspomniała. Wielokrotnie natomiast dzwoniła pani Winchell, by wyrazić swoje obawy. Gdyby doszło do wiadomości publicznej, że w Domu Pogodnej Jesieni w Palm Beach Lakes mieszka matka pani Jo Lynn Baker, mogłoby to bardzo zakłócić spokój całego ośrodka, stwierdziła z ubolewaniem. Zasugerowała mi w związku z tym, że najlepiej byłoby przenieść matkę gdzie indziej. Na zakończenie spytała, czy rozważę jej propozycję. Nie widziałam takiej potrzeby. Zdażyłam już dojść do wniosku, że Jo Lynn wcale nie ma ochoty dzielić się z kimkolwiek swoją nowo zdobytą „sławą”.

Robert dzwonił prawie codziennie, ale bałam się z nim rozmawiać. Moje życie i tak już było dostatecznie zdezorganizowane, miałabym na dodatek fundować sobie jeszcze i romans? Nie chcę przez to powiedzieć, że czynił jakieś aluzje do tego, co między nami zaszło. Nie. Jego pytania miały charakter czysto profesjonalny: czy pracuję nad koncepcją programu, czy mam jakieś nowe pomysły. Jakby wcale nie było tych zgoła nieprofesjonalnych pocałunków. Ostatnio rzeczywiście wyklarowała mi się całkiem zgrabna formuła audycji, tylko że... ogarnęły mnie wątpliwości zarówno co do tego, czy naprawdę chcę ją realizować, jak i co do bliższych stosunków z Robertem. I jedno, i drugie zaczynało mnie przejmować coraz większym strachem. Nie bez znaczenia było też i to, że częsta obecność na antenie wiązała się z pewnym ryzykiem. Łatwo było przewidzieć, że prędzej czy później jakiś ambitny dziennikarz dogrzebie się mych związków rodzinnych z Jo Lynn. Znając swoją siostrę, mogłam z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że to właśnie ona byłaby moją pierwszą rozmówczynią. „Moja siostra wciąż mnie krytykuje”, powiedziałyby z irytacją. „Nie pochwała ani moich strojów, ani mężczyzn. Uważa, że bez niej nie potrafię podjąć żadnej dojrzałej decyzji. Wyobraża sobie, że zjadła wszystkie rozumy, i to tylko dlatego, że ma dyplom! Ciągłe chce mną dyrygować: zrób to, tamtego nie rób. Mam już tego po dziurki w nosie! Co mi pani radzi?” — Przepraszam, co powiedziałaś? — ocknęłam się nagle z zadumy. Dochodziła szósta wieczorem. Ellie i Ri-chard Lifesonowie, młode małżeństwo przed trzydziestką, patrzyli na mnie wyczekująco. Dosłownie zawiśli mi wzrokiem na ustach, spodziewając się pewnie, że spłyną z nich słowa natchnionej mądrości, podczas gdy ja w tym momencie nie wiedziałam nawet, o czym dyskutujemy. Skłęłam w duchu Jo Lynn, że to przez nią nie jestem w stanie się

skupić i... natychmiast znalazłam się znowu w sądzie. Znowu oglądałam groteskową scenę, w której seryjny morderca publicznie wyznaje miłość mojej siostrze... Co właściwie chciał przez to uzyskać? Współczucie? Poparcie kilku głupich bab?

— Co? — zapytałam swoich pacjentów. Popatrzyli po sobie z pewną konsternacją. — Przepraszam, możesz powtórzyć?

— Ona mi bez przerwy mówi, co mam robić — oświadczył Richard. — Mam tego dosyć!

— Wcale mu nie mówię, co ma robić! — żywo zaprotestowała jego żona.

Oboje byli przystojni i tacy młodzi! Ich świeże twarze sprawiały wrażenie do czysta wyszorowanych szczotką i mydłem. Ślub brali trzy lata temu; dla obojga było to pierwsze małżeństwo. Bezdzielni. Ostatnio zaczęli myśleć o rozwodzie. Dla przypomnienia sobie tych faktów zerknęłam chyłkiem w notatki, a potem na zegarek, żeby sprawdzić, ile straciłam czasu, błądząc myślami gdzie indziej.

— Kpisz sobie czy co? — obruszył się Richard. — Opowiedz Kate, jak to było dzisiaj!

— Może sam mi to opowiesz? — zaproponowałam, próbując skupić uwagę na jego wysokim czole i kwadratowej szczęce. Za wszelką cenę starałam się przepędzić Colina Friendly'ego z tego gabinetu i z myśli.

— Chciałem sobie kupić torebkę chipsów, a ona mi mówi, żebym wziął takie nowe, z małą ilością tłuszczu. Nie lubię tego paskudztwa, jest bez smaku! I co ją to obchodzi, skoro sama nie będzie ich jadła? No i zgodnij, które kupiłem?

— Wcale nie kazałam ci ich kupować. To była tylko sugestia.

— Oho! Jej wysokość — rzucił zjadliwie — nie ma zwyczaju wysuwać sugestii. Ona wydaje obwieszczenia!

— No proszę, on znowu zaczyna! Zawsze chce mnie poniżyć. Słowa nie mogę powiedzieć, żeby zaraz nie próbował mi wykazać, jaka to jestem głupia!

— Kiedy? — zachnął się Richard. — Kiedy próbowałem ci to wykazać?

— Nie dalej jak wczoraj wieczorem, po recitalu baletowym mojej siostrzenicy — powiedziała Ellie, zanim zdążyłam zainterweniować. — Spytał, który taniec najbardziej mi się podobał. Powiedziałam, że ten z łabędziami, a on na to: „Uhm, i to jest najlepszy dowód, że nie znasz się na balecie”. Skończyło się to straszną awanturą, więc poszliśmy do łóżka w gniewie i oczywiście nie kochaliśmy się. Znowu — dodała uszczypliwie.

— Mam już teraz nawet kochać się z tobą na rozkaz?

— Chwileczkę, nie tak szybko — powiedziałam uspokajająco. — Widzę tu mnóstwo problemów. Spróbujmy zająć się nimi po kolei. Na początek sprawą tych chipsów. Ty, Ellie, sądzisz, że była to tylko życzliwa sugestia, a ty, Richardzie, że Ellie jest apodyktyczna. Cały problem wynika z różnicy płci. Kobieta zwykle jest przekonana, że sugeruje coś z dobrego serca, mężczyzna tymczasem odbiera to jako rozkaz.

— Nie wolno mi nic sugerować?

— Posłuchaj, Ellie, wiem, że to niełatwe, postaraj się jednak... mniej pomagać mężowi. A ty, Richardzie, naucz się bronić swego stanowiska. Jeśli nie chcesz jeść nisko-kalorycznych chipsów, musisz to jasno powiedzieć.

— I rozpętać wściekłą awanturę?

— I tak ją rozpętasz. Może nie o chipsy, ale jakiś powód się znajdzie, bo cały twój stłumiony gniew musi sobie znaleźć ujście.

— Gniew? To ona wiecznie jest wściekła.

— Bo ty zawsze chcesz mnie poniżyć!

— Oboje starajcie się unikać takich słów, jak „zawsze” i „nigdy”. Ich skutek jest tylko taki, że dolewają oliwy do ognia. A ty, Ellie, pamiętaj, że nikt nie jest w stanie poniżyć cię czy pognać, jeśli sama na to nie pozwolisz. Chcesz się przekonać, jak by mogła wyglądać wasza wczorajsza rozmowa? Spróbuję wam to pokazać. Ja będę tobą, a ty Richardem. Zaczynamy. Richardzie — zwróciłam się do niej — który taniec najbardziej ci się podobał?

— Ten nowoczesny, przy końcu. — Mimo woli zmieniła głos, aby nadać mu męskie brzmienie. — A tobie?

— Mnie ten z łabędziami — odpowiedziałam zgodnie ze scenariuszem.

— Najlepszy dowód, że nie znasz się na balecie! — rzuciła arogancko.

— Nie podobał ci się?

— Według mnie był okropny.

— Ciekawe! A mnie tak się podobał. Mamy chyba zupełnie odmienne gusty.

Przez chwilę oboje patrzyli na mnie w milczeniu.

— Widzicie? Nikt nikogo nie poniżył, nikt się nie* kłócił.

— Takie to proste? — zdziwił się Richard.

— Nic nie jest proste. Nowe słownictwo to zarazem całkowita zmiana dotychczasowych stosunków. Najpierw trzeba się nauczyć nowych słów i zwrotów, co trochę trwa, a następnie wprowadzić je w użycie, co wymaga jeszcze więcej czasu. Ten trud się jednak opłaca. Łatwiej jest później żyć. Możecie mi wierzyć — dodałam, widząc ich sceptyczne miny.

W domu oboje z Larrym skoczyliśmy sobie do gardeł. Kiedy wieczorem weszłam do salonu, mój mąż, wygodnie rozparty na otomanie, oglądał sobie mecz hokejowy. Obie nasze córki były w swoich pokojach, podobno odrabiały lekcje.

— Miałam dziś telefon ze szkoły — oznajmiłam. — W sprawie Sary.

— Tak? I o czym tym razem chciała cię poinformować ta kobieta?

— Kto powiedział, że to kobieta?

— Przepraszam, po prostu tak przypuszczałem.

— Czy wszyscy nauczyciele muszą być zaraz płci żeńskiej?

— Oczywiście, że nie. No więc co ci powiedział wychowawca?

— Powiedziała, że Sara...

— Ona? A więc to jednak kobieta?

— Ta akurat tak.

— Ta, która dzwoniła?

— Tak. No i z czego robisz taki problem?

— Ja? To przecież ty robisz problem.

— Interesuje cię, co miała do powiedzenia czy nie?

— Oczywiście. Już ci mówiłem, że tak.

— Nie pamiętam, żebyś coś takiego mówił.

— Może gdybyś zwracała większą uwagę na to, co mówię...

— Twierdzisz, że nie poświęcam ci dość uwagi?

— Powiedz mi w końcu, co mówiła ta nauczycielka!

— Że Sara zachowuje się bardzo dziwnie.

— Teraz dopiero to zauważyła? — uśmiechnął się Larry. Nie skorzystałam z okazji, by mu odpowiedzieć tym samym.

— Zachowuje się podobno dziwniej niż zwykle.

— To znaczy jak?

— Nie umiała tego sprecyzować.

— No tak! To rzeczywiście światelko w tunelu!

— Zamierzasz traktować tak całą tę sprawę? Kpinki, prześmiewki...

— Z pewnością nie zamierzam się zamartwiać.

— Ty nigdy się nie zamartwiasz!

— Co to ma znaczyć?

— A to, że zaczynam czuć się jak samotna matka.

— Pardon? Nie rozumiem. Zechcesz mi to bliżej wyjaśnić?

— Bardzo proszę: nigdy cię nie ma w domu.

— Mnie nigdy nie ma w domu?

— Tak, bo wiecznie grasz w golfa. Tam zawsze można cię znaleźć.

— Zawsze?

— Kiedy nie jesteś w pracy — uściśliłam.

— Och, więc pracuję! Dzięki, że łaskawie zechciałaś to zauważyć.

— Czy to, że nasza córka kuleje, naprawdę cię nie obchodzi?

— Kuleje?

— Oblała dwa ostatnie testy z angielskiego.

— Rozmawiałaś z nią o tym?

— Dlaczego to zawsze ja mam z nią rozmawiać?

— W porządku. Chcesz, żebym ja z nią pogadał?

— I cóż takiego jej powiesz?

Larry już zdążył podnieść się z kanapy.

— Nie wiem. Coś wymyślę.

— Tylko nie spychaj jej do defensywy.

— Wcale nie zamierzam tego robić.

— Powiedz po prostu Sarze, że dzwoniła nauczycielka i że bardzo się o nią martwi.

— Skoro chcesz mi dyktować każde słowo, dlaczego sama z nią nie porozmawiasz?

— Bo to ja zawsze z nią rozmawiam. Bo jestem już ciężko zmęczona tym, że każdy zwała na mnie swoje problemy, i to ja mam mu je rozwiązać! Robię to cały dzień w pracy, więc gdy przychodzę do domu, chciałabym, żeby ktoś dla odmiany spróbował trochę mi ulżyć. Nie mogę odpowiadać za wszystko! Czy to tak trudno zrozumieć?

— Trudno, skoro jak właśnie widać, nie pozwalasz mi załatwić sprawy z Sarą.

— Próbuję ci tylko pomóc. Czy to twoje ego jest tak delikatne, że nie potrafisz znieść paru najprostszych sugestii?

— A czy twoje jest aż tak rozdęte, że nie możesz pojąć najprostszej rzeczy? Tego, że może ja nie potrzebuję żadnych twoich sugestii?

— A wiesz, że czasami potrafisz być skończonym draniem!

Mój mąż zgasił telewizor i wyszedł z pokoju.

— Gdzie idziesz?

— Do łóżka.

— Wydawało mi się, że prowadzimy dyskusję.

— Dyskusja już się skończyła.

— Dlatego, że ty tak mówisz?

— Właśnie.

Popędziłam za nim do sypialni.

— Bardzo dojrzałe podejście!

— Jedno z nas musi być dorosłe.

— Które mianowicie? Zaczął ciskać poduszkami.

— Kate, nie chcę się z tobą kłócić. Nie mam siły, jestem zbyt zmęczony. Cały tydzień siedzisz mi na karku.

— Ja tobie siedzę na karku?

— Bez przerwy.

— Ciekawe, jakim cudem, skoro nigdy cię nie ma w domu?

— Nie wiem, ale ty to jakoś potrafisz. — Z rozmachem zrzucił na podłogę resztę poduszek, z których jedna upadła niedaleko mojej stopy.

— Uważaj! — krzyknęłam, jakbym odniosła poważną kontuzję. Drgnął ze zdumienia.

— Na co mam uważać?

— Omal nie uderzyłeś mnie tą poduszką!

— Co ty wygadujesz? Popatrz, gdzie leży. — Zdjął z łóżka narzutę i demonstracyjnie zaczął się rozbierać.

- Tylko się nie waż zasypiać!
- Kate, to był długi dzień. Widzę, że jesteś podminowana, nie sądzę jednak, by powodem tego była Sara. Albo ja.
- Och, doprawdy? Kiedy to zdobyłeś dyplom z psychologii?
- Przestańmy, zanim padną słowa, których potem będziemy żałować.
- Nie chcę przestać. Chcę wiedzieć, co mi imputujesz. Niby co twoim zdaniem tak mnie podminowało?
- Skąd mogę wiedzieć? Może twoja siostra, może matka albo coś się zdarzyło w pracy.
- A może jednak ty! — wypaliłam.
- Możliwe. Może masz rację, że to ja. Biorę na siebie winę. W porządku? Jestem obrzydliwym gnojkiem.
- Nie powiedziałam, że jesteś gnojkiem.
- Ale do tego zmierzałaś.
- Nie wkładaj mi w usta słów, które z nich nigdy nie wyszły!
- Najchętniej założyłbym ci knebel.
- Co?! — Z oburzenia prawie mnie zatkało. — Grozisz mi?

Larry poczerwieniał z gniewu.

- Proponuję, żebyśmy się zamknęli. Oboje. Spróbujmy się raczej przespać.
- Co takiego? Każesz mi się zamknąć?
- Powiedziałem, że radzę ci się przespać.
- Nie chcę spać!
- To przestań pieprzyć! — huknął na mnie i włożył do łóżka.

Od tej chwili milczał jak grób. Ogłuchł na wszelkie moje prowokacje. Każda próba wciągnięcia go w kłótnię wzmagała jedynie jego bierny opór. Zagrzebał się w pościel i im mocniej go naciskałam, tym głębiej włożył w swój kokon.

Powiedziałam mu, że jest kiepskim mężem, złym ojcem i nieczułym synem.

Westchnął i przewrócił się na drugi bok.

Bardziej zależy mu na golfie niż na własnej rodzinie.

Naciągnął na ucho poduszkę.

Jest samolubny, dziecinny i małostkowy.

Przykrył głowę kołdrą.

Jest osobnikiem, który pod maską bierności ukrywa morze agresji.

Udał, że śpi.

Kazałam mu iść do diabła.

Zaczął chrapać.

Wypadłam z pokoju jak furia.

Nie odzywaliśmy się do siebie przez pełne trzy dni. Wiedziałam, że Larry ma rację — nie on był powodem tej scysji. Wolałabym może, żeby podczas weekendów trochę więcej czasu spędzał w domu, ale tak naprawdę wcale nie miałam mu za złe tej jego golfowej pasji. Może nawet trochę mu jej zazdrościłam. Przynajmniej miał dokąd uciec przed tym całym wariactwem, które atakowało nas teraz już ze wszystkich stron. Ja niestety nie miałam dokąd pójść. Praca, zamiast pomagać, pogarszała tylko sytuację. Przy takim natłoku pacjentów tyle mnie kosztowało trzymanie nerwów na wodzy, że w domu z miejsca pękałam, a moim kozłem ofiarnym stał się Larry. Przez jakiś czas starał się być wyrozumiały, ale jak długo można?

Właściwie nie miałam do niego pretensji, chciałam tylko, żeby wziął mnie w ramiona tak jak Robert i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Sara skończy szkołę, wybierze sobie college i zacznie studiować, moja matka stanie się znów osobą, którą znałam i kochałam całe życie, siostra zniknie z pierwszych stron gazet i odzyska zdrowy rozsądek, a Colin Friendly umrze i wreszcie da nam święty spokój. Czy żądałam od niego zbyt wiele? Jednak gdy Larry wyszedł w końcu naprzeciw moim pragnieniom, wcale to nie pomogło.

— Już dobrze — powiedział pewnego wieczoru, biorąc mnie w objęcia. Położyłam głowę na jego ramieniu i zaczęłam płakać. Proces Friendly'ego właśnie się skończył, jednak wbrew ogólnym przewidywaniom, że werdykt zapadnie w ciągu kilku minut, narada trwała już ponad pięć godzin. Dziennikarze przepowiadali, że jeśli przysięgli nie ogłoszą go w ciągu najbliższych sześćdziesięciu minut, obrady zostaną przerwane, a sędziowie udadzą się na weekend.

— Do licha, dlaczego to tak długo trwa?

— Przypuszczam, że chcą raz jeszcze przeanalizować cały materiał dowodowy, ale w poniedziałek na pewno już będzie koniec — pocieszał mnie Larry, wiedząc, co pragnę usłyszeć.

— Nie martw się — dodał — kiedy Friendly dostanie wyrok śmierci, Jo Lynn wróci do normy. Chociaż w odniesieniu do niej „norma” to pojęcie dość względne.

Roześmiałam się z ulgą — no i zaczęliśmy się całować. Z początku czule i delikatnie, a potem już coraz gwałtowniej. Jakoś dopiero teraz uprzytomniłam sobie, że nie kochaliśmy się już dobrych kilka tygodni i że ostatnim mężczyzną, który tak mnie całował, nie był wcale Larry, tylko Robert.

— Boże — westchnęłam, bo ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

— Chodźmy do sypialni — szepnął Larry, który oczywiście poczytał to za objaw namiętności. Obu naszych córek nie było w domu, jak zwykle w piątkowy wieczór.

— Uważasz, że to dobry pomysł? — spytałam w przerwie między pocałunkami. Staliśmy już przy łóżku.

— Najlepszy od kilku tygodni — uśmiechnął się, zmiatając jednym ruchem ręki wszystkie czternaście poduszek.

— A jak wrócą dziewczyny?

— Nie wrócą.

— A jeśli?

— Poczekaj, zamknę drzwi na klucz. — Po sekundzie już znów był przy mnie, znów mnie całował, rozpinając mi zarazem bluzkę. — Stęskniłem się za tobą — powiedział, rzucając ją na dywan.

— Ja też. — Przez koronkę stanika zaczął delikatnie drażnić mi sutki. — To mnie łaskocze — powiedziałam z lekką irytacją. — Daj spokój, sama to zrobię — zniecierpliwiałam się znowu, kiedy dość niezręcznie spróbował rozpiąć mi stanik.

— Pozwól mi, proszę. Fakt, że troszeczkę wyszedłem z wprawy...

Kiedy i teraz nie udało mu się pokonać opornych haftek, straciłam cierpliwość i sama zdjęłam biustonosz.

— Taką miałem ochotę to zrobić...

— Nie narzekaj... — zaczęłam, ale zamknął mi usta pocałunkiem. Popchnął mnie na łóżko i zaczął całować piersi. Zawsze to bardzo lubiłam, teraz... teraz czułam tylko rozdrażnienie. Im mocniej Larry wsysał mi się w sutki, tym bardziej mnie to gniewało. — Łaskocze! — syknęłam, wyslizgując się spod jego natrętnych ust. Wziął się za spodnie i gładko zsunął mi je z bioder. — Mógłbyś ostrożniej obchodzić się z moim ubraniem — upomniałam go raczej cierpko, kiedy cisnął gdzieś nimi na oślep. Nadal nie czułam śladu podniecenia. Ani gdy powolutku obwiodł palcami kontur moich koronkowych majtek, ani gdy przyssał mi się znów do sutek. Spróbowałam uruchomić wyobraźnię, czasem to pomaga. Że jestem niewolnicą wystawioną na licytację, o którą ubiega się cały tłum mężczyzn, że oblewam egzamin i błagam profesora o litość, on zaś każe mi przyjść wieczorem w samych pończochach i pasku... Ale i to nie pomogło.

Larry wciąż nie dawał za wygraną. Zdjął mi majtki i włożył głowę między uda. Z nadzieją czekałam na jakiś skutek — nic z tego. Nie odczułam nic poza rozczarowaniem.

— To boli — jęknęłam po paru minutach.

— Odpręż się — poprosił. — Jesteś taka spięta.

— Bo sprawiasz mi ból.
— Czym?
— Za bardzo przyciskasz... Zsunął się ze mnie:
— Teraz lepiej?
— To nie to miejsce...
— Więc pokaż mi to właściwe.
— Nie chcę.
Podparł się łokciami i spojrzał mi w twarz.
— Co ci nie odpowiada, złotko?
— Dotykasz mnie nie tam, gdzie trzeba — powtórzyłam krnąbrnym tonem, doskonale wiedząc, że winię go całkiem niesłusznie, bo nie chodzi o miejsce, tylko o osobę. — Dajmy lepiej spokój. Nic z tego nie będzie.
- Pozwól mi spróbować jeszcze raz.
— Nie. — Zsunęłam nogi i zaczęłam patrzeć w okno. Nie chciałam widzieć jego twarzy.
Zadzwoił telefon. W samą porę!
— Nie odbieraj — poprosił Larry, ale ja czym prędzej podniosłam słuchawkę.
— Halo? — Larry w tym momencie odwrócił się do mnie plecami.
— Kate, o Boże, Kate! — usłyszałam rozszlochany głos Jo Lynn.
— Co się stało?
— Przysięgli ogłosili werdykt. — Wstrzymałam oddech: płacze z rozczarowania czy z ulgi? — Kate, nie mogę w to uwierzyć! Uznali go winnym! Rozumiesz? Winnym!
— Zamknęłam oczy: Dzięki Ci, Boże!
— Bardzo źle się czujesz? — spytałam ostrożnie. Larry równie ostrożnie podniósł się z łóżka.
— Nie mogę w to uwierzyć — powtórzyła z płaczem Jo Lynn. — Jak mogli? Przecież on tego nie zrobił! Jakaż to straszna niesprawiedliwość!
— Mam po ciebie przyjechać? — Mój mąż wymknął się z pokoju.
— Nie, nie... Ach, nie wiem, co robić!
— Powinnaś pojechać do domu i dobrze się wyspać.
— Uznali go winnym — płakała dalej w słuchawkę.
— Och, Kate, on jest całym moim życiem! Boże, Boże, i co ja teraz pocznę?

ROZDZIAŁ 17

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem zaginęła moja matka.

Kłóciłyśmy się z Sarą w pokoju obok kuchni, kiedy zadzwonił telefon.

— Możesz odebrać? — Klęczałam akurat na podłodze przed udekorowanym już świerkiem, zajęta układaniem ostatnich paczek z prezentami.

Nie raczyła ruszyć się z miejsca. Z rękami wbitymi hardo w te swoje niemożliwie smukłe biodra tkwiła pośrodku pokoju jak wieża. Jej nieprawdopodobnie długie nogi zdawały się nie mieć końca. W czarnych opiętych leggin-sach, w za ciasnym wiśniowym topie i krótkich czarnych botkach na wysokich obcasach, które dodawały jej jeszcze dobrych osiem centymetrów wzrostu (do tych ponad stu osiemdziesięciu!), sprawiała wrażenie groźnej przeciwniczki. I do tego jeszcze te włosy! Sucha jak pieprz lwia grzywa, cała pożółkła od słońca z wyjątkiem ciemnego pasa odrostów wokół gniewnie nachmurzonej twarzy... Nie, „groźna” to za słabo powiedziane. Można się jej było przerazić.

— Maszyna odbierze — rzuciła krótko i natychmiast podjęła znów atak: — Dlaczego nie chcesz mi dać pieniędzy?

— Bo nie mam ochoty dostawać prezentów, za które sama muszę płacić — odrzekłam zgodnie z prawdą. Telefon litościwie umilkł. — Jesteś już wystarczająco dorosła, żeby je kupować za własne pieniądze.

— Niby za jakie pieniądze?

— Te, które powinnaś była zaoszczędzić. Miałaś chyba na to dość czasu. Boże Narodzenie zdarza się co roku dokładnie o tej samej porze, nie jest więc niczym zaskakującym. Spójrz na Michelle, oszczędza od kilku miesięcy... — Nie trzeba było tego mówić. Niestety, stało się.

— No tak, porównuj mnie znów z Michelle! — sarknęła z furią, wyrzucając ręce nad głowę groźnym i zarazem dziecinnie żalonym gestem.

— Nie miałam takiego zamiaru.

— Akurat! Stale mnie porównujesz z tą swoją pieszczoszką, z tą Chodzącą Doskonałością! Ona oczywiście nigdy nie robi nic złego. Mała wredna jędzal!

— Sara! W tej chwili przestań! Nie mieszaj w to swojej siostry.

— Ja? To ty ją wmieszałaś.

— No rzeczywiście. Bardzo mi przykro.

— Więc nikt w tym roku nie dostanie ode mnie prezentu — rzuciła oskarżycielsko. Wzruszyłam ramionami:

— Cóż, wielka szkoda.

— Uhm, nawet widać, jaka jesteś załamana — zadrwiła.

Telefon odezwał się znowu.

— Postanowiłaś narobić mi wstydu, prawda? — kontynuowała Sara, nie zwracając na to uwagi. Spróbowała teraz w inny sposób wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia: — Bo nie jestem tak zorganizowana jak Michelle, bo się od was różnię, i za to chcesz mnie ukarać!

Boże, daj mi cierpliwość, powtarzałam sobie, podnosząc się z klęczek, aby podejść do telefonu. Stał na kontuarze dzielącym ten pokój od kuchni.

— Halo?

— Pani Sinclair?

— Tak, to ja.

— Dzięki Bogu. Dzwoniłam przed chwilą, ale zgłosiła się sekretarka.

— Pani Winchell? Czy coś się stało? — Z miejsca rozpoznałam po głosie, że ma dla mnie jakąś złą nowinę.

— Coś z matką?...

W słuchawce na moment zapadła złowróźbna cisza.

— Więc matki nie ma u pani?

— Gdyby to Michelle prosiła cię o pieniądze, dałabyś jej bez gadania! — grzmiała Sara, przechadzając się przede mną w tę i z powrotem.

— Co to ma znaczyć? — spytałam drżącym głosem.

— A to, że swojej pupilce dałabyś wszystko, nawet gwiazdkę z nieba! — rzuciła zjadliwie Sara.

— Nie możemy znaleźć pani matki — usłyszałam w tej samej chwili.

— Jak to: nie możecie jej znaleźć?! Przestań, do licha!

— Tak głośno huknęłam na Sarę, że w końcu stanęła jak wryta.

— Przepraszam?... — spłoszyła się pani Winchell.

— Nie wrzeszcz na mnie! — warknęła Sara.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało!

Moja rozmówczyni chrząknęła raz, potem drugi.

— Pani matka — przemówiła wreszcie — nie przyszła dziś na śniadanie. W mieszkaniu też jej nie było, a łóżko... łóżko wyglądało na nie tknięte. Zbliżają się święta, więc miałam nadzieję, że została na noc u państwa, a pani po prostu zapomniała nas o tym powiadomić.

— Nie, matki u nas nie ma. — Bezmyślnie rozejrzałam się po pokoju, jakby mogła się tu gdzieś ukryć.

— Czy istnieje możliwość, że złożyła wizytę swojej drugiej córce?

— Mojej siostrze? Nie, wykluczone. — Na wszelki wypadek postanowiłam to jednak sprawdzić. — Czy przeszukano budynek?

— Kto zginął? — włączyła się nagle Sara. — Babcia?

— Poszukiwania trwają.

— Zaraz tam będę. Już jadę.

— Jestem pewna, że ją znajdziemy — próbowała pocieszyć mnie pani Winchell, lecz drżenie jej głosu mówiło wyraźnie, że daleka jest od optymizmu. — Jeśli nawet gdzieś wywędrowała, nie mogła zająć zbyt daleko.

Zależy, kiedy wyszła z domu, pomyślałam. Jeżeli wczoraj wieczorem, może być już teraz w połowie drogi do Georgii. Wystukując numer Jo Lynn, wyobrażałam sobie ze zgrozą wszystko, co mogło przytrafić się matce: powędrowała przed siebie środkiem autostrady... spadła z jakiegoś mostu... weszła w ubraniu do morza...

— Jo Lynn, czy jest u ciebie mama?

— Co to? Jakiś dowcip?

— Matka gdzieś się zapodziała, nie mogą jej znaleźć! Podjadę po ciebie za pięć minut. — Odłożyłam słuchawkę, nim zdążyła zaprotestować, i pochwywszy torebkę, ruszyłam biegiem do drzwi.

— Jadę z tobą! — zawołała Sara.

Nie miałam nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, byłam jej wdzięczna.

— Znaleźliście ją? — krzyknęłam od progu, gdy tylko nasze trio wtargnęło do biura pani Winchell. Musiałyśmy stanowić dosyć niecodzienny widok: żółtowołosa Sara z koroną czarnych odrostów, groźna jak Amazonka, imponująca swym wzrostem i obwodem biustu (całe sto centymetrów!), podobnie wyposażona Jo Lynn z dziko zmierzwionym włosiem, w białej minisukience ledwie zakrywającej pupę, oraz ja, blada, bez makijażu, w niebieskich dzinsach i obłędem w oku. Wszystkie stanęłyśmy jak harpie nad biedną, drobniutką panią Winchell, która instynktownie cofnęła się o kilka kroków.

— Jeszcze nie — wyszeptala z twarzą skurczoną od troski — ale ją znajdziemy. Na pewno.

— Ciekawe, skąd ta pewność — zaatakowała ją Jo Lynn — skoro nawet nie macie pojęcia, gdzie jej szukać?

— Zawiadomiła pani policję? — rzuciłam ostro.

— Oczywiście. Patrole otrzymały już opis. Jak dotąd nie znaleziono...

— Żadnych ciał — weszła jej w słowo Jo Lynn.

— Nikogo odpowiadającego rysopisowi pani matki.

— Zdumiewające! Połowa mieszkanki Florydy pasuje do tego opisu!

— A sami — wtrąciłam — podjęliście jakieś działania?

— Przeszukane zostały wszystkie wspólne sale, a także kuchnia i garaż. Jak dotąd bez rezultatu. Teraz personel kolejno sprawdza mieszkania.

— Nie rozumiem, jak to się mogło stać! — Pytanie to oczywiście nie miało większego sensu. Z góry wiedziałam przecież, co usłyszę.

— Trudno kontrolować każdego z naszych rezydentów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To nie szpital. Ten ośrodek ma za zadanie wyłącznie ułatwiać im życie — przypomniała mi kierowniczką. — Nasi seniorzy mogą wychodzić i wracać, kiedy chcą. Naturalnie co rano sprawdzamy obecność. Jeśli ktoś nie przychodzi na śniadanie, nie uprzedziwszy nas o tym, że nie będzie korzystał z posiłku, wtedy, no tak... — urwała. — Jestem pewna — podjęła po krótkiej chwili — że pani Latimer wróci.

— Jak zły szeląg — mruknęła Jo Lynn.

Omam się nie uśmiechnęłam. Wprawdzie okoliczności były nie po temu, cieszyło mnie jednak, że moja siostra wyrwała się chyba ze swej „żałoby”, skoro powróciła jej zwykła kostyczność. Ha, nasza matka zawsze potrafiła wydobyć z niej to, co najlepsze! Tylko gdzie, u licha, podziela się sama?

Znaleziono ją dopiero po dwóch godzinach.

Jeden ze strażników, sprawdzając pomieszczenie, gdzie zainstalowana była aparatura klimatyzacyjna, wypatrywał tam naszą matkę wklonowaną na amen między główny agregat i ścianę. Jakim cudem zdołała się tam wcisnąć, pozostanie na zawsze zagadką. Wydobyć jej stamtąd wymagało trzech robotników i trzydziestu minut ciężkiej pracy. Kwiliła jak dziecko, kiedy wreszcie przyprowadzono ją do biura — brudną, podrapaną, w rozerwanej sukni.

— Bawimy się w ciuciubabkę? — spytała zgryźliwie Jo Lynn. — Może teraz ja się schowam, co?

Podbiegłam do matki, objęłam ją i przytuliłam:

— Nic ci się nie stało?

— Jak się masz, kochanie? Co ty tu robisz?

— Co się stało, babciu? — dopytywała się Sara, delikatnie dotykając jej ramienia. — Dlaczego schowałaś się za tym kotłem?

— Gonili mnie — matka znacząco przymrużyła oko — ale ich zmyliłam.

— Siedziałaś tam całą noc? — Z trudem mieściło mi się to w głowie.

— Nie wiem. — Zaczęła rozcierać ramiona. — Możliwe! Trochę zdrętwiałam.

— Musi pani być głodna — włączyła się pani Winchell.

— Każę zaraz podać śniadanie, ale przedtem trzeba będzie umyć się trochę i przebrać. Powiem lekarzowi, żeby panią zbadał.

— Kto cię gonił? — spytała znów Sara.

— Nie wiem. — Matka niepewnie wyciągnęła rękę i leciutko pogładziła ją po włosach. — Śliczne z ciebie stworzenie. Jesteś tu nowa?

Oczy mojej córki zrobiły się nagle okrągłe jak talerzyki, a usta wygięły w podkówkę.

— Babciu, ty mnie nie poznajesz? — spytała cieniutkim dziecięcym głosem. — To ja, twoja wnuczka Sara!

— Sara?

— Tak, tylko że zmieniłam kolor włosów.

— No rzeczywiście — uśmiechnęła się matka. — Chyba się teraz położę — powiedziała, wodząc zażawionymi oczyma po pokoju. — Nie weźmiecie mi tego za złe? Zdaje się, że jestem bardzo zmęczona.

— Naturalnie, połóż się i wypocznij — powiedziałam szybko. — Wpadnę do ciebie później.

— To przez te włosy — powtarzała Sara w drodze do samochodu. — Dlatego babcia mnie nie poznała. Wszystko przez te włosy.

— Czas najwyższy zlikwidować te odrosty — stwierdziła Jo Lynn.

— Matka mi nie da pieniędzy.

Wsiadłyśmy do samochodu. Sara obok mnie, Jo z tyłu. Moja siostra natychmiast wyciągnęła rękę z setką dolarów w pięciu banknotach i podsunęła je Sarze.

— Masz. Ja ci funduję fryzjera. Na gwiazdkę. Z małym wyprzedzeniem.

— Och, to naprawdę super!

— Widzę, że jesteś w dobrym humorze, Jo — rzuciłam lekkim tonem, postanawiając nie robić sprawy o tę nagłą hojność.

— Czyż nie mam powodu? Nasza matka jest zdrowa i cała — odrzekła z gryzącą ironią, osuwając się na oparcie.

— Świat znów jest piękny.

— Jak myślisz — wtrąciła Sara — kto mógł gonić babcię?

— Sumienie.

— Su... mienie? — moja córka otworzyła usta.

— Co to ma znaczyć? — spytałam.

— To, że jestem głodna i że zatrzymamy się na lunch — oświadczyła Jo Lynn. — Ja stawiam.

— Nie mam czasu — zaczęłam.

— Nonsens — nie pozwoliła mi skończyć. — Na jedzenie każdy musi mieć czas, nawet ty. Jaki przykład dajesz swojej córce? Chcesz z niej zrobić wynędzniałe anorektyczne chuchro?

Sarze z pewnością nie groziło nic takiego, lecz dla świętego spokoju zgodziłam się na ten lunch.

— Pójdziemy do Gardens Mali — zdecydowała Jo Lynn, gdy skręciłam w trasę I-95. — Zjemy coś, Sara robi sobie włosy, a potem możemy jeszcze kupić coś pod choinkę. Prezenty z ostatniej chwili.

— Ja nie mam za co — burknęła Sara. — Mama nie daje mi pieniędzy.

Jo Lynn parsknęła śmiechem: — Skąpiradło z tej twojej matki! Nic się nie martw, dzieciaku, mam dziś mnóstwo forsy. Możesz kupować, co zechcesz.

— A gdzie to znalazłaś tę górę pieniędzy? — ośmieliłam się spytać. — Czyżbyś dostała pracę? — W odpowiedzi wydała z siebie coś pośredniego między chichotem a gniewnym parsknięciem:

— Wolałabyś pewnie nie wiedzieć.

Zamilkłam, czując, że to chyba prawda, Sara jednak nie miała takich obaw:

— No powiedz, skąd masz pieniądze?

Jo Lynn tylko na to czekała. Żywo pochyliła się naprzód i z łokciami na oparciu Sary rzuciła z pozorną obojętnością:

— Obiecałam „Enquirerowi” wyłączność, no i tytułem zaliczki wypłacili mi pół honorarium.

— Wyłączność? Na co? — indagowała ją dalej Sara. Ja najchętniej zatkałabym sobie uszy. Nietrudno się było domyślić, co zaraz powie Jo Lynn, czując na karku jej złośliwy uśmiech. Gdyby to było możliwe, wypaliłby mi tam dziurę.

— Na relację z mojego ślubu! — oznajmiła.

— Jak mam cię przekonać, że człowiek, którego zamierzasz poślubić, to maniackalny morderca? — zaatakowałam ją natychmiast, gdy tylko Sara udała się do fryzjera. Siedziałyśmy w zatłoczonym barze na drugim piętrze Gardens Mali: Jo Lynn nad porcją szarlotki, ja nad czwartą już dzisiaj filiżanką kawy.

— Nic mnie nie przekona, możesz więc oszczędzić sobie trudu.

— Nie rozumiesz, że dla niego zabić to jak splunąć?

— A ty nie rozumiesz, że kategorycznie nie życzę sobie takich uwag?

— A ja podrywania mi autorytetu.

— Co wspólnego ma Colin z twoim autorytetem?

— Nie mówię o nim, tylko o Sarze.

— Hola, chwileczkę! — pomachała mi przed nosem starannie wymanikiowaną ręką. Jej paznokcie miały dziś elegancki odcień karmazynu. — Za szybko przełączyłaś się na inną falę!

— Powiedziałam Sarze, że w tym roku nie dostanie pieniędzy na święta...

— Jak możesz! — przerwała mi gwałtownie. — Żałujesz dziecku forsy na prezenty?

— Nie o to chodzi.

— Mów sobie, co chcesz, pieniądze są moje i kropka. Mam prawo dać je swojej siostrzenicy, żeby dzieciak nie musiał świecić oczami! Wiedz, że to zrobię, i przestań się krzywić. Kupi ci pewnie fantastyczny prezent.

— Nie potrzebuję nic fantastycznego.

— Czegoś na pewno ci trzeba.

— Owszem, normalnych krewnych. To dopiero byłaby przyjemność!

Jo Lynn powolutku przełknęła kawałek szarlotki.

— A propos. Jak myślisz, co się dzieje z matką?

— Nie wiem.

— Zaryzykuj więc jakiś uczony domysł. — Słowo „uczony” wymówiła w taki sposób, że zabrzmiało niemal obscenicznie.

Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, spostrzegłam, że ukradkiem przygląda nam się kilku wyrostków. Szeptali coś między sobą.

— Myślisz, że to może być Alzheimer?

Nie odpowiedziałam. Sama myśl o tej chorobie przejmowała mnie taką grozą, że świadomie usuwałam ją z pola widzenia. Nawet dziś z najwyższą niechęcią wymawiam tę nazwę.

— Ma wszystkie objawy — kontynuowała Jo Lynn. — Jest zdezorientowana, bredzi od rzeczy, wciąż o czymś zapomina.

— Wszystko to nie musi oznaczać...

— Sama powiedziałaś, że się gubi, pamiętasz? Kiedy w jej lodówce znalazłyśmy ten detergent.

— Mimo to...

— Nie poznała Sary!

— Z powodu włosów.

— Nie! Dobrze wiesz, że nie.

— Tak, wiem — poddałam się w końcu.

— Więc myślisz, że to Alzheimer?

— Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

— Cholera! — Jo Lynn gwałtownie odsunęła talerzyk z resztką szarlotki. — Cholera jasna! Niech to nagle krew zaleje!

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem: skąd nagle takie emocje? Do matki odnosiła się zawsze raczej obojętnie. Mniej lub bardziej.

— Cóż, złość tutaj nic nie pomoże. Jeśli to rzeczywiście Alzheimer, niewiele niestety możemy zrobić. Co najwyżej zapewnić matce możliwie wygodne warunki.

— Niby z jakiej racji miałabym się o to starać? Teraz już kompletnie zbiła mnie z tropu:

— Jak to? Nie chcesz, żeby jej było wygodnie?

— Powinno spotkać ją to, na co sobie zasłużyła!

— Mianowicie?

— Czemu nie choruje na raka jak tyle innych kobiet?

— Jo Lynn!

— Trochę cierpienia dobrze robi duszy. Tak mówią.

— Boże, życzysz jej tego?

— A czemu nie? Cóż z niej, do cholery, za taki wyjątek, żeby wszystko miało jej ująć płazem?

— Przecież to twoja matka!

— Tak? To znaczy, że co? Mam jej wszystko wybaczyć i zapomnieć? Całą przeszłość wymazać do czysta? Cholera, ona straci sobie pamięć, a ja mam udawać, że nic się nigdy nie stało? To mi każesz zrobić?

— Zaraz, Jo Lynn, ja nic nie rozumiem...

— No jasne! — Gniewnym ruchem głowy strąciła z policzków kilka łez. — Nigdy nic nie rozumiałaś!

— Chcę zrozumieć. — Naprawdę tego chciałam.

— Po co? — zerwała się z krzesła. — Nic się nie da zmienić, sama to nieraz mówiłaś.

— Nieprawda. Pewne rzeczy można.

— Ale nie przeszłość!

— No nie, przeszłości niestety nie.

Energicznie potrząsnęła głową i z rozgoryczeniem wydeła usta:

— Więc będzie tak, jak mówiłam: ujdzie jej to na sucho.

— O czym ty mówisz, Jo?

— Bardzo przepraszam — rozległ się nagle czyjś głos. Nie wiadomo skąd wyrósł przed nami ciemnowłosy chłopak w obciętych džinsach, za dużych o dobre cztery numery, i baseballowej czapeczce nasuniętej do połowy czoła. — Przepraszam — powtórzył — czy pani jest Jo Lynn Baker?

— Tak. — Jo szybko otarła łzy i zmusiła się do uśmiechu.

— To ona! — krzyknął ekstatycznie chłopak, odwracając się do swoich kumpli. — Mówiłem wam, że to ona! — Porwał ze stołu zmiętą serwetkę i podsunął ją mojej siostrze: — Czy może tu pani złożyć swój autograf? Tylko że nie mam pióra.

Jo Lynn wydobyła swoje i szybko nagryzmoła zamaszysty podpis.

— Wesołych świąt! — zawołała za chłopcem. Uśmiechała się już teraz szeroko i szczerze. — Nie uważasz, że to bardzo miłe?

— Powiedz, jakie masz pretensje do matki — nie ustępowałam. — Co takiego ujdzie jej na sucho?

Nie czekając na mnie, ruszyła w stronę ruchomych schodów.

— Zapomnij o tym — rzuciła przez ramię, przemykając się wśród stolików. — Niech już tak będzie.

Była już prawie północ, gdy poszłam do łóżka, mimo to długo nie mogłam zasnąć. Mijały godziny, a mój mózg wciąż działał — jak rozregulowany system alarmowy; co chwila któreś z ostatnich wydarzeń stawało mi przed oczyma, brutalnie zawracając z wąskiej granicy dzielącej jawę od snu. Gdy w końcu litościwie pozwolono mi ją przekroczyć, coś musnęło mnie nagle po twarzy... coś przypominającego w dotyku cienki, mięciutki szyfon. Nie otwierając oczu, wolno wyciągnęłam rękę i odsunęłam to z twarzy, lecz po paru sekundach dziwne wrażenie wróciło. Tym razem czułam na skórze jakby powolne kapanie kropeł z nieszczelnego kranu, lecz gdy znów ospale machnęłam ręką, moje palce napotkały pustkę. Przewróciłam się na bok, zdecydowana nie otwierać oczu. Coś połaskotało mnie w kark. Pacnęłam ręką w to miejsce i poczułam ukłucie; tak ostre, że się obudziłam. Z dużą niechęcią podniosłam powieki, usiadłam na łóżku i porządnie już zirytowana, rozejrzałam się po ciemnym wnętrzu: nic. „Wspaniale”, mruknęłam, spoglądając na Larry'ego. Spał sobie spokojnie, owinięty kołdrą aż po uszy. Od czasu ostatniej naszej próby, zakończonej tą pamiętną katastrofą, nie dotknął mnie ani razu. Wiedziałam, że czeka na mój ruch... cóż, kiedy jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Brakowało mi chyba zapału... Wyciągnęłam się na poduszkach, westchnęłam głośno i znowu zamknęłam oczy.

Prawie natychmiast coś... jakby zatańczyło mi nad powiekami. Pająk? Poruszyłam głowę, żeby go się pozbyć. Bez rezultatu. To chyba komar, pomyślałam, zmuszając się po raz drugi do otwarcia oczu.

Najpierw zobaczyłam jego uśmiech... Pochylony w ciemności nad łóżkiem, bawił się nożem

tuż nad moją twarzą. To ostrze tego noża mąciło powietrze... Chciałam krzyknąć, już nawet otworzyłam usta, ale ostrzegł mnie ruchem głowy, że mam tego nie robić, i krzyk zamarł mi w gardle. To był on, Colin Friendly!

— Powinniśmy się lepiej poznać — powiedział — skoro wkrótce mamy być rodziną.

— Jak się wydostałeś z więzienia? — Czy to ja zapytałam? Tak, to mój głos. Dziwne, że mogę mówić...

Znów się uśmiechnął. Ten uśmiech jakoś tak niesamowicie rozciągnął mu twarz, że blada napięta skóra stała się półprzezroczysta.

— A co? Myślałaś, że parę głupich kamer i czujników uchroni cię przede mną?

— Czego ty ode mnie chcesz? Przytknął mi nóż do podbródka:

— Przyniosłem ci mały świąteczny prezencik. — Chwycił mnie za rękę i przyłożył ją sobie do brzucha.

— Nie!! — szarpnęłam się jak oparzona. Zdołałam uwolnić rękę, lecz on brutalnie władował mi się do łóżka.

Rozpaczliwie spojrzałam na Larry'ego: dlaczego wciąż się nie budzi?

— On ci nie pomoże — oświadczył Colin Friendly, świdrując mnie swymi niebieskimi oczami. Spojrzenie miał ostre jak nóż, który wciąż trzymał w ręku.

— Dlaczego?

— Sama zobacz. — Wolną ręką zerwał z Larry'ego kołdrę. Zobaczyłam otwarte oczy, rozchylone usta i straszną krwawą linię na szyi mojego męża.

Colin Friendly rzucił się na mnie i przygniótł do łóżka.

— Nie! — wrzasnęłam wniebogłosy. — Nie!! Ocknęłam się nagle, wciąż krzycząc. Larry jakimś

cudem spał nadal. To był sen, myślałam, przyciskając szaleńczo bijące serce. A wydawał się taki realny! Larry poruszył się pod kołdrą, wymamrotał coś niezrozumiale, lecz i teraz nie chciał się obudzić.

— Idę zająrzeć do dziewczyn — powiedziałam w ciemność.

Cały dom był ciemny i cichy. Wiedziałam, że głupio robię, snując się tak nocą po pokojach, musiałam się jednak upewnić, że obie moje córki spokojnie śpią w swoich łóżkach. Wiecznie nie będziesz ich chronić, skarciłam się w duchu, zerkając na śpiącą Michelle. Kiedy pocałowałam ją w ciepłe czoło, sennym ruchem wyciągnęła rękę, by zetrzeć z buzi mój pocałunek. Zupełnie jak ja przed chwilą, pomyślałam z drżeniem, przypominając sobie swój koszmar. Pchnęłam drzwi do pokoju Sary i cichutko podeszłam do łóżka. Dopiero gdy się pochylałam, aby dotknąć dłonią jej policzka, spostrzegłam, że łóżko jest puste. „Sara?” — zawołałam, uchylając drzwi do łazienki. Nikogo. Co szybciej zapaliłam światło. Łóżko wyglądało na nie tknięte. Jakby nikt w nim nie spał.

Przerażona pognałam budzić Larry'ego. Byłam akurat w salonie, gdy skądś błysnęło mi nikłe światełko. Patio! Gwałtownie stanęłam w miejscu, nasłuchując: tak, słyhać było stamtąd przyciszone głosy. Na oślep przebiegłam pokój obok kuchni i jednym ruchem odsunęłam szklane drzwi na bok, zdecydowana nie otwierać oczu. Coś połaskotało mnie w kark. Pacnęłam ręką w to miejsce i poczułam ukłucie; tak ostre, że się obudziłam. Z dużą niechęcią podniosłam powieki, usiadłam na łóżku i porządnie już zirytowana, rozejrzałam się po ciemnym wnętrzu: nic. „Wspaniale”, mruknęłam, spoglądając na Larry'ego. Spał sobie spokojnie, owinięty kołdrą aż po uszy. Od czasu ostatniej naszej próby, zakończonej tą pamiętną katastrofą, nie dotknął mnie ani razu. Wiedziałam, że czeka na mój ruch... cóż, kiedy jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Brakowało mi chyba zapachu... Wyciągnęłam się na poduszkach, westchnęłam głośno i znowu zamknęłam oczy.

Prawie natychmiast coś... jakby zatańczyło mi nad powiekami. Pająk? Poruszyłam głowę, żeby go się pozbyć. Bez rezultatu. To chyba komar, pomyślałam, zmuszając się po raz drugi do otwarcia oczu.

Najpierw zobaczyłam jego uśmiech... Pochylny w ciemności nad łóżkiem, bawił się nożem tuż nad moją twarzą. To ostrze tego noża mąciło powietrze... Chciałam krzyknąć, już nawet otworzyłam usta, ale ostrzegł mnie ruchem głowy, że mam tego nie robić, i krzyk zamarł mi w gardle. To był on, Colin Friendly!

— Powinniśmy się lepiej poznać—powiedział — skoro wkrótce mamy być rodziną.

— Jak się wydostałeś z więzienia? — Czy to ja zapytałam? Tak, to mój głos. Dziwne, że mogę mówić...

Znów się uśmiechnął. Ten uśmiech jakoś tak niesamowicie rozciągnął mu twarz, że blada napięta skóra stała się półprzezroczysta.

— A co? Myślałaś, że parę głupich kamer i czujników uchroni cię przede mną?

— Czego ty ode mnie chcesz? Przytknął mi nóż do podbródka:

— Przyniosłem ci mały świąteczny prezentik. — Chwycił mnie za rękę i przyłożył ją sobie do brzucha.

— Nie!! — szarpnęłam się jak oparzona. Zdołałam uwolnić rękę, lecz on brutalnie władował mi się do łóżka. Rozpaczliwie spojrzałam na Larry'ego: dlaczego wciąż się nie budzi?

— On ci nie pomoże — oświadczył Colin Friendly, świdrując mnie swymi niebieskimi oczami. Spojrzenie miał ostre jak nóż, który wciąż trzymał w ręku.

— Dlaczego?

— Sama zobacz. — Wolną ręką zerwał z Larry'ego kołdrę. Zobaczyłam otwarte oczy, rozchylone usta i straszną krwawą linię na szyi mojego męża.

Colin Friendly rzucił się na mnie i przygniótł do łóżka.

— Nie! — wrzasnęłam wniebogłosy. — Nie!! Ocknęłam się nagle, wciąż krzycząc. Larry jakimś cudem spał nadal. To był sen, myślałam, przyciskając szaleńczo bijące serce. A wydawał się taki realny! Larry poruszył się pod kołdrą, wymamrotał coś niezrozumiale, lecz i teraz nie chciał się obudzić.

— Idę zajrzeć do dziewczyn — powiedziałam w ciemność.

Cały dom był ciemny i cichy. Wiedziałam, że głupio robię, snując się tak nocą po pokojach, musiałam się jednak upewnić, że obie moje córki spokojnie śpią w swoich łóżkach. Wiecznie nie będziesz ich chronić, skarciłam się w duchu, zerkając na śpiącą Michelle. Kiedy pocałowałam ją w ciepłe czoło, sennym ruchem wyciągnęła rękę, by zetrzeć z buzi mój pocałunek. Zupełnie jak ja przed chwilą, pomyślałam z drżeniem, przypominając sobie swój koszmar. Pchnęłam drzwi do pokoju Sary i cichutko podeszłam do łóżka. Dopiero gdy się pochyliłam, aby dotknąć dłonią jej policzka, spostrzegłam, że łóżko jest puste. „Sara?” — zawołałam, uchylając drzwi do łazienki. Nikogo. Co szybciej zapaliłam światło. Łóżko wyglądało na nie tknięte. Jakby nikt w nim nie spał.

Przerażona pogałam budzić Larry'ego. Byłam akurat w salonie, gdy skądś błysnęło mi nagle światelko. Patio! Gwałtownie stanęłam w miejscu, nasłuchując: tak, słychać było stamtąd przyciszone głosy. Na oślep przebiegłam pokój obok kuchni i jednym ruchem odsunęłam szklane drzwi...

Sara ubrana tak jak w ciągu dnia siedziała na leżaku z zapalonym papierosem w palcach. Na mój widok w jej oczach błysnęło wyzwanie. O nie, pomyślałam, nie pozwolę ci się sprowokować.

— Co ty tu robisz? — spytałam w miarę spokojnie.

— A jak ci się zdaje?

— Nie mam pojęcia. Jest późno. I wiesz, że w domu nie wolno ci palić.

— Och, dajże dziewczynie spokój! — sarknęła moja siostra, podnosząc głowę z drugiego leżaka.

— Jo Lynn! Co tu się dzieje?

— Nie słuchałaś wiadomości? Pokręciłam głową, niezdolna wymówić słowa.

— Przysięgła w procesie Colina ujawniła, że łączy ją romans z jednym z prokuratorów.

Sprawa została oddalona. Colin jest wolny!

— Co?! Jak to?!

— A tak. Rano zostanie zwolniony. Wpadłam, żeby to uczcić. — Podniosła do góry kieliszek z szampanem. — Nie masz chyba nic przeciwko temu, że obsłużyłam się sama?

Potykaç się o własne nogi, wycofałam się do mieszkania. Nie, to niemożliwe! Niemożliwe!, powtarzałam sobie.

— Larry, zbudź się! Stało się coś strasznego! — Chwyciłam go za ramię i zaczęłam szarpać.

— Proszę cię, Larry, otwórz wreszcie oczy! Colin Friendly jest wolny! Rano wychodzi z więzienia!

Poruszył się, westchnął ciężko, po czym odrzucił przykrycie i usiadł.

— Och, wyglądasz słodko! Jak pierwsza wiosenna truskawka — powiedział Colin Friendly, sięgając mi ręką do gardła.

Wrzasnęłam. Albo tak mi się wydawało. Pewnie krzyknęłam w myślach, bo Larry się nie obudził. I nadal leżał spokojnie, gdy usiadłam i zaczęłam płakać. Ciało miałam mokre od potu, z trudem chwytalam powietrze, każdy oddech sprawiał mi ból. Co tu jest koszmarem, a co prawdą?

— Larry, śpisz? — wyszeptalam. Jakże mi brakowało krzepiącego ciepła jego ramion!

Nie usłyszał. Albo może udał, że nie słyszy. Wyciągnęłam się znowu na swojej wilgotnej poduszce, zziębnięta i tak samotna, jakbym leżała już w grobie; i tak doczekałam świtu...

ROZDZIAŁ 18

— Przypomnij mi, kim są ci ludzie — odezwał się Larry, wjeżdżając na wielki parking przed modną włoską restauracją „U Prezsa”, usytuowaną na wąskim a długim placu u zbiegu PGA Boulevard i Prosperity Farms.

— I z jakiej okazji odbywa się ta kolacja. — W pobliżu lokalu nie było wolnego miejsca, jechaliśmy więc powolutku, próbując wypatrzeć jakiś skrawek wolnej przestrzeni. Niestety, sprawa wyglądała dość beznadziejnie. W dodatku zaczęło padać.

— Ci państwo to Robert i Brandi Crowe. Jego znam jeszcze z Pittsburgha.

— A, tak — Larry skinął głową, lecz w jego głosie nie słychać było ani śladu zainteresowania.

— I przypadkiem natknęłaś się na niego w sądzie.

— Zgadza się. O, popatrz, tam będzie zaraz miejsce.

— Sprzed olbrzymiej księgarni Barnes'a i Noble'a zajmującej cały narożnik parkingu ruszał właśnie jakiś samochód.

— A powód tej kolacji?

— Czy zawsze musi być jakiś powód?

Larry wprowadził samochód na zwolnione miejsce i wyłączył silnik. Rozpadało się już na dobre, a my nie wzięliśmy parasola.

— Powinienem był wysadzić cię przed restauracją.

— Nie ma co o tym mówić, za późno.

— Mogę cię podwieźć — ponownie uruchomił silnik.

— Daj spokój, nie jestem z cukru.

— Skoro tak uważasz...

— Uważam.

Do tego w zasadzie sprowadzała się większość naszych rozmów w ciągu kilku ubiegłych tygodni. Mało ważne sprawy i przesadna, wymuszona grzeczność. Powiedzieć tylko to, co konieczne, i ani słowa więcej, bo a nuż zostanie źle odczytane. Jakbyśmy oboje brodzili po zdradliwej wodzie.

— Powinniśmy chyba poczekać parę minut — zauważył Larry.

— Rzeczywiście. — Deszcze tu, na Florydzie, były zwykle gwałtowne, lecz krótkie, można było zatem przewidywać, że i ten długo nie potrwa. Jak namiętny, zakazany romans... Ha, wszystko już teraz kojarzyło mi się z Robertem. Czy i on utknął tak w deszczu wraz ze swoją żoną? Czy też wpatruje się w szybę, czekając na chwilę ciszy, by uciec z ciasnej klatki swego samochodu? Od wspólnego życia z tą kobietą? Nigdzie chyba człowiek nie czuje się bardziej samotny niż w nieszczęśliwym małżeństwie, pomyślałam smętnie. Zaraz... Od kiedy to własne małżeństwo zaczęłam uważać za nieudane? Zerknęłam na Larry'ego z nadzieją, że się uśmiechnie, że zobaczę na jego twarzy coś, co pozwoli mi jaśniej spojrzeć w naszą przyszłość — nic z tego. Siedział nieruchomo z głową na oparciu i zamkniętymi oczami.

Ale przecież przechodziliśmy już trudne chwile... Było ich trochę, myślałam, przypominając sobie wszystkie po kolei. Te miesiące po narodzinach Sary, kiedy cierpiała na kolkę i darła się po całych nocach (a my byliśmy tak strasznie zmęczeni i skołowani, że nie mogliśmy się nawet kochać)... Potem znów ten okres poprzedzający naszą przeprowadzkę do Palm Beach, kiedy musieliśmy przekonać nasze dwie rodziny, że postępujemy słusznie (i byliśmy tym tak zmęczeni i skołowani, że seks nie wchodził w rachubę). Po roku znów matka, a po niej Jo Lynn zjechały na Florydę i trzeba je było urządzić... Wtedy też przestaliśmy się kochać, bo byliśmy tym wszystkim zanadto zmęczeni i skołowani...

Wyraźnie wyglądało to na jakiś schemat, tylko co było tu przyczyną, a co skutkiem? Czy nie kochaliśmy się dlatego, że byliśmy oboje zanadto zmęczeni i skołowani, czy może odwrotnie: zmęczenie i ten zamęt w głowach brały się z niedostatku bliskości fizycznej? Może w ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadza się do seksu? Niezależnie od tego, ile mamy lat?

Tak naprawdę my, ludzie, wcale się nie zmieniamy, myślałam. Jesteśmy dziś tacy sami jak wczoraj. Bo czyż można się rozstać z własną przeszłością? Nie, ona pozostaje z nami na zawsze. Tkwi w nas jak przyczajona chroniczna choroba. I wcale nie trzeba oglądać się wstecz, żeby ją sobie przypomnieć. Ileż to razy przeszłość staje nam na drodze, skutecznie blokując wszelkie widoki na szczęśliwą przyszłość...

Błyskawicznie przeniosłam się myślą o ponad trzydzieści lat wstecz. Wtedy też padał deszcz i też siedziałam w samochodzie, z tą różnicą, że nie na zatłoczonym parkingu, tylko na pustym odcinku jakiejś wiejskiej drogi. Samochód także był inny. czarny buick. Robert wypożyczył go od swego ojca. Całowaliśmy się jak szaleni; czułam jego język w gardle, jego ręce pełzły ku moim piersiom. „Pozwól mi”, szeptał coraz namiętniej, coraz natarczywiej.

Och, byłam tego bliska. Czemu nie?, powtarzałam sobie, starając się zagłuszyć resztki skrupułów. Za Robertem szaleją wszystkie dziewczyny, a on, on wybrał mnie! Słyszałam plotki o Sandrze Lyons, dziewczynie, którą podobno czasami odwiedzał, gdy odwiózł mnie już do domu. Czyż to nie ja przez swój opór pcham go w jej ramiona? Co będzie, jeśli go stracę? Wszystkie moje koleżanki to robią. I cóż w tym znowu tak złego?

Pozwoliłam mu włożyć rękę pod bluzkę i... Ach, takie to było przyjemne, że na chwilę wstrzymałam oddech. „Pozwól mi”, szepnął znowu. Byłam już prawie gotowa — i nagle to okropne pukanie w okno! Ktoś zaświecił nam w oczy latarką, ktoś zaglądał do samochodu. Jacys dwaj nieznajomi. Odkoczyliśmy od siebie w popłochu, zaczęliśmy gwałtownie poprawiać ubrania... Po mieście krążyło tyle przerażających opowieści o zakochanych, którzy w takich ustronnych miejscach padli ofiarą złodziei lub zostali zamordowani. Słyszeliśmy o jakichś potwornych osobnikach, którzy zamiast rąk mieli haki. Dopiero gdy Robert opuścił szybę, zobaczyłam, że to policja.

„Wszystko w porządku, panienko?” — zwrócił się do mnie umundurowany funkcjonariusz.

Skinęłam głowę; ze strachu nie mogłam mówić.

„Odwieźć panią do domu?”

Pokręciłam głowę, że nie.

„To nie jest dobre miejsce” — pouczył ten drugi Roberta.

„Tak jest, panie władzo.”

„Na twoim miejscu, kawalerze, odwiózłbym dziewczynę do domu.”

„Tak jest”. — Robert posłusznie uruchomił silnik.

„Proszę jechać ostrożnie” — powiedział jeszcze policjant i na pożegnanie uderzył ręką w dach wozu.

— Jak myślisz? — dobiegł mnie głos Larry'ego. Momentalnie wróciłam do rzeczywistości, nie miałam jednak pojęcia, o co mu chodzi. I to serce: biło mi jak wściekłe.

— Przepraszam, co mówiłeś?

— Że nie ma sensu dłużej czekać.

Spojrzałam na przednią szybę: deszcz nadal lał strumieniami. Było już dziesięć po ósmej.

— To co? Spróbujemy przebiec?

— Poczekajmy jeszcze chwileczkę — zaproponowałam. Co my tu właściwie robimy? pojawiła się zaraz myśl. To nie jest dobre miejsce. Że też dałam się namówić na tę kolację! Nie ma co, piękny zestaw: mąż, przyszły kochanek i jego żona. Ale co miałam zrobić? „Proszę wybrać dzień, jaki pani odpowiada”, świergotała Brandi do słuchawki. Było to w zeszłym tygodniu. Co jej miałam powiedzieć? I od kiedy to zaczęłam myśleć o Robertcie jako o przyszłym kochanku? Chyba wtedy gdy doszłam do wniosku, że nie jestem szczęśliwa w małżeństwie. Tak to już jest, że jedna tego typu konstatacja nieuchronnie pociąga za sobą następną. Czy Robert zostanie moim kochankiem?... Ostatnim razem nie doszło do tego tylko dzięki interwencji policji... A teraz? Na co mam liczyć? Na szarżę kawalerii? Wątpliwe.

Larry włączył stacyjkę.

— Podwiozę cię pod wejście.

— Lepiej nie. Możemy stracić to miejsce.

— A może znajdziemy lepsze?

Rzeczywiście. Czekało na nas tuż przed restauracją.

— Przypomnij mi jeszcze imiona tych ludzi — poprosił Larry. Staliśmy już w środku, otrząsając z włosów krople deszczu.

— Robert i Brandi Crowe. — Szybko rozejrzałam się po sali. Panował tu taki tłok i harmider, że nie słyszało się własnych myśli.

— I znasz ją ze szkoły średniej?

— Nie ją, tylko jego! — zawołałam, by przekrzyczeć wrzawę. W drugim końcu sali, w samym rogu, spostrzegłam Roberta: stał obok łoży, machając do nas ręką. — Są tam.

Zaczęliśmy mozolnie przeciskać się wśród ludzi tłumnie oblegających bar. Samego baru, który w innych okolicznościach musiał pewnie stanowić dominujący akcent tej dużej, ładnie oświetlonej sali, nie było dziś w ogóle widać zza co najmniej dziesięciu rzędów wysokich, wypielęgowanych, pięknie opalonych ciał. Wszyscy mówili naraz i bardzo głośno. Wpadły mi w oko trzy efektowne blondynki w czerwonych obcisłych sukniach, brunetka w szmaragdowym swetrze oraz rudowłosa piękność w czarnej opływowej tunice i białych butach do połowy uda. Mężczyźni ubrani byli w jednakowym stylu. Wszyscy nosili kosztowną złotą biżuterię, kolorowe jedwabne koszule i eleganckie czarne spodnie. Można by pomyśleć, że to absolwenci tej samej ekskluzywnej szkoły. Dobiegł mnie żarcik jednego z tych panów: „Hej, wyrobiłaś sobie licencję na taki uśmiech?” Miłe słowa, nie obejrzałam się jednak, nie były skierowane do mnie.

Robert już czekał z wyciągniętą ręką. Na ścianie za jego plecami rozpościerał się wielki czerwony plakat przedstawiający widelec czule spowity wstęgami białego makaronu.

— Pan Larry, nieprawdaż? Miło mi pana poznać! Kate tyle o panu mówiła i z tak ogromnym uznaniem! — zawołał, przekrzykując hałas.

— Słyszałem, że pan i Kate chodziliście do tej samej szkoły! — odkrzyknął z uśmiechem Larry, ściskając podaną mu dłoń.

— Tak się złożyło. — Kiedy już oboje z Larrym zajęliśmy miejsca na miękkiej kanapce w bladezielone i beżowe pasy, Robert dokonał dalszej prezentacji: — Larry, pozwól sobie przedstawić moją żonę Brandi.

— Miło mi panią poznać — szarmancko oświadczył mój mąż.

— Mnie również — uśmiechnęła się Brandi, po czym spojrzała na mnie: — Prawda, że mamy dzisiaj istne oberwanie chmury?

W pierwszej chwili wydawało mi się, że ma na myśli tę niebywałą frekwencję, później zorientowałam się jednak, że mówi o deszczu, i spiesznie przeciągnęłam ręką po włosach, by strzepnąć z nich resztki wilgoci.

— O tak. Siedzieliśmy dłuższą chwilę w samochodzie, licząc, że może ustanie.

— Coś mi się zdaje, że będzie tak padać do rana. Chcąc uciec przed wzrokiem Roberta, całą uwagę

skupiłam na jego żonie. Zamiast różowego kostiumu Chanel nosiła dziś żółty od Valentina, za to na powiekach miała tę samą co poprzednio grubą warstwę niebieskiego cienia. Wygląda to na znak firmowy, pomyślałam trochę złośliwie. Jej długie, gładko uczesane włosy przewiązane były czarną przepaską naszywaną lśniącoymi paciorkami. Starła się wyglądać o dziesięć lat młodziej, przez co wyglądała o dziesięć lat starszej. Uznałam, że to bardzo smutne. Miejmy nadzieję, że sama nie popełniam podobnego błędu.

— Pani siostra? — zdziwiła się Brandi.

— Jo Lynn Baker — powiedziałam krótko, licząc, że to wystarczy.

— Mój Boże! — wyszeptęła, po czym zgromiła Roberta spojrzeniem pełnym pretensji: — O tym mi nie mówiłeś!

Kelner przyniósł nam drinki oraz spis potraw szczególnie polecanych przez szefa kuchni.

Zaczęliśmy mówić znów o pogodzie, sporcie i urokach życia na Florydzie. Udawałam zainteresowanie, możliwe, że nawet wtrącałam swoje uwagi, myślami byłam jednak w małym nieporządnym mieszkaniu Jo Lynn, gdzie spędziłam prawie całe przedpołudnie, wysłuchując histerycznych krzyków i jej bezsilnych złorzeczeń na zbrodniczy aparat wymiaru sprawiedliwości, który z taką beztrąską skazuje człowieka na śmierć za nie popełnione czyny. „Jak mogli to zrobić?”, powtarzała w kółko, zanosząc się płaczem. Twarz miała spuchniętą, poznaczoną smugami wczorajszego tuszu. Płakała tak bez przerwy od wczorajszego popołudnia, kiedy odczytano wyrok i sędzia polecił przewieźć skazańca do Więzienia Stanowego w Starcę, gdzie miał czekać na egzekucję. „Ze skutkiem natychmiastowym! Nie pozwolili mi się nawet z nim pożegnać! — krzyczała Jo Lynn. — Oczywiście obrońcy złożą apelację!”

Cóż miałam mówić? Po prostu trzymałam ją w objęciach. Nie przyszedłam tam przecież triumfować czy napawać się jej bólem. Dla niej ten wyrok śmierci był prawdziwym zaskoczeniem. Jak mogła pokochać takiego człowieka, dlaczego wierzyła w jego niewinność, to były teraz sprawy drugorzędne. Nie liczyły się żadne jej szaleństwa. Była moją cierpiącą, zdruzgotaną siostrą. Pocieszałam się, że z czasem jej to przejdzie. Wiadomo, co z oczu, to z myśli, a Jo Lynn nigdy nie interesowała się nikim i niczym na dłuższy dystans, taką już miała naturę. Trochę jeszcze popłaczę, mówiłam sobie, może nawet pojedzie raz czy dwa do Starcę, ale szybko znudzą ją te długie jazdy, czekanie, ten nienormalny tryb życia. Zaakceptuje w końcu to, czego nie da się zmienić, zapomni o Friendlym i będzie żyć dalej.

Najważniejsze, myślałam, że on, Colin Friendly, teraz już bezapelacyjnie zniknął z naszego życia.

Konwersacja przy stoliku zeszła tymczasem na inne tory: — Intrygują mnie nazwy tutejszych ulic — mówił Robert — takie jak „Military Trail”, „Worth Avenue”, „Gun Club Road”...

— „Prosperity Farms” — odrzuciłam.

— Właśnie.

— Moim zdaniem nie ma w tym nic szczególnego

— zaprotestowała Brandi. — „Military Trail” znaczy dokładnie tyle, ile znaczy: pewnie przed laty przebiegał tamtędy jakiś szlak wojskowy. To samo „Gun Club”: musiał tam kiedyś być klub strzelecki. „Worth Avenue” nazwano tak pewnie po jakimś miejscowym notablu, a nie dlatego, że mieści się tam tyle luksusowych sklepów. Ludzie, którzy mieszkają tu dłużej, wiedzą również, że dużą część Palm Beach pobudowano na dawnych polach uprawnych. Były tam same farmy i te największe nazywały się pewnie...

— No tak, „Prosperity” — dokończył Robert. — Masz rację. Teraz widzę, że istotnie nie ma w tych nazwach nic nadzwyczajnego.

Brandi ze śmiechem objęła męża (moje ręce odruchowo zacisnęły się w pięści):

— Na wypadek gdyby państwo sami nie zdążyli tego zauważyć, spieszę donieść, że mój mąż to romantyk. Chyba już jeden z ostatnich. — Śmiejąc się nadal, wycofała rękę (ja przestałam zaciskać swoje). — Proszę mi powiedzieć

— zwróciła się do Larry'ego — czy jest pan rad, że pańska żona zostanie wkrótce wielką radiową gwiazdą?

— Co takiego? — zdumiał się Larry.

— Więc nic panu nie mówiła?

— Nie przypominam sobie. — Popatrzył na mnie pytająco.

— Och, nic jeszcze nie zostało postanowione — bąknęłam.

— Myślałam, że cała koncepcja jest już gotowa! — wykrzyknęła Brandi.

— Ciekawe, kiedy znajdziesz na to czas? — rzucił Larry, oblewając nas wszystkich szklanką zimnej wody.

— No cóż, będziemy musieli naturalnie przyjrzeć się zajęciom Kate... — zaczął Robert.

— Nigdy nic takiego nie robiłaś. — Larry wysunął kolejny kontrargument.

— No i bardzo dobrze. Będzie to dla mnie prawdziwe wyzwanie.

— Nie sądzisz, że i bez tego nie brakuje ci teraz wyzwania?

Zamilkłam, zżymając się w duchu: Co się z nim dzieje? A może zawsze był taki, tylko tego nie zauważyłam?

— Szczegółowe opracowanie tego rodzaju koncepcji wymaga wielu miesięcy — wtrącił pojednawczo Robert.

— Jesteśmy dopiero na samym początku drogi. Nie zaczęliśmy nawet negocjować warunków kontraktu.

— Mam wynająć sobie agenta? — zażartowałam. Żarcik do kwadratu, jak mawiała moja matka.

— Oho! — roześmiała się Brandi, obejmując męża.

— Coś mi się zdaje, że z tą panią będziesz miał ciężką przeprawę!

— Nie pieprz się z tym facetem — powiedział Larry chłodnym, odmierzonym głosem.

— Co? O czym ty mówisz?

— Ty mi to wytłumacz. — Wsiedliśmy właśnie do samochodu. Ulewa przeszła teraz w uporczywy kapuśniaczek.

— Powtarzam: nie wiem, o czym mówisz!.

— Śpisz z nim?

— Co takiego?

— Mówię chyba wyraźnie.

— Niemożliwe, żebyś mówił serio.

— Czy wyglądam na żartownisia?

— Myślisz, że śpiam z Robertem Crowe?

— Pytam cię o to!

— Nie, oczywiście że nie śpiam! Skąd ci to przyszło do głowy?

— Ty mi to powiedz.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Aha, bo to tylko jakiś facet, którego przypadkiem znasz ze szkoły.

— Właśnie.

— Którego przypadkiem spotkałaś niedawno w sądzie.

— Tak!

— I tak się składa, że jest właścicielem stacji radiowej.

— Jego teść...

— I nagle proponuje ci własny program. Ot tak, ni z gruszki, ni z pietruszki! — mówił dalej, nie zwracając uwagi na mój wtęret.

— Mniej więcej — przyznałam.

— O ile więcej?

— Nie rozumiem.

— Pytam, dlaczego proponuje ci ten program! Nie masz w tym żadnego doświadczenia. Facet nie widział cię trzydzieści lat. O co mu naprawdę chodzi? No, może mi powiesz, Kate?

— Obrażasz mnie — oświadczyłam. Udało mi się nawet dobrze to zagrać.

— Nie uważaj mnie za idiotę.

— To przestań zachowywać się jak idiota. — Głos mi drżał, choć nie bardzo wiedziałam, czy z oburzenia, czy raczej z poczucia winy. Więc aż tak dokładnie wszystko po mnie widać? Ale przecież nic nie zrobiłam! Prawda, że myślałam o zdradzie, czy jednak sama ta myśl od razu czyni mnie winną? Do licha, tylko tak dalej, a dojdę w końcu do wniosku, że powinnam wylądować w Starkę razem z Coli-nem Friendlym!

Larry ruszył z miejsca i przez całą drogę do domu nie odezwał się do mnie słowem. Ja do niego też nie. Włączyłam radio, próbując zagubić się w muzyce i nie myśleć o niczym innym. I nagle

wyobraziłam sobie, że słyszę swój głos: „Drodzy radiosłuchacze, oto stary wspaniały przebój »Your Cheatin' Heart« w wykonaniu Hanka Williamsa. Proszę państwa, od tej chwili czynne są nasze telefony. Czekam na pytania.”

ROZDZIAŁ 19

Mniej więcej w tym czasie zaczęły mnie nękać dwa powracające sny, różne w treści, lecz oba jednakowo przykre. W tym pierwszym leżę we własnej sypialni z rękami związanymi na plecach, a Jo Lynn, usadowiona na mnie okrakiem w okolicach pasa, rytmicznie podskakuje w górę i w dół, ujeżdżając mnie jak kucyka. Równocześnie jakiś obcy osobnik bez twarzy przetrząsa moje szuflady z bielizną, wyrzucając w powietrze nie kończący się asortyment staników i majtek.

W drugim śnie idę pustą ulicą. Pogoda jest piękna, świeci słońce. Przepelnia mnie cudowne uczucie: wydaje mi się, że jestem lżejsza od powietrza. W następnej chwili mam już absolutną pewność, że potrafię latać, zaczynam więc gwałtownie machać rękami. Z ciałem pochylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni i wysuniętym podbródkiem przyciskam ręce do boków jak skoczek narciarski, gdy wybija się z progu, i oto moje stopy odrywają się nagle od płytek chodnika! Zawisam w powietrzu, lecz tylko jakieś pół metra nad ziemią. Za nisko! Rozpaczliwie pracuję rękami, aby nabrać rozpędu, wzbić się wyżej, wzlecieć ku niebu! Jestem już tego tak bliska! „Pozwól mi!”, płaczę, bojąc się, że lada chwila siła ciężenia ściągnie mnie na dół. Niestety, moje stopy znowu dotykają ziemi. Koniec. Nie udało mi się. Na dalsze próby nie mam już energii.

Nietrudno odczytać znaczenie tych snów: obawa przed utratą samokontroli, poczucie, że ulegam presji otoczenia, pragnienie wolności połączone z przemożną chęcią ucieczki od ograniczeń własnej egzystencji... Niejasne aluzje zarówno do Larry'ego, jak i Roberta, i zupełnie wyraźne do Jo Lynn. Zdaje się, że nawet moje sny nie stanowią żadnej zagadki. Podobnie jak ja sama.

Doszło do tego, że zaczęły mnie nękać co noc. Najczęściej pojedynczo, raz jeden, raz drugi, zdarzały się wszakże i noce, podczas których kolejno przeżywałam oba — było to całkiem jak podwójny seans w dawnym kinie. Najgorsze, że nie pozwalały mi się wyspać, bo gdy znikał ostatni obraz, zrywałam się nagle, powiedzmy, o trzeciej po północy, by do rana już nie zmrużyć oka. Często po takim śnie cała ociekałam potem; między piersiami zbierało mi się istne bajorko, a poduszka i prześcieradło były wilgotne i zimne. Zapomniałam już prawie, co to znaczy przespać całą noc.

Ciekawe, że akurat wtedy zaczęłam znów współżyć z Larrym. Obudziłam się kiedyś bez tchu i zobaczyłam go obok siebie. Poinformował mnie rzeczowym tonem, że strasznie miotałam się po łóżku i to go zbudziło. Na moje przeprosiny odrzekł, że nie ma za co, nic się nie stało. Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że go kocham. W odpowiedzi wziął mnie w ramiona, mówiąc, że też mnie kocha i przeprasza za ostatnie nieporozumienia. Ja przeprosiłam go za to samo — no i zaczęliśmy się kochać. Było to bardzo miłe, swojskie i kojące; miałam nadzieję, że ten akt zgody będzie zarazem końcem mych nieznośnych snów, Niestety...

Wygląda na to, że podświadomość nie daje się tak łatwo oszukać, prawda bowiem była taka, że w głębi duszy pragnęłam innej miłości: dzikiej, nieznannej, ekscytującej do ostatnich granic. Miłości, która wprawia w takie uniesienie, że wszystko wydaje się możliwe. Miłości, co potrafi ocalić życie — albo zupełnie je zniszczyć.

Co tu mówić, pragnęłam Roberta. Kochałam się z nim w marzeniach, nie bacząc na pamiętną przestrożę mego

248

BRAKUJĄCY ELEMENT

męża: „Nie pieprz się z tym facetem”. Cóż z tego, że brzmiała mi w uszach? Robert był ze mną wszędzie; podpowiadał mi, co mam mówić, na co patrzeć i jak rozumieć to wszystko, co widzę. Jego ręce na moich piersiach dyktowały rytm memu sercu. Kochałam się z mężem, ale to on, Robert, obejmował mnie nocą, to on wchodził rano wraz ze mną pod prysznic, a gdy czasem — bardzo rzadko! — starałam się go pozbyć, przywierał do mnie jeszcze mocniej. Był jak żel do

ciała, który nie daje się spłukać.

Robert rzeczywisty na szczęście wyjechał, najpierw do Las Vegas na jakąś konferencję przedstawicieli mediów, później, acz dość niechętnie, musiał udać się w objazd po kraju celem zebrania funduszy na rzecz jednej z licznych akcji charytatywnych namiętnie prowadzonych przez jego żonę. Przed samym wyjazdem poinformował mnie telefonicznie, że nie będzie go ze trzy tygodnie; zadzwoni zaraz po powrocie. Do tego czasu, powtarzałam sobie, powróci mi zdrowy rozum.

Nadal też miałam nadzieję, że podobnie będzie z Jo Lynn, która jednak jak dotąd, to znaczy przez cały styczeń, twardo odbywała cotygodniowe pielgrzymki do Starkę. Wyjeżdżała w piątek, po przybyciu na miejsce nocowała w jakimś motelu możliwie blisko więzienia, w sobotę spędzała przepisowe sześć godzin z „narzeczonym”, po czym wyruszała w drogę powrotną trwającą prawie tyle co odwiedziny. Strasznie wyrzekała na szczególne restrykcje stosowane przez władze więzienne w Starkę. I cóż by im szkodziło zezwolić na widzenia i w sobotę, i w niedzielę, pytała ze świętym oburzeniem, zamiast zmuszać więźniów do wyboru tylko jednego z tych dni? A skoro już mowa o szykanach: Wiesz, że przepisy stanu Floryda zabraniają intymnych wizyt małżeńskich? To już doprawdy zbyt okrutna kara! Mimo to oświadczyła, że ze ślubu nie zrezygnuje.

Myszę, że chyba ten jej ślepy upór skłonił mnie do działania, choć Bogiem a prawdą nie miałam pojęcia, co z tego wyniknie i czego właściwie chcę się dowiedzieć. Po

249

i

8

rr b. st

pani n»i« je

JOY FIELDING

prostu pewnego popołudnia podniosłam słuchawkę i bez zastanowienia wystukałam numer 411.

— Southern Bell — odezwał się radosny głos z taśmy.

— Z jakim miastem?

— Brooksville.

— Nazwisko abonenta?

— Ketchum. — Starannie przeliterowałam nazwisko dawnej sąsiadki Friendly'ego, tej, która podobno próbowała mu pomóc. Jak to mówiła Jo Lynn? Dzięki niej zdołał się przekonać, że nie wszystkie kobiety są takie jak matka. — Rita Ketchum. — W tym momencie naprawdę nie wiedziałam, dlaczego chcę z nią rozmawiać i jaki z tego pożytek.

Po kilku sekundach odezwał się żywy kobiecy głos,

zdecydowanie mniej optymistyczny od tego z taśmy: — Rita Ketchum nie figuruje w spisie abonentów. Zna _ a chyba nieduża miejscowość,

izę, oy iim_o~»— tam wielu — Mamy w spisie tylko jednego: imieszkały przy Clifford Road.

^ — Dobrze, spróbujmy.

Włączył się znowu automat, który podał numer telefo-P nu, po czym uprzejmie oświadczył, że za nominalną opłatą

może dokonać połączenia. Zgodziłam się chętnie: palce tak mi się trzęsły, że trudno im było zaufać. Czekałam zastanawiając się gorączkowo, co powiem tej Ricie Ketchum, jeśli rzeczywiście będzie to jej numer. „Halo słyszałam, że to pani nauczyła Colina Friendly'ego wszystkiego, co wie o miłości?” Po czwartym sygnale kto

os podniósł słuchawkę.

Pr - " |l'''-il»m słos młodej kobiety. Gdzie

os' w tl

ze

z^(Głos stał się nagle czujny:
— Kto mówi?
w] — Nazywam się Kate Sinclair, dzwonię z PalmBeac
Czy zastałam panią Ritę "" l--~u«™
250

BRAKUJĄCY ELEMENT

zapadła cisza, jeśli nie liczyć płaczu niemowlęcia. — Halo, czy pani mnie słyszy?
— Mojej teściowej! tu nie ma. Mogę spytać, o co chodzi?
— Chciałabym zadać jej kilka pytań — bąknęłam, czując się coraz niezręcznie).
— Czy pani jest z policji?
— Z policji? Och nie!
— Więc jakie ma pani pytania?
— O tym wolałabym pomówić z samą panią Ketchum.
— Obawiam się, niestety, że to niemożliwe.
— Dlaczego?
— Ponieważ nikt jej nie widział od prawie dwunastu lat. — Dziecko rozwrzeszczało się na dobre.
— Zaginęła?
— Właśnie. W maju minie dwanaście lat. Przepraszam, ale muszę kończyć. Gdyby pani chciała porozmawiać z moim mężem, proszę zadzwonić wieczorem.
— Dziękuję, to już nie będzie konieczne — wymam-alam, zbyt oszołomiona, aby powiedzieć coś więcej.
— No i co chcesz przez to udowodnić? — warknęła Jo ,ynn w kilka minut później. — Co Colin może mieć wspólnego z tym, że jakiejś kobiecie zachciało się uciec domu?
— Na miłość boską, Jo Lynn, co mam zrobić, żebyś .reszcie przestała się łudzić? Ta kobieta nie uciekła! Ona miknęła bez wieści, rozumiesz? A to, że twój Colin maczał tym palce, nie ulega dla mnie wątpliwości.
— Colin nigdy by nie skrzywdził Rity Ketchum. On ją ;ochał.
— Ten człowiek nie jest zdolny do miłości. On w ogóle ie zna ludzkich uczuć. Skoro zamordował jedyną życziwą
Bez słowa rzuciła słuchawkę. Podparłam głowę rękami zaczęłam płakać.
Piątego lutego zabrałam matkę na umówioną wizytę do karza. Gabinet pani doktor Caffrey, położony przy Brazi-
251

JOY FIELDING

lian Avenue, a więc w samym centrum Palm Beach, to kilka niewielkich pomieszczeń, gdzie przeprowadzane są badania, plus trochę większa poczekalnia, wszystko utrzymane w rozmaitych odcieniach różu. Jak w macicy, zakpiłam w duchu, delikatnie popychając matkę w stronę biurka recepcjonistki.
— Dzień dobry, jestem Kate Sinclair, a to moja matka, Helen Latimer.
— Witaj, kochanie — zaświergotała matka do siedzącej za biurkiem dziewczyny. Była to dwudziestokilkuletnia brunetka z włosami przyciętymi w modny diagonal. W uszach miała całą kolekcję kółek i złotych ćwieków. Z przypiętej do piersi tabliczki wyczytałam, że nazywa się Becky Sokoloff.
— Mamy zamówioną wizytę.
— Czy panie już u nas były?

— Nie, to nasza pierwsza wizyta.

— Proszę więc wypełnić formularze. — Panna Becky niedbale trąciła palcem kilka regulaminowych druków, które gładko prześliznęły się w moją stronę po jasnej powierzchni biurka. — I proszę na chwilę usiąść. Pani doktor jest troszkę spóźniona.

Wzięłam te formularze i podprowadziłam matkę do rzędu jaskraworóżowych krzeseł ustawionych pod bladą różową ścianą. Siedziało tu już kilka kobiet, z których jedna spojrzała na mnie z lekko znużonym uśmiechem; mówił on wyraźnie, że pani doktor bardziej niż „troszkę” opóźnia terminy przyjęć.

— Mamo, chcesz poczytać? — Nie czekając na odpowiedź, chwyciłam garść kolorowych czasopism ze stojącego pośrodku stolika i rzuciłam matce na kolana.

Posłusznie przycisnęła je rękami — i dalej siedziała bez ruchu. Przyjrzałam się jej uważnie: wyglądała dobrze. Twarz miała zaróżowioną, spojrzenie przytomne i bystre, włosy starannie uczesane. Była też w dobrym nastroju. Nikt dziś przeciw niej nie spiskował, nikt jej nie śledził, wszystko było „wspaniałe” prawie przez całą drogę. Pod koniec dopiero zamilkła, jeśli nie liczyć pytania, jak się

252

BRAKUJĄCY ELEMENT

mają Sara i Michelle. Pytała mnie o to przynajmniej pięć razy.

— Mamo, nie chcesz sobie trochę poczytać? — Wyciągnęłam jej spod rąk ostatni numer „Elle” i otworzyłam go na chybił trafił. — Ojej! — westchnęłyśmy obie na widok samych nagich piersi przeróżnych wielkości i kształtów. Szybko odwróciłam stronę: znów piersi. Niektóre lekko przesłonięte, inne gołe. Przekartkowałam magazyn do końca — to samo: wszędzie piersi we wszelkich możliwych ujęciach.

No cóż, piersi to dziś ważny element każdej eleganckiej kobiety, powiedziałam sobie, biorąc się za wypełnianie formularzy. Imię i nazwisko, adres, numer telefonu, data i miejsce urodzenia...

— Mamo, w którym roku się urodziłaś? — spytałam bezmyślnie. Idiotko, ofuknęłam się w następnej chwili, przecież ona nie pamięta nawet tego, co jadła dziś na śniadanie!

— 18 maja 1921 roku — odrzekła bez zająknięcia.

Niebywale podniosło mnie to na duchu. Może wcale nie jest z nią tak źle, zaczęłam się zaraz pocieszać, mimo że przecież wiedziałam, jak to bywa z chorymi na Alzheimera: odległą przeszłość pamiętają nieraz z najmniejszymi detalami, opuszcza ich natomiast tak zwana pamięć krótkotrwała, ja jednak w swojej euforii skłonna byłam uznać ten rodzaj pamięci za znacznie mniej ważny, niż się powszechnie uważa.

— Masz uczulenie na jakieś medykamenty? — zadałam kolejne pytanie.

— Nie. Tylko na taśmę chirurgiczną.

— Taśmę chirurgiczną?

Pochyliła się ku mnie, jakby chciała mi wyznać jakiś bardzo intymny sekret:

— Nie wiedziałam o tym aż do narodzin Jo Lynn. Po cesarskim cięciu — roześmiała się na to wspomnienie

— lekarze przykleili mi do brzucha zwykłą taśmę chirurgiczną, no wiesz, żeby się szwy nie

rozeszły, i po paru dniach coś w tym miejscu zaczęło mnie straszliwie swę-
253

JOY FIELDING

ni kt po do

rzę róż spo

wyr tern

pow

cego

P

ruchi Twai włosy Nikt i wszys koniec

leiKa uiiiLiJiu »,____

patrzeć.

Od dawna nie słyszałam, żeby moja matka wypowiedziała naraz aż tyle słów, uśmiechnęłam się więc z ulgą pomimo tej wzmianki o ojczymie.

— Często o nim myślisz?

!

— Wciąż o nim myślę. — Zdziwiła mnie ta odpowiedź, choć właściwie chyba nie powinna. Ostatecznie przez czternaście lat była żoną, tego człowieka, urodziła mu dziecko, pozwalała, by regularnie tłukł ją na kwaśne jabłko... czyż to nie dość powodów, aby o nim myśleć? Ja także przez tyle lat nie przestałam wspominać Roberta.

Był takim przystojnym mężczyzną! — mówiła dalej -1— - Wvsniki, dowcipny i z jaką fantazją! Ty, Kate, po poczucie humoru. — Teraz dopiero wdzić, ile pamięta, nie to jednak było najważniejsze. JŁ dziecko zapragnęłam nagle usłyszeć opowieść o piękny: i dzielnym ojcu, bohaterze walczącym na jakiejś dalekiej wojnie.

— Poznaliśmy się pod koniec II wojny światów

— zaczęła matka, powtarzając dokładnie to wszystko, c słyszałam już dziesiątki razy. — Mój ojciec dał mu pra< w swojej fabryce tekstylnej, gdzie Martin dorobił s. z czasem funkcji brygadzysty. Nie, nie dlatego, że ożenił s: ze mną, córką swego szefa. Nawet gdyby tego nie zrobił, t< by awansował. Był tak inteligentny, taki ambitny!... — N —_:,i,, — Twój dziadek jednak wkrótce str

wszystko, tak ż

chciała mu tego wybaczyć.

babcię?

254

BRAKUJĄCY ELEMENT

Na moment mignął mi przed oczyma obraz mocno zbudowanej, surowej kobiety o włosach koloru słomy.

— Bardzo słabo. — Kiedy zmarła, miałam zaledwie pięć lat.

— O, twoja babka była twardą kobietą! W jej świecie istniała tylko biel i czerń bez żadnych odcieni pośrednich. Albo coś było dobre, albo złe. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

— Musiało wam być z nią ciężko. — Mimo woli odezwała się we mnie terapeutka.

— Nauczyliśmy się od niej wielu rzeczy. Tego na przykład, że za popełnione błędy człowiek musi ponieść konsekwencje. Chcesz spakować manatki i uciec? O nie, to niedopuszczalne.

— Czy dlatego nie rzuciłaś mojego ojczyma? Nawet kiedy zaczął cię bić? — spytałam, zdając sobie sprawę, że to chyba zbyt uproszczenie.

— Twój ojciec nigdy mnie nie bił.

— Mój ojczym — sprostowałam.

— Twój ojciec był takim cudownym człowiekiem! Pracował jako brygadzysta w zakładach tekstylnych twego dziadka. Po jego bankructwie zatrudnił się w General Motors. W tym czasie podjął także studia wieczorowe na wydziale prawa. Zawsze chciał zostać prawnikiem.

Ciekawe, prawda? W żadnej z naszych dwu rodzin nie było
likogo, kto by uprawiał ten zawód. Nie zdążył, niestety, zrobić dyplomu. Umarł — powiedziała
matka, uśmiechając się smutno do recepcjonistki.

— Jeszcze chwileczkę — mechanicznie zapewniła ją iecy Sokoloff. — To już nie powinno
potrwać zbyt długo.

— Kończyliśmy właśnie kolację — kontynuowała matka, nie zwracając na nią uwagi. — Ty
przygotowywałaś się do snu w swoim pokoju, a my dwoje wciąż jeszcze pedzieliśmy przy
deserze. Takie wspólne wieczory zdarza-V nam się bardzo rzadko, więc aby przedłużyć nasze
sam na am, powolutku jedliśmy deser, rozmawiając, śmiejąc się
żartując. W pewnym momencie twój ojciec wstał po pklankę mleka i nagle powiedział:
„Piekielnie zaczyna

255

JOY FIELDING

boleć mnie głowa". Pamiętam to bardzo dobrze, bo nigdy nie kłął. Wiesz, wtedy nawet słowo
„piekielny" też uważano za brzydkie. Weź aspirynę, chciałam mu właśnie poradzić, chociaż nie
znosił tabletek, cóż, kiedy nie zdążyłam. Zrobił dwa kroki i runął jak długi.

Obserwowałam jej oczy: poruszały się w taki sposób, jakby oglądała ruchome obrazy...

— I wiesz, co zrobiłam? Zaczęłam się śmiać! — powiedziała, nie czekając na odpowiedź.

— Śmiałaś się? Dlaczego?

— Bo myślałam, że mi robi kawał. Nawet w karetce pogotowia cały czas wyobrażałam sobie,
że zaraz otworzy oczy. Niestety. Później w szpitalu dowiedziałam się od lekarza, że zanim
upadł, już nie żył.

Przytuliłam ją do siebie i z drzeniem poczułam, jak strasznie jest krucha. Pod miękką bawełną
niebieskiej sukienki moje palce napotkały same kości. Kiedy tak wychudła? Mój Boże,
myślałam, jak długo jeszcze dane jej będzie zachować wspomnienia?

Wymazać przeszłość do czysta? — zabrzmiały mi w uszach słowa Jo Lynn. Rzuciła je z taką
pasją podczas naszej rozmowy w Gardens Mali... Ona straci sobie pamięć, a ja mam udawać, że
nic się nigdy nie stało?

Udawać, że co się nie stało?

Ujdzie jej to na sucho.

Co takiego ma jej ujść na sucho? Od tamtego popołudnia nie dawało mi to spokoju.

— Mamo — zaczęłam.

— Słucham, kochanie.

— Mogę cię o coś spytać?

— Och skarbie, możesz mnie pytać o wszystko. Przez chwilę milczałam, zastanawiając się, jak
zacząć.

Najlepsza będzie szczerłość, powiedziałam sobie w końcu. Postawmy sprawę jasno.

— Co się właściwie stało między tobą a Jo Lynn?

— Jo Lynn coś się stało? — W jej oczach błysnął
niepokój.

— Nie, nie! Ma się dobrze.

256

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Dzięki Bogu!

— Pytam, co zaszło między wami... dawno temu.

— Nie rozumiem. — Nerwowo rozejrzała się po poczekalni.

— Chodzi mi o to, że nigdy jakoś nie mogłyście się dogadać.

— Och, bo od urodzenia taki z niej był uparciuch! Do niczego nie można jej było zmusić.

— Opowiedz mi o niej.

— Lepiej nie, bo jak zacznę... — roześmiała się matka. Spostrzegłam z ulgą, że niepokój

zniknął z jej oczu. Równie szybko, jak się pojawił.

— Miałaś cesarskie cięcie... — rzuciłam przynętę.

— No tak. Po jej urodzeniu myślałam, że zwariuję. Okazało się, że mam alergię. Uczulenie na taśmę chirurgiczną...

— A Jo Lynn była uparta i nie dała sobie nic powiedzieć...

— O tak, to prawda. Była strasznie samowolna. Za skarby świata nie mogłam jej namówić, żeby włożyła sukienkę. A kupowałam jej śliczne fatałaszkę... koronki, falbaneczki... Ty uwielbiałaś takie sukienki, a ona zrywała je z siebie i koniec! Spodnie! Chciała chodzić tylko w spodniach. Cóż to było za niesforne dziecko! Zupełnie inne niż ty. Ty byłaś zawsze taka grzeczna, prawdziwa mała kobietka. A nasza Joannę Linda uparła się być mężczyzną. Tak zawsze mawiał twój ojciec — zakończyła ze śmiechem matka.

— Mój ojczym.

— On nigdy nie widział nic złego w żadnym postępku Jo Lynn. Rozgrzeszyłby ją z morderstwa. I dałby jej gwiazdkę z nieba. Zepsuł dzieciaka okropnie. Kiedy nie chciała mnie słuchać, zawsze stawał po jej stronie. Jo Lynn — mówiąc to matka pokiwała głową — do dziś mi nie wybaczyła, że opuściłam jej ojca. I wiem, że wini mnie za jego śmierć.

— Jak może cię za to winić? Zmarł na raka trzustki!

— Ona mnie wini za wszystko.

17 Brakujący element

257

JOY FIELDING

Wymownie popatrzyłam na recepcjonistkę, a potem na dwie pacjentki poprzedzające nas jeszcze w kolejce.

— Na przykład za co?

Matka uśmiechnęła się tylko w milczeniu, mimo woli opuszczając oczy na otwarty magazyn „Elle”.

— Ojej! — westchnęła na widok obnażonych piersi.

— Tak ci powiedziała? — wycedziła Jo Lynn. Zadzwoiłam do niej tego samego dnia po południu.

— Twierdzi, że ją winisz za śmierć swego ojca.

— To ona tak mówi.

— A ty?

— Zmarł na raka trzustki.

— Fakt, ale nie w tym problem.

— Nie ma żadnego problemu! A jeśli nawet, nie będziemy teraz o tym mówić. Co stwierdziła pani doktor?

— Niewiele. Najpierw chce zobaczyć wyniki badań. Widocznie Alzheimer to taka choroba, którą rozpoznaje się głównie poprzez eliminację innych możliwych schorzeń.

— Co to za badania?

— EKG, EEG, USG, mammografia...

— Mammografia? Po co?

— Doktor Caffrey uważa, że warto przy okazji wykonać kompleksowe badania fizyczne. Ja również mam się im poddać.

— Ty? A dlaczego? Źle się czujesz?

— Możliwe, że wkraczam w okres przejściowy. Klima-kterium — wyjaśniłam.

— Och! Co ty mówisz?

— Przecież to nic wielkiego — zełgałam.

— To jak, pojedziesz ze mną do Starkę w ten weekend? — rzuciła fałszywie niedbałym tonem. Zabrzmiało to tak, jakbyśmy od dawna rozważały sprawę i miały już tylko uzgodnić szczegóły.

— Chyba żartujesz!

— Wydawało mi się, że może cię to zainteresować.

— Nie, w żadnym razie! — Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. — Ale wiesz co —
powiedziałam, zdumiewając

BRAKUJĄCY ELEMENT

tym samą siebie — możesz mi wyświadczyć pewną przysługę.

W pełnym napięcia milczeniu czekała na ciąg dalszy. Dosłownie czułam, jak cała tężeje.

— Zapytaj swojego „chłopaka”, co zrobił z Ritą Ket-
chum.

Milczenie Jo Lynn nabrzmiało furiją.

— Wiesz co? — powiedziała tak zimno i ostro, że jej ton

skojarzył mi się z dźwiękiem rozbitej szklanki. — Jeśli chcesz o coś spytać mojego
narzeczonego, radzę ci zrobić to osobiście.

ROZDZIAŁ 20

Czy to z tego powodu znalazłam się w piątek wieczorem na wielkiej płatnej autostradzie przecinającej wzdłuż cały półwysep? Czy dlatego zgodziłam się w końcu wsiąść do wysłużonej toyoty Jo Lynn i pędzić z nią po wariacku w stronę więzienia stanowego w Starke? Może tak, a może nie, sama nie wiem.

— Nie mogłabyś trochę zwolnić? — Siedziałam jak na szpilkach, niespokojnie zerkając w ciemność. — Na tej drodze podobno aż roi się od policji.

— Mnie nie zatrzymają — rzuciła moja siostra z tak niewzruszoną pewnością, jakby miała na głowie czapkę niewidkę. — Poza tym wcale nie jadę tak szybko.

— Prawie 130 na godzinę!

— I ty to nazywasz szybkością?

— Myślę, że jednak powinnaś zwolnić.

— A ty się odpręż. Ja tutaj jestem kierowcą. — Demonstracyjnie puściła kierownicę, przeciągnęła się leniwym ruchem i zaczęła strzelać palcami.

— Połóż ręce na kierownicy!

— Uspokój się z łaski swojej i przestań mnie wkurzać! Chcesz spowodować wypadek?

Widząc, że strzałka szybkościomierza nadal pełźnie w górę, spróbowałam podejść ją inaczej:

— Słuchaj, Jo Lynn, siedzisz za kółkiem już prawie trzy godziny... Może teraz ja poprowadzę?
260

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Proszę bardzo — wzruszyła ramionami. — Zmienimy się przy najbliższej stacji benzynowej.

Umilkłam i zaczęłam obserwować szosę. Monotonię równej jak stół autostrady przerywały tu tylko szeregi znaków drogowych pojawiających się w regularnych odstępach na tle ciemnogrnatowej kurtyny wieczornego nieba. Znakomita ich większość zapowiadała zjazd do Disney Worldu leżącego na obrzeżach miasta o dźwięcznej nazwie Kissimmee, jakieś trzydzieści parę kilometrów na południowy wschód od Orlando.

— Chcesz tam jechać? — odezwała się Jo Lynn.

— Dokąd?

— Do Disney Worldu. Mogłybyśmy skoczyć tam w niedzielę.

Zdumiona pokręciłam głową. Ach, ta moja siostra! W sobotę więzienie, w niedzielę Disney World.

— Albo do „Universalu”. To gdzieś tu niedaleko. Od dawna chciałam zwiedzić wytwórnię filmową.

— Ja nie. Mogę to sobie darować.

— A do Busch Gardens? Ludzie opowiadają o nich cuda.

— Byłyśmy tam przecież pięć lat temu, nie pamiętasz? Wybrałaś się z dziewczynkami na ten spływ po rzece i wróciłyście z niego tak mokre, że można was było wyżymać.

Jo Lynn wydała radosny okrzyk:

— Och tak, już wiem! „Wodospady na rzece Kongo"! I tyle tam różnych zwierząt! Bawiłyśmy się wspaniale! Jedźmy tam! — Gwałtownym ruchem odwróciła się w moją stronę, błagalnie patrząc mi w oczy.

— Proszę cię, Jo, patrz przed siebie!

— Nudziara! — rzuciła z irytacją, posłuchała mnie jednak. — A gdybyśmy tak zwiedziły którąś z tych farm, gdzie hoduje się aligatory? No wiesz, tam gdzie zdarza się tyle wypadków. Wciąż jakiś dzieciak spada z mostku i zostaje żywcem pożarty.

— Chyba nie mówisz serio!

— Jak najbardziej. Uwielbiam wprost takie rzeczy.

JOY FIELDING

— Niestety, nie mogę. — Zobaczyłam, jak pryska cały jej entuzjazm. Wyciekł jej z twarzy jak napój ze słomki.

— Obiecałam Larry'emu, że wrócę jutro wieczorem. — Nie była to prawda. Nic takiego nie obiecywałam, a Larry przekonywał mnie nawet, że najrozsądniej byłoby wracać dopiero w niedzielę. Miał rację, dowodząc, że to zbyt długa trasa, żeby zaraz jechać z powrotem, ja jednak wiedziałam swoje: moja tolerancja wobec Jo Lynn nie sięga aż tak daleko.

— Lubisz oblewać mnie zimną wodą. Do tego jesteś jedyna! — syknęła, wydymając wargi.

— Tak? Ale jadę z tobą, prawda? Uśmiechnęła się drwiąco:

— Przekonasz się, że Colin nic nie wie o Ricie Ket-chum.

A o Amy Lokash?, pomyślałam. A o dziesiątkach innych zaginionych, które miały nieszczęście stanąć mu na drodze?

— Gdzie dokładnie znajduje się to więzienie? — zapytałam, aby zmienić temat.

— W Raiford albo w Starkę, zależnie od tego, kto ci to mówi — wyjaśniła Jo Lynn. — Najlepiej powiedzieć, że w hrabstwie Bradford pomiędzy Gainesville a Jacksonville. Za dwie godziny będziemy na miejscu.

— Chyba nigdy nie byłam w Bradford...

— To jedno z najmniejszych hrabstw stanu Floryda

— oznajmiła z powagą przewodnika wycieczki. — Pierwszymi osadnikami byli tam farmerzy z Georgii i Południowej Karoliny. Główne źródła dochodów ludności stanowią uprawy warzyw i tytoniu, przemysł drzewny i hodowla bydła. Największe prywatne zakłady produkcyjne to fabryki ubrań roboczych, przetwórnice drewna oraz oczyszczalnie minerałów. Liczba ludności wynosi plus minus 23 000; Starkę, które jest siedzibą hrabstwa, liczy 4000 mieszkańców, Raiford jeszcze mniej.

— Mój Boże, skąd ty to wiesz?

— Zaimponowałam ci swoją wiedzą?

— Jeszcze jak!

262

BRAKUJĄCY ELEMENT

— A będziesz mnie nadal podziwiać, jeśli powiem, że wysłałam to sobie z palca?

— Naprawdę?

— Nie — mruknęła niechętnie — choć miałam ochotę cię nabrać. Ale nie, wiem to wszystko od kierowniczkę motelu.

— Co jeszcze wiesz?

— O Bradford?

Kiwnęłam głową, nie przyznając jej się, że ona sama fascynuje mnie o wiele bardziej aniżeli cytowane przez nią fakty.

— Proszę bardzo. Starkę leży w odległości 36 kilometrów od najbliższego lotniska pasażerskiego, które znajduje się w Gainesville. Ma trzy college'e publiczne oraz dwie szkoły zawodowe. W całym hrabstwie działają ponadto jeszcze trzy college'e i trzy uniwersytety.

— Plus więzienie stanowe — wtrąciłam.

— Pomiędzy Starkę i Raiford znajduje się właściwie pięć więzień — poprawiła mnie Jo lekko znużonym tonem. — Ośrodek Penitencjarny Florydy Północnej, dokąd przywozi się najpierw świeżo skazanych z północnej części stanu, dwa analogiczne, przeznaczone dla Florydy centralnej i południowej, więzienie stanowe oraz sąsiadujący z nim przez rzekę Zakład Karno-Poprawczy hrabstwa Union. Colin prawdopodobnie zostanie tam przeniesiony, kiedy tylko zwolni się miejsce.

— Myślałam, że siedzi w celi śmierci.

Nawet z profilu łatwo było dostrzec, jak rozwścieczyłam ją tą uwagą.

— W obu tych zakładach są cele śmierci — wycodziła przez zęby. — Tyle że egzekucje odbywają się wyłącznie w więzieniu stanowym. Gdyby Colin miał zostać stracony, musieliby go tam znów przewieźć. Do tego jednak nie dojdzie.

— Co się dzieje z jego apelacją? — Wiedziałam, że Sąd Najwyższy Stanu Floryda, który automatycznie poddaje rewizji wszystkie wyroki śmierci, utrzymał w mocy wyrok sądu pierwszej instancji.

263

JOY FIELDING

— obrońcy Colina apelują obecnie do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

— A jeśli wniosek o rozprawę apelacyjną zostanie odrzucony?

— Wtedy można się zwrócić do gubernatora i członków jego gabinetu z prośbą o przesłuchanie. Jeśli się na to nie zgodzi i zechce podpisać wyrok śmierci, powtórnie złożymy petycję w Stanowym Sądzie Najwyższym wraz z krótkim uzasadnieniem, iż w sprawie pojawiły się nowe dowody.

— Jeśli ich nawet nie będzie?

— W razie gdyby petycja została odrzucona — kontynuowała Jo Lynn, ignorując moje pytanie — obrońcy zaskarżą wyrok w sądzie apelacyjnym, uzasadniając to tym, że oskarżony nie miał uczciwego procesu, należy mu się więc nowy. Jeżeli i to zawiedzie, pójdziemy po raz trzeci do Stanowego Sądu Najwyższego z wnioskiem o odroczenie egzekucji.

— A jak go odrzuca?

— Jeszcze się tak nie ciesz, za wcześnie! — sarknęła z irytacją. Wyprostowała ramiona i mocniej ścisnęła kierownicę. — Zwrócimy się wtedy do federalnego sądu okręgowego, gdzie postaramy się dowieść, że skazany zasługuje na odroczenie albo że wyrok był niesprawiedliwy. Gdybyśmy i tutaj nic nie wskórali, jest jeszcze Jedenasty Sąd Apelacyjny Stanów Zjednoczonych z siedzibą w Atlancie, do którego skierujemy prośbę o wstrzymanie egzekucji. Jeśli i to nic nie da, pozostaje nam już tylko ostatnia apelacja do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. W razie gdy ją odrzuca, Colin pójdzie na krzesło. Zadowolona? Chcesz posłuchać, jak się to odbywa?

Nim zdążyłam zaprotestować, już wdała się w dalszy wywód:

— Tu, na Florydzie, fotel elektryczny wprowadzono w roku 1924. Do tego czasu skazańców wieszano. Pomiędzy rokiem 1924 a 1964, a więc nawet w okresie gdy skutek batalii przeciw karze śmierci egzekucje często zawieszano, na Florydzie stracono 196 skazanych. Najstarszy miał

264

BRAKUJĄCY ELEMENT

pięćdziesiąt dziewięć lat, najmłodszy szesnaście. Dwie trzecie stanowili czarni. Egzekucje podjęto znowu we wrześniu 1977. Obecnie w celach śmierci przebywa ponad 340 osób. Egzekucji dokonuje anonimowy obywatel wybrany spośród całej grupy kandydatów. Jego tożsamość otoczona jest tajemnicą. Nikt go nie widzi, bo gdy włącza przycisk, nosi na twarzy maskę. Za każde wykonanie wyroku dostaje 150 dolarów. Niezła sumka za naciśnięcie guzika.

Jeśli chodzi o samą komorę straceń — szybko mówiła dalej — to wygląda dosyć prymitywnie. Zwykle, niezbyt duże pomieszczenie o wymiarach 3,5x4,5 metra, w którym jedynym sprzętem jest masywny dębowy fotel przyśrubowany do gumowej maty. Energii elektrycznej dostarcza generator Diesla zdolny wytworzyć 3000 woltów i 20 amperów. Nie wiem, czym się różni jedno od drugiego. Ważne, że transformator umieszczony za fotelem przekształca te ampery i wolty w 40 000 watów, a to wystarczy, aby ciało skazańca osiągnęło temperaturę 150 stopni.

— Mój Boże...

— Więzień siedzi twarzą do szklanej ścianki, za którą znajduje się drugie pomieszczenie mniej więcej na dwadzieścia parę miejsc. Dwanaście zajmują urzędowi świadkowie wyznaczeni przez władze więzienia, pozostałe są dla reporterów. Bezpośrednio przed egzekucją więzień

przechodzi do tak zwanej przygotowalni, gdzie gołą mu głowę oraz prawą nogę. Znamy to z filmów, prawda? Na pewno jednak nie wiesz, że moczy mu się głowę słoną wodą; chodzi o lepsze przewodzenie prądu, czy jak to się tam nazywa. Tego oczywiście nie widać, bo gdy już siedzi w fotelu, na głowie ma gumowy kaptur. Krążą też plotki, że narząd męski owijają mu bardzo ciasno gumową taśmą, a odbyty zatykają watą. Aha, zapomniałam dodać, że za Wielkim Iskrzakiem, jak pieszczotliwie nazywają ten fotel więźniowie, zainstalowane są dwa telefony. Jeden dla władz więziennych, drugi dla gubernatora, gdyby chciał w ostatniej chwili wstrzymać lub odwołać egzekucję.

265

JOY FIELDING

— Niewiarygodne — mruknęłam, starając się z całej siły odpedzić te sceny sprzed oczu.

— W niecałe cztery minuty po wejściu do komory jest już po wszystkim. Ciało wkłada się potem do ciemnego worka, gotowe do pochówku. Czego jak czego, ale skuteczności nie da się odmówić tutejszym władzom.

— Nie do wiary — westchnęłam po raz drugi.

— Nie zmyśliłam ani słowa! — zachnęła się Jo Lynn.

— Nie o to mi chodzi.

— A o co?

— O ciebie. Jesteś niesamowita.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Niesamowite, że tyle wiesz na ten temat.

— Po prostu trochę poczytałam — rzuciła, wzruszając ramionami. — Wiesz chyba, że umiem czytać.

— Ale że pamiętasz takie szczegóły! To jest zdumiewające.

— Wielkie rzeczy. Mam fotograficzną pamięć, w dodatku interesują mnie te sprawy. Myślę, że ciekawość przyniosłam ze sobą na świat.

— A myślałaś kiedyś o powrocie na studia? Mogłabyś zostać prawnikiem. — I w tym właśnie momencie nasunął mi się pewien pomysł.

— Zwariowałaś?

— Mówię zupełnie poważnie — oświadczyłam, zapalając się coraz bardziej do swego pomysłu. — Naprawdę sędzę, że byłby z ciebie wspaniały adwokat. Masz kapitalną pamięć i mnóstwo wiadomości. A operujesz nimi z taką swobodą, jakbyś miała je w jednym palcu. Spierać się też potrafisz, i to jak! Założę się, że bez trudu umiałabyś przekonać najbardziej oporną ławę przysięgłych.

— Hola, hola, nie pamiętasz, że wyleciałam z college'u?

— Wyłącznie na własne życzenie. Teraz mogłabyś wrócić, zrobić dyplom...

— Dyplomy to nie wszystko — parsknęła zaczepnie.

— Pewnie, że nie — zgodziłam się z nią skwapliwie — ale pomyśl, masz wrodzone zdolności prawnicze! Posłuchaj sama siebie, a przekonasz się, jak świetnie mówisz.

266

BRAKUJĄCY ELEMENT

Tak, Jo, jesteś naprawdę dobra. Założę się, że jako adwokat zrobiłabyś wielką karierę. I wiesz co? Po dyplomie mogłabyś sama bronić Colina. Jeśli ktokolwiek w świecie jest w stanie uchronić go przed krzesłem elektrycznym, to tylko ty. — Siostra prawniczka, szwagier seryjny morderca, pomyślałam z wisielczym humorem.

— Cóż — na usta Jo Lynn powoli wypłynął uśmiech — pewnie rzeczywiście byłabym niezłym prawnikiem.

— Wybitnym!

Odetchnęła głęboko wciąż jeszcze z uśmiechem, lecz po paru sekundach pozwoliła mu się rozpląnąć.

— Nie — powiedziała cicho. — Za późno.

— Wcale nie — zaczęłam ją przekonywać, chociaż w duchu przyznałam jej rację. — Po powrocie możemy się dowiedzieć, jakie warunki musiałybyś spełnić i ile by to kosztowało. My z Larrym moglibyśmy udzielić ci pożyczki. Zwrócisz nam, jak zaczniesz zarabiać. Zobaczysz, nie będziesz wiedziała, co zrobić z forszą. — Co ty pleciesz?, przywołałam się do porządku. Zagalopowałaś się, moja droga, w krainę pobożnych życzeń.

— Pieniądze dałaby mi mama.

Wstrzymałam oddech. Jo Lynn przed wyjazdem wymogła na mnie obietnicę, że nie będzie rozmów o matce, więc dlaczego sama podejmuje ten temat? Zaprasza mnie do dyskusji?

— Jestem pewna, że zrobiłaby to z przyjemnością.

— Jest mi to winna — stwierdziła Jo. — No dobra, mamy stację benzynową. — Zręcznie zmieniła pas i po chwili zatrzymała samochód pod rzędem dystrybutorów. W rzęsiście oświetlonych pawilonach mieściła się zarówno stacja obsługi, jak i restauracja Burger King. — Zatankuję paliwo — zarządziła moja siostra, wysiadając z wozu — a ty kup nam coś do jedzenia.

— Och, co za ulga! — z rozkoszą rozprostowałam nogi.

— Ty durna ciemnoto! — usłyszałam nagle czyjś okrzyk. Przez moment wydawało mi się nawet, że to Jo Lynn darzy mnie tym epitetem, ale nie, z uwagą obserwowała parę młodych ludzi stojących na sąsiednim pasie

267

I°~~~y FIELDING

liiego firebi^da. Miał fatalnie pokiereszowaną całkiem jak ramiona młodej pasażerki, ^na mogła n^iieć z szesnaście lat, chłopak nie-*. Oboje byli jasnoskórzy, jasnowłosi i przeraź-", choć muskularne ramiona chłopaka wygląda-'j pewnie ćwic;2y pompki. Pięści miał zaciśnięte, rwone z gniewu, nazywasz ciemnotą? — ryknął, ci się zdaje? — hardo odparła jego towarzyszką A)! być może, tiaszą obecnością. ot^ odszczekuj mi się, do cholery! A teraz włącz do ^ i, zmywamy się stąd! ^ chcę.

v, m cię tu zostawić? Tego chcesz? Uważaj, bo to K^ -lko popatrz, jaka tu cholerna pustka. a towałam właśnie sama z sobą, czy nie powinnam L 1()sób rozładować sytuacji, kiedy Jo szepnęła mi do

Tv"lko się w to nie mieszaj!

\{oże by zadzwonić na policję?

A może lepiej pilnuj swego nosa. Idź! — popchnęła ||v stronę restauracji. — Dla mnie cheesburgera, duże

i największą butlę coli.

"szt am najpierw do łazienki, gdzie spryskałam tw;if2 ^Wodą, a potem zapatrzyłam się w swoje odbkie-ha HTsóra, pod oczami wstętne wory. Boże, co się Zc "'r">bi! Stary babsztyl. W lokalu była kolejka, węc nie obsłużono, upłynęło prawie dziesięć min

0 tak długo? — niecierpliwie spytała moj a sio

1 ode mnie zakupy i szybko wskoczyła do se ; a musiałam go okrążyć, aby zająć miejsce kiei l;li nawet mignęły mi przed oczami cienkie kosi ^łtych blond włosów, mój świadomy umysł odm \rowania tego faktu.

Gdzie twoje jedzenie? — zapytała Jo Lynn,

S pakunki.

Nic sobie nie wzięłam. — Zdążyłam do tego c chać już z poi parkingu.

268

BRAK

|ĄCY ELEMENT

•m głodna.

— Chcesz trochę?
 — Dziękuję, nie j[<] ^
 — Nie mówię do ci' pleców wysunęła mi si? chuda, Wrzasnęłam, kiedy Z; Obrociwszy się gwałt0ivnie do
 pokryta siniakami ręka^, wczynę z firebirda. Jei jasno-ty}u, zobaczyłam tę dz> oczy patrzyiy na
 mnie ze stra-zjelone, szeroko otwarta
 chem. ,Zj na miióść boską! — uformniała
 — Patrz, gdzie jedzi^nęła się przy tym pr7ekornie. mtiie Jo Lynn. UśmieC'
 _ Chcesz nas pozabijać? ca}ych sił ścisnęłam kierownicę. Zęby jej me udusić, l każe piinowac
 wiasne?o nosa, Ta moja siostra! Mnie do samochodu niemajomą a w chwilę pozmej bić' robic
 takie rzeczy? Przecież autostopowiczkę! Jak mO h podróŜnych zdarzają się złowię, ze wsrod
 przygodny dzieje i groźni szaleńcy. wiedziała jak gdyby nigdy nic.
 — To jest Patsy - ^ Kate
 - Patsy, poznaj moją sij' ała się dzieWczyna, wbijając Czesc, Kate — od burgera> Pociągnęła
 następ-zęby w ofiarowanego jej C stchnieniem ZWróciła butelkę Jo me ogromny łyk coli i z
 w^e wzięły. Lynn. - Dzięki, zescie r^dwiezc? _ z trudem ,v
 tan, , • u:'~ "i J "" ^siostra tymczasem z c^owitą am z siebie głos Moja słomk
 której używała
 Beztroską wzięła do ust I
 n'eznajoma. , , wt^,
 \vr , — ponuro mruknęła Patsy-
 — Wszystko mi jedno t
 ""^ Jej chłopak ją tu z(f
 Z mUpi idi^ta; - indagowałam ją dalej-
 Gdzie mieszkasz? - yła ramionami. -
 *-zy ja wiem? — W
 Teraz
 ch k)a Wlem? — *
 Dot?8tdZ1^ u t , znać tę odpowiedź za wystar-^jąta ył^oby ^
 ^ hdi
 Powiedz mi, skąd p Z Fort Worth Z Fort Worth w
 ^chodziszZ-
 269
 JOY FIELDING
 obok niebieskiego firebirda. Miał fatalnie pokiereszowaną karoserię — całkiem jak ramiona
 młodej pasażerki.
 Dziewczyna mogła mieć z szesnaście lat, chłopak niewiele więcej. Oboje byli jasnoskórzy,
 jasnowłosi i przeraźliwie chudzi, choć muskularne ramiona chłopaka wyglądały na silne.
 Pewnie ćwiczy pompki. Pięści miał zaciśnięte, policzki czerwone z gniewu.
 — Kogo nazywasz ciemnotą? — ryknął.
 — A jak ci się zdaje? — hardo odparła jego towarzyszką ośmielona, być może, naszą
 obecnością.
 — Nie odszczekuj mi się, do cholery! A teraz włącz do samochodu, zmywamy się stąd!
 — Nie chcę.
 — Mam cię tu zostawić? Tego chcesz? Uważaj, bo to zrobię! Tylko popatrz, jaka tu cholerna
 pustka.
 Dyskutowałam właśnie sama z sobą, czy nie powinnam w jakiś sposób rozładować sytuacji,
 kiedy Jo szepnęła mi do ucha:
 — Tylko się w to nie mieszaj!
 — Może by zadzwonić na policję?

— A może lepiej pilnuj swego nosa. Idź! — popchnęła mnie w stronę restauracji. — Dla mnie cheesburgera, duże frytki i największą butlę coli.

Poszłam najpierw do łazienki, gdzie spryskałam twarz zimną wodą, a potem zapatrzyłam się w swoje odbicie: zmięta skóra, pod oczami wstrętne wory. Boże, co się ze mnie robi! Stary babsztyl. W lokalu była kolejka, więc zanim mnie obsłużono, upłynęło prawie dziesięć minut.

— Co tak długo? — niecierpliwie spytała moja siostra. Odebrała ode mnie zakupy i szybko wskoczyła do samochodu. Ja musiałam go okrążyć, aby zająć miejsce kierowcy. Jeżeli nawet mignęły mi przed oczami cienkie kosmyki spłowiałych blond włosów, mój świadomy umysł odmówił zarejestrowania tego faktu.

— Gdzie twoje jedzenie? — zapytała Jo Lynn, rozwijając pakunki.

— Nic sobie nie wzięłam. — Zdażyłam do tego czasu przejechać już z pół parkingu.

268

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Chcesz trochę?

— Dziękuję, nie jestem głodna.

— Nie mówię do ciebie.

Wrzasnęłam, kiedy zza pleców wysunęła mi się chuda, pokryta siniakami ręka. Obróciwszy się gwałtownie do tyłu, zobaczyłam tę dziewczynę z firebirda. Jej jasnozielone, szeroko otwarte oczy patrzyły na mnie ze strachem.

— Patrz, gdzie jedziesz, na miłość boską! — upomniała mnie Jo Lynn. Uśmiechnęła się przy tym przekornie.

— Chcesz nas pozabijać?

Żeby jej nie udusić, z całych sił ścisnęłam kierownicę. Ta moja siostra! Mnie każe pilnować własnego nosa, a w chwilę później bierze do samochodu nieznajomą autostopowiczkę! Jak można robić takie rzeczy? Przecież wie, że wśród przygodnych podróźnych zdarzają się złodzieje i groźni szaleńcy.

— To jest Patsy — powiedziała jak gdyby nigdy nic.

— Patsy, poznaj moją siostrę Kate.

— Cześć, Kate — odezwała się dziewczyna, wbijając zęby w ofiarowanego jej cheesburgera. Pociągnęła następnie ogromny łyk coli i z westchnieniem zwróciła butelkę Jo Lynn. — Dzięki, żeście mnie wzięły.

— Dokąd mamy cię podwieźć? — z trudem wydobyłam z siebie głos. Moja siostra tymczasem z całkowitą beztroską wzięła do ust tę samą słomkę, której używała nieznajoma.

— Wszystko mi jedno — ponuro mruknęła Patsy.

— Jej chłopak ją tu zostawił — wyjaśniła Jo Lynn.

— Głupi idiota!

— Gdzie mieszkasz? — indagowałam ją dalej.

— Czy ja wiem? — wzruszyła ramionami. — Teraz chyba nigdzie.

Dość trudno byłoby uznać tę odpowiedź za wystarczającą.

— Powiedz mi, skąd pochodzisz.

— Z Fort Worth.

— Z Fort Worth w Teksasie?

269

JOY FIELDING

— Kawał drogi, co, Kate? — włączyła się moja siostra. — Za taki wyczyn należy się dziewczynie medal.

— Jak się tu dostałaś? — spytałam zdumiona, starając się mówić w miarę normalnym głosem.

— Samochodem — padła obojętna odpowiedź. Patsy pochwyciła garść frytek z podsuniętego jej pojemnika, włożyła do ust i opadła znów na oparcie. Widziałam w lusterku, jak pociera

sobie ramiona, a potem zamyka oczy. Powieki obwiedzione miała grubo czarną kredką.

— Jechałaś ze swoim chłopakiem? — pytałam dalej, lekceważąc grymas Jo Lynn, którym niedwuznacznie dawała mi do zrozumienia, że mam być cicho.

— Uhm, z tym głupim idiotą.

— Co na to twoi rodzice?

— To nie twoja sprawa! — wtrąciła się Jo. I znów jej nie posłuchałam.

— Czy rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

— Nic ich to nie obchodzi.

— Na pewno?

Dziewczyna zaśmiała się głośno, lecz chyba trochę nieszczerze. Wyczułam w tym nutkę bólu.

— Tatę widziałam ostatnio, jak byłam takim małym bakiem, a matka zafundowała sobie nowego faceta i nowe dziecko. Pewno nawet nie zauważyła, że mnie nie ma.

— Kiedy wyjechałaś z domu?

— Dwa tygodnie temu.

Momentalnie pomyślałam o Amy Lokash i o jej matce, gdy z twarzą zalaną łzami stanęła w drzwiach gabinetu...

— Dzwoniłaś do matki? Powiedziałaś jej chociaż, że jesteś zdrowa i cała? — Nie musiałam patrzeć na Patsy, aby wyczuć, jak na to zareaguje. Wiedziałam jakie uczucia odbijają się w tej chwili na jej delikatnej buzi: bunt, upór, przekora, urażona duma...

— Nie dzwoniłam.

I myślisz, że nie powinnaś?, miałam ochotę krzyknąć, co oczywiście tylko by wzmogło jej upór.

— A chciałabyś teraz? Milczała przez kilka sekund.

270

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Sama nie wiem — bąknęła wreszcie, przyciskając czoło do bocznej szyby.

— Czy to tak trudno podnieść słuchawkę i powiedzieć matce, że nic ci się złego nie stało?

— Po co? — burknęła markotnie. — Zaczęłaby tylko wrzeszczeć, że od początku wiedziała, jaki to numer z Tylera.

— I dlatego nie dzwonisz?

— Nie chcę znów tego słuchać.

— A miała rację co do Tylera?

— No... tak — odparła ledwo dosłyszalnie.

— A ty? — zapytałam po krótkiej pauzie. — Nie zamierzasz mu chyba wybaczyć, że cię tu zostawił?

— Tyler to głupi idiota, prawda? — wtrąciła się Jo Lynn. Podziękowałam uśmiechem za to jej dyskretne wsparcie.

— Może zadzwonię do matki — powiedziała z wahaniem Patsy, sięgając znowu po frytki. — Muszę to przemyśleć.

— Nad czym się tu zastanawiać? Powiedz jej tylko, że wszystko w porządku. — Znów pomyślałam o Donnie Lokash: może jej córkę ogarnęło takie samo szaleństwo jak tę dziewczynę i włóczy się teraz po kraju obojętna na udrękę matki. Mój Boże, niechby tak było! Oby tylko żyła. Te dzieci! Z trudem powstrzymałam łzy. W pewnym momencie stają się nam obce jak kosmici. E.T., zadzwoń do domu!

Przez kilka minut milczałyśmy wszystkie trzy. Jo Lynn hałaśliwie sączyła colę przez słomkę, podbijając tym rytm piosenki śpiewanej właśnie przez Shanię Twain. Od czasu do czasu wyciągała rękę do tyłu, przekazując Patsy butelkę i niedojedzone resztki. Cały wóz przesiąkł pomieszaną wonią cheesburgera i frytek, która wnikała w siedzenia niczym woda w glebę. Jedzenie dawno już znikło, a jego odór długo jeszcze drażnił mi nozdrza, natrętnie przypominając, że od lunchu nic nie miałam w ustach. Zaczynałam żałować, że nie wzięłam

czegoś z restauracji. Nim dotrzemy do motelu, będzie już prawie północ...

271

ROZDZIAŁ 21

Do więzienia ruszyliśmy nazajutrz punktualnie o ósmej trzydzięci. Odwiedziny trwały od dziewiątej do trzeciej, a Jo Lynn postanowiła nie uronić ani minuty z owych sześciu bezcennych godzin. Miałyśmy do pokonania wprawdzie tylko kilkanaście kilometrów stanowią drogą nr 16 w kierunku zachodnim od Starke, Jo utrzymywała jednak, że przejście przez bramy i liczne punkty kontrolne wymaga prawie dwudziestu minut, powinnyśmy zatem wyjechać najpóźniej o wpół do dziewiątej.

Budząc mnie godzinę wcześniej, była już nie tylko po kąpieli, ale zdążyła przywdziać swą „flagową” biel, to znaczy minispódniczkę z obcisłym topem, zrobić staranny makijaż, umyć i ułożyć włosy. Ja chwilę jeszcze obijałam się po pokoju, zdumiona zarówno barbarzyńskim zestawem barw — krwiście czerwone zasłony, ciemnopurpurowe kapy na łóżku! — jak i tym, że spałam tu jak zabita. Po raz pierwszy od kilku miesięcy udało mi się naprawdę przespać całą noc, bez snów, bez irytujących wypraw do łazienki. Wyczerpanie wielogodzinną jazdą z Palm Beach? A może nadchodzący dzień wydawał mi się tak trudny, że bałam się otworzyć oczy? Weszłam pod prysznic i przez dłuższą chwilę pozwoliłam sobie delektować się strumieniami przyjemnie gorącej wody.

— Pospiesz się — popędzała mnie później Jo Lynn. Wyjęłam akurat z torby pomarańczową bluzkę, którą

274

BRAKUJĄCY ELEMENT

zamierzałam włożyć do granatowych spodni, gdy nagle parsknęła śmiechem: — Tak się ubierasz?

— A co? Uważasz, że źle?

— Nie, nie, doskonale! — Znowu zachichotała, nie przestając poganiać mnie wzrokiem. Zapięłam guziki i szybko przeciągnęłam szciotką po włosach. Myślałam, czyby nie użyć odrobiny różu i szminki, ale w końcu machnęłam ręką: nie ma czasu, a poza tym nikomu nie muszę się tu podobać. — Kupimy coś jeszcze po drodze — powiedziała Jo Lynn. Chwyciła podręczną lodówkę wyładowaną różnymi gatunkami sera tudzież całą furą własnoręcznie zrobionych kanapek („Colin wprost uwielbia sałatkę z kurczaka!”) i dosłownie wypchnęła mnie za drzwi.

Nocą trudno było zauważyć, jak drastycznie zmienił się krajobraz zaraz po zjeździe z głównej autostrady na drogę nr 301. Teraz zobaczyłam, że znikły gaje pomarańczowe i wyniosłe palmy, nieodłączny element pejzażu południo-wo-wschodniego wybrzeża. Tutaj, w północnej części środkowej Florydy, gdzie ludność żyła z rolnictwa, otaczały nas zewsząd same plantacje warzyw i chuderlawe sosny.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że to taki ubogi teren — bąknęłam z nieco obłudnym współczuciem.

— Uhm, wygląda to trochę jak zapadłe peryferie Georgii — przytaknęła Jo Lynn. Kiedyż to ostatnio była w Georgii, zdziwiłam się przelotnie, i to na dodatek w jakiejś zapadłej dziurze?

— Strasznie gorąco. — Wszystkie stacje radiowe nadawały wyłącznie informacje rolnicze i raporty o stanie farm. Ciężkie cuchnące powietrze dławiło jak mokra szmata. Usłyszałam nagle głuchy ryk porównywalny z odgłosem wzbierającej fali przypiływu i zobaczyłam, że dogania nas potężny tir, który w chwilę później znalazł się już niebezpiecznie blisko naszej burty.

Jo Lynn z uśmiechem pomachała ręką kierowcy i jego pasażerowi, którzy omal nie wypadli z okna, żeby lepiej widzieć jej nogi.

275

%-*

JOY FIELDING

— Lubię takim chłopakom pokazać kawałek uda — wyznała konfidencjonalnie, kiedy

zdecydowali się wreszcie nas wyprzedzić.

— Myślisz, że to rozsądne? — Nie liczyłam na odpowiedź, a nawet niespecjalnie chciałoby mi się jej słuchać. Droga biegła teraz przez szeroką otwartą równinę, na której pasło się bydło. Część krów stała, inne pokładły się na wygonie.

— Może padać — oznajmiła Jo Lynn. Prześliznęłam się wzrokiem po błękitnym niebie: ani chmurki. W maskę samochodu rytmicznie jak kamyki uderzały fale gorącego powietrza.

— Deszcz?

— Kiedy wszystkie krowy stoją, będzie słonecznie, kiedy wszystkie leżą, będzie padać, kiedy jedne stoją, a drugie leżą, wróży to zmienną pogodę.

— Tego dowiedziałas się także od kierowniczkii motelu?

— Nie, od taty.

Staralam się nie okazać zdziwienia tą niespodziewaną wzmianką o jej ojcu.

— Miał zwyczaj zabierać mnie na przejażdżki. Często jeździliśmy na wieś, gdzie widywaliśmy stada krów. Jeśli stały, tata mawiał, że pogoda będzie jak drut, gdy się kładły... Dalej już wiesz. Nawiasem mówiąc, krowy, które tu widzisz, są własnością więzienia.

— Czy to więźniowie? — Teraz dopiero spostrzegłam pracujące wzdłuż drogi grupki mężczyzn pilnowane przez uzbrojonych strażników w mundurach i ciemnych okularach.

— Cóż, nie jest to kraina Oz — parsknęła ironicznie Jo Lynn, widząc, że zrobiło mi się nieprzyjemnie.

I nagle ukazało nam się więzienie, a właściwie dwa. Stały na przeciwległych brzegach strumienia szumnie zwanego Nową Rzeką, który w tym miejscu stanowił granicę hrabstw Bradford i Union. Zakład Karny Unionu na prawym, Więzienie Stanowe na lewym. Oba opasane były takim samym podwójnym ogrodzeniem z mocnej

276

BRAKUJĄCY ELEMENT

metalowej siatki uwieńczonej ostrą jak żyłotka taśmą. Tym, co różniło betonowe budynki, był kolor ścian. Hrabstwo Union wybrało neutralny beż, podczas gdy Więzienie Stanowe razowało oczy chorobliwym odcieniem żółtawej zieleni. O tym, co to za obiekty i w czyjej znajdują się gestii, informowały ponadto ogromne tablice umieszczone przed ogrodzeniem.

Jo Lynn wprowadziła samochód na parking, wyłączyła stacyjkę i wrzuciła kluczyki do koszyka.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła z komiczną powagą — za mną, proszę wycieczki.

Posłusznie pospieszyłam za nią w stronę głównej bramy. Maszerowałyśmy żwawo, aby w miarę możliwości uniknąć ataków całej hordy krwiożerczych insektów. Zauważyłam, że z wieży obserwuje nas strażnik z bronią gotową do strzału. Na nasz widok brama stanęła otworem, lecz zaledwie znalazłyśmy się w środku, natychmiast ją zatrzaśnięto. Poczułam, że mięknią mi nogi. Teraz z głośnym szcęknięciem otworzyły się następne wrota. Wrota piekiel, pomyślałam, idąc długim betonowym chodnikiem prowadzącym do budynku.

Nie pamiętam momentu otwierania wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Zapamiętałam tylko małą poczekalnię i barczystego mężczyznę siedzącego w oszklonej budce przed pulpitem kontrolnym najeżonym mnóstwem przycisków. Uśmiechnął się do Jo Lynn, która bez wahania skierowała się w jego stronę.

— Cześć, Tom — pozdrowiła go całkiem swobodnie.

— Cześć, Jo Lynn, jak ci leci?

— Fajnie. Poznaj moją siostrę Kate.

— Serwus, Kate — rzucił z uśmiechem.

— Serwus, Tom — odpowiedziałam zdumiona, że obcy ludzie mogą zwracać się do siebie w ten sposób i że ja sama to robię.

— Znasz regulamin — stwierdził Tom, spoglądając na Jo Lynn.

— Jasne. — Postawiła przed nim lodówkę i swój koszyczek.

277

JOY FIELDING

Kontrola naszych niewielkich bagaży trwała aż dziesięć minut. Na pierwszy ogień poszła chłodziarka. Tom po kolei rozwijał i łamał każdy kawałek sera, nie pominął też żadnej kanapki: zawartość każdej została dokładnie sprawdzona. Skończywszy z żywnością, wziął się za torebki. Prawa jazdy studiował w taki sposób, jakby chciał wbić sobie w pamięć wszystkie dosłownie detale. Najzabawniejsze, że nadzwyczaj skrupulatnie porównywał nasze twarze ze zdjęciami, choć Jo Lynn znał już przecież niezgorzej z kilku poprzednich wizyt.

— Robi to co tydzień — poinformowała mnie szeptem przy wtórze nieustającego stukotu otwieranych i zamykanych drzwi.

— Do miłego zobaczenia — rzucił na koniec strażnik, wskazując nam gestem trzecią okratowaną bramę, przy której zainstalowany był detektor. — Przyjemnie mi było poznać cię, Kate.

Kazano nam zdjąć buty i paski, jak również opróżnić torebki i kieszenie z kluczy, okularów przeciwsłonecznych i bilonu. Po przejściu obok detektora inny strażnik przeprowadził nas przez następne zgrzytliwe wrota, za którymi rozciągał się długi żółtawo-beżowy korytarz wyłożony lśniącym linoleum.

— To więźniowie codziennie pastują je i froterują — szepnęła moja siostra.

Kilka stopni doprowadziło nas do kolejnej bramy, nie pamiętam już której, kontrolowanej znów przez strażnika w oszklonej budce, i oto znalazłyśmy się w centralnym punkcie więzienia zwanym Grand Central. Miejsce to przypominało wielkie skrzyżowanie, zbiegały się tu bowiem cztery więzienne korytarze. W tym po prawej ciągnął się rząd żelaznych prętów sięgających od sufitu do podłogi, za którymi mieściły się cele.

— Widzisz te zamknięte drzwi na samym końcu korytarza? — zapytała Jo Lynn. — Tam jest komora śmierci.

Minęło nas kilku skazanych maszerujących do pracy w więziennej pralni. Ubrani byli w niebieskie drelichowe spodnie i także bluzy.

278

BRAKUJĄCY ELEMENT

— My idziemy tędy. — Na znak Jo Lynn kolejny strażnik poprowadził nas już prosto do tak zwanej rozmównicy. Uderzyły mnie w nozdrza ostre kuchenne wonie, tak pomieszane, że nie sposób ich było rozróżnić. — Jesteśmy w tym samym skrzydle co jadalnia i kuchnia — wyjaśniła moja siostra. — Obecna rozmównica była zresztą kiedyś jadalnią. Zobaczysz, wygląda zupełnie jak kawiarnia w naszej średniej szkole.

Rzeczywiście. Była to obszerna sala o tyle trudna do opisania, że brak jej było piętna jakiegokolwiek indywidualności. Stało tu, sądząc na oko, może czterdzieści stolików z nierdzewnej stali. Jedyne różnice między ową salą a szkolnym bufetem polegała na tym, że stoliki i krzesła przykręcone tu były do podłogi.

— Przypatrz się temu urządzeniu — poleciła mi Jo, wskazując umieszczony w rogu wielki szklany zbiornik do chłodzenia wody. Gdy spojrzałam na nią pytająco, poradziła mi z uśmiechem: — Jak już przyjdą więźniowie, nie spuszczać z niego oka.

— Dlaczego? Pełni jakąś szczególną funkcję?

— Sama zobaczysz. Zaraz ich przyprowadzą — dodała, spojrzawszy na zegarek. — Idę do toalety — zdecydowała się nagle. Postawiła lodówkę na najbliższym stole i z pośpiechem opuściła salę.

Udając, że interesuje mnie otoczenie, zaczęłam chyłkiem przyglądać się ludziom czekającym na przybycie więźniów. Było ich kilkunaścioro: kobiet trzy razy więcej niż mężczyzn. Czarni w podobnej proporcji przewyższali białych. Wszystkie co młodsze kobiety nosiły krótkie sukienki, jakkolwiek bez prównania mniej prowokacyjne od minispódniczki Jo Lynn. Jakaś starsza Afroamerykanka, od stóp do głów spowita w głęboką czerń, tak że trudno było powiedzieć, w którym miejscu kończy się ubranie, a zaczyna skóra, szlochała cicho wsparta na ramieniu męża. Inna, znacznie młodsza, ze złotymi kółkami w wargach i mnóstwem tatuaży na ramionach nerwowo przechadzała się tam i z powrotem wzdłuż sąsiedniego stolika.

279

JOY FIELDING

— Wszystko w porządku? — spytałam Jo Lynn, kiedy powróciła z toalety. Była jakoś dziwnie zarumieniona.

— Och, w jak najlepszym.

— Tak szybko wybiegłaś, że zaczęłam się martwić, czy ci się coś nie stało.

Zbyła to lekceważącym machnięciem ręki:

— Musiałam po prostu coś wyjąć.

— Wyjąć? Skąd?

Opadła na krzesło i gestem kazała mi usiąść naprzeciw.

— Przyniosłam Colinowi drobny prezent — wyszeptala samym kącikiem ust, zezując w stronę stojącego przy wejściu strażnika.

— Prezent?

— Ciszej! — syknęła.

— Jaki prezent? — Pistolet w staniku, nóż w cieście?, pomyślałam głupio. Nonsens! Przeszliśmy przecież przez dwa stanowiska wykrywaczy metali. W chłodziarce ani w torebce Jo Lynn Tom nie znalazł nic podejrzanego. — O czym ty mówisz?

Wsunęła rękę do koszyka i bacznie obserwując klawisz, pokazała mi kilka skrętów w gładkim wydłużonym pojemniku.

— Marihuana?!

— Cicho, do licha! — Błyskawicznie wrzuciła kontrabandę do torebki. — Musisz to rozgłaszać całemu światu?

— Zwariowałaś? Jak możesz przynosić tu takie rzeczy?

— Bądź łaskawa zniżyć głos i przestań zachowywać się jak pensjonarka! Tu wszyscy to robią. Nerwowo rozejrzałam się po sali. Starsza Afroamerykanka nadal lkała na ramieniu męża, ta z kółkami nie przestawała spacerować.

— A jak? — wybąkałam. — Gdzie to schowałaś? Ten strażnik, Tom, przetrząsnął ci przecież torebkę do ostatniego drobiazgu...

— W szparce! — zachichotała. — Zamknij buzię, bo ci mucha wleci!

— Masz na myśli waginę?

— Wagina! Boże Świąty, kto dziś używa takich słów?

280

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Wierzyć mi się nie chce, że coś takiego zrobiłaś.

— Dopiero byś się zdziwiła, gdybym ci opowiedziała, co tu się dzieje!

— A jak twój luby zamierza przemycić to do celi?

— Są na to sposoby, myślę jednak, że wolałabyś ich nie znać.

— Niedobrze mi się robi. Chyba się rozchoruję.

— Teraz nie możesz. Już idą. Pamiętaj, obserwuj zbiornik.

Kilku krzepkich strażników o groźnym wyglądzie wprowadziło do sali mniej więcej dziesięciu więźniów. Wszyscy nosili identyczne niebieskie dreluchy z jednym jedynym wyjątkiem. Colin Friendly miał na sobie niebieskie spodnie i pomarańczową górę w tym samym odcieniu co

moja bluzka. Teraz zrozumiałam, co przyprawiło Jo Lynn 0 tak gwałtowną wesołość. Pomarańczowe koszulki nosili więźniowie skazani na śmierć — tym wyróżniali się z tłumu. Bezwiednie zacisnęłam palce na dekolcie swojej oran-żowej bluzki. Moja siostra tymczasem zerwała się z miejsca, aby jednym susem rzucić się w objęcia swojego wybrańca. Patrzyłam ze zgrozą, jak ręce seryjnego mordercy ześlizgują się na jej pupę, jak podnoszą króciutką spódniczkę, bezwstydnie odsłaniając okrągłe gołe pośladki. Widać podczas usuwania kontrabandy pozbyła się także i majtek. „Boże”, jęknęłam, gdy wypuścił ją wreszcie z uścisku

1 oboje ruszyli w moją stronę. Wydał mi się wyższy niż w sądzie i choć odrobinę chudszy, był teraz na pewno bardziej muskularny. Wyglądało na to, że dba o kondycję. Podniosłam się chwiejnie, przyciskając ręce do boków. Jak mam zareagować, jeśli stanie przede mną z wyciągniętą dłonią?... Na szczęście mi tego oszczędził.

— Colin — zaświergotała Jo uczepona jego ramienia — poznaj, proszę, moją siostrę. Kate, to jest Colin, miłość mego życia.

— Miło mi poznać cię, Kate. Twoja siostra wciąż o tobie mówi — powiedział bardzo swobodnie.

Czy tymi akurat słowami? Nie jestem pewna. Nieważne, chodzi o sens. Muszę tu zresztą wyznać, że nie

281

JOY FIELDING

pamiętam dokładnie, co zostało powiedziane tego dnia. Ani rano w motelu, ani później w tej tak zwanej rozmównicy. Gdy próbuję odtworzyć te godziny, umykają mi tak błyskawicznie, jak gdyby moja pamięć była dla nich okrutną pułapką. Pozostały mi w głowie jedynie fragmenty rozmów: tu kilka słów, tam jakieś zdanie. Jeden temat zlewa się z drugim, godziny również tworzą mocno pogmatwaną całość.

Usiedliśmy. Friendly i Jo Lynn obok siebie, każde z ręką na kolanach drugiego. Wbrew przepisom. Regulamin zabraniał kontaktów fizycznych z wyjątkiem uścisków na powitanie oraz przy końcu odwiedzin, że jednak trzech strażnicy nie mogli obserwować wszystkich równocześnie, przy każdym zajęтым stoliku pozwalano sobie na dużą rozmaitość karesów, na tyle nieprzyzwoitych, że usilnie starałam się ich nie dostrzegać.

— Nie wyglądacie na siostry — stwierdził Friendly.

— Miałyśmy różnych ojców.

— Wiem, Jo Lynn mi mówiła.

— Widziałas kiedy tak wspaniałego mężczyznę? — spytała Jo, chichocząc jak nastolatka. Pochyliła się w taki sposób, że musnęła piersią jego ramię i czule odgarnęła mu z czoła kosmyk wijących się włosów.

— O nie — zaprotestował ze śmiechem — to ty jesteś najwspanialszą kobietą w moim życiu!

— Powiedział to bez śladu skrępowania, całkiem jakby byli sami. — Nie masz pojęcia, jak mi tu wszyscy zazdroszczą tej najpiękniejszej w świecie, najbardziej seksownej dziewczyny, która czeka na mnie co sobotę!

— Mam dziś na sobie twoją ulubioną bieliznę — powiedziała znacząco moja siostra.

Gwałtownie wstrzymałam oddech na widok ręki Friendly'ego wślizgującej się chyłkiem pod białą minispódniczkę. Zaraz potem w jego zimnych niebieskich oczach zamigotał swawolny uśmiech.

— Mam nadzieję — rzucił, nie patrząc na mnie — że póki stąd nie wyjdę, będziesz opiekować się młodszą siostrą.

282

BRAKUJĄCY ELEMENT

Nie odpowiedziałam, na próżno starając się znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłabym spojrzeć bez zażenowania. Wszędzie niestety odbywały się takie macanki.

— Dopilnuj, żeby dobrze jadła i porządnie się wysypiała. Powinna też dużo ćwiczyć.
— O mnie się nie martw! Sam masz tu dość kłopotów
— wpadła mu w słowo Jo Lynn. — Ci zboczeńcy...
— O tak — roześmiał się ironicznie — mamy ich tu do wyboru, do koloru! Sodomici, pederasci, nekrofile, nawet tacy, co piją swój mocz i, za przeproszeniem, żrą własne gówno. Jeden z tych sukinsynów lubi rozsmarowywać je sobie po ciele. Tfu, co za ohyda! Omijam go na kilometr. Dobrze, że teraz już mogę.
— Colin jest teraz w skrzydle „R” — wyjaśniła Jo
— ale z początku umieszczono go w skrzydle „Q”, gdzie siedzą wszyscy zboczeńcy. Na szczęście prawnicy migiem wyciągnęli go z tego piekła.
— Uhm, to straszne miejsce — smętnie pokiwał głową. Jego ręka zniknęła już powyżej łokcia pod skąpym ubraniem Jo Lynn. — Ci ze skrzydła „R” raczej nie próbują się mnie czepiać.
— Colin udaje przed nimi, że jest winny!
— Sprytne posunięcie — wymamrotałam.
— Dobrą stroną wyroku śmierci jest to, że ma się osobną celę.
— Szczęściarz z ciebie.

Z wolna obrócił głowę w moją stronę, po czym w taki sposób przewiercił mnie wzrokiem, że poczułam się zgoła jak motyl na szpilce.

— Jo wspominała, że masz specyficzne poczucie humoru. Teraz rozumiem, co miała na myśli. Zamilkłam zdziwiona i zdegustowana. Że też Jo Lynn uważa za stosowne dyskutować o mnie z tym typem!

— Nie akceptujesz mnie, prawda? — zapytał w jakiś czas później. Niesłychane! Nie od razu do mnie dotarło, że pyta o to poważnie.

— Dziwi cię to? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

283

fli

JOY FIELDING

— Rozczarowuje.

— Czyżbyś zapomniał, że skazano cię za morderstwa?

— Colin jest niewinny! — krzyknęła Jo Lynn.

— Właśnie. Jestem niewinny. — Mówiąc to zmrużył oczy.

W milczeniu kiwnęłam głową.

— Przyniosłam ci prezent — oznajmiła Jo, kiedy wszyscy troje zabraliśmy się do kanapek.

— Ja też ci coś przyniosłem. — Sięgnął do kieszeni i wydobyl garść listów.

— Och, poczta od fanów! — pisnęła uszczęśliwiona. Wyjęła pierwszy list z koperty i zaczęła czytać: — „Drogi Colinie, jesteś najprzystojniejszym z mężczyzn! W życiu nie widziałam kogoś tak pięknego. Oczy masz jak szafiry, a oblicze jak greckie bóstwo.” — Moja siostra przerwała i parsknęła śmiechem. — Oblicze! Ale słowo! Ty używasz takich, co, Kate? Wprost je uwielbiasz! — Nadal chichocząc otworzyła drugą kopertę. — „Drogi Colinie” — przeczytała — „proszę Cię, nie rozpaczaj. Jeśli wierzysz w Jezusa Chrystusa i nosisz Go w sercu, Bóg wybaczy Ci wszelkie złe uczynki.” Głupie babsko! — prychnęła Jo.

— Colin nie popełnił żadnych złych uczynków. — Odłożyła arkusik i przebiegła wzrokiem następny. — O, ten jest najlepszy! Posłuchaj, Kate, bo to coś dla ciebie: „Drogi Colinie, mam pięćdziesiąt lat, jestem szatynką o piwnych oczach, a przyjaciele twierdzą, że nadal mam świetną figurę.” — Moja siostra zawiesiła głos, posłała mi ostentacyjnie wymowne spojrzenie, po czym wróciła do listu:

— „Jestem mężatką i wiem, że mąż bardzo mnie kocha, mimo to muszę Ci wyznać, że jedynym mężczyzną, którego pragnę, jesteś Ty. Myślę o Tobie dniem i nocą. Pragnę, byś ssał moją pierś, pragnę kołysać Cię w ramionach, dać Ci, ukochany, całą miłość, której nie dała Ci matka.” No i co ty na to, Kate?

— Ona pragnie oseska, a nie mężczyzny — zadrwiłam, czując jednak, że się rumienię.
Jo Lynn zwróciła listy.

284

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Dziękuję, że mi je pokazałeś. Fajna lektura. Do schrupania.

— Wiesz, że nie mam przed tobą tajemnic.

— Tylko nie odpisuj tym wariatom — rzuciła ostrzegawczo.

— Nic się nie bój, dziecinko. Nigdy w życiu nie sprawiłbym ci przykrości. Wiesz o tym, prawda?

— Wiem, że cię kocham.

— Ani w połowie tak jak ja ciebie.

— Teraz patrz! — syknęła nagle Jo Lynn, wskazując mi zbiornik z wodą.

Spostrzegłam, że między ten zbiornik a ścianę wciska się któryś z więźniów wraz z żoną, z przodu natomiast ustawia się druga para, by zasłonić widok strażnikom lub po prostu zaczekać na swoją kolej. Po paru sekundach zbiornik zaczął się mocno chybotać, a woda spieniona jak wzburzony ocean wściekle uderzać o ścianki.

— Co będzie, jak ich przyłapią?

— Za dużo myślisz o konsekwencjach — fuknęła moja siostra. — Winne temu są władze. Dlaczego zabraniają małżeńskich wizyt?

— Człowiek robi, co musi, i tak, jak mu na to pozwalają warunki — dodał sentencjonalnie Friendly, ujmując ją za udo.

— Czy wy też... — zaczęłam i ugryzłam się w język. Nie, wcale nie chciałam wiedzieć!

— Czy też chodzimy napić się wody? — zadrwiła Jo Lynn. — Nie. Jeszcze nie.

— Zostawiamy to sobie na noc poślubną — uzupełnił jej „narzeczony” i oboje zaczęli się śmiać.

Zerwałam się z krzesła, chociaż trudno powiedzieć, co właściwie zamierzałam zrobić. Widząc jednak spojrzenie któregoś z klawiszy, czym prędzej sfingowałam uśmiech, przeciągnęłam się leniwie i szybko usiadłam z powrotem.

— Ustaliliście już datę?

— Nie. Trzeba załatwić jeszcze mnóstwo spraw. Badanie krwi i temu podobne głupoty. Ale niedługo się z tym uporamy — zapewniła mnie Jo Lynn.

285

JOY FIELDING

— Taka prosta rzecz jak małżeństwo i tyle biurokratycznych utrudnień — rzucił Friendly z przesadną konsternacją. — A propos... Prosiłaś już siostrę?...

— O co mnie miała prosić?

— Żebyś zgodziła się zostać moją druhną — wyjaśniła Jo tonem równie beztróskim co pełnym nadziei.

Boże miłosierny! Odwróciłam głowę, żeby nie widzieli mojej twarzy. Po prostu chciało mi się płakać. Nie, ona nie mówi tego serio, powtarzałam sobie, dobrze wiedząc zarazem, że jest inaczej...

— Nie sądzę, aby był to najszcześniejszy pomysł — wykrztusiłam.

— Przemyśl to jeszcze — poradził mi Friendly, wpijając się we mnie lodowatym wzrokiem.

— Bylibyśmy ci niezmiernie wdzięczni, gdybyś takim gestem zechciała udzielić nam wsparcia.

— A ja byłabym ci niezmiernie wdzięczna, gdybyś zechciał mnie poinformować, co stało się z Amy Lokash — wypaliłam, szokując tym nie tylko dwoje „oblubieńców”, lecz w równej mierze także samą siebie. Chciałam przecież spytać go o Ritę Ketchum, nie o Amy! No cóż, moja podświadomość musiała widocznie mieć inne plany.

— Amy L-lokash? — zająknął się Friendly. W tym dniu po raz pierwszy. Jo Lynn z

najwyższym niesmakiem

wzniosła oczy w górę:

— O co ci chodzi, Kate? Kim, do diabła, jest ta Amy Lokash?

— Siedemnastolatka zaginioną mniej więcej rok temu. Pomyślałam, że twój „narzeczony” może coś o tym wie.

— To śmieszne! — wściekła się nie na żarty. — Colin, nie musisz odpowiadać na jej głupie pytania! — Zerwała się jak oparzona i wyszła do toalety, poprawiając po drodze zadartą spódniczkę.

Friendly odprowadził ją wzrokiem aż do drzwi:

— Czyż nie jest to najseksowniejsza laleczka, jaką można sobie wymarzyć? — wycedził leniwie.

— Zostaw moją siostrę w spokoju — wybuchnęłam. — Odczep się od niej!

286

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Powiedz „proszę” — rzucił niedbale.

— Co takiego? — Byłam pewna, że się przesłyszałam.

— Dobrze słyszałaś. Powiedz „proszę” — zażądał powtórnie, szyderczo unosząc kąciki ust.

— Nie, niech to będzie „bardzo proszę”. — Milczałam. — Skoro chcesz, żebym odczepił się od twojej siostry, to mnie poproś. Ładnie. No dalej, mów „bardzo proszę”!

— Pieprzę cię! — warknęłam.

Roześmiał się nieprzyjemnie i powoli oblizwał górną wargę. — Może kiedyś da się to zrobić.

Momentalnie zlodowaciałam. Stały mi przed oczami te senne koszmary... Serce zaczęło mi walić jak wściekłe. Jego obłąkany rytm rozsadzał mi mózg, łomotał w uszach niczym rozpędzona ciężarówka, tak że ledwo słyszałam

swój głos:

— Ciebie to bawi, prawda? Wszystko to jest dla ciebie jakąś chorą, wynaturzoną grą.

— Nie gram dla zabawy — oświadczył. — Gram dla pamiątek.

— Zabiłeś Amy Lokash? — Z całych sił próbowałam wziąć się w garść.

— Ładny dzieciak. Piegi na nosie, we włosach czerwona wsuwka.

Chwyliłam się stołu, żeby nie upaść. Chłód stali pomógł mi otrząsnąć się trochę z szoku. Mój Boże, jak ja to powiem Donnie?

— Na miłość boską, była jeszcze dzieckiem, jak mogłeś?!...

— Słyszałaś takie powiedzonko: Jak już krwawi, to się nadaje do rżnięcia? — wycedził z drwiącym uśmiechem i zamilkł na kilka sekund, pozwalając mi dobrze przetrwać to plugastwo.

— Znasz park Johna Prince'a?

Zaprzeczyłam ruchem głowy, na więcej nie było mnie stać.

— Bardzo ładny park. Kawalek na wschód od Kongresu, pomiędzy jeziorem Worth a drogami do Lantany. Powinnaś go odwiedzić. Są tam stoły piknikowe, urządzenia do barbecue, fajne ścieżki dla rowerów, nawet boisko do

287

JOY FIELDING

gier. Piękna okolica. Tuż nad jeziorem Osborne. Znasz to jezioro?

— Nie.

— A szkoda. To spore jezioro, długie i kręte. Jest tam parę mostków, bardzo malowniczych.

Mnóstwo ludzi chadza tam na ryby. Siedzą sobie na brzegu i łowią. Można też wynająć łódkę. Radzę ci to zrobić, Kate. Powiosłuj na sam środek, tam gdzie najgłębiej.

— Po co mi to mówisz?

— Twoim córkom spodobałoby się to miejsce. — Twarz wykrzywił mu dziki grymas. — Masz córkę w wieku Amy, nieprawdaż? Atrakcyjna dziewczyna, o ile dobrze pamiętam.

Ze zgrozy wstrzymałam oddech.

— Młodsza ma na imię Michelle, zgadza się? Ha, może któregoś dnia spotkamy się wszyscy czworo, ty, ja, Sara i Michelle? Moglibyśmy się nieźle zabawić, co? Nie robiłem tego jeszcze z mamą i córeczkami.

— Łajdak!

— Uhm, tak o mnie mówią.

— Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle!

— Czy to znaczy — uśmiechnął się drwiąco — że nie będzie cię na weselu?

Nie pamiętam, czy coś powiedziałam, czy w ogóle otworzyłam usta. Wiem tylko, że miałam dziką ochotę walnąć na odlew w tę bezczelną gębę, zetrzeć ten głupi uśmiezek pychy, a potem tłuc go pięściami, aż zdechnie. Zamiast tego uciekłam z płaczem. Okazałam się równie bezradna jak wszystkie ofiary tego potwora. Zanosząc się szlochem, pędziłam na parking, nie bacząc na roje much, na skrzeczące nad głową mewy, na to, że zaczął padać deszcz. Kiedy krótko po trzeciej pojawiła się wreszcie Jo Lynn, zastała mnie przemokniętą do suchej nitki. Pomarańczowa bluzka przylepiła mi się do ramion, włosy przypominały wodorosty.

— Sprawdziła się krowia wróżba — zauważyła moja siostra, wsiadając do samochodu.

I to było wszystko. Przez całą drogę nie powiedziałaliśmy do siebie ani słowa.

ROZDZIAŁ 22

W cztery dni później poszłam do parku Johna Prince'a przyjrzeć się poszukiwaniom prowadzonym na jeziorze Osborne. Policjanci w małych płaskodennych łódkach bagrowali dno, grupa nurków zaopatrzonych w aparaty tlenowe od rana siedziała pod wodą.

— Czego oni szukają? — spytała mnie jakaś kobieta.

— Czy ja wiem? — Naprawdę nie miałam pojęcia, bo co można znaleźć po tak długim czasie? Od zaginięcia Amy Lokash minęło tyle miesięcy, prawie rok...

Ciało denatki już po kilku dniach musiałyby wypłynąć na powierzchnię, chyba że morderca obciążył je kamieniami lub pokrył warstwą cementu, powiedziano mi na policji, kiedy zrelacjonowałam treść swojej rozmowy z Friendlym. Zapewniono mnie przy tym stanowczo, że z jeziora nie wyłowiono żadnych zwłok odpowiadających opisowi zaginionej.

— Ten łajdak bawi się z panią — orzekł któryś z funkcjonariuszy, mimo to postanowili przeszukać jezioro.

Sceny tego rodzaju odbywają się zwykle bez świadków, tu jednak ze względu na warunki trzeba było odstąpić od wspomnianej reguły. Park Johna Prince'a to teren publiczny dostępny z różnych punktów miasta, w dodatku bardzo rozległy. Takiego obszaru po prostu nie da się zamknąć, nie było to zresztą konieczne. Kto w środku tygodnia w połowie lutego chodzi do parku? Zauważyłam zaledwie kilka

19 Brakujący element

289

JOY FIELDING

osób. Przy pobliskiej huśtawce stała młoda matka, była jednak tak pochłonięta zabawą ze swoim brzdącem, że nic innego nie budziło jej zainteresowania. Dwaj przytuleni do siebie mężczyźni na widok policji od razu zniknęli. Był jeszcze jakiś pijak pociągający sobie z butelki ukrytej w papierowej torbie, choć w tym momencie musiało mu już być wszystko jedno, czy ktoś to widzi czy nie, oraz kilku panów odbywających poranny jogging. Ci przystawali na chwilę aby zapytać, co tu się dzieje, i biegli dalej.

A ja? Po co ja tu przyszłam? Powodów mogło być kilka, ale który z nich był najważniejszy? Chęć zdobycia konkretnego dowodu, który mogłabym przedstawić Jo Lynn, by ją skłonić do opamiętania, dopóki nie jest za późno, a także Donnie Lokash, dla której byłby to nareszcie koniec niepewności...? Nie wiem. Może chciałam przynajmniej na chwilę uciec od codziennej góry obowiązków? Tego dnia były to badania, którym miała poddać się matka, a przy okazji ja również.

Przed dwunastą nurkowie wyłonili się na powierzchnię, kręcąc głowami na znak, że poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Poza starą oponą i kilkoma sztukami męskiego obuwia nic więcej nie znaleziono. I na tym skończyła się akcja. Colin Friendly mógł zabić Amy Lokash, lecz zwłok jej nie wrzucił do jeziora Osborne. Policjanci mieli rację, zabawił się moim kosztem.

W godzinę później obnażona do pasa z równym zainteresowaniem przyglądałam się czyimś rękoma, które wprawdzie, acz obojętnie umieściły moje piersi — wpierw jedną, później drugą — między dwiema zimnymi płytami aparatu rentgenowskiego, gdzie zostały splaszczone na placek. Aparat zabuczał nisko. Że też nikt nie poprosił mnie o ładny uśmiech, zadrwiłam sobie ponuro.

— Dziękuję — powiedziała laborantka, uwalniając mnie z imadła. Zaczęłam znowu oddychać.

— Proszę usiąść w poczekalni i na razie się nie ubierać. Muszę sprawdzić, jak wyszły zdjęcia.

Wciągnęłam opuszczoną do pasa obszerną niebieską szatę i z wolna poczłapałam do poczekalni. Oprócz matki

290

BRAKUJĄCY ELEMENT

siedziały tu jeszcze cztery kobiety w takim samym szpitalnym rynsztunku.

— Jak tam, mamó? Jak twoje samopoczucie? — Wśliznęłam się obok niej na krzesło, oparłam głowę o chłodną niebieską ścianę i z ulgą wciągnęłam w płuca wielki haust powietrza.

Uśmiechnęła się grzecznie, obrzucając rozbieganym wzrokiem nie mnie, lecz wiszącą naprzeciw reprodukcję jakiegoś obrazu Matisse'a:

— Wspaniale. Wypuściłam z siebie powietrze.

— Miałaś już kiedyś mammografię, prawda?

— Oczywiście.

— Gdyby cię zabolalo, koniecznie powiedz labo-rantce.

— Oczywiście, kochanie.

— Bo to nie powinno boleć.

— Oczywiście.

Tak właśnie ostatnimi czasy wyglądała większość moich rozmów z matką... Zawsze jednak był to jakiś kontakt, lepszy w każdym razie niż z Jo Lynn, która po powrocie z naszej wycieczki do Raiford nie zaszczyciła mnie nawet słowem. Zaraz po przyjeździe próbowałam uczciwie powtórzyć jej wszystko, co powiedział Friendly, kiedy zostaliśmy sami, lecz odniosło to tylko ten skutek (jak było do przewidzenia), że natychmiast rzuciła się na mnie: bo go sprowokowałaś, bo fałszywie interpretujesz jego słowa, to są zwykłe insynuacje i tak dalej, i tak dalej. Powiedziałam jej w końcu, że zwariowała do reszty, ona, że jej zazdroścę (czego, do licha?) — i stosunki zostały zerwane.

W poczekalni pojawiła się laborantka. Teraz dopiero zauważyłam, że jest wysoka i szczupła, że rude włosy ma związane w długi koński ogon i że wygląda na rówieśnicę Sary. Dlaczego nie widziałam tego wcześniej? Zetknęłyśmy się przecież w dość intymnych okolicznościach... No tak, ale wtedy była dla mnie po prostu tylko parą rąk, tak jak ja dla niej kolejną parą piersi. Postrzegałyśmy się nawzajem, rzec by można, fragmentarycznie, wyłącznie z punktu

291

JOY FIELDING

BRAKUJĄCY ELEMENT

widzenia własnych aktualnych potrzeb. Jakże łatwo, myślałam, oderwać część od całości...

— Pani Latimer? — Dziewczyna rozejrzała się po poczekalni. Było to małe, pozbawione okien pomieszczenie, a jednak całkiem sympatyczne. Moja matka nie drgnęła, nadal sennie patrzyła przed siebie. — Pani Latimer! — powtórzyła laborantka.

— Mamó — szturchnęłam ją w ramię — wołają cię.

— Oczywiście. — Żywo podniosła się z krzesła i... zastygła w miejscu.

— Proszę za mną — poleciała jej rudowłosa. — A pani — spojrzała na mnie — może się już ubrać.

— Jaki jest wynik badania? Negatywny? — spytałam z nadzieją w głosie.

— O tym poinformuje panią lekarz — odrzekła sucho. I po co pytałam? Żadna z tych dziewczyn nigdy nie powie człowiekowi, jaki był wynik. — Ale zdjęcia wyszły dobrze, nie musimy powtarzać.

Dzięki Bogu i za to.

— Poczekam tu na ciebie — zawołałam za matką. Była już w drzwiach do rentgena.

— Oczywiście, kochanie.

Przebrałam się w swoje rzeczy: szare spodnie i biały bawełniany sweter, przycesałam włosy, poprawiłam usta i wróciwszy na swoje miejsce w poczekalni, na moment przymknęłam oczy. Niestety, z ciemności wypłynął natychmiast drwiący uśmiezek Friendly'ego... Aby nie oglądać jego wrednej gęby, porwałam ze stolika ostatni numer „Cosmopolitan” i skupiłam całą uwagę na zdjęciu dziewczyny tygodnia. Z królewsko błękitnego tła spojrzały na mnie wilgotne brązowe oczy. Ciemnowłosa piękność nosiła królewsko błękitny neglig odslaniający spore

fragmenty jej bujnego biustu.

Przypomniała mi się Sara. Pamiętam, że gdy miała chyba dziesięć lat, zastałam ją pewnego razu przed lustrem zajętą studiowaniem obnażonej klatki piersiowej. „Czy kiedy dorosnę — spytała bardzo poważnie — będę miała duże piersi czy takie malutkie jak twoje?” Powiedziałam jej

wtedy, że raczej małe. Ha, nie ostatni to raz wprowadziłam w błąd swoją córkę, znaną dziś z biustu o takich rozmiarach, że wchodzi on do pokoju o całe pięć sekund przed nią! Gdyby dla mnie natura była tak łaskawa, żartowałam sobie nieraz, mogłabym zawojować świat. Żarcik do kwadratu, jak słusznie mawiała matka.

Matka wróciła właśnie od rentgena i od razu zaczęła zdejmować swoją szpitalną koszulę. Skonsternowane pacjentki nie wiedziały, co z sobą począć. Jedna udała, że chwycił ją kaszel, druga wlepiła nos w książkę, pozostałe ostentacyjnie odwróciły głowy.

— Poczekaj, mamo! — Jednym skokiem znalazłam się przy niej i czym prędzej wetknęłam jej ręce w rękawy. — Czy nie mówiła ci ta laborantka, że trzeba poczekać z ubieraniem, dopóki nie sprawdzi zdjęć?

— Tak — odrzekła z uśmiechem — mówiła.

— Warto jeszcze na chwilę usiąść — powiedziałam ze sztuczną wesołością, sadzając ją na granatowym wyściełanym krześle. — No i jak poszło badanie?

— Niewiele mnie to interesowało. Roześmiałam się głośno.

— Niewiele mnie to interesowało — powtórzyła matka, spoglądając na mnie wyczekująco. Chcąc nie chcąc musiałam znów się roześmiać. Skoro sprawia jej to przyjemność... Kiedy jednak po raz trzeci powtórzyła te same słowa, zamilkłam.

Po kilku minutach pojawiła się ruda laborantka z wiadomością, że zdjęcia są dobre i że można się ubrać. Moja matka siedziała nadal bez ruchu.

— Możesz się ubierać, mamo... Ale nie tutaj! — zawołałam, widząc, że zsuwa już z ramion koszulę. — Nie tutaj, w przebieralni.

— Oczywiście, kochanie.

Musiałam zaprowadzić ją do kabiny. Pod żebrami czułam dziwny uścisk, jakby coś mi utknęło w żołądku. Zdążyłam już trochę poczytać o chorobie Alzheimera, wiedziałam więc, co się dzieje i co będzie dalej... Ujmując rzecz krótko: postępujący regres umysłowy sprawia, że

293

JOY FIELDING

chory praktycznie staje się dzieckiem. Moja matka, myślałam z ciężkim sercem, traci z dnia na dzień jakąś część swego osobowości, gubiąc kawałki własnego jestestwa jak wąż starą skórę. Wkrótce nie zostanie już nic z osoby, którą była kiedyś. Nie będzie umiała czytać, pisać ani mówić. Córki i wnuczki staną się dla niej obcymi ludźmi. Siebie też zapomni tak dokładnie, że nie będzie wiedziała, kim jest. Pewnego dnia jej mózg zapomni wydać rozkaz sercu czy płucom, że mają pracować, i nastąpi śmierć. A my, jej najbliżsi, jesteśmy bezsilni... Możemy jedynie pozbierać te rozsiane bezładnie kawałki, owe utracone cząsteczki świadomej tożsamości, i próbować na powrót złożyć je w całość. Tylko tak nasza matka może znów zaistnieć... Przynajmniej w naszej pamięci.

Wtedy wydawało mi się, że choroba matki objawiła się znienacka, teraz oceniam to całkiem inaczej. Oznaki widoczne były od lat. Często sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, chwilami można było nawet myśleć, że traci kontakt z rzeczywistością. A już tematy i sposób prowadzenia rozmów... Rozprawiała wesoło i z ożywieniem, ale właściwie o niczym. Często gubiła przy tym wątek, przekręcała słowa, a nieraz w ogóle nie mogła ich sobie przypomnieć. Ale my, jej najbliżsi, nie zwracaliśmy na to szczególnej uwagi.

Och, każdemu się to zdarza, mówiłam sobie w takich chwilach. I jeśli nawet rozmawiając z matką miałam czasami wrażenie, że wysłuchuję nie kończących się prognoz pogody, też wcale mnie to nie dziwiło. Wszak pogoda, jedzenie, obstrukcje to rzeczy bardzo ważne w jej wieku i

środowisku. A poza tym... Tyle przeżyła, że każdy na jej miejscu miałby dość sensacji. Skoro lubi mówić o pogodzie, komu to przeszkadza? Niech sobie mówi.

Czy wiedząc już tyle o chorobie Alzheimera, wciąż jeszcze miałam nadzieję? Tak, bo nawet i teraz zdarzyły się przecież chwile, gdy powracał jej zdrowy rozum, logika i dowcip, chwile gdy zdawała się w pełni normalna. Owe krótkie przeblyski dawnej osobowości pojawiały się chyba po to, aby nam przypomnieć, że jeszcze nie cała znikła, że

294

BRAKUJĄCY ELEMENT

jakaś jej część wciąż jeszcze walczy o przetrwanie. Jakby nam rzucała ostatnie okruchy siebie... Żywiłam nimi naiwną nadzieję, że wszystko skończy się dobrze, jak w baśniach mojego dzieciństwa. Wszak Jaś i Małgosia zabłądzili w lesie, a jednak szczęśliwie wrócili do domu. Może i ona, moja matka, odnajdzie drogę powrotną?...

— Mamo, jesteś gotowa? — zawołałam po kilku minutach, pukając lekko do drzwi. Odpowiedziała mi cisza. Po drugiej próbie zdecydowałam się wejść.

Stała zupełnie naga pośrodku ciasnej kabiny, osłaniając rękami obwisłe piersi. Mój Boże, można było policzyć jej żebra i ta skóra... koloru skisłego mleka, poznaczona mnóstwem sinawych żył i drobnych brunatnych plamek...

— Zimno mi — jęknęła, spoglądając na mnie takim wzrokiem, jakby była to moja wina.

— Och, mamo, ja zaraz... pozwól, że ci pomogę. — Z pośpiechem zamknęłam drzwi i zaczęłam zbierać rozrzucone części garderoby. Wszystko leżało na podłodze.

— Co ty robisz? — W jej głosie brzmiał niepokój graniczący z paniką.

— Szukam twojej bielizny.

— Co chcesz mi zrobić? — krzyknęła.

— Nic, wszystko w porządku, próbuję po prostu ci pomóc.

— Gdzie moje ubranie? — Gwałtownie obróciła się dookoła, tak że przycisnęła mnie sobą do ściany.

— Mamo, twoje rzeczy są tutaj, spróbuj się uspokoić. Proszę, tu masz swoje majtki. — Podniosłam do góry parę różowych reform. Popatrzyła na nie jak na przedmiot z innej planety.

— Po prostu włóż tutaj nogę — rozpostarłam jedną nogawkę — dobrze, a teraz drugą. — Resztę musiałam zrobić sama.

Uporanie się ze stanikiem, a potem kremową suknią wymagało następnych dziesięciu minut. Gdy wreszcie wylazłam z dusznej kabiny, cała ociekałam potem.

— Źle się czujesz, kochanie? — spytała matka w drodze do samochodu. — Mizernie jakoś wyglądasz.

Roześmiałam się na to, bo co miałam robić?

295

JOY FIELDING

— Mizernie jakoś wyglądasz — powtórzyła. Wiedząc, czego oczekuje, zaśmiałam się znów posłusznie, chociaż niewesoło. Odpadła kolejna częśćka.

— Wczoraj wieczorem dzwoniła do mnie Jo Lynn — oznajmiła po chwili matka.

Zastanowiłam się szybko: czy aby naprawdę wczoraj? Czas stał się dla niej pojęciem względnym. „Wczoraj” mogło równie dobrze znaczyć „w zeszłym tygodniu” albo „w zeszłym roku”.

— Doprawdy? — spytałam ostrożnie.

— Powiedziała, że za tydzień wychodzi za mąż.

— Tak powiedziała? — Tym razem nie udało mi się ukryć zaskoczenia. Czy raczej naglej konsternacji.

— Myślałam, że Jo ma już męża.

— Miała. Jest rozwódką.

— No tak, rzeczywiście. Jak mogłam o tym zapomnieć?

— Jo Lynn trzy razy wychodziła za mąż — przypomniam jej żartobliwie. — Można się w tym pogubić.
— No tak, rzeczywiście.
— Mówiła ci, że ten ślub ma się odbyć w przyszłym tygodniu?
— Chyba tak. Z Danielem Bakerem. Miły chłopak. Ręce mi opadły. Kurczowo ścisnęłam kierownicę.
— Daniel Baker był jej drugim mężem.
— Drugi raz za niego wychodzi?
— Nie. Powiedz mi, czy jesteś pewna tej daty? — To w tej chwili było dla mnie najważniejsze.
— Hm, teraz już nie bardzo. Tak mi się wydawało, ale teraz już nie wiem... A co się stało z Danielem?
— Rozwiedli się, mamo.
— Tak? Dlaczego? Taki miły był z niego chłopak.
— Strasznie ją bił.
— Bił ją? Naszą Jo Lynn?
— Tak, mamo.
— I myśmy mu na to pozwalają? — spytała ze łzami w oczach.
— Niewiele mogliśmy zrobić. Namawialiśmy ją, żeby go rzuciła, ale ona nie chciała nas słuchać.

296

BRAKUJĄCY ELEMENT

— A ja wcale tego nie pamiętam! — wybuchnęła matka. Kilkakrotnie z widoczną frustracją uderzyła się pięścią w kolano. — Dlaczego nic nie pamiętam?
— To było tak dawno — spróbowałam ją uspokoić.
— Jo Lynn w końcu się rozwiodła. Teraz już wszystko w porządku.
Matka zapatrzyła się w okno. Jej palce niespokojnie mięły materiał sukni.
— Co się ze mną dzieje? — spytała wysokim, ptasim głosem. — Co to jest?
Widać było, że nie pamięta rozmowy z dr Caffrey, podczas której lekarka przedstawiła jej kilka hipotez, łącznie z chorobą Alzheimera. Czy był sens tłumaczyć jej znów to wszystko?
— Na razie nic nie wiadomo — powiedziałam w końcu.
— Właśnie dlatego przechodzisz tyle badań. Przyczyny mogą być różne, między innymi fizyczne: na przykład jakiś guz, który blokuje część mózgu. Jeśli tak jest rzeczywiście, trzeba go będzie usunąć. Albo po prostu szwankuje ci pamięć. Wiesz, u ludzi w starszym wieku to się zdarza. Nie musi to być zaraz Alzheimer — dodałam z pośpiechem, pocieszając bardziej siebie niż ją. — Wyobrażam sobie, jak cię denerwują te luki w pamięci, ale nie martw się, mamo. Lekarze wkrótce wykryją przyczynę i miejmy nadzieję, że będzie ją można usunąć. W najgorszym razie... Wiesz, jak szybki jest postęp w medycynie. Lekarstwo może znaleźć się lada dzień... — uspokajająco poklepałam ją po ręku.
Uśmiechnęła się lekko i zamknęła oczy. Po chwili zapadła w drzemkę. Na resztę drogi pozostały mi do towarzystwa tylko własne myśli. Wyzdrowieje, mówiłam sobie. To jakaś chwilowa przypadłość. Minie. Niemożliwe, aby była to rzecz nieodwracalna. Już wkrótce badania coś wykażą. Jakiś niegroźny drobiazg. W pełni uleczalny. Mama znów będzie sobą. Brakujące fragmenty powrócą na miejsce.
Podjechałam na parking przed Domem Pogodnej Jesieni i lekko trąciłam ją w ramię. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się z taką czułością...

297

JOY FIELDING

— Wczoraj wieczorem dzwoniła Jo Lynn — powiedziała. — W przyszłym tygodniu wychodzi za mąż.

- Uspokój się — prosił Larry.
- Nie mów mi, że mam się uspokoić! — rzuciłam z irytacją, przechadzając się tam i z powrotem wzdłuż kontuaru dzielącego pokój od kuchni.
- Jestem pewien, że pani Winchell zrewiduje swoją decyzję.
- A ja jestem pewna, że nie!
- Kate, przestań chodzić! Usiądź, porozmawiajmy.
- O czym? — Na sekundę opadłam na sofę, zaraz jednak podjęłam swój nerwowy spacer, tym razem przed telewizorem. — Nie widziałeś miny tej pani. Trzeba ci było słyszeć jej ton! Oświadczyła mi twardo i zdecydowanie, że nie może ryzykować dalej zdrowiem i życiem swoich podopiecznych. Dom, powiedziała, mógł spłonąć do fundamentów.
- Przesadza.
- Ona jest innego zdania. Twierdzi, że gdyby pan Emerson nie poczuł swądu spalenizny, cały budynek poszedłby z dymem. Przez matkę. Bo zostawiła garnek na gazie. Kiedy to odkryto, już się prawie stopił.
- Każdemu się to zdarza. Sam kiedyś zapomniałem wyłączyć palnik — stwierdził Larry. Ha, użył identycznego argumentu jak ja w rozmowie z panią Winchell.
- Dom Pogodnej Jesieni to nie szpital — przytoczyłam słowa kierowniczkii. — Nie ma wyposażenia koniecznego dla chorych na Alzheimerera. Ani personelu.
- Babcia ma Alzheimerera? — spytała Sara, która weszła akurat do kuchni ze stertą starych papierów.
- Tego jeszcze nie wiemy — odrzekł Larry.
- Co ty robisz? — spytałam mocno zdziwiona tym, że moja córka wyrzuca śmieci.
- Sprzątam pokój.
- Ty sprzątasz? Co ci się stało?
- Straszny tam bałagan. Nie ma się gdzie uczyć.
- Ty się uczysz?

298

BRAKUJĄCY ELEMENT

- Za parę tygodni mam ważny sprawdzian.
- Od kiedy to uczysz się do sprawdzianu?
- Pomyślałam, że warto spróbować — odrzekła, o dziwo!, z uśmiechem. — Czy babcię da się wyleczyć?
- Mam nadzieję — westchnęłam. — Na razie muszę jej znaleźć miejsce w jakimś innym domu.
- Ku memu zdumieniu, wręcz osłupieniu, Sara nagle objęła mnie czule i zaczęła pocieszać:
- Nie martw się, mamu, wszystko będzie dobrze. Przytuliłam ją mocno, kryjąc twarz w zagłębieniu jej pięknej szyi. Ja dobrze było czuć ją znów przy sobie, dotykać jej gładkiej, delikatnej skóry... Teraz dopiero poczułam, jak bardzo mi tego brakowało. Od tak dawna nie pozwalała mi się dotknąć.
- Kocham cię — szepnęłam.
- Ja ciebie też.
- Przez tych parę minut można było myśleć, że naprawdę wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 23

Środowy ranek zastał mnie nad drugą filiżanką kawy. Powolutku smakując każdy łycalek, cieszyłam się perspektywą nadchodzących godzin. Nareszcie dzień bez stresów, dzień dobroci dla samej siebie: o dziesiątej długo oczekiwany i jakże potrzebny masaż ciała, o wpół do dwunastej masaż twarzy, potem fryzjer, manicure i pedicure. Przypomniała mi się matka i te jej paznokcie pomazane szminką... Nie, postanowiłam, nie będę dziś o tym myśleć. Środa to mój dzień, czas relaksu i odnowy sił. Wydawało mi się, że od wieków już chyba nie miałam takiego dnia.

Zadzwoił telefon.

Odebrać?... Już prawie podjęłam decyzję na „nie”, jednak po trzecim sygnale podniosłam w końcu słuchawkę:

— Halo?

— Chciałem ci tylko powiedzieć, jak mile wspominam twoją niedawną wizytę — oznajmił męski głos.

Poczułam bolesny skurcz w karku.

— Kto mówi?! — Och, rozpoznałam ten głos! Colin Friendly!

— Jak tam j-jeziro Osborne?

Nie odpowiedziałam. Instynktownie obiegałam wzrokiem okna i prowadzące do patia szklane drzwi.

— A jak się miewają moje śliczne przyszłe siostrzeni-czki?

300

BRAKUJĄCY ELEMENT

Rzuciłam słuchawkę. Ręce trzęsły mi się z furii.

— Niech cię szlag trafi! — krzyknęłam na całe gardło.

— Żebyś z piekła nie wyjrzał, ty potworze! Wara ci od moich córek! Wybij sobie z głowy te brudne fantazje! — Po chwili zdałam sobie sprawę, że z wściekłości krążę po pokoju, zataczając coraz mniejsze kółka. W końcu zakreśliło mi się w głowie, a kolana zrobiły się miękkie. — Nie zgnoisz mnie, ty draniu! — krzyczałam dalej, osuwając się na krzesło. Przepelniała mnie dzika nienawiść, że śmie mi grozić, że tak podle zabawia się moim kosztem.

— Nie! Nie pozwolę ci na to! Nigdy więcej nie będziesz mnie dręczył!

— Już wyciągnęłam rękę po słuchawkę, gotowa zadzwonić do więzienia i złożyć na niego skargę, gdy telefon odezwał się znowu.

Przez moment gapiłam się w aparat, wreszcie bardzo ostrożnie przyłożyłam słuchawkę do ucha. Pewna, że to znowu on, milczałam.

— Halo? Halo, czy ktoś mnie słyszy? — zapytał kobiecy głos.

— Halo? Pani Winchell?

— Och, czy to pani Sinclair?

Naszła mnie głupia pokusa, żeby powiedzieć „nie”. Pani Sinclair wyszła i wróci dopiero wieczorem, a ja tutaj tylko sprzątam...

— Tak, słucham panią.

— Chciałam spytać, czy udało się pani znaleźć już miejsce dla matki — oznajmiła bez żadnych wstępów.

Powiadomiłam ją grzecznie, iż kontaktowałam się z kilkoma domami opieki, lecz w żadnym w tej chwili nie ma wolnych miejsc. Tonem pełnym współczucia, niemniej bardzo stanowczym poradziła mi poszukać w dalszej okolicy, rekomendując zarazem parę instytucji, których dotąd nie brałam pod uwagę. Jeden z tych domów znajdował się w Boca, drugi w Delray. Boca, oświadczyłam, nie wchodzi w rachubę, za daleko. Mogę ewentualnie obejrzeć ten w Delray.

— Proszę to zrobić. — Nie musiała dodawać „jak najszybciej”, wystarczył sam ton jej głosu.

301

JOY FIELDING

Surowo zakazując sobie myśleć o pani Winchell bądź Colinie Friendlym, wypiliśmy trzecią filiżankę kawy i zabrałam się do siania łóżka. Po wypróbowaniu kilku nowych układów moich czternastu poduszek zdecydowałam się powrócić do pierwotnej ich konfiguracji i wtedy dopiero, kiedy wszystkie' leżały we właściwym szyku, kiedy w dzbanku zabrakło kawy, a w pokoju nic już nie wymagało kosmetyki, zadzwoniłam do Delray, gdzie ku memu zmartwieniu wyznaczono mi z miejsca audiencję. Na dzisiaj. Jeszcze przed południem.

No i diabli wzięli mój dzień! Z przykrością musiałam skreślić wizyty u masażystki, fryzjerki, manikiurzystki. Dlaczego, do licha, wszystkie obowiązki zawsze spadają na mnie! Czy Jo Lynn nie powinna mnie trochę odciążyć? Przynajmniej od czasu do czasu. Ma coś lepszego do roboty? I przecież to także jej matka! Skoro tydzień w tydzień potrafi spędzać tyle godzin w drodze do Starke i z powrotem, może chyba poświęcić te trzydzieści minut na jazdę do Delray! I niech powie swojemu cholernemu psychopacie, żeby zostawił w spokoju mnie i moje córki! Niewiele myśląc, chwyciłam za telefon i wystukałam jej numer. Po raz pierwszy od czasu tej niefortunnej wyprawy do Starke.

— Dzwonił do mnie twój narzeczony — poinformowałam ją krótko, darując sobie powitalne zwroty.

— Tak, wiem.

— Wiedziałaś?

— Mówił mi, że zamierza zadzwonić i przeprosić za jakieś nieporozumienie, które nastąpiło podczas...

— Co? On to nazywa nieporozumieniem? — wykrzyknęłam, nie wierząc własnym uszom.

— Uprzedzałam go, że to strata czasu.

— Jeśli jeszcze kiedykolwiek ośmieli się do mnie dzwonić, złożę skargę u naczelnika więzienia. Postaram się, żeby w ogóle cofnięto mu przywilej korzystania z telefonu — zagroziłam. No proszę, przyszło mi na myśl, jak to łatwo kopnąć leżącego.

— Dziękuję za telefon — lodowato rzuciła moja siostra.

302

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Jeszcze nie skończyłam.

Czekała bez słowa. Łatwo było sobie wyobrazić, z jakim niesmakiem przewraca oczami.

— Pani Winchell nie chce już trzymać matki w Palm Beach Lakes.

— No i co?

— Musimy znaleźć jej jakieś miejsce. Nie raczyła tego skomentować.

— Jestem umówiona na rozmowę w domu opieki w Delray. Nazywa się „Atrium”.

— Ładnie.

— Mam być tam dziś o jedenastej. Powinnaś ze mną pojechać.

— Ani mi się śni.

— Nie interesują cię warunki, w jakich znajdzie się twoja matka?

— Dla mnie może sobie iść do diabła.

— Jo Lynn!

— I ty również. — Połączenie zostało przerwane.

— Jo Lynn... — Po raz drugi rzuciłam słuchawką, która zeskoczyła z widełek, by zawisnąć tuż nad podłogą, zupełnie jak ci narwańcy, co ryzykują życiem na gumowej linie. Z jakiegoś powodu wzmoгло to moją wściekłość. — Co z tobą, ty draństwo? — warknęłam z absurdalną furią. Złapałam słuchawkę, cisnęłam ją na widełki, a sama ciężko klapnęłam na łóżko, wpatrując się tępym wzrokiem w widoczną za oknem wygiętą kokosową palmę. — Że też ja nie mogę mieć normalnej siostry! — krzyknęłam do pustych ścian.

W drodze do Delray nadal tak pomstowałam, zwiększając zarazem szybkość, za co mnie przykładowo ukarano. Funkcjonariusz drogówki kazał mi zjechać na bok, po czym zainkasował mandat.

— Czy zdaje sobie pani sprawę, o ile przekroczyła pani dozwoloną prędkość? — O wiele za mało, pomyślałam.

Pani Sullivan, osoba mniej więcej sześćdziesięcioletnia, miała głos o miłym brzmieniu, twarz okrągłą jak księżyc w pełni, brązowe oczy i włosy i do tego nóżki jak zapałki

303

JOY FIELDING

przy nader okazałej skądinąd posturze. Uprzejmie oprowadziła mnie najpierw po terenie całej posiadłości, bardzo zresztą malowniczym i tak wypielęgnowanym, jakby służył tylko do ozdoby, a potem po samym stosunkowo nowym budynku, białym i niskim, utrzymanym w stylu śródziemnomorskim. Nie wygląda tu jak w domu opieki, usilnie przekonywałam samą siebie, starając się nie zauważać lekkich, acz niewątpliwie szpitalnych woni, nie słyszeć głuchych jęków dobiegających zza drzwi kilku dużych zamkniętych sal, nie widzieć pustych oczu i zaślinionych podbródków licznych pensjonariuszy tkwiących jak kukły w fotelach na kółkach pod ścianami długich

korytarzy.

— Dzień dobry, panie Perpich! — wesoło zawołała kierowniczka. Siwy, bezzębny starzec, sękaty i pokrzywiony jak od dawna uschnięte drzewo, nawet nie drgnął.

Biegłam do samochodu, bijąc się z myślami: mam zostawić matkę w takim miejscu? Niemożliwe.

— Nie bądź głupia — zgromiłam się zaraz głośno, wyszarpując z torebki oporne kluczyki. — Przecież to bardzo przyzwoity dom, znacznie przyjemniejszy od tych, które oglądałaś w Palm Beach. Przypomnij sobie, jakiej to rady udzielasz swoim pacjentkom znajdującym się w podobnych sytuacjach: „Musi pani myśleć o sobie. Pani matce będzie tam lepiej. Znajdzie się pod dobrą opieką. Nie będzie się pani musiała już martwić, że spadnie ze schodów albo że potrąci ją samochód. Czas zająć się własnym życiem.”

Aha, łatwo to mówić!

Jak mogę żyć dalej, gdy kobieta, która dała mi to życie, gaśnie jak dopalająca się świeca? Mam ją skazać na te lśniąco czyste, lecz tak strasznie sterylne korytarze, gdzie całymi godzinami będzie siedzieć w fotelu na kółkach, wpatrzona pustym wzrokiem w przestrzeń? Co jej zostanie? Przeszłość, której nie pamięta? Przyszłość, co nie niesie już żadnej nadziei? Tak, odezwał się głos rozsądku, ale twoja matka może przetrwać jeszcze wiele lat zawieszona między życiem a śmiercią. Potrafisz na tak długo wyrzec się swoich

304

BRAKUJĄCY ELEMENT

planów, ambicji, poświęcić własne życie matce? Wytrzymasz? Nie wiem, ale to moja matka, kocham ją bez względu na to, ile z niej jeszcze zostało—Nie chcę się z nią rozstawać, nie jestem jeszcze gotowa.

Było jednak rzeczą oczywistą, że matka nie może już mieszkać w Palm Beach Lakes, jeśli więc nie umiem się zdecydować na oddanie jej do domu opieki, pozostaje tylko jedno wyjście: musi zamieszkać z nami. Zaczęłam układać w myślach rozmowę z Larrym, wyobrażając sobie, że widzę jego twarz w lusterku:

„Co ty na to, żeby matka zamieszkała na razie u nas?” Oczy robią mu się okrągłe, jest przerażony. „Tylko na jakiś czas. Parę tygodni, najwyżej parę miesięcy. Obiecuję ci, że nie dłużej.”

„Ale przecież do wieczora nie ma cię w domu. Kto się nią zajmie?”

„Możemy zatrudnić opiekunkę. Proszę! Zrobisz to dla mnie?”

Odpowiedź znalazłam. Larry robi wszystko, byle tylko mnie zadowolić. Z początku może nawet mieć tysiąc obiekcji, ale ostatecznie spełni każde moje życzenie.

Co dalej? Jadąc ulicami Delray, raz po raz zadawałam sobie to pytanie, gdy nagle, z nienacka niczym fatamorgana, wyrósł mi przed oczami wieżowiec rozgłośni Roberta. Przypadek? A może celowo wybrałam tę trasę?

— Co za miła niespodzianka! — wykrzyknął Robert na mój widok. Zrobiłam dwa kroki naprzód i usłyszałam, że zamyka drzwi.

Odwrociłam się i... znalazłam się w jego ramionach. Jego urodziwe rysy nagle straciły ostrość, gorące wargi zmiądzły mi usta, a moje ciało... przyłgnęło do niego z tak niesamowitą namiętnością, jakiej nigdy bym nawet nie podejrzewała. „To ja? Nie do wiary!”, huczało mi głowie, podczas gdy moje ramiona oplatały go coraz mocniej.

Kiedy cofnął się o krok, poszłam za nim jak przyciągana przez magnes.

— Czemu nie dałaś mi znać, że przyjedziesz? - Sama nie wiedziałam, że mam taki zamiar.

20 Brakujący element

305

JOY FIELDING

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Za parę minut muszę wyjść. Jestem umówiony na lunch.

— Dłużej i tak bym nie mogła zostać. Pocałował mnie w kącik ust i czubek nosa:

— Gdybym wiedział, dałbym sobie wolne.

— Innym razem.

— Kiedy?

— Co?

— Kiedy konkretnie mam się spodziewać tego „innego razu”? — Musnął wargami moje czoło, policzek, szyję.

— No powiedz, kiedy!

— Nie wiem. Wszystko tak mi się teraz poplątało. Moje życie to jeden wielki bałagan.

— Widać ci to służy. Wyglądasz piekielnie... sexy.

— Piekielnie czy sexy?

— Och ty! Doprowadzasz mnie do szaleństwa i dobrze o tym wiesz!

Pocałował mnie w usta. Gwałtownie i mocno. Czas zatoczył koło. Znow stałam pod murem naszego liceum, przyciśnięta do twardych cegieł, a Robert... Czubek jego języka dotknął mego i zaczął powoli obwodzić go dookoła. Jego kolano rozchyłało moje nogi, a ręka próbowała wśliznąć się pod bluzkę...

— Nie, nie mogę. — Cofając się przed nim, uderzyłam głową o okno i tym brutalnym sposobem wróciłam do rzeczywistości. — Jesteś umówiony — poprawiłam się szybko. Z trudem łapiąc oddech, czym prędzej wcisnęłam na miejsce wyciągniętą na wierzch część bluzki. — Ja też muszę już iść.

— Mamy jeszcze parę minut. — Przycisnął mnie do chłodnej okiennej tafli. — Powiedz mi, czego ty chcesz?

— wyszeptał.

— Nie wiem, czego chcę.

— A ja myślę, że wiesz.

— Więc mi powiedz.

Obdarzył mnie długim, wyrafinowanie łagodnym pocałunkiem, po którym słabnie ciało i wszelki opór.

— Nie, ty mi to powiedz. Chcę wiedzieć, co lubisz.
— Lubię twoje pocałunki — zdobyłam się na wyznanie.
Bardzo powoli oblizwał kontur moich ust.
— Co jeszcze?
— Nie wiem.
— Co mam teraz zrobić? Powiedz!
— Nie wiem.
— Powiedz mi, kiedy się znów zobaczymy?
— Nie wiem.
— W przyszłym tygodniu? Mogę wszystko tak ułożyć, żeby mieć wolną środę. Pojedziemy w jakieś ładne miejsce i będziemy się kochać. Cały dzień.
— W środę nie mogę.
— Możesz.
— Nie. Mam wizytę u lekarza.
— To ją odwołaj.
— Niemożliwe. Tylko w ten sposób mogę skłonić matkę, żeby pozwoliła się zbadać.
Zamknął mi usta pocałunkiem.
— Więc kiedy?
— Nie wiem.
Gwałtownie wypuścił mnie z objęć. Och, doznałam takiego uczucia jak niedawno podczas mammografii: jakby ktoś odrywał mi kawał ciała. Robert wyprostował krawat i uśmiechnął się trochę smutno:
— Coś ci powiem, Kate. Nie jesteśmy już dziećmi. Ja w każdym razie nie umiem już tak się bawić.
— Ja się nie bawię. — Moje ciało tęskniło za nim aż do bólu.
— A co robisz?
— Wszystko to jak dla mnie toczy się trochę zbyt szybko.
— No tak, głupie trzydzieści lat! — uśmiechnął się z własnego żartu. Podszedł do biurka i oparł się o nie, kładąc ręce na marmurowym blacie. — Słuchaj, Kate, nie chcę i nie zamierzam zmuszać cię do czegokolwiek wbrew twojej woli. Jeśli nie chcesz...
— Powiedziałam ci, że nie wiem, czego chcę.

306

307

JOY FIELDING

— Wiesz. Myślę, że wiesz. — Dał się słyszeć brzęczyk interkomu. Robert na pamięć sięgnął do pulpitu i pstryknął którymś z licznych przycisków. — Tak?
— Przyszła pani Melanie Roberts — oznajmiła sekretarka. Jej głos zabrzmiał w pokoju jak wystrzał.
— Niech wejdzie — mruknął niedbale, nie przestając patrzeć mi w oczy. — Następny ruch należy do ciebie, Kate. — Otworzyły się drzwi i w progu stanęła autentycznie piękna rudowłosa kobieta o dużych zmysłowych ustach. — Witaj, Melanie. — Robert z uśmiechem ucałował ją w policzek, zupełnie tak samo jak mnie przed kilkoma minutami. Bezwiednie pogładziłam ręką to miejsce, którego dotykały jego usta, i poczułam, że piecze mnie twarz.
— Spóźniłam się, bardzo przepraszam. — Głos nieznajomej miał miękkie, nieledwie hipnotyczne brzmienie.
— Nie przepraszaj, nic się nie stało. Pozwól, że cię przedstawię mojej wieloletniej przyjaciółce, Kate Sinclair. Znamy się od wieków. Kate, poznaj panią Melanie Roberts. Nie pamiętam, co powiedziała Melanie, zapamiętałam natomiast co innego: nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć tak intensywnie zielonych oczu. Pamiętam również, że zastanawiałam się nad przyczyną, dla której umówili się na ten lunch.

— Nie będę państwu przeszkadzać — wymamrotałam. Tak, chyba tak to brzmiało.
— Mam nadzieję, że się odezwiesz. Wkrótce — powiedział Robert, odprowadzając mnie do drzwi. — Czekam na wiadomość. — Po tych słowach drzwi się zamknęły.
Matka wprowadziła się do nas w piątek wieczorem.
Nastąpiło to po kolejnym incydencie z nieszczęsnym panem Emersonem, który tym razem został zaatakowany własną laską. Po ciężkim uderzeniu w głowę biedak upadł i stracił przytomność. Teraz już zarówno pani Winchell, jak i krewni poszkodowanego stanowczo żądali usunięcia matki z Palm Beach Lakes. Ze strony rodziny było to
308

BRAKUJĄCY ELEMENT

właściwie ultimatum: jeśli ta osoba natychmiast nie opuści domu, zostanie oskarżona o napaść i poważne uszkodzenie ciała.

Moja rodzina uznała bez dyskusji, że trzeba wziąć matkę do nas. Nie było zresztą innego wyjścia, ale na przykład Sara okazała tyle dobrej woli, że samorzutnie zaofiarowała się na czas weekendu odstąpić babci swój pokój. Sama wybierała się do koleżanki, miały uczyć się wspólnie do testu z historii. Tym razem, o nic nie indagowana, podała mi nie tylko nazwisko i adres tej koleżanki, ale pozwoliła — o dziwo! — zadzwonić do jej matki, abym się mogła upewnić, że „wszystko w porządku”.

— Jak myślisz, długo to potrwa? — spytał Larry, zdumiony tą niezwykłą przemianą naszej starszej córki.

— Lepiej nie pytaj. Bierzmy, co dają.

Matka zdezorientowana przeprowadzką dopytywała się co chwila, czy nie powinna już iść do domu. Kiedy jej wyjaśniłam, że pobędzie jakiś czas z nami, stwierdziła: „To świetnie, kochanie”, i w pięć minut później spytała o to samo.

— Doprowadzi cię do obłędu — szepnęła Larry, przechodząc przez pokój z kompletem nowych kijów do golfa.

— Kto to jest? — zdziwiła się matka.

— To Larry, mamó, mój mąż.

— A gdzie on idzie?

— Nigdzie nie idę, mamó. Przygotowuję sobie tylko rzeczy na jutro.

— Mądrze robisz — bąknęła, aczkolwiek widać było po oczach, że nie ma pojęcia, o co chodzi. — Czy to już czas iść do domu?

Około dziesiątej położyłam ją do łóżka i prawie od razu zasnęła... „Śpij dobrze”, szepnęłam, wychodząc z pokoju. Dawniej zęgnęłam tak Sarę.

— Myślisz, że będzie spała do rana? — wyraził wątpliwość Larry, gdy sama wśliznęłam się w pościel.

— Mam nadzieję.

— Dzwoniłaś do pani Sperling?

309

I

JOY FIELDING

— Tak. Powiedziałam, że chcę się po prostu upewnić, czy obecność Sary nie sprawi im jakichś kłopotów.

— I co?

— Uspokoiła mnie, że nie i że gościć Sarę to doprawdy czysta przyjemność.

— Jesteś pewna, że dzwoniłaś pod właściwy numer?

Ze śmiechem ułożyłam głowę w zagłębieniu jego ramienia i z wolna odpłynęłam w sen. O wpół do czwartej coś mnie zbudziło: okazało się, że matka wędruje po domu. Zaprowadziłam ją do łóżka Sary, a sama wróciłam do swego. Nie na długo. Po godzinie zerwałam się znowu. Po

następnej również. O wpół do siódmej doszłam do wniosku, że właściwie mogę się już ubrać, zwłaszcza że Larry o siódmej miał iść na golfa. Matka na jego widok spytała, kim jest ten miły człowiek i dokąd idzie.

W godzinę później Michelle zaofiarowała się zabrać babcię na spacer. Kiedy wyszły z domu, trzymając się za ręce, posłałam nasze łóżko i przeszałam do sypialni Sary. Kołdra i szlafrok matki leżały na podłodze, prześcieradło zwinięte było w kłębek, lecz poza tym w całym pokoju panował wzorowy porządek. Sara zaiste dokonała cudu: podłoga lśniła jak lustro.

Wieszając szlafrok w małej ściennej szafie, nie od razu zauważyłam książki schowane w kącie za ubraniami. Dopiero gdy już miałam zamknąć drzwi, spostrzegłam, że tam leżą. Sama nie wiem, z jakiego powodu postanowiłam przyjrzeć im się bliżej... Co mnie do tego skłoniło? Zdziwienie, bo jak dotąd nigdy nie widziałam w tej szafie książek, czy może podejrzliwość wobec Sary? Nieważne. Ważne, że jedno spojrzenie na tytuły potwierdziło to, co mówił mi jakiś szósty zmysł: podręczniki historii i atlas świata. Czyżby jej nie były potrzebne? Dziwne, poszła przecież uczyć się historii.

Pobiegłam do kuchni dzwonić do Sperlingów. Telefon był zajęty. Odłożyłam słuchawkę i po chwili spróbowałam znowu. To samo. Po pięciu minutach również. Nie bądź głupia, powiedziałam sobie, koleżanka Sary ma te same książki, po co im dwa komplety? A jednak, powodowana

310

BRAKUJĄCY ELEMENT

jakimś przedziwnym uporem, nadal wystukiwałam ten numer. Wciąż był zajęty. Trzask otwieranych drzwi sprawił, że dałam za wygraną.

— Cholera! — wymknęło mi się.

— Co się stało? — spytała Michelle z holu.

— Muszę wyjść na kilka minut — zawołałam, biegnąc do pokoju Sary. Nie szkodzi, jeśli książki okażą się niepotrzebne. Odbędę po prostu małą przejażdżkę. Poprosiłam Michelle o opiekę nad babcią, zapewniłam matkę, że zaraz wracam, i galopem pognałam do samochodu. W drodze do Sperlingów nadal przemawiałam sobie do rozsądku: Nie bądź śmieszna, nie widzisz, że to głupota? Znalazłaś książki, no i co? To nie to samo co pudełka po papierosach czy flaszki z piwem. Sara nie ma powodu cię oszukiwać. Bardzo się zmieniła. A jeśli nie? Daj spokój! Rozmawiałaś przecież z panią Sperling! Czyż nie mówiła, że oczekuje Sary i że gościć ją to przyjemność?

Sperlingowie mieszkali w zamkniętym osiedlu rodzin wojskowych położonym nad Admiral's Cove nieopodal PGA Boulevard. Zatrzymałam samochód przed główną bramą, aby podać nazwisko strażnikowi, który na widok wozu wyłonił się z budki.

— Niestety, nie mam tu pani nazwiska — odrzekł po przestudiowaniu jakiejś listy.

— Nie jestem umówiona z państwem Sperling, ale moja córka spędza u nich weekend i właśnie zauważyłam, że nie wzięła książek.

— Proszę minutkę poczekać. — Wrócił do budki i zaczął dzwonić. Po chwili oznajmił, że numer jest zajęty. — Zechce pani zjechać na bok, spróbuję za parę minut.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zaparkować we wskazanym miejscu i czekać. Długo to trwało. Kto, na Boga, gada tyle czasu? Z minutki zrobiło się dziesięć. Jedź do domu, podpowiadał mi rozum, widocznie te książki nie są jej potrzebne. Co chcesz udowodnić? Sara pomyśli, że jej nie ufasz i będzie wściekła. Chyba tego nie chcesz? Zwłaszcza teraz gdy wasze stosunki zaczęły się dobrze układać? Niepewnie spojrzałam na strażnika: rozmawiał właśnie

311

JOY FIELDING

przez telefon. Już chciałam dać mu znak, że odjeżdżam, kiedy odłożył słuchawkę i wyszedł z budki:

— Pani Sperling powiada, że pani córki tu nie ma. Proszę, może pani z nią porozmawiać.

— Nic nie rozumiem — powiedziała pani Sperling, gdy podeszłam do telefonu. — Owszem, Sara była u nas wczoraj, ale ledwo przyjechała, ktoś do niej zadzwonił. Mówiła, że to pani i że musi wracać do domu, bo coś stało się babci. Pani podobno miała czekać na nią przed bramą.

— Zaniemówiłam. — Strasznie mi przykro — kontynuowała moja rozmówczyni — doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Myśli pani, że coś jej się stało?

— Nie, jestem pewna, że nie — odrzekłam martwym głosem. I tak się czułam. Jakby mnie ktoś przeżuł i wypluł.

— Czy domyśla się pani, gdzie może być Sara?

— Tak, wiem dokładnie, gdzie ona jest. — Oddałam słuchawkę wartownikowi i poszłam do samochodu. Gdy usiadłam za kierownicą, zobaczyłam w lusterku, że oczy mam równie martwe jak głos. — Jest na weselu.

ROZDZIAŁ 24

Ta scena jest jak zły sen. Brak jej ciągłości, poszczególne obrazy to mieszają się z sobą, to znów urywają nagle w takich miejscach, że między jednym a drugim nie widać żadnego związku, przez co całość pozbawiona jest wewnętrznej logiki, jak źle zmontowany film. Widzę swoją siostrę w białej sukni ślubnej, krótkiej, lecz zarazem zadziwiająco tradycyjnej, i opuszczonym na twarz welo-niku, spod którego przebija zwycięsko jej uśmiech, promienny jak samo słońce. Widzę Colina Friendly'ego w niebieskich drelichowych spodniach i pomarańczowej koszulce skazańca; śmieje się do swojej oblubienicy, lecz jego spojrzenie biegnie ku idącej z tyłu młodsiutkiej pięknej dziewczynie. Ubrana jest w czarno-białą bluzkę i takież sweter, włosy również ma w tych dwóch kolorach. Czarne macki odrostów sięgają głęboko między jasne loki. Jej wielkie zielone oczy błyszczą ciekawością, na ustach igra niepewny uśmieszek.

Zbliżenia — jak przy najeździe kamery — oczu, ust, piersi, dłoni, zębów.

Kapelan w okularach dzierży w ręku Biblię. Po obu jego stronach kilku mężczyzn w regulaminowych więziennych drelichach.

Kolejne zbliżenia: stoliki i krzesła z nierdzewnej stali przyśrubowane do linoleum, ludzkie nogi od łydek w dół, różne fasony obuwia: pantofle na wysokich obcasach,

313

JOY FIELDING

czarne półbuty, brązowe mokasyny, więzienne trzewiki na zdartych gumowych podszwach.

Ogarnia mnie bezsilna rozpacz, gdy kapelan otwiera usta i zaczyna mówić.

„Czy bierzesz sobie tę oto kobietę”...

Czy nikt tego nie powstrzyma?

„Czy bierzesz sobie tego oto mężczyznę”...

Uciekaj! Prędeży! Za chwilę będzie za późno!

„Jeżeli ktoś z obecnych zna powód, dla którego ten mężczyzna i ta kobieta”...

Czy wszyscy tu powariowali? Dlaczego nikt się nie sprzeciwia?

„Niech wyjawi go teraz albo zamilknie na zawsze.”

Krzyczę. Dlaczego nikt mnie nie słyszy?

On mnie słyszy, Colin. Opuszczone ręce zaciskają się w pięści. Zimne niebieskie oczy zwężają się z nienawiści.

Widzę długie wymanikiowane palce z różowymi paznokciami w odcieniu balonowej gumy do żucia. Otwierają się pięści. Męska dłoń wsuwa wąskie złote kółeczko na czwarty palec kobiecej ręki. Ręka ta dumnie demonstruje zebrany obrączkę.

Efekty dźwiękowe: ochy, achy, śmiech. Ktoś intonuje „She'll Be Coming 'Round the Mountain”.

„Mocą nadaną mi przez stan Floryda”...

Nie rób tego! Wciąż jeszcze możesz uciec!

„Ogłaszam was mężem i żoną.”

Na ścianie za plecami nowożeńców bezgłośnie tyka zegar bez tarczy.

„Możesz pocałować pannę młodą.”

Łączą się usta. Dwa ciała w ciasnym uścisku.

Znów śmiechy, okrzyki, gratulacje.

Pan młody wydaje okrzyk triumfu, Jo Lynn ze śmiechem chwyta w objęcia swoją siostrzenicę.

Friendly kiwa na Sarę, by podeszła bliżej. Jesteśmy teraz rodziną, mówi.

Tak, odpowiada moja córka. Widząc ją w ramionach mordercy, chwytam się za głowę i z całych sił ściskam skronie, by przegnać te sceny sprzed oczu. Precz!

i

BRAKUJĄCY ELEMENT

Oczywiście nie wiem, czy dokładnie tak to wyglądało. Nie brałam udziału w ceremonii ślubnej ani nigdy nie pytałam o szczegóły. Wiem tylko, że ślub się odbył, że Jo Lynn złożyła przysięgę małżeńską mordercy, a Sara wystąpiła w roli druhny. Wiem również, że za świadków służyli więźniowie, z których jeden zaintonował jakąś pieśń, i że wszystko odbyło się zgodnie z prawem, tak więc moja siostra formalnie znów jest zamężna.

Wszystkie popołudniówki obszernie odnotowały to wydarzenie. Zdjęcie Jo Lynn w ślubnej sukni ukazało się na pierwszej stronie „Enquirer”. Na innym, zamieszczonym w środku numeru, utrwalono ją w chwili, gdy dumnie prezentuje obrączkę — nabytą przez siebie za własne pieniądze. „Jak tylko Colin stąd wyjdzie — przytoczono poniżej jej słowa — kupi mi diamentową. To jest małżeństwo na zawsze”.

„Dopóki nas śmierć nie rozłączy”...

Reporterom zabroniono wstępu do więzienia, nie było więc na szczęście zdjęć Sary, aczkolwiek pojawiła się wzmianka o siostrzenicy, który to fakt świadczył zdaniem sprawozdawcy o pełnym poparciu rodziny panny młodej zarówno dla niej samej, jak i jej wyboru.

„Zawsze marzyłam o takim ślubie — paplała Jo Lynn. — Skromnym i pięknym. W tej sali było tyle miłości! Ona starczyła za wszystko!”

Dalej następował krótki, acz treściwy opis trzech jej poprzednich małżeństw uzupełniony wywiadem z Andrew MacInnesem, mężem numer jeden. Scharakteryzował on swoją byłą połowicę jako osobę nieobliczalną i trochę szaloną. Taka żona to istny krzyż Pański dla każdego mężczyzny. Dyskretnie wszelako pominął fakt, iż osobiście starał się wyplenić z niej te cechy za pomocą bicia do nieprzytomności.

Przypomniano czytelnikom całą historię uczuć mojej siostry do człowieka siedzącego na ławie oskarżonych, podkreślając jej absolutną lojalność i wzruszająco niezachwianą wiarę w niewinność ukochanego. Gdyby ktoś nie wiedział, że ów człowiek torturował i zabił trzysta kobiet

315

JOY FIELDING

i że ciąży na nim podejrzenie o zabójstwo jeszcze kilku innych, mógłby pomyśleć, że czyta tragiczną opowieść o losach współczesnych Romea i Julii.

Nie znaczy to, że pominięto zbrodniczą kartotekę oblubieńca. Szczegółowy opis jego wyrafinowanych okrucieństw wypełnił aż kilka stron. Pod zdjęciem ukazującym profil jego nowo poślubionej żony sumiennie odnotowano szczególne upodobanie Friendly'ego do łamania swym ofiarom nosów. W trakcie zeznań przed sądem kilku psychologów wiązało to z jego dzieciństwem, z tym, że iż matka brutalnie karała chłopca za brak higieny, wciskając mu jak szczeniakowi nos we własne siuski. Ci sami eksperci starali się teraz określić motywy, które zadecydowały o małżeństwie niecodziennej pary zakochanych. Friendly'emu przypisywano chęć ustatkowania się, pragnienie przyjaźni, dążenie do poprawy wizerunku, Jo Lynn natomiast pragnienie zdobycia rozgłosu, jak również typowy kompleks ofiary. Pronozy dotyczące trwałości małżeństwa były sprzeczne, jeden z ekspertów stwierdził wszakże, iż „ma ono te same szansę co każde inne”.

W sobotę po południu, zaraz po wizycie u Sperlingów, zadzwoniłam do więzienia, licząc, że zdołam jakoś przekonać władze, by cofnęły pozwolenie na ślub, niestety, ceremonia już się odbyła. Jo Lynn wyjechała, Colin Friendly wrócił do celi.

Całą noc czekałam na Sarę, choć było przecież rzeczą jasną, że nie wróci wcześniej, niż zapowiedziała, to znaczy w niedzielę wieczorem. Jakżeby inaczej! Musiała wszak udawać, że ciężko pracuje!

— Chodź do łóżka — namawiał mnie Larry. — Potrzebujesz snu. Wczoraj też prawie nie zmrzyłaś oka.

— I tak nie zasnę.

— Spróbuj.

- Nie, Sara może wrócić.
- Na pewno nie.
- Nie wiadomo.
- Ciekawe, co jej powiesz, kiedy wróci.

316

BRAKUJĄCY ELEMENT

- Nie wiem.

Faktycznie żaden mądry pomysł nie przychodził mi do głowy. Wszystko już było. Co za sens powtarzać po raz setny, że kłamstwa niszczą zaufanie i że choć nigdy nie przestanę jej kochać, to z każdym dniem mniej ją lubię? Że coraz nam trudniej wierzyć jej słowom, bo do cna wyczerpała całą naszą dobrą wolę — moją i swego ojca? Wcale jej nie zależało ani na naszym zaufaniu, ani akceptacji. Pytanie, dlaczego nic sobie nie robi z naszego wyraźnego zakazu kontaktowania się z Jo Lynn i Colinem Friendlym, było równie bezprzedmiotowe. Ostatnia awantura na ten temat odniosła jedynie ten skutek, że nauczyła się zreźniej kłamać.

Ogarnęła mnie zgroza, kiedy sobie uprzytomniłam, jak świetnie potrafiła mną manipulować. Sprzątanie pokoju, przykładne odrabianie lekcji, pomoc przy pracach domowych, miły uśmiech, wszystko to było po prostu sypaniem mi piasku w oczy. I ten uścisk, kiedy to tak serdecznie pocieszała mnie w związku z chorobą babci! A ja jej uwierzyłam! Co tu mówić, dosłownie zalała mnie czułość. Karmiłam się tym uczuciem przez tyle dni. Ach, odzyskałam swoją córeczkę!

Odzyskałam! Był to zwykły podstęp obliczony na uśpienie mojej czujności, i jaki udany! Oczywiście, kochanie, możesz iść do koleżanki i zostać u niej na weekend. Widzę, jak ciężko pracujesz, jak ci zależy na tym sprawdzianie. Idź, złotko, tylko się zanadto nie przemęczaj.

Usłyszałam szelest i do pokoju wsunęła się Michelle, zaspana, z półprzymkniętymi oczami.

- Czy coś się stało, mamusiu?
- Nie, złotko, po prostu nie mogę spać.
- Martwisz się o babcię?
- Trochę.
- Zaglądałam do niej. Śpi smacznie.
- Dziękuję ci, laleczko.
- Przykryłam ją, bo zrzuciła kołdrę na podłogę.
- Dobre z ciebie dziecko.

Usiadła obok na sofie przytulona do mego boku.

317

JOY FIELDING

- Chyba już wiem, kim będę, gdy dorosnę — oświadczyła takim tonem, jakby rozmowa na ten temat o trzeciej nad ranem była czymś najnormalniejszym w świecie.
- Tak? Kim?
- Pisarką.
- Doprawdy? A co będziesz pisać?
- Chyba powieści. A może sztuki teatralne.
- Świetny pomysł. Będziesz wspaniałą pisarką.
- Tak uważasz? Dlaczego?
- Bo jesteś wrażliwa, spostrzegawcza i śliczna.
- Och — mruknęła — do tego, żeby być pisarką, uroda nie jest potrzebna.
- Chciałam powiedzieć, że masz piękną duszę. Piękne wnętrze to ważna rzecz u pisarza.
- Najpierw naturalnie skończę studia.
- Bardzo mądrze, dziecinko.
- Myślę o Brown albo nawet o Yale. Uważasz, że jestem dość inteligentna, żeby dostać się do któregoś college'u Ivy League?

— Och, jestem pewna, że przyjmą cię tam z otwartymi ramionami.

Odgarnęłam jej z buzi kosmyk miękkich włosów, delikatnie pocałowałam w czoło i znów popatrzyłam w stronę drzwi. Jakim cudem dochowałam się dwóch córek tak kompletnie do siebie niepodobnych? Jak to się dzieje, że dzieci tych samych rodziców, wychowane w identycznych warunkach i według tych samych zasad potrafią różnić się od siebie jak dzień od nocy?

I tak to wyglądało od początku. Sara była bardzo trudnym dzieckiem. Michelle najśłodszym i najspokojniejszym, jakie można sobie wyobrazić. Jedna wymagała ode mnie poświęcania jej całej uwagi, druga była wdzięczna, gdy się ją zauważyło. Sara co parę godzin darła się o butelkę, Michelle cierpliwie czekała, jeśli nawet się trochę spóźniłam. Sara mimo wszelkich wysiłków nie nauczyła się nawet najprostszych zasad higieny, siusiała w majtki prawie do siedmiu lat, podczas gdy Michelle nie zdarzyło się to nigdy, odkąd ukończyła trzynaście

318

BRAKUJĄCY ELEMENT

miesiący. Nie ma się więc czemu dziwić. Były inne i nic się tu nie zmieniło.

— Myślisz o Sarze, prawda? — zagadnęła mnie nagle Michelle.

Na moment przymknęłam oczy, myśląc z prawdziwą przykrością, że nawet po ciemku tak niesłychanie łatwo jest mnie rozszyfrować.

— Przepraszam cię, złotko.

— Nie martw się o nią, mamó. Sarze nic się nie stało. Pogłodziłam ją po rączce:

— Wiem, kochanie.

— U Robin jej nie ma, prawda?

— Prawda.

— Tak przypuszczałam.

— Dlaczego? Czyżby ci mówiła, dokąd się wybiera?

— Nie — Michelle energicznie pokręciła głową. — Chciała ode mnie pożyczyć ten czarno-biały top, wiesz, ten, do którego mara taki sam sweter. </

— Przecież byłby na nią za mały.

— Ona lubi obcisłe rzeczy.

— I co jej powiedziałaś?

— Odmówiłam. Spytałam, po co chce się stroić. Żeby uczyć się z koleżanką?

— A ona?

— Nazwała mnie głupią suką.

— Co takiego?!

— Nie szkodzi. Jestem przyzwyczajona.

— Jak to?

— Wciąż nazywa mnie głupią suką. Czasami jeszcze gorzej. •

Znów ogarnęła mnie zgroza.

— Kochanie, dlaczego nic nie mówiłaś?

— Bo z takimi rzeczami powinnam radzić sobie sama, wciąż przecież mi to powtarzasz. I że tak naprawdę Sara bardzo mnie kocha, a ja jestem dość inteligentna, żeby umieć z nią postępować.

Uśmiechnęłam się smutno. Cóż, prawda, że tak mówiłam, ale wtedy jeszcze nie znałam ostatniego wyczynu Sary.

319

JOY FIELDING

Czy mogłam przypuszczać, że zechce zostać druzną na ślubie seryjnego mordercy? Po tym, co zrobiła, niczego nie byłam już pewna. Chyba naprawdę nic nie wiem o świecie i ludziach.

— Strasznie mi przykro, złotko. Nie zasługujesz na takie traktowanie. Sara nie ma prawa

obrzucać cię wyzwiskami.

— Nie miała też prawa brać mojej bluzki i swetra, a jednak je wzięła.

— Mimo że jej odmówiłaś?

— Właśnie. Szukałam wszędzie, nigdzie ich nie ma. Brakuje też trzech moich taśm.

— Naprawdę?

— Tak. Z nagraniami „Ninę Inch Nails”, Alanis Morissette i Mariah Carey.

— Mój Boże!

— Och, na pewno je odda, tyle że do niczego nie będą się już nadawały. Bluzka i sweter także. Rozciągnięte o dwadzieścia centymetrów i śmierdzące papierosami.

— Kupię ci nowe.

— Nie trzeba, mam. Niech ona po prostu przestanie brać moje rzeczy.

— Porozmawiam z nią.

— I co to da?

— Może jednak poskutkuje.

— A czy chociaż raz poskutkowało?

— Wobec tego już nie wiem, co bym mogła zrobić — wyznałam po chwili milczenia.

— Może by wmontować zamek do mojej szafy? Popatrzyłam z podziwem na to moje dziecko: jakże ona

praktycznie myśli!

— Tak, to możemy zrobić.

— To dobrze.

— Ależ z ciebie mądrała! Skąd ci się to bierze?

Michelle uśmiechnęła się lekko.

— Mogę ci powiedzieć coś strasznego?

— Czy to coś bardzo strasznego? — spytałam, wstrzymując oddech.

320

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Bardzo.

— O Sarze?

— Nie, o mnie.

To chyba niemożliwe, pomyślałam z przedziwną mieszaniną ulgi i strachu, żeby moja Michelle mogła zrobić coś naprawdę okropnego. Ale jeśli jednak... jeśli coś takiego ukrywa... czy chcę się tego dowiedzieć? Teraz, w tym momencie?

— Cóż to takiego?

Przez sekundę milczała; widać było, że się waha.

— Nie musisz mi mówić — szepnęłam z cichą nadzieją.

— Są chwile, gdy jej nienawidzę — wyznała.

— Kogo?

— Sary. Czasem jej nie cierpię.

Tylko tyle? Odetchnęłam. Więc to jest ta straszna rzecz?

— Nienawidzisz siostry...

— Czasami. Czy to nie znaczy, że naprawdę jestem złym człowiekiem?

— To znaczy, że jesteś zupełnie normalna.

— Więc to normalne nienawidzić rodzonej siostry?

— Jeśli ktoś cię okrada i do tego obrzuca stekiem wyzwisk, nic dziwnego, że reagujesz na to gniewem.

— Och, to coś więcej niż gniew. Wiesz, ja czasami okropnie jej nienawidzę, naprawdę.

— Coś ci powiem: ja też.

Objęła mnie w pół i mocno przytuliła. Pocałowałam ją w czubek głowy, myśląc, że zraniono nas w ten sam sposób.

Towarzyszki niedoli...

— Czy mogę ci jeszcze coś wyznać? — spytała Michelle drżącym głosem. Oczy jej weszły łzami.

— Oczywiście, dziecinko, możesz mi wszystko powiedzieć.

— Byłam wtedy w piątej klasie — zaczęła z widocznym wysiłkiem — i na ferie Bożego Narodzenia mój nauczyciel, pan Fisher, powierzył mi kokon motyla. Miałam się nim opiekować, pamiętasz?

— Pamiętam.

21 Brakujący element

321

JOY FIELDING

Przyniosła wtedy do domu szklany słoik z przyczepioną do patyczka poczwarką jakiegoś motyla. Pamiętam, że była ogromnie przejęta. Wciąż zaglądała do klosza, aby sprawdzić, czy motyl rozwija się prawidłowo, czy ma wszystko, czego mu trzeba, słowem, troszczyła się o tę poczwarkę jak czuła matka o swe nowo narodzone dziecko. Pewnego dnia zaczęło jej się wydawać, że coś tam jest nie w porządku.

„Kokon chyba powinien być wyżej” — doszła do wniosku.

„Nie ruszaj go, niech zostanie, gdzie jest” — poradziła jej Sara.

„Myślę, że powinien być wyżej” — uparła się Michelle, zapuszczając rękę do słoja. Przesunęła kokon i dodała z zadowoleniem: — „Teraz jest lepiej”.

Gdy po świętach z dumą odniosła słoik do szkoły, nauczyciel stwierdził, że motyl nie żyje i że stało się to wskutek przemieszczenia kokonu. „To się zdarza — pocieszył Michelle — nie obwiniaj się, dziecko.”

— Ale mam — wyznała mi teraz z buzią mokrą od łez — to była moja wina! Poruszyłam ten kokon i motyl zginął. Sara miała rację.

— Och moje ty słodkie maleństwo!

— Ostrzegę cię i co? Nie chciałam jej słuchać.

— I tyle lat cię to gryzie?

— Nie wiesz najgorszego! Nigdy nie przyznałam się panu Fisherowi, że to ja przesunęłam poczwarkę — chlipnęła.

Zaczęłam kołysać ją łagodnie, jak wtedy gdy była malutka.

— Cudownie by było — powiedziałam bardziej do siebie niż do niej — gdybyśmy mogli cofnąć się w czasie i poprawić popełnione błędy.

Michelle głośno pociągnęła nosem:

— Tak, ale to niemożliwe.

— Kto wie, może to i lepiej? Pomyśl, gdybyśmy mogli poprawiać przeszłość, byłoby z tym tyle roboty, że pewnie nie starczyłoby nam czasu na dzień dzisiejszy.

322

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Co byś poprawiła? — spytała ciekawie.

— Ojej! Odpowiedź jest zbyt trudna, zwłaszcza o tej porze. Nie warto zresztą zadrećcać się takimi pytaniami. Nie ma z tego nic prócz bólu. Wszyscy popełniamy błędy. Cała sztuka polega

na tym, żeby postępować jak najlepiej, tak jak każe nam serce i rozum.

— Myślę, że ty to potrafisz — stwierdziła wspaniałomyślnie.

— Dziękuję, złotko. Czy już ci mówiłam, że chciałabym być dokładnie taka jak ty, gdy dorosnę? — zażartowałam.

Roześmiała się przez łzy, znów pociągnęła nosem i objęła mnie jeszcze mocniej.

Odwróciłyśmy się obie, słysząc czyjeś kroki. Z mroku wyłoniła się moja matka. Wyglądała jak duch w swojej białej flanelowej koszuli, z twarzą poznaczoną mętnym światłem księżyca, który zbliżał się właśnie do pełni.

— Witaj, kochanie. — Podeszła do sofy i usiadła po drugiej mojej stronie. — Czy to już czas wstawać?

— Nie, babciu. Jest dopiero trzecia w nocy — poinformowała ją Michelle.

— Tak, oczywiście.

— Powinnyśmy wszystkie być w łóżkach. Matka rozejrzała się dookoła:

— Gdzie jest twój ojciec?

— Śpi.

— Gdzie jest twój ojciec? — powtórzyła. Zrozumiałam, że zwraca się do mnie.

— Nie żyje, mamo — przypomniałam jej łagodnie.

— Tak — potwierdziła, kiwając głową. — Pamiętam. Jedliśmy kolację. Kończyliśmy akurat deser, gdy twój ojciec wstał po szklankę mleka i powiedział, że czuje piekielny ból głowy. Tak właśnie powiedział: „piekielny ból głowy”. Pamiętam to dobrze, bo nigdy nie kłął.

— „Piekielny” to nie jest przekleństwo — wtrąciła Michelle.

— Nie jest?

— Teraz nie.

323

JOY FIELDING

— Ale wtedy było — oświadczyła matka z taką stanowczością, że wprawilo mnie to w zdumienie.

Umilkłyśmy wszystkie. Trzy pokolenia kobiet — przeszłość, teraźniejszość i przyszłość — skulone w mroku na kanapie. Chyba jeszcze nigdy nie czułam się tak bezradna.

Boże, zaczęłam się modlić, ześlij mi spokój, abym mogła zaakceptować to, czego nie da się zmienić, siłę, która pozwoli mi zmienić to, co można, i mądrość, bym umiała rozpoznać, co da się zmienić, a co nie.

ROZDZIAŁ 25

Nie ma chyba potrzeby mówić, że tej nocy w ogóle nie spałam. Larry o ósmej rano zastał mnie samą na sofie z otwartymi oczami i szklistym spojrzeniem zwróconym w stronę frontowych drzwi. Kiedy zostałam sama? Przypominałam sobie mgliście, że w pewnym momencie Michelle odprowadziła babcię do łóżka, pocałowała mnie w czoło i znikła. I to właściwie wszystko. Reszta miłosiernie gdzieś się rozplynęła. Nie pamiętałam ani upływu godzin, ani kiedy czerń nieba przeszła w szarość, a szarość w błękit. Po prostu nagle zdałam sobie sprawę, że to już następny dzień.

— Hej, zabawna buzio, przesiedziałaś tu całą noc? — zawołał Larry, sadowiąc się obok. Poduszki ugięły się pod nim (odebrałam to jako przykrość), a szorstki materiał szlafroka nieprzyjemnie drasnął moje gołe ramię.

Odwrociłam się szybko, aby uciec przed dźwiękiem jego głosu. Słysząc w nim było tyle zmartwienia i troski, że wprost namacalnie odczułam ich ciężar. Jakby wielki kamień zwałił mi się na kolana.

— Przecież wiesz, że Sarze nic nie jest. Głowę daję, że ona spała jak suseł.

— Tak, wiem.

— Połóż się na godzinkę. Może spotka cię niespodzianka: zaśniesz, ani się obejrzysz.

— Nie lubię niespodzianek. — Wykrętnie udałam, że umknęły mi jego dobre intencje.

325

JOY FIELDING

— Nie bądź taka. Wiesz, co mam na myśli. Kiwnęłam głową, ale nie ruszyłam się z miejsca.

— Wydaje ci się, że poradzisz sobie z Sarą po dwóch nie przespanych nocach? Nawet o tym nie myśl.

— Dam sobie radę.

— Postanowiłaś już, co z nią zrobić?

— Oprócz tego, żeby ją zastrzelić?

— Strzelanie owszem, to mi się podoba — rzucił z uśmiechem, na co uśmiechnęłam się także.

— Wiesz, przemyślałem sprawę i chciałbym ci przedstawić kilka wniosków. Oczywiście jeśli cię to interesuje — dodał.

— Możemy pogadać o tym później?

— A ty możesz mi przyrzec, że dopóki nie wrócę, nie będziesz rozmawiać z Sarą?

— Wychodzisz? Dokąd?

— Na golfa, mówiłem ci przecież. Zaczynam o dziewiątej dwadzieścia jeden,

— Dwadzieścia jeden?

— Gry zaczynają się co siedem minut.

Pokręciłam głową z udanym podziwem. Nie interesowało mnie to ani trochę, łatwiej było jednak — i dużo bezpieczniej — mówić o golfie niż o naszej córce.

— Mogę nie iść — zaofiarował się Larry.

— Czemu miałbyś nie iść?

— Jeśli wolisz, żebym został w domu...

— Nie, dlaczego?

— Może potrzebujesz towarzystwa... Nie chcesz być sama.

— Nie jestem sama.

— Miałem na myśli moje towarzystwo.

— Nie martw się o mnie. — Zmusiłam się do uśmiechu. — Idź i spraw się dobrze. Zalicz najwyżej sto punktów.

Mój mąż podniósł się z kanapy, ale jego ruchy wyraźnie świadczyły, że się waha. Aż dziw, jak wiernie ludzkie ciało odzwierciedla czyjś stan umysłu.

— Wrócę o drugiej, Kate. Może potem pójdziemy do kina?

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Może.

Przeprosił i poszedł się ubrać. Ja poczłapałam do kuchni zaparzyć kawę. Cały wielki dzbanek. W godzinę później, kiedy Larry już pewnie dojeżdżał na miejsce, dopijałam czwartą filiżankę. Michelle i matka, jak stwierdziłam z ulgą, nadal smacznie spały, postanowiłam więc i ja się położyć. Może Larry ma rację, może parę godzin snu przywróci światu właściwe proporcje, a mnie odrobinę optymizmu, bo o wierze i zaufaniu nie ma już nawet co mówić...

Cóż, kiedy w żaden sposób nie mogłam zasnąć, cztery kawy zrobiły swoje. Po trzydziestu minutach przewracania się z boku na bok, w czasie których zdążyłam naliczyć tyle owiec, że można by nimi obdzielić wszystkich chętnych po obu stronach Atlantyku, wstałam i poszłam pod prysznic, skąd wyłoniłam się po dalszych dwudziestu minutach we wcale nie lepszym nastroju.

Larry wrócił zaraz po drugiej, uzyskawszy dość kiepski wynik, bo całe 104 punkty, i znalazł mnie prawie w tej samej pozycji co kilka godzin temu.

— Widzę, że się przebrałaś — zauważył melancholijnie — stąd wniosek, że nie siedziałaś tu cały czas. Dobre i to. Przejrzałaś gazetę?

— Po co?

— Żeby sprawdzić, co grają w kinach.

— Nie pójdę do kina. Nie mogę.

— Czemu?

— Co mam zrobić z matką? Zostawić ją z Michelle?

— Pójdą z nami.

— A co z Sarą?

— Jej nie zapraszam. No chodź — zaczął się do mnie przymilać. — Obejrzymy sobie film, a potem wpadniemy do „Chili”. Wiesz, jak Michelle uwielbia fajitę.

— A jak Sara wróci, kiedy nas nie będzie?

— Niech teraz dla odmiany ona sobie poczeka.

— Nie, to mi się nie podoba. Nie jest to dobry pomysł.

— Jaki? — spytała Michelle, która właśnie wsunęła się do pokoju i ciężko klapnęła na drugą sofę, opuszczając luźno długie, chude ręce między równie chude i długie nogi.

327

JOY FIELDING

— Właśnie zaproponowałam mamie, żebyśmy poszli na czwartą do kina, a potem coś zjeść.

— Do „Chili”? — Natychmiast się ożywiła.

— Na wielką porcję fajity. Zerknij do gazety, co grają, porozmawiaj z babcią i wybierzcie sobie jakiś film.

Michelle nie trzeba było dwa razy tego powtarzać.

— Babciu — zawołała już w biegu — idziemy do kina!

— Ja nie idę, już ci mówiłam. Nie mogę.

— Możesz!

— No więc dobrze: nie chcę.

— Wolisz tu siedzieć i zamartwiać się na śmierć, dopóki ta smarkula nie raczy wrócić?

— Muszę trochę pomyśleć.

— Myślałaś przez dwadzieścia cztery godziny i co ci to pomogło?

— Nie rozumiesz...

— Czego nie rozumiem?

— Tego, że w tej chwili pójście do kina nie jest dla mnie sprawą najważniejszą. Są rzeczy,

które stawiam o wiele wyżej na liście swoich priorytetów.

— Może więc powinnaś zrewidować tę listę.

— Co?

— Powiedziałem wyraźnie.

— Nasza córka nas oszukuje, znika sobie na cały weekend, a ty każesz mi iść do kina! Dla ciebie to jest najważniejsze?

— Na rozprawę z Sarą będzie dość czasu później.

Teraz jesteś tak spięta...

— Nic podobnego. Nie wmawiaj mi, że jestem spięta! Jakbyś wiedział, co czuję! Nie masz o tym bladego pojęcia!

— Więc mi powiedz — poprosił, siadając obok. Natychmiast zerwałam się z sofy.

— Jestem sfrustrowana, rozumiesz? Sfrustrowana, urażona i wściekła! — Wprost wyplułam z siebie te słowa, chodząc w tę i z powrotem pomiędzy dwiema sofami. Gdzieś w klatce piersiowej wzbierało mi to dobrze znane, nieznośne uczucie niepokoju. Jak szczur, co lada chwila

328

BRAKUJĄCY ELEMENT

może się wyrwać z pułapki. — Cholera mnie bierze, gdy pomyślę, że tak jej wierzyłam, okazałam tyle zaufania, a ona... ona znów mnie oszukała! I to jak! Uwierzyłam we wszystkie jej kłamstwa! Dlaczego? Czy jestem aż taka głupia? Wystarczy, że się do mnie uśmiechnie, a ja kupię

każdy jej wymysł?

— Jesteś jej matką — powiedział po prostu.

— Jestem skończoną idiotką — krzyknęłam z furją — a ona cholerną kłamczuchą! Jednym wielkim kłamstwem!

— Pytam cię po raz drugi: czy uważasz, że w takim stanie możesz z nią rozmawiać? Miał rację, ale co z tego?

— A ty byś wolał nie rozmawiać w ogóle, prawda?

— Tego nie powiedziałem.

— Tak? A co powiedziałaś?

— Że potrzebna ci chwila wytchnienia. Siedzisz tu cały dzień i kisisz się we własnym sosie. Powinnaś wyrwać się z domu choć na parę godzin, pomyśleć o czymś przyjemniejszym. Gniew jest złym doradcą...

— Tak — przerwałam mu niecierpliwie — i co dalej?

Po tym kinie i „Chili”?

— Potem wrócimy do domu. Sara pewnie już będzie, więc posłuchamy, co nam ma do powiedzenia...

— Kolejny stek kłamstw!

— I spokojnie postanowimy, co z nią dalej począć.

— No właśnie. Co mianowicie?

Na moment zapadła cisza. Uczucie niepokoju umiejscowiło mi się teraz wokół serca. W tej chwili przypominało węża, który oplótł je swoim cielskiem i zaczyna powoli zaciskać zwoje.

— Sara musi zdać sobie sprawę z charakteru i wagi swego wykroczenia — zaczął Larry. — Musi przyjąć do wiadomości, że nie będziemy dłużej tolerować tego rodzaju wybryków.

Żachnęłam się z irytacją: wszystko to już było! Sara świetnie wie, co zrobiła. To my musimy określić granice naszej tolerancji.

JOY FIELDING

— Proponuję do końca roku szkolnego odebrać jej wszystkie przywileje — mówił dalej Larry.

— Kieszonkowe, rozrywki i tak dalej. Żadnych wypadów na miasto. Kiedy nie jest w szkole, ma siedzieć w domu. Prosta sprawa.

— I naprawdę uważasz, że ona to przyjmie bez szemrania?

— Jeśli nie, będzie się musiała stąd wynieść. Powiedział to tak po prostu, że mnie zatkało.

— C-co? Co ty mówisz?!

Wstał, podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach. Chcąc nie chcąc musiałam się zatrzymać i spojrzeć mu w oczy.

— A co jeszcze możemy zrobić? Widzisz jakieś inne wyjście?

— Chcesz wyrzucić z domu własną córkę?

— Powiedziałem przecież, że pozostawiamy jej wybór. Albo będzie przestrzegać zasad obowiązujących w tym domu, albo niech szuka sobie innego. Prosta sprawa.

— Przestań to powtarzać! — Strąciłam z siebie jego ręce i zaczęłam znów gniewnie chodzić po pokoju. — Z Sarą nic nie jest proste.

— Więc nie pozwólmy przynajmniej, żeby komplikowała to, co dotyczy nas dwojga. — Popatrzył w sufit, a potem znów na mnie. — Posłuchaj, to jest nasz dom i my tu decydujemy, nie mówiąc już o tym, że jako ludzie też mamy swoje prawa. Wolno nam żądać od dzieci, aby je szanowały. Sama to wiesz najlepiej, jesteś przecież terapeutką. Czyż nie takich dokładnie rad udzielasz swoim pacjentom?

— Mówimy o naszej siedemnastoletniej córce. Więc twoim zdaniem powinniśmy ją wyrzucić na ulicę? — Natychmiast wyobraziłam sobie. Sarę skuloną gdzieś pod murem, grzejącą ręce przy ogniu... W klatce piersiowej poczułam takie gorąco, jakby te wyimaginowane płomienie lizały mi płuca.

— Wcale tego nie mówię.

BRAKUJĄCY ELEMENT

— A wiesz, co ona wtedy zrobi? Wprowadzi się do Jo Lynn! Tyle da wyrzucenie jej z domu. O Boże, ależ tu gorąco! — Gwałtownym szarpnięciem odciągnęłam od szyi kołnierz swojego beżowego swetra.

— Jo Lynn będzie z nami mieszkać? — żywo zapytała matka, wkraczając wraz z Michelle do pokoju.

— O Chryste — wymamrotałam pod nosem.

— Wybrałyśmy film — oznajmiła Michelle — zaczyna się za dziesięć czwarta.

— Ja już chyba tego nie wytrzymam! — wychrypiałam cienkim zduszonym głosem.

— Mamo, co ci jest?

— Co się dzieje, kochanie? — zaniepokoiła się moja matka.

— Nic! Nic się nie dzieje! — Nieznośne gorąco rozlało mi się po brzuchu jak wściekły, nie dający się okiełznać pożar. — To przez ten kurewski upał! — Zdarłam z siebie sweter, rzuciłam nim o podłogę, podeptałam i wreszcie kopnęłam z taką furią, że przeleciał przez pół pokoju. Mój mąż, matka, córka patrzyli na mnie jak na wariatkę.

— Tak, trochę tu ciepło — bąknęła matka.

— Mamo! — wyszeptała Michelle z oczami jak talerzyki. — Ty tak mówisz? To było słowo na „k”!

— Wiesz co, mała — odezwał się Larry wyraźnie wstrząśnięty moim zachowaniem — zabierajmy się stąd. Pozwólmy mamie odpocząć.

— Wspaniale! Szczury opuszczają tonący statek! Mój mąż rozłożył ręce, po czym pozwolił im opaść

gestem wyrażającym kompletną bezradność.

- Myślałem, że sobie tego życzysz.
- Tu są szczury? — Matka niespokojnie zlustrowała podłogę.
- Puściłam to mimo uszu i patrząc Larry'emu w twarz, wycodziłam zjadliwym tonem:
- Pewnie, w tym jesteś mistrzem!
- W czym? O co ci chodzi?
- Jak tylko zaczynają się jakieś problemy, idzie się na golfa. Albo do kina.

331

JOY FIELDING

- Proponuję do końca roku szkolnego odebrać jej wszystkie przywileje — mówił dalej Larry.
- Kieszonkowe, rozrywki i tak dalej. Żadnych wypadów na miasto. Kiedy nie jest w szkole, ma siedzieć w domu. Prosta sprawa.
- I naprawdę uważasz, że ona to przyjmie bez szemrania?
- Jeśli nie, będzie się musiała stąd wynieść. Powiedział to tak po prostu, że mnie zatkało.
- C-co? Co ty mówisz?!
- Wstał, podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach. Chcąc nie chcąc musiałam się zatrzymać i spojrzeć mu w oczy.
- A co jeszcze możemy zrobić? Widzisz jakieś inne wyjście?
- Chcesz wyrzucić z domu własną córkę?
- Powiedziałem przecież, że pozostawiamy jej wybór. Albo będzie przestrzegać zasad obowiązujących w tym domu, albo niech szuka sobie innego. Prosta sprawa.
- Przestań to powtarzać! — Strąciłam z siebie jego ręce i zaczęłam znów gniewnie chodzić po pokoju. — Z Sarą nic nie jest proste.
- Więc nie pozwólmy przynajmniej, żeby komplikowała to, co dotyczy nas dwojga. — Popatrzył w sufit, a potem znów na mnie. — Posłuchaj, to jest nasz dom i my tu decydujemy, nie mówiąc już o tym, że jako ludzie też mamy swoje prawa. Wolno nam żądać od dzieci, aby je szanowały. Sama to wiesz najlepiej, jesteś przecież terapeutką. Czyż nie takich dokładnie rad udzielasz swoim pacjentom?
- Mówimy o naszej siedemnastoletniej córce. Więc twoim zdaniem powinniśmy ją wyrzucić na ulicę? — Natychmiast wyobraziłam sobie Sarę skuloną gdzieś pod murem, grzejącą ręce przy ogniu... W klatce piersiowej poczułam takie gorąco, jakby te wymaginowane płomienie lizały mi płuca.
- Wcale tego nie mówię.

33°

BRAKUJĄCY ELEMENT

- A wiesz, co ona wtedy zrobi? Wprowadzi się do Jo Lynn! Tyle da wyrzucenie jej z domu. O Boże, ależ tu gorąco! — Gwałtownym szarpnięciem odciągnęłam od szyi kołnierz swojego beżowego swetra.
- Jo Lynn będzie z nami mieszkać? — żywo zapytała matka, wkraczając wraz z Michelle do pokoju.
- O Chryste — wymamrotałam pod nosem.
- Wybrałyśmy film — oznajmiła Michelle — zaczyna się za dziesięć czwarta.
- Ja już chyba tego nie wytrzymam! — wychrypiałam cienkim zduszonym głosem.
- Mamo, co ci jest?
- Co się dzieje, kochanie? — zaniepokoiła się moja matka.
- Nic! Nic się nie dzieje! — Nieznośne gorąco rozlało mi się po brzuchu jak wściekły, nie dający się okiełznać pożar. — To przez ten kurewski upał! — Zdarłam z siebie sweter, rzuciłam nim o podłogę, podeptałam i wreszcie kopnęłam z taką furią, że przeleciał przez pół pokoju. Mój mąż, matka, córka patrzyli na mnie jak na wariatkę.
- Tak, trochę tu ciepło — bąknęła matka.
- Mamo! — wyszeptała Michelle z oczami jak talerzyki. — Ty tak mówisz? To było słowo

na „k”!

— Wiesz co, mała — odezwał się Larry wyraźnie wstrząśnięty moim zachowaniem — zabierajmy się stąd. Pozwólmy mamie odpocząć.

— Wspaniale! Szczury opuszczają tonący statek! Mój mąż rozłożył ręce, po czym pozwolił im opaść

gestem wyrażającym kompletną bezradność.

— Myślałem, że sobie tego życzysz.

— Tu są szczury? — Matka niespokojnie zlustrowała podłogę.

Puściłam to mimo uszu i patrząc Larry'emu w twarz, wycodziłam zjadliwym tonem:

— Pewnie, w tym jesteś mistrzem!

— W czym? O co ci chodzi?

— Jak tylko zaczynają się jakieś problemy, idzie się na golfa. Albo do kina.

331

JOY FIELDING

— Kochanie — zwrócił się do Michelle — do kina mamy jeszcze trochę czasu. Może byś zabrała babcię na spacer?

Nasza córka, która stała dotąd bez ruchu, przenosząc spojrzenie ze mnie na ojca (jakby oglądała mecz tenisowy!), ocknęła się nagle.

— Chodźmy, babciu!

— Idziemy do kina?

— Masz mi coś do powiedzenia? — spytał Larry, gdy tylko zostaliśmy sami.

Podniosłam sweter i wytarłam nim pot spomiędzy piersi.

— A ty masz jeszcze czas? Na pewno? Możesz się spóźnić do kina.

— Jeśli chcesz coś powiedzieć, to mów.

— Dla ciebie to najłatwiejsze, prawda?

— Co jest najłatwiejsze?

— Zabrać się i wyjść.

— Kate, przecież to tylko wyjście do kina. Czy ze wszystkiego trzeba zaraz robić wielki problem?

— Nie, jasne, że nie. Widzę przecież, że dla ciebie nasza córka to żaden problem. Co innego sto punktów w golfa...

— Dobra! Koniec! Przestań!

— Sam mi kazałeś mówić.

— Zmieniłem zdanie.

— Za późno.

— Będzie za późno, jeśli natychmiast nie skończysz.

— Ty mi grozisz? Za chwilę pewnie usłyszę, że mam sobie iść precz, skoro nie chcę przestrzegać zasad*obowiązujących w tym domu.

— Kate, ty chyba oszalałaś! Zastanów się nad tym, co mówisz.

— Nie, to ty się zastanów. Nad tym, co od kilku miesięcy dzieje się z moim życiem. Wszystko po kolei rozlatuje się na kawałki, a ty gdzie jesteś? Na polu golfowym!

— Nie mów tak! Jesteś niesprawiedliwa.

332

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Może, ale to prawda. Mam problemy z matką, siostrą, dziećmi i do tego jeszcze te cholerne uderzenia krwi! A ty coraz rzadziej bywasz w domu. O tak, potrafisz udzielać dobrych rad, wszystko, co mówisz, jest słuszne, tylko nigdy cię nie ma, kiedy jesteś najbardziej potrzebny.

— Teraz jestem — powiedział miękko.

— Jak długo? Weźmiesz prysznic, przebierzesz się i pójdziesz do kina.

— Kate, czego ty ode mnie chcesz? Co mam robić? Powiedz mi, bo klnę się na Boga, że ja już

naprawdę nie wiem. Cokolwiek zrobię czy powiem, zawsze jest źle. Chodzę po tym domu jak po polu minowym, boję się otworzyć usta, nie mam odwagi cię dotknąć, bo może znów powiem coś nie tak albo dotknę cię nie w tym miejscu i bomba pęknie. Mówisz, że wciąż mnie nie ma. Może masz rację. Może to prawda, że z tym wszystkim, co się teraz dzieje, próbuję sobie radzić metodą uników, ale czy najlepszym sposobem rozwiązywania wszelkiego rodzaju problemów musi być tylko i wyłącznie atak? Walenie głową o ścianę?

— Nie wiem. — Otuliłam się swetrem, bo od klimatyzatora nagle powiało chłodem. — Nic już nie wiem.

— Ale to, że wcale nie chcę wyrzucać Sary na zbity łeb, chyba wiesz?

— Tak, wiem.

— Ja... Tęsknię po prostu za odrobiną spokoju, a Sara... Nie przysparza nam ona radości, i to już Bóg wie od jak dawna.

— Nie po to przyszła na świat, żeby nam sprawiać radość.

— Tak, wyznaczono jej chyba inną rolę — przyznał Larry ze smutnym westchnieniem. — Proszę cię, Kate, chodź z nami do kina! Dobrze nam to zrobi.

— Nie mogę. — Po policzkach pociekły mi łzy. — Po prostu nie mogę. Ale ty idź. Naprawdę. Nie mam ci tego za złe. Idź.

Zostawiłam go na środku pokoju, a sama poszłam do łazienki, gdzie po ochlapaniu twarzy zimną wodą wciągnę-

333

JOY FIELDING

nęłam na siebie sweter, a potem stanęłam przed lustrem i zaczęłam studiować zmarszczki pod oczami. Przypominały linie, jakimi na mapach oznacza się rzeki. Cieniutkie, ale wyraźne. Dopiero gdy dobiegł mnie odgłos zamykanych drzwi, wróciłam do salonu. Larry wyszedł. Usiadłam znowu na sofie, aby dalej czekać na Sarę.

Zjawiła się dokładnie trzy po szóstej. Z ramienia niedbale zwisał jej duży sfatygowany plecak z ciemnobrązowej skóry. Ubrana była tak samo jak dwa dni temu, w obcisłe dżinsy i ciasny pasiasty trykot. Włosy w całej gamie odcieni, od platynowego po żółty, opadały jej luźno na ramiona.

— Och, cześć! — Zatrzymała się na mój widok. Spozstrzegłam, że na policzki wybił jej lekki rumieniec. — Przestraszyłaś mnie. W pierwszej chwili w ogóle cię nie zauważyłam. Dlaczego siedzisz po ciemku?

— Czekam na ciebie. — Mój głos brzmiał zdumiewająco spokojnie.

Powoli rozejrzała się po pokoju.

— Coś się stało? Babcia...?

— Nie, wszystko w porządku.

— Och, no to dobrze. — Ruszyła już w stronę swojego pokoju, gdy zapytałam zniecierpliwiona:

— Przyniosłaś sweterki Michelle?

— Co?

— I jej taśmy?

— Nie mam żadnych taśm Michelle. Ani jej swetrów. Po co mi one? Nie pasują na mnie. — Włożyła w tę wypowiedź tyle oburzenia, że na ułamek sekundy ogarnęły mnie wątpliwości: może jednak Michelle się myli?

— W takim razie pokaż mi zawartość swojego plecaka.

Możesz to chyba zrobić?

— Mogłabym, ale nie zrobię. Skoro powiedziałam, że nie mam żadnych rzeczy Michelle, to ich nie mam. Cóż to, nie wierzysz mi?

— Najwidoczniej nie.

334

BRAKUJĄCY ELEMENT

Z najwyższym niesmakiem pokręciła głową. Wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że nie zasługuję nawet na pogardę. Jak śmiem ją podejrzewać!

— No, to już twoja sprawa.

Dobra jest, pomyślałam, podnosząc[^]ię z sofy. O, nawet bardzo dobra!

— Wiesz, Saro, obawiam się, że jednak twoja.

— W tym plecaku nie ma nic prócz książek!

— Do historii? — rzuciłam niewinnie.

— Mam jutro ważny sprawdzian. Zapomniałaś?

— Ależ skąd. Pamiętam, że masz sprawdzian.

— No właśnie. Chcę przejrzeć sobie jeszcze parę rzeczy, więc pozwól, że cię przeproszę i...

— Nie wystarczy już tego kucia? Tak ciężko pracowałaś przez cały weekend — powiedziałam zwodniczo współczującym tonem.

— Chcę przelecieć wszystko jeszcze raz — zełgała gładko, robiąc znów parę kroków w stronę swej sypialni. Ach, umiała kłamać jak z nut! Ten zażenowany uśmiezek, ta skromna minka!

— Powiedz mi, Saro, kiedy ty przestaniesz kłamać? Na moment wryło ją w ziemię. Stężała z wygiętym

grzbietem jak przestraszony kocur. Wciąż stojąc do mnie plecami, powiedziała dobitnie, skandując niemal każde słowo:

— Nie mam żadnych głupich taśm Michelle ani jej kretyńskich swetrów.

— I cały weekend spędziłaś u Sperlingów.

— Przecież wiesz. Rozmawiałaś z panią Sperling. •

— Owszem, nawet kilka razy.

Powoli obróciła się w moją stronę i zobaczyłam jej oczy: poruszały się w takim samym tempie, w jakim ich właścicielka starała się wyciągnąć wnioski z uzyskanej właśnie informacji. Nietrudno było się domyślić, że przewidując, co zaraz nastąpi, na gwałt przygotowuje sobie nową linię obrony.

— Kiedy z nią rozmawiałaś?

— Wczoraj po południu.

335

JOY FIELDING

— Żeby mnie sprawdzić!

Roześmiałam się głośno. Tak mistrzowsko sfingowała oburzenie, że można ją było podziwiać.

— Nie śmieć się ze mnie — warknęła.

— A ty nie kłam.

— Wcale nie kłamię. Byłam u Sperlingów.

— Tak, ale bardzo krótko, prawda?

— Nie mogłam dłużej zostać — padło po ledwie dostrzegalnej pauzie. — Coś się wydarzyło.

— Tak, wiem — powiedziałam z fałszywym współczuciem. — Babcia. Musiałaś wracać do domu.

Przewróciła oczami z udaną rozpaczą, po czym zerknęła na boki, jakby tam spodziewała się znaleźć alibi.

— Coś się stało — powtórzyła. — Coś ważnego.

— Och, nie wątpię, że było to coś ważnego. Może mi o tym opowiesz?

— Nie mogę — odparła, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

— Dlaczego?

— Bo obiecałam dyskrecję. Nie mogę zawieść czyjś zaufania.

Tym razem udało mi się nie roześmiać.

— Nie możesz zawieść czyjś zaufania, ale moje możesz bez trudu.

— Twoje zaufanie? Wcale go nie zawiodłam.

— Powiedz lepiej, że wcale ci na nim nie zależy.

— Oczywiście, że mi zależy!

— Gdzie byłaś po wyjściu od Sperlingów?

Na chwilę opuściła głowę, a gdy znów ją podniosła, spostrzegłam mimo półmroku, że oczy ma pełne łez. Mój Boże, ona cierpi! Wszystko przestało się liczyć. Teraz pragnęłam już tylko objąć ją, przytulić, pogłodzić po policzku.

— Moja przyjaciółka znalazła się w okropnej sytuacji — zaczęła z wielkim przejęciem. Ach, kiedy to usłyszałam, ręce błyskawicznie zwinęły mi się w pięści. Znowu kłamstwa! Ogarnęła mnie furia, która skutecznie stłumiła całą tę niewczesną czułość. Sara tymczasem snuła dalej swoją

BRAKUJĄCY ELEMENT

historyjkę: — Wiesz, ta moja przyjaciółka chodzi z chłopakiem, którego jej rodzice nie akceptują, więc bez przerwy suszą dziewczynie głowę, żeby z nim zerwała. Cóż, ona by to nawet zrobiła, tylko że się boi... Boi się, że jest w ciąży. — Dramatycznie zawiesiła głos i z wysiłkiem przełknęła ślinę, jakby miała się zaraz rozplakać. — Rozpaczliwie potrzebowała kogoś, z kim by mogła pogadać o swoich kłopotach. No, sama powied-*jj*, mamó, co miałam zrobić? Ta dziewczyna była bliska samobójstwa! A zwróciła się akurat do mnie, bo wie, że jesteś terapeutką i w dodatku mądrą osobą... Jej się wydaje, że liznęłam trochę twojej wiedzy i dlatego będę umiała jej pomóc.

Teraz już poczułam doprawdy szczery podziw: ależ sprawnie pracuje jej umysł! Ze też tak na zawołanie potrafi fabrykować te swoje opowiadki. I jak sprytnie wmontowała mnie w tę fabułę. Miłe pochlebstwo (że niby taka jestem mądra) i proszę, połowa odpowiedzialności spada na mnie! No bo gdyby nie mój zawód, mądrość i doświadczenie, ona, Sara, nie zostałaby wciągnięta w cały ten galimatias, ergo, nie musiałyby kłamać.

— I co? Byłaś w stanie jej pomóc? — Postanowiłam jeszcze trochę poudawać, że biorę to wszystko za dobrą monetę.

— Myślę, że tak. — Uśmiechnęła się (z ulgą!) i na chwilę opuściła gardę. — Strasznie mi przykro, że musiałam skłamać. A jeśli chodzi o jutrzejszy sprawdzian, to udało mi się jednak trochę pouczyć, tak że nie ma strachu. Na pewno dostanę dobrą notę.

— Mówisz, że się uczyłaś? Bez książek? ^

— Jak to bez? Mam je tutaj. — Poklepała swój wypchany plecak.

— Twoje książki są w szafie. — Zmęczyło mnie już to udawanie.

— Co?

— Twoje podręczniki leżą w szafie. Mam ci je przynieść?

— No wiesz! Kto ci pozwolił wchodzić do mego pokoju?

336

22 Brakujący element

337

JOY FIELDING

— Spała tam babcia... — zaczęłam, ale nie dała mi skończyć.

— Znów szperasz w mojej szafie!

— Nic podobnego...

— Na litość boską, mamó, jak możesz wymagać ode mnie szacunku, skoro ty mi go nie okazujesz?

— Przeciwnie, okazuję ci mnóstwo szacunku.

— W jaki sposób? Wkradając się do mojego pokoju? Przetrzęsając moje rzeczy?

— Nic takiego nie robiłam.

— To po co otwierałaś szafę?

— Przypominam ci, że ja tu zadaję pytania — powiedziałam, próbując odzyskać przewagę.

— Ledwie wyjdę z domu, ty już jesteś w moim pokoju, węszysz, szperasz, wydzwaniasz do ludzi! I ty to nazywasz zaufaniem! Uczciwością? Straszna z ciebie hipokrytka!

— Uważaj, Saro!

— Czego ty chcesz ode mnie? — spytała jak echo Larry'ego. — Powiedziałam ci prawdę. Nie powinnam była tego robić, bo nadużyłam przez to czyjegoś zaufania, a jednak ci powiedziałam!

— Nic mi nie powiedziałaś.

— Byłam u przyjaciółki.

— Pewnie tej, co zbiera pudełka po papierosach.

— Co? O czym ty mówisz? — Przy tych słowach na jej twarzy pojawił się wyraz dobrze udanego zatroskania. Znikły gniewne zmarszczki wokół ust, głos nabrał łagodnych tonów. — Mamo, czy ty się dobrze czujesz?

— Wiem, gdzie byłaś. — Głos drżał mi z wściekłości, zawodu, upokorzenia. — Nie u żadnej nieszczęśliwej przyjaciółki. Pojechałaś z Jo Lynn na ten jej cholerny ślub!

Na moment zapadła śmiertelna cisza. Czekałam, co będzie dalej. Płacz, przeprosiny, prośby o wybaczenie? O nie, to nie Sara!

— Skoro od początku wiedziałaś, gdzie byłam — wycodziła bez odrobiny skruchy, przeciwnie, z jawną pogardą — to po co te głupie podchody? No i kto tu kłamie, szanowna pani terapeutko?

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Nie waż się mówić do mnie w ten sposób.

— A ty skończ te swoje głupie gierki.

Ze zdenerwowania już nawet język odmawiał mi posłuszeństwa. Jakbym miała w ustach gruby i nieruchawy kawałek obcego ciała. Trzeba było posłuchać Larry'ego, myślałam, iść do kina, a z tą piekielnicą rozprawić się później — wspólnie. Jestem zbyt zmęczona, a ona zbyt chytra. Och, Larry po stokroć miał rację.

— Idę do pokoju — oznajmiła Sara.

— Śpisz w gabinecie! — zawołałam, zaskakując tym nie tylko ją, lecz i siebie. Kiedy tak postanowiłam?

— Dlaczego?

— Twój pokój zajmuje babcia. Nie będę jej urządzać kolejnych przenosin, i bez tego jest już wystarczająco zdezorientowana. — Argument był nawet trafny, nasunął mi się jednak dopiero w tej chwili. Dotąd w ogóle o tym nie myślałam.

— Dobrze — burknęła Sara, kierując się do gabinetu.

— Jeszcze nie skończyłam. — Nie mogłam przestać mówić mimo najlepszych chęci, mimo tylu lat praktyki, mimo całej swojej „mądrości”... — Spróbuj się zastanowić, czy chcesz nadal pozostać członkiem tej rodziny.

— Co takiego? — Sądząc po minie, doszła pewnie do wniosku, że odebrało mi rozum. — Co ty wygadujesz, na litość boską?

— Od tej chwili tracisz wszystkie przywileje.

— Przywileje możesz sobie dawać psu. Ludziom przysługują prawa.

My też mamy prawa — podpowiedział mi głos Larry'ego.

— Koniec z kieszonkowym — kontynuowałam rozdrażniona jej bezczelną repliką — i żadnych weekendów u przyjaciółek! Do końca roku szkolnego jesteś albo w szkole, albo w domu — powtórzyłam słowo w słowo to, co mówił Larry.

— Idź do diabła! — oświadczyła krótko i więźlowato.

— Nie, to ty pqszukasz sobie innego lokum. Albo zastosujesz się do zasad obowiązujących w tym domu, albo się stąd wyniesiesz. Prosta sprawa.

JOY FIELDING

— Pieprzę cię — powiedziała przez zęby, patrząc mi prosto w oczy.

Następny moment pamiętam w taki sposób, jakbym patrzyła na siebie od zewnątrz. Z rozpostartymi ramionami, ledwo dotykając stopami podłogi, przefrunęłam dosłownie przez pokój i zaczęłam tłuc ją pięściami na oślep — w szyję, w tył głowy, w ramiona, gdzie popadło. Zasłoniła się rękami i krzycząc wniebogłosy, próbowała uciec. Ja też coś krzyczałam, obu nam łzy ciekły z oczu, ale moje pięści poruszały się nadal jakby same z siebie.

— Przestań, mammo! Przestań! — usłyszałam wreszcie okrzyk Sary i stanęłam jak wryta. Boże, co ja zrobiłam...!

— Saro, przepraszam cię, wybacz...

— Ty pieprzona suko!

Bez zastanowienia uderzyłam ją w twarz na odlew, tak że aż ścierpła mi ręka, a echo przetoczyło się po całym domu. Sara zalała się łzami, a ja... Mój Boże, wydawało mi się że te łzy zmywają z jej twarzy wszystkie minione lata... Nastolatka stała się podlotkiem, małą dziewczuszką, w końcu dzieckiem przy piersi... Moje maleństwo, westchnęłam. Ona tymczasem wyprostowała się na całą swoją wysokość i z rozmachem zdzieliła mnie w policzek. Przez moment gapiłam się na nią kompletnie oszołomiona: to jest moja córka? Policzek i wszystkie wnętrności paliły mnie żywym ogniem.

— Jeśli jeszcze kiedykolwiek ośmielisz się mnie uderzyć — powiedziałam powoli, zdziwiona własnym spokojem — natychmiast się stąd wyniesiesz.

— Ty pierwsza mnie uderzyłaś!

— Jeśli jeszcze kiedykolwiek będę cię musiała uderzyć

— kontynuowałam tym samym tonem i w tym samym rytmie — opuścisz ten dom na zawsze.

— Tak nie wolno! To niesprawiedliwe!

— Może, ale to mój dom.

— Zwariowałaś, wiesz? — zaczęła wrzeszczeć.

— Kompletnie ci odbiło! — W tym momencie reszta domowników powróciła z kina. — Ona oszalała! — darła się

340

BRAKUJĄCY ELEMENT

Sara. — Zadzwoń na policję! Zwrócę się do rzecznika praw dziecka!

— Co tu się dzieje? — Michelle puściła rękę babci i stanęła u mego boku. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, jej siostra padłaby trupem.

— Och, oto i ona! — szyderczo zapiała Sara. — Panna Chodząca Doskonałość!

Larry zdołał w końcu zaprowadzić jaki taki spokój na tym naszym rodzinnym ringu. Odesławszy zwaśnione strony do narożników, uspokoił matkę, pocieszył Michelle, opatrzył niewidoczne obrażenia Sary i gdy upewnił się wreszcie, że wszystkie leżymy w łóżkach, a w domu panuje cisza, powrócił do naszej sypialni.

— Dobrze się czujesz? — zapytał, kładąc się przy mnie.

— Nie — odpowiedziałam, gapiąc się bezmyślnie w sączący się przez kotary mętny blask księżyca.

Po prostu.

ROZDZIAŁ 26

— Nie czuj się winna — powtarzał mi Larry, ale ja oczywiście czułam się winna. Jakżeby inaczej? Uderzyłam przecież swoje dziecko, i to nie raz! Tłukłam ją pięściami, dałam jej w twarz na odlew. W taką piękną twarz. Jak mogłam?

— Zostałaś sprowokowana. Sama była sobie winna — argumentował mój mąż.

Prawda, że zostałam sprowokowana, ale co z tego? Nie czułam się przez to ani trochę lepiej.

— Dałaś jej nauczkę. Teraz już wie, że nie wolno doprowadzać ludzi do ostateczności.

— Dowiedziała się tylko tego, że nie umiem opanować nerwów.

— Och Kate, nie bądź dla siebie taka surowa.

— Z nas dwóch to ja jestem osobą dorosłą.

— Daj spokój. Sara ma siedemnaście lat i ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu.

— Ale ja jestem jej matką.

— Nie nazywa się matki pieprzoną suką.

— Uderzyłam ją w twarz.

— A ona ci oddała.

Dziwne, ale to akurat doskwierało mi najmniej. Być może dlatego, iż zawsze żywiłam przekonanie, że podnosząc na kogoś rękę, trzeba być przygotowanym na rewanz.

BRAKUJĄCY ELEMENT

Moja matka była inna. Ona nie rewanzowała się nigdy, o nie.

Wystarczyło o tym pomyśleć, by natychmiast opadła mnie cała lawina świadomie stłumionych wspomnień. Jakbym nagle otworzyła drzwi do dzieciństwa i... zjawił się on, mój ojczym.

Dobry wieczór, kochanie — powitała go matka — późno dziś wracasz.

A tobie to przeszkadza?

Ależ nie, oczywiście, że nie. Po prostu trochę się martwiłam. Od godziny czekam z kolacją.

Kolacja ma być wtedy, kiedy ja przychodzę.

Stoi na stole.

Wszystko zimne.

Zaraz ci podgrzeję."

Wiesz, że nie cierpię odgrzewanego zarcia! Nie po to haruję, nie po to płacę ciężkie pieniądze za mięso, żebyś mnie karmiła takim świństwem!

Nie denerwuj się, proszę! Zrobię ci coś innego.

Mam czekać do rana, aż ty coś upichcisz?

To nie potrwa długo.

Nie uważasz, że po powrocie z pracy należy mi się porządny posiłek?

Naturalnie, że ci się należy. Właśnie dlatego tak staram ci się dogodzić.

To dlaczego tak nie jest?

Przecież jest, tylko że dzisiaj wróciłaś później...

Chcesz powiedzieć, że to moja wina?

Och, nie. Rozumiem, że to się zdarza. Musiało ci coś wypaść.

Gównu rozumiesz.

Przykro mi, Mikę. Nie miałam na myśli...

Tobie zawsze jest przykro! Ty nigdy nic nie masz na myśli! I na tym właśnie polega problem: ty w ogóle nigdy nie myślisz!

Uspokój się, Mikę. Przestraszysz dzieci.

Mam to w dupie.

Bardzo cię proszę, nie wyrażaj się w ten sposób.

JOY FIELDING

Mam się nie wyrażać? A to dobre! Bo twój pierwszy mężulek, pieprzona jego pamięć, nigdy nie kłął, tak? No i co teraz zrobisz? Wyszorujesz mi gębę mydłem?

Proszę cię, Mikę...

A wiesz co? To cholernie dobry pomysł! Zaraz wyszoruję d gębę. Jak następnym razem będziesz się chciała wymądrzać, dobrze się wpierw zastanowisz.

Nie, proszę cię, nie!

O co chodzi? Mydélko nie smakuje? Założę się, że lepiej niż to gównó, którym mnie chciałaś uraczyć, ty głupia dziwko!

Kiedy następnego ranka zobaczyłam matkę, miała dookoła ust siniaki, krwawe zadrapanie na podbródku, a na ramionach i szyi mnóstwo czerwonych śladów.

Co zrobiłaś mojej mamie? — zaatakowałam ojczyma po kolejnym takim incydencie.

Cicho, Kate — zaczęła mnie uspokajać — to nic wielkiego.

Co ty pleciesz, mała? Nigdy nie tknąłem twojej matki nawet palcem. Słuchaj no, Helen, co ty za głupstwa opowiadasz temu dzieciakowi?

Nic jej nie mówiłam. Wszystko w porządku, Kate. Potknęłam się o dywan i wpadłam na drzwi.

Niezdarna idiotka — warknął ojczym.

Sam jesteś niezdarnym idiotą! — krzyknęłam.

Do dziś pamiętam to ostre uderzenie w tył głowy. Przysięgłam sobie wtedy, że nigdy w życiu nie zrobię czegoś podobnego. Nigdy nie uderzę własnego dziecka. I co?

— Nie jestem lepsza od swojego ojczyma — powiedziałam Larry'emu.

— Skończ z tym samobiczowaniem. Ciekawe słowo, pomyślałam.

— Jak mogłam to zrobić, jestem przecież terapeutką!

— Terapeutką, a nie świętą. Kate, zdarzyło ci się to jeden jedyny raz. Zostałaś sprowokowana i straciłaś nerwy.

Mikę nie zawsze jest taki — zabrzmiał mi w uszach żalósny głos matki. — Potrafi też być delikatny, troskliwy

BRAKUJĄCY ELEMENT

i bardzo zabawny... Czasami tylko traci nerwy. Kiedy jest w stresie albo kiedy ja go sprowokuję.

— Tego się nie da wymazać — odparłam w odpowiedzi na uwagę Larry'ego. To samo powiedziałam kiedyś matce.

Czyżby skłonność do przemocy była zaraźliwa? A może przechodzi z pokolenia na pokolenie jak straszna dziedziczna choroba, przed którą nie ma ucieczki?

Odwołałam wszystkie wizyty na następne dwa dni. Ledwie byłam w stanie wyleźć z łóżka. Dla Sary nie istniałam. Po powrocie ze szkoły do kolacji siedziała w gabinecie, potem w milczeniu zjadała swoją porcję i zaraz znów szła do siebie. Byłam dla niej kompletnie niewidzialna. Och, zdarzało się i kiedy indziej, że ktoś traktował mnie jak powietrze, z tą jednak różnicą, że bez złych intencji, natomiast teraz z całą premedytacją narzucono mi rolę osoby niewidzialnej! Po paru dniach uchyliłam drzwi do jej pokoju i spytałam od progu (dalej nie ośmieliłam się wejść bez zaproszenia):

— Możemy porozmawiać?

— Nie. — Otworzyła książkę i udała, że czyta.

— Powinniśmy pomówić o tym, co się stało.

— Stało się to, że mnie pobiłaś, i koniec.

— Nie pobiłam cię... — zaczęłam i urwałam. — Saro, strasznie mi przykro.

— Nie chcę o tym mówić.

— Zostaw ją — powiedział łagodnie Larry, odciągając mnie od drzwi. — Nie masz jej za co

przepraszać.

— Zacznie z tobą rozmawiać, jak będzie czegoś chciała — stwierdziła rzeczowo Michelle.

— Czy to już czas iść do domu? — spytała matka.

— Jeszcze nie, mamó. Próbuję ci znaleźć jakieś ładne mieszkanie. — Mówiąc to uświadomiłam sobie z całą ostrością, że dalsze odkładanie decyzji co do jej przyszłości jest zwyczajnym chowaniem głowy w piasek. Było aż nadto widoczne, że na stałe nie możemy jej zatrzymać. — Ale zanim się przeprowadzisz, musimy jeszcze pójść do lekarza. Jutro. Mówiłam ci o tym, pamiętasz?

345

JOY FIELDING

Oczywiście nie pamiętała. Już po dwóch minutach wszystko wylatywało jej z głowy. Następnego dnia nie miała pojęcia ani dlaczego tak wcześnie ją budzę, ani dokąd jedziemy.

— Jak się czujesz? — spytałam.

— Wspaniale. Dokąd mnie wieszysz?

— Do ginekologa. Nie bój się, to tylko rutynowa kontrola.

— To dobrze, kochanie.

Okazało się, że niezupełnie. Właśnie wtedy doktor Wong wykryła u mnie dwa polipy i od razu je usunęła.

— Jestem pewna, że to nic groźnego — powiedziała uspokajająco — ale na wszelki wypadek pošlę próbki do laboratorium. — Mnie tymczasem z trudem udało się złożyć nogi i zejść z fotela. — Wyniki powinny być gotowe za dwa tygodnie. Proszę wtedy do mnie zadzwonić.

Kiwnęłam głową, że zadzwonię. Otworzywszy drzwi do poczekalni zobaczyłam, że matka przegląda poranną gazetę. Na pierwszej stronie widniało okazałe zdjęcie Jo Lynn dumnie prezentującej światu nabytą przez siebie obrączkę. Brzuch tak mnie zabolął, że zrobiło mi się słabo.

— Skurcze — wyjaśniła doktor Wong. — Dam pani na to tabletki. I przez tydzień żadnych zbliżeń seksualnych — dorzuciła na pożegnanie.

Żaden kłopot, pomyślałam. Kiedy noga za nogą wlokłam się z matką na parking, omal nie uległam pokusie zwinięcia się w kłębek na szarym, nagrzanym trotuarze. Całe szczęście, że nie umówiłam się na dziś z Robertem. Ale byłaby randka! Na samą tę myśl zachciało mi się śmiać. W samochodzie, zapinając matce pas bezpieczeństwa, spytałam ją znów, jak się czuje.

— Wspaniale, a ty, kochanie?

— Bywało lepiej. Uśmiechnęła się radośnie:

— To dobrze, kochanie.

Po powrocie do domu posadziłam ją przed telewizorem, a sama wpełzłam do łóżka i po paru minutach już spałam. Śniła mi się Sara. Mój mózg, pewnie z litości, urknył przede

346

BRAKUJĄCY ELEMENT

mną szczegóły poza jednym: byliśmy się strasznie i w pewnym momencie prawa pięść Sary trafiła mnie prosto w pachwinę. Ocknęłam się gwałtownie z rozdzierającym bólem w podbrzuszu. Kiedy poszłam do toalety, krew ciekła ze mnie strumieniem. „Czarujący widok”, mruknęłam przez zęby. Połknęłam kolejną tabletkę i wróciłam do łóżka. Po chwili zadzwonił Larry.

— Jak poszło? Dlaczego nie zadzwoniłaś — zapytał z łagodną pretensją, gdy streściłam mu przebieg wizyty. — Przyjechałbym po ciebie.

— Nie było takiej potrzeby.

— Och, Kate, nie musisz ze wszystkim borykać się sama.

— Przez tydzień żadnego seksu — poinformowałam go w odpowiedzi.

Westchnął, jakby chciał powiedzieć: „dla mnie to nie nowina”.

— Postaram się dziś wrócić wcześniej.

- Nie musisz.
- Nie odpychaj mnie, Kate — poprosił.
- Nie odpycham. — Nieprawda. Było tak, jak mówił.

Wyciągnęłam się na poduszkach i zaczęłam fantazjować, jak by to było z Robertem. Na miejsce naszej sceny miłosnej wybrałam świeżo odrestaurowany Hotel Brea-kers. Obszerny, zalany słońcem pokój. Przez wielkie okna sięgające od podłogi do sufitu widać błękitny ocean kołysany łagodnym tchnieniem lekkiej bryzy. Leżymy oboje w ogromnym łóżu, całując się i pieszcząc z niezwykłą czułością... Tyle. Nie udało mi się pójść dalej z powodu bólu brzucha czy raczej z powodu Sary, która nagle wdarła się w tę scenę, głuszając swym donośnym głosem kojący szum oceanu. Brutalnie wypchnęła Roberta z łóżka, nakazując mu się wynosić do któregoś ze starych pokoi od frontu...

Kiedy się znów obudziłam, zaczęłam odtwarzać sobie punkt po punkcie tę naszą fatalną awanturę — krzyki, szydercze uwagi, obelgi, oba nieszczęsne policzki — a po dojściu do końca odegrałam całą scenę od początku według

347

JOY FIELDING

zmienionego scenariusza. W tej wersji zachowałam olimpijski spokój. Mimo nieustannych prowokacji Sary nie pozwoliłam jej wciągnąć się w kłótnię. Wszystkie zaczepki trafiały w próżnię. Powiedziałam jej krótko, że wiem, gdzie była, i jaka kara czeka ją za kłamstwo. Uznała w końcu swój błąd, zrozumiała również, że musi za to ponieść konsekwencje. Finał: toniemy obie we łzach, objęte czułym uściskiem.

Łatwo sobie marzyć.

O trzeciej ktoś zadzwonił do drzwi. Pomyślałam, że to Larry, więc dziwiąc się wprawdzie, dlaczego dzwoni, skoro ma klucze, poszłam otworzyć. Na widok Jo Lynn w tradycyjnym niebieskim spodniemie, z włosami ciasno związanymi z tyłu przez moment łudziłam się jeszcze nadzieją, że może to tylko kolejny sen, niestety...

— Jestem w przebraniu — wyjaśniła, widząc moją minę — żeby zmylić tych cholernych reporterów. Doprowadzają mnie już do szału.

— Wyobrażam sobie — mruknęłam i natychmiast zaczęłam tego żałować. Nie trzeba się było odzywać. Nie mam jej absolutnie nic do powiedzenia. Niech sobie idzie. A w ogóle co ją tu przyniosło?

— Okropnie wyglądasz. — Swoim zwyczajem tak szybko wepchnęła się do środka, że nie miałam szans zatrzaskać drzwi. — Chora jesteś czy co?

— Miałam dziś mały zabieg chirurgiczny. Całkiem niespodziewanie. — Do diabła, co się ze mną dzieje? Czy zawsze muszę wszystko wypaplać?

— Miałas operację? Jaka?

— Drobiazg.

— Uuch! — wykrzywiła się lekko. Szczegóły jej nie interesowały.

— Powiedz mi lepiej, co cię tu sprowadza.

— Oho, jesteś wściekła. Poznaję to po twoim głosie.

— Podziwiam twoją spostrzegawczość.

— A ja twój sarkazm. Daj spokój, Kate! Nie mów mi, że byłaś zaskoczona. Od miesięcy wiedziałas o ślubie.

— Jak mogłaś to zrobić? — wybuchnęłam.

348

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Kocham Colina i wierzę w jego niewinność.

— Nie mówię o twoim idiotycznym mężu, tylko o mojej córce! — krzyknęłam.

— Colin nie jest idiotą — zdecydowała się odpowiedzieć po krótkim, acz pełnym urazy milczeniu.

Jęknęłam.

— I jak ci się podoba moje nowe nazwisko? Jo Lynn Friendly. Dobrze to brzmi, nie uważasz?

— Nie odpowiedziałam. — Czyżbyś postanowiła ze mną nie rozmawiać?

— Rzeczywiście wołałabym nie.

— Och, Kate, nie bądź tak głupio zawzięta. I cóż takiego się stało? Potrzebna mi była druha, ty się nie zgodziłaś, więc poprosiłam Sarę. Na litość boską, nie zabrałam jej na egzekucję, tylko na ślub!

— Piękny mi ślub za kratkami.

— Nie bądź taka melodramatyczna.

— Doskonale wiedziałas, że postępujesz wbrew mojej woli.

— Robisz z igły widły.

Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. Jeszcze tylko kłótnia z Jo Lynn potrzebna mi była do szczęścia!

— Powiedz mi, po co tu przyszłaś? — spytałam po raz drugi.

— Szukam mamy.

Zerknęłam w stronę wspólnego pokoju. Matka siedziała w tej samej pozycji, w której zostawiłam ją godzinę temu. Na dźwięk głosu Jo Lynn nawet nie drgnęła. Podbiegłam do niej trochę zaniepokojona.

— Mamo?

Wydawało się, że patrzy w ekran, na którym dwoje jakichś niebywale urodziwych ludzi dyskutowało o powtórnym małżeństwie ojca. Jej splecione ręce spoczywały na kolanach, a równo ułożone stopy na podłodze. Oczy miała szeroko otwarte, usta rozchylone. Sączył się z nich wąski strumyczek śliny'. Poczułam, że Jo Lynn zagląda mi przez ramię.

— Nie żyje?

349

JOY FIELDING

— Mamo! — Dotknęłam lekko jej barku, bezwiednie wstrzymując oddech.

Zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy. Wydałam głośne westchnienie ulgi i ostrożnie otarłam jej usta. Zapominając, że Jo Lynn stoi mi za plecami, cofnęłam się o krok i wpadłam jej prosto w ramiona.

— Przepraszam. — Czym prędzej wyswobodziłam się z jej objęć. — Mama śpi.

— Z otwartymi oczami?

— Drzemie. Budzi się i zasypia. — Sięgnęłam po pilota.

— Nie wyłączaj! — pisnęła. — To Reese i Antonia. Ich ojciec zamierza powtórnie poślubić swoją drugą żonę, a oni jej nienawidzą, bo kiedyś był z niej niezły numer. Próbowali ich zabić, podpalając dom, ale teraz jest już okay. Wróciła na studia, zrobiła dyplom i została psychiatrą. Masz trochę kawy?

Wyłączyłam telewizor.

— Nie mam.

— To zrób — zażądała, opadając na wiklinowy fotel w oszklonej śniadaniowej wnęce. — Przyznaj się, że sama umierasz z pragnienia.

Miała rację. Poszłam wykonać jej polecenie.

— To niesamowite, co dzieje się w tych serialach! — wykrzyknęła bez śladu ironii. — A wracając do naszej staruszki. Co mówią lekarze? Znaleźli coś?

— Na razie nic. Fizycznie wydaje się zdrowa — powiedziałam z rezygnacją. Byłam za słaba, żeby się jej pozbyć. Mogłam tylko czekać, aż sobie pójdzie. — Skąd wiedziałas, że jest u mnie?

— Dzwoniłam do niej. Powiedziano mi, że numer został wyłączony, więc skontaktowałam się z panią Win-chell.

— Skąd to nagle zainteresowanie matką?

— A co, nie wolno mi?

Wzruszyłam ramionami ze wzrokiem utkwionym w kropelki kawy kapiące miarowo do szklanego dzbanka. Jo Lynn usadowiła się wygodniej.

BRAKUJĄCY ELEMENT

— I co, nie zapytasz mnie, jak było za zbiornikiem? Wiesz, o czym mówię.

— Nie, nie zapytam.

— Przestań, wiem, że skręca cię z ciekawości.

— To ciebie skręca z ochoty, żeby mi powiedzieć.

— Było fantastycznie. No, może nie tak zupełnie, bo strasznie tam ciasno i musieliśmy się bardzo spieszyć, ale nawet i to było podniecające. Dodatkowe emocje, rozumiesz? Ach, łatwo sobie wyobrazić, jakim bombowym kochankiem jest Colin w normalnych warunkach. Mówię ci, istny dynamit.

Co z tą kawą? Dlaczego tak długo to trwa? Nie mogłam się już doczekać.

— Może by obudzić staruszkę? — spytała nagle Jo Lynn.

— Po co?

— Chcę z nią pogadać.

— Po co? — spytałam powtórnie.

— Cóż to, nie mogę porozmawiać z własną matką? Mam cię prosić o pozwolenie?

— Nie o to chodzi. Mówię po prostu, że ona nic nie pamięta. Wszystko, co jej powiesz, wejdzie jednym uchem i natychmiast wyleci drugim.

— Może.

— Nie „może”, tylko tak jest. Wiem, jak to wygląda, bo jestem z nią cały czas i to ja z nią rozmawiam.

— Może to, co mówisz, jest mało interesujące. Westchnęłam: pewnie ma rację.

— Czy mogę wiedzieć, o czym chcesz rozmawiać z matką?

Miarowo poruszając ściągniętymi wargami, namyślała się dłuższą chwilę, jakby to, czy dopuścić mnie do tajemnicy, wymagało rozważenia wielu pro i kontra.

— No, mogę ci chyba powiedzieć, zwłaszcza że to przecież twój pomysł.

— Mój pomysł?

— To ty powiedziałaś, że powinnam studiować prawo.

— Och!...

350

351

JOY FIELDING

— Dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że może to wcale nie takie wariactwo, jakby się mogło wydawać.

— Mówisz serio?

— Czasami, jak widzisz, zdarza mi się słuchać twoich rad — rzuciła z lekkim przekąsem.

— Chcesz wrócić na studia... — powtórzyłam drewnianym głosem, myśląc zarazem, że to nie może być prawda. Wydaje mi się tylko, że jestem w kuchni, a naprawdę leżę w łóżku przykryta po szyję, z piekielnym bólem brzucha, bo wyrwano ze mnie jakieś dzikie mięso, no i uroiłam sobie, że moja młodsza siostra po ślubie z mordercą chce się zapisać na prawo. To już nie fantazje, ale halucynacje. Jestem pewnie tak samo stuknięta, jak Jo Lynn i moja matka.

— Miałaś rację — mówiła tymczasem Jo Lynn — że tylko ja mogę pomóc Colinowi. To naprawdę jedyny sposób, żeby go wydostać z tego okropnego miejsca.

— Nie myśl, że to będzie łatwe.

— Wiem. Najpierw muszę zrobić dyplom.

— Najpierw musisz się dostać na studia.

— Wiem! — powtórzyła niecierpliwie. — Ale podjęłam decyzję, a znasz mnie, wiesz, jaka jestem, kiedy sobie coś postanowię.

— Czeka cię przynajmniej pięć lat nauki.

- A mam coś lepszego do roboty?
- No nie.
- Więc skąd te zastrzeżenia? Kto mi to doradzał, kto twierdził, że to taki świetny pomysł?
- Bo rzeczywiście jest świetny.
- Myślałam, że będziesz zachwycona.
- Jestem, tylko że...
- Ciągłe wściekasz się na mnie z powodu Sary.
- Te twoje niespodzianki! Można dostać zawrotu głowy.
- Na tym głównie polega mój urok. Jak myślisz — spytała, spoglądając na matkę — czy ona na to pójdzie?

352

BRAKUJĄCY ELEMENT

Wyjęłam z kredensu filiżanki i napełniłam je rozkosznie dymiącą kawą.

- Na co?
 - Czy sfinansuje mi studia?
- Wręczyłam jej filiżankę i ostrożnie pociągnęłam łyczek. Gorąca para uderzyła mnie w oczy, tak że musiałam je zamknąć.
- Czemu masz taką minę? Uważasz, że nie da mi pieniędzy?
 - Wątpię — powiedziałam, powolutku otwierając oczy — czy ją na to stać.
- Jo Lynn tak gwałtownie zerwała się z miejsca, że oblała sobie rękę wrzącą kawą, wydawało się jednak, że wcale tego nie czuje.
- Bzdura! Matka ma pieniądze!
 - Prawie wszystko, co miała, już się rozeszło. Resztę pochłonę opłaty za badania i opiekę medyczną.
 - Cholera by ją wzięła! Nie mogłaby umrzeć?
 - Jo Lynn!

Zaczęła krążyć w kółko między stołem a kontuarem.

- Och, oszczędź mi swego świętego oburzenia! Jakbyś sama o tym nie myślała!
- Już miałam zaprzeczyć, jednak... była to prawda. Ostatnio nawiedzały mnie takie myśli... Że może tak byłoby lepiej dla matki i dla nas.
- No a ty i Larry?
 - Co: my?
 - Mówiłaś, że chętnie udzielicie mi pożyczki, do czasu aż zacznę zarabiać. Tyle, że nie będę wiedziała, co mam robić z forszą. Pamiętasz? To twoje własne słowa. A może było to tylko takie gadanie? Aha, trafiłam w sedno! — wykrzyknęła, widząc, że się waham. — Gada się takie rzeczy, nie żeby komuś pomóc, ale żeby sobie poprawić samopoczucie. Ach, jaka jestem szlachetna!
 - To nieprawda.
 - Odpowiedz: pożyczysz mi te pieniądze czy nie?
 - Poczekaj — próbowałam ją zmiłogować — czy to nie za szybko? Po co ten pośpiech?

23 Brakujący element

353

9- 1 S

ca a

S3

0 2-

3.1

0Q

o o",

.2. o

o *t
l' i
N
N 7i
w <q er
0Q
O-<<< O
N L.
p* 3 L S' p- § ^03
IR'8"§ 3 G- N
CL' . ">Ł
S2.J2. n- o-
o p

O c-
O-
^ 5! >r-

N o
5L; p rt>
1
SŚ-&S
N
Er t°
S- 5. * &
NO-
o -^ o
3P :
s p* Lt g.;
03 t-^* (-*• ,
7 p
o o-
N ft
5^
S- p
p
.0Q et
>O ^ —
2- m m
Sia- 6.
O - • P
3 Ł
O o
g. O"
2. o-
3 Ł
O o o n
O N O N
JOY FIELDING

— Nie wydaje ci się, że warto by spojrzeć na sprawę bardziej... perspektywicznie?

— Nie, absolutnie.

Wypuściłam powietrze odrobinę głośniejsze, niż to było konieczne.

— Słuchaj, Kate, po tym ostatnim numerze, który nam wycięła twoja siostra, nie mam najmniejszej ochoty tracić dla niej czasu ani tym bardziej dawać jej pieniędzy.

— Nikt nie mówi o dawaniu. Chodzi o pożyczkę.

— Akurat! Szansa na odzyskanie tych pieniędzy jest dokładnie taka sama jak na to, że twoja siostra spędzi pięć lat w college'u.

— Wiem, że byłoby to dla nas spore ryzyko. — W tym punkcie musiałam mu przyznać rację.

— Mnie też jej decyzja wydawała się z początku niepoważna, jednak po namyśle zmieniłam zdanie. Może nie jest to takie głupie, może tym razem Jo Lynn weźmie się w garść i dopnie swego. W dodatku to ja podsunęłam jej ten pomysł, co więcej, przekonałam, że stać ją na taki wyczyn.

— Nawet gdyby rzeczywiście chciała to zrobić, nie masz obowiązku łożyć na jej studia. Jesteś jej siostrą, a nie opiekunką.

— Myślę, że to może jej ostatnia szansa.

— Chce studiować? Niech sama na to zarobi. Czemu nie pójdzie do pracy? Mnóstwo ludzi uczy się i pracuje.

— Tak, ale...

— Wiem, Kate, że to twoja siostra i że chciałabyś jej pomóc. Jeśli masz pieniądze, proszę bardzo, daj je Jo Lynn, ja tu nie mam nic do gadania, ale mnie o to nie proś. Nie chcę w tym uczestniczyć i nie będę.

— W porządku. — Wcale nie było w porządku!

— Wiesz, co mnie zdumiewa? To, że tak łatwo dajesz się naciągać swojej siostrze, i to raz za razem. Przecież ona robi z tobą, co jej się podoba. W jednej chwili jesteś na nią wściekła, przysięgasz, że nie chcesz jej więcej widzieć, a w następnej dałabyś jej gwiazdkę z nieba.

— Jest moją siostrą.

356

BRAKUJĄCY ELEMENT

— I osobą bardzo ekscentryczną, mówiąc delikatnie. Zawsze była taka, a teraz stała się już niebezpieczna.

— Niebezpieczna? Dlaczego?

— Kobieta, która flirtuje z wielokrotnym mordercą, jest lekkomyślna, ta, która decyduje się poślubić takiego człowieka, musi być szalona, a jak określisz osobę, która w to szaleństwo wciąga swoją nastoletnią siostrzenicę? Nie nazwiesz jej niebezpieczną?

— Cały czas myślę po prostu, czy nie mogłabym jej jakoś pomóc.

— Nie łudź się, Kate, nic nie możesz zrobić. — Przewrócił się na bok i oparł na łokciu. — Wiesz równie dobrze jak ja, że ludzi pokroju Jo Lynn niepodobna podciągnąć w górę. Tacy ludzie mogą co najwyżej ciebie pociągnąć na dół.

Chciał mnie pocałować, więc czym prędzej odsunęłam się na swoją stronę łóżka i zaczęłam patrzeć w okno.

— No, w przyszłym tygodniu będziesz mnie miała z głowy — rzucił smętnym tonem. Odsunął się także i ciężko klapnął na plecy. — Będziesz mogła spokojnie podjąć decyzję. — Oboje wiedzieliśmy, co ma na myśli. Sprawa była jasna.

Następnego dnia zadzwoniłam do Roberta. Poinformowałam go o planowanym wyjeździe Larry'ego i umówiliśmy się na sobotę. Na miejsce naszej schadzki wybraliśmy Hotel Breakers. Pokój z widokiem na ocean.

List nadszedł w kilka minut po wyjeździe Larry'ego na lotnisko. Przez chwilę przyglądałam się kopercie, zdziwiona zarówno nieznanym charakterem pisma, jak i brakiem adresu zwrotnego, wreszcie poszłam do kuchni i tak nieostrożnie rozerwałam kopertę, że ostry brzeg przeciął mi palec. Przy wyjmowaniu zawartości na papier kapnęła kropla krwi. Była to

zwyczajna biała kartka.

„No cóż, droga Kate — brzmiały pierwsze słowa — teraz to już sprawa oficjalna. Jesteśmy rodziną.” Błyskawicznie rzuciłam okiem na koniec strony, czując, że drżą

357

JOY FIELDING

mi ręce, a serce wali jak młotem. Zobaczyłam bezwstydnie wyraźny podpis: „Uściski, Colin”.

— N*e” — krzyknęłam. Z uczuciem rosnącej grozy powróciłam do początku, siłą woli nakazując sobie czytać dalej... „Jesteśmy rodziną. Można powiedzieć, kuzyn i kuzyneczka. Muszę przyznać, że sam dźwięk tych słów sprawia mi wielką przyjemność. Pragnę Cię też powiadomić, iż niezmiernie żałowałam, że nie mogłaś przybyć na ślub, jednak Sara godnie Cię zastąpiła. Możesz być z niej dumna. Ta Twoja starsza córka to ekstradziejczyna. Słodka jak pierwsza wiosenna truska-weczka.”

Oczy nabiegły mi łzami wściekłości. Wytarłam je szybko i czytałam dalej:

„Wiem, droga Katie, że niezbyt mnie lubisz, wiedz jednak, że ja Ciebie bardzo. Mam nadzieję kiedyś Ci to udowodnić. Na razie pamiętaj, że o Tobie myślę. Uściski, Colin.”

Coraz mściwiej wykrzykując „nie, nie, nie”, podałam kartkę na tyle strzępków, na ile tylko się dało, na ile mi pozwalały trzęsące się palce. Dopiero kiedy resztką białego confetti sfrunęła mi z rąk na podłogę, rzuciłam się na czworaki i zaczęłam je zbierać, uświadomiwszy sobie nagle, co zrobiłam. Sprawa jednak była beznadziejna. „Wspaniale! Ależ inteligentne posunięcie!”, jęknęłam zdegustowana swoją głupotą. „Właśnie zniszczyłaś dowód. Tak się to nazywa w sądzie”. Bez listu nie było sensu dzwonić na policję, zadzwoniłam więc do Jo Lynn.

— Dałaś mu nasz adres? — wyskoczyłam na nią, ledwie usłyszałam „halo”.

— Powiedział, że chce podjąć jeszcze jedną próbę przeprosin.

Zrelacjonowałam jej treść listu.

— Och, przecież to strasznie miłe. Co z tobą, Kate? On tak się stara pozyskać sobie twoje względy. Nie chcesz mu dać żadnej szansy?

Odłożyłam słuchawkę z cichą rezygnacją: można to było przewidzieć. Po sekundzie ona zadzwoniła.

358

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Podjęłaś decyzję w sprawie pożyczki? — Muszę powiedzieć, że to już wprawiło mnie w osłupienie.

— Nie zdążyłam porozmawiać z Larrym—skłamałam.

— Dlaczego?

— Wyjechał na kilka dni. Wróci w poniedziałek. Wtedy z nim pogadam.

— W poniedziałek to za późno.

— Co? Niby dlaczego za późno? Teraz ona odłożyła słuchawkę.

— Nie szkodzi — rzuciłam głośno, chociaż wcale tak nie było. Spojrzawszy na zegarek, uświadomiłam sobie, że jeśli zaraz nie wyjdę do pracy, spóźnię się na sesję z nową pacjentką, jakąś panią Black. Miała przyjść o pierwszej. Wcześniejsze wizyty odwołałam, żeby odwiedzić Larry'ego na lotnisko, on jednak podziękował mi za dobre chęci, miał już zamówioną limuzynę. Wychodząc z domu, minęłam oparty o ścianę holu nowy komplet kijów do golfa — mój prezent dla niego na gwiazdkę. Tkwiły tam jak niemy wyrzut sumienia. Larry wolał zabrać swoje stare kije. „Z tymi mam więcej szczęścia”, wyjaśnił. Powiedział mi „do widzenia” i odszedł bez pocałunku.

Nie mogłam mieć o to pretensji. Od miesiący traktowałam go okropnie, na dystans i tak oziębłe... Nic dziwnego, że poczuł się odrzucony. Powinnam była z nim jechać, powiedziałam sobie na koniec.

Kiedy weszłam do gabinetu, opadły mnie znowu natrętne myśli o Colinie Friendlym i żeby się ich pozbyć, zaczęłam wyobrażać sobie tę panią Black. Ciekawe, jakie ma problemy? Ach, tyle

ich jest, a tak niewiele daje się rozwiązać... Słyszając odgłos otwieranych drzwi, wyszłam do poczekalni powitać nową pacjentkę.

Rozpoznałam ją od razu, a jednak musiało minąć kilka sekund, nim mój umysł przyjął to do wiadomości. Tak bywa, kiedy nagle spotykamy kogoś poznanego w innym otoczeniu i okolicznościach. Tutaj, w swoim gabinecie, absolutnie nie byłam przygotowana na widok tej niewysokiej uśmiechniętej kobiety o trochę za czarnych włosach i zbyt niebieskich powiekach. Wszystko, co miała na sobie

359

JOY FIELDING

— kostium, pończochy, pantofelki — utrzymane było w tym samym odcieniu brzoskwiowego różu. Efekt, no cóż, nie był najszcześniejszy. Wyglądała jak z lekka przejrzały owoc.

— Witaj, Kate!

— Brandi! — Z trudem udało mi się zachować w miarę normalne brzmienie głosu. Jakaś część mego umysłu oddzieliła się od reszty i stanęła obok w charakterze obserwatora. — Ty tutaj? A cóż ty tu robisz? Przepraszam, ale tak mnie zaskoczyłaś... Co u ciebie?

— Nie najświetniej.

— Och, przykro mi to słyszeć. — Prawdę mówiąc, przykro mi było (i głupio) słuchać czegokolwiek. Brandi Crowe była ostatnią osobą, z którą chciałam mieć do czynienia. Planowałam przecież przespać się z jej mężem! Pojutrze.

Uśmiechnęła się niewyraźnie, nerwowym gestem zacisnęła ręce i natychmiast znów je opuściła. Czyżby Robert zdradził jej nasze plany?, zastanawiałam się równie nerwowo. Albo recepcjonista z Hotelu Breakers w nadziei na suty napiwek?

— Co cię sprowadza? Coś konkretnego? — spytałam, przełamując wewnętrzny opór.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Ze mną...?

— Przychodzę jako pacjentka.

— Strasznie cię przepraszam — powiedziałam szybko

— ale dzisiaj nie mam wolnej chwili. — Całe szczęście! I kto by pomyślał, że będę dziękować Bogu za nadmiar pracy!

— Mam zamówioną wizytę.

— Doprawdy? — Uznałam, że to niemożliwe. Jakim cudem, przyjmując jej zgłoszenie, mogłabym nie rozpoznać, a później nie zapamiętać nazwiska przyszłego kochanka? Musiałabym być chyba chwilowo niepoczytalna.

— Pod nazwiskiem „pani Black” — wyjaśniła Brandi z przeproszającym uśmiechem. — Niezbyt to oryginalne.

No tak! Nowa pacjentka!

— Ach, więc to był podstęp?

360

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Bałam się, że inaczej mnie nie przyjmiesz i Robert... Nie chcę, żeby wiedział. — Wstrzymałam oddech. — Przepraszam za tę maskaradę.

— Nie ma za co. — Poprosiłam ją do gabinetu, próbując na gwałt zebrać myśli. Zaraz... Żeby zarezerwować sobie tę wizytę, Brandi musiała zadzwonić kilka tygodni temu, a więc o wiele wcześniej, aniżeli ja zdecydowałam się umówić z jej mężem, nie może zatem nic wiedzieć o naszych najbliższych planach. Uświadomiwszy to sobie, poczułam tak wielką ulgę, że omal się nie roześmiałam. — Rozgość się — poprosiłam.

Usiadła naprzeciwko, starannie układając nogi, jednak już po sekundzie założyła jedną na drugą, po czym znowu zmieniła pozycję.

— Czuję się trochę zażenowana.

— Może powinnaś się zwrócić do kogoś innego? Na pewno chcesz rozmawiać ze mną?
— Tak, tak — odrzekła z pośpiechem. — Zauważyłam, że świetnie umiesz słuchać, w dodatku Robert wyraża się o tobie z takim uznaniem...
Szybko rozważyłam w duchu etyczny aspekt sytuacji: czy wolno mi udzielać porad żonie kochanka? Raczej nie, ale przecież Robert jeszcze nie jest moim kochankiem, a jego żona moją stałą pacjentką. Miejmy nadzieję, że skończy się na tej wizycie.
— Pytam o to dlatego, że może czułabyś się swobodniej z kimś, kto cię nie zna? — Nie ma potrzeby tłumaczyć, że to ja czułam się bardziej niezręcznie niż ona.
— Nie, nie, naprawdę. Nie mam wobec ciebie żadnych oporów.
— No dobrze. — Z trudem przywołałam na usta swój profesjonalny uśmiech, otworzyłam notatnik i wyjęłam pióro. Wyglądało na to, że nie mam innego wyboru jak tylko wysłuchać jej zwierzeń, a potem... Zawsze przecież mogę polecić jej innego terapeutę. — Powiedz mi zatem, w czym ci mogę pomóc?
— Nie wiem', od czego zacząć... — niepewnie rozejrzała się po pokoju.

361

JOY FIELDING

— Może od tego, co skłoniło cię do tej wizyty. Roześmiała się z oczami pełnymi łez i na dłuższą chwilę umilkła. Kilkakrotnie nerwowo przełknęła ślinę, nim wreszcie zdołała wykrztusić:
— Boże, ależ mi głupio. To takie strasznie banalne.
— Ktoś mądry powiedział, że banał to coś, co zbyt często bywało prawdą. Nie masz powodu się wstydzić.
— Dziękuję — zdobyła się na uśmiech. — Widzisz, ja po prostu nie wiem już, kim jestem...
— Bezradnie wzruszyła ramionami. Z oczu jej trysnął nagle potok łez prosto na kołnierz brzoskwiniowego żakietu.
Czym prędzej podałam jej chusteczkę. Spojrzała na mnie z wdzięcznością i ostrożnie, aby nie rozmazać makijażu, zaczęła osuszać oczy.
— Zaczynaj może od tego, kim byłaś — zaproponowałam.
— Od dzieciństwa?
— Tak. Wiem już, że twój ojciec jest właścicielem wielu stacji radiowych.
Kiwnęła głową:
— Dokładnie czternastu.
— A twoja matka?
— Zmarła, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Popelniła samobójstwo.
— Mój Boże, to straszne.
— Nie byliśmy sobie zbyt bliskie, ale tak, to było straszne.
— Masz jakieś rodzeństwo?
— Dwie starsze siostry. Jedna mieszka na Maui, druga w Nowej Zelandii.
— Dalej już nie mogły zawędrować?
— Rzeczywiście — zaśmiała się Brandi.
— Rzadko je pewnie widzisz.
— Prawie wcale.
— Tęsknisz za nimi?
— Nie, raczej nie. Niewiele nas łączy.
— W jaki sposób twoja matka popelniła samobójstwo? — zapytałam z czystej ciekawości. Brandi okazała się osobą bardziej interesującą, niż można było przypuszczać.

362

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Powiesiła się w gabinecie mego ojca — odrzekła dziwnie beznamiętnym tonem. Jakby

mówiła nie o swojej matce, lecz o kimś zupełnie obcym. — Przypuszczam, że chciała w ten sposób zwrócić na siebie jego uwagę. Nie udało jej się. Tego dnia ojciec w ogóle nie przyszedł do pracy. Dopiero podczas sprzątnięcia biura znalazł ją któryś z tych ludzi...

— Twoi rodzice nie byli najwidoczniej szczęśliwym małżeństwem.

— Ojciec owszem, był całkiem szczęśliwy. Miał swoje rozgłośnie, rodzinę, kobiety...

— Kobiety? — Pióro zadrżało mi w palcach. Położyłam je na notatniku.

— Mój ojciec to postać takiego formatu, jakie widuje się w filmach. Typ wielkiego potentata, potężny, przebojowy i strasznie wymagający. O, niełatwo go zadowolić. Teraz trochę przyhamował... Postarzał się, więc... więc nie może już szaleć tak jak kiedyś, co nie znaczy, że nie próbuje.

— Twoja matka wiedziała, że ją zdradza?

— Oczywiście. My, dzieci, także. Nie miał zwyczaju ukrywać swoich romansów. Nie leżało to w jego stylu.

— Jak to przyjmowałaś? Co czułaś?

Brandi przechyliła głowę na bok i zapatrzyła się w okno:

— Czułam się... umniejszona — powiedziała wreszcie.

— Wytłumacz to bliżej. — Określenie, którego użyła, było bardzo interesujące, och, i niebanalne.

— Nie wiem, czy potrafię. Ja... Najlepiej chyba ująć to tak: traktowałam jego zdrady jak coś osobistego. Jakby oszukiwał nie tylko matkę, ale i mnie. Czułam się przez to coraz mniej znacząca.

— Czy kiedykolwiek mówiłaś mu o tym? Roześmiała się gorzko:

— Skądże! Zawsze był zbyt zajęty, poza tym nawet teraz nie interesuję go ani ja sama, ani to, co mówię czy mam do powiedzenia.

— Ożenił się powtórnie?

— Nawet kilka razy. Obecnie, cytuję jego słowa, dzieli swe względy między dwie eksmałżonki.

363

JOY FIELDING

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Nakreśliłaś portret skrajnego egoisty.

— Och, i taki on jest! Na tym zresztą polega jego urok. — Znów kilka łez pocięło jej z oczu.

— To paradoksalne, że... — urwała.

— Że co?

— Wiesz, przysięgłam sobie, że nigdy w życiu nie zwiążę się z żadnym mężczyzną, który by choć trochę przypominał mego ojca, no i widzisz, co zrobiłam?

— Co takiego? — Wolałabym tego nie wiedzieć!

— Wyszłam za Roberta.

— Uważasz, że jest podobny do twego ojca?

— Jest dokładnie taki sam.

— Pod jakim względem? — Teraz ja z kolei popatrzyłam w okno.

— Pod każdym. Jest przystojny, inteligentny, czarujący, samolubny, zajęty wyłącznie sobą i do tego arogancki. Nie uważasz, że arogancja to cecha, która bardzo podnosi męską atrakcyjność seksualną?

— Arogancja czy pewność siebie? Czasami mylimy te cechy. — Wzmiankę o seksie wolałam pominąć milczeniem.

— Robert jest zarówno pewny siebie, jak i arogancki, nie uważasz?

— Nie znam go tak dobrze — powiedziała wymijająco.

— Ale przecież znałaś go w gimnazjum — szybko wtrąciła Brandi. — I jaki był wtedy?

— Przystojny, inteligentny, czarujący, samolubny, zajęty wyłącznie sobą — wyrecytowałam

słowo po słowie większość wymienionych przez nią epitetów, po czym zawahałam się lekko przed ostatnim. — I arogancki — dodałam uczciwie.

— I bardzo sexy, zgadza się?

— I bardzo sexy — przyznałam. Każda inna odpowiedź byłaby kłamstwem.

— Ja od początku wiedziałam, jaki on jest — mówiła dalej Brandi. — Och, widać to było na milę. Trzymaj się od niego z daleka, mówiłam sobie, jest zbyt niebezpieczny.

Ha, ale właśnie to stanowiło w znacznej mierze o jego uroku... Cóż z tego, że znałam jego reputację, coś z tego, że już w chwili gdy go zobaczyłam, było dla mnie jasne, że to kobieciarz kubek w kubek taki sam jak ojciec? Nic mi to nie pomogło. Nie słuchałam rozumu, który mówił mi jasno, że takiego człowieka jak Robert absolutnie nie da się zmienić. Uległam złudzeniu, że ja to potrafię. Coś, co we mnie tkwiło gdzieś bardzo głęboko, widocznie pragnęło udowodnić, że nie jestem taka jak matka, że historia moja i Roberta musi skończyć się happy endem. Dopisanym przeze mnie. Jak widzisz, mam dokładną świadomość swoich motywacji.

—Roześmiała się niewesoło:—Przeczytałam chyba wszystkie możliwe poradniki!

— Myślisz, że Robert cię zdradza?

— Ja to wiem.

— Skąd? — Ugryzłam się w język, ale poniewczasie.

— Zdradza mnie systematycznie od prawie dwudziestu lat.

Z wrazenia upuściłam pióro na podłogę. Podniosłam je dość niezgrabnie.

— Zaczął to robić w niecały rok po ślubie. Tą pierwszą była chyba jego sekretarka. Cała sprawa trwała około pół roku.

— Wiesz to od niego?

— O, nie! Jest arogancki, ale nie głupi.

— Więc jak się dowiedziałaś?

— Ja też nie jestem głupia — odrzekła po prostu.

— Nie powiedziałaś mu, że wiesz?

— Po co? Taka konfrontacja wymaga dalszych działań, a ja nie byłam na to gotowa.

— A teraz?

— Kocham mego męża, Kate. Nie chcę go utracić.

— Czego ode mnie oczekujesz? W jaki sposób mogę ci pomóc?

— Powiedz mi, co mam robić.

— O nie! Tego nie potrafię.

— Wiedziałam, że tak powiesz. — Spróbowała się roześmiać, lecz był to śmiech, co umiera, zanim jeszcze

364

365

JOY FIELDING

zdąży się narodzić. — Przyszłam do ciebie, bo skończyły mi się pomysły. Bóg mi świadkiem, że wszystkiego już próbowałam. Dosłownie wylażiłam ze skóry, żeby tylko go zadowolić. — Szarpnęła swoje sztywne od lakieru włosy:

— Lubi długie włosy, więc czeszę się tak, jak widzisz, nie cierpi siwizny, więc co trzy tygodnie latam do fryzjera farbować odrosty, mam cały asortyment kremów przeciw-zmarszczkowych, trzy razy w tygodniu spędzam po pół dnia w siłowni, i to jest wszystko, co jeszcze mogę zrobić. Niewiele to zresztą pomaga. Mam czterdzieści sześć lat i czworo dzieci, moje mięśnie nigdy już nie będą tak elastyczne jak kiedyś. — Odgarnęła włosy znad ucha:

— Cztery lata temu zrobiłam sobie lifting. Ciekawa jestem, czy widzisz ślady.

— Nie — zapewniłam ją szybko. Nie miałam ochoty przyglądać się bliżej, musiałam to jednak zrobić, bo czekała, trzymając w ręku tę garść uniesionych włosów.

— Doskonała robota — wymamrotałam.

— Ach, żebyś wiedziała, jak to bolało! Byłam tak zmlaltretowana, jakby potrąciła mnie

ciężarówka! Kilka miesięcy świeciłam bliznami na twarzy i szyi. Ale o tym nikt cię oczywiście nie uprzedzi. Ach, drobny dyskomfort, będzie pani troszkę opuchnięta, proszę się jednak nie martwić, za dwa tygodnie wszystko się wygoi. Akurat! Przez kilka miesięcy wyglądałam jak maskara. Ale to i tak pestka w porównaniu ze zmniejszaniem brzucha.

— To też robiłaś?

— A jakże! Zeszłego roku wiosną. Czego ja nie robiłam! Lifting, zmniejszanie brzucha, odsysanie tłuszczu, piersi...

— Masz sztucznie powiększone piersi?

— Po czwórce dzieci nie były już takie jak kiedyś, a Robert, sama wiesz, wciąż wygląda zupełnie jak trzydzieści lat temu. Ma to samo szczupłe, dobrze umięśnione ciało, które na dodatek nigdy nie przybiera na wadze, podczas gdy ja, no cóż, wyglądałam jak kobieta w średnim wieku, która urodziła czworo dzieci. Trudno go było winić, że ogląda się za innymi.

— Łatwiej ci było winić siebie?

366

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Chyba tak. Bo wydawało mi się, że skoro wina jest po mojej stronie, to mogę też coś naprawić... spowodować, żeby Robert spojrział na mnie znów tak jak dawniej. I wiesz, do jakiego doszłam wniosku? — zawiesiła głos w oczekiwaniu.

— Powiedz.

— Że to na nic. Mojego męża nie interesuje to, co już ma, w tym cała rzecz. To, czy będę wyglądała młodziej albo ładniej, nie odgrywa tu najmniejszej roli. Niektóre jego kochanki były starsze ode mnie, kilka z nich trudno by nawet uznać za średnio atrakcyjne, a jemu się podobały. Tym, co go w nich pociągało, była nowość i to, że ich jeszcze nie miał. Kobieta nie musi być młoda ani ładna, wystarczy, że budzi w nim takie uczucia.

Spuściłam oczy, policzyłam do dziesięciu i dopiero wtedy zadałam pytanie:

— A co z seksem? Jak układa się wasze współżycie? — Pamiętałam, co mówił Robert: „Ja i moja żona nie sypiamy ze sobą od trzech lat”.

— Prawidłowo.

— To znaczy?

— To znaczy, że dobrze. Zawsze tak było.

— Więc nadal ze sobą sypiacie. — Zaczęłam obracać w palcach górny guzik bluzki.

— Och tak, z tym nigdy nie było problemu. Zdaje się, że jesteś zdziwiona?

— Nie. — Udało mi się przybrać obojętny wyraz twarzy. — Nie, wcale nie jestem zdziwiona.

— Powtarzając te słowa, uświadomiłam sobie, że to prawda.

— Powiem ci teraz, co mnie doprowadza do rozpaczki. Otóż wydawało mi się, że mamy wreszcie za sobą te tak zwane małżeńskie zakręty. Dzieci podrosły, stały się bardziej samodzielne, a między nami układało się lepiej niż kiedykolwiek od wielu lat. Ostatni romans Roberta skończył się półtora roku temu, byłam więc dobrej myśli i nagle znowu!

— Romans?

— Tak.' Już się zaczął lub nastąpi to lada chwila.

367

JOY FIELDING

— Skąd wiesz?

— Wszystko na to wskazuje. Możesz mi wierzyć, w tych sprawach nigdy się nie mylę.

— Wiesz z kim? — Przestałam oddychać, czekając na tę odpowiedź.

— To, z kim romansuje, nie ma dla mnie żadnego znaczenia — rzuciła lekceważąco.

— A co jest dla ciebie ważne?

— To, że tym razem chyba tego nie wytrzymam. Tych kłamstw, kręctw, kompletnego lekceważenia moich uczuć. Nie wiem, czy będę umiała po raz setny udawać, że nic się nie dzieje... Boję się, że nie, i wiesz, właśnie to przeraża mnie najbardziej. Tak długo byłam panią

Rober-tową Crowe, że po prostu nie jestem już pewna, czy potrafię samodzielnie istnieć, czy ja jeszcze w ogóle istnieję! Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby zadowolić męża, wyłaziłam ze skóry, żeby mu się podobać. Wpompowałam w to swoje ciało tyle różnych mikstur, nie mówiąc już o tym, co mi odessano, że kiedy spoglądam w lustro, zaledwie się mogę rozpoznać. Jakby nic już ze mnie nie zostało. — Wstała, powoli podeszła do okna i spojrziała w dół, na ulicę. — Spytasz pewnie, dlaczego przez tyle lat tolerowałam jego niewierność. Wiesz, o czym to świadczy? O czymś naprawdę okropnym. Mam ci powiedzieć?

— Tak.

— Jestem taka sama jak moja matka. Zaskoczyła mnie tą odpowiedzią.

— Dlaczego tak uważasz?

— Moja matka odebrała sobie życie — powiedziała znów tym beznamiętnym tonem. Łzy już jej obeschły. — Ja na swój sposób robię to samo, tyle że wybrałam inny rodzaj śmierci. Po prostu dłużej umieram.

ROZDZIAŁ 28

— Łajdak! — wrzasnęłam w kilka minut później, okładając pięścią kierownicę. — Podły kłamca! „Ja i moja żona nie sypiamy ze sobą od trzech lat”! A ty mu wierzyłaś, idiotko! — Z pasją wycięłam siarczysty policzek swojemu odbiciu w lusterku. Chybnięło się w bok i znikło. Jak mogłam być taka głupia? Czyżbym wciąż była tak beznadziejnie naiwna jak przed trzydziestu laty? Wtedy wiedziałam wprawdzie, że nie mnie jedną Robert obdarza względami, ale co z tego? Chodził do Sary Lyons, a ja udawałam ślepą. Robiłam to samo co jego żona. Obie przeczyłyśmy oczywistym faktom, udając, że nie istnieją. Ona uprawiała tę grę tak długo, że sama prawie przestała istnieć.

Wyprostowałam lusterko. Brandi na szczęście nie wie, że to ty, pomyślałam, patrząc sobie w twarz. Och! Oczy rozszerzyły mi się nagle. A może wie? Może ta jej wizyta była dobrze wykalkulowana? Czy jednak byłaby w stanie tak precyzyjnie zrealizować swój zamysł...? Cóż, ma bogate doświadczenie w tych sprawach.

„Nie jestem głupia”, zabrzmiał mi w uszach głos Brandi, a z mojej twarzy w lusterku spojrzwały jej szare oczy. Jakby dwie kobiety złączyły się w jedną. Poczułam znowu jej dotyk, zupełnie jak w chwili gdy na pożegnanie ścisnęła mi rękę. „Sądzę, że nie ma sensu rezerwować następnej wizyty”, powiedziała na odchodnym.

24 Brakujący element

369

JOY FIELDING

„Strzeż się kobiet, których imiona kojarzą się z czymś do picia”, powiedział Robert. Tak, mówił bardzo dużo, ale czy cokolwiek z tego było prawdą?

„Moja żona i ja nie sypiamy ze sobą od trzech lat.”

Może jednak to nie Robert kłamie, tylko ona? A jeśli jest nieczułą i oziębłą żoną, a on kochającym i wiernym mężem?

— I ty w to wierzysz? — głośno zapytałam samą siebie.

Kobieta w samochodzie na sąsiednim pasie też poruszała wargami. Pewnie rozmawia z kimś przez telefon... I pewnie to samo myśli o mnie! Ach, te szalone baby gadające same do siebie na wszystkich autostradach Ameryki! Zachciało mi się śmiać. Ta obok też parsknęła śmiechem. A Brandi? Może i ona śmieje się teraz w kułak z niedoszłej rywalki, którą tak gładko udało jej się spławić? Mogła przecież sfabrykować to wszystko od początku do końca — romanse ojca, afery miłosne Roberta... Wszystko? Nawet samobójstwo matki?

Przejechałam z pasa na pas, nie sygnalizując manewru, za co słusznie mi się oberwało. Rozległ się ryk klaksonu, a kierowca, któremu zajęchałam drogę, surowo pogroził mi palcem. Jak zachować się wobec Roberta? Uznałam, że w tej chwili nie muszę podejmować żadnej decyzji. Poczekam z tym do soboty. Powiem mu, „była u mnie twoja żona” i... co dalej? Dalej bałam się myśleć.

Przez resztę drogi skupiłam się wyłącznie na tym, żeby w ogóle nie myśleć i absolutnie nic sobie nie wyobrażać. Kosztowało mnie to tyle wysiłku, że gdy po piętnastu minutach dotarłam wreszcie do domu, marzyłam już tylko o gorącym jacuzzi i o łóżku. Czułam, że gdzieś za oczami przyczaił mi się ból głowy i za chwilę ruszy do ataku.

Na środku naszego podjazdu stała zdezelowana czerwona toyota, tarasując dokładnie drogę do garażu. „Wspaniale! Tylko tego mi brakowało!” Musiałam wycofać swój wóz i zaparkować go na ulicy. Do diabła, Jo Lynn, co ty tu znowu robisz?

Byłam już na ścieżce prowadzącej do domu, kiedy w drzwiach stanęła Michelle. W lekkich spodniach khaki

370

BRAKUJĄCY ELEMENT

i puszystym swetrze koloru mchu wyglądała zupełnie jak postać z plakatu propagującego

powrót do natury. Szybko zamknęła drzwi i wybiegła mi naprzeciw do połowy ścieżki.

— Postanowiłam cię ostrzec! — rzuciła konspiracyjnym szeptem.

— Co się dzieje, kochanie?

— Jo Lynn jest w domu.

— To już zauważyłam. Gdzie babcia?

— Śpi.

— A Jo Lynn?

— W kuchni. Gotuje kolację.

— Ona gotuje kolację?

Michelle wzruszyła ramionami gestem, który miał oznaczać: „No cóż, przecież to twoja siostra”.

— Długo już tu jest?

— Jakąś godzinę.

Spojrzałam na zegarek: dochodziła siódma.

— Sara w domu?

— Tak, pomaga Jo Lynn.

— Ona?!

— Skosztuję wszystkiego z twojego talerza — oznajmiła z komiczną powagą Michelle.

Roześmiałam się na to, choć nie bez pewnej goryczy:

— Aż tak źle chyba nie będzie — ucałowałam jej gładki policzek — mimo to dziękuję ci, skarbie, za dobre intencje.

— Cokolwiek się stanie, najważniejsze, żebyś zachowała spokój.

— Nic się nie stanie, dziecinko — zapewniłam ją szybko. A może siebie?

— Och, znasz Jo Lynn. Na pewno znowu coś powie, żeby cię zdenerwować. Nie pozwól wciągnąć się w kłótnię.

Skąd tyle rozumu w tej małej główce, pomyślałam który to już raz? Równocześnie ogarnął mnie ogromny smutek: moje czternastoletnie dziecko usiłuje mnie osłaniać, podczas gdy to ja przecież powinnam jej bronić.

— Dam sobie radę, lalczko.

— Pamiętaj, głowa do góry!

371

JOY FIELDING

— Jo Lynn? — zawołałam, wchodząc do holu. Do licha, z wieloletniego nawyku omal nie powiedziałam: „Już jestem, kochanie”.

— Gotuję kolację! — odkrzyknęła. Głos jej emanował swojskim, intymnym ciepłem. „Jesteśmy przecież rodziną”, zdawał się mówić.

— Nieźle pachnie. — Pomna wskazówek Michelle wyprostowałam plecy i weszłam do kuchni.

Jo Lynn uzbrojona w widelec mieszała w wielkim rondlu rozmaite warzywa z kawałkami kurczaka. Ubrana dziś była w białe dzinsy i luźny czarny sweter z dekoltem w kształcie litery V. Sara w niebieskich dzinsach i przyciasnej drelichowej bluzie stała obok, pilnując dymiącego garnka z białym ryżem. Na mój widok z pośpiechem położyła na nim pokrywkę, a sama czym prędzej wybiegła z kuchni.

— Nie nakryłaś do stołu! — zawołała za nią Jo Lynn.

— Zrobię to później.

— Bardzo cię proszę, zrób to teraz.

Ku memu zdumieniu Sara zawróciła, Jo Lynn zaś posłała mi wymowny uśmiech: „No i widzisz, jakie to proste?”

— Larry wyjechał, tak? — spytała.

— Tak, do poniedziałku. — Przyszło mi na myśl, że może postanowiła sprawdzić, czy

przypadkiem jej nie oszukałam, i stąd ta wizyta.

— Mam jeszcze coś zrobić? — zwróciła się do niej Sara. Mnie traktowała nadal jak powietrze.

— W tej chwili nie.

— Więc mogę iść do siebie?

— Oczywiście. Zawołam cię na kolację.

Moja córka skinęła głową i wyszła, nie zaszczycając mnie nawet jednym spojrzeniem.

— Dlaczego wyrzuciłaś Sarę z jej pokoju? — natychmiast zaatakowała mnie Jo Lynn. — Mogłaś matkę umieścić w gabinecie.

Czując niemiłe ściskanie w żołądku, kątem oka zerknęłam na Michelle, która oparta o sofę w przyległym

372

BRAKUJĄCY ELEMENT

pokoju czujnie obserwowała nasze zachowanie. „Uśmiech”, powiedziała bezgłośnie, podchwyciwszy moje spojrzenie. Przyłożyła palce do twarzy i uniosła nimi kąciki ust. „»

— To już nie potrwa długo — odpowiedziałam Jo Lynn.

— Pokój dziewczyny to jej sanktuarium — zaczęła perorować nieznośnie mentorskim tonem. Jakbym nigdy nie była nastolatką! — Naucz się wreszcie szanować prywatność dziecka, jeśli zależy ci na tym, żeby ono szanowało swoją.

— Doprawdy?

Michelle chrząknęła głośno. Na ustach wciąż miała „wzorcowy” uśmiech. Tak się starała, biedactwo, że omal oczy nie wyszły jej z orbit.

— Pamiętam po prostu, jaka ja byłam wściekła, kiedy ktoś mi włąził do pokoju — oświadczyła Jo Lynn. — Ciekawe, co powiesz na moje danie — zmieniła nagle temat. — Ostatnio nauczyłam się nieźle gotować.

— Wspaniale.

— Najważniejszą rzeczą w kuchni jest praktyka. Gotować potrafi każdy, kto umie czytać, tak przynajmniej mawiała mama.

— Od kiedy to powołujesz się na mamę? Nigdy jej nie słuchałaś.

Pominęła tę uwagę milczeniem.

— Wypróbuję sobie różne ciekawe przepisy — mówiła dalej. — Będzie jak znalazł, kiedy Colin wyjdzie z więzienia.

— Wspaniale — powtórzyłam z obawy, że jakikolwiek inny komentarz gotów wywołać burzę. Pomyliłam się sądząc, że ten jest bezpieczny.

— Wspaniale, wspaniale! Dlaczego to mówisz, skoro tak nie myślisz! Wiem, jak ci zależy na tym, żeby Colin wyszedł na wolność. To dokładnie ostatnia rzecz, której byś sobie życzyła!

— Wspaniale, że lubisz gotować. To miałam na myśli.

— Wcale nie powiedziałam, że lubię.

373

JOY FIELDING

Zerknęłam znów na Michelle. Chwyciła się za podbródek i uniosła go w górę. Wypełniając jej niema instrukcję, zrobiłam to samo.

— Cóż to, kark cię boli? — zdziwiła się Jo Lynn.

— Trochę mi zeszywniał — wyłgałam się szybko.

— Bo nie umiesz się zrelaksować. Nigdy nawet na sekundę nie potrafisz popuścić sobie cugli. Ty cały czas usiłujesz być wzorem doskonałości.

— Wcale nie usiłuję być doskonała.

— A wiesz, co jest najgorsze? — spytała, odkładając widelec. — To, że wychodząc z gabinetu nie kończysz pracy. Ty ją zabierasz do domu.

— Cóż, chyba masz rację.

— Za bardzo przyzwyczyłaś się dyktować ludziom, jak mają żyć. Och, zrozumiem mnie dobrze, nie twierdzę, że to coś złego, w końcu na tym przecież polega twój zawód, ale wiesz co? Bardzo łatwo przy tym zapomnieć, że być może nie wszystkich, mówię o domownikach, interesują twoje uczone opinie.

Wyjęłam właśnie z kredensu dużą drewnianą tacę. Wręczając ją swojej siostrze, miałam dziką ochotę przyłożyć jej w głowę.

— Słuchaj, Jo Lynn, co ty tu właściwie robisz?

— Jak to co? Gotuję ci kolację.

— To widzę. Ale dlaczego?

— Może chcę ci w ten sposób powiedzieć „przepraszam”.

Omal się nie roześmiałam: szczególny zaiste sposób wyrażania skruchy!

— I to jest jedyny powód twojej wizyty? Wzruszyła ramionami:

— Muszę pomówić z mamą — rzuciła niedbale, jakby to była sprawa całkiem marginalna.

— O czym?

— Kolacja gotowa! — zawołała zamiast odpowiedzi. Postawiła dymiące garnki na tacy i zaniósła do pokoju obok. — Proszę do stołu!

— Nie powinnaś denerwować matki.

374

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Nie twój interes, co zamierzam zrobić — wycedziła ze słodkim uśmiechem.

Sara zjawiała się jako pierwsza i zabrała się do jedzenia, zanim my zdążyliśmy usiąść.

— Nie uważasz, że grzeczność nakazuje poczekać na wszystkich? — zwróciłam jej uwagę.

— Nie przejmuj się, jedz — rzuciła Jo Lynn, nalewając wody do szklanek. — Skąd nagle te ceremonie? Ty też, Kate, nabieraj sobie i jedz.

— Poczekałam na mamę i Michelle.

— Rób, jak uważasz — odparła, nakładając na talerz całą górę warzyw i kurczaka — ale ta potrawa najlepiej smakuje, kiedy jest gorąca.

— Co to? — zainteresowała się matka, wchodząc do pokoju. — Przyjęcie? — W bladuróżowej szmizjerce, z siwymi loczkami przyplaszczonymi trochę od spania wyglądała całkiem normalnie. Jak nasza dawna matka.

— Tak, mamó — poinformowała ją Jo Lynn — przyjęcie, i to twoje. Możesz płakać, jeśli masz ochotę.

— Płakać? — zdziwiła się matka, nie rozpoznając cytatu ze starego przeboju Lesley Gore.

— Jedzmy — zarządziła Jo.

— Coś tu cudownie pachnie.

— A jeszcze lepiej smakuje — dodała z uznaniem Sara. Michelle pomogła babci usadowić się przy stole.

— O tak, Kate jest wspaniałą kucharką — stwierdziła matka.

Jo Lynn wrzuciła jej na talerz olbrzymią porcję.

— Ja przygotowałam kolację — powiedziała z naciskiem.

— Doprawdy, kochanie? Brawo.

— Proponuję toast. — Moja siostra uniosła szklankę i z uśmiechem zastygła w tej pozycji. — Za nowy początek. — Trąciłyśmy się szklankami z wodą.

— Czy to przyjęcie? — zapytała matka.

— Tak, babciu.

Matka wzięła na widelec kawałek kurczaka i ostrożnie włożyła do ust.

375

JOY FIELDING

— Nie bój się — sarknęła Jo Lynn — nie ugryzie.

— Och, to jest pyszne. Kate wspaniale gotuje.

- Babciu, kolację zrobiła Jo Lynn — przypomniała jej Sara.
- Oczywiście, kochanie.
- Dalszy ciąg posiłku szczęśliwie minął w milczeniu; do chwili gdy matka, opróżniwszy talerz, nie uznała za stosowne ponownie mnie skomplementować:
- Kate, przyjęcie było cudowne.
- Jeszcze się nie skończyło — oświadczyła Jo Lynn. Michelle i Sara po sprzątnięciu ze stołu ustawiały naczynia w zmywarce. — Mamy jeszcze coś do omówienia. Pewną drobną sprawę.
- Sprawę, kochanie?
- Proszę cię, Jo Lynn — próbowałam interweniować.
- Nie wtrącaj się, Kate! Ciebie to nie dotyczy.
- Babciu, może chcesz pooglądać telewizję? — zawołała z kuchni Michelle. Jo Lynn spiorunowała ją wzrokiem.
- Odwołaj swoje pieski, Kate — syknęła.
- Przecież wiesz, że matka nie zrozumie nic z tego, co jej powiesz.
- Wielka mi nowina! A kiedy było inaczej?
- A jeśli nawet zrozumie, to i tak nie zapamięta.
- Nie musi pamiętać, a ty nie musisz tu sterczeć.
- Nigdzie nie pójde.
- Jak sobie chcesz, tylko masz się nie wtrącać. — Podeszła do matki i obróciła ją twarzą do siebie wraz z krzesłem. — Posłuchaj, mamó, to nic wielkiego. Potrzebuję po prostu trochę pieniędzy.
- Pieniądzy?
- No tak, przecież wiesz, co to jest. Takie brzydkie zielone papierki. Od lat zbierasz je i chowasz.
- Jo Lynn, proszę cię...
- Zamknij się, Kate.
- Mama nie ma żadnych pieniędzy. Matka zerknęła na mnie niespokojnie:
- Kate, kolacja była pyszna.

376

BRAKUJĄCY ELEMENT

- Ja przygotowałam kolację — rzuciła Jo Lynn przez zęby. Trzymając ręce na poręczach krzesła, na którym siedziała matka, zbliżyła twarz do jej twarzy, tak że dzieliły je zaledwie centymetry. — Podziękuj mnie, a nie Kate!
- Kate jest wspaniałą kucharką. W oczach Jo Lynn ukazały się łzy.
- Wiemy o tym! Kate wszystko robi wspaniale! Ale teraz nie mówimy o Kate, tylko o mnie. Pamiętaj, co powiedziałam?
- Oczywiście, kochanie.
- Cieszę się, bo to dla mnie bardzo ważna sprawa. Postanowiłam wrócić na studia i zostać prawnikiem. Co o tym sądzisz?
- Wspaniale, kochanie.
- I w tym właśnie celu potrzebne mi są pieniądze, a ponieważ ich nie mam, proszę cię o pożyczkę.
- Matka uśmiechnęła się blado.
- Nie chodzi o wielką sumę. Wystarczą mi dwa tysiące, ale muszę je mieć zaraz.
- Zaraz? — Mój głos zabrzmiał ostro jak trzaśnięcie z bicia.
- Prosiłam cię, Kate, żebyś się nie wtrącała.
- Ale po co ci natychmiast taka suma? Jeszcze nawet nie złożyłaś podania.
- Do podania trzeba załączyć czek.
- Ale nie na dwa tysiące!
- Od twoich czasów wiele się zmieniło.

- Nie aż tyle. Powiedz, na co potrzebujesz tych pieniędzy.
- Nie uważasz, że to sprawa wyłącznie moja i mamy? Ty wycofałaś się przecież z obietnicy udzielenia mi pożyczki! Popraw mnie, jeśli się mylę!
- O co tu naprawdę chodzi, Jo Lynn? — nalegałam dalej.
- Kolacja była pyszna,. Kate — powiedziała matka, zerkając nerwowo na nas obie. — Chciałabym pójść już do swego pokoju.
- Dobrze, mamó. Michelle, odprowadzisz babcię...?

377

JOY FIELDING

- Michelle, zostań gdzie jesteś — ostro wkroczyła Jo Lynn. — Babcia nigdzie nie pójdzie, póki nie skończymy.
- Na miłość boską, to nie ma sensu! Nie widzisz, że ją tylko denerwujesz?
- To ty ją denerwujesz, nie ja.
- Ona nie rozumie, o co chodzi.
- Rozumie bardzo dobrze, prawda, mamó?
- Oczywiście, kochanie. — Matka niespokojnie poruszyła się na krześle.
- Słyszałaś!
- Ona tak odpowiada na każde pytanie — próbowałam tłumaczyć. Bez skutku.
- Słuchaj no, Kate, czyżbyś się bała, że przez to mniej odziedziczysz?
- O czym ty mówisz? Tłumaczę ci przecież, że mama nie ma pieniędzy! Nie będzie żadnego spadku!
- Mamó — zaczęła od początku, jakby nic z tego do niej nie dotarło — potrzebuję tylko dwóch tysięcy. Tyle masz na pewno, prawda? Pożycz mi. Nigdy o nic cię nie prosiłam.
- Kolacja była pyszna — wyszeptała matka żałośnie cienkim głosem. Zaczęła nerwowo poruszać rękami.
- Popatrz, Jo Lynn, ona się ciebie boi.
- To prawda, co mówi Kate? Boisz się mnie?
- Chciałabym iść już do swego pokoju.
- Będiesz mogła iść, dokąd zechcesz, jak tylko załatwimy sprawę.
- Na litość boską, Jo Lynn, dość tego, koniec! Ty też powinnaś już iść do domu.
- Przyjęcie skończone?
- Tak, mamó, skończone.
- O nie, przyjęcie trwa dalej! — W głosie Jo Lynn brzmiała jakaś dziwna desperacja. — Posłuchajcie obie. Wy chyba nie zdajecie sobie sprawy, jakie to dla mnie ważne! Być może to już moja ostatnia szansa. Chcecie mi ją odebrać? Pomyśl, mamó, jaka mogłabyś być ze mnie dumna! Nie byłoby ci przyjemnie opowiadać znajomym, że córka jest adwokatem?

BRAKUJĄCY ELEMENT

- Oczywiście, kochanie.
 - Jeśli mi powiesz, gdzie trzymasz swoją książeczkę czekową, to zaraz ci ją przyniosę.
 - Moją książeczkę czekową... — powtórzyła matka, prosząc mnie wzrokiem o pomoc.
 - Nie patrz na Kate, patrz na mnie! Powiedz po prostu, gdzie jest książeczka. Sama wszystko wypełnię, ty złożysz tylko swój podpis.
 - Oczywiście, kochanie.
 - No więc gdzie ją masz? W torebce? — Nie czekając na odpowiedź, zerwała się i pobiegła do pokoju Sary.
 - O co tu chodzi? — spytała płochliwie Sara. Były to jej pierwsze słowa skierowane do mnie od czasu naszej potyczki.
 - Trudno powiedzieć.
- Jo Lynn wróciła z forebką matki.
- Nie mogę znaleźć twojej książeczki. Tu jej nie ma.

— Ja ją mam — wyznałam z rezygnacją. Nietrudno było przewidzieć, jakie gromy posypią się na moją głowę.

— Co to ma znaczyć? Co u ciebie robi książeczka mamy?

— Jo Lynn, konto jest puste. Nie ma sensu dłużej o tym mówić.

— Do jasnej cholery — krzyczała dalej — kto cię do tego upoważnił?

— Powinniśmy się uspokoić. Wszystkie — powiedziała pojednawczo Michelle.

— Zamknij się, Michelle! Nie masz tu nic do gadania!

— Nie mów tak do niej! — obruszyła się nagle Sara. Słusznie. Sama to chciałam powiedzieć.

— No pięknie! — Jo Lynn dramatycznym gestem wyrzuciła ręce do góry. — Cała rodzinka przeciwko mnie!

— Rozwiążmy to inaczej — zaproponowałam. — Przynieś mi podanie, a ja wypełnię czek na wpisowe. Później spokojnie załatwimy resztę. Krok po kroku.

— Nie, to mi nie odpowiada.

— Jak to? Dlaczego?

— Przestań traktować mnie jak dziecko!

378

379

JOY FIELDING

— A na jakiej podstawie twierdzisz, że tak cię traktuję?

— Chcesz zobaczyć podanie, wypisać czek! O wszystkim chcesz decydować! Jak zwykle!

— Mam ci dać te pieniądze czy nie? Zignorowała moje pytanie i uklękła przed matką:

— Proszę cię, mammo! Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji, to poniżające! Czy naprawdę nie możesz pożyczyć mi tych pieniędzy? Nie każ mi błagać!

— To było wspaniałe przyjęcie — szepnęła matka z oczami pełnymi łez.

— Przestań, mammo! — krzyknęła Jo Lynn. — Proszę cię, przestań!

— Ona nie jest w stanie nad tym zapanować. Nie potrafi.

— Potrafi! — Jo Lynn zerwała się z klęczek i zaczęła nerwowo spacerować przed matką. Wyglądała jak rozwścieczona tygrysica, która zaraz wyrwie się z klatki, żeby skoczyć komuś do gardła. — Nie, mammo, nie pozwolę ci na to — zaczęła mówić jak w gorączce. — Tym razem ci się nie uda! Tym razem się nie wywiniesz!

— Od czego, na litość boską? Cóż ona takiego zrobiła?

— Nic! — krzyknęła Jo Lynn. — Absolutnie nic, prawda, mammo? Ty nigdy nic nie robisz! No powiedz, czy nie mam racji!

— Nic nie robię — powtórzyła matka. W jej oczach dostrzegłam nagle przebłysk świadomości.

— Właśnie. Siedzisz tu sobie z założonymi rękami i nic nie robisz. Zawsze taka byłaś.

— Byłam — przytaknęła matka.

— Twój mąż mógł na ciebie wrzeszczeć, tłuc gdzie popadnie, szorować ci usta mydłem, a ty nie robiłaś nic.

— Nic.

— Mógł terroryzować twoje córki, a ty nic.

— Nic.

— Jo Lynn, co za sens przypominać teraz to wszystko? — wyszeptalam. Samo mówienie o tym sprawiało mi fizyczny ból.

380

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Sens? Taki, że nic nie zrobiła! Przez tyle lat nie kiwnęła nawet palcem!

— Zapłaciła za to. Bóg świadkiem, że drogo ją to kosztowało.

— Nie, to ja za to zapłaciłam! To ja jestem tą, którą drogo to kosztowało! — Z oczu trysnęły jej łzy i zaczęły spływać po policzkach.

— Co ty mówisz? Byłaś przecież jego faworytką. Nigdy cię nawet nie tknął... — Boże! W tym momencie wszystko zrozumiałam. — Och, nie! — jęknęłam. — Proszę cię, Jo Lynn, powiedz, że to nieprawda!

— Witamy w prawdziwym świecie, uczona pani tera-peutko — rzuciła gorzko.

— Nic nie zrobiłam — wymamrotała matka, powoli podnosząc się z krzesła.

— Zgadza się, mamó, ty nic nie zrobiłaś. — Wpatrując się w okno, zaczęła mówić takim tonem, jakby tam, na tym ciemnym szkle wyświetlano sceny z jej dzieciństwa. — Ani wtedy gdy wieczorami przychodził „pocałować mnie na dobranoc”, ani kiedy nocą opuszczał twoje łóżko, żeby wleźć do mojego, ani gdy w niedzielne popołudnia zabierał mnie na przejażdżki. „Widzisz te krowki”, mówił, pchając mi łapę między nogi. „Kiedy wszystkie krowy stoją, pogoda będzie słoneczna, kiedy wszystkie leżą, to znaczy, że będzie padać.”

— Boże... — Zrobiło mi się słabo. — Naprawdę nie miałam pojęcia...

— Ty nie, ale ona tak. — Obrzuciła nienawistnym spojrzeniem matkę, która też wpatrywała się w okno, jakby oglądała w nim ten sam film. — Wiedziała i nic nie zrobiła.

— Nie wiedziałam — wyszeptwała matka — nie wiedziałam.

— Nie mów mi, że nie wiedziałaś! Udawałaś po prostu, że nic się nie dzieje! Myślisz, że wystarczy coś zignorować, żeby przestało istnieć?

— Nie wiedziałam.

— Jak mogłaś pozwolić, żeby mu to uszło bezkarnie? Jak w ogóle mogłaś się zgadzać, żeby robił ze mną takie

381

JOY FTELDING

rzeczy? Jesteś moją matką! Miałaś obowiązek opiekować się swoim dzieckiem! Powinnaś była mnie bronić!

— Zawsze był dla ciebie taki dobry — załkała matka

— taki kochający...

— O tak, bardzo kochający!

— Byłam nawet o to zazdrosna... Często myślałam sobie, mój Boże, gdyby to dla mnie był taki czuły, tak delikatny...

— Wiedziałaś o wszystkim, nie próbuj się teraz wykręcać!

— Dopiero kiedy miałaś trzynaście lat, zaczęłam podejrzewać, że może być w tym coś więcej niż miłość ojca do córki.

— Doprawdy? I cóż ci nasunęło takie podejrzenie? To, że budziłam się z krzykiem, moje złe stopnie czy krew na prześcieradłach?

Na chwilę zapadła śmiertelna cisza. Sara nagle przyciągnęła do siebie Michelle i objęła ją mocno.

— Sposób, w jaki na ciebie patrzył — powiedziała wreszcie nasza matka. — Schyliłaś się, żeby coś podnieść... Podchwyciłam jego spojrzenie i nagle zrozumiałam... Następnego dnia zabrałam cię i odeszłam.

— Za późno! — Jo Lynn otarła nos wierzchem dłoni.

— Wtedy już było za późno!

Matka osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

— Ale przecież poszłaś go odwiedzić — przypomniałam Jo Lynn. — Kiedy zachorował, poszłaś do szpitala. Płakałaś, kiedy umarł!

— Był moim ojcem.

ROZDZIAŁ 29

Śniło mi się tej nocy, że biegnę przez szeroką otwartą przestrzeń. Znosi się na deszcz. Niebo jest tak ciemne, że aż fioletowe, trawa pożółkła i sucha. Gdzieś w oddali Jo Lynn wyśpiewuje: „A właśnie, że mnie nie złapiesz!” Biegnę w stronę tego głosu i niespodziewanie potykam się o leżącą czarno-białą krowę. Gramoląc się na nogi, dostrzegam Sarę. Siedzi na grzbiecie jakiejś innej krowy

I płacze. Pędzę do niej, gdy nagle wyrasta przede mną przeszkoda w postaci dwóch rzędów grubych kolczastych drutów.

Na wysokiej wieży stoi Colin Friendly z długim karabinem wymierzonym w głowę mojej córki. „Nie martw się, mówi. Ja się nią zajmę.”

„Wszystkie krowy leżą”, odzywa się jakiś głos. Odwracam się i widzę ojczyma. Stoi pod olbrzymim figowcem, oparty plecami o jego pień. W jednym ręku ma butelkę piwa, drugą przytrzymuje przed sobą Michelle. „To znaczy, że będzie padać”, słyszę jej głos. W następnej chwili widzę, jak łapa tego łajdaka zaciska się na jej piersi.

Usiadłam na łóżku z szaleńczym biciem serca, zlaną potem od stóp do głów. Kilkanaście następnych minut spędziłam na klęczkach w łazience przed otwartą muszlą klozetową, szepcząc między jednym a drugim atakiem torsji; „Ty sukinsynu! Ty cholerny zboczony sukinsynu!”

383

JOY FIELDING

BRAKUJĄCY ELEMENT

Jak mogłam tego nie wiedzieć ani nawet nic nie podejrzewać? Dlaczego przez tyle lat nie zwracałam uwagi na liczne i nieraz całkowicie przejryste aluzje Jo Lynn? Miałam przed sobą wszystkie elementy tej układanki. Wystarczyło tylko je pozbierać i ułożyć z nich spójną całość. Byłam ślepa czy po prostu głupia? A moja matka? Czy też była ślepa aż do chwili, w której opuściła tego bydlaka, czy tak jak mówiła Jo Lynn, wiedziała cały czas o wszystkim? Cóż, nie miało to już teraz większego znaczenia. Tak czy owak zło już się stało.

Przez moment chciałam dzwonić do Larry'ego, potem uznałam jednak, że to całkiem niedorzeczny pomysł, zwłaszcza że była już prawie druga w nocy. Postawić na nogi cały dom, śmiertelnie przerazić teściową tylko po to, aby ujawnić Larry'emu wstydlivy rodzinny sekret sprzed dwudziestu pięciu lat? I bez tego miał dość powodów, by uważać tę rodzinę za anormalną. A zresztą co by mógł zrobić? Teraz już nikt nie był w stanie czegokolwiek zmienić czy naprawić.

Jeszcze dobrą godzinę po wyjściu Jo Lynn w moim domu paliły się światła. Uciekła od nas targana rozpaczliwym szlochem, ślepa od łez. Widząc, że dosłownie siania się na nogach, robiłam wszystko, żeby ją zatrzymać. „Zostań”, nie przestawałam jej błagać, nawet kiedy wpadła już do samochodu. „Nie jedź, Jo Lynn! Możemy spać razem w moim łóżku. Nie powinnaś prowadzić w takim stanie. Nie powinnaś dzisiaj być sama.”

W odpowiedzi zatrasnęła drzwiczki i z impetem ruszyła do tyłu. W ciemnej ulicy o włos dosłownie uniknęła zderzenia ze stojącym tam moim wozem. W dziesięć minut później zadzwoniłam do niej, ale włączył się tylko automat. „Cześć, tu Jo Lynn”, zaszemrał kusicielskim szeptem. „Powiedz mi wszystko”. „Proszę cię, Jo, zadzwoń, jak tylko wrócisz do domu.” Dzwoniłam tak co dziesięć minut — bez skutku. Po północy dałam wreszcie spokój: widocznie nie chce ze mną rozmawiać. Bo i cóż, na dobrą sprawę, było tu jeszcze do powiedzenia?

— Myślisz, że nic jej nie jest? — spytała Michelle.

384

— Nie wiem.

— Uważasz, że babcia mogła nic nie wiedzieć?
— Nie wiem.
— Dlaczego Jo Lynn nikomu o tym nie mówiła?
— Nie mam pojęcia. — Wydawało mi się, że nic już nie wiem.
— Dlaczego nie dałaś jej tych pieniędzy? — zaatakowała mnie Sara. — Nie powiesz mi chyba, że cię na to nie stać?
— Nie chodzi o pieniądze...
— Chodzi o to, że prosiła cię o pomoc, a ty odmówiłaś!
— Próbowałam jej pomóc.
— O tak! I ty nazywasz siebie terapeutką! Umilkłam — miała rację.
Udało mi się jakoś zaprowadzić matkę do pokoju Sary, rozebrać i w koricu[^] położyć do łóżka.
— Jak się czujesz, mamó? — spytałam, całując jej miękki, zalany łzami policzek. Żadnej odpowiedzi. Po prostu leżała bez ruchu, a z szeroko otwartych oczu ciurkiem płynęły jej łzy. Kiedy do niej zajrzałam w pół godziny później, nic się nie zmieniło.
Następnego dnia z samego rana pojechałam do Jo Lynn. Zobaczyć, co się z nią dzieje.
— Mógłby mnie pan wpuścić do mieszkania mojej siostry? — poprosiłam administratora domu, wysokiego mężczyznę o długiej kanciastej twarzy i ciemnych, głęboko osadzonych oczach. — Była wczoraj strasznie zdenerwowana. Chcę się po prostu upewnić, czy wszystko w porządku.
Popatrzył na mnie z jawnym sceptycyzmem.

— Skąd mogę wiedzieć, czy naprawdę jest pani jej siostrą?

— A kim według pana miałabym być?

— Reporterką — wycedził leniwie. Nie chciało mu się nawet wymawiać „t”. — Od czasu tego ślubu bez przerwy na nią polujecie.

— Nie jestem reporterką.

— Nie wygląda pani na jej siostrę.

25 Brakujący element

385

I

JOY FIELDING

— Niech pan posłucha... Boję się, że mogła sobie coś zrobić... — Po tych słowach umilkłam z rezygnacją. Po prostu nie miałam siły spierać się z tym człowiekiem, odwróciłam się więc, żeby odejść.

— Proszę zaczekać! — zawołał. — Wpuszczę panią.

— Co sprawiło, że zmienił pan zdanie? — spytałam, gdy po wejściu na pierwsze piętro zabrał się do otwierania drzwi.

— Uwierzyłem pani. — Odstąpił na bok, żeby mnie przepuścić. — Reporterka tak łatwo by się nie poddała.

— Jo Lynn! — zawołałam od progu. — Jo Lynn, jesteś tu? — Powoli, noga za nogą, postąpiłam kilka kroków... Strach pchał mnie naprzód i zarazem paraliżował. Bałam się tego, co mogę tutaj zobaczyć. Widoku, którego mój umysł nie zdoła zaakceptować. — Jo Lynn! — zawołałam raz jeszcze, wchodząc do salonu. Czułam na karku oddech administratora. Dosłownie deptał mi po piętach.

Mieszkanie Jo Lynn stanowiło paradoksalne połączenie chaosu i organizacji — podobnie jak ona sama. Narzucało się wprost określenie „zorganizowany chaos”. Szybko obrzuciłam wzrokiem wysłużony niebieskawozielony dywan, wyblakłe kwieciste pokrowce na sofie i na fotelu, niski stolik ze szklanym blatem niewidocznym pod stertami porządnie ułożonych gazet — od najstarszych wydań porannych po najświeższe popołudniówki. Pełno ich leżało także na

czarnym laminowanym barze. Z jednego spośród dwóch wysokich stołków zwisał poplamiony biały sweter, na podłodze wałała się para wiśniowych sandałów, lewy z oderwanym paskiem.

— Chyba jej nie ma — stwierdził administrator, zaglądając wraz ze mną do kuchni. I tu także stół zarzucony był gazetami, wśród których leżały nożyczki, album pełen zdjęć i wycinków oraz pusty pojemnik po kleju. Z otwartego albumu drwiąco mrugał do mnie Colin Friendly, więc czym prędzej odwróciłam oczy. Na kontuarze stał cały rząd zużytych opakowań po płatkach i mleku. Na jednym z tych opakowań widniało zdjęcie młodej dziewczyny ukazującej w uśmiechu szeroko rozstawione zęby. ZAGINIONA,

386

BRAKUJĄCY ELEMENT

głosił wielki napis umieszczony nad fotografią. Uciekłam stamtąd z oczyma pełnymi łez.

— Żle się pani czuje? — zaniepokoił się mój towarzysz.

Pokręciłam głową, że nic mi nie jest, chociaż nie była to prawda. Nie chciałam mówić obcemu człowiekowi, jak okropne sceny podsuwa mi przed oczy wyobraźnia. Martwa Jo Lynn w wannie... krew z przeciętych żył kapie na białą posadzkę... Powieszona na stelażu prysznic... na szyi zadziergnięty kolorowy ręcznik... Trupio błada w łóżku z rękami skrzyżowanymi na piersiach... obok łóżka pusta fiolka po tabletkach...

— Proszę mi wyświadczyć przysługę... Czy mógłby pan sprawdzić pozostałe pomieszczenia? Zawahał się, ale poszedł.

— Niech pani tu przyjdzie! — zawołał po kilku sekundach.

Poczułam, że milkną mi nogi. Żeby nie upaść, chwyciłam się baru, strącając przy okazji stos gazet. Z leżącego na podłodze zdjęcia spojrział na mnie znów Colin Friendly. Tym razem zaglądał mi pod spódnicę. Wymierzyłam mu kopniaka w głowę i odczułam mściwą satysfakcję, kiedy pękła razem z papierem.

— Czy ona...?

— Nie ma jej! Dziś chyba nawet tu nie spała. Wydałam z siebie coś pośredniego między śmiechem

ulgi a zduszonym szlochem i powoli weszłam do sypialni. Wielkie łóżko zasłane było równiutko błękitną pikowaną kołdrą... Na niebieskiej poduszce obszytej falbanką siedział duży pluszowy miś koloru dojrzałej moreli.

— Wygląda tu jak w sypialni małej dziewczynki — zauważył administrator, przechwytyjąc chyba moje myśli.

Wokół lustra wiszącego nad komodą zobaczyłam całą galerię zdjęć. Sterczały zza metalowej ramy pod wszelkimi możliwymi kątami, brutalnie narzucając się oczom. Colin Friendly był tu wszechobecny. Gdziekolwiek spojrziałam, atakował mnie jego drwiący uśmiech.

— Zniknęły rzeczy pani siostry — stwierdził administrator.

387

JOY FIELDING

— Co?

Ruchem głowy wskazał mi szafę.

— Może wspominała, że wybiera się gdzieś na wakacje?

— Nie. — Rozgarnąwszy puste wieszaki, podbiegłam do komody. Wszystkie szuflady ziały pustką. Nie zostało nic z wyjątkiem dwóch starych bluzek i paru apaszek.

— Wygląda na to, że nie ma zamiaru wracać — zauważył mężczyzna, po raz drugi przechwytyjąc moje myśli.

Dokąd ją mogło ponieść? Dlaczego zabrała rzeczy?

— W środę powinna uregulować czynsz.

— Jestem pewna, że do tego czasu wróci — mruknęłam. — Wie pan przecież, że w każdy weekend wyjeżdża.

Pilno mi było już wyjść, dopasować jakoś do siebie kawałki tej nowej łamigłówki. Co zamierza

Jo Lynn? Czyżby postanowiła zamieszkać bliżej więzienia? Może wynajęła sobie coś w Raiford i właśnie się tam wprowadza? Tym można by wytłumaczyć fakt, że zabrała wszystkie swoje rzeczy. Kto wie, czy nie na to właśnie potrzebne jej były pieniądze? Musi przecież zapłacić podwójny czynsz: tu za ostatni miesiąc, tam za pierwszy plus kaucję za nowe mieszkanie... Układało się to w dosyć logiczną całość. Start w nowym miejscu to bardzo kosztowna impreza, myślałam, schodząc na dół w towarzystwie administratora.

— Jeśli zobaczy pan moją siostrę, proszę jej powiedzieć, że tu byłam i że chcę się z nią skontaktować. Koniecznie. To bardzo pilne.

— Nie wygląda na to, żeby miała wrócić — powtórzył złowróźnie.

Gdzie jesteś, do wszystkich diabłów!, wykrzyknęłam, siadając za kierownicą.

— Pojechała odwiedzić Friendly'ego — zaczął uspokajać mnie Larry. Zadzwoiłam do niego zaraz po powrocie do domu. — Przestań się o nią martwić. Jest teraz w Raiford wśród całej armii uzbrojonych strażników i policjantów. Trudno o bezpieczniejsze miejsce.

— Tak myślisz?

— Ja to wiem.

388

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Dzięki. Cieszę się, że zadzwoniłam.

— Ja także.

— Jak się ma rodzina?

— Wyśmienicie.

— A tobie jak idzie w golfa?

— Świetnie.

— No to świetnie — powtórzyłam. — Wyśmienicie.

— Wszyscy przesyłają ci ucałowania.

Już chciałam powiedzieć „wzajemnie”, ale przypominałam sobie, że tak zawsze mówi Jo Lynn...

— Pozdrów ich ode mnie.

— Nie omieszka. Tęsknię za tobą, Kate. Bardzo cię kocham, wiesz?

— Wiem. Ja też cię kocham.

W sobotę pojechałam do Hotelu Breakers spotkać się z Robertem.

Przekonywałam samą Siebie, że idę na to spotkanie, aby dowiedzieć się prawdy. Bez konfrontacji z Robertem nigdy nie będę pewna, czy Brandi mnie nie oszukała, i do końca życia będę wciąż tylko zastanawiać się i żałować. Zastanawiałam się i tak zbyt długo. Już teraz moje życie zaczyna przypominać jedne wielkie gorzkie żale.

— Miałaś jakąś wiadomość od Jo Lynn?

Głos Sary tak gwałtownie wyrwał mnie z rozmyślań, że aż upuściłam swoją nową koralową szminek. Potoczyła się po śliskim blacie, rysując pomarańczowe kółko na blad różowym marmurze. Chwyciwszy wilgotną szmatkę, zaczęłam gorliwie wycierać plamę. Koszulki skazańców mają ten sam odcień, przemknęło mi nagle przez głowę. Szybko wrzuciłam szminek do torebki.

— Nie, nie dzwoniła — powiedziałam, usiłując ukryć zmieszanie.

— Co zamierzasz zrobić?

— A cóż ja mogę zrobić?

Sara wzruszyła ramionami i oparła się o drzwi łazienki. Miała na sobie obcięte džinsy i którąś z luźnych hinduskich bluzek, które tak uwielbiała.

389

JOY FIELDING

— Muszę teraz wyjść na parę godzin — poinformowałam ją krótko. Postanowiłam sobie, że nie będę myśleć o Jo Lynn przynajmniej dziś do wieczora. Wyplynie na powierzchnię we

właściwym czasie, kiedy uzna, że jest gotowa. Nieraz już tak było.

— Ładnie wyglądasz — stwierdziła Sara.

— Dziękuję. — Tym razem spróbowałam ukryć zdumienie, w jakie wprawił mnie ten komplement. Zdumienie i zarazem irracjonalny popłoch: czyżby Sara jakimś cudem wiedziała, że pod beżowym kostiumem od Armaniego i kremową jedwabną bluzką mam nowiutką francuską bieliznę — koronkowy stanik i majteczki w odcieniu bladego różu?

— Dokąd się wybierasz?

— Poszukać jakiegoś miejsca dla babci — skłamałam, gardząc sobą za to łgarstwo.

— Myślałam, że zaplanowałaś to na jutro.

— Na jutro także. — Coraz bardziej zaczynało mnie dziwić zachowanie mojej starszej córki: tak długiej rozmowy nie prowadziłyśmy z sobą chyba od miesięcy. Co się stało, że akurat teraz...?

— Myślisz, że uda ci się coś znaleźć?

— Mam nadzieję. — Ruszyłam do wyjścia, głośno stukając obcasami po marmurowej posadzce.

— Skąd masz te pantofle?

Do licha! Że też wszystko musi zauważyć!

— Kupiłam parę tygodni temu. Jak ci się podobają?

— Nigdy nie chodziłaś na takich wysokich obcasach.

— Postanowiłam spróbować. Dla odmiany.

— Kiedy wrócisz?

— Niedługo. Za dwie godziny, może wcześniej. — Albo później, dodałam w myślach. — Dlaczego pytasz?

— Tak tylko... — W dalszym ciągu nie kwapiła się odejść.

— Czy coś się stało? — musiałam w końcu zapytać.

Stwierdziłam, że robię to niechętnie, i poczułam wyrzuty sumienia. W innych okolicznościach z entuzjazmem skorzystałabym z szansy przywrócenia dobrych stosunków

BRAKUJĄCY ELEMENT

z Sarą, zwłaszcza że to ona wystąpiła z tą inicjatywą. Tylko dlaczego akurat teraz? — Chcesz może o czymś powiedzieć?

— Na przykład o czym?

— Skąd mogę wiedzieć? Wydaje mi się tylko, że nie bardzo wiesz, co z sobą począć.

— Co to znaczy? — Natychmiast się spięła. Widać było, że każdą kolejną uwagę gotowa będzie uznać za obrazę.

— Nic. — Nie miałam teraz czasu ani cierpliwości wdawać się w dłuższe dyskusje. — Naprawdę muszę już iść.

— Mogłybyśmy potem pójść do kina? — spytała, odprowadzając mnie do drzwi.

— Chcesz iść do kina? Ze mną?

— Cóż, nie mam pieniędzy, a z koleżankami nie pozwalasz mi wychodzić.

No tak, logiczne. Sytuacja zaczynała się klarować.

— Rozumiem. Zobaczymy, jak wrócę.

— Wróc szybko.

Te dzieci!, myślałam, wyjeżdżając na ulicę. Mają chyba w głowach jakiś radar albo inne niesłychanie czułe urządzenia, które przy najlżejszym drgnięciu zaczynają je ostrzegać, że ich światu zagraża trzęsienie ziemi. Właściwie wszyscy to mamy. Ileż to razy sama zlekceważyłam podobne sygnały alarmowe.

Kiedy po dwudziestu minutach jazdy wyrosły przede mną bliźniacze wieże Breakers Golf i Beach Club, natychmiast przypomniał mi się budynek Sądu Okręgowego z dachami specjalnie

zaprojektowanymi w ten sposób, aby ich kopuły tworzyły architektoniczne echo dwóch wcześniej wspomnianych budowli. Dobry Boże, co też mi chodzi po głowie! Rzeczywiście wymarzona pora na snucie rozważań o mojej zwariowanej siostrze i jej fatalnym guście do mężczyzn! A ,ty?', pojawiła się zaraz myśl — jak robak w wilgotnej glebie. Wcale tak bardzo się od niej nie różnisz. Obie wdychacie do mężczyzn, których trzeba unikać jak ognia. Ona dla takiego niszczy sobie życie, a ty chcesz zrobić to samo.

390

391

JOY FIELDING

Zaparkowałam samochód przed hotelem (udało mi się znaleźć miejsce pomiędzy czarnym rolls-royce'em a czekoladowym mercedesem) i szybko ruszyłam do głównego wejścia. Prowadził do niego obszerny podjazd w kształcie litery U; widoczne pośrodku kamienne postacie nimf wodnych tworzyły wielką fontannę. Sam hotel by! okazała, szacownie starą budowlą, której każdy element mówił — czy raczej krzyczał — o równie starych i równie szacownych pieniądzach. Minęłam istną armię lokajów i gońców w śnieżnobiałych koszulach zdobnych w granatowe epolety oraz mnóstwo wózków wyładowanych bagażem i sprzętem do golfa. Pod portykiem z kolumnadą w stylu jońskim, pomiędzy imponującym szpalerem dorodnych doniczkowych palm leżał czerwony chodnik prowadzący ku szklanym drzwiom. Gdy je przede mną otwarto, znalazłam się w obszernym westybulu z kopulastym, pokrytym freskami sufitem, z którego w równych odstępach zwieszały się olbrzymie kryształowe kandelabry. Całą marmurową posadzkę pokrywały puszyste dywany rodem z miejscowych wytwórni. Ściany obite były brokatem, na smukłych marmurowych postumentach pyszniły się efektowne kompozycje z kwiatów. Ku wygodzie gości zaaranżowano kilka przytulnych kącików; stały tu wygodne kanapy i krzesła, a nawet stoliki dla amatorów gry w szachy i warcaby. Zbliżając się do długiego kontuaru recepcji, miałam już za sobą taki kawał drogi, że zaczęłam odczuwać skurcze w obu stopach, do czego niewątpliwie przyczyniły się moje wysokie obcasy.

Nawet bez patrzenia na zegarek wiedziałam, że jestem przed czasem, więc Roberta pewnie jeszcze nie ma, mimo to dość płochliwie rozejrzałam się dookoła, starannie unikając kontaktu wzrokowego z którymkolwiek spośród licznych gości. Najbliższe pół godziny mogłam spędzić w ekskluzywnych hotelowych butikach albo obejść budynek i wstąpić do baru mieszczącego się za główną salą restauracyjną. Byliśmy tu kiedyś z Larrym na kolacji, zaraz po przyjeździe do Palm Beach. W następnych latach często mówiło się o tym, że warto by tu spędzić któryś weekend,

392

BRAKUJĄCY ELEMENT

ale jakoś do tego nie doszło. Aż do dzisiaj. Tyle że dziś miałam randkę z zupełnie innym mężczyzną.

Nie bardzo chciało mi się chodzić, więc ostrożnie usiadłam na antycznym krześle tuż za ogromną hortensją, której jasnoróżowe kwiaty dosłownie wskoczyły mi na kolana. W następnym momencie spiczasty koniec wąskiego liścia zadrasnął mnie w kącik oka, kiedy zbyt gwałtownie obróciłam głowę, usłyszawszy nagle czyjś śmiech. W odległości niespełna dwóch metrów zobaczyłam parę młodych ludzi splecionych ciasnym uściskiem. Zataczając się lekko, jak gdyby ich ciała poddawały się podmuchom wyimaginowanej bryzy, całowali się namiętnie, nie bacząc na licznych widzów, którzy z pewnym rozbawieniem omijali ich na paluszkach. Wyjątek stanowił jakiś sześciolatek stojący w pobliżu wraz z matką. To on zaśmiewał się do rozpuku z palcem wycelowanym w parę zakochanych. Umilkł po ostrym upomnieniu matki, która sama dyskretnie odwróciła głowę, zauważyłam jednak, że po paru sekundach tęsknie zerknęła znów na zakochanych.

Wiedziałam, o czym myśli ta kobieta — czyż i ja nie marzyłam o tym samym? Być znów

nieprzytomnie zakochaną nastolatką, pragnąć aż do bólu czyjegoś uścisku, czyichś ust, przeżywać chwile takich uniesień, że reszta świata przestaje istnieć... Mieć znów siedemnaście lat!

W swych miłosnych fantazjach o Robercie przeżywałam zawsze jednakową scenę: Trzymając się w objęciach, czule patrzymy sobie w oczy. On delikatnie całuje mnie w kącik ust, w zgięcie szyi, w trzepoczące się rzęsy, w policzki, w czubek nosa... Ujmuje w dłoń moją twarz, jego palce rozgarniają mi włosy, a język wślizguje się do ust... Pocałunki stają się coraz głębsze, nie tracąc nic jednak ze swej łagodności...

A jak wyglądałaby rzeczywistość? Inaczej, zupełnie inaczej. Rzeczywistość zawsze różni się od marzeń. Och, byłyby pewnie czule pocałunki, lecz stanowiłyby one jedynie krótkie preludium... Krótkie, bo na mnie czekała Sara, a Robert z pewnością też miał swoje zobowiązania wobec żony. Dłuższa nieobecność któregoś z nas dwojga

I

393

JOY FIELDING

mogła zatem wzbudzić podejrzenia. Tak więc niespieszne miękkie pocałunki wkrótce ustąpiłyby miejsca bardziej namiętnym pieszczotom. Ubrania już po chwili leżałyby na podłodze, dwa nagie ciała złączyłyby się w jedno... Czułabym na sobie męskie ciało inne od tego, które znałam, inny dotyk, inne pieszczoty... Och, wszystko to byłoby cudowne, nie miałam co do tego wątpliwości! A potem leżelibyśmy jeszcze chwilę złączeni uściskiem, niepomni mijającego czasu, starając się odsunąć od siebie rzeczywistość coraz natarczywiej przypominającą nam o sobie wilgotną plamą na pościeli...

Ach, ta różnica między fantazją a rzeczywistością! W fantazjach nie ma żadnego „potem”, bałaganu, zmieszania, wyrzutów sumienia. Fantazje nie pozostawiają po sobie mokrych plam. I tego właśnie pragnęłam: fantazji, a nie rzeczywistości. Tę miałam na co dzień. Miałam jej aż za dużo.

Szybko wyobraziłam sobie, czym by się skończyła prawdziwa randka z Robertem. Każde z nas siedziałoby w milczeniu po swojej stronie łóżka, starając się jak najszybciej uporać z ubraniem. I jak bym się czuła? Okropnie. Już teraz czułam się okropnie. Co ja tu robię?, szepnęłam ze zgrozą. Bezmyślnie chwyciłam w usta czubek długiego liścia hortensji i wtedy spostrzegłam Roberta.

Z jaką niewymuszoną swobodą wkroczył do holu! Szedł długim sprężystym krokiem, niedbale kołysząc rękami. Granatowe spodnie i biała koszulka poło doskonale uwydatniały wspaniałą muskulaturę jego wciąż tak młodzieńczo smukłego ciała. I jeszcze te włosy zawadiacko opadające na czoło plus cudownie naturalny uśmiech... Och, nie mógłby już chyba wyglądać młodziej i piękniej! Poczulałam, jak na ten widok napinają mi się wszystkie mięśnie... Jak to możliwe tak kogoś pragnąć i zarazem tak mało go lubić?

Czym prędzej zakryłam sobie usta, by stłumić głośne westchnienie. Nagła świadomość, że takie właśnie uczucia żywię do Roberta, poraziła mnie z siłą bokerskiej pięści. To prawda! Nigdy nie darzyłam go wielką sympatią

394

BRAKUJĄCY ELEMENT

i dlatego nie poszłam z nim do łóżka. Z tego samego powodu nie prześpię się z nim i teraz.

On tymczasem ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie zbliżał się już do recepcji. Mnie nie zauważył. Nic dziwnego. Jak kiedyś, tak i teraz byłam przecież dla niego niewidzialna. Nie widzimy ludzi, jeśli chcemy jedynie przejrzeć się w ich oczach, zobaczyć tam własną świetność. I taka była prawda. Tak wyglądała rzeczywistość.

Swobodnie zamienił kilka zdań z recepcjonistą, a potem niedbale prześliznął się wzrokiem po holu. Wstań, mówiłam sobie, podejdz do niego i powiedz, że zmieniłaś zamiar. To idiotyczne tak kryć się za tą rośliną. Jeśli już nie chcesz iść z nim na górę, winna mu jesteś przynajmniej

jakieś wyjaśnienie.

Dlaczego zamiast to zrobić, skryłam się jeszcze głębiej za wielką hortensją? Bo wbrew doznaniem przed chwilą olśnieniu doskonale wiedziałam, co się stanie, kiedy tylko podniosę się z krzesła i spojrzę mu w twarz. Przegram z kretesem. Będę stracona tak szybko i nieodwołalnie, jakbym już leżała naga na kawałku mokrego prześcieradła. I właśnie dlatego nie mogłam ruszyć się z miejsca. Mój niedoszły kochanek wpisał się do księgi, wziął klucz od apartamentu i z pewnym siebie uśmiechem skierował się w stronę windy.

Dopiero gdy zniknął mi z oczu, pomknęłam chyłkiem do wyjścia. Uciekałam, jakby mnie kto gonił, jakby od tego zależało moje życie.

I może tak było naprawdę.

BRAKUJĄCY ELEMENT

ROZDZIAŁ 30

Od razu po powrocie do domu zadzwoniłam znów do Jo Lynn. Odebrał automat. W znanym mi motelu w Starkę recepcjonistka oświadczyła krótko, że od kilku tygodni nie widziała pani Jo Lynn, i odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam poprosić, aby podała mi nazwy paru pobliskich moteli. Wspaniale! Dzwonić na policję? Albo do więzienia? Przypuśćmy, że to zrobię... ale właściwie po co? Co im mam do powiedzenia? Oni też w żaden sposób nie mogą mi pomóc.

— Nie odezwała się, prawda? — zagadnęłam swoje córki.

W milczeniu pokręciły obie głowami.

— Nikt do mnie nie dzwonił? — Myślałam oczywiście o Robercie. Ciekawe, czy nadal czeka? Błyskawicznie wyobraziłam sobie, jak zamawia szampana, a potem zaczyna się niecierpliwie, nudzić, martwić i w końcu złościć.

— Na przykład kto? — spytała Sara.

— Nikt konkretny, pytam tak w ogóle. — Zauważyłam, że umyła włosy i że przebrała się, o dziwo, w eleganckie beżowe spodnie i sweter w tym samym odcieniu. — Nadal chcesz iść do kina?

— Chyba tak. — Prawie udało jej się powiedzieć to obojętnie.

— A ty, Michelle? Masz ochotę na kino?

— Umówiłam się z Brooke, nie pamiętasz?

— Racja. Wypadło mi z głowy. Gdzie babcia?

396

— U siebie — rzuciła Sara. — Jakoś dziwnie się zachowuje.

— Co to znaczy „dziwnie“?

— Witaj, kochanie! — zawołała matka, wkraczając do kuchni z torebką w ręku. Zupełnie jakby stała za kulisami, czekając na swoje wejście. — Czy dobrze słyszałam, że idziemy do kina?

Sara wybrała film cieszący się olbrzymim powodzeniem, toteż mimo pięknej pogody i dość wczesnej pory, dochodziła dopiero czwarta, sala kinowa była prawie pełna. Znalazły się wprawdzie trzy wolne miejsca obok siebie, ale dosyć blisko ekranu. Spytałam matkę, czy jej to nie przeszkadza? Nie odpowiedziała. Nie odezwała się słowem, odkąd wyszliśmy z domu.

— Kiedy mnie nie było, też tak milczała?

— Uhm. Tylko od czasu do czasu zaczynała krzyczeć — poinformowała mnie Sara.

— Krzyczała?

— Chwilami.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Przecież ci mówiłam.

— Mówiłaś, że dziwnie się zachowuje, a nie że krzyczy.

— Cisza! — syknął ktoś obok. Właśnie zgaszono światła.

Po raz pierwszy krzyknęła w trakcie zapowiedzi kolejnych pozycji repertuaru. Ni stąd, ni zowąd wydała z siebie ostry, niesamowicie przenikliwy dźwięk, który wznosił się i opadał jak wycie syreny alarmowej. Sama przeraziłam się śmiertelnie, a co dopiero mówić o ludziach siedzących w najbliższym sąsiedztwie. Omal nie pospadali z krzesel.

— Mamo, co się stało?!

— Czy ta pani dobrze się czuje? — spytała siedząca przed nami kobieta.

— Mamo, powiedz, co ci jest!

Nic, żadnej odpowiedzi. Szeroko otwartymi oczyma tępo wpatrywała się w ekran.

— Nic się nie stało — zaczęłam uspokajać ludzi.

397

JOY FIELDING

BRAKUJĄCY ELEMENT

W dziesięć minut później sytuacja się powtórzyła. Sąsiedzi po raz drugi podskoczyli ze strachu, z dalszych rzędów dały się słyszeć nerwowe chichoty, że nie wspomnę o gniewnych pomrukach „cisza”. Dwie osoby z naszego rzędu po prostu wstały i wyszły.

— Przepraszam — szepnęłam w ciemność. — Serdecznie państwa przepraszam. Co ci jest, mamó? Czy coś cię boli? Chcesz wyjść?

— Ciii! — syknął ktoś ostro.

Matka nie zareagowała na moje pytania, zachowywała się teraz jednak na pozór całkiem spokojnie. Jakiegokolwiek nękały ją demony, chwilowo dały jej spokój, tak przynajmniej się wydawało. Próbowalam trochę się odprężyć, skupić uwagę na akcji, ha, tylko jak to zrobić? Kiedy zbudzi nas odgłos spadającego buta, nie ma mowy o spaniu, dopóki nie huknie ten drugi. I tak było ze mną. Siedziałam sztywno, z nerwami napiętymi jak postronki, gotowa natychmiast wyprowadzić matkę, jeśli znów zacznie krzyczeć. Nic takiego już nie nastąpiło. Powoli zapadła w drzemkę, z której ocknęła się dopiero pod sam koniec filmu. Szły właśnie ostatnie napisy.

— Jak się czujesz? — spytałam, kiedy zapalono światła.

— Wspaniale.

Szaleństwo matki miało tę dobrą stronę, że przestałam myśleć o Robercie, co uprzytomniłam sobie wychodząc z sali. Teraz zaczęłam zastanawiać się znowu, jak długo czekał w hotelu, czy próbował dzwonić, dowiadywać się, czy jestem w domu, czy wszystko ze mną w porządku? Musiał przecież brać pod uwagę możliwość jakiegoś wypadku... Czy wobec tego sprawdził szpitala? A może dzwonił na policję albo do swoich reporterów zsięgnąć informacji o ostatnich kraksach?

Zaledwie dotarłam do holu, gdzie znajdował się płatny telefon, natychmiast przesłuchałam domowy aparat. Żadnych wiadomości nie było.

Wstąpiłyśmy na kolację do włoskiej knajpki na tym samym placu co kino. Była to tylko jedna rześcicie oświetlona salka w kolorach narodowych, czerwonym, białym i zielonym. Zamówiłam ogromną pizzę ze wszystkimi ingrediencjami, jakimi tylko dysponował lokal plus sałatkę z serem gorgonzola.

— I jak? Znalazłaś miejsce dla babci? — zagadnęła mnie Sara.

— Co? — Patrząc przez okno na parking, zastanawiałam się właśnie, gdzie może być teraz Robert i co robi. Tym, że nie dzwonił, nie byłam właściwie zdziwiona. Ani też specjalnie rozczarowana, co skonstatowałam sobie nie bez pewnej ulgi.

— Pytałam, czy znalazłaś babci jakieś miejsce?

— Nie. — Przeniosłam spojrzenie na matkę. Matkę? Siedząca naprzeciw kobieta wydawała się kimś całkiem obcym. Ostre światło bezlitośnie uwydatniało ziejącą z jej oczu pustkę, nadając zarazem całej twarzy jakieś zgoła niesamowite lśnienie. Wyglądała niemal jak istota z innego świata przypadkiem rzucona na tę planetę. „Najpierw przychodzą po twoje ciało, a potem odbierają ci umysł”, przypomniało mi się zdanie z afisza reklamującego jakiś kinowy horror. Tyle że w przypadku matki kolejność była odwrotna: jej najpierw zabrano umysł. Czy to naprawdę ona dała mi życie te prawie pół wieku temu?, dumałam smętnie, patrząc na nią, a właściwie przez nią... Nie, ta obca, dziwna istota o porcelanowej twarzy i pustych zapadniętych oczach w niczym nie przypominała mojej matki.

Jadłyśmy w milczeniu, mimo woli słuchając nader krytycznej recenzji z oglądanego przed kilkoma minutami filmu. Interesujący pomysł, ale kiepski scenariusz, perorował mężczyzna przy stoliku obok. Pewnie, jak to często bywa, pisało go zbyt wielu scenarzystów, a wytwórnia raz po raz wtrącała swoje trzy grosze... Aktorstwo, no cóż, poprawne, ale też nic więcej. Reżyseria? Facet wyraźnie nie umie się skupić. I po co tyle tych dziwacznych ujęć? W sumie film bardzo przeciętny. Najwyżej na trójkę z plusem.

Sara skrzywiła się na tę ocenę i tak mocno wbiła zęby w pizzę, że sos wraz z wiórkami sera kapnął jej na podbródek.

JOY FIELDING

— A tobie, babciu, podobał się film?

— Nie wiedziałam — szepnęła matka. W jej oczach pojawił się strach.

— Nie wiesz, czy podobał ci się film?

— Nie wiedziałam... — Upuściła kawałek pizzy i uniosła ręce na wysokość piersi.

Roztrzepotane palce zdawały się drapać powietrze.

Ujęłam je łagodnie w obie dłonie i ułożyłam na stole.

— Już dobrze, mam, już dobrze.

— Co się z nią dzieje? — jęknęła Sara.

— Staralam się was bronić — powiedziała matka. — Zawsze starałam się was bronić. —

Zaczęła podnosić się z krzesła.

— Tak, mam, wiem.

— Obowiązkiem matki jest chronić dziecko.

— Uspokój się, mam, już dobrze.

— Nikomu bym nie pozwoliła skrzywdzić moich dzieci.

— Wiem, mam, usiądź. Proszę cię, usiądź. — Trzymając matkę za rękę, powoli posadziłam ją na krześle.

— Wiesz, musieli mi zrobić cesarskie cięcie. Mam alergię na taśmę chirurgiczną. Moja skóra jest bardzo wrażliwa.

— Wiem.

Zaczęła gwałtownie szarpać na sobie ubranie:

— Strasznie mnie swędzi, a nie wolno się drapać!

— Boję się — szepnęła Sara.

— Nie ma czego, skarbie. Babci po prostu wszystko się trochę miesza.

— Nie bój się, Jo Lynn — wyszeptwała matka. Wyciągnęła rękę, by pogłodzić Sarę po policzku.

— Mamusia jest przy tobie. Mamusia cię obroni.

Posadziłyśmy matkę na tylnym siedzeniu mocno przypiętą pasem. Uruchamiając silnik, z nawyku włączyłam i radio, z którego natychmiast popłynęło hałaśliwe country.

— Jak można słuchać takiego chłamu? — burknęła Sara.

400

BRAKUJĄCY ELEMENT

W poszukiwaniu czegoś bardziej odpowiedniego zaczęła jeździć po całej skali, łapiąc strzępy programów rozmaitych stacji; tu jakiś beat, tam znów akord fortepianowy, gdzie indziej jeszcze coś innego, czego nawet nie mogłam rozpoznać. Ale co za różnica? I nagle wyłowiłam z tej siczki dwa wyraźne słowa:

„Podobno uciekł”...

Ciąg dalszy utonął w jazzocie heavy metalu, który po kolejnym ułamku sekundy zastąpiła sentymentalna fraza: „Możesz wziąć moje serce, moje złamane serce”... W tym miejscu Sara znów zmieniła kanał.

— Poczekaj chwileczkę! Co to było?

— Mam, błagam, nie każ mi słuchać Billy'ego Raya Cyrusa!

— Nie to! To co przedtem. Wiadomości.

— Nie chcę słuchać informacji.

— Saro...

— No dobrze, dobrze.

Zanim odnalazłyśmy dziennik, upłynęło kilka sekund, w czasie których spiker zdążył już prawie dojść do końca, tak że usłyszałyśmy tylko fragment prognozy pogody. „Dla południowej Florydy meteorolodzy zapowiadają kolejny piękny dzień.”

— Znajdź inną stację — poleciłam Sarze.

- Czego ty właściwie szukasz?
- Coś przeleciało mi koło ucha.
- Ale co?
- Mówię ci, znajdź jakiś dziennik.

Już po pierwszym zdaniu spikera zamarłyśmy obie ze zgrozy.

„W dniu dzisiejszym miała miejsce dramatyczna ucieczka z Więzienia Stanowego w Raiford. Colin Friendly, seryjny morderca, skazany na śmierć za udowodnione zabójstwa trzynastu kobiet, domniemany sprawca jeszcze kilku takich samych zbrodni, zbiegł dziś w drodze do Zakładu Karno-Poprawczego hrabstwa Union sąsiadującego z Więzieniem Stanowym.”

— O Chryste!

26 Brakujący element

401

JOY FIELDING

„Władze na razie milczą na temat przebiegu zajścia, wydaje się jednak, że osławiony morderca, dokonując swej niezwykle zuchwałej ucieczki — odbyła się ona w biały dzień — korzystał z pomocy swej żony, Jo Lynn Friendly, dawniej Baker, zamieszkałej w Palm Beach.”

— Jezu Chryste, nie! Błagam!

— Jo Lynn pomogła mu w ucieczce? — wykrztusiła z niedowierzaniem Sara.

„Friendly obezwładnił podobno jednego ze strażników za pomocą noża, który jak się przypuszcza, przemycono mu do więzienia. Policja sporządziła dokładny opis samochodu, którym ucieka morderca. Jest to czerwona toyota jego żony, rocznik 1987, numer rejestracyjny YZT642. Ktokolwiek zauważy ten pojazd, zobowiązany jest zawiadomić najbliższy posterunek policji. W żadnym wypadku nie należy zbliżać się do samochodu. Colin Friendly jest uzbrojony i zdaniem policji wyjątkowo niebezpieczny.”

— Nie rozumiem! Jak Jo Lynn mogła zrobić coś podobnego? — jęknęła Sara.

— Bo jest skończoną kretynką! — Rąbnęłam pięścią w kierownicę, niechcący włączając klakson. Ach, jego nagły ryk przeszył mnie jak cios sztyltem.

„Powtarzamy główną informację: Colin Friendly zbiegł dziś z Więzienia Stanowego w Raiford przypuszczalnie w towarzystwie swojej żony, Jo Lynn Friendly, dawniej Baker, która poślubiła go już po wyroku. Uciekli czerwona toyotą, rocznik 1987, numer rejestracyjny YZT642. Kiedy widziano ich ostatnio, jechali na północ-ny-zachód. W całym stanie zorganizowano blokadę dróg. Policja zwraca się o pomoc do wszystkich obywateli. Ktokolwiek zobaczy opisany pojazd, winien niezwłocznie zawiadomić najbliższy posterunek. Uciekinierzy są uzbrojeni i bardzo niebezpieczni. Nie należy się do nich zbliżać. Przechodzimy do dalszych informacji”...

— I co teraz będzie? — wyjąkała Sara.

— Nie wiem.

— Myślisz, że te pieniądze potrzebne jej były po to, żeby mu pomóc w ucieczce?

402

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Na to wygląda.

— Dokąd oni jadą?

— Nie wiem. Spiker mówił, że na północny zachód. Do Alabamy, może do Georgii... Nie wiem.

— Jak myślisz, będą próbowali nawiązać z nami kontakt?

— Nie wiem. — Jezu Chryste, zaczynało mnie już mdlić to „nie wiem”.

— Ale chyba tu nie przyjadą?

— Nie. — Wiedziałam, że bardzo chce to usłyszeć. Matka zaczęła znów krzyżeć.

Zaraz po wejściu do domu zadzwoniłam do Brooke, koleżanki mojej młodszej córki. Chciałam powiedzieć Mi-chelle, żeby wracała taksówką albo niech lepiej nawet przenocuje u Brooke.

— Nie ma jej — odpowiedział mi czyjś nosowy, śmiertelnie znudzony głos. Ledwie go było

słysząc wśród ryku telewizora. Zorientowałam się, że to brat tej dziewczyny.

— Jak to jej nie ma?

— Wyszły parę minut temu.

— Wiesz dokąd?

— Mówiły coś o przyjęciu.

— U kogo? Gdzie?

— Nie wiem.

— Możesz poprosić matkę? — Było to raczej żądanie niż prośba. Mówiłam sobie wprawdzie, że nie ma powodów do alarmu, Colin Friendly jedzie na północny zachód, a nie na południowy wschód, nie jest aż tak szalony, żeby pchać się do Palm Beach, cóż, kiedy w żaden sposób nie mogłam się uspokoić.

— Rodziców nie ma w domu. Jestem sam — burknął chłopak. Jakbym go widziała! Wyciągniętego na sofie z wielką miską ziemniaczanych chipsów.

Odłożyłam słuchawkę nie bardzo wiedząc, co dalej.

— Nie martw się, mamo — uspokajała mnie Sara. — Znasz Michelle. Wróci na czas.

403

JOY FIELDING

Spojrzałam na zegarek: była dopiero ósma, a „przepustka” Michelle kończyła się o dwunastej. Jak ja wytrzymam te cztery godziny? Sprawdziłam automat telefoniczny, nikt nie dzwonił.

— Czym się tak martwisz? — dopytywała się Sara. — O co chodzi? — Zauważyłam, że zaczyna być niespokojna.

— Po prostu czułabym się lepiej, wiedząc, gdzie ona jest.

Matka znów krzyknęła, kołysząc się dziwnie na boki. Po chwili powiedziała płaczącym głosem:

— Chciałabym już iść do domu.

— Uspokój się, mamo, wszystko w porządku.

Poprosiłam Sarę, żeby położyła babcię do łóżka i posiedziała przy niej, dopóki nie zaśnie, a sama polecałam do telefonu dzwonić na policję.

— Nazywam się Kate Sinclair — powiedziałam szeptem, żeby nie przerażać Sary.

— Przepraszam, źle panią słyszę — odezwał się dyżurny funkcjonariusz. — Proszę mówić głośniej.

Powtórzyłam swoje personalia i choć mnie o to nie prosił, przeliterowałam nazwisko.

— Jestem siostrą Jo Lynn Baker, to znaczy Jo Lynn Friendly — poprawiłam się szybko, wyobrażając sobie, że w tym momencie oficer z wrażenia stanie na baczność. Usłyszałam zduszone parsknięcie. Chyba mi nie uwierzył.

— Mówi pani, że jest siostrą Jo Lynn Friendly...?

— Tak, i boję się, że on, Colin Friendly, może się tutaj zjawić.

— Tutaj, to znaczy gdzie? — Znów to irytujące chrząknięcie.

Podalam mu adres.

— Może mi pan wierzyć, naprawdę nie zmyślam.

— Dlaczego pani zdaniem Friendly miałby przyjeżdżać do Palm Beach?

Opowiedziałam o telefonie i o liście.

— Zgłosiła to pani policji?

404

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Nie. Teraz wiem, że powinnam to była zrobić.
— Ma pani ten'list?
— Podarłam go, niestety — wyznałam ze wstydem.
— Proszę chwileczkę poczekać. — Odszedł od telefonu, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Porwałam pilota i czym prędzej włączyłam telewizor. Ekran wypełniła natychmiast mordercza gęba Friendly'ego na zmianę z fragmentami filmu ukazującymi Jo Lynn w sali rozpraw. „Gdzie jesteś”, syknęłam ze złością. „Gdzie ty jesteś, do wszystkich diabłów?”
Policjant wrócił do telefonu:
— Wysyłamy kogoś do pani. Spisze raport.
O pierwszej w nocy nadal siedziałam przed telewizorem, słuchając makabrycznych relacji o dotychczasowych „dokonaniach” swego potwornego „szwagra”. Policjant przyszedł i poszedł. A Michelle nadal nie było.
O wpół do drugiej zaczęłam biegać po salonie: dzwonić czy nie dzwonić do Larry'ego? O drugiej, płacząc jak głupia, chciałam znowu dzwonić na policję. Mimo że nie wierzyli, aby Friendly miał zamiar wracać do Palm Beach, obiecali mi jednak, że przyślą patrol. Tylko że jak dotąd nie widziałam żadnego wozu.
O wpół do trzeciej, kiedy wreszcie usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, byłam w takiej prostracji, że nie wiedziałam, czy mam ścisnąć Michelle, czy na nią wrzeszczeć, zrobiłam więc jedno i drugie.
— Gdzieś ty była, do diabła? — krzyknęłam, biegnąc ku niej z wyciągniętymi ramionami. Łzy zalewały mi oczy. Tak ją zdusiłam w uścisku, że w pierwszej chwili nie mogła wymówić słowa. — Czy ty wiesz, która godzina?!
— Och, przepraszam cię, mam — wyjąkała ze skrucą. — Byłyśmy z Brooke na przyjęciu i musiałam czekać, aż ktoś mnie odwiezie do domu.
— Mogłaś wziąć taksówkę albo zadzwonić, przyjechałabym po ciebie!
— Ale było już tak późno... Myślałam, że śpisz, nie chciałam cię budzić.

405

JOY FIELDING

— Czy ty zdajesz sobie sprawę, co się ze mną działo? Wprost odchodziłam od zmysłów!
— Wybacz mi, mam, strasznie cię przepraszam.
— Jest wpół do trzeciej rano!
— To już się nie powtórzy, nigdy...
— O tak! Żebyś wiedziała! Nigdy więcej!
— Co chcesz ze mną zrobić?
— Nie wiem. — Zaleciała mi nagle znajoma woń papierosów. — Paliłaś?!
— Nie! — zaprzeczyła z pośpiechem, przezornie spróbowała jednak wycofać się poza zasięg mego powonienia.
— Cała cuchniesz dymem!
— Bo wiesz, na tym przyjęciu prawie wszyscy palili.
— A ty nie?
— Nie, naprawdę!
Zamknęłam oczy i powoli przeciągnęłam ręką po czole. Czy ja już do reszty zwariowałam? Tu szaleję z rozpacz, że coś jej się stało, a w parę minut później wściekam się na nią, bo może zapaliła papierosa! Kompletny obłęd! Za stara jestem na to, myślałam, zamykając drzwi na dwa zamki. Menopauza i nastoletnie córki to rzeczy nie do pogodzenia.
— Idź do łóżka, Michelle. Pogadamy rano.
— Strasznie mi przykro, mamusi.
— Wiem.
— Kocham cię.

— Ja ciebie też. Bardziej niż cokolwiek w świecie. — Jeszcze raz przytuliłam ją mocno do piersi. — A teraz do łóżka i prześpij się trochę. — Ocierając łzy z oczu, odprowadziłam ją wzrokiem aż do drzwi sypialni. Te dzieci!, myślałam, idąc do kuchni po szklankę wody. Każde prędzej czy później daje rodzicom popalić.

Stałam przy oknie, patrząc w czarne niebo usiane tysiącami roziskrzonych gwiazd, znalazłam tę najjaśniejszą i wyszeptałam życzenie: „Spraw, aby nasze życie wróciło do normy.” Czy wychodząc z kuchni mogłam przypuszczać, że mijam właśnie miejsce, które w niecałe osiem godzin później spłynie krwią?

ROZDZIAŁ 31

Rozebrałam się, umyłam, wyczyściłam zęby i nareszcie wpełzłam do łóżka. Zmęczenie — trudno je wprost opisać — przytłaczało mnie jak gruba warstwa pyłu, wypełniając mi nos i usta, wciskając się wszystkimi porami pod skórę... Czułam, jak rozłazi mi się po brzuchu i zaczyna puchnąć na kształt wielkiego tasiemca, pasącego się kosztem swego żywiciela, nawet kiedy ten już zmarnieje i umrze.

Rzecz zdumiewająca, że po tym wszystkim świetnie spałam. Bez snów, bez budzenia się w środku nocy, bez ubolewania nad taką czy inną fatalną decyzją, bez żadnych dręczących wspomnień. Nie myślałam o nikim — ani o Larrym, Robercie czy Colinie Friendlym, ani o Sarze, Michelle czy Jo Lynn, ani też o matce, ojcu i ojczymie. Zaledwie przyłożyłam głowę do poduszki, natychmiast odpłynęłam w miękką błogosławioną nicłość.

Kiedy znowu otworzyłam oczy, była ósma rano, a słońce jak ogromna ognista pięść szturmowało do okien sypialni. „Po prostu kolejny dzień w Raju”, powiedziałam głośno, wyskakując z łóżka. Postanowiłam, że dopóki nie będę gotowa, nie pozwolę się dopaść problemom — żadnych poważnych myśli. Wzięłam prysznic, ubrałam się bez pośpiechu, a potem tyle czasu poświęciłam włosom, że w efekcie tych eksperymentów pozostały mi na głowie tylko smętnie wiotkie kosmyki. Chcąc nie chcąc musiałam jednak w końcu opuścić swoje w miarę bezpieczne terytorium.

407

JOY FIELDING

Lękliwie zrobiłam krok do holu, krzyżując ręce na piersiach, jakbym chciała w ten sposób osłonić serce.

Bez entuzjazmu zerknęłam na drzwi od frontu, za którymi leżała już pewnie poranna gazeta. Wiedziałam, że pierwszą rzeczą, którą tam zobaczę, będzie wielkie zdjęcie Jo Lynn, wyeksponowane rzecz jasna na pierwszej stronie. Po krótkim wahaniu zamknęłam oczy i odwróciłam się od drzwi. Nie, najpierw kawa, postanowiłam, wyciągając przed siebie ręce, jakby w ten prosty sposób dało się odepchnąć rzeczywistość lub utrzymać ją bodaj na bezpieczny dystans.

Nie bardzo pamiętam, o czym myślałam nastawiając kawę, przypuszczam jednak, że usilnie starałam się w ogóle nie myśleć i że przyniosło to skutek odwrotny do zamierzonego. Czy Jo Lynn faktycznie maczała palce w ucieczce tego mordercy? Czy zamierza pomagać mu nadal? Do jakiego stopnia? Co z nią będzie, kiedy Friendly zostanie ujęty, bo że nastąpi to prędzej czy później, było przecież rzeczą bezsporną? Czy policja oskarży ją o współudział i jakie grożą jej sankcje? Więzienie? A może sąd uzna ją za osobę nie zrównoważoną psychicznie i skieruje na leczenie? Gdyby tak się stało... Może istnieje cień szansy, że z tej ucieczki wyniknie jakiś pożytek?

Przelotnie zerknęłam na telewizor stojący w pokoju obok. Może już ich złapano. W końcu jak długo mogą się ukrywać? Nie należą do ludzi, których łatwo przeoczyć. Nawet bez tej reklamy, którą od miesiący fundują im media, i tak by zwracali na siebie uwagę, a czerwona toyota Jo Lynn też nie jest bynajmniej wymarzoną pojazdem do ucieczki. Do tej pory na pewno ktoś ich zauważył. Aby się o tym przekonać, wystarczyło włączyć telewizor. Nie, zadecydowałam. Jakikolwiek byłyby nowiny, z pewnością nie mogą być dobre.

Wybrałam sobie ogromny kubek do kawy z wrytym na boku różowym flamingiem, którego porcelanowy ogon służył za ucho „Pamiętka z Palm Beach”, głosił czarny napis. Napełniłam go wrzącą kawą i przeszłam do pokoju, gdzie z kubkiem w ręku ostrożnie usiadłam na sofie, twarzą

408

BRAKUJĄCY ELEMENT

do okien, czy raczej wielkiej szklanej tafli sięgającej od podłogi do sufitu. Znów dzień jak z

bajki. Z niebem tak błękitnym, że aż razi oczy... „Fajny byłby sweter w tym odcieniu”, zabrzmiał mi w uszach głos Jo. Omal nie upuściłam kubka.

— Odpręż się — mruknęłam, mocniej ściskając kruchy porcelanowy ogon. Cud, że go nie urwałam. — Dzień jeszcze się nawet nie zaczął.

— Z kim rozmawiasz?

Podskoczyłam z przestrachu. Kawa wystrzeliła z kubka jak strumień gorącej lawy, sparzyła mi rękę i ostrym jak cięcie noża uderzeniem chlapnęła na moją żółtą koszulkę, pozostawiając na niej poprzeczną brunatną plamę nieprzyjemnie podobną do skrzepłej krwi.

— O Jezu! Nic ci się nie stało? — krzyknęła Sara, rzucając się ku mnie. Czym prędzej wyjęła mi z ręki kubek i odstawiła na stolik. — Nie chciałam cię przestraszyć! Przepraszam!

— Nic się nie stało. Potrzebna mi tylko mokra szmatka.

— Zaraz przyniosę! — Po sekundzie była już przy mnie, gorliwie wycierając plamę. — Tak strasznie mi przykro — powiedziała ze łzami w oczach. Zauważyłam, że powieki ma opuchnięte od płaczu.

— Wszystko w porządku, naprawdę. Nic mi nie jest.

— Na pewno?

— Z całą pewnością.

— Naprawdę bardzo cię przepraszam. Przyjrzałam jej się uważnie. Pomimo opuchniętych oczu i wyraźnych śladów niewyspania była taka piękna... Zrozumiałam, że chodzi nie tylko o kawę. Przepraszam mnie za coś więcej.

— Wiem, Saro. Ja też cię przepraszam.

— Nie mam pojęcia, co mnie czasami napada. Robię się taka wściekła.

Pozostałam to bez komentarza.

— Kocham cię, mamo.

— Ja ciebie też.

— Naprawdę? — spytała żałośnie.

409

JOY FIELDING

— Zawsze.

Przygryzła dolną wargę, usta jej drżały.

— Jak ty możesz mnie kochać? Jestem przecież okropna.

— Nic podobnego, wcale nie jesteś okropna.

— Michelle nigdy nie zachowuje się tak jak ja.

— Michelle po prostu jest inna.

— Jest tak pozbierana. Zna siebie i wie, czego chce.

— A czego chcesz ty?

— Nie wiem! Nic nie wiem! Jestem taka głupia!

— O nie, wszystko, tylko nie głupia.

— To dlaczego popełniam wciąż tyle głupstw?

— Nie mam pojęcia — powiedziałam szczerze. — Może warto by o tym pomówić z jakimś terapeutą.

— Przecież sama jesteś terapeutką.

— Ale i twoją matką. Wygląda na to, że tych dwóch rzeczy nie da się pogodzić.

Bezskutecznie spróbowała się uśmiechnąć.

— Są jakieś wieści o Jo Lynn?

— Nie wiem. Bałam się włączyć telewizor.

Szybko zrobiła to za mnie, przelatując kilka niedzielnych kazań, zanim wreszcie znalazła wiadomości. Z pewnym roztargnieniem wysłuchałam oceny amerykańskiej polityki międzynarodowej, którą wygłosił chłopięco przystojny prezenter, by zaraz potem rozpocząć bardzo szczegółową analizę stanu środowiska. Spławiony niecierpliwym pstryknięciem guzika

rozpłynął się gdzieś w eterze, a jego miejsce zajął drugi chłopięco urodziwy prezydent z informacją o późnozimowej zamieci w rejonach północnego wschodu. Obszarom tym grożą metrowe opady śniegu — oznajmił dramatycznym tonem. Na ekranie zrobiło się białe od mnóstwa śnieżnego puchu wściekle wirującego w gwałtownych podmuchach wiatru.

W następnym momencie śnieg zniknął i znaleźliśmy się na Florydzie. W blasku porannego słońca zobaczyłam nagle starą czerwoną toyotę przed frontem jakiegoś kiepskiego motelu. Otaczała ją istna armia zmotoryzowanych policjantów.

410

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Boże miłosierny! — Instynktownie pochyliłam się naprzód, wbijając paznokcie w oparcie sofy.

„Policja podaje, że zlokalizowano samochód, który jak się przypuszcza, wczoraj po południu posłużył Colinowi Friendly'emu w ucieczce sprzed Zakładu Karno-Poprawczego hrabstwa Union w stanie Floryda. Czerwoną toyotę, rocznik 1987, własność Jo Lynn Baker, świeżo poślubionej żony seryjnego mordercy, znaleziono dziś wczesnym rankiem w lesie na obrzeżach Jacksonville, niedaleko motelu stanowiącego własność miejscowej rodziny nazwiskiem Wayfarer.”

— Jacksonville? — zdziwiła się Sara. — Dojechali zaledwie do Jacksonville? — Sama byłam tym równie zdumiona.

„Funkcjonariusze policji odmawiają odpowiedzi na pytanie, czy para uciekinierów znajduje się nadal w rejonie Jacksonville.” Na ekranie na moment ukazały się zdjęcia obojga. „Ponownie ostrzega się wszystkich, że zarówno Colin Friendly, jak i jego żona są uzbrojeni i niesłychanie niebezpieczni. Przypominamy, że pod żadnym pozorem nie należy się do nich zbliżać.”

— Do diabła, jak ona mogła to zrobić?!

— Myślisz, że uda im się uciec? — spytała Sara.

— Nie.

— A co się stanie z Jo Lynn?

— Tego nie wiem.

„A teraz, proszę państwa, wiadomość na żywo!” Urodziwy prezydent nie był w stanie ukryć podniecenia. Pewnie przez całe życie marzył o chwili, w której wypowie te słowa. Ja także z wrażenia wstrzymałam oddech, jakkolwiek w moim wypadku powód był zupełnie inny. „Dowiadujemy się właśnie, że policja potwierdza wcześniejszą pogłoskę o znalezieniu zwłok odpowiadających opisowi Colina Friendly'ego. Natknięto się na nie w lesie na obrzeżu Jacksonville, w niewielkiej odległości od wspomnianego już motelu Wayfarerów.”

— O Chryste!

— Ale co z Jo Lynn? — denerwowała się Sara.

411

JOY FIELDING

BRAKUJĄCY ELEMENT

„Powtarzam: Policja utrzymuje, że znaleziono zwłoki Colina Friendly'ego niedaleko motelu Wayfarerów w lesistym obszarze tuż za rogiem Jacksonville, a więc nieopodal miejsca, gdzie wcześniej dziś rano odkryto czerwoną toyotę jego żony, Jo Lynn Friendly, dawniej Baker. Na razie brak wszelkich komentarzy na ten temat, jeden z wyższych funkcjonariuszy policji obiecał jednakże, iż dziś jeszcze ogłoszony zostanie komunikat. Będziemy informować państwa na bieżąco, prosimy zatem nie przełączać odbiorników. A oto dalsze wiadomości”...

— Nie żyje? — W głosie Sary brzmiała ulga i zarazem niedowierzanie. — Colin Friendly nie żyje?

— Mnie także nie chce się w to wierzyć.

— Myślisz, że to Jo Lynn go zabiła?

— Jo Lynn? Ona nie zabiłaby nawet muchy.

— Więc gdzie ona jest? Co się z nią stało?
— Chciałabym to wiedzieć. — Wstałam i znów usiadłam. — Nie mam pojęcia, co robić.
— Z czym? — spytała Michelle, wchodząc do pokoju. Już o tej porze ubrana była schludnie w drellichowe szorty i żółtozieloną bluzkę. — Co się dzieje?
— Colin Friendly nie żyje, a Jo Lynn gdzieś przepadła. Nikt nie wie, co się z nią stało — poinformowała ją Sara.
— Co?!
— Może piszą coś o tym w gazecie — Sara rozejrzała się po pokoju. — Gdzie gazeta?
— Leży jeszcze za drzwiami.
— Pójdę po nią.
Zadzwonił telefon. Michelle pobiegła do kuchni i wróciła z aparatem w rękę.
— Tatusi.
— Słyszałaś? — zapytał Larry.
— Tak. Właśnie przed chwilą oglądałam dziennik.
— Wiadomo coś o Jo Lynn?
— Nie.
— Dobra, słuchaj, jadę teraz na lotnisko. Jestem na liście rezerwowej na wcześniejszy lot. Będę w domu tak

412

szybko, jak tylko się da. I nie próbuj ze mną dyskutować, jeśli nawet masz jakieś obiekcje! Trzymajcie się, dziewczyny!

— Wracaj jak najszybciej — powiedziała mu tylko.
— Colin Friendly naprawdę nie żyje? — zapytała Michelle, jakby ciągle nie mogła w to uwierzyć.
— Najwidoczniej.
— To dobrze. Co piszą w gazecie? — zawołała, bo usłyszałyśmy stukot frontowych drzwi. Odpowiedzi nie było.

— Cóż to, nie dostarczyli gazety? — Wstałam, obeszłam narożnik i zajrzałam do wnęki śniadaniowej.

To, co zobaczyłam, wryło mi się w pamięć na zawsze. Z początku mój umysł zarejestrował tylko luźną białą koszulkę, pod nią boksyerskie szorty i gazetę zwisającą z opuszczonej ręki; później dopiero zobaczyłam odrzuconą w tył głowę Sary z opadającą na oczy strzechą różnokolorowych włosów, łzy spływające gradem po policzkach wprost do jej otwartych ust i straszne ząbkowane ostrze długiego noża na jej odsłoniętym gardle.

— O tak, przynieśli gazetę — oświadczył z uśmiechem Colin Friendly. Z twarzą przylepioną do mokrego policzka Sary jedną ręką trzymał ją w pół, drugą przyciskał nóż do jej szyi. — Ale wiesz, jakie są gazety! Zawsze na bakier z prawdą.

Na moment wszystko ucichło: szum lodówki, śpiew ptaków, mój oddech, jakbym nagle ogłuchła. W tej sztucznie powstałej ciszy wszystko, co widziałam, wydawało się wyrazistsze — zdumiewająco błękitne oczy tego mordercy, jego falujące włosy, krzywy uśmiezek, dziwnie konserwatywna niebieska koszula z odrobiną za długimi rękawami, czarne płócienne spodnie wiszące na nim jak worek, potężne ręce z długimi palcami ściskającymi czarną rękojeść noża...

— Kto to? — zawołała Michelle, wychodząc z kuchni. Porażona koszmarnym widokiem na sekundę zastygła w bezruchu, po czym błyskawicznie dała susa w stronę szklanych drzwi do patio.

413

JOY FIELDING

— Stój, bo poderżnę jej gardło! Niech ci się nie zdaje, że to żarty!

Okrzyk Friendly'ego osadził ją w miejscu.

— No ładnie, grzeczna dziewczynka. A teraz wracaj i stań koło mamy. No już!

Powoli, jakby brodziła w zawiesistym błocie, Michelle dotarła do mojego boku. Chwyciłam ją wpół i przycisnęłam do siebie z całych sił. Wciąż jeszcze nie mogłam mówić. Widok Sary z nożem na gardle czynił mnie bardziej bezradną, niż gdyby mnie związano i zakneblowano. Gdzie ta policja? A może już wiedzą? Może ci z patrolu wypatrzyli Friendly'ego, gdy czał sie w krzakach, i wzywają teraz posiłki? Oby tak było!, myślałam rozpaczliwie.

— Myślałyśmy, że nie żyjesz — hardo rzuciła Michelle.

— A tak! — zaśmiał się Friendly. — Miałem nadzieję, że tak pomyślicie!

Sara wydała cichy jęk. Z jej oczu trysnął nowy strumień łez.

— Proszę, puść ją — z najwyższym wysiłkiem udało mi się wreszcie wydobyć z siebie głos.

— Mam ją puścić? — powtórzył drwiąco. — O nie, za cholere! Ona to jeden z powodów, dla których tu w ogóle jestem.

— Przepraszam, mamusiu! — załkała Sara, nie otwierając ust. Bała się poruszyć.

Friendly mocniej chwycił ją wpół.

— Czyż to nie rozkoszne? Wyobraź sobie, droga Kate, że wszystkie te maolaty wzywają na pomoc mamusie! Tak było z Wendy Sabatello i z Tammy Fisher, och, i z tą małą, którą tak się interesowałaś, Amy Lokash. Ona także wołała mamusię. Przyznam ci się, że zawsze mnie to podnieca.

— Ty potworze! — wyszeptałam.

— Ha, ty wiedziałaś to od początku, co, mamuśka? Miałem szczęście, że twoja siostra nie chciała ci wierzyć.

— Gdzie jest Jo Lynn?

— W Jacksonville. Nie czuła się na siłach tu wracać.

— Nic jej nie jest?

414

BRAKUJĄCY ELEMENT

— Myślisz, że mógłbym skrzywdzić jedyną kobietę, która stała przy mnie murem, która pomogła mi uciec?

— zapytał z krzywym uśmiechem. Przypomniałam sobie tę sąsiadkę, która także chciała mu pomóc:

— Zabiłeś Ritę Ketchum.

— Owszem, zabiłem, czemu nie?

Sara z nagłą determinacją spróbowała mu się wyrwać. W odpowiedzi mocniej przycisnął jej nóż do gardła. Pod ostrzem ukazała się kropla krwi.

— O Boże! — jęknęłam.

— Uhm, to drugie ulubione imię — zadrwił Friendly.

— Często je słyszę. Bóg i mamusia. Można powiedzieć, że idą łeb w łeb.

— Po coś tu przyszedł? — krzyknęła Michelle. — Czego od nas chcesz?

— Ma temperament ta mała! — Wyszczrzył do mnie zęby i zrobił oko. — Widzę, kotku, że zapowiada się z tobą niezła zabawa. Och, idę o zakład, że będę twoim pierwszym! — Zebrało mi się na torsje. — I zarazem ostatnim

— dodał, śmiejąc się z zimnym okrucieństwem. Widać było, jak wielką przyjemność czerpie z tego, że trzyma nas vv szachu. Zauważyłam, że nie zająknął się ani razu.

— Po to tu jestem, kochanie — mówił dalej. — Żeby się zabawić. Tego chcę od was wszystkich, tak, nawet od waszej mamuśki. — Jego głos był jak lasso, jakby jednym rzutem chwycił nas wszystkie w pętlę i zaczynał ją teraz zaciskać. — Wyobraź sobie, że w więzieniu prawie nie myślałem o niczym innym. To mnie trzymało przy życiu. No i oczywiście chęć odzyskania mojego skarbczyka.

— Cóż to za skarbczyk? — Uznałam, że trzeba robić wszystko, aby zyskać na czasie. Może jednak zjawi się policja, może są już w drodze...

— Pudełeczko, w którym trzymam rozmaite drobne pamiątki. Bransoletkę Tammy Fisher,

majtki Marie Po-stelwaite, tę czerwoną spinkę Amy Lokash, całe mnóstwo interesujących rzeczy. Zakopałem je na podwórzu tego

415

JOY FIELDING

BRAKUJĄCY ELEMENT

I

domu w Lantanie, gdzie kiedyś mieszkałem. Oznaczyłem miejsce, więc bez trudu odnajdę swój skarbczyk, zwłaszcza że policja nie będzie mi w tym przeszkadzać. Są przekonani, że nie żyję albo że jadę na północ.

— Jak się tu dostałeś?

— Cóż, to czerwone gówno twojej siostry rzuca się w oczy niczym wóz strażacki, więc nie bardzo mogłem nim jechać, prawda? Pożyczyłem samochód od jednego faceta. Nie miał nic przeciwko temu. Po co nieboszczykowi samochód? — Uśmiechnął się szeroko. — Właśnie tego faceta znaleźli w lasach, no i pomyśleli, że to ja. Pewnie dlatego, że niewiele pozostało mu z twarzy. Był jednak na tyle uprzejmy, że przed śmiercią zamienił się ze mną ubraniem.

Sara zakwiliła cicho i zwiotczała mu w rękach.

— Nie mdlej mi tu, dziewczyno! Jeszcze nie teraz! — Fryzjerskim gestem pociągnął nożem po jej szyi i uniósł do góry podbródek. Drgnęła i wydała z siebie ledwo słyszalny odgłos, coś pośredniego między sapnięciem a lekkim, zduszonym westchnieniem. — Słyszysz? Ten śliczny cichutki dźwięk? Wiesz co, mamuśka, to chyba u was rodzinne. Twoja siostra wydała całkiem taki sam. Zanim zmiażdżyłem jej nos.

— Boże miłosierny!

— Oho, znów to imię!

— Zabiłeś moją siostrę? — Oślepiły mnie łzy. Próbowалаm je wytrzeć, nie pomogło. W polu widzenia miałam nadal rozmazaną plamę... Przedmioty zdawały się wsiąkać jeden w drugi jak atrament w mokry kawałek papieru... Ciemne włosy mordercy stopiły się z czarnymi odrostami Sary, jego blada skóra z jej białą koszulką, z noża tańczącego przy jej gardle zrobiły się trzy czy cztery. Pokój stracił ostrość, perspektywę, całą swoją stabilność. Lada chwila mógł się przewrócić, rozlecieć na kawałki i zniknąć...

— Kto mówi, że ją zabiłem? Powiedziałem tylko, że zmiażdżyłem jej nos — rzucił tonem zwykłej konwersacji.

— Co z nią zrobiłeś?!

416

Zignorował moje pytanie.

— A wiesz, to zabawne obserwować reakcje ludzi, którzy wiedzą, że czeka ich śmierć. Niektórzy od razu wpadają w panikę, zaczynają wrzeszczeć, płakać, i tak jest do końca. Inni próbują z tobą dyskutować. Przez chwilę bawisz się z nimi, pozwalając im myśleć, że pomału ulegasz perswazjom... Och, zaczynają się wtedy odpręzać, ogarnia ich ulga, nabierają nadziei, że nic im nie zrobisz! A potem nadchodzi chwila, gdy nagle uświadamiają sobie, że wszystko na nic, że ich jednak zabijesz. Ach, to naprawdę cudowny moment, gdy widzisz, jak nadzieja znika im z oczu. To tak, jakbyś patrzyła na tonący statek. No i wtedy zazwyczaj zaczynają błagać. — Parsknął krótkim obłąkańczym śmiechem, który zgrzytnął w powietrzu jak uderzenie maczety o kamień. — I to chyba lubię najbardziej.

— W oczach pojawił mu się wyraz takiego rozmarzenia, jakby nawiedziła go fala najpiękniejszych wspomnień.

— Zaczynają ci wyliczać przyczyny, dla których nie powinnaś ich zabijać: chcą żyć, są młodzi, mają przed sobą tyle do zrobienia! Muszą opiekować się matkami albo małymi dziećmi. O, Janet McMillan na przykład rozpaczala nad losem swoich dwóch bachorów, a ta twoja przyjaciółeczka, Amy Lokash, strasznie matwiła się o mamusię. Hej, nadal chcesz wiedzieć, gdzie ona jest? — spytał nagle. — Pamiętasz, jak puściłem cię fałszywym tropem?

Pamiętasz jezioro Osborne?

W milczeniu kiwnęłam głową.

— Tak naprawdę nie był to całkiem fałszywy trop. Twoja Amy tam jest, tyle że nie w wodzie. Pochowałem ją koło tego budyneczku, gdzie w lecie organizuje się obóz dla dzieci. Musiałś go widzieć.

— Tak. — Pamiętałam tę drewnianą przysadzistą chatę. Dookoła gęsto rosły drzewa.

— Za parę miesięcy kupa tych smarkaczy będzie podskakiwać na jej grobie.

Łzy znów zapiekły mnie w oczy. Z żalu nad Amy, sobą, nad moją matką, córkami i siostrą.

— Zabiłeś Jo Lynn?

27 Brakujący element

417

JOY FIELDING

\Mti

i U

domu w Lantanie, gdzie kiedyś mieszkałem. Oznaczyłem miejsce, więc bez trudu odnajdę swój skarbczyk, zwłaszcza że policja nie będzie mi w tym przeszkadzać. Są przekonani, że nie żyję albo że jadę na północ.

— Jak się tu dostałeś?

— Cóż, to czerwone gówno twojej siostry rzuca się w oczy niczym wóz strażacki, więc nie bardzo mogłem nim jechać, prawda? Pożyczyłem samochód od jednego faceta. Nie miał nic przeciwko temu. Po co nieboszczykowi samochód? — Uśmiechnął się szeroko. — Właśnie tego faceta znaleźli w lasach, no i pomyśleli, że to ja. Pewnie dlatego, że niewiele pozostało mu z twarzy. Był jednak na tyle uprzejmy, że przed śmiercią zamienił się ze mną ubraniem.

Sara zakwiliła cicho i zwiotczała mu w rękach.

— Nie mdlej mi tu, dziewczyno! Jeszcze nie teraz! — Fryzjerskim gestem pociągnął nożem po jej szyi i uniósł do góry podbródek. Drgnęła i wydała z siebie ledwo słyszalny odgłos, coś pośredniego między sapnięciem a lekkim, zduszonym westchnieniem. — Słyszysz? Ten śliczny cichutki dźwięk? Wiesz co, mamuśka, to chyba u was rodzinne. Twoja siostra wydała całkiem taki sam. Zanim zmiażdżyłem jej nos.

— Boże miłosierny!

— Oho, znów to imię!

— Zabiłeś moją siostrę? — Oślepiły mnie łzy. Próbowалаm je wytrzeć, nie pomogło. W polu widzenia miałam nadal rozmazaną plamę... Przedmioty zdawały się wsiąkać jeden w drugi jak atrament w mokry kawałek papieru... Ciemne włosy mordercy stopiły się z czarnymi odrostami Sary, jego blada skóra z jej białą koszulką, z noża tańczącego przy jej gardle zrobiły się trzy czy cztery. Pokój stracił ostrość, perspektywę, całą swoją stabilność. Lada chwila mógł się przewrócić, rozlecieć na kawałki i zniknąć...

— Kto mówi, że ją zabiłem? Powiedziałem tylko, że zmiażdżyłem jej nos — rzucił tonem zwykłej konwersacji.

— Co z nią zrobiłeś?!

BRAKUJĄCY ELEMENT

Zignorował moje pytanie.

— A wiesz, to zabawne obserwować reakcje ludzi, którzy wiedzą, że czeka ich śmierć. Niektórzy od razu wpadają w panikę, zaczynają wrzeszczeć, płakać, i tak jest do końca. Inni próbują z tobą dyskutować. Przez chwilę bawisz się z nimi, pozwalając im myśleć, że pomалу ulegasz perswazjom... Och, zaczynają się wtedy odpręzać, ogarnia ich ulga, nabierają nadziei, że nic im nie zrobisz! A potem nadchodzi chwila, gdy nagle uświadamiają sobie, że wszystko na nic, że ich jednak zabijesz. Ach, to naprawdę cudowny moment, gdy widzisz, jak nadzieja znika im z oczu. To tak, jakbyś patrzyła na tonący statek. No i wtedy zazwyczaj zaczynają błagać. — Parsknął krótkim obłąkańczym śmiechem, który zgrzytnął w powietrzu jak

uderzenie maczety o kamień. — I to chyba lubię najbardziej.

— W oczach pojawił mu się wyraz takiego rozmarzenia, jakby nawiedziła go fala najpiękniejszych wspomnień.

— Zaczynają ci wyliczać przyczyny, dla których nie powinnaś ich zabijać: chcą żyć, są młodzi, mają przed sobą tyle do zrobienia! Muszą opiekować się matkami albo małymi dziećmi. O, Janet McMillan na przykład rozpaczła nad losem swoich dwóch bachorów, a ta twoja przyjaciółeczka, Amy Lokash, strasznie matwiła się o mamusię. Hej, nadal chcesz wiedzieć, gdzie ona jest? — spytał nagle. — Pamiętasz, jak puściłem cię fałszywym tropem? Pamiętasz jezioro Osborne?

W milczeniu kiwnęłam głową.

— Tak naprawdę nie był to całkiem fałszywy trop. Twoja Amy tam jest, tyle że nie w wodzie. Pochowałem ją koło tego budyneczku, gdzie w lecie organizuje się obóz dla dzieci. Musiałaś go widzieć.

— Tak. — Pamiętałam tę drewnianą przysadzistą chatę. Dookoła gęsto rosły drzewa.

— Za parę miesięcy kupa tych smarkaczy będzie podskakiwać na jej grobie.

Łzy znów zapiekły mnie w oczy. Z żalu nad Amy, sobą, nad moją matką, córkami i siostrą.

— Zabiłeś Jo Lynn?

416

27 Brakujący element

417

JOY FIELDING

— Może. Jeśli ją zabiłem, to nie bez powodu. Nic nie umiała zrobić jak należy. Mówiła, że siostrunia ma kupę pieniędzy, a nie przyniosła mi ani centa. Ty oczywiście będziesz uprzejma zaopatrzyć mnie w gotówkę, prawda?

— Mów, zabiłeś Jo Lynn?

— Tak — rzucił niedbale — zabiłem. I wiesz, co ci powiem? Ona nie próbowała mnie przekonywać ani błagać, żebym ją oszczędził. Nic z tych rzeczy. Wydała z siebie tylko ten śliczny cichutki dźwięk i tak popatrzyła na mnie tymi wielkimi zielonymi oczami, jakby od początku wiedziała, co się stanie. Rozumiesz, nie miałem z nią dużej zabawy. Ani połowy tego, co będę miał z wami. — Nie wypuszczając Sary z uścisku, sięgnął do kieszeni i wyjął obrączkę. Tę samą, którą Jo Lynn tak dumnie nosiła na serdecznym palcu. — Do mojego skarbczyka — oznajmił.

Myśl, powiedziałam sobie, nie daj się zjeść panice. Musisz bronić siebie i dziewczyn. W tej chwili było już jasne, że na policję nie ma co liczyć. Ale nas jest trzy, a on jeden... Prawda, że ma nóż, ale dzieli nas zaledwie kilka kroków od kuchni, gdzie też są noże... Gdyby dało się odwrócić czymś jego uwagę... zaskoczyć... może we dwie z Michelle zdołałybyśmy go zaatakować, nim zdąży coś zrobić Sarze...

W tym momencie spostrzegłam matkę. Z początku kątem oka uchwyciłam tylko lekki ruch, jakby w polu widzenia przesunął mi się jakiś pyłek, ach, ale po sekundzie ów pyłek zaczął rosnąć i nabierać kształtów... stał się trójwymiarowy. Wyraźnie zobaczyłam siwe przypłaszczone loczki, fałdzistą nocną koszulę i oczy. Czyste, przytomne i skoncentrowane. Bezszelestnie sunęła po gładkiej posadzce, była tuż za jego plecami...

— Babcia! — wyrwało się Michelle.

— Co? — Friendly błyskawicznie obrócił się wokół własnej osi.

I wtedy świat eksplodował.

Sama nie wiem, jak to się stało, że nie widziałam kija w rękach matki. Jednego z tych kupionych Larry'emu na gwiazdkę. Spostrzegłam go dopiero wtedy, gdy ze świstem

418

BRAKUJĄCY ELEMENT

przeciął powietrze i spadł Friendly'emu na czaszkę. Cios zadany został z tak druzgocącą siłą, że wgniół mu prawy policzek iomal go nie oskalpował. Z ucha trysnęła mu krew. Zatoczył się jak pijany i upuścił nóż. Rzuciłam się naprzód i jednym szarpnięciem odciągnęłam od niego dziko krzyczącą Sarę. Po drugim uderzeniu, jeszcze silniejszym, w szczękę, dosłownie zalał się krwią, a zęby posypały mu się na podłogę jak groch z rozciętego strąka. Kij runął na niego raz jeszcze. Tym razem z morderczą precyzją ugodził w sam środek twarzy, miażdżąc mu nos i zwalając go na kolana. Klęcząc w kałuży krwi, spojrział w tę stronę, gdzie zbite w grupkę stały jego niedoszłe ofiary — Sara, Michelle i ja — i spróbował jeszcze się roześmiać. Na próżno. Nie był już w stanie wydać dźwięku. Kiwnął się naprzód i zwałił jak kłoda z głową u naszych stóp.

Matka opuściła ręce. Porzucony kij leżał na podłodze. Podbiegłam do niej, z całych sił przytuliłam ją do piersi i zaczęłam całować.

— Zawsze was będę bronić — wyszeptała, a gdy obie dziewczyny przylepiły nam się wprost do boków, powtórzyła uspokajająco: — Zawsze was obronię.

Nim nadjechała policja, oczy już znowu zasnuła jej mgielka. Grzecznie uśmiechnęła się do policjantów i z głową opartą o moje ramię spokojnie zapadła w drzemkę. Spała jak dziecko, podczas gdy ja próbowałam w miarę sensownie opisać przybyłym funkcjonariuszom wszystko, co tu się stało.

ROZDZIAŁ 32

Media ruszyły do szturmu. Rozpoczęło ^ Dookoła naszego domu przez kilka czuje się już lepiej, wszystko jest na dobrej drodze. Wyzdrowieje... Nawet kiedy policja podała do wiadomości, że w pewnym pensjonacie, owianym dziś raczej wątpliwą sławą, w pokoju numer 16 znaleziono kobiece zwłoki, uparcie wmawiałam sobie, że to nie Jo Lynn. Policja raz już błędnie zidentyfikowała czyjeś zwłoki jako ciało Friend-ly'ego, teraz też się myli. Upierałam się przy tym, dopóki się dało. Aż w końcu nie można już było odrzucać prawdy. Poszłam do biura koronera, ale nie wpuszczono mnie do kostnicy ani nawet nie pokazano zdjęcia. Dyżurny policjant zaczął mi tłumaczyć, że twarz denatki jest bardzo zmieniona... Przestałam go słuchać, mówiono mi to już kiedyś. Myślałam o czym innym. Ciekawe, czy mnie tu pamiętają... I o tym, że kiedy byłam tu z Donną Lokash, przez myśl mi nawet nie przeszło, że na tej samej stalowej palecie co tamta martwa nastolatka będzie kiedyś leżeć moja siostra... A może i tu, w tej sprawie, próbowałam okłamać samą siebie? Bo czyż od początku nie wiedziałam, na co się zanosi? Och, czułam to chyba jakimś szóstym zmysłem.

Zadaję sobie teraz pytanie, co jeszcze wiedziałam. Czy w taki sam sposób, być może podświadomie, nie zdawałam sobie sprawy z tego, co działo się pomiędzy Jo Lynn a jej ojcem? Wskazywało na to przecież tyle oznak... W całej tej łamigłówce, którą niewątpliwie była moja siostra, brakowało wielu fragmentów, ale wszystkie leżały na widoku... Kiedy patrzę na to z dzisiejszej perspektywy, jest dla mnie rzeczą niepojętą, jakim cudem mogłam je przeoczyć. Sama Jo Lynn rzucała wciąż różne aluzje. Wystarczyło się po nie schylić. Czy to możliwe, że świadomie ignorowałam wszystko, co mogło dać do myślenia?

„I ty nazywasz siebie terapeutką!”, krzyknęła kiedyś Sara. Może i słusznie zakwestionowała moje kwalifikacje: jako terapeutką powinnam była wiedzieć. Cóż, gdyby Jo Lynn była moją pacjentką, możliwe, że odkryłabym prawdę lub przynajmniej zaczęła ją podejrzewać, ale Jo była moją siostrą... Szewc bez butów chodzi, jak to mówią... Wszystko to po prostu działo się zbyt blisko...

421

JOY FIELDING

Zidentyfikowano w końcu Jo Lynn na podstawie linii papilarnych i jej szczątki zostały skremowane. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Popadłam wtedy w drugą skrajność: zaczęło mi się wydawać, że w ogóle nie istniała, że nigdy nie było na świecie owej egzotycznej istoty imieniem Jo Lynn. I może to właśnie jest najbliższe prawdy, bo czyż nie stało się tak, że od chwili gdy mój zboczony ojczym położył na niej swoje wstrętne łapska, prawdziwa Jo Lynn, ta, której dano imiona Joannę Linda, przestała istnieć? Jej miejsce zajęła młoda kobieta o zaburzonej psychice, niskiej samoocenie i dużej skłonności do kiepskich dramatów, kobieta, która dorastała w przekonaniu, że być kochaną to tyle samo, co doznawać zniewag, przemocy i cierpień.

Jest faktem, że przy żadnym ze swoich mężczyzn nie zaznała poczucia bezpieczeństwa. Każdy z jej trzech mężów — przed Friendlym — utwierdzał ją jedynie w przeświadczeniu, które wyniosła z dzieciństwa: że krzywdzenie kochanej osoby jest rzeczą dopuszczalną, że najbardziej atrakcyjni wśród mężczyzn są zazwyczaj ci niebezpieczni, że twarda pięść ma większą siłę perswazji aniżeli najczulsze słowa. Colin Friendly był dla niej po prostu kontynuacją swoich poprzedników, tyle że w bardziej „udoskonalonej” wersji. Z tego punktu widzenia jej wybór staje się nie tylko zrozumiały, lecz można go nawet uznać za najbardziej logiczną ze wszystkich życiowych decyzji.

Czy rzeczywiście wystarczy to za całe wyjaśnienie? Ten człowiek był przecież mordercą, który mógł ją zabić bez zmruczenia oka, a jednak dobrowolnie oddała się w jego ręce. Czyżby rację mieli dziennikarze? Czy aż tak rozpaczliwie pragnęła zainteresowania? Rozgłosu? Miłości?

Nie sędę. Myślę, że taka ocena to zbyt wielkie uproszczenie, w dodatku nie dotyka nawet sedna sprawy.

Być może dziwnie to zabrzmiało, ale ja uważam, że dla Jo Lynn Friendly był człowiekiem, którego we własnym mniemaniu mogła w pełni kontrolować — siedział w więzieniu, miał zostać stracony. Gdyby nawet uchylono mu wyrok śmierci, też nic by się nie zmieniło, resztę życia

422

BRAKUJĄCY ELEMENT

spędziłby za kratkami. W sposób dość paradoksalny, acz uzasadniony ten bezwzględny morderca stał się w jej oczach człowiekiem, przy którym mogła się czuć bezpieczniej niż z jakimkolwiek innym znanym jej mężczyzną.

A może wyobrażała sobie, że potrafi go ocalić. Że jeśli będzie go kochać, wierzyć w niego bez zastrzeżeń, wspierać bez względu na okoliczności, stanie się jego zbawieniem, i że ratując tego człowieka, uratuje też samą siebie.

Czy mogło ją coś uratować? Czy ja mogłam tego dokonać?

Myślę, że nie, ale dość. Na tym właśnie polega mój problem: stanowczo za dużo myślę. Zawsze tak było. Czy nie pora powiedzieć, co czuję? Takie pytanie przecież zadaję wszystkim pacjentom. No więc...? Dobrze, niech będzie, powiem, co czuję.

Chciałabym wygarnąć wszystkie naczynia z kredensu i roztrzaskać je na milion skorup. Chciałabym stanąć na środku autostrady i krzyczeć. Krzyczeć wniebogłosem do kierowców, żeby walili wprost na mnie. Chciałabym pędzić przed siebie ile sił, póki nogi zechcą mnie nosić, a ciało nie zacznie skomleć o litość, a potem znów krzyczeć, krzyczeć i krzyczeć! Czuję się bezradna. Zła. Zropaczona. Smutna. Smutek wypełnia mi płuca jak woda. Czuję, że w nim utonę. Czuję strach. Jo Lynn odeszła, opuściła mnie na zawsze. Była nieobliczalna, lekkomyślna i trochę szalona, lecz póki ona popełniała wszelkie możliwe szaleństwa, ja nie musiałam być taka. Mogłam spokojnie grać rolę miłej, solidnej, zrównoważonej osoby. Mogłam przeciwstawiać jej fantazjom swój słynny zdrowy rozsądek. Teraz, kiedy jej nie ma, czuję się tak, jakby żywcem wydarto mi kawał ciała. Wraz z nią odeszła część mego jestestwa.

Nigdy nie powiedziałam swej jedynej siostrze, że ją kocham. Ani ona mnie.

Jak to możliwe, żebyśmy tyle wiedziały jedna o drugiej, a tak mało o sobie samych?

Nie potrafię na to odpowiedzieć. Uczona pani terapeut-ka nie zna dziś już żadnych odpowiedzi. Ciekawe, co by pomyśleli o tym pacjenci?

423

JOY FIELDING

Nie mam w tej chwili żadnych pacjentów. Postanowiłam zrobić sobie przerwę na rok, może dłużej. Spójrzec na siebie z boku, jak to się potocznie mówi, rozważyć od nowa swoje możliwości. Prawda, że pracuję bez przerwy od chwili ukończenia uniwersytetu i że przyda mi się taki oddech, prawdą jest jednak i to, jeśli już mam być zupełnie szczerą, iż ów roczny urlop jest w tym samym stopniu rezultatem wewnętrznego przekonania, co i okoliczności zewnętrznych. Znalazłam się, krótko mówiąc, w dosyć przymusowej sytuacji. Kiedy cała sprawa przedostała się do gazet, większość moich pacjentów odwołała wizyty — pod takim czy innym pretekstem. Nie mam do nich o to pretensji. Trudno powierzać swoje życie komuś, kto nie panuje nad własnym.

Mój program radiowy oczywiście nie doszedł do skutku. Robert wyjaśnił mi przez telefon, że zdaniem zarządu rozgłośni nie jest to dla mnie najlepsza pora na start d© tak świetnie zapowiadającej się kariery. Dużo mówił o potrzebie wiarygodności, dając mi do zrozumienia, aczkolwiek wyraźnie tego nie powiedział, że moja została poważnie nadszarpnięta przez cały ów nieszczęsny rozgłos towarzyszący ostatnio mnie i mojej rodzinie. Słówkiem nie wspomniał o tym, co się stało — czy raczej nie stało — w Hotelu Breakers. Na koniec życzył mi wszystkiego najlepszego. Ja jemu również.

Jadąc wczoraj samochodem usłyszałam końcówkę nowej, dość, bezbarwnej interpretacji przeboju Faith Hill „Kawałek mojego serca”, a zaraz potem słowa wypowiedziane miękkim, dziwnie znajomym głosem: „Dzisiaj w programie WKEY mówimy o nieodwzajemnionej miłości i bólu serca. Od tej chwili czynne są nasze telefony. Jeśli ktoś chciałby opowiedzieć mi o tym, jak stracił kawałek serca, zasięgnąć porady, w jaki sposób mógłby go odzyskać lub po prostu posłuchać piosenki na ten temat, proszę do mnie zadzwonić. Nazywam się Melanie Rogers. Jestem tu po to, by służyć państwu pomocą.”

Miodopłynny głos, rude włosy, szmaragdowozielone oczy... Poznałam ją u Roberta, w jego gabinecie. „Melanie,

BRAKUJĄCY ELEMENT

pozwól, że cię przedstawię mojej wieloletniej przyjaciółce, Kate Sinclair. Znamy się od wieków.” Tak, od czasów Sandry Lyons. Pewni ludzie nie zmieniają się nigdy. Pewne obyczaje również.

Dziś nie potrafię wprost pojąć, jak mogłam w ogóle brać pod uwagę możliwość zdrady małżeńskiej. Miałabym ryzykować swoim związkiem z Larrym dla kogoś takiego jak Robert? Kocham swego męża, zawsze go kochałam. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Ostatnio wciąż rozmawiamy o powrocie do Pittsburgha. Czy na tej bajkowej Florydzie nawiązaliśmy choć jedną prawdziwą przyjaźń? Larry przyznał mi się poza tym, że brakuje mu tutaj pół roku. Gra w golfa nie przynosi mu ostatnio większej satysfakcji; twierdzi, że nie robi żadnych postępów, a teraz w dodatku na sam widok kija do golfa natychmiast przypomina mu się matka i Colin Friendly.

Eriendly przeżył, co jest rzeczą zdumiewającą, choć właściwie nie powinno mnie to dziwić. Tacy ludzie są nie do zdaicia. Giną niewinni. Przedwczoraj dowiedziałam się z prasy, że Sąd Najwyższy Florydy odrzucił jego kolejną prośbę o odroczenie egzekucji. Jeśli dobrze pamiętam to, co mówiła Jo Lynn, pozostaje mu jeszcze federalny sąd okręgowy, Jedenasty Sąd Apelacyjny USA w Atlantycie oraz Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych. Jednym słowem, upłynie jeszcze dużo czasu, zanim sprawa znajdzie swój finał. Może wlec się latami.

Moja matka przebywa w domu opieki. Traktowana jest tam z wielką rewerencją jako swego rodzaju znakomitość. Ona sama wydaje się nie rozumieć powodu tych szczególnych względów. Od dnia, w którym za pomocą kija do golfa unieszkodliwiła Friendly'ego, w ogóle już nie mówi. Jestem pewna, że kompletnie nie pamięta tego incydentu. Wątpię nawet, czy mnie rozpoznaje, aczkolwiek ilekroć ją odwiedzam, zawsze wydaje się zadowolona.

Podczas tych wizyt często towarzyszą mi córki. Sara ma już znowu brązowe włosy, choć jej garderoba pozostaje nadal ekscentryczną mieszanką stylu hippiski i panienki lekkich obyczajów. Michelle odkryła czerń. Obie teraz

424

425

JOY FIELDING

prawie mnie nie odstępują, co łatwo zrozumieć, zważywszy ostatnie przejścia. Nie ukrywam, że kocham tę naszą odnowioną bliskość. Smakuję każdą jej minutę, po części dlatego, że długo już ona nie potrwa. Michelle ostatnio kilka razy pachniała papierosami, a w głosie Sary uchwyciłam wyraźną nutkę zniecierpliwienia... Wiem, że niedługo złączą znowu życie własnym życiem. Staram się wziąć w garść, przygotować na tę ewentualność. Zdaję sobie sprawę, że cokolwiek postanowią, nie będę miała na to wpływu. Nie mogę ich wiecznie chronić. Mogę im tylko mówić, jak bardzo je kocham.

Terapia skutkuje. Czasami chodzimy razem, niekiedy indywidualnie. Po latach wysłuchiwania cudzych problemów odkrywam na nowo przyjemność dzielenia się z kimś własnymi, ale powrót do normy nie jest łatwy, wymaga dłuższego czasu. Cóż, mogę tylko dziękować losowi, że dał nam ten czas. Dla ludzi takich jak Donna Lokash minął on bezpowrotnie.

Policja odnalazła szczątki Amy obok dziecięcego centrum obozowego w parku Johna Prince'a,

dokładnie w tym miejscu, które wskazał Friendly. Odnaleziono również jego „skarbczyk” pełen różnych drobiazgów zabranych ofiarom, każdy opatrzony staranną nalepką z nazwiskiem właścicielki i datą śmierci. W sumie było ich dziewiętnaście —łącznie z lokówką jego matki i srebrnym krzyżykiem Rity Ketchum. Policja może więc teraz bez żadnych już wątpliwości powiązać Friendly'ego ze śmiercią jeszcze sześciu kobiet i zamknąć tym samym sześć nie wyjaśnionych dotąd

spraw.

Przypadkiem usłyszałam właśnie, że znalazła się Millie Potton. W samej tylko bieliznie kuśtykała sobie brzegiem Rudera Beach. Była strasznie spieczona od słońca i plotła od rzeczy, lecz poza tym wydawała się zdrowa. Cieszę się z tego. Martwiłam się o nią.

To już chyba wszystko. Zanim oddam te strony policji, muszę dokonać jeszcze pewnych skrótów, niektóre fragmenty są zbyt osobiste. Nie mam pewności, czy napisałam akurat to, czego oczekiwała policja. Staralam się wypunk-

426

BRAKUJĄCY ELEMENT

tować rzeczy zasadnicze, odtworzyć kontekst ostatnich wydarzeń, jakoś je wyjaśnić. Nie było to łatwe. Musiałam głęboko przeorać pamięć, obnażając przy tym własną duszę. Nadal pewnie brakuje niektórych fragmentów, ale nic już na to nie poradzę. Zrobiłam, co mogłam. Najlepiej, jak umiałam. Mogę mieć tylko nadzieję, że mój trud na coś się przyda.

Tak czy inaczej pora pozbierać kawałki — i żyć dalej.

Robert McLiam Wilson

Ulica marzycieli

„W tej powieści, pisanej nocą przy akompaniamencie głośnej muzyki, pobrzmiewa humor, nostalgia i tragizm, a wszystkie te tony — tak różnorodne — harmonizują ze sobą w niepowtarzalny sposób.

Robert McLiam Wilson to «książę opowiadaczy» — uznali krytycy. Nie ma przesady w ich opinii, Wilson bowiem sięga najbardziej osobistej sfery ludzkich odczuć, gdy opowiada o Jake'u Jacksonie uganiającym się za miłością; o niezbyt rozgarniętym „Miśku” Lurganie, który nagle zdobywa majątek; o ich krewnych, przyjaciółach, znajomych — mieszkańcach Belfastu, w których zwyczajne życie od czasu do czasu wkracza polityka.

•

Ron Hansen

Atticus

Współczesna przypowieść o synu marnotrawnym.

Trzymając w napięciu od początku do zaskakującego finału, opowiada o szczególnej więzi między ojcem i synem.

Atticus Cody, zamożny farmer, na wieść o samobójczej śmierci syna wyjeżdża do Resurrección w Meksyku, gdzie Scott ostatnio przebywał. Poznawszy środowisko, w którym się obracał, tryb jego życia oraz okoliczności tragicznego zdarzenia, stwierdza, że Scott wcale nie targnął się

na życie, lecz został zamordowany. Ponieważ jednak policja nie podejmuje dochodzenia, Atticus na własną rękę zaczyna prowadzić śledztwo...

Noah Gordon Rabin

Bohater tej powieści, człowiek twardych zasad, był już rabinem, kiedy zakochał się i ożenił z chrześcijanką, w dodatku córką pastora.

Ich dzieje to opowieść o kobiecie i mężczyźnie, którzy muszą się nauczyć, jak radzić sobie

z komplikacjami niesionymi przez życie w świecie, gdzie Żydzi i chrześcijanie nie zakochują się w sobie,

a tym bardziej nie zawierają małżeństw; to także opowieść o poszukiwaniu własnej tożsamości, o dylematach człowieka, któremu bardzo

osobiście postrzegany Bóg nie przesłonił świata, o uczciwości wobec siebie i innych, współczuciu i tolerancji.

Irwin Shaw

Chleb na wody płynące

Allen Strand, nowojorski nauczyciel i pedagog,

wiedzie spokojne, ustabilizowane życie u boku kochanej żony, w otoczeniu trójki dorastających udanych dzieci.

Czuje się szczęśliwy, podobnie jak jego bliscy. Pewnego dnia wszakże jego siedemnastoletnia córka przyprawia do domu rannego człowieka, któremu

pomogła, gdy został napadnięty w parku. Podtrzymywana znajomość z Russellem Hazenem niepostrzeżenie burzy dotychczasowy ład

życia Strandów: w rodzicach budzą się dawno uspięte

marzenia, pod wpływem wydarzeń zmieniają się życiowe cele dzieci, odzywają się tłumione dotąd niepokoje i pragnienia...

W tej samej serii ukazały się

Lars Saabye Christensen

Jubel

•

Jacek Durski Mariacka

•

Jacek Durski

Wśród krzywych luster

•

Erik Fosnes Hansen Psalm u kresu podróży

•

Erik Fosnes Hansen Wieża Sokołów

•

Karin Fossum Oko Ewy

Noah Gordon Lekarce

•

Noah Gordon Rabin

•

Benoite Groult Słony smak miłości

•

Ron Hansen

Atticus

•

W tej samej serii ukazały się

Peter Henning

Śmierć motyla

- Klaus Mann
Mefisto
Beverly S. Martin
Krótkie życie Juffie Kane
Irwin Shaw
Hotel Świętego Augustyna
Irwin Shaw
Lucy Crown
Irwin Shaw
SZus

- Maciej M. Szczawiński Rafał Wojaczek, który był
Amy Tan Klub Radości i
Esther Vilar
Matematyka Niny Gluckstein

- Robert McLiam Wilson Ulica marzycieli

- Stefan Zweig
Portret człowieka politycznego. Joseph Fouche
MBP Zabrze
nr inw.: K1 - 20945
F 1 AMER.
Wydawnictwo „Książnica” sp. z o.o.
ul Powstańców 30/401
40-039 Katowice
tel. (032) 757-22-16, 757-22 19
faks (032) 757-22-17
<http://www.ksiaznica.com.pl>
e-mail: ksiazki@ksiaznica.com.pl
Wydanie pierwsze Katowice 2000
Skład i łamanie:
Z.U. „Studio P”, Katowice